

**Zofia Kossak**

# **Złota wolność**

Tom pierwszy

Rozdział pierwszy

**Hic Mulier**

**S**ebastian Pielsz z Czarnego Potoku i stryj jego Hermolaus Pielsz z Lipowca, obaj pieczętujący się klejnotem starożytnym Nabra, jechali w milczeniu, całą baczność skierowując na stromą ścieżkę górską, którą zjeżdżali w dolinę. Okrągłe, chybotliwe kamienie osuwały się spod kopyt końskich z wesołym szelestem i wyprzedzały ich w dół. W lesie, zasklepionym zwarto ponad ścieżką, leżała upalna cichość i woń rozgrzanej jedliny. Powyżej, w głębi zbyrczały cienko, sennie dzwonki owiec. Popędliwy łoskot niewidzialnego jeszcze na dnie doliny potoku rwał się jak gdyby na przekór tej uspiionej ciszy, drwił z niej i szydził w nieustającej, rześkiej

ruchliwości.

Gdy jeźdźcy zjechali ku niemu, konie zanurzyły z rozkoszą miękkie, ostrożne pyski w świeżą chyżość nurtu. Gniewna o byle co woda zgarnęła się u kolan podjezdaków w bryzy, warkocze, koronki, podniosła, sięgła spieniona ku piersiom. Hermolausowy szpak grzebał uczenie prawą nogą wodę, badając dno, czy dość twarde, aby się położyć, czym oburzony stary szlachcic żgnął go piętami w brzuch i wyjechał co żywo z wody.

Jechali dalej. Stryj Hermolaus wielką gałęzią leszczynową oganiał siebie i podjezdka od bąków, srodze dokuczliwych w słońcu, poglądając raz po raz na zamyślonego towarzysza.

— Zajedźwa do Olszanki skonwinkować sąsiada na zjazd — zauważył, gdy droga rozszerzyła się na tyle, że mogli jechać obok siebie.

— Dyć uwiadomili go pewnikiem. Pacholek kurendę obwoził...

— Pacholek mógł łącno przepomnieć, jak to się poślednim razem zdarzyło z Rogowskim.

— Skoro nas nie przepomniał, to i Olszanki, która jest po drodze...

— A lichy go wie na gamonia patrzył... Zajedziewa — zdecydował. Lubił zajedzwać do sąsiadów, w przeciwieństwie do bratanka, który był odludek i posepnik.

— Spóźniwa się — próbował oponować tenże.

— Bogać tam! I tak przyjdzie przenocować w grodzie.

Rozweselony nadzieją bliskiej pogawędki stryj poprawił się na siodle i machając zamasyżycie gałęzią, niby zielonym proporcem, zaśpiewał na całe gardło, nie bacząc na zły humor towarzysza:

*Oj, niesie mnie, niesie*

*Konik do Teresie;*

*Kieby do Jagusie.*

*Nie chciałoby mu*

*się...*

W prawo doliny odeszła dróżka kamienista. Skręcili w nią i po paru pacierzach stanęli przed obejściem sąsiada, pana Macieja Drużyny, dzierżawcy Olszanki i Chroślic. Folwarczek był mały, do stoku wzgórza jak jaskółcze gniazdo przylepiony, lecz przed nim w dolinie, roztaczały się szmaragdowym kobiercem piękne naddunajeckie łągi, zwane biesiadami. Smolisty częstokół bronił obejścia od niedźwiedzia lub innych nieproszonych gości z gór. Kryta brama otwarta była szeroko, ukazując w głębi dziedzińca dwór niewielki, z tylną ścianą spadzistą, gontem do samej ziemi obitą, jak to na Podgórzu bywało we zwyczaju. Pod stromym, głęboko wykapionym dachem mieścił się razem dwór, dojnik i spichlerz. Mały drewniany lamusik, gankiem wkoło opleciony, wznosił się o parę kroków.

Imć pan Maciej Drużyna, w zgrzebnym letnim żupanie, podniósł się na widok gości z ławy stojącej przed domem, hałaśliwie a serdecznie ich witając. Był zażywny, dobrej tuszy, rumianego lica. Z dojnika wybiegł włodarz, by potrzymać konie.

— A przeprowadzaj, bracie, póki nie obeschną całkiem — upominał starszy Pielsz podciągając do góry strzemiona.

Weszli z gospodarzem do izby dużej, niskiej, dość ciemnej, bo zapstrzone przez setki pokoleń muszych błony mało przepuszczały światła. W izbie panował zaduch stęchlizny, kwaśnej zętycy i skór baranich, suszących się u pułapu. Stół surowy na kozłach i ławy stały pośrodku.

— Jak to u wdowca — ekskuzował się gospodarz sadzając gości i z trudem otwierając okno. — Ani komu ochędożyć mieszkania, ani przyładzić; zwykła mizeria człeka samotnego... W

Chrościcy jest nieco przystojniej... Do Olszanki jeno na sianokos zjeżdżam, to i gospodyni tu nie trzymam.

Brudny pacholek wniósł gliniany dzban piwa i kubki cynowe.

— Jedziecie z nami, sąsiedzie, na zjazd? — zapytał stryj Hermolaus.

— Do Lusławic?

— Ano. Najpierwszej wagi materie: wybór delegatów na synod do Hoszczy, zwołany po całej Rzeczypospolitej gwoli uzgodnienia dyferencyj pryncypialnych wiary...

— Pisał mi. owszem, Taszycki, ale siana trza pilnować... a do Lusławic szmat drogi — rzekł pan Maciej skrobiąc się w głowę z zakłopotaniem.

— Dobre latoś siano?

— Chwalić Pana Boga, niczego.

— Złote jabłko ta Olszanka — zauważył Hermolaus Pielsz spoglądając przez otwarte okno ku łągom, na których rohacze, czyli ostrowie z sianem, stały tak gęsto jak gwiazdy na sierpniowym niebie, i westchnął mimo woli, wspomniawszy skaliste zbocza swoich górskich pól.

— Siła bierze klasztor czynszu z waści?

— Siła — skrzywił się pan Maciej. — Dwadzieścia czerwonych złotych! A sery! A len! A wełna! A struny!... Trudno zliczyć! Wszakże — uśmiechnął się sponad kufla, przymrużając oko — trza wyznać, żem od ośmiu lat ni grosza nie dał, czy to w grzywnie, czy też in natura...

— Ejże? I uchodzi? — zadziwił się starszy Pielsz.

— Nie daj Bóg — rzekł pobożnie pan Maciej — bym ciężką własną krwawicą papieżnickie antychrystowe gniazdo wszeteczne zasilał. Za grzech bym to sobie największy uważał... Nie płacę im nic, i kwita.

— Ze to mniszki nie skamrzą, boć one zwykły swojego dopatrzeć.

— Pozwy przysyłają, to i przysyłają; a ja nic! Pijcie, sąsiedzie...

— Przednie piwo, a chłodne jak z lochu...

— Sąsiad zbyt łaskaw... Co tam dobrego może być u wdowca! Piwo chłodne, bo w potoku beczkę trzymam...

— Zeń się, mości dobrodzieju, miast na wdowieństwo narzekać.

— Rają mi jakąś wdówkę w Dobrocieszy, ale trza wprzód siano sprzątać, a dopiero na oględziny pojechać.

— Co słyhać w grodzie nowego?

— Osobliwie nic wielkiego, prócz tego że Paryshazy, graf z węgierskiej strony, gród i okolicę obesał; dziewczka mu zbiegła z młynarczykiem Ładziśławem. któren do zbójników przystał... Paryshazy kartelusząmi w grodzie proklamował, że dwie kopy dukatów da, kto by ich pojął.

— Cudeńka waść prawisz! Urodzona dziewczka z młynarczykiem zbiegła? Quo modo?

— Ninie już z bandą harnasia Kwoczki wędrują... Głosił też Paryshazy, by dziewczkę odstawić, zasię owego nicponia. alias nebulona końmi włóczyć niemieszkając, aby snadź w drodze nie zbiegł...

— Kto ich tam pojmie na wierchach! — roześmiał się starszy Pielsz dopijając piwa. — Komu w drogę, temu pora... Jedziesz sąsiad z nami?

— Siano w kopach, na burzę się zbiera; muchy kąśliwe jak gady... — tłumaczył się kłopotliwie gospodarz.

— Deliberacje ważne mają być od których uchylać się nie godzi — odezwał się z naciskiem milczący dotychczas Sebastian.

— Uradzicie beze mnie, mili bracia! Akcept z góry daję... Za powszechnością... Co tam mój mizerny głos!

— Jezdni jakowis̄ jadā — rzekł nagle stryj Hermolaus nasłuchując, gdy wyleniały niedopiepek gospodarza zerwał się z progu, szczekając.

— Kto by zaś jechał? Niedźwiedź może popłoszył trzodę na hali...

— Ejże. tu jadā, i kupa!

Porwali się wszyscy trzej z miejsca na ganek, patrząc uważnie ku drodze, na której stłoczona gromada konnych sunęła szparko ku wrotom, nie bacząc na ostre wyboje i jamy. Przodem, na tęgim podjezdku waliła wysoka postać w fałdzistych, szerokich szatach.

— Białogłowa! — wykrzyknął pan Drużyna ze zdumieniem.

— Opacicha! Krzywulą macha ku swoim! Jak mi chwala zboru miła! Abbatissa sądecka zjeżdża do waści w goścień!..!

— Bartoszek! Bramę zawierać! — krzyknął gospodarz. — Jużci, że ona! Do diabła!

— Nie z amicycji chyba one odwiedziny, bo siła pachółków za nią...

— Bramę żywo zawierać, niezguły! — wrzeszczał pan Maciej.

Dobry był rozkaz, ale za późno wydany. Dwóch jezdnych wyprzedziło jadącą niewiastę i stanęło groźnie we wrotach. Włodarz ustąpił, stropiony. Dwaj ugnojeni rataje wyjrzeni ostrożnie z chlewa, dojarki wyskoczyły z czeladnej, rozdziawiając gęby ciekawie. Strzeżoną przez jezdnych bramą wjechała na dziedziniec wysoka ksieni konwentu sądeckiego Świętej Kingi, jejmość Halźbieta Białowódzka. Pod sobolowym kołpakiem biały miesiąc zakonnego rąbka oświecał twarz jej, suchą i władczą. Złocisty pastorał trzymała w ręku jak buławę. Za nią zaroiło się podwórze od dwudziestu paru jeźdźców. Odziani w płótnianki i lejbiki zgrzebne, uzbrojeni w tęgie drągi, pastuchy j poganiacze, rataje klasztorni, chłopcy ogrodowi i kuchciki siedzieli oklep na szkapach roboczych. Kryjąc wstydliwie liczka zasłonami, dwie młode siostrzyczki ścisnęły piętami podjezdki. tuż za ksienią. Ona zaś zsiadła już z konia i szła wprost na ganek, szturchając w ziemię krzywulą. Przenikliwe, dumne oczy wbijała w stojących panów. Acz niechętnie, uchyliła czapek ze względu na wiek jej i płeć.

— Który z waszmościów jest imć panem Drużyną, arendatorem moim? — zapytała twardym głosem.

— Ja, do usług. — Pan Maciej wysunął się poprzód. Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

— Waćpan-eś dobry katolik?

— Oj! — mruknął stryj Hermolaus.

— Wierzę w Boga Wszechmocnego, Pana i Stwórcę naszego — zaczął pan Maciej czerwieniejąc jak burak.

— Bez wykrętów! Krótko odpowiadaj waść: katolik jesteś czy nie?

— Nikomu nie winienem spowiedzi z mego sumienia — odparł hardo.

Stuknęła groźnie pastorałem w ziemię.

— Winienes̄, bo na klasztornej ziemi siedzisz, osiem lat czynszu nie płacąc! żeby lnu kłaczek, żeby jeden serek!... Nuże, powiadaj! Katolik jesteś czy nie?

Pan Maciej kręcił się w miejscu jak piskorz.

— A waszmościowie kto? — zapytała ksieni nagle.

Pielsze, herbu Nabra, chrystianie z małego zboru braci polskiej — rzekł dobitnie Sebastian spoglądając z pewną pogardą na pana Macieja.

— Kompany! On takiz̄ sam nurzaniec plugawy! Święta Kingo, fundatorcko! Dawno mi to powiadali, alem wiary dać nie chciała! Wieprz nieczysty! Judasz! Poganin sromotny! Ale klasztorna rola go nie brzydzi!... Dość tego! Fora ze dwora!

— Jak to? — zapytał pan Maciej odzyskując głos.

— Tak to! Precz ze dwora, bo kijem napędzę!

— Na Boga, hamuj się waćpani — interweniował rozważnie Hermolaus Pielsz. — Zali przystoi białogłowie Bogu poświęconej manu armata występować?

— Przystoi temu zdrajcy klasztorny chleb darmo jeść?! Dość, mówię: fora z folwarku!

— Obaczym — warknął pan Maciej.

— Obaczym a skoro! Zdrajca! Turek obrzydły! Nurzaniec! Osiem lat darmo siedział na takim folwarku! Samych biesiadów będzie dziewięć włók! I jakich! Smakowice, nie biesiady! A taki Boga się zaparł! Gad niewdzięczny! Lucyperus!

— Ejże! Ejże, moja imość!... Na przemoc znajdzie się przemoc!

— Chwytaj przemocy, psi synu! I diabeł, twój kum, nie pomoże!... Oto jest nowy dzierżawca... Mości Bączek! Gdzież waść jesteś?

Nie zauważony dotychczas przez nikogo wysunął się spomiędzy koni skromny człowieczek o wąsach obwisłych, o cienkim, stroskanym nosie i stanął niepewnie w obwodzie.

— Oto jest nowy dzierżawca, imię pan Makary Bączek z Wojakowej, któren rzetelnie a uczciwie obowiązuje się płacić...

— Pół kopy czerwonych złotych, dwadzieścia i dwie miary lnu, dwie kopy serów, wełny runów dwanaście i wiązkę kiszek baranich na struny; połowę na święty Jan, połowę zaś na Gody — wyrecytował jednym tchem pan Bączek.

— Kości swoje waść porachujesz raniej niżli owe czynsze! — ryknął pan Maciej, lecz ksieni tupnąwszy przerwała:

— Nowego dzierżawcę wprowadzając, intromisji de iure et de facto dokonywam, czego waszmościów biorę za świadków...

— Świadcami jesteśmy jeno bezecnego gwałtu nad. niewinnym — odparł Hermolaus Pielsz.

Zmierzyła go pogardliwie.

— Obejdzie się bez asystencji waszmościów... Panie woźny! Wyłażże odczytywać akt!...

Jeszcze skryciej przytający dotychczas niżli pan Bączek wysunął się z gromady woźny sądowy, autentykowany, z potężnym pergaminem pieczęciami obciążonym w garści, i stanął za ksienią, przy boku wielce trwożliwego pana Bączka.

Twarz gospodarza z czerwonej stała się sina.

— Dość tych jasełek! — wrzasnął. — Długom sobie nie folgował hamując rankor z raczej wieku jejmości!... Ja tu pan! Kości połamię! Precz z folwarku, pókim dobry!...

— Chłopczy! — zagrzmiała jeszcze głośniejszą ksieni. — Wypędzać konie dzierżawcy! Rzeczy precz! Statki precz!... Mości woźny, czytaj akt!

— „Dokonywa się na korzyść urodzonego Bączka Makariusza” — zaczął uroczystym głosem, wśród straszliwej wrzawy, woźny.

— Gapy koślawe! Gudłaje! Niedojdy sobacze! — wrzeszczał rozpaczliwie pan Maciej do swoich. — Nie dać się! Stajnie zawrzyć! Koły w garść i prać psubratów!...

Lecz dojarki uciekły już z piskiem za bramę. Włodarz i oba rataje kręcili się dość niemrawo, strwożeni znaczną przewagą najeźdźców.

— Do dworu, panie Bączek! Zajmuj dom! Czytaj, mości woźny! Czytaj!...

— „Na mocy ferowanego wyroku w prześwietnym sądzie grodzkim sądeckim...”

— Niedobrze coś z waścią... Rewokuj chyba, rewokuj! — szepnął Hermolaus Pielsz.

— Olszanka piechotą nie chodzi...

— A jużci, że nie! — jęknął z zalem oprymowany, lecz widząc wesole błyski w oczach starego zagryźł usta, cofając się wściekły do dworu. Obaj Pielszowie z nim razem. Pachołcy klasztorni już wyważyli wrota stajni. Gęgot wystraszonych gęsi rozdzierał powietrze. Otoczeni kupą napastników rataje bronili miękko chlewu i lamusa.

— Do dworu! — wołała ksieni.  
— Będę strzelał! — ostrzegał przez okno pan Maciej.  
— Strzelaj, synu antychrysta! Strzelaj, odmieńcze diabelski!... Do dworu, chłopcy! Chlew później! Mości Bączek, trzymaj przodek! Siostró Otylio! Siostró Klemenso! Gdzie woda święcona? Żywo!  
— Czeladź w łąkach!... Krócićę onegdaj dałem do kowala!... O rety! — rozpaczął bezsilnie pan Maciej.  
Drzwi już trzeszczały pod naporem ramion, choć podpierali je we trzech ze wszystkich sił. Pękły z trzaskiem. W wyłomie ukazała się ksieni, dzierżąca silnie za kołnierz spłoszonego pana Bączka. Dygocząca z trwogi siostra Otylia podawała jej srebrne naczynie z wodą i kropidło. Ksieni puściła pana Bączka, który oczekując strzałów, przezornie padł plackiem na ziemię.  
— Exorciso te... — zaczęła pryskając wodą święconą do wnętrza. — Czytaj, mości woźny! Czytaj!  
— „...Die Sabbathi post festum Sancti Joannis Baptistae, anno Domini millesimo sescentesimo tertio...”  
— Nie dopuszczę kroku dalej! — krzyczał pan Maciej zastawiając sobą drogę.  
— Nie puścisz, nurku plugawy?! — Trzasnęła go przez łeb krzywulą. Błady z gniewu natarł na nią czekaniem, lecz Hermolaus Pielsz wstrzymał go wpół ciosu.  
— Na Boga, nie będziesz się waść ze starą babą bił, bo śmiech pójdzie po całej Rzeczypospolitej, tym bardziej, że zda mi się, placu nie strzymamy... Nec Hercules... A to herod! Poddaj się lepiej...  
— Czeladź w łąkach! Znikąd sukursu! — powtarzał nieszczęśnik.  
— Exorciso te in nomine Patris et Filii — ciągnęła niezachwianie ksieni. — Czytaj, mości woźny! Czytaj!  
Pan Hermolaus miał słuszność: nie było co marzyć o obronie. Pachołcy plądrowali budynki, wytaszczając za wrota wozy, statki, pędząc precz wszelką żywność. Wlazłszy przez okno do sąsiedniej izby, miotali z brzękiem na dziedziniec cynowe kubki. Ratajowi Bogucie jucha w walce puściła się z nosa i siostra Klemensa tamowała mu ją uczenie przy studni.  
— Ustępuję przed jawnym gwałtem — rzekł schrypłym głosem pan Maciej — wszakże niemieszkać jadę do sądu oblatować skargę na terror tak niesłychany i sprawiedliwość otrzymam... Porachujemy się jeszcze! — pogroził imci Bączkowi, który podniósł się już z ziemi i stał koło ksieni, a pod piorunującym wzrokiem pana Drużyny zwinął się jak węgorz.  
— Oblatuj waszmość, gdzie wola; najprędzej w piekle, gdzie na cię czekają — odburknęła ksieni.  
Wsparta na pastorałe, stała na ganku wyprostowana, spokojna, zwycięska, patrząc, jak w ponurym milczeniu siadali na konie i wyjeżdżali z podwórza. Włodarz i obaj rataje spędzali chudobę, by ją do Chroślic przeprowadzić. Klasztorne pachołki raczyły się wyciągniętym z potoku piwem. Pan Bączek, nowy dzierżawca, obcierał pot z czoła, nabierając powoli otuchy.  
— „...distinctis actibus coram actis authenticis inscriptis...” — kończył doczytywać uroczyście woźny.

**O**tóż dola! Otóż zmienne koleje fortuny! — biadał nieszczęsny pan Maciej, gdy ujechali kęs drogi. — Człek bezpieczny siedział zła nie przypuszczając, a oto bezdomnym został! Nie darmo w zeszlą niedzielę kusy kocur mi się śnił!... Ale nie daruję wiedźmie! Resztę substancji na sądy stracę, a nie daruję i swoje odbiorę, jakem Drużyna!

— Skoroś bracie, czynszu nie płacił, niewiele ci sądy pomogą: formaliter to baba zrobiła.  
— Pachółków zbiorę i temu hultajowi gnaty poprzetrącam! Zatańczy ze mną pan Bączek! Nie będzie się długo w mojej Olszance panoszył!

— Żartujesz waść chyba; orężem nie lza krzywdy swej do chodzić — zauważył sucho Sebastian, gdy stryj Hermolaus mrugał filuternie okiem.

Jejmość Drużyna, zaperzony, zwrócił się do milczka.

--- Nie lza dochodzić? — syknął. — Babie dać się za łeb brać? Kością mi stoi w gardle nasze bractwo! Bym miał kęsek szabli w domu. a bodaj oszczepu, nie dałbym się tak splantować! Czym się bronić? Tym kijaszkiem, nawet nie okutym? Szablą drewnianą?... A bodaj to wszyscy diabli!

— Pośpieszajmy, bo burza idzie — przerwał jego żale starszy Pielsz.

— A niechaj! A niechaj! Niech idzie! Niech pioruny spalą tę babę. Bączka. Olszanę!. Tyle siana!... Moje siano! Zielone jak ruta! Deszczu nie widziało! A bodaj je woda zabrała! — desperował nieboraczysko.

Zjechali rysią do promu. Od chmur nadciągających rzeka widziała się czarna, przepastna. Chlupotała niespokojnie, tłukąc drobnymi głowami fal o dno promu, cichła w nagłym oczekiwaniu, to znów marszczyła się gęsto, gniewnie. Powietrze stało się duszne, drogą leciał rudy tuman. Przewoźnicy ciągnęli spiesznie linę oglądając się z niepokojem na niebo. Jeźdźcy ruszyli pędem od brzegu do miasta i zanim lunęło, zdążyli zajechać do gospody sławetnego imci Dzieciołowskiego znanej z przednich win i miodów. Pełno w niej było zawsze, tym bardziej że gospodarz mało okazywał się czułym na różnice wiary, co w owych czasach antagonizmów religijnych rzadkim było fenomenem.

Gdy panowie Pielszowie i pokrzywdzony tak srodze pan Maciej weszli do gospody, gwar w niej zwykły panował i ścisk. Na widok wchodzących podniósł się krewniak Pielszów z pobliskich Rogów, podpisujący się Rogowski alias Pielsz de Rogi i prosił by przy nim usiedli. Obok pan Porębski z Porąbki Wielkiej wraz ze swym patronem częstowali miodem świadków, panów braci szlachciców z Połomi, rodu Czarny Jeleń, którzy nazajutrz świadczyć mieli w sądzie, iż kmiecie współdziedzica Porąbki, pana Chronowskiego, frivole et potenter ac violenter zaorali rolę nad Dunajcem, którą pan Porębski z dawna tenebat et possidebat. Panowie bracia ciągnęli miód kiwając uprzejmie głowami na uczone wywody patrona.

Pan Niesobia Kępieński z Rojówki podniesionym głosem prawił gorąco o ostatnim napadzie żaków na zbór chrystiański w Krakowie. Audytorium składało się z samej braci polskiej, socynianów, arianów lub nurków, jak ich przezywali wrogowie — przeto słuchano uważnie, postukując kuflami na znak potwierdzenia.

— Oj poczynają nacierać na naszych! — zauważył Rogowski. — Z Konfederacji Warszawskiej już byle żak się natrzasa.

— I za psa jej nie mają! — krzyknął pan Drużyna. — Panowie bracia! Otom jest żalosny obiekt pomsty do nieba wołającej krzywdy: Opacicha konwentu, który na wieczny nasz wstyd bezpiecznie się nad Sączem rozpościera, zbrojną ręką najechawszy, wyrzuciła mnie co ino z folwarku osiem lat dzierzawionego, za jedyne motivum podając, żem nie katolik...

— I żeś waść czynszu nie płacił — wtrącił półgłosem Hermolaus Pielsz.

— To do rzeczy nie należy... sprawa personalna, prywatna... Zajechawszy kupą, pyta mnie obces: Waćpan-eś katolik? — Chrystianin — odparłem z dumą... A ona na to: Wynoś się z folwarku!... Świadcami ci oto sąsiedzi...

— Żeś się to waćpan dał babie wyżenąć?

— Primo: czeladź była w łąkach... Secundo: zali przystoi nam gwałt gwałtem odpierać? — westchnął pan Drużyna. — Orężem, którego i nie posiadam, walczyć? Złu się sprzeciwić?

Zmilczałem, Bogu polecając moją krzywdę, choć nie wiem, gdzie się podzieję ni gdzie głowę stroskaną położę... Tuszę, że zbór, dla którego chwały cierpię tak nieznośnie, pomoże mi w tej niedoli...

Podniosły się głosy współczucia, lecz że ulewa minęła, wypadło jechać dalej. Do Nowego Sącza mieli jeszcze milę drogi. Miasto było widne z dala, szeroko rozłożone w precudnej dolinie. Tuż pod grodem, przejeżdżając wpadającą do Dunajca rzeczku Kamienicę, Sebastian pochylił głowę nabożnie. W tym miejscu bowiem, przez katolików urągliwie zwanym Piekłem, był przed paru laty wraz z innymi ponurzany i w wierze chrystiańskiej utwierdzony.

Wjechali bramą sklepioną do grodu. Miasto lśniło, świeżo obmyte ulewą; z rynien, rozwartych szeroko w kształt smoczyc paszczy, spływała jeszcze z szumem woda. Mieszczanie wychodzili przed domy, radzi zażyć świeżości po uprzedniej gorącej parnoci. Złotnik Jakub, słynny aurifaber, do braci polskiej należący, kłaniał się uprzejmie przejeżdżającym. Baby rozpościerały szeroko zarzucone wpierw na głowę kiecki. Pielgrzym w płaszczu muszlami naszytym i w dziwacznym kapeluszu kuśtykał, zawodząc przeraźliwym głosem pieśń nabożną. Z głową schyloną, odgradzony od życia posepną pogardą ku światu, pan Belina z Chroślic, kalwin, szedł szybko przez rynek. Przed kamienicą alchemika królewskiego Sędziwoja, w Kurlandii aktualnie przebywającego, zgraja żaków ciskała w okna kamienie i koński nawóz, wołając:

— Ohe! Ohe! Czarownik! Zrób z tego złoto! Czarownik!

Małe okienko na górze uchyliło się gwałtownie. Pana Sędziwoja matka wysunęła zawziętą, pomarszczoną twarz.

— A bodaj was kat nie minął! Bodaj was kołem łamano! Bodaj wam oczy wygniły! — skrzeknęła zatrzaskując okienko z powrotem.

Żaki tupały i wyły z uciechy.

Nie zwracając na ten widok codzienny uwagi panowie Pielszowie z towarzyszem swym, frasobliwym panem Drużyną, jechali z wolna przez tłum barwny, gęsty i ruchliwy. Na wpół dzicy górale w wywróconych wełną do góry serdakach, kmiecie sądeccy w brązowych sukmanach, rajcę miejskie w tyczakowych, gorącożółtych żupanach, panowie szlachta z okolic — przelewali się ustawicznie, pieszo, wasażkami, konno, bo gród był handlowy, na szlaku węgierskim leżący, w bogactwie nie ustępujący Krakowowi. W tłumie nie brakło cudzoziemców, których chęć zysku lub bezpieczeństwa ściągnęła do łaskawej i wspaniałej Rzeczypospolitej. Paru Szkotów, świecących gołymi kolanami, odzianych cudacznie w krótkie spódniczki miast portek, stało na drodze przyglądając się tłumowi z ciekawością.

— No popery! — krzyknął zniecierpliwiony Hermolaus Pielsz, gdy nadjechali tuż ku nim.

— No popery! — powtórzył Szkot, a nabzdyczywszy się srodze, patrzył ostro, zali z niego nie kpią.

— Ktoś jest? — spytał po łacinie.

— Chrystianin.

Skłonił się głęboko w milczeniu, uspokojony.

— Miły Boże — uśmiechnął się pan Hermolaus, gdy minęli cudaka — co człowiek to nowa wiara; aż się w głowie kręci. Nie może być, jeno w niebie osobną kancelarię zainstalowali, by nowinkarzy wciągać w rejestr bez omyłki...

— Wiele jest wierzeń istotnie, wszakże jedna tylko wiara prawdziwa: — chrystiańska — rzekł surowo młodszy Pielsz.

Stryjec spojrział nań bacznie, roześmianymi oczami.

— Bogać tam! Gadaj zdrów, Sobek! Prawdziwa byłaby, gdyby kto mocen do nieba się wspiąć. Pana Krysta osobiście zapytać, jak Jego Bóstwo a Sakramenta rozumieć, i z tą wiadomością nazad do ludzi powrócić... Ot co! Lepsza nasza wiara od innych, owszem, a wiesz



czemu? Bo według Ewangelii żyjemy, według przykazań Pana Krystusowych... Przeto Bóg iście miłuje bracią polską przed innymi... A teologia? Gadanie puste, i tyle!

Umilkł i nie zwracając uwagi na zgorszony wzrok bratanka, zamyślił się stary sceptyk nad tym, co się działo wkoło, a czego początek pamiętał. Działy się zaś dziwne rzeczy. W potężnej, stojącej u szczytu mocy i ogólnego dobrobytu Rzeczypospolitej, gdy — poza nieszczęsnymi województwami ruskimi, wiecznie od Tatarów trapiionymi — bezpiecznym czuł się każdy, a wojny, jeśli toczyły się jakie, to hen, poza granicami — rozgorzały walki duszne, jak nigdy przedtem ni potem. Słodką, błogą wiarę ojców, w której rodzili się i umierali, rozrzucił, rozrzucił nowy wiatr z Zachodu i oszołomieni, próżni naraz wierzeń ludzie jeli szukać każdy swojej prawdy, swego Boga i swojej drogi do wieczystego zbawienia. Niezglębiona, niepojęta tajemnica Trójcy Świętej, istota bóstwa Chrystusa stawały się kwestiami najbardziej palącymi, ważniejszymi niżli pożytki, urodzaje, zbiory, ważniejszymi niżli życie samo. Mieszczanie, rzemieślnicy, szlachta z zabitych zaścianków, nie znający dotychczas nic poza codziennymi sprawami żywota, rzucali się chciwie do Pisma Świętego, wertowali trudne traktaty teologiczne, studiowali hebrajski i grecki. W nagłej żądzy zrozumienia, poznania, podniesienia się ku Bóstwu — gotowi byli ochotnie za prawdy w ten sposób poznane dać gardło, poświęcić majątność, związki przyjaźni lub krwi. Nie przygotowanym umysłem chłonęli twierdzenia, w ciszy rozmyślał przez mędrców, pokoleniami sprawom ducha oddanych, wysnute — przeto nie dziw, że od tak nagłej strawy dur padał na głowy, na dziwne je nieraz manowce prowadząc.

„Wzdyc to już mija — rozmyślał dalej stary, na wpół z żalem, na wpół z ulgą. — Inaczej było, pomnę, dwadzieścia lat temu... Stygną ludzie w gorącości w naszym zborze i gdzie indziej...”

— Żegnam waszmościów, dobrodziejów moich — przerwał namysły pan Maciej naciskając wierzchowca piętami.

Na zakręcie ulicy stał gmach jurydyki, gdzie grodzki starosta zasiadał. Przed bramą barwiła się krzykliwa, pstra kupa szlachty, przybyłej załatwić w sądzie zwykłe roczki i kwerele. Nobiles pauperes, szlachcice we trzech jednego kmiecia mający, z Wojakowej, Drużkowa, Choronowa, Wiatrowic i Puszczy Świętego Świrada stanowili większość stałą tej gromady. Maleńkie ich działki, splątane w zawiłą szachownicę, były przyczyną nieustannych swarów. Procesowali się z pokolenia w pokolenie z zajadłością.

— Gdzie znajdę waszmościów? — zapytywał pan Drużyna, uwiązując podjezdka przy słupie.

— U Farnowiusa, skąd skoro świt do Lusławic! — odkrzyknął stryj Hermolaus. Pan Maciej skinął głową i znikł w głębi gmachu, szukając sprawiedliwości.

## Rozdział drugi

### Wenecja

Południe dochodziło, gdy dojeżdżali samoczwart. Sędziwy Franowski, z brodą patriarszą do pasa, jechał obok Sebastiana, którego szczególnie nawidził, pod upartą zaworą milczenia zgadując w odludku duszę zawziętą, gorącą, swojej podobną. Sam wielki ojciec Socyn pomknął ku Lusławicom już poprzedniego dnia, ukryty w wozie z klepką, że to jegomość biskup krakowski śledził za nim wszędzie, a reformaty zakliczyńskie, nad gościńcem siedzące, łąco mogły przejazd jego wypatrzeć i donieść.

Dziedziniec lusławicki zapchany był już gęsto powózkami. O kilka kroków od dworu stała długa, bielona szopa, w której mieściła się szkoła, a opodal zborek drewniany. Sam dwór był rozłożysty, czuwający jak kokosz nad licznymi tulącymi się doń przybudówkami — połową należący do Taszyckich, połową do Błońskich, którzy się z Taszyckiej rodzili. Pan Stanisław Taszycki oczekiwał gości na ganku, przy boku mając małżonkę, Urszulę z Jordanów na Bobrowej, rumianą i pulchną kobiecinę. Para ta cieszyła się w okolicy wielką konsyderacją, wywiódłszy szczęśliwie dwudziestu synów i trzy córki. Być może, iż to ten nadmiar błogosławieństwa Bożego pchnął przed laty małżonków Taszyckich ku herezji: jakoż było bowiem dziesięcinę i meszne plebanowi z tych kilku łańów płacić, tyle gąb mając do wyżywienia? Z teje samej racji zbytniej obfitości progenitury stał się pan Taszycki fundatorem i mecenasem szkoły lusławickiej, obok krakowskiej i pińczowskiej w całej Rzeczypospolitej głośnej, drugimi Atenami polskimi nazywanej. Gdzieżby bowiem mógł marzyć średnio zamożny szlachcic o edukacji dwudziestu synów, których jednak szkoda było chować na parobków, gdy z zacnej krwi pochodzili? Pomyślał, podumał zabiegliwy ojciec i w domu szkołę założył. W kraju pełno było cudzoziemców, znakomitych nauką i wiedzą, gotowych się jąć bakalarstwa za kęs stawy i bezpieczny dach nad głową. Wnet też do świeżo fundowanej lusławickiej szkoły zjechało przednie gremium nauczycielskie, w którym prym trzymali: uczony Marek z Siedmiogrodu i Piotr Statorius recte Stojeński, syn sławnego Pierre'a Statoriusa z Tonneville, który choć Francuz, miłością dla mowy sarmackiej zapalałszy, pierwszą gramatykę języka polskiego ułożył, mowie pospolitej, linguae vernacuae śmiało drzwi szkoły wywalił, na równi ją z łaciną w wykładach swoich stawiając. Ci profesorowie wykładali w szkole lusławickiej fizykę, etykę, teologię (jużci chrystiańską), grekę, hebrajski i łacinę, a osobliwie mowy Cycerona z analizami retorycznymi i logicznymi, w polskim języku wywodzonymi. Zrazu do szkoły uczęszczało jeno czternastu starszych Taszyckich, ośmiu Błońskich i sześciu Jordanów. Gdy jednak zastępnęła w okolicy, rzuciła się do niej szlachta z całego Podgórze, że nigdy mniej setki urwiszów na ławie nie zasiadało. Dziś in gratiam zjazdu miał się odbyć popis uczniów.

W niewielkim zborze wszyscy obradujący zajęli już miejsca na ławach — seniorów Farnowskiego i wielkiego Socyna sadzając na przedzie, tuż przy stole ośmiokątnym, na którym leżała święta księga Ewangelii. Ściany zboru były nagie, skupione, surowe, krzyża nawet pozbawione, gdyż bracia jednobożanie wszelkie uzmysławianie Boga poczytywali za grzech bałwochwalczy. Zbór był już pełen i młody Stanisław Lubieniecki, minister z Tropią, podnosił się raz po raz niecierpliwie, czekając zagajenia obrad. Chudy, wysoki Litwin, Wiszowaty, Socynów zięć, świeżo do społeczności przyjęty, rozglądał się wkoło ciekawie modrymi jak niezabudki oczami. Z zaciętymi twardo wargami siedziała sztywno za nim nieubłagana sekciarka Zofia Błońska z Wielogłowskich, wnuczka starowinki Wajglowej Malcherowcj, żywo palonej przed laty w Krakowie na rozkaz biskupa Gamrata. Pani Urszula Taszycka ocierała pot z krągłej

twarży, niespokojna o wynik popisu, w którym jej pięciu młodszych brało udział. Za Pielszami i Drużyną siedzieli bracia Otwinowscy, Erazm i Piotr z Wojakowej. Porębski z Porąbki, zwany Żydkiem, bo wzorem Szymona Budnego do mozaizmu się skłaniał. Niesobia Kępiński z Rojówki, Jordanowie z Bobowej i Melsztyna i młody Jędrzek Rupniewski z Wielogłów. Z szumem i szurganiem nogami przez szeroko otwarte drzwi zboru gospodarz wprowadził znacznego gościa: pana Ligęzę Mikołaja, kasztelana wiślickiego, starostę sądeckiego. Sarkali nań wprawdzie nieprzejednani starcy, jak Farnowski, iż do braci przystąpiwszy urzędu nie złożył, lecz protekcja jego i pomoc niezmiernie były potrzebne dla zboru. Nie brakło już nikogo. Jeden z dwudziestu Taszyckich, Hieronim, rozdawał obecnym opalone kije, figurujące świece, z którymi powstawszy zaśpiewali chórem:

Niech się morze, jak chce, sroży.  
Niech piasek na brzegi toczy,  
Niech srogością góry trwoży.  
Miasta powodzią moczy...

Porwany słowami pieśni, nieulekły starzec Farnowski potrząsał w górze osmaloną pałką, jak gdyby wyzywając do boju cały świat. Oczy pani Zofii Błońskiej świeciły, gdy wyciągała piskliwym dyszkantem:

Niech się świat burzy, niech miesza.  
Wszystko przepelźnie snadnie:  
Niech się ziemia chwieje, wiesza.  
Niech trzaśnie i przepadnie! —  
Nie bójmy się! Bóg z nami!...

Skończywszy usiedli rozpłomienieni. Hieronimek Taszycki zabrał kije z powrotem do kąta, by nie zawadzały. Czarnooki, urodziwy Piotr Statorius alias Stojeński powstał, zapowiadając umiłowanym w Bogu braciom aktualny porządek zebrania:

— Wpierw budujące ducha niewinne zabawy młodzieży, do nauk pięknie się aplikującej, a to, by umysły nasze stały się proste i jakoby dziecinne — dorzucił z powagą. — Potem spojrzenie na żalną sytuację zboru, a na koniec wybór cnych delegatów na wielki synod chrystiański, w Hoszczy na Rusi zebrać się mający.

Skończył i ręką skinął, by wpuszczono młodzież. Lecz znakomity Faust Socyn kręcił się niespokojnie, targając krótką, spiczastą brodę i rozglądając się trwożliwie wkoło. Wiekowy był i od czasu, gdy go roku Pańskiego 1594 w Krakowie ludzie Ligęzowi na wpół żywego wyrwali z rąk wesołego pana Wiernka z Łososiny, wiecznie o swe życie drżący. Wyciągnięty z zamczystego swego schronienia w grodzie, z lękiem spoglądał w okna zalane słońcem, w drzwi nieobronne, za którymi parskwały konie i śpiewali albo chrapali woźnice. Na prośbę córki jego. Wiszowatej, pan Taszycki zgodził się przenieść zebranie gdzie indziej.

Był za ogrodem wielki staw, na chłopa albo i na więcej głęboki, z wyspą drzewami zarosła pośrodku. Warowny starożytny lamus, na wyspie tej stojący, przemieniono niedawno na tajną drukarnię, gdzie tłoczono w ukryciu Rozmowy o szczerzej znajomości Pana Boga, spisane przez uczonego Stanisława Wiśniowskiego. Na tę wyspę, zwaną Wenecją, umyślił pan Taszycki przeprowadzić gości, by staremu prorokowi nowej wiary dogodzić. Wyszli, więc gremialnie ze zboru, dążąc za gospodarzem cienistymi dróżkami sadu. Obciążone nieźrałym owocem gałęzie tręcały głowy idących. Nad krzakami malin hurczały pszczoły. Z gęstwy drzew i trawy sięgającej

kolan wyszli na zarośnięty rokitną i trzinami brzeg stawu. Na nieruchomej, rzesą porośniętej wodzie białe grzybienie rozkładały niedostępny cud swojej urody. Z mulistego dna sięgając giętkimi wężami łodyg, pokrywały całą przestrzeń gęstą tratwą tęgich liści, że cały staw widział się niby urocza, a zdradziecka łąka. O parę stają od brzegu wyspa płakała wierzbami, kąpiącymi w wodzie zwisające bezwolnie gałęzie. Wierzby te i olchy murem nieprzeniknionym osłaniały lamus, zaledwie szarzejący kamiennymi skarpami w głębokim, zielonym cieniu. Schronienie to było nie lada i nawet biskup krakowski z reformatami zakliczyńskimi nic by tutaj nie działali. Imć pan Rodecki z Turobina, piszący się Turobińczyk, impresor, czyli księgotłok, skoczył w przód małym czółkiem, by miejsce nieco ochędożyć i tłoki odsunąć. Starszyzna siadała ostrożnie w dwie krypy.

— Wenecja — uśmiechnął się Socyn. Przed przygasłymi oczami zamigotała wywołana czarem słowa, jak wid tęczowy. Italia.

Krypa odbiła od brzegu, z szelestem ocierając się o jęklive trzciny. Klapiąc głośno, podrywały się kaczkę cyrunki. Gdy dopływali do wyspy, doleciał ich stukot podwójny: księgotłoków w drukarni i krasych dzieciółów, kujących zabiegliwie w drzewa...

W zasnutą pajęczynami Wenecji ciemno było, ciasno i zatęchłe, lecz Socynus rozjaśnił oblicze. Poczł się bezpieczny, bezpieczniejszy nawet niż w swym mieszkaniu sądeckim. Obciągnął kaftan, siadł uroczyście na przewiezionym z dworu krześle poręczowym i objął zwierzchność zebrania Długoletni jego przeciwnik, Farnowski, uśmiechał się nieco złośliwie w głębi swej patriarszej brody. Na znak dany przez Piotra Statoriusa weszła parami młodzież, czysto przyodziana, a oddawszy głęboki ukłon seniorom, rozdzieliła się na dwa obozy. Popisy miały się zacząć od dysput. Strona lewa, „papieznicka”, recytowała zarzuty strasznego jezuitę księdzę Skargi i mniej groźnego księdzę Powodowskiego, z dzieł tychże „Zawstydzenie arianów” oraz „Wędzidło na sprośne błędy arianów” wyjęte; strona prawa, chrystiańska, odpowiadała nieodbitie i zwycięsko argumentami z dzieł Socyna, Czechowica, Szymona Budnego i nieboszczyka Jana Niemojewskiego, umiejętnie przez Statoriusa wybranymi.

— Papieznicy powiadają: Na początku było Słowo. Słowo tłumaczy się z greckiego: Logos. W nieuctwie swym nie poznali, że Logos jest jeno błędnie przepisany Elohim hebrajskim i oznacza Siły Stworzenia. Tedy prawdziwa Ewangelia świętego Jana brzmi: „Na początku były Siły, a Siły były u Boga, a Bóg był Siłą Stworzenia...” Tak pojmovali istotę Bóstwa jeszcze Fenikowie przedabramowi... — recytował jak z nut Kacperek Wierzbęta młodszy. Mówiąc strzelał ciekawie oczami po drukarni, do której żaden z chłopców wstępu dotąd nie miał. Tajemne zakurzone wnętrze, odsunięte tłoki srogą sprawiały dywersję. Urwisze poszturchiwali się i przepychali, klepiąc bezmyślnie a prędko:

— Trójcy Świętej nauka przeciwna jest rozumowi... Duch Święty to Siła Boża. Wyraźnie o tym mówi Pismo Święte... Chrystus Pan, w przedwieczności z Ojca zrodzony, równy Mu, chociaż podległy. Zbawicielem naszym jest, Odkupicielem...

Stary Farnowski przytakiwał bezwiednie ruchem głowy zdaniom, w których streszczała się jego nauka, treść całego jego życia. Wpatrzony w mówiących chłopców, nie spostrzegł wyrazu krytycznego zastrzeżenia na twarzach niemałej większości zebrania. W zwartym dotychczas i mocnym zborze sądeckim zaznaczał się od niejakiego czasu rozłam. Większość oficjalna należała jeszcze wprawdzie do dwubożan, czyli dyteistów, w myśli nauki Czechowica, Farnowskiego i Niemojewskiego, lecz nowy prąd unitariański, szerzony przez Socyna, rozpiętał już węgły zboru. Unitarianie przeczyli Bóstwu Chrystusa uznając w nim jeno człowieka doskonałego, odrzucali zarówno Sąd Ostateczny, jak stworzenie świata, nawet nieśmiertelność duszy...

— Złu się złem nie przeciwstawiać, poddaństwa nie cierpieć, miecza ni urzędu nie

dzierżyć, jako Pan nasz Jezus Chrystus, Bóg i Człowiek w Ewangelii świętej nieskrycie nakazuje — ciągnęli chłopcy. Sarkastyczny uśmiech skrzywił twarz Socyna.

— „Z jednego wyszły, jako pokazują kwity: Trój-Bóg, dwu-Chrystus, też człowiek sowity” — mruknął półgłosem pod adresem Farnowskiego.

Stary reformator spleonął, otworzył usta do porywczej odpowiedzi, gotów podnieść rękawicę, lecz wzgląd na obecność młodzieży pohamował go w ostatniej chwili. Udał, że bluźnierstwa nie słyszy, całą uwagę skupiając znów na dysputantach. Lecz między obozami tychże, zbyt ściśnionymi dla ciasnoty miejsca, jęły wybuchać ciche, jątrzące przymówki. Od Michałka Nawojowskiego ochłapem papieżnickim przezwany Waluś Pieniążek z Krużlowej, księdza Skragi wywody cytujący, zapragnął iście „zawstydzić arianów”. Gdy przyszła nań kolej, wyrecytował swą „kwestię” bez błędu, kończąc niespodziewanie słowy.

— Święci Pańscy jak wielkie cuda czynili drzewiej i ninie! Czemuż żaden z was ni kobyły chromej nie uleczył?

Piotr Statorius zmarszczył gniewnie czarne brwi. Ten zarzut nie wchodził w program. Nie było nań odpowiedzi. Michałek Nawojowski, vel Czechowic, stał skonfundowany... Waluś Pieniążek, vel Skarga, paśł oczy jego porażką. Przykre milczenie przerwało nagłe kołatanie do drzwi.

— Wasza Miłość! — wołał stojący na straży pacholek. — Jegomość pan Krzesz z Męciny pilno chcą się tu przeprawić!

— Zdrada! — krzyknęli niektórzy. — Krzesz zaprzędany katolik.

— Z pocztem zjechał?

— Ni, sam stoi i krzyka na brzegu.

— Samojeden?

— Samojeden.

Pan Taszycki wyszedł z lamusa. Na przeciwnym brzegu stał wysoki szlachcic w barwistym żupanie.

— Do kroćset piorunów! — krzyczał. — Czólno dawajcie! Na wiarę waszą przechodzę!

— Na naszą wiarę? — odkrzyknął pan Taszycki ze zdumieniem.

— Po jakiemu mam mówić do waści? Do jednobożan, nurków, socynianów, antytrynitariuszy czy jak was zowią, u diabła, przystaję, jeno prędko!

— Spuść czólno i jedź do pana — rzekł lusławicki dziedzic do pacholka. — Jeno gdyby się jakie ludzie wychynęły z krzów zawracaj!

Czólno pomknęło chyżo. Pan Krzesz wskoczył doń, aż zachybotowało gwałtownie, bo człek był nie ułomek. Pacholek odbił się żerdzią od brzegu i wracał przeoraną poprzednio wśród grzybieni ścieżką.

— Stój! — krzyknął pan Taszycki, gdy byli na środku. — Parol szlachecki dajesz waść, że zdrady ku nam nie knujesz?

— Nie nudź, sąsiad. Ponurzać się mogę zaraz, tu w stawie... jeśli niegłęboko, bom nie ryba i pływać nie umiem.

Przybyli do brzegu. Pan Taszycki submitował się za zbytnią swą ostrożność, spowodowaną obecnością ekstrordynaryjnych gości, których lękał się na szwank narazić.

— To może sam Socynus jest?

— Obecny, owszem.

Pan Krzesz parsknął końskim śmiechem i trzepnął się radośnie po biodrach, aż pan Taszycki pomyślał ze zdumieniem, iż męciniemu panu rozum się pomieszał. Wwiódł go jednak do lamusa. Pan Krzesz spoważniał, skłonił się przystojnie i rzekł:

— Jako prozelita, adept i neofita przychodzę w grono waszmościów. O ponurzenie proszę

i rychle wydelegowanie ministra, ktoreń by kościł męciński objał.

Radosne zdziwienie obecnych wybuchło wrzawą okrzyków, bo częściej zdarzało się teraz, że ludzie wychodzili ze zboru, niż szli do niego. Owacyjnie aklamowano zatem pana Krzeszą. Sam Faust Socyn uściskał czule dużego szlachcica.

— Opowiedz nam teraz, najmilszy bracie — rzekł — motywa i walki wewnętrzne, które cię o Prawdzie, w jedynym naszym zborze konserwowanej, przekonały?

— Motywa jasne i krótkie — odparł z prostotą pan Krzesz. — Pleban mój, ksiądz Mateusz Chełmski, z którym w dobrym sąsiedztwie dwadzieścia lat żyłem, do sądu mnie pozwał o dwa złote polskie i dwa korce owsa z łońskiego roku należne... Mnie, Krzeszą, pozwał o dwa złote polskie i dwa korce owsa! Ostrzegałem po dobroci, gdy jechał do grodu, że jeśli zamiaru nie poniecha, zbór miast kościoła zastanie. On przedsię pojechał i skargę, jako słyszę, złożył. Na koń siadłszy, co rychlej tu przybieżałem, by zdążyć, zanim powróci.

Farnowski powstał z hałasem.

— Nie godzi się dla takich motywów wstępować do zboru ani my możemy przyjmować — rzekł stanowczym głosem.

— Dlaczego? — żywo oponował Socyn. — Każda droga dobra, gdy do prawdziwego źródła i poznania Wieczystego prowadzi. Powody przytoczone przez pana Krzesza są to: szlachecka indygnacja i abominacja na wyrachowanie i chciwość sług antychrytusowych... Któż im nie przykłaśnie? Tandem, jako głowa zboru sądeckiego, deklaruje, iż przyjmujemy waści, miły panie bracie, do naszej gminy chrystiańskiej...

--- Jeśli to nie czyni dyferencji --- rzekł zapalczywie pan Krzesz --- rad bym ponurzenie i inne praktyki odłożyć na później, ninie co skorzej jadąc kościół okupować, bo proboszcz lada godzina powróci...

--- Słusznie waść mówisz --- przyznał skwapliwie patriarcha. --- Mości panowie, którego z braci ministrów wydelegujemy?

Zgłosiło się wnet dwóch: Warzęcha Stanisław i Markowicz Jan. Socynus wybrał pierwszego, jako że prezencję miał lepszą i głos donośniejszy.

--- Dostaniesz waść chatę, opał pastwisko dla krów, cztery zagony pod kapustę i ćwierć łana --- wyliczał żywo pan Krzesz. --- Za czym przyczynię jeszcze i i to wszystko, com księdzu akuratnie wypłacał... Może kto łaska z waszmościów ruszy z nami dla asysty, bo mój pleban nie baba i bez walki się nie obejdzie...

--- Ja jadę! --- krzyknął pan Maciej rad, że pośrednio pomści swoją krzywdę.

--- Ja także! --- zawołał Jedrek Rupniewski ochoczo.

--- Ja! Ja! Ja! --- porwało się ławą z dziesięciu Taszyckich. Za nimi ruszyli inni. Obrady odłożono do dnia następnego.

Faust Socyn, stojąc na ławie, błogosławił idących, rozgrzeszając z góry, gdyby zmuszeni byli gwałtu zażyć.

--- Nie godzi się... nie godzi się!... A co pospulstwo powie? --- biadał bezradnie Farnowski.

--- Co tam pospółstwo! Wszystko mi jedno! Cuitus regio, eius religio! --- machnął ręką pan Krzesz wychodząc z kompanią.

--- Nie godzi się!... Nie godzi się! --- powtarzał z żalem starzec.

Nie godzi się --- powtórzył posepnie Sebastian.

Nikt nie zwracał na ich głosy uwagi. Stryj Hermolaus usmiechał się po swojemu, pół dobrotliwie, pół drwiąco. Napełniona ochotnikami krypa już odbijała od brzegu.

## Rozdział trzeci

### Na Synodzie

Nie wiodło się Sądeczanom z delegatami do Hoszczy. Wybrani *unanimiter* starosta Ligęza i Jordan z Melsztyna odrzekli się tego zaszczytu, obowiązkami rozlicznymi się zasłaniając...

--- Nie chcą *publice* wiarą naszą się kompromitować --- mówił otwarcie a gorzko stary Farnowski.

Wybrano zatem panów Kępińskiego z Rojówki i Wierzbietę z Przyszowej. Tych znów żony nie puszczały imaginując sobie, że byłeś za Przemyśl wyjrzał, już cię Tatarzyn na arkan ułapi. Takie bowiem właśnie pojęcie o kresach żywili spokojnie za wzgórzami, za lasami siedzący górale. Gdy ułagodzone lamenta niewieście, niebo zesłało nowe, znaczniejsze impedimenta. Po suszy dokuczliwej, uparcie trwającej --- choć miejscami, starym obyczajem, baby już moczo w rzece, jak konopie, byle deszcz sprowadzić --- przyszły nagle straszliwe ulewy i burze. Góry burzyły się od mgieł, a trzęsły od gromów. Zabłąkana skądś chmura wielka, obła, ciemnosina, zaczepiła ciężkimi trzewiami o szczyt Modynia i stanęła nieruchomo, hurkocząc nieustannymi grzmotami i roztapiając się w potokach dżdżu, od których omroczał świat. Nagła górską powódź zalała folwarki, łągi i dojrzewające łąny. Wraz też panowie Wierzbietą i Kępiński orzekli, że nie pojedą ostawiając substancję w takich terminach. Któż by im się dziwił? Gdy groziło, że nikt z sądeckiej gminy nie pojedzie, starszyzna wybrała nieoczekiwanie Jędrka Rupniewskiego i Sebastiana Pielsza. Wprawdzie pierwszy miał mleko pod nosem miast wąsów, drugi był mruk i odludek, lecz że obaj wysoko w górach siedzieli, powódź im nic nie wadziła. Liczono też, że młodziankami będąc nie ośmielą się decyzji seniorów sprzeciwiać. Były jeszcze inne powody. Przemądry patriarcha Socyn uśmiechał się znacząco.

--- Żalą się tamte gminy, że zbór na brak młodych sił słabuje, że młodzież od nas ucieka -- tłumaczył. --- Niechże obaczą, że jest unas owszem mnogość młodych, chciwie się do spraw dusznych garnących...

Farnowski wyjątkowo jednego był z Socynem zdania i wybór delegatów pochwał z racji szczególnego swego do Sebastiana afektu.

--- Jedź, synu, jedź --- mówił w zamyśleniu --- a pozdrów Czechowica ode mnie... Sierota on taki sam jak i ja, zgoła bezpotrzebnie na świecie się płatający. Na dwóch krańcach Rzeczypospolitej siedzimy, oba jednakowo zbyteczni...

--- Jeno zbierajcie się zaraz w drogę, bo już późno --- upominał przerywając wynurzenia starca Socyn.

Młodzi delegaci, skłoniwszy się głęboko, wyszli oszołomieni. Niespodziana decyzja spadła na ich głowy znienacka, napełniając Sebastiana cichą rozpaczą, Jędrka zaś głośnie radością. Chłop nie mógł strzymać się w miejscu z uciechy. Jechać tyli kawał świata! Zobaczyć tyle nieznanych ludzi, grodów, krain!

Dążąc tanecznym krokiem obok posepniejszego niż zazwyczaj Sebastiana, błogosławił oberwanie się chmury na Modyniu, powódź i barak determinacji poprzednio obranych delegatów.

Właśnie niedawno nasłuchiwał się do zbytku opowiadań świeżo przybyłego z Podola młodego Jordana. Nie z Jordanów melsztńskich ni bobowskich, lecz z krewniaków ich, na Tęgorozy siedzących. Ci nie byli chrystianami. Ojciec, wnuk owego, który w pełnej zbroi żupy bocheńskie przeskoczył, trzymał urząd stolnika, obaj synowie służyli w chorągwiach pancernych. Gdy zjeżdżali do rodziny, młodzi Taszyccy, on, Jedrek, i Pietrek Pielsz, Sebastianów brat, wymykali się starszym kryjomo, by posłuchać nęcących opowiadań przybyszów. Z rozwartymi głębami słuchali o dobywaniu zamków w Inflanciech lub o ukraińskich tańcach z Tatarami. W rozgorzałych oczach powstawał świat inny, kuszący, na cztery spusty przez surową wiarę ojców zawarty --- a tym bardziej kuszący, że zawarty.

Choć obaj delegaci ruszyli pośpiesznie, nie zdołali jednak przyjechać na czas. Wielki synod wyznawców Zboru Małego, czyli chrystiańskiego, do Hoszczy na Rusi zwołany, zasiadał już od dwu niedziel, gdy przybyli. Z góry ośmiuset delegatów zjechało z całej Rzeczypospolitej, głównie jednak z Litwy i Rusi, w których to ziemiach wiara ariańska silnie się wówczas krzewiła. Porwane prądem ogólnym półdzikie dusze kresowe rzuciły precz ciemnotę ciasną prawosławia, niby przez okno wybite w zatęchłej bokówce wyzierając na wolny świat myśli. Zapadłe w bezmiarze rozsuniętych łąk dwory, z dala od traktów i szlaków leżące, w których latami nie zajrzał nikt obcy, a bliźniaczo podobne sobie pokolenia następowały jedno po drugim bez zmiany --- w nagłym porywie otwierały na ścieżaj wrota nowej wierze. Gorączkowo pracowały drukarnie w Łosku i Lubczy. Po wzgórzach wznosiły się zbory i wieże kamienne, graniaste.

Zaledwie Sebastian i Jedrek zdążyli ogarnąć się, ochędożyć i przekąsić nieco, marszałek dworu panów Hojskich poprowadził ich na salę, w której zasiadał synod. Wielka była i piękna, ze stropem przez Włochów cudnie malowanym i lustrzanymi oknami. Nie trza tu było kryć się w zasnutym pajęczynami lamusie, gdyż stojące w pogotowiu cztery chorągwie księcia Ostrońskiego starczały za mur warowny.

Opóźnieni delegaci zatrzymali się przy drzwiach, zmieszani świetnością miejsca i spłoszeni, lecz już dostrzegł ich gospodarz, pan Roman Hojski, kasztelan kijowski, starosta włodziemski i owrucki, i pchnął ku przybyłym synowca swego Aleksandra, by im uczciwość okazał. Prowadzeni przez młodego pana, niezdarnie stąpając po śliskiej jak tafla lodu posadzce, z ulgą zasiedli na wskazanych miejscach, radzi, że nikt na nich nie zwraca uwagi. Głośna dysputa toczyła się dalej. Ochłonawszy z wrażenia rozglądali się dokoła uważnie. Pośrodku sali stał piękny marmurowy stół ośmiokątny, z oprawną w złotą skórę księgą Ewangelii. Wokoło długimi rzędami siedzieli co najprzedniejsi luminarze zboru. Siwy jak gołąb Marcin Czechowicz, zwany przez katolików papieżem nurzańskim, królował pośrodku. Pobok Adam Korczak Gorayski, który jeden z pierwszych zwolnił wszystkich swych poddanych, Gosławski Okszyk z Bebelna, Moskorzewski Hieronim, co magnacką fortunę swą rozdał i pracą na chleb zarabiał, Orzechowski Bogusław Rogala, dziedzic głośnych w dziejach zboru Piastów pod Lublinem, Sieniński i Wojdowski, uczeni założyciele Rakowa, Paweł i Piotr Sieniutowie z Lachowie, Wasyl Babiński z sąsiedniego Babina, zajadły Jagodziński, dwaj Czaplicowicze, Szpanowscy i wielu innych. Dzieliły ich i waśniły różnice dogmatyczne, rozbijające zbor na niezliczone odłamy, ale łączyła jedna etyka. Wszyscy oni już przed laty z przedziwną jednomyślnością potępiali surowo poddaństwo, konfesaty korporalne, czyli męki, karę miecza, mężobójstwo, gwałt sumień i nierówności społeczne. Nie bacząc na prześladowania i szyderstwa, przy zasadach tych wytrwali. Siedzieli



ninie w krąg marmurowego stołu, chyląc głowy senatorskie, mądre, zatopione w rozważaniu tajnych, wewnętrznych nakazów — głowy osiwiłe w poszukiwaniu tajemnicy Boga. Odmiennością lic i stroju wyróżniali się spośród nich cudzoziemcy: uczony Osterode z Goslaru, Smalcjusz. Voelkel, lekarz Salomon Paludius i przesądny Sandius. Uczeni polscy: Giselius z Kisielina, Daniel Duroski, Krzysztof Broński, autor przesławnej Apokrysis, imieniem Filareta podpisanej, Niegalewski, tłumacz Pisma Świętego na ruski, i Teofil Młynarz.

Sebastian ze czcią wodził oczami po zgromadzeniu. Siedzący pobok młody Olek Hojski, synowiec gospodarza, objaśniał teraz półgłosem, korzystając z przerwy w dyspacie:

— Na sam koniec przybyliście, waszmościowie... Jutro zamykamy obrady... Kongres wypadł, trza wyznać, niefortunnie. Do nijakiej zgody nie doszło. Dyskusje były zawzięte i srodze ciekawe, przecież wynik mizerny. Jak na początku zasiedli każdy z osobna: dwubożanie, non-adoranci, budneiści, chiliaści, swego tysiącletniego rajy wypatrujący, rakowianie — tak i siedzą, ręki sobie umykając. Ba, większa jeszcze animozja między nimi, niżli była na początku. By jeno dysputę zacząć, wilkiem na się patrzają, bluźnierstwo wzajem sobie zarzucają... Waszmościowie zaś które odłamy sądeckie reprezentujecie: farnowian czy socynianów?

— Delegatami zboru chrystiańskiego jesteśmy, a o różnicach tych zgoła nie wiemy — odparł chmurnie Sebastian.

— Zazdrości godna powściągliwość! Tu każdy swoje twierdzenia wysuwa, ni na cal nie chce ustąpić...

— A nad czym dziś będą radzić? — spytał ciekawie Rupniewski.

— Nad kwestią dość delikatną, wszakże że dogmatów bezpośrednio nie tykającą, łatwo się pewno ugodzą. Zali godzi się Chrystianom urzędy trzymać i miecz nosić...

— Nie może być! — zdumiał się Sebastian. — Toć artykuły rakowskie potępiły a priori każdego, co by się poważył materię podobną raz jeszcze przed forum wywlekać!

— Od czasów artykułów rakowskich siła się zmieniło...

Urwał, bo kasztelan kijowski potrząsnął kołatką na znak, że przerwa skończona.

— Gwoli licznym dezyderatom — mówił pan kasztelan — przedkładamy aktualnie deliberacjom sprawę dzierżenia uczciwych urzędów, potrzeby rycerskiej i zażycia miecza w dobrej sprawie — łaskawych a miłych nam braci prosząc o złożenie wotów...

Usiadł, a wszystkie oczy zwróciły się na Czechowica, który nie wstając z miejsca, rzekł spokojnie:

— Kto chce żyć według Ewangelii świętej, nie śmie na urzędzie płatnym siedzieć ani krwie bliźniej rozlewać, ani zbrojnym oponentem stawać... Nie ma o czym i gadać, boć to proste. Bóg nam, imo inne przedniejsze narody, użyczyć raczył tak wielkie i zacne rzeczy w poznaniu prawd Jego, jakich od apostołskich czasów nie użyczał ani oznajmiał nikomu, a już nam samym stargać to i sponiewierać pilno... Ot co!

W głosie starca drżał żal głęboki i salę na moment zaległo milczenie. Lecz pan Marcin Czaplíc ze Szpanowa młodszy potrząsnął głową.

— Nie jestem takiego bezpieczeństwa o swoim dowcipie — zaczął — bym się spodziewać miał, iż racje moje przekonają waszmościów... Przedsię powiem jedną gadkę: Był w sąsiedztwie moim człek dobry, rzetelny chrystianin. Ciągnęli go na starostę grodzkiego, odmówił z przyczyny wiary. Starostą ostał inny. Sądził Bóg wie po jakimu, na męki o byle co posyłając, a od bogatych okup biorąc. Przychodziły niebożęta żałośliwe do mego sąsiada: Byś waś urząd przyjął, nie byłoby tyle krzywdy. — Sam on płakał nad nimi. I słusznie. niesprawiedliwy jest zakaz. Nie dla wygodzenia ni rozkoszy dźwiga się urzędy, jeno dla służby popolitej, której uchylać się nie lza...

— Szczupła jest granica między urzędami bono publico a własnej kieszeni i wywyższeniu

służącymi — zauważył pan Okszy z Bebelna.

— Do kogo waść to mówisz? — zaczerwienił się z gniewem Czaplic.

— Generalnie, generalnie, nie alteruj się waść... Omnis res dwa ma oblicza... Ukazujesz nam jedno; słuszna, byśmy studiose et impartialiter rozpatrzyli drugie... Obaczym, zali profita większe wypadną dla zboru niż straty...

— Bez łaciny! — syknął ktoś. — Po naszymu, nie po szkolsku!...

— Po naszymu — zgodził się pan Okszy. — Konkluzji to nie odmieni...

Nie opodał Sądeczan, nie zauważony przez nich dotychczas, podniósł się młodzik bezwąsy, otrok nieledwie, chudy i szpetnawy. Skłonił się nisko przed audytorium, a nie bacząc na zgorzone spojrzenia starszych, którzy wszak jeszcze zdania swego nie wypowiedzieli — zaczął:

— Zaprawdę nigdzie chyba na świecie, jeno tu, w zborze chrystiańskim, znajdziesz taką pokorę i tkliwość ojcowską, by niedorostkom, jako ja, dozwalano wobec seniorów głoś nierozumny zabierać...

— Osobliwie, gdy niedorostki o pozwolenstwo nie proszą — mruknął niechętnie Gorayski.

— Jeśli z niepodobnej tej łaski korzystam — ciągnął mówca, bynajmniej nie konfundowany — to nie z przepychu jakowego lub zadufałości, jeno jako korny syn do miłych ojców przemawiający. Tu, dzięki wspianiemu dobrodziejowi memu (skłonił się nisko w stronę kasztelana kijowskiego), znalazłem przystań bezpieczną po długiej, żalostnej tułaczce. Tum duszę starganą szukaniem prawdy ukoił. Tu żyć i umierać pragnę, dla zboru działając... A jako syn kochający i czci pełen, lecz niedouczony, ośmielam się zapytać najpokorniej: czemu to chrystianinowi zabroniony ma być miecz? Czemu zakazana wolność walki i urzędu? Godziż się sprawiedliwych odsuwać od sądów, by je sprawowali źli, jak to słusznie przed chwilą wywiódł jegomość pan Czaplic? Zali Chrystus Pan nie wygnał przemocą przekupniów ze świątyni? Zali setnikowi proszącemu rzekł: złóż wpierrw miecz i urząd swój? Nigdzie w Ewangelii świętej nie ma powiedziane, by brzydził się ludem rycerskim... Owszem, Piotr Apostoł nosił miecz i obciął Malhusowemu słudze ucho... W sprawiedliwej walce walczyć widzi się rzeczą bożą...

Urwał, bystryimi oczami wodząc po zebranych, Głos jego, wbrew kilkakrotnym zapewnieniom o pokorze, był władczy, ostry. Długie białe palce plątały się koło rzemiennego paska, ściskającego wytartą szarą katankę, jak gdyby niecierpliwie znaleźć tam główicę miecza.

--- Kto zacz? --- zapytał szeptem Rupniewski młodego Hojskiego.

--- Czerniec wędrowny, moskiewski, którego Jegomość przychołubili, wielkie w nim dyspozycje upatrując. Gryska go zowią czy jak tam...

--- Czerniec? --- powtórzył Rupniewski, zdziwiony.

--- Słusznie dziwujesz się waść, bo jużci na mnicha nie patrzy i po polsku, jak każdy z nas gada... Za mieczem gardłuje, bo jeno do konia a szabli się rwie...Niespokojny to ptak i zawdy Jegomości powiadam, że jeno zamętu przyczyni... Ja bym go odesłał do monasteru z powrotem.

Lecz orację młodego moskwicina poparł niespodziewanie nie byle powagą, Konstanty Wasyli książę Ostrogski. Wstał odrzucając cudną delię. Zabłysnął altembasowy żupan; potężna broda, która gdy siedział, spoczywała na kolanach, na podestanej rozmyślnie złocistej płachcie, spłynęła poniżej bioder. Nie należał on do zboru, lecz przyjacielem był i protektorem, córkę za Kiszka, gorącym chrystianinem, mając.

— Młododj bałakaje, witer wije, sobaka łaje — rzekł sentencjonalnie — wszakże, mili waszmościowie, i w słowach młodego ventas fundamentalna się zdarzy... Co rzekł ten gołowas, gada cała młodzież. Spójrzcie, zacni bracia, na nasze zebranie: same staruchy zasiadły, młodych na palcach policzysz... Mówiłem nieraz z młodymi, gadają: Chcemy miecza ostrego, nie szabli

drewnianej; chcemy uczciwie zasiadać na zacnych urządach! Chcemy żyć!... Ot co! Ot co oddała od zboru, bezpłodnym go uczyni, jałowym... Nema szczo bohaćko howoryty, tolko wybiraty: ili wiz, ili perewiz... Rad bym w interesie zboru widział uchylenie surowych uchwał rakowskich...

--- Silnie zewsząd nastają na zbór — podjął ośmielony przemówieniem księcia Andrzej Wojdowski — powiadają jeszcze gorszy ucisk. Trza się bronić... bez mała dziesiątek lat temu rozwalono Bróg w Krakowie, sam ksiądz Skarga się zatrwożył, a dziś dnia nie ma bez krzywdy podobnej i nikt się o to nie ujmie... Na pohybel nas wydano. Przepadniem nie broniąc się sami...

--- Lepiej przepaść niż zasadnicze fundamenta wiary zmienić...

— To nie zmiana, jeno poprawa... Wspomnijcie, bracia, gdyśmy trzy lata temu radzili, a Tatarzy podczas wpadły pode Lwów. Lament panienek hańbionych, dziełek mordowanych aż ku nam dochodził... Jakże luto było zdzierżyć! Na pomoc nie bieżć! Dziw, że wstyd wówczas oczu nam nie wyżał.

--- Znajdź waść granicę między walką dobrą a złą — westchnął Moskorzewski — znajdź panaceum na poddaństwo, na jeńców branie, na krzywdy nieznośne wojenne...

--- Sumienie to jasno powiada...

--- Sumienie sumieniu nierówne... --- Korol protiwn nam, a wyzuwity hirsze szczechunów... Bez rużja chot' propadaj! — biadał Niegalewski.

--- Oj, to prawda... Jezuity! — sarknął milczący dotychczas uczonego teolog Smalcjusz. — Osobliwie ten Skarga przekłety! Za całe piekło wystarczy! Nie dziw, bo są wieści, że charakternikiem jest, czarami na swoją wolę przyłudzającym każdego...

--- Nie może być! Skarga charakternik?!

--- Zali inaczej mógłby tyle zgubnych konwersji na papieżnictwo dokonać? Nie przyrodzona to rzecz...

Stary Marcin Czechowic słuchał dysputy w milczeniu zdanie swoje wyraził na początku i zagłębiwszy w krzesło kiwał jeno głową z gorzką rezygnacją. Całe życie wespół z Niemojewskim, z Farnowskim walczył przeciw wygodnym ustępstwom Socyna, broniąc nieskazitelności życia według Ewangelii. A oto, obejrzawszy się jakoby od wrót śmierci, u schyłku swych dni, widział się zwyciężonym i pobitym. Nie przez Socyna — przez życie, życie!... Garstka wiernych Prawdzie bojowników już wymiera, dopala się niby stos z wieczora, rozłożony o świtanie. Młodzi nie przyjdą na surową służbę Bożą. Wybierać trza — słusznie Ostrogski powiedział, wybierać. Chcemy żyć! — wołają... Nic tego okrzyku nie zgłuszy... Wybierać: albo zginąć, albo zaprzeć samych siebie. Nieuniknionym łańcuchem za jednym ustępstwem pójdzie drugie, trzecie... Kto chce być rycerzem, nie może zachować ubóstwa. Kto nie zachowuje twardego prawa ubóstwa, musi mieć poddanych... Wolej zginąć! — pomyślał, lecz milczał dalej, nie chcąc bezużytecznie zakazować. Po co? Odbiegłszy myślą daleko od sali, zadumał się naraz głęboko, dlaczego przed czterystu laty syn sukiennika z Asyżu potrafił wcielić w życie tenże sam ideał życia bez kompromisów, według przykazań Chrystusa, i dzieło jego przetrwało i trwa po dziś dzień? Wszakże oni, Bracia Polscy, zabrali się do budowy z nierównie większym zasobem nauki i doświadczenia niżli tamten półszaleniec. I swobodniejszymi byli zrzuciwszy ciężką supremację Rzymu, niezwiązani w poczynaniach swoich... Dlaczego zatem? Dlaczego? Wyprana wiekiem z pychy, przeto bystra i polotna myśl starca poszybowała daleko, głęboko, odważnym rzutem sięgając materii nigdy dotychczas rewizji nie poddawanych — aż oto wśród gwarne go zgromadzenia współwyznawców, lecz setkami mil od nich odległy, sędziwy papież nurzański, wróg zacięty Rzymu, ugiął się w duszy przed pokorą Biedaczyny.

A w ślad za tym, przeorałszy chyżo myślą dalsze jeszcze, nowe szlaki, stanął olśniony, po raz pierwszy życiu, przedziwną a prostą mądrością znienawidzonego Kościoła, który ukazując

duszą najwyższą, niemożliwą, zda się, do osiągnięcia wyżyny, zadowala się jednak również groszem wdowim tego, co zwykle, małe dusze dać mogą...

Wokoło wrzała dysputa. Potępiał surowo wniosek Maskorzewski, zaś popierali Szpanowscy, Niegalewski i rozważny Wojdowski.

Dygocząc z wewnętrznej nieśmiałości Sebastian Pielsz powstał zabierając głos. Upřednio namawiał długo Rupniewskiego, by to uczynił. Ten jednak pozostał głuchy na wezwanie. Sprawa i tak była przesądzona, bo ogromna większość opowiedziała się już za wnioskiem — zresztą w duszy chętnie do owej większości należał. Więc Sebastian, dzikus i niemowa, osądził, że uczciwie nakazuje mu wyrazić swe zdanie, skoro go delegatem uczyniono. Inaczej — jakżeby spojrzął w oczy Farnowskiemu? Musi zaprotestować, choć sprawa przegrana, choć z pewnością nikt słów jego i słuchać nie będzie. Zmógł się, zacisnął pięści, jak gdyby miażdżył w nich własną nieśmiałość, i wstał.

--- Darujcie, waszmościowie, moją zadufalość — zacinając się i ciągnąc z góralska. — Z Sądeczynny przybywszy, rzec mnie przymusza sumienie... Dyć wniosek to niepościwy... Biada nam, że takie wota roztrząsamy... Usuniesz cegłę węgielną — zawali się cały dom... cały dom. Nie pójdzie to na dobre, nie pójdzie... Chrystianin przy mieczu i urzędzie nie będzie chrystianinem. Abo... albo lepiej od razu dźwierze za bywszym zborom zawrzcę, a przezwać się inaczej... Bo to już nie ten, co był; nie ten... Tom chciał rzec jako delegat...

Usiadł oddychając ciężko i ocierając pot kroplisty z czoła. Wysłuchano dość uważnie jego rzeczy, lecz nie replikował nikt. Choć sam sobie wydawał się okrutnie śmieszny (on i oracja!), rad był, że wypowiedział swe zdanie.

Marszałek synodu Hojski zastukał kołatką, oznajmiając przyjęcie wniosku. Budnieiści tryumfowali głośno, przyszło na ich zdanie. Kilku przeciwników zgłosiło *votum separatum*. Sebastian chciał iść za nimi, lecz wstrzymał go żywo Rupniewski.

— Daj spokój; nie mamy upoważnienia na separacyjne wota... Pomnij, że Socyn zalecał do powszechności należeć...

Z zalem pozostał w miejscu nachmurzony.

W czarnym połyskliwym kaftanie i śnieżnej, kosztownej kryzie zażywny Niemiec, Osterode z Goslaru, przepychał się przez pełną wrzawy salę ku nim.

— Waszmościowie z Sądeczynny — zaczął witając uprzejmie. — Byłem tam przed ośmiu laty. Piękny kraj... Len przedni mógłby się rodzić... Namawiałem gorąco do tej uprawy, eksperycją moją się świadcząc. Zali skorzystano z niej?

Sebastian zmieszał się i wyznał, że nie widział, by kto siewał len inaczej niżli na babskie potrzeby.

— U was tak zawsze — rzekł zgorzony Osterode. — W Sądeczynnie (jużci w dole, nad rzeką) produkować można płótna równe holenderskim. Sam widziałem... Len długi, miętki, równy... Bogactwo by stąd spłynęło nie lada, wy zaś wolicie paść tam mizerne skopy, z których ni wełny, ni mięsa...

Sebastian zbyt był strapiony wynikiem obrad, by zwracać uwagę na jego gadanie, ale Rupniewski zainteresował się mocno, wypytyjąc Niemca o warunki uprawy. Osterode się rozgadał, prawiąc zdumionemu chłopcu dziwy o ukochanej przez się drugiej swojej ojczyźnie, Holandii, o gruntach morzu przeciwnemu wydartych, tak lichych, że kmieć sarmacki zdechłby wnet z głodu, na których wszakże rozpościera się śliczny ogród, pełen kwiatów i warzyw. Opisywał z lubością nadobne krokusy, tulipany i hiacynty oczy rwące, niwy konopi i lnu. Rozgadali się tak, że ani spostrzegli, jak zaczęto opuszczać salę, dość już mroczną. Kasztelan kijowski zapowiedział na następny dzień reasumpcję uchwał synodu i uroczyste zakończenie obrad.

Młody Hojski prowadził ku Sądeczanom tęgiego szlachcica o krotochwilnym spojrzeniu.

— Jegomość pan Achacy Rudawski, pisarz samborski, aktualny towarzysz waszmościów, któren ich na wspólną kwaterę odprowadzi. Tuszę, iż nie będzie na B niczym zbywało, bom to już Grysze zalecił...

Dziękowali submitując się, że dla młodzianków, jak oni, tyle sobie kłopotu zacny gospodarz przyczynia.

--- Gadanie! — przerwał pan pisarz. — Sam o ten fawor prosiłem, lubiąc koneksje nowe z godnymi, choćby młodymi, personami zawierać. Jeno niewielka będzie ze mnie dziś pociecha, bo mnie ząb szelma rozboleł, aż mi gęba spuchła, i ledwie, ledwie że gadam...

--- Zamówić go abo wyrwać...

--- Jużci, jeno dziś za późno.

Wyszli samotrzeć na obszerny majdan.

--- Wybacz waść — zwrócił się pan Achacy do Sebastiana — alem godności dobrze nie posłyszał...

--- Pielsz, herbu Nabra, z Czarnego Potoku...

--- Nabra! Tedy sąsiadujemy z krewniakiem waściny Bazyliem Pielszem, pod Samborem mieszkającym. Też Nabrą się klejnotuje... Godny człek i naszej wiary.

--- Wspominala mi kiedyś, owszem, pani matka, że mamy pod Samborem rodzinę...

--- Widzisz waść! Trza, wracając, ku niemu zajechać... *Nexus sanguinis* święta rzecz! I wiara jedna... Z drogi nie będzie to wiele. Ja waszmościów zawiodę, szczerze rad, że poćwiwego sąsiada ucieszę...

Przeszli zalany różowym światłem zmierzchu majdan i opłotki. Z przyczyny licznego zjazdu zajęty był cały dwór, wielkie oficyny i pobliskie domy ekonomii. Pan Achacy wiódł ich dalej, ku ostatnim chatom. Tuż poza nimi rozkładał się step, wonny, rozkwitły, równy i bezbrzeżny jak miesiącem wysrebrzone morze. I szum szedł od niego daleki, kołysanka ni to morza. Dziady śpiewuny zawodziły w dali, brząkali lirnicy księcia Ostrońskiego, a wtórowały im cykaniem świerszcze. Wielki miesiąc, czerwony, większy, niżli bywa w górach, wytoczył się nisko na niebo.

Pan Achacy prowadził towarzyszy ku niskiemu domostwu pod strzechą. Słoneczniki czerniały płaskimi, jakby osłupiałymi twarzami na tle białej ściany. W izbie Grysza, rozwalony na ławie, poganiał czekanikiem pachółka, zastawiającego na stole wieczerzę.

— Witam panów — rzekł uprzejmie, lecz nie powstał z ławy. — Adwersarzami byliśmy w dyspucie — zwrócił się do Sebastiana — tu wszakże nie sądzę, by zasły między nami dyferencje... Raczie usiąść, waszmościowie...

Ze swobodą wielkiego pana częstował gości. Migotliwe światło łuczywa oświecało jego krągłą, ryżą głowę. Rysy miał nieforemne, cerę bladą, dwie wielkie kurzaje, jedną pod okiem, drugą koło nosa. Oczy tylko bystre, płonące i piękne.

— Godną mamy kwaterę — skonstatował z zadowoleniem pan pisarz Samborski, nasyciwszy pierwszy głód. — Gdzie indziej upchani są jak śledzie w beczce... Czasu południowej przerwy spotkałem uczonego Latosa, mistrza prześwietnej krakowskiej akademii, z księciem Ostrońskim przybyłego, któren żalił się, że w odrynie na przygarści lepiechy nocować mu przyjdzie.

— Co waść prawisz?! Dla ludzi księcia Ostrońskiego przeznaczono cztery co najlepsze domy!

— Lutnisty zajęły wszystkie pomieszczenia, dufni, że księżę osobiwie ich miłuje...

— A uczony astrolog w odrynie!

— Zaprosimy go do kompanii naszej, waszmościowie — proponował Gryska — starczy tu miejsca na pięciu...

— I na sześciu by starczyło... Pchnijże po niego pachołka...

Pchnęli i w niespełna trzy pacierze później wszedł do izby chudy, zgarbiony człeczyna, w długiej, czarnej szacie, przyblakłej od kurzu. Czepiące się chciwie bodiaki tworzyły wzdłuż jego szaty misterne wzory i niespodziane upięcia.

— Jegomość Jan Latoś, astrolog i wszech nauk lekarskich magister, profesor prześwietnej akademii królewskiej — rekomendował pan pisarz.

— A także ośmielę się dodać, dwóch dzieł nie bardzo nikczemnych: „Jana Latosa Kometa” oraz „*Prognosticon de mutationibus regnorum ac imperiorum*” autor — dokończył skromnie uczony.

Gryska uprzejmie sadzał go na ławie.

— Bolesnym afektem ścisnęły się nam serca, zasłyszawszy o niewygodzie, w jaką popadł mąż tak znakomity — mówił dwornie.

— Do niewygód i niesprawiedliwości przywykłem — odparł magister. — Cóż znaczy zły nocleg *in comparatione* długoletniej, ostrożartkiej krzywdy, głośnej w całej Rzeczypospolitej, o której i waszmościowie, choć młodzi, słyszeć musieliście?

Spojrzał po obecnych i dodał:

— Wszakże nieobca waszmościom sprawa, całe universum absorbująca, w której po wiekach, śmiem mniemać, imię moje zabłyśnie, jako jedyne, acz nie usłuchanego, proroka?

Zmieszani srodze wyznali, że nie wiedzą zgoła, w czym rzecz. Spojrzał na nich z pobłażliwą wyższością i poprawił się na ławie.

— O wyprowadzeniu nowego kalendarza wiadomo ichmościom. jak sądzę?

— Jakże? — zdumiał się Rupniewski. — Na bałyku jeszcze chodziłem, gdy dziesięć dni papieskich ogłoszono...

— Anno 1568, jeśli pomnę... — zauważył pan Achacy.

— Pamięć waści nie zawodzi... Od tej chwili nieszczęsnej datuje się moja niedola i krzywda, której padłem ofiarą...

Umilkł zajądając ze smakiem przysunięte przez Grystkę mięsiwo. Naraz wszakże odepchnął misę, skrzyżował ręce na piersiach i prostując drobną figurkę zapytał groźnie:

— Słuszną i gorliwą wydaje się wam być owa kalendarzowa reforma?.

Zmieszali się jeszcze bardziej, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Mało się na tym rozumieliśmy, mamki podczas ssając, przeto o zdanie w tak zawilej sprawie było trudno — rzekł Gryska z uśmiechem.

— Głupstwo — huknął pan Achacy — głupstwo to było wierutne! Jarmark na Piotra i Pawła, którego starym obyczajem po sianokosach wypadał, o dziesięć dni przyspieszyli! Nikt nie przyjechał, siano w kopach mając, i odłożono go na Weronikę... Gardłowałem wtedy przeciw tej reformie...

— Zgubnej, po stokroć zgubnej! Słuszniesz waść uczynił... Kalendarz dawny juliański, przez nieśmiertelnego Sozygnesa ułożony, obowiązywał wieki... Cały wszechświat zaadoptował go i bieg swój doń ułożył! Adoptacją tą uświęcony został... A ileś ofiar kosztowało jego wprowadzenie! Gdy w 708 roku wtrącono niebacznie dwa miesiące dodatkowe — *mensis intercallaris prior* oraz *mensis intercallaris posterior* — rok ów historia nazwała *annus confusionis*... Pamiętny był bowiem klęskami, jakie po nim nastąpiły... Przez kłótlive i sporne wpływy pomylnych w biegu planet sypnęły się na ziemię *calamitates* straszliwe... Ninie wyzwano niebo zuchwale na nowo! Bronilem, jak mogłem, daremnie... A czy wiadomo waszmościom — zniżył głos do szeptu — że pierwsze obliczenia, podstawę przeklętej reformy

stanowiące, dał Żyd! Żyd nieczysty! Z szatanem pewnikiem zmówiony! Rabbi Izaak Aben Sid!... Protestowałem na próżno. Rzeczpospolita niefortunny kalendarz przyjęła, nieobliczalne klęski tym na się ściągając. Napisałem wówczas rozprawę O poprawie kalendarza, kończąc zapewnieniem, iż protestować będę, póki tchu w ciele... Panowie magistrzy koledzy — koledzy! — odpowiedzieli sprośnym paszkwilem zatytułowanym: Latosie ciełę... Gdy wyszedłem na katedrę, gburne żaki przezywały mnie Latosiem ciełkiem — mnie, mistrza astrologii i wszech nauk lekarskich, autora dzieł niepoślednich!-... Opuściłem niewdzięczny Kraków, chroniąc się na dostojny dwór księcia Ostrojskiego, protektora i konserwatora dawnego kalendarza, za co niech mu Bóg błogosławi! Tu się poniewieram, pośledniejszy od byle pijaczyny grajka...

Umilkł i głowę spuścił, zajmąwszy się oczyszczaniem dołu sukni z bodiaków.

— Ale czas bliski! — zagrział nagle, podnosząc w górę dłoń pełną wyskubanych rzepów. — Czas sprawiedliwości bliski! Dwa, trzy lata nie miną, a prorocstwo moje się spełni. Ujrzycie!... Gdy minie dwadzieścia pięć lat od opłakanej reformy...

— Dlaczego dwadzieścia pięć lat? — spytał Rupniewski, szeroko otwierając oczy.

Astrolog spojrzał nań z politowaniem.

— Bo tyle czasu potrzeba, by w długowiecznych swych biegach potężne planety zbliżyły się ku ziemi i zaszła zmianę ujrzały. Co rzeką wówczas moce utajone groźnego Marsa, władczego Jupitera, wspaniałej Wenus, przemysłnego Merkurego — widząc, że harda ludzkość pokrzyżowała im drogi, nowe pory biegu naznaczając. Niebo i ziemia pełne są już znaków wieszczących skłócenie porządku uniwersalnego, spowodowanego przesunięciem świętego dnia zrównania! Powietrze, głody, wojny, bratobójstwa rozszerzą się po ziemi. Wielka zawierucha idzie już od wschodu i północy. Nad północą aspekty gwiazdne dziwne zdarzenia wróżą... Są już znaki i na ziemi: w Italii padał krwawy deszcz... Koło Gródka białogłowa zrodziła monstrum ze smoczym ogonem. W Lachowicach źrebię przemówiło ludzkim głosem... Mnożą się wilkołaki i biesy niecnoty... Stawiałem horoskop jaśnie wielmożnemu księciu, dobrodziejowi memu, w którym...

— Waśc horoskopy stawiasz? — przerwał Gryszka wlepiając w mówiącego pałające oczy. — Na Boga, pół życia bym dał, byś mi waśc horoskop i przyszłe losy wywiódł...

— Żmudna to praca, długi labor — odparł chłodno astrolog — którego się dla byle kogo nie podejmuje...

Twarz Gryszki zbladła na moment i skurczyła jak morda u psa, gdy chce kąsać, wnet jednak pohamował się i swobodnie rzekł:

— Tandem z północy, od moskiewskiej strony, ruszą wprzód groźne ewenta?

— Najgroźniejsze — potwierdził skwapliwie astrolog. — Nie zaczepia nikt bezkarnie tajemnych potęg... Obaczycie...

— Obaczym — ziewnął szeroko pan pisarz. — Dokucz mi zęb. psiawiara, przez co i zwykłą lotność wymowy straciłem... Inaczej niemało mógłbym opowiedzieć o owych znakach wieszczących, o których jegomość magister wspomniął jeno... Musi tu być chyba jaki cyrulik aboli konował, żeby wyrwał szelmę precz...

— Jest owszem, i nader biegły.

— Chwała Bogu! Tedy opowiem wam jutro. Teraz zasię chodźmy spać, bo pierwsze kury już piały.

Wstali od stołu, Życząc sobie wzajemnie spokojnego snu. Pachołcy rozkładali słomę, w kule porządnie związaną, na której rozłożono dery. Nie minęło pół godziny, a spali głęboko. Astrolog Latos pochrapywał ciężko i wzdychał przez sen. Jędrak Rupniewski i Sebastian Pielsz spali twardo zmożeni podróżą. Pan pisarz, leżąc na wznak, wypuszczał co chwila nosem długi

przenikliwy gwizd. Słoma trzeszczała pod przewracającym się z boku na bok Gryszką. Naraz usiadł w ciemności wpatrzony w szafirowy kwadrat nieba, objęty futryną niewielkiego okna. Zdało mu się, że pod ścianą przesuwa się ktoś ostrożnie. Na tle głębokiego kwadratu, między płaskimi tarczami słoneczników, zaczerniała dziwaczna głowa, zajrzała do wnętrza.

— Pst! — rzucił Gryszka ku oknu, wstając bezszelestnie. Przystąpił ostrożnie nogi Sebastiana, otworzył cicho drzwi i wyszedłszy na przyzbę zawarł je za sobą starannie. Ciemna, giętka postać przypadła ku niemu, odziana w długą opończę i wysoką, sztywną czapę czerńca.

— Ty, Gryszka? — spytał Gryszka szeptem.

— Nu, ja.

— Po co przychodzisz, kiedy taki zjazd? — sarknął z niezadowoleniem. — Spokojnego kąta nie ma...

— Znali my? — ruszył ramionami przybyły. — Ihumen tu jest...

— Ihumen? — drgnął Gryszka. — Gdzie?

Bez słowa Gryszka czernieć pociągnął Gryszkę chrystianina na drugą stronę ganku. W cieniu nisko rozkolonej lipy zginęli, wessani w mrok nieprzenikniony.

--- Pozdrawlaju was Bożym imieniem - zaszemrał niski., nosowy głos.

— Pozdrawlaju was, otcze Barlaamie, swiatyj przewodniku moj... Ot bieda, gościa takiego do izby prosić nie mogę; obcych na kwaterze pełno...

— Nie będziesz się za wygodą oglądał, biodra do podróży opasawszy, mówi Pan... Tu pogadamy, a rano już będziemy daleko... nie obaczy nikt...

Z niewidzialnych w ciemności ust wypływające słowa szły w noc niepewnie, krzyżowały się z sobą niby mowa duchów.

— Kto tu jeszcze? — wyteżył Gryszka wzrok w ciemność.

— Otec Misaił.

— Ha... coś ważnego?... Powiadajcie! |

— Czas idzie... zbliża się pora... Czas zacząć... I na niebie znaki są... Widzieliśmy w Moskwie tamtego miesiąca trzy słońca czerwone... Hospody, pomyłuj! Spadły na się i jedno tamte dwa pożarło. Widzieli też rękę z mieczem na obłokach... Hospody, pomyłuj!.. A w narodzie wielki głód... och, jaki głód! Nie było jeszcze takiego. Naród prawi: Kara Boża za Borysa Godunowa zbrodnie... Nasze chodzą od sioła do sioła; i cara Dymitra Joannowicza przepowiadają... Pora bliska... Idzie czas... Prorok mówi: Wyleją się klęski wasze jako rzeka, a jako lew będzie gniew Pański nad wami... Oto już nadszedł dzień sądu i jako lew cięży nad ludem... Koniec już krwio pijcy, tyranowi... Wyglądę go i pomiot jego, i na proch zetrą, mówi Pan...

Nosowy głos niewidzialnego ihumena, nalany uroczystym namaszczeniem, drżał, falował i opadał w ciemni, podobny do brzęku trzmiela.

— Nadszedł już dzień — potwierdziła noc ze strony równie niewidzialnego otca Misaiła.

— Z czym przyszłście? — pytał Gryszka dygocący z niecierpliwości.

— Zanim dzień sądu wybuchnie, przyszliśmy od patriarchy, od bojarów dumnych, pytać, zali jesteście gotów?...

— Mogę iść, choćby dzisiaj — odparł krótko.

— Przysięgniesz na wierność świętej cerkwi prawosławnej?

— Przysięgnę!

— Wiary innej, cudzej, niemieckiej, a osobliwie katolickiej, nie zdzierzysz?... Chronić prawa świętej Cerkwi będziesz, we wszystkim jej podlegając?... Przysięgasz?...

— Przysięgam na zbawienie duszy, na Krest Chrytusowy, na świętego Mikołaja cudotwórcę, na świętych Apostołów i Proroków: świętą cerkiew prawosławną czcić, jako matkę



miłować i bronić, cudzej wierze wstępu do matuszki Moskwy nie dając — z wolna, położywszy palce na wyciągniętym ku niemu ciemności krzyżu, powtarzał młody arianin.

--- Wybrałem go i posadziłem na złotem obitej stolicy i poddałem mu mnogie narody, mówi Pan... Przysięgniesz teraz na posłuszeństwo nam?

--- Komu?!

--- Nam, otcu Barłaamu i otcu Misaiłu...

--- I Gryszku Otrepjewu? — zapytał młody szyderczo.

— Nam, wysłańcom świętej cerkwi i bojarów dumnych, którzy cię carem czynimy — odparła spokojnie noc.

— Wy mnie to przysięgać powinni, raby!...

— Jak chcesz. Ostawaj z Bogiem... Odwróć lico od niewdzięcznika i pozostanie w ciemnościach...

Gryszka postąpił krok naprzód.

— Otcze Barłaamie... Drugiego jak ja nie znajdziecie...

Ciemność milczała wąpiąco.

— Nie znajdziecie — powtórzył. — Znacie mnie, wiecie, ktom jest?

— Wiemy.

— Cóż wielkiego! — zapiał milczący dotychczas Otrepjew Gryszka. — Mało bękartów na świecie?!

— Milcz, gadzie! — Wyciągnął rękę dygocącą z pasji, lecz uchwycił tylko mrok.

— Milcz, Otrepjew! — zganił ihumen. — Nu, ostawajcie iz Bohom...

— Przysięgnę — rzekł cicho, ulegle.

— Przysięgaj! — W uroczystej oliwności głosu nie było ni śladu zdziwienia.

— Na zbawienie duszy, na Świętą Trójcę, na Przczystą, na carskie święte ikony, przysięgam, że słuchać będę przesławnego patriarchy i doradców jego, także wszelkie starodawne prawa, zwyczaje i przywileje bojarów dumnych w poszanowaniu zachowam, w niczym ich nie ujmując — powtarzał słowo za słowem wyraźnie.

— Mocą moją wywyższę go ponad inne ziemie świata... Teraz pokłonim się tobie my, boże twoje raby, najmiłościwszy caru Dymitrze Joannowiczu, nadziejo matuszki Moskwy, słoneczko jasne, oczekiwane...

Uroczysty głos, podobny do brzęku trzmiela, giął się i spływał, ociekał uczuciem czy też szyderstwem, oplątywał się u stóp, nęcący i jadowity zarazem.

— Krzyż patriarcha przysyła — przerwał mu Misaił. — Brylantowy krzyż. Książ Mścisławskij dał go carewiczowi przy chrzcie... Ten sam; pozna go... I inni poznają...

— Daj!

— Oto jest. Bóg z tobą i święty Mikołaj cudotwórca, gosudarze nasz, imperatorze...

— Co teraz robić? Czy już?

— Nie, ale rychło... Damy znać. Niedługo już.

— Pobędziesz jeszcze Gryszka, carewiczu — mruknął nieco drwiąco Otrepjew.

— W grdyce mi już siedzi Gryszka i pokora ich, i to wszystko... Och! długo nie wydzierzę!

— Nu, nu — uspokajał mrok. — Nagrodzę cierpliwość a cichość ich, mówił Pan... Wydzierzysz... Nam także spieszo, a ciężko...

I szumyt, ł tużyt — dribnyj doszczyk ide...

zabrzmiało nagle w pobliżu. Zadudniały kopyta koni spędzanych z pastwiska. Z trzaskaniem batów przelecieli cwałem koniuchowie. Dniało już i ciemność nasiąkała z wolna zewsząd bladym srebrem.

Bez słowa trzy majaczące ledwo cienie zgięły się, rozpląły, znikły niby mary...

Gryszka powrócił do izby trzymając w dłoni brylantowy krzyż, jedyny dowód, że wszystko to nie było snem. Towarzysze spali równie mocno jak wprzód. Usiadł na swym posłaniu, obrzucając wzgardliwym spojrzeniem skuloną postać astrologa, który mu odmówił horoskopu. Trzymany w rękę klejnot, darowany przez kniazia Mścislawskiego carewiczowi Dymitrowi, zamordowanemu przed laty podstępnie w Ugliczu, migotał w niepewnym brzasku. Wpatrzył się weń zamyślony. Znienawidzona, nędzna i obrzydłe szara dotychczasowa dola zaczynała podobnie migotać, skrzyć i rozłsniewać. Przeciągnął nagle ramiona, aż trzasnęły stawy, i odetchnął szeroko. Zacznie żyć. Bastard, przybłęda, wagarus nieznan, imienia nawet swego nie mający, obieżyświat, to po moskiewskich monasterach chodzący, to łotrzący z Kozakami na limanach, wielkie dufanie o sobie opierający jeno na wewnętrznym przekonaniu i bezpodstawnych plotkach babskich zasłyszanych w dzieciństwie — poczuł się naraz niezbiecie, świadomie synem królewskim. Pewniejszą niż pergaminy albo tłumy świadków czuł dygocącą w każdym nerwie, każdym pulsie mocarną dumę władcą, szlachetną pasję rządzenia, zawrotną radość dźwigania odpowiedzialności, przerzucania kart historii ostrzem miecza i własnej swej zuchwałej woli. Z nagłym serdecznym współczuciem pomyślał o królu Stefanie, którego — słusznie czy niesłusznie — uważał za ojca. Jakże szarpał się, bezsilny, spętany w swoich zamysłach olbrzymich! Za to on, syn, miał panować niesfornej, krzykliwej gromadzie stanie na czele narodu niewolnego, biernego, gliny podatnej, którą powiedzie, gdzie zechce...

Wspomnienie złożonej przed chwilą upokarzającej przysięgi zaćmiło jego myśl na moment. Odsunął je szybko, zepchnął między dawne nędze swojego żywota. Wiele będzie się liczył z przysięgą, z patriarchą i bojarami dumnymi! Potrafi ich wziąć za brody, gdy władzę uchwyci w ręce... Poprowadzi barbarzyński, ciemny tłum, kędy zapragnie, na Wschód czy na Zachód. Zetrze turecką potęgę, ślady Aleksandra Macedońskiego odnowi, sięgnie ramieniem aż po krańce ziemi...

Słoma zatrzeszczała pod panem Achacym, który we śnie przewrócił się z boku na bok. Gryszka — chrystianin, recte czerniec prawosławny, recte carewicz Dymitr, recte nieślubny syn Stefana Batorego i urodziwej borowianki z puszczy grodzieńskich — drgnął, schował starannie krzyż w zanadrze i ległszy na posłaniu udał głęboko śpiącego.

## Rozdział czwarty

## Narodziny

**P**anu Achacemu wyrwany z niezwykłą wprawą przez cyrulika hoszczańskiego ząb przestał dokuczać — toteż usta mu się nie zamykały świadcząc, że słusznie zachwalał lotność swej wymowy. Wprawdzie Sebastian, posępny i milczący, włókł się o dwa kroki z tyłu, ani wiedząc, o czym mówiono — lecz Rupniewski wdzięcznym był słuchaczem, starczącym za dwóch. Połykał chciwie każde słowo szlachcica bywalca otwierając szeroko uszy i usta. Zachęcony tym niemym podziwem, mowny pan pisarz w ciągu całej długiej drogi, choć pył i upał doskwierały, prawił bez przerwy to o sejmie inkwizycyjnym, na który był posłem ziemi samborskiej przed laty, to o nowej stolicy warszawskiej, nad którą cudniejszego grodu w świecie nie masz...

— Jeno ziemia dookoła, pożał się Boże! — dodawał. — Piach szczerzy, nadto podmokły: skrzyp buja jako las. Nie osiedziałyby się tam człowiek ni niedzieli... Krzepki naród Mazury, że wyżyją. Wszelako, widno z tej biedy, każdy Mazur ślepy się rodzi jak szczenię i dopiero dziewiątego dnia na oczy patrzy... Prawił też chłopcu o wielkim kanclerzu — widywał obu hetmanów. Familianci na wołoską go ciągnęli, lecz impedimen-a wiary nie puścili, choć ochota była. Prawił o dworze królewskim, który przykry jest Polakowi, bo bab a cudzoziemców na nim pełno. Polskiego słowa nie usłyszysz.

— Polak niebożę — wzdychał — jako sierota chodzi po komnatach swego elekta, nie śmiejąc gęby otworzyć... Królewicz mały — detyna serdeczna i zmyślna, jeno żal, że go na małpę niemiecką chowają. Grubaśna a szpetna Orszula Mejerin trzęsie całym dworem, i co najprzedniejsze senatory o protekcję jej zabiegają...

Gdy wjechali w mroczny wał nieprzebytych puszc samborskich, wionących mrokiem, zapachem grzybów i pleśni, treść opowiadań pana Achacego zmieniała się pod ich wpływem. Porzuciwszy dwór królewski, prawił strwożonemu chłopcu o stradczech, czyli niaukach, dzieciach nieżywo zrodzonych, błędzących z prośbą o chrzest.

— Pewnikiem to i one — zauważył, gdy tuż za nimi w ciszy boru zagadała naraz głośno osika. Gdzieniedzie złote strzały słoneczne dziurawiły strzechę lasu kładąc na ziemi migotliwe, jasne krążki jak obiater — co opowiadającemu przywiodło na pamięć złośliwe, okupu od podróży żądające mamuny o psich nogach — po szlachecku — zwane sibiele — grube diduchy. straszące konie z gęstwi krzewów bzu, paskudne dziwo-baby i najstraszniejsze ze wszystkich upiory.

Słuchającemu tych opowieści Jędrkowi włosy stawały na głowie. Szczęściem, wyjechali z puszczy na słoneczny świat. Cel podróży był już bliski. Pan Achacy poniechał ponurej dziedziny biesów, a ukazując błyszczące banie na zamku wojewodzińskim, opisywał splendor rezydencji, królewskiemu równy.

— Przepych tam zaiste i zbytek, zbytek gorszący, któren jest *fons et origo omnium malorum* — dodawał sentencjonalnie. — Sprawdza się to na imci wojewodzie Mniszchu. któren od długów ledwie zipie... Na oko splendory, a isćcem jest wszystkich, od króla jegomości poczynając, aż do Żydków samborskich. Prawią, że lada dzień król ekonomie odbierze, tyle lat grosza z niej nie oglądając. Ha — kiwał głową — wyszastali już skarby knyszyńskie. ani stręczyć nałożnic nie ma komu... Na zły koniec przyjdzie panu wojewodzie sędmirskiemu...

Wjeżdżali do ogrodu ruchliwego jak mrowisko, bo był dzień targowy. Niestrudzony

pan pisarz opowiedział Jędrkowi, jakich kłopotów przyczyną są szrotarze, które dufne w przywilej królewski nikomu beczki wytoczyć bez swego szrotarnego nie pozwolą. Gwałt prosty! — stwierdził z oburzeniem... Ukazał przygłupka nagiego, suchodolnikiem opasanego, który szwendał się wśród tłumu, i objaśnił Jędrka, że to odmieniec, boginki podrzutek na ludzkie dziecko zamieniony.

Rynek był piękny, kramy bogate. Kupy solonych węgorzów zalegały podcienie. Ciemnolicy kupcy ormiańscy zanurzali ręce w workach pełnych rodzynków i innych bakalii, zachwalając krzykliwie swój towar.

— Mądre szelmy, ale chytrzejsze od Żydów — mówił z niesmakiem pan pisarz. — Okpią bodaj najmędrszego...

Niedźwiednik Cygan grał na drumli, a trzymany na łańcuchu niedźwiedź przebierał ciężko łapami do taktu. Gdy się z nim zrównali, pan Achacy klasnął się wesoło po udzie i na cały głos zaśpiewał:

Kołychała baba dida,  
Od wieczera do obida..

A tłum klaszcząc w dłonie i przytupując podchwycił:

Ne mogła go wkołychaty.  
Musiała mu obid daty!.

Czarnobrewne samborzanki, w sztywnych, jaskrawych zapaskach miast kiecek, dreptały w miejscu, gotowe do tańca. Przygłupek skrzeczał z radości. Niedźwiedź mruczał ociężale.

Gdy rozśmieszeni wyjechali z grodu, pan pisarz ukazał widne nic opodał w wieńcu drzew Piniany, dominium Sebastianowego krewniaka, i rozpoczął dyskurs o zacnym panu Bazylim Pielszu, o gospodarstwie jego, koniach cale przednich i córce Hance, niczego sobie dziewczynie. W pełni tego dyskursu stanęli w Pinianach. Gdy na jazgot, podniesiony przez tuzin płowych brzechunów, sam pan Pielsz wybiegł z domostwa, mowny szlachcic uciał kunsztowną orację o radości Sebastiana, z dalekich krańców Rzeczypospolitej dążącego, by poznać krewniaka. Rozczulony do łez gospodarz padł w ramiona patrzącego wilkiem Sebastiana, za czym brali się kolejno w objęcia wszyscy czterej, zaś pan Achacy nową podjął rzecz, tym razem o szczęśliwym gospodarzu, witającym lubych, niespodzianych gości, która to szczęśliwość da się jeno porównać z uciechą nawiedzonego od aniołów Abrahama.

Gdy zasiedli w przestronnej świetlicy, chwalił miód przedni. wydobyty świeżo z loszku. a mrugając znacząco oczyma ku młodym, pytał o zdrowie jejmościanki Hanki. Gospodarz odrzekł, że przyjdzie, jeno wieczere zarządzi, co dało panu Achacemu asumpt do wygłoszenia wielce foremnej pochwały białych głów.

W trakcie tych rozmów Sebastian przyglądał się z boku krewniakowi. Pan Bazyli Pielsz miał na sobie sprany płócienny żupan. nieco przykusy. który co chwila z zakłopotaniem obciągał — wąsy sitarskie i dobre, spłowiełe oczy. Spoglądał na Sebastiana ze szczerą, cichą serdecznością, która ujęła odludka.

— Po prawdzie toś mi wnękiem — mówił — bo przestryjcem twoim wypadam... Wszakże i po matce mamy pokrewieństwo. przez mojego nieboszczyka cieścia. któren twojej babki, z Pszonków Wierzbiciny był siostrzanem. Tedy wołaj na mnie: wuju. Byś zaś Hanki stryjną nie musiał nazywać — dokończył z uśmiechem.

Zanim Sebastian zdążył odpowiedzieć, na dziedzińcu zatętniły kopyta i rozległ się brzęk

żelaziwa. Buchnęła nowa ulewa psich głosów. Przed dworem stanęła dość obszarpana kolaska, juchtem obita, szczękająca łańcuchami i wielkim hamulcem. Chude woźniki raczej broniaki. wstrzymane nagle, sapały. z szyjami wciągniętymi w szleje.

— Pani miecznikowa dobrodziejka! — wykrzyknął gospodarz i pobiegł.

Pogodny jak dzień letni pan Achacy zachmurzył się i pokwaśniał.

— Pani Barbara Kazanowska z Nieborogów. wdowa po mieczniku samborskim — objaśniał półgłosem pozostałych. — Licho ją tu przyniosło. Nikomu do słowa nie da przyjść... Pytel nie baba!

Umilkł, bo pan Bazyli wprowadzał już do świetlicy drobną, chudą jejmość, w wytartej tabinowej jubce z rękawami, zielonych materialnych pończochach, aksamitnych trzewikach i takichże rękawiczkach, drobnymi paciorkami naszywanymi. Twarz drobną, zwiędłą wieńczył wysoki, modny kornet. Dygała nisko raz po raz. ekskuzując się, że po sąsiedzku Hanke ulubienicę odwiedzić, nie suponując, iż zastanie tak dystygowaną i zącą kompanię.

Przywołana przez ojca przyszła nareszcie panna Spuszczą głowę nisko, że widać było tylko wąską nitkę przedziału dzielącego środkiem głowy dwie ciemne strug, warkoczy. Twarz miała miłą, ogorzałą, oczy jak bławatki. Dygnawszy wszystkim z osobna, ucałowała czule ręce jejmość, z zasznurowanym, ustami przysiadła tuż za nią na zydlu.

--- Jaż ci serce, konfektów przywiozłam ze ślubu wojewodzianki Orszuli – zwróciła się do niej żywo pan. Kazanowska. --- Jejmość pani wojewodzina, najmiłościwsza moja dobrodziejka, siła mnie ich podarowała, że połowę tu przywiozłam. Są w łubach, w kolasce... Jenó ujmujcie ostrożnie! - wołała. gdy dziewczyna wybiegła już za drzwi.

--- Szumne były gody wojewodzianki, jako waszmościom opowiem — zaczął pan Achacy.

--- Czekaj, waść, ja opowiem! - przerwała mu jejmość.

--- Acz nic będąc naocznym świadkiem, wiem jak było, informacje najprzedniejsze otrzymawszy - ciągnął nie zważając.

--- Ja zaś byłem świadkiem! - krzyknęła tryumfująco i nie zatrzymując się w obawie, by jej nie przerwano, ciągnęła z zapałem, gestykulując rękami:

--- Królewskie były gody! Święty Damazy! Królewskie! Gadali, że jedynie Gryzeldy Batorwny, kiedy za kanclerza szła, mogły w paragon iść a komparację! Toż radości było a uczt! A festynów, turniejów! Książę biskup krakowski ślub dawał, asystowali zaś przemyski i kamieniecki. Trzech biskupów!! Cztery kapele grały ustawicznie – wojewodzińska na srebrnych trąbach!... Stu kuchtów warzyło, a sam starszy z Italii umyślnie był sprowadzony!... W dziedzińcu ciągle uciechy: to niedźwiedz z psami się brał, błazny ucieszne figle przedstawiały--- to panięta do pierścienia goniły... Z babińca dziwowały się tym sztukom panie których był gwałt co najprzedniejszych a strojnych!... I dla mizernej służki znalazło się w końcu galerii miejsce, dzięki niesłychanemu faworowi jejmość wojewodziny, najmiłościwszej...

Urwała, bo Hanka wracała niosąc z pachółkiem spore łubo. Ustawiono je na ławie koło stołu.

Panna Pielszówna wyjmowała zeń ostrożnie utkane wiórami cukry wykrzykując z zachwytu nad każdym obiektem. Były to weneckie cuda, złożone suto i misternie wyrobione, lecz już, pooblamywane i gęsto przez muchy popstrzone. Złoto i marcypan opadały ukazując drewniane lub druciane rusztowanie. Wenera. dzierząca w rękę prawdziwe zwierciadło (przed panną młodą ta grupa się prezentowała — informowała pani miecznikowa), stała na jednej nodze jak bocian. Walały się powykrzywiane kolumny greckiego templum. Jowisz, kloniący się przed herbami Mniszchów i Wiśniowieckich, poczeriał i stopniał częściowo od ciepła. Srebrna nawa poobgryzana była przez myszy. Ciekawy Rupniewski skosztował odłamanego kawałka i skrzywił się niemiłosiernie, gorzkie to było i zjełczałe.

— Toć nie dla jedzenia sprowadzone! Nie dla folgowania łakomstwu! — upominała go jejmość. — Jeno dla ozdoby, dla prezencji i splendoru, dla dekorum! Spójrzcie, dobrodzieje moi, jak to wyrobione!

Dotykała z lubością, ostrożnie, szczątków cacek, ujrzawszy jednak, że pan Achacy otwiera usta, by dłuższą przemowę zacząć, rzuciła się, aby go uprzedzić.

— Wieczorem zaś było w dziedzińcu theatrum — opowiadała z ferworem. — Plac teatrowy przedstawiał cudnym kunsztem wyrobione morze, pełne insuł czarownych, grodów i okrętów. Z tego morza się wynurzając Neptunus, nimfami otoczony, komplement dostojnemu audytorium prawił...

— Widziałem w Krakowie — zaczął pan pisarz — theatrum znacznie zacniejsze, bo mnogie wariacje reprezentujące, gdzie...

— Czekaj waść! Toć ledwie początek. Neptunus znikł, zaś rozpoczęła się drama o Ruggierze księciu, od Alcyny czarodziejki omamionym. Cnotliwa Melissa, Ruggierowi i Bradamancie, zwieńczonej z nim królownie, przychylna, przychodzi, by go ratować. Mądra jej rada młodzieńcowi przyjemna: ku Bradamancie powrócił, Alcynę precz odrzucając. Teraz była druga odmiana, gdy ożełona Alcyna wszystko w morze w płomienie przemieniła, iż gorzało, aż strach był, by się gmachy nie zajęły. Lecz Melissa, czarami silniejsza, płomień ugasiła, Alcyna zaś w monstrum szkaradne przedzierzgnąwszy się odleciała... Dopierom oczy, płomieniami i straszędłem zestrachane, odsłoniła, serce mgłęjące z trwogi krzepiąc. Wnet też ujrzano trzecią różność teatrową: Melissa odczarowała Ruggiera, także wiele innych paniczów i panienek, w drzewa na onych insułach rosnące przemienionych. Więc przy wolności dobra myśl kawalerów i fraucymeru. Więc pląsy radosne pojedynkiem i parami. Melissa zaś, z Ruggierem i Bradamantą przez centaury wieziona, epilogum składała, winsz dając parze dostojnych oblubieńców... Zaś po spektaklu znów powiedziano do uczy, zaś na drugi dzień to samo, i tak trzy niedziele! Trzy niedziele! Iście, do rajy człek był przeniesiony za życia, do rajy...

— A szaty, jejmościuniu dobrodziejko! Jakie szaty miała wojewodzianka? — dopytywała dygocąc z wrażenia Hanka.

Lecz zanim pani miecznikowa otworzyła usta, by z odpowiednim namaszczeniem opisać cuda ślubnego stroju wojewodzianki Orszuli Mniszchówny, obecnie księżnej Konstantynowej Wiśniowieckiej, pacholek oznajmił, że wieczerza podana.

— Cukry postawim na stole! — wykrzyknęła.

Ustawiły je z Hanką pośrodku, między hładyszką z kwaśnym mlekiem i misą kaszy hreczanej ze szperką. Pan Bazyli dobywał z almarii pękaty gąsiorek żytniówki. Hanka biegła dokoła stołu, poganiając pacholeków. W kuflach pieniło się piwo z własnego mielcucha. Na wielkiej misie wniesiono zrazy z podlewą, a zaraz też kaczkę cyranki w grzybowej jusze. Jedzono chciwie, w milczeniu. Pani miecznikowa, zgorszonym spojrzeniem poszukawszy daremnie przy nakryciu widełek, ujęła z jawnym dysgustem skórkę chleba w dwa palce i jadła z pomocą jej, z wolna a z wielką dystynkcją. Rozmarzonych oczu nie odrywała od obtłuczonych figur. Choć zapstrzone i szpetne koślawce, przywozidyły za sobą korowodem całą świetność minionej uczy. Widziała się znowu w zamku, jeno nie siedzącą na poślednim miejscu, między piwnicznym panem Pietrzałą a rewizorem Sołonką, lecz królującą pośrodku, między najpierwszymi. Uśmiechała się pobłażliwie rubasznym żartom wojewody, a nabożnie spuszczonej oczami słuchała wywodów księdza biskupa Pstrokońskiego. Wielka sala jarzyła się od światła. Potrawy odmieniały smak i wygląd...

Obgryzając smaczne udko, prawiała siedzącej naprzeciw Hance o kunsztach niesłychanych a wymyślnych potraw.

— Kosztować to ich nie kosztowałam — wyznała z żalem — bo na nasz stół jeno

zwykłą wieprzowinę z kapustą a czarną gęsinę dawali... Na tyle ludzi, gdzieżby tamtych specjałów starczyło!... Ale widziałam! I to dosyć! Nie każdy w życiu obaczy!

Nikt jej nie słuchał prócz Hanki. Pan pisarz samborski podjadłszy otarł usta i ze zwykłą swadą opowiadał Jędrkowi Rupniewskiemu o widzianym niegdyś w Krakowie spektaklu. Gospodarz wypytywał pociota o gospodarstwo i folwark, zatapiając w nim poczciwe, wypłowiałe oczy.

— Mam ośmiu kmienci ze sprzężajem, które na łąnach robią — objaśniał ściśle, jak zwykle, Sebastian. — Ziemi dworskiej, *agri praedialis*, mamy cztery łąny i trzy przymiarki, w czym sześć wzorów, jeden pastewniczek i pole zagumne. Dwie są niwy, do spółki z kmięciami karczowane i obsiewane, także siła łągów, które u nas, biesiadami zowią. Takich łągów jak nad Dunajcem i Popradem nie masz chyba w całej Rzeczypospolitej. Nasze biesiady dają rocznie po pięć czerwonych złotych i sery... Jest też i karczma przy gościńcu. Arendarz daje rocznie półsiódma grzywny czynszu i trzy kamienie łożu, na świece sposobnego.

— Dobrze daje — chwalił wuj.

— Z kmięciami po somsiedzku żyjemy, jako i wiara nasza nakazuje. Z poddaństwa jeszcze za nieboszczyka pana ojca zwolnieni, mogliby iść, kaj by chcieli, przecie nie wybiera się żaden... Dobre są ludzie... Zbójniki znów, które w górach siedzą, na kupców jeno napadają, wiedząc, że niewielka by tam u nas, biednej szlachty, naszli... Cichy jest ką — dokończył z pewnym rozmarzeniem, bo wielce swe gniazdo miłował.

Podano kluski ze słodkim makiem na wety.

— Na zamku po wetach pan wojewoda nakazywał zamilknąć kapeli, a przychodziły lutnisty, które piałły a grały jakoby aniołowie niebiescy — ciągnęła niestrudzona pani miecznikowa.

— Co nam jejmość dobrodziejka ustawicznie zamkiem głowę zawracasz! — sarknął półżartem gospodarz. — Taż i u nas muzyki nie zbraknie... Wezwiemy Iwaśka, któren na bałabajce niczego brzdąka, a Hanka zaśpiewa.

Wstali ociężali sytością, przechodząc na ganek ogrodowy, obrośnięty chmielem. Gospodarz przyniósł miodu, by popić na sen. Noc była cudna i wonna. żaby grały na łące za sadem. Przywołany Iwaśko usiadł z bałabajką na skrzypiących stopniach ganku, czekając.

— Śpiewaj, Hanuś — nalegał pan Pielsz.

Certowała się długo, kryjąc twarz za ramię ojca, w końcu wyznała zmieszana, że innych piosenek jak ruskie nie umie.

— A cóż to, ruskie niepiękne? — obruszył się pan Bazyli. — Śpiewaj, doniu.

— Sam ksiązę Wiśniowiecki Konstanty, podochociwszy drugiego dnia wesela, „Hop, moje hreczanyki!” śpiewał i na stole kozaka zatańczył — rzekła, uroczyście podnosząc palec do góry, pani miecznikowa.

— Słysz, Hanuś, sam ksiązę... Nuże, zaczynaj, hołubko...

Ustała, przekonana, i poddawszy Iwasiowi nutę zawiodła czystym, silnym głosem:

Solnce nyżeńko, misiacz błyżeńko,  
Wyjdy, taj wyjdy, moje serdeńko...  
Wyjdy, taj wyjdy, ne bij sia morozu,  
Ja twoji ruczeńki w szapoczku połoŜu...

Bałabajka dźwięczała szybko, ostro, jak krople padające z wysoka na srebrne rzeszoto; żaby kumkały do wtóru. Pan Bazyli kiwał głową w takt pieśni, patrząc na córkę z niezmierną miłością. Pan pisarz samborski zadrzemał splótszy ręce na wydatnym brzuchu, ukołysany

rozkosznie wieczerzą, miodem i śpiewem. Pani miecznikowa widziała w marzeniu lutnistów zamkowych. Jędrak Rupniewski podkręcał zarodek węża, wpatrując się w śpiewaczkę uwodzicielsko. Sebastian, niewidzialny w cieniu festonów chmielowych, trwał w nieświadomym, przecie słodkim ukojeniu. Twarz, nasępią zwykle, pogodniała. Myśli stężałe, surowe, oschłe od dumań jałowych ucichły, stawały się jaśniejsze, lżejsze... Wypoczywał...

Tam za horaju, za wysokoju,  
Sedyt hołubok iz hołubkoju...

— śpiewała Hanka. Miesiąc oświecał jej drobną twarz, wzniesioną ku górze, jakby we własnym śpiewie zasłuchaną. Rozlewny czar ukraiński, zachwycony w Hoszczy, sączący się przez ostatnie niedziele niewidzialnymi szczelinami do duszy samotnika, powstał nagle przemożny, rosł wraz z pieśnią, osnuwał miękko twardego odludka...

Nadlecił orzeł z czarnej chmary,  
Rozyhnuł, rozpuścił hołubku z pary...

Głos dziewczyny drżał szczerym współczuciem, które wnet podzielił. Osmętniał niedolą gołąbków...

Pocieszył się, gdy nową, pogodniejszą pieśń zawiodła:

Oj, pojichał w Wołoszczyznu  
Kozak mołodeńki;  
Horichowe sidełeczko,  
A kiń woroneńki...

Struny leciały jak grad świetlisty, dygocący, przenikały noc; uderzając w liście, wydobywały z nich mocny do zapamiętania zapach.

— Pozwól i mnie zaśpiewać, nadobna panienko — rzekł Rupniewski, gdy Hanka zmęczona umilkła. — Na lutni grywam niezgorzej, może sobie i z tym brzdąkadłem poradzę...

Wziął z rąk Iwaśka instrument, spróbował, dźwięknął parę razy i świdrując Hankę palącymi oczyma, zaśpiewał:

Gdybym to wiedział, przez jakie praktyki  
Dobrać do serca waćpany kluczyki  
I móc zobaczyć, co się też w nim dzieje,  
Zali w kochaniu mogę mieć nadzieję...

Schowała głowę spłoszona. Pani miecznikowa, poprzednio drzemiąca, rozbudziła się i przyklasnęła grzeczemu kawalerowi. Pan Achacy chrapał z uznaniem. Sebastian nasrożył się wewnętrznie. Zły był, choć nie wiedział, na kogo i o co, lecz urok poprzedni i błogość zniknęły. Rupniewski, rad z wrażenia, byłby chętnie śpiewał dalej, lecz tej jednej tylko zwrotki nauczył go starszy Jordan, ten z pancernych. Oddał więc bałabajkę Iwaśkowi, spoglądając zwycięsko na pannę, która, zmieszana, oczarowana tak wyszukaną dwornością, cofnęła się i przysiadła na ławce koło milczącego krewniaka.

Granatowa obręcz nieba błyszczała złotymi ćwiekami. Naraz gwiazda jedna odczepiła się od stropu i mignęła łukiem ku ziemi. Wiatr zaszeleścił w gałęziach niby szum spadającego



zjawiska.

— Latawica! — wzdrygnęła się Hanka. — Mów waćpan prędko: „baran, try tiela, hołowu złomył — taj ty!”, to zaczarować nie poradzi...

— Czegóż to ja mam mówić? — zapytał.

— Bo ona dziewcząt się nie ima, jeno kawalerów. Któren ją pierwszy uwidzi, tego się czepi i do śmierci męczy... Panu Rupniewskiemu nie zaszkodzi, bo plecyma siedział.

— Ejże, niejeden pewno spółkiem ze mną widział...

— A może i nie widział, bo pora późna.

— Późna — podchwycił gospodarz. — Wnet pójdziem spocząć. Kawalerom już dormitarz godny zgotowałem w alkierzu. Jejmość pani dobrodziejka w bokówce na pięterku, jako z racji bezpieczeństwa lubi...

— Bóg zapłać, mój dobrodzieju... Nie dziwcie się, waćpanowie. Lękliwym mnie afektem Bóg obdarzył, i w nocy, byleby mizerny skowera zaszczekał, już palpitacje mnie dławia i duszenie w dołku...

— A kolaska jeno się uchyli na pasach, już jejmość krzyczysz jakby na Tatara — mruknął zgryźliwie pan pisarz przecierając oczy.

— A krzyczę, dobrodzieju, krzyczę. Nie dla mnie hazardy i srogie terminy... Spokojnej nocy waszmościom...

Dygała raz po raz, wychodząc, prowadzona z atencją przez Hanke.

## Rozdział piąty

### W opresji dusznej

**P**owiadajże mi teraz, Sobek, o synodzie — rzekł pan Bazyli, gdy obszedłszy gospodarstwo siedli obydwa na kopcu granicznym. — Tu się już starościńskie łany zaczynają — dodał — nasza granica bieży do tamtej lipy, na której zacięte są ciosna, od lipy do rokity; baczysz? Od rokity aż za strumień, a od tej brzozy garbatej ku tamtym chojarom. — Wskazał ręką siniejące w dali drzewa. — Niezły szmat ziemi, Hanczyne dziedzictwo — rzucił od niechcenia i znów o synod zapytał.

— Wolej bym o nim i nie gadał — odparł Sebastian z niechęcią. — Przyjechaliśmy na sam koniec, alem i tego użył aż za dosyć... Swarzyli się i rozjechali w jeszcze sroższym roztargnięciu niżli wprzódy, choć dla konkordii zwołany był zjazd. Nie jeden już zbór, ale dziesięć! Prawo miecza i urzędu uchwalili powszechnością... To jedno!

Roześmiał się z goryczą.

— Z roku na rok to idzie, a ciągiem gorzej — rzekł wuj. — Przyjdzie na to, że co człek u nas, to szczególny będzie zakon, a wszystkie pójdą na siebie z nożami.

— A isto — przytwierdził posepnie Sebastian.

— Barzo w ludziach nasz zbór zeszedł — podjął stary Pielsz. — Co najlepsi pomarli. Na trzech albo pięci cały zbór wisi. Póki żyją, zbór trwa... Z nimi zginie albo się w sto sekt rozleci...

— Prawda jest wieczna...

— Prawda? Gdzie ona? Widziałeś ją na synodzie?

A gdy Sebastian milczał, stary człowiek ciągnął:

— Lżej sercu, gdy się wygada... Na ciężkim i wielce srogi hak ze strony zbawienia mego przyszedł, na którym siła lat już się męczę. By była u nas Prawda, nie byłoby tej niezgody...

Urwał i zamilkł na chwilę, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

— A jeśli Prawdy nie ma, to co? — zakończył półgłosem...

Sebastiana aż zatchnęło.

— Dyć gdzie by była, jeśli nie u nas? — odparł żywo. — My jedni żyjemy według Ewangelii, równi wszystkim, bracia, jak Chrystus przykazał...

— Raniej tak było, nie teraz... A zresztą, czuj, Sobek: zali Rzym takiego życia zabrania? Nie zaleca?

Zatrząsł się z oburzenia, ale nim odparł, wuj dodał:

— Sameś prawił, że wolność zażywania miecza uchwalili. Ot, gdzie Ewangelia! Co my papieżstwa świadomi? Widzimy durnych plebanów, nie widzimy wiary, lekkomyślnie ją porzuciwszy, w pieluchach nieraz albo w lecjach nierozważnych, w szkołach niemieckich... Ukaż mi takiego, któremu dwudzieste roki minęły, gdy Rzym rzucał? Chyba że dokuczyć chciał komu czy dziesięcinę z karku zwalić...

Wspomnienie pana Krzeszą zamknęło Sebastianowi usta, otwarte już do porywczej odpowiedzi.

— Nie patrz na mnie jak na zmiennika, bo w utrapieniu żyję pokoju wewnętrznego nie mając. A wygadać się nie ma przed kim. Źle żyją katoliki?... Zali u nas same święte? Z nowych, co do zboru wchodzą, wiele jest Łaskiemu, Niemojewskiemu równych?...

Urwał, bo blisko rozległy się kroki. Na ścieżce, okrążającej dołem kopiec, ukazał się młody, szczupły ksiądz. Za nim o dwa kroki szedł klecha kościelny, o długim, spiczastym nosie i myszkujących ruchach. Ksiądz spojrzął w górę, zobaczył siedzących i machnął ku nim zamasyżycie kapeluszem. Pan Bazyli powstawszy oddał mu skwapliwie ukłon.

— Przyjaciel? — nieco drwiąco spytał Sebastian, gdy przeszli.

— Przyjaciel — potwierdził poważnie wuj. — Ten papieżnik, widzisz, żyje jako my, fundatorowie zboru, marzyli za młodu... Prawdziwy sługa Chrystusów. W przyjaźni serdecznej jesteśmy...

— Kłątwa na tych, co zbór rozbijają! — wybuchnął nagle Sebastian. — Bodaj ich zaraza! Bym miał władzę, za łby wzięłbym dyskutantów i prał, ażeby im durne nowości wywietrzały z głowy.

Palce zatrzeszczały mu z pasji. Wuj spojrzął nań bokiem i roześmiał się cicho, przenikliwie.

— Za łby trzymać i prał, Sobciu? I tego byś, chłopie, prał! A wolność sumienia gdzie? Toć nie o co innego, jeno o trzymanie ludzi w ryzach na Kościół katolicki powstajemy...

— Nie tylko o to — rzekł chmurnie Sebastian.

— Mniejsza z tym!... Wolność sumienia... A juźci! Daleko nas zawiodła!... Ciężko jest... Słuchaj, chłopcze: nigdy takowych molestacyj nie doświadczysz?

— Nie — odparł mocno Sebastian. — Nie filozof ze mnie. Jako mnie ojce pokrzycili i ponurzyli, tako wierzę i wierzyć będę do ostatniego tchu. Bym miał sam jeden na świecie ze swoją wiarą pozostać!

— Szczęśliwyś! Ja się męcę... Bo człeka obowiązkiem jest, gdy ujrzy, gdzie Prawda, iść za nią... Jeno nie wiem jeszcze funadamentalnie, gdzie ona? Chybotam się jak ta świeca, boć tu o zbawienie duszy idzie... O wieczność, Sobek, o wieczność!

Wparł weń oczy strwożone ogromem straszliwego słowa.

— A jeszcze — dodał po chwili — jeszcze bolenie drugie: Hanka? Wychowałem ją po naszemu. Zali dobrze zrobiłem? Dziewce idą lata... Szesnasty rok... Strach, jak trudno dziewczkę ponurzaną za mąż wydać! Czego oszczercy jako psi nie bają! Sprośności, aże wstyd słuchać... Rzędkowski, powinowaty mój, dziewczkę uczciwą, Annę, za chłopca wydał! Za chłopca! Bo nikt nie chciał ponurzaną... Jeszcze się i moja dziewczyna zmarnuje... Tu same katoliki wkoło... Po nocach nie śpiący myślę: Sam Prawdy nie naszłeś, a dziecko za twój błąd zapłaci...

Łzy starcze, bezradne, stanęły w jego wypłowiwałych oczach. Czekanikiem dziobał ziemię, podrywając drobne źdźbła trawy. Wyczekująco spojrzął na młodego. Lecz Sebastian nie wiedział co rzec. Obawa, że dziewczyna nie wyjdzie za mąż z racji wiary, wydała mu się bluźnierstwem i małodusznością. Ani mu w głowie powstało, że byłby mógł jednym słowem wujowej udręce koniec położyć, i odetchnął z ulgą, gdy od sadu dobiegł ich głos Hanki, wzywającej na przedobiedni podkurek...

## Rozdział szósty

### Odstępca

**B**łękitnym rąbkiem mgły rannej przesłonięte góry powitały Sebastiana jako lico drogiej, stęsknionej osoby. Znał każde wygięcie falistej ich linii i kształt. Wielki Modyń, zgarbiona, niby przyczajona Ostra, bliżej swoje, domowe jakoby, Kichną i Sielek. Ogarnął je ciepłym spojrzeniem. Był nareszcie sam, zupełnie sam, bo Rupniewski przed godziną wykręcił już na prawo, na Gosprzydów. Puścił wodze na kark podjezdka i jechał zgarbiony, pogrążony w niewesołych dumaniach. Zgaga duszna, która piekła go wewnątrz od wyjazdu z Hoszczy, nie przestawała dręczyć. Nie był z owych szczęśliwców, którym wiatr swobodny w polu odwiewa precz troski i tęsknice, droga ciężaru ujmuje. Co mu raz w duszę zapadło, rosło tam i tkwiło, dręczące, palące, dokuczliwe. Czy chciał, czy nie, obraz synodu hoszczańskiego stał przed nim: ostatni dzień narad, odczytanie protokołu posiedzeń, podpisy... Swary sroższe niż kiedykolwiek, nieprzejednane... A potem zuchwała, tętniąca poczuciem mocy pieśń:

Niech się morze jak chce sroży,  
Niech piasek na brzegi toczy...

zdała mu się być krwawym szyderstwem; ledwo że nie uciekł z sali. Ta pieśń! Dotąd, ile razy

czuł ucisk na sercu, wspominał jej słowa potężne, które wystarczały, by go skrzepić i podtrzymać. Teraz wydało mu się, że nigdy już nie potrafi jej zaśpiewać.

Niech się świat burzy, niech miesza...

Kiedyś właśnie — świat się nie burzył, morze nie srożyło! Jezuita piorunowały na jednobożan, to prawda; żaki od czasu do czasu rozbiły jakiś zbór w grodzie; opacicha sądecka wygnała dzierzawcę, który jej czynszu nie płacił... Straszliwe prześladowania, istotnie! Et, śmiech gadać! Tym samym przecież odpłacały katolikom chrystiany... Nie, ziemia się nie chwiała, żywioły nie sprzysięgały na zgubę chrystiańską — zbór sam z siebie rozpadał się, kruszył, dzielił i pękał jak zwietrzała skała. Gmach czysty, wysoki, pod niebo przed najszlachetniejszych w narodzie wzniesiony, rysował się i trzeszczał aż do fundamentów. Jak gdyby w powietrzu rozsiane, kiełkowały zewsząd nowe, wrogie poprzednim dogmaty, nowe odcienie pojmowania Bóstwa Chrystusowego, nowe określenia sakramentów. Zjawiały się nie wiedzieć skąd, jak żaby z dżdżem spadające.

„Zaraza, jaka czy co — pomyślał z gniewem — że na jedno zgodzić się nie mogą? Na trzech, pięci ludziach cały zbór wisi — wspominał słowo wuja — a gdy pomrą, co będzie?” Nienawiść, którą czuł od dziecka do Kościoła papieżnickiego, antychrystowego (nienawiść wyhodowana, wzrosła, przerosła wskroś serca, acz nie wiadomo, z jakiej właściwie przyczyny powstała), zmieszała się naraz z uczuciem gorzkiej zazdrości.

Oni, katolicy, nie zmieniali się. Gdy jeden umarł, stawało na jego miejscu dziesięciu. Moc ich tkwiła poza nimi — niezależnie od tego albo owego człowieka. Byli wiecznie jednakowi, w twierdzeniach swoich niewzruszeni, krzepcy jak szaniec warowny. Kto chciał wierzyć inaczej, przestawał tym samym do nich należeć... O mądrości przenikliwa! O jasne zrozumienie natury ludzkiej! W tym trza ich naśladować broniąc najpiękniejszego dzieła duszy przed majakami marzycieli lub ustępstwami samolubów, swojej przede wszystkim wygodzie służących. Bronić — siłą, jeśli trzeba...

„A wolność sumienia, Sobciu?” — zabrzmiał powtórnie w uszach cichy, przenikliwy śmiech wuja.

Zdarł mimo woli wodze zaskoczony. Zdziwiony koń stanął strzygąc niepewnie uszami. Sebastian oprzytomniał, poklepał zszerszeniałą od potu szyję towarzysza i ruszył stępa dalej. Tok myśli porwał go znowu.

„Wolność sumienia? Istotnie, pryncypium to zasadnicze, którego gwałcić nie wolno...”  
Nie wolno?

Choć był prostakiem zabitym w swych górach, mało wiedzącym o sprawach przewalających się w świecie, niejednokrotnie spostrzegwał ze zdziwieniem, że kościoły, luterański i kalwiński, które pod tymże hasłem swobody sumienia rozpoczęły walkę z Rzymem, prześcignęły już papieżników w srogości prześladowania tych, co chcieli myśleć inaczej... „Mają słuszość! Mają słuszość! — pomyślał zajadle. — Nie trza dozwalać rozbierać zbudowanego już domu. Wara od budowy, skoro dobra jest...”

„Wolności przeczysz... Rychło patrzeć, jako i papieża uznasz” — zaśmiał się głos poprzedni.

Zakolebał głową z oburzeniem i rozpaczą. W prostej, zwartej i gorącej swej naturze, podobnej dawnym rycerzom zakonnym, czuł silną jak głód lub pragnienie żądę mocnego autorytetu — prawd niewzruszonych, nienaruszalnych, wiecznych, za które słodko byłoby oddać życie, mienie i duszę. Lecz autorytet zboru, przywiązany do postaci paru starców, chwiały się, nietrwały jak oni; zaś prawdy, prawa i dogmaty zmieniały się z każdym nowiem...

Wstrząsnął się zdesperowany i naraz z niewypowiedzianą ulgą uprzytomnił sobie, że wraca do domu. Tam nie odmienia się nic... Dom jego — zbór trwały, szczyt mocny, którego nic nie naruszy. Nie ma obawy, by przyjęły się w nim bezecne uchwały hoszczańskie, splamił go urząd płatny albo miecz... Choćby po całej Rzeczypospolitej gminy zaparły się najświętszych zasad, ten dom zostanie im wierny.

Wjechawszy na wzgórze, wyteżył oczy, aby dojrzeć w przerwie lasów, na stoku przeciwległej góry, swą sadybę. Wydało mu się, że dostrzega dach, niby świeża struga wody święcący nowym podbiciem gontowym. Wpatrzył się w ten błysk daleki jak w uśmiech matczyny.

Wzburzenie minęło; zesłała nań łagodna ukojona, miękka, jak falisty zarys roztapiających się w błękitcie gór. Oto dom, gniazdo rodzone a nad wszystko w świetle drogie. O którejkolwiek powróciłby tu porze, matka i brat utęsknienie powitają go z jednaką radością. Kości jego i krew jedna są z ich kośćmi i krwią. Taż sama wiara, dążenia i dusze. Nie zakłóci jednoty ich współzycia nikt.

O domu luby, w którym nie może być zdrady!... Przejdą lata, pomrą jedni, narodzą się drudzy, a treść twoja zostanie jednaka... Słodkiś jak kołyska, bezpieczny i wdzięczny niby ta dolina miła, uwieczniona wzgórzami, wierny i pewny jak trumna... O domu, gniazdo ojcowe, najcenniejszy darze Boży!...

Śpiewał w sobie hymn radości, dążąc poprzez debrze leśne, miegotne, pachnące. Koń przyspieszył kroku wyciągając raz po raz wodze i dzwoniąc rażno wędzidłem. Jeździec nie widział nic przed sobą, bo wąska ścieżyna wiodła zboczem góry przez leszczynowy zagaj — gęsty i zwarty jak poszycie strzechy. Wkrótce jednak zjechał z góry, przebrnął Czarny Potok, uśmiechnął się bystrej wodzie, co przed chwilą pod obejściem jego przepłynęła, i wysokim już, bukowym lasem piął się pod wzgórze ostatnie. Podniósł oczy i krzyknął z radości: na skraju polany stał Pietrek, brat serdeczny, spoglądając pilno w las. Starszy podpedził konia, dopadł do czekającego, zeskoczył. Objęli się ramionami.

— Słyszałem, że ktoś jedzie przez potok, i skoczyłem, bo cię już od niedzieli co dnia wyglądamy... Ażeś szerniał od tej drogi, Sobek! — dodał ze śmiechem.

— Przekłęta droga, bodaj jej nigdy nie było!... Uch! Jakim rad, Pietrek, zem doma! Jakim rad!

Wziął konia w rękę i poszli razem, szczęśliwi.

Pietrek młodszy był od brata o całe sześć років. Osiemnasty mu dopiero szedł. Twarz miał rumianą i krągłą jak jesienne jabłko. W ogorzeli lica białe zęby błyskały raz po raz niefrasobliwym, szczenięcym uśmiechem.

— Jak żniwa? — pytał starszy z niepokojem.

— Żniwa?! — roześmiał się Pietrek. — W zesłą niedzielę już sprawiliśmy okrężne... Nie marnowaliśmy czasu daremnie. Pszeniczysko nawet zaorane... Jęczmień wcale na deszczu nie był... A ziarno takie ci ma grube jak pszenica — dodał z podziwem. — Takeśwa się z panią matką koło żniwa zakrzatnęli, żebyś sam lepiej nie poredził... Krasula się ociełiła...

— Jałoszkę mamy?

— Ni, byczka; ale piękny, przyda się na wołka. Owce nam czegoś kołowaciały; przychodził znachor z Podegrodzia odczyniać i zaraz im odjęło. Już zdrowe... Znachor prawi, że to pewnikiem górale zadały, dobrego nam pastwiska zazdroszcząc...

Weszli w obejście. Włodarz wybiegł pana witać i odebrać konia. Z uczuciem, z którym porównać można jeno rozkosz, z jaką usta udęczone spieką dorwą się czystej krynicy, Sebastian spojrzął dookoła. Stary, niski dwór śmiał się nowym gontem. *Stuba nigra*, czyli dojnik, łączyła go z oborą. Wielkie lipy kładły powitalny cień na przyzbie...

Dwoma skokami ruszył powracający witać matkę, stojącą na ganku.

Pani Małgorzata z Wierzbietów Pielszowa była wysoka, szczupła, z twarzy niezmiernie do starszego syna podobna. Od śmierci męża nie zdjęła czarnych wdowich szat, oplakując szczerze zmarłego, choć swawolnym a płochym usposobieniem niejednej jej zgryzoty za życia przyczynił. Była surowa sobie i innym, małomówna, głęboko czująca. Po niej to Sebastian wziął ową skrytość, co go dzieliła od ludzi niby częstokołem, zatopienie się w sprawach dusznych i zaciętość w każdym poczynaniu. Oboje jednak obojętni na drobiazgi, zewnętrzne ozdoby lub przystroję bytu, dźwigali w skupieniu przyjęte na się dobrowolnie żelazne jarzmo surowego życia, bez kompromisów żadnych ni uchyleń. Jedyłą słabością tych dwu serc bliźniaczych był ów najmłodszy Pietrek, po śmierci trojga dzieci urodzony jakby na pociechę, zwierciadło wesołego ojca, chłop żywy jak skra, gadatliwy, pełen radości i śmiechu jak potok wezbrany wody. Niepobłażliwi sobie i innym, dla niego jednego chowali w sercach nieprzebrane zasoby miękkiej wyrozumiałości, ani przypuszczając, że miłują w nim wygnane od siebie urodę i słodycz życia.

Zaledwie Sebastian posilił się misą gramatki, pani Pielszowa, chciwa wiadomości, zapytała go o synod. Siedzieli wszyscy troje w dużej izbie jadalnej i świetlicy zarazem, o niskim, ciemnym belkowaniu. Wzdłuż pułapu leżał wielki siestrzan, z datą budowy wyrytą pośrodku i foremnym kołem, oznaczającym, że budowniczy umiał obchodzić się z cyrklem. Sebastian odsunął miskę i wstrząsnął głową z niechęcią.

— Wszystko osobliwie powiem, pani matko dobrodziejko, jutro w grodzie, relacją przed starszyzną zdając, to i usłyszycie. Ninie naisto lepiej sobie serca nie rozkrwawiać... Generalnie jest źle, srodze źle. Wstyd nawet gadać. Jedyńa uchwała przyjęta — to prawo trzymania urzędów i noszenia miecza...

— Nie może być! — krzyknęła zrywając się z ławy.

— Tak jest. Silno na to większość napierała... że to młodzi od zboru stronią, że represje papieżnickie są i trza się bronić. Racyj sobie dość należeli.. Protestację zakładali poniektórzy... Ja takż protestowałem... Co komu moje wotum? Dobrze, że je wysłuchano! Uchwalili. Mam odpis protokołu z pieczęciami i podpisami ze sobą...

— Nie może być! Nie może być! — powtarzała. Rozpacz jej była tak wielka, że Sebastian starał się złagodzić wrażenie swoich słów.

— Nie trapacujcie się aż nazbyt, pani matko. Bez potrzebym to od razu rzekł. Są zastrzeżenia, kondycje. Jeno w dobrej sprawie wolno miecza zażyć...

Roześmiała się gorzko, świadoma życia i praw jego.

— W dobrej sprawie! A któż będzie sądził wpród? Wyroki, zali godziwa abo nie, ferował?! Każda sprawa dla tego, co bije, jest dobra, a dla pobitego zła. Obaczysz, co z tego pójdzie; zepśni się wszystko jak w innych kościołach... Ciężko doświadczasz nas, Panie!

— Wiera, nasza gmina tego nie przyjmie — odparł stanowczo Sebastian. — Niech sobie ruskie szablą brząkają, storzą się, a ino patrzeć, kiedy poddaństwo przywrócą... Nikto się u nas na to nie złakomi, z wolności tej nie skorzysta... Nie frasujcież się tak srodze, pani matko dobrodziejko, dosyciem się sam trapił całą drogę, ciągiem jeno o tym rozmyślając. U nas się to nie zaszczepi; ostanie wszystko jak drzewiej...

Spojrzał, gdzie siedział Pietrek, chcąc usłyszeć potwierdzenie, ale brata nie było. Wymknął się z izby niepostrzeżenie. Matka zostawała niepocieszona, w uchwale zapadłej widząc koniec zboru. Mówili długo, aż się ściemniło na dworze. Wszystko, co syn jadąc przemyślał sam, co mu wtuliło się w serce zgryzotą, rozpatrywali teraz z trwogą i boleścią we dwoje. Nareszcie Sebastian wyszedł doglądnać obrządku.

Przechodzącemu koło brogu wielki, ciemny kształt skoczył na ramiona i mało nie zwałił z nóg. Dusił się w krzepkim uścisku, oszołomiony, podczas kiedy głos zmieniony, zanoszący się ni to łkaniem, ni śmiechem, bełkotał w ucho, pijany radością:

— Sobek!... Sobek!... Ażem tu wylazł, zdzierżec z uciechy nie mogąc!... Chyba me rozniesie!... Jezus! W usarze pójdę!... Sobek! Grzechu nie ma — bronić nie będziesz! W usarze! Do hetmana! W Inflanty!... O reta!!

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### CZAR OREŻA

Całą jesień i dobre pół zimy zajęła sprawa Pietrkowa. Uparty otrok, znarowiony jak koń naturzysty, przemógł nieprzejednany zrazu opór matki i brata. Ustąpili widząc, że gotów grzeszne myśli do siebie dopuścić albo do zbójników (o czym w desperacji napomykał) przystać. Lecz wyrwane gwałtem przyzwolenstwo zaciążyło na życiu domowym jak bolesna, jątrząca wciąż rana. Słabość żywiona niegdyś do męża, urodziwego wietrznika, przeniesiona na najmłodszego, czyniła matkę powolną, choć nie przekonaną. Wobec łez i pieszczot padającego do stóp w błaganiu chłopca roztapiała się zwykła, stanowcza jej surowość, za co pogardzała samą sobą, gorzkie sobie czyniąc wyrzuty. Oboje z Sebastianem potępiali własną słabość, której się wstydzili wzajemnie, jednak ciężko bolejąc. Stryj Hermolaus pocieszał bratową, jak mógł, tłumacząc animusz Pietrkowy — ale nadaremnie. Matka i starszy syn zamknęli się w sobie, urażeni głęboko, niezatarcie.

Gdy zasadnicza sprawa przestała być przedmiotem sporu, wyłoniła się druga: do jakich chorągwi wyruszy młody odstępcą. (Protestował przeciw tej nazwie, zasłaniając się powagą synodu i przykładem wielu.) Pietrek chciał gwałtem do usarii, czemu przeciwiał się Sebastian ze względu na koszt.

— Idź, jak chcesz, do lekkiej jazdy albo do kozaków...

— Rzeknij od razu: w rajtary! — mówił rozżalony brat.

Ani myślał poprzestać na półzwycięstwie i odstąpić od marzenia. Dzieckiem będąc widział usarię czasu wesela króla z nieboszczką królową Anną i do tej pory pamiętał.

Za ekwipunek zrzekał się całej części ojcowizny, przysięgał, iż nigdy niczego z domu nie zażąda. Jędrzek Rupniewski też się do usarżów wybierał; poszliby razem. Skłopotany i zżółkły ze strapienia, Sebastian wybrał się na zamek sądecki do starosty, pana Ligęzy, po radę.

Był to raczej sympatyk i protektor zboru niż wyznawca, bo ponurzać się nigdy nie chciał ani urzędu nie składał. Przecie cieszył się w gminie niemałą powagą, dowcipu będąc bystrego i wielkiego serca.

O rozterce w domu Pielszów wiedział już od imci pana Hermolausa, tedy w pierwszych słowach winał Sebastianowi ochoty braterskiej, największej pochwały, jego zdaniem, godnej.

— Nie mówmy o tym nieszczęściu, skorom już przystał — przerwał Sebastian. — Teraz rzecz jeno w tym, dokąd ma się chłopiec zaciągnąć? Nie posiadając ni żadnej eksperjencji w tych sprawach, ośmielam się suplikować waszmość pana dobrodzieja mego o radę...

— Stryj waćcin mówił, że chłopiec się prosi w usarię.

— On się przy tym upiera, ale ja przystać nie mogę... Ekwipunek usarski!... tysiąc złotych!...

— Przyłóż waćpan drugie tyle — uśmiechnął się starosta. — Wzdyc jednak chłopak ma rację: iść służyć, to jużci nie gdzie indziej, jeno w najprzedniejsze chorągwie... Towarzysz usarski zawdy to insza niż petyhorzec. I zachowanie nie lada jakie, i zdobycz. Wojna uboży, wojna bogaci!... Za wyłożone grosze przywiezie wam ludzi czy dobra w dwójnasób...

— Ani chcę na oczy widzieć tego dobra, krwią i krzywdą zdobytego — mruknął zaciekle Sebastian.

Lecz starosta ciągnął dalej:

— Przednio się składa, bo rotmistrz Giedroyć, któren u hetmana litewskiego jest, mój kum, i snadno list rekomendacyjny do niego mogę dać.

— Bóg zapłać waszej miłości, wszakże nie na nasze chudopacholstwo taka impereza...

— Et! — obruszył się pan Ligęza — folwark niczego, jak mnichy żyjecie, to jakoweś talary pewno się znajdują w pończosze matczynej... Nie chcecie inaczej, to chłopcu z ojcowizny wydatek potracie...

— Sam on tak prawi, ale rzekę bez obłazu, iż ani rad bym go krzywdzić, ani ostatnich groszy się pozbywać.

— Was te sprawy patrzą. Jak wola! Moja personalna rada: chłopcu zwolić. Konie dostałbyś waćpan u Jordanów w Bobowej, dobre, po trzysta złotych, może łączniej...

— Konie? — powtórzył Sebastian z przestachem.

— Jakże! Mniej niżli na trzech nie przyjmą... Brat i dwu dobrych pachołków, jeśli można — ze szlachty... Trzy konie dużej miary; byle chmyz nie wy dzierży... Siodła, kropierze, tandem zbroje, łepki, kopie, koncerze, szable, no i reszta...

Sebastian wziął się za głowę i podziękowawszy wyszedł jeszcze bardziej zgnębiony. Z winiarni „Pod Dudkiem” stryj Hermolaus kiwał na niego ręką. Siadł przy nim i krewniaku Pielszu z Rogów, posepny i milczący.

--- Bój się Boga, Sobek — strofował go stryj — dyć w trzy niedziel po śmierci weselszy będziesz prezentował aspekt niżli ninie! Czegoś się tak zasumował?

— Skaranie z tym Pietrkiem! — wybuchnął synowiec. — W usarze! Trzy konie i trzy zbroje! Słyszeli stryjce? Chyba wyprzedać się przyjdzie!

— Zbroja zbroi nierówna — reflektował Rogowski. — Pietrkowi trza sprawić porządną, dla pachołków zgoła pośledniejsze... Pytales się, Sobek, u Lwowczyka, wiele chce?

— Anim jeszcze zachodził — odburknął. — Kiej starosta zaczął wyliczać, co trza, aż mię we łbie zamroczyło...

— Chodźwa do Lwowczyka zaraz — doradził ochoczo stryj.

Lecz Sebastian się nie kwapił. Wrócił do domu wieczorem z rozkołataną głową. Siadł w swym alkierzu, zasunawszy obartlik u drzwi, i począł liczyć półgłosem: trzy konie po trzysta złotych... Rany boskie! toć już jest tysiąc bez mała! A rzędy, czapraki, zbroje, skrzydła... O reta! Jeszcze i skrzydła! Hełmy, szable, koncerze i reszta!... Reszta?! Więc to jeszcze nie wszystko?

— Wóz! — wykrzyknął nagle głośno. — Toć trzeba woza, pary koni dobrych i woźnicy...



Zerwał się wzburzony i biegł z kąta w kąt izby. W utkanych mchem szparach cykały gderliwie świerszcze, na starej lipie za oknem kuwikały sowy, z sąsiedniej zaś bokówki dolatywało chrapanie brata, pewnego swej sprawy. Sebastianowi wydało się, że go nienawidzi za ten beztroski, spokojny, niezmacony sen... Usiadł kalkulując znowu. Po chwili podszedł do skrzyni. Była to skrzynia wielka, wyżłobiona w potężnej dębowej kłodzie, aby jej nikt nie poradził wynieść, obita żelazem pięknie wykowanym. Wyjął zza belki klucz duży, dziwaczny i otworzył ze zgrzytem wieko. Wewnątrz, w przegrodach, leżały manele, zapony i rubinowe zawieszania matki, przez nieboszczyka ojca sprawiane, spinki i trzęsienie dziadowe, a zresztą talary i dukaty. Była tego spora kupa.

„Z biedą wystarczy — pomyślał — ale nie zostanie ani grosza...”

Porwała go znów fala gniewu. Na toż oboje z matką zbierali tyle lat, oszczędzali, uważając ten kapitał za święty? Myśleli nieraz, że oddadzą go na cele zboru, poratują gminę w jakim ważnym a trudnym momencie. Roili im się po głowie jakoweś fundacje, zbory albo księgi!... A ot na co grosze cierpliwie uciulane pójdą: na zaprzeczenie wszystkich ich wierzeń, zamysłów, całego życia!

Zatrzasnął wieko ze złością, zdusił palcami płomień świecy i rzucił się w ubraniu na posłanie.

**S**ławetny imć pan Baltazar, z prześwietnego rodu lwowskich Pedianów, piszący się: Pedian Leopolda, lecz pospolicie zwany w grodzie Lwowczykiem, był miecznikiem, płatnerzem i siodlarzem zarazem. W rozległych jego warsztatach biegli rzemieślnicy wyrabiali wszystko, co potrzebie rycerskiej służyło. Czego nie zdołano wytworzyć na miejscu, sprowadzał ze Lwowa, z Italii, Stambułu lub od przesławnego imci Hieronima Cacci, posiadającego w Samsonowie największe w Rzeczypospolitej kuźnice broni.

Wchodzących trzech panów Pielszów powitał z uprzejmą powagą, uchylając z lekka aksamitnej, krągłej mycki. Sklepiasta izba była głęboka, dość mroczna, bo misternie kute kraty przesłaniały okna. W głębi, zza dźwierzy do indermachu wiodących, dolatywało kucie czeladników. Na sklepieniu, w bogatym ornamentcie, widniał napis: „Boga się bój, Cnoty się dzierz, Fortunie nie ufaj”.

— Zali dostaniemy u wasci godny a pełny rynsztunek usarski? — zapytał pan Hermolaus. Urażona godność odbiła się na twarzy pana Baltazara.

— Na cały komput, jeśli wasza miłość sobie życzy... Wiele ludzi?

— Ten oto towarzysz i dwóch pachołków.

— Zrazu dobierzem moderunek dla waszej miłości... Krzyknął na czeladnika, który podsunął gościom rzeźbione zydle i pchnął drewnianą zaworę okna, wychodzącego na dziedziniec. Zrobiło się nieco jaśniej. Pan Baltazar chuchał w palce, a przebijając rzekomo klucze, spoglądał się spod oka klientom, rad trafić bez ceregieli w ich możność kupna i chęci. Przenikliwym wzrokiem zdołał zlustrować ich odzież, sanie stojące przed domem, i wcale pękaty mieszek, wypychający kieszeń Sebastiana. Na dany przez niego znak pachołek wyniósł z indermachu trzy koźlice drewniane, po czym zawiesił na każdej półpancerz usarski, z płachów dwóch szczepiony, z naramiennikami, zarekawiem i rękawicami. Odjęte nagolenie i kolanniki spoczęły pobok na ziemi jak rozczłonkowane części stalowego wielkoluda. Jedna zbroja była hecowana, druga szmelcowana, trzecia, weneckim manierem, cudnie złotymi wzorami napuszczona. Pietrkowi oczy załśniły. Stryj Hermolaus chrząknął z uznaniem i doradzał bratankowi szmelcowaną.

— Do takiej zbroi ani lepka, ani mycka, jeno kapalin się godzi — prawił pan Baltazar wyjmując z almarii hełm.

Pietrek wstrzymał oddech w piersi. Błyszczący jak srebro kapalin wyrobiony był w strefy podłużne, na blachach bocznych nausznych pięknym grawerunkiem zdobiony. Płach tylny osłaniał kark. Umocowana na śrubie w potrzasku, chodziła z góry na dół przyłbica w kształcie kotwy, nos i policzki osłaniająca. Z prawego boku, w misternie rzeźbionym ujęciu, kłoniła się lekko, rozwiewała pod oddechem forga czarnych strusich piór.

— Jezu! — szepnął Pietrek w zachwycie. Ujął hełm w ręce śmiejąc się doń jak dziecko.

— Nigdzie w całej Rzeczypospolitej, nawet u Cacci, takowego kapalinu nie uświadczy — prawił z naciskiem pan Baltazar. — Mediolański to kunszt, tajemnicę cechu stanowiący.

Teraz wiódł ich na dziedziniec, gdzie z siodłami wyniesiono rzędy i kulbaki wysokie, z przodu do pół ciała osłaniające. Stryj Hermolaus upodobał osobliwie jedno siodło, czerwoną skórą obite, gęsto guzami złożonymi nabijane. Pod siodło przychodził czaprak dywdykowy wschodni, z frędzlą złocistą, i pilśniowy, miękki płat. Trenzla, podogonie, wytok i napierśnik wyrobione były z blankowej, purpurowej skóry, złotą blachą nabijanej. Na czoło konia przychodziło słońce pozłociste, pod szyję buńczuk z czarnego włosia, kita piór czarnych na głowę.

— Bacz, Pietrek — pouczał stryj — że to nie terlica, z którą się pod brzuch przekocisz, i nic... Siedniesz sztywno, nogi rozkraczywszy — wnet konia odsednisz... Pryncypialna rzecz: o jeździe nie myśląc, samym sobą z lekka, jak koń stąpi, chybać...

— To jest rząd bojowy zwykły — mówił pan Baltazar. — Paradnych nie ukazuję, jako w potrzebie mało sposobnych.

— Są piękniejsze? — szepnął Piętek z niedowierzaniem.

Pan Baltazar uśmiechnął się pobłaźliwie, lecz nie chcąc tracić czasu zwrócił jeno uwagę na trzy tuleje przy siodle osadzone — dwie na skrzydła, trzecia, dolna, dla kopii. Pacholek niósł właśnie skrzydła. Wysokie były, orle, w srebro oprawne. Przykładły się gładko w tuleje.

— Pacholek damy skrzydła żurawiane, miedzią prawione, by ekspens mniejszym uczynić — rzekł spieszenie spostrzegawczy kupiec, chwyciwszy gniewne spojrzenie Sebastiana. Podjął spod ściany jedną z suszących się tam kopii. Miała osiem i pół łokcia długości, drażona wewnątrz, dla mocy opleciona ciasno surowcem i oblana smołą. Na końcu połyskiwał grot; brakło jej tylko proporca.

— Pancerza snadno z impetu przebije, a przecie lekka jak piórko — zachwalał ważąc ją w rękę z lubością. — Weź tę jedną, wasza miłość, zaś w domu poradzą zrobić więcej... Na wóz dobrze wziąć choć ze sześć, by pokruszywszy w natarciu, nie stać bez kopii... Proporzec ma być kitajkowy, końskiego ucha sięgający; poszyć trza w domu, wedle barwy chorągwi.

Zwiódł ich z powrotem do sklepu, by wybrać właściwą broń. Twarz mu spoważniała, stała się uroczysta. Pietrek wlepił węń oczy urzeczone, gdy z zagadkowym uśmiechem alchemika schylonego nad tyglami jał wydobywać z głębokiej almarii szable polskie, szable wielkie, czyli czarne, pałasze, czeczugi, szerpentyny i demeszki. Każda z nich miała swoiste cechy, odrębne, wyrobione miłośnie, starannie. Misternie obmyślane, do kształtu dłoni dobrane wygięcia — przedziwne ornamenta i wzory wiły się po gładkiej stali, gładzonej, polerowanej, rzeźbionej i rytej długimi miesiącami, ku przyszłej rozkoszy rycerskiej, przez wybladłych w indermachu czeladników.

— Jakiej szabli zwykł wasza miłość zaŚywać? — zapytał imć pan Pedian Leopolda.

Ciemna luna zalała okrągłą twarz chłopca...

— My z braci polskiej — wybąkał — chrystianie... Szabli dotąd nie noszący...

— A... a... a... — rzekł obojętnie kupiec. Sprawy religijne były mu najzupełniej obce.

Lecz Sebastian odczuł wstyd w głosie brata i ogarnęła go cicha pasja. Wstał chcąc rzucić mieszek stryjcowi, wyjść trzasnąwszy drzwiami i nie pokazać się więcej. Po chwili jednak siadł znowu, przeżuwając w milczeniu wzbierający gniew.

— Radziłbym tę waszej mości.

Pan Baltazar podawał Pietrkowi połyskliwą klingę z krzyżowym jelcem i małym skobelkiem, zwanym paluch. Zgiął ją w dwóch palcach: zwinęła się w obłąk posłusznie, by rozprostować się znowu ze świstem jadowitym. Dłonią ochędożył pochwę jaszczurową, srebrem obkładaną, i ukazał cudną robotę głowni.

Z zawstydzonym półuśmiechem stryj Hermolaus ujął nieśmiało szablę w rękę, odsunawszy się w głąb, ciął krzyżową sztuką — odsapnął i ciął raz drugi. Szabla furczała w powietrzu ostro, przenikliwie.

— Dobra — rzekł z uznaniem, kładąc ją na stole.

Pan Baltazar z drugiej almarii wyjmował już koncerz, ciężki miecz obosieczny bez pochwy ni ozdób, mający przyjsć na siodło z lewej strony, pod nogę. Ten miał rękojeść prostą, w górze okrągłą spłaszczoną, by nacisnąwszy moc snadniej przybić do ziemi powalonego wroga.

Sebastian patrzył ponuro na błyszczące oczy stryja, na ręce brata radośnie oplatające srogie jelce koncerzowe. Pan Baltazar z brzękiem wyciągnął zamcyste puzdro. W oczach miał szczery, zachwyt mistrza dla swojego dzieła.

— Cyt! — szepnął. — Same najprzedniejsze cacka... W otwartym puzdrze zamigotały krótkie, zjadliwe mizerykordie, tulichy — srogie, krwi żądne klejnoty, o przedziwnie wyrabianych, inkrustowanych, kamieniami bezcennymi sadzonych głowicach.

— Puginął... W cieśni broń bardzo gotowa — dodał podając jeden z nich Pietrkowi.

Spotniały z wrażenia chłopiec ujął go ostrożnie, z nabożeństwem, niby świętość. Oddech nachylonych ust jego i stryjca powlókł jasne ostrze mgłą, śmił na moment blask kamieni...

— Szczyt? — spytał z kolei kupiec ukazując na wiszące u stropu kałkany, lekkie, a mocne, z figowego pręcia, barwistym jedwabiem owiniętego, splecione, ze złotym uchwatem, czyli cyrkułem pośrodku.

— Usarze nie noszą już pono szczytów, jeno pancerni — rzekł stryj Hermolaus.

— Może być! Tedy trza jeszcze nadzieak, ostrogi i skórę, a ekwipunek gotowy...

Z indermachu wyniósł skórę lamparcią, pstrą, gorącożółtym tabinem podszytą, głową Meduzy na piersiach spiętą.

— Dla pachółków nagodzą się wilcze — rzucił znów uspokajająco w stronę Sebastiana.

— Mamy doma wilczych skór a niedźwiedzich z pół kopy — zauważył Pietrek.

Uprzejmy kupiec ofiarował się wymienić skórę lamparcią na cztery niedźwiedzie, co skwapliwie przyjęli. Teraz, wybrawszy ciemny, palony w ogniu, śmiertelny w uderzeniu nadzieak i ostrogi, oglądali zbroje i rzędy dla pachółków, skromniejsze, ale rzetelne i dobrej roboty. Umówiono się, że Pietrek przyjedzie nazajutrz z pachółkami i końmi, by rzemienie pancerzy, popręgi i czapraki godnie dopasować. Za czym pan Baltazar poprosił klientów na górę, do mieszkania, gdzie przystojniej będzie targu dobijać niżli w sklepie na stojącąkę, niby z byle kim.

Idąc Pietrek oglądał się raz po raz na brata, lękliwie i czule zarazem. Stryj Hermolaus spokojną pozornie miną zatajał żywy niepokój. Lwowczyk wprowadził ich do komnaty niezmiernie pysznej, o kasetonowym, złożonym podniebieniu, szklanych oknach i ścianach zawieszonych kołtrynami. Przyszły towarzysz usarski otworzył gębę szeroko, pierwszy raz widząc podobne splendory, i tak pozostał. Gospodarz kazał podać miodu, a rozłożywszy karteluszył ją wypisywać rachunek. Stryj nachylił się nad nim uważnie. Wydawali raz po raz ciche okrzyki, trzęśli głowami, protestowali wzajemnie. Kilkakrotnie pan Baltazar zrywał się chcąc biec na dół i sprowadzić świadków na to, że towar ze stratą, z czystej dobroci sprzedaje, lecz stryj

Hermolaus osadzał go ponownie, ująwszy kordialnie za ramiona. Na koniec zsumowali zgodnie długą kolumnę cyfr. Suma była wielka, większa znacznie niż w najgorszych przewidywaniach Sebastiana. Pietrkowe usta skrzywiły się żałośnie jak do płaczu; spojrzął na brata z przerażeniem, lecz ten nie rzekł nic. Powtórzył cyfrę dwa razy, jakby nie rozumiejąc, rozsypał mieszek i wysypał pieniądze na stół. Teraz dopiero spełnili kielichy.

Imć Baltazar Pedian kłaniał się dziękując.

Gdy pożegnawszy go zeszli na dół, mrużąc oczy przed nagłą bielą śniegu, Pietrek bez słowa rzucił się bratu na szyję. Lecz starszy odsunął go szorstko, niechętnie... „Niech się to już raz skończy, niech się skończy!” — pomyślał.

Skrzypiąc płozami jechali do domu w milczeniu. Przed bramą Pietrek szustnął z sań biegnąc do stajni, gdzie stały zakupione zeszłej niedzieli u Jordanów dryganty. Podniesiony tuman śniegu załśnił za jego chyżymi stopami.

„Żebyż to się już skończyło!” — powtarzał w duchu Sebastian wyłażąc niemrawo przed gankiem.

Ale koniec był jeszcze nierychły. Zabrawszy rysz tunek swój i chłopców od Lwowczyka, Pietrek przez chwilę jeno myślał, że już jest rycerzem. Bogać tam! Toćże ani wiedział, jak zażyć drzewca, a szablą machał niby gałęzią zaganiając na pastwisku krowy. Stryj Hermolaus załamał ręce i przywołał całą dawną umiejętność młodych lat (nie zawsze przy drewnianej szabli chadzał), by synowca w arkana żołnierskiego kunsztu wtajemniczyć. Co dzień zatem na polanie leśnej, z której odmiatali śnieg, oddalonej od dworu (by oczu Sebastiana i bratowej nie ranić) — stary pan ćwiczył Pietrka, a przy okazji obu pachółków, synów szlachty ubogiej, *nobiles pauperes*, z Dobrocieszy i Drużkowa. Jędrak Rupniewski, zwiedziawszy się o tej nauce, uprosił, by go do ćwiczeń przyjęto. Cięli się szablami lub konno potykali żerdziami grochowymi. O zmroku wracali radośni, zmęczeni, z opuchłymi dłońmi i iskrzącymi oczyma, śpiewając na całe gardło — bynajmniej nie psalmy. Sebastian zamykał się, aby ich nie widzieć, nie czuć nowego, obcego tętna, wprowadzonego pod dach. Coraz częściej zdawało mu się, że nienawidzi brata, stryja, Jędrka, nawet obu Bogu ducha winnych pachółków. Ci zaś rozrośli się, stąpali buńczucznie, wesoło i spoglądali z góry na całą dziedzinę. Ba! Sebastianowi zdawało się nieraz, że zaczynają patrzeć z góry i na niego, śmiesznego niedojdka z drewnianym pałaszem. Stryj chwali postępy elewów.

— Jeszcze ze dwie niedziele — mawiał — a Pietrek wstydu nam nie przyczyni...

— Żeby już raz pojechał! — wzdychał uparcie Sebastian. Lecz stryj orzekł, że nie ma co jechać, dopóki trawa dobrze nie puści.

A wiosna szła szybkim krokiem. Ciepły wiatr lizał śnieg, który kurczył się i uciekał wysoko, coraz bliżej szczytów. Łęgi zieleniły się młodą trawą, nad którą wrzeszczały pijane radością czajki. Starzyny i oparzele zaroily się od ptactwa wracającego z południa. Głośne klangory kluczy żurawianych, ciągnących od ciepłych równin węgierskich, grały w wysokich obłokach. Zasilone do przesytu wodą śniegową, potoki pędziły z tartasem w dół, waląc po drodze kamienie i śniaty — mętne, zjuszzone, szalone. Dunajec wezbrał, zdufniał, zalał nawet grądy, z chełstem i szumem podszedł pyszny pod sądecki zamek, zaglądał w okna komnaty starosty. Wszystkie drogi poprzerywane były tysiącnymi strużkami wody, śpieszącymi co tchu, niby gońce nieomylniej, najważniejszej wieści, do najbliższego potoku. Na słonecznych haliznach błękitniały jak niebo przylaszczki. Dzwony katolickie biły wieszcząc Zmartwychwstanie.

List rekomendacyjny starosty Ligęzy do pana rotmistrza chorągwi usarskiej Giedroycia nosił już Pietrek w zanadrzu, niby amulet. Stryj Hermolaus w dawnych wspomnieniach walecznej młodości odmłodniał.

— Dziesięć років mi ubyło, odkąd tego chmyza zaprawiam — rzekł kiedyś przy

wieczery nieobacznie. Gdy Sebastian w odpowiedzi spojrział jeno spode łba, ponuro, a jejmość bratowa wstała bez słowa i wyszła z izby z zastygłą twarzą, stary z zakłopotaniem skrobał się za uchem, zmartwiony.

„Wiecznie egzagerują — pomyślał z niechęcią. — Gdzie tu przyczyna takowej alteracji?”

„Żebyż już raz pojechał” — kołatało ustawicznie w głowie Sebastiana.

Chcąc wypełnić obowiązki braterskie do końca, załadował wóz, kowany, mocny, mający pomieścić zapasy podków, hufnali, oceli, łuby z odzieżą, rynsztunek, derki do spania i na konie, szynki dzicze, połcie szperki, placki suszone prosiane, czyli brzyczne, i baryłkę niewielką gorzały. Z wozem miał jechać poważny kmieć, Maciej Boguta, rozważą i statkiem nadrabiający niedoświadczenie młokosów. Konie, pasione owsem, niecierpliwiły się w ciasnej stajni. Tupiąc kopytem w przegrodę, pączając się wzajem, zwracały na wchodzących, wielkie, połyskliwe oczy, pytające: kiedy?

— Skoro, skoro! — odpowiadał Pietrek głaszcząc giętkie, lśniące szyje. Wtulał twarz w miękkie kądziele, sam nie wierząc swemu szczęściu. Życie dotychczasowe widziało mu się mizerne i szare jak płachta konopna. Sprawy zboru, arcyważne niby, wieczne spory między Socynusem a Farnowskim — śmiechu warte. Drżał z niecierpliwości na równi ze źrebem.

Na koniec drogi obeschły, a stryj wyznał z żalem, że niczego więcej nauczyć ich nie potrafi. Sposobiono się do podróży. Pietrek chodził niby we śnie. Nastka od krów spuchła od płaczu, bo się miała ku szwarnemu Jaśkowi Ogniwo z Dobrocieszy. Cały folwark poruszony był rychłym wyjazdem panicza. Jedyne matka, wytrwała w zawziętości, siedziała nadal przy krosnach lub w ogrodzie, pilnując dziewczek kopiących zagony, obca podróży, nie chcąc nic o niej wiedzieć. Ani spojrzała na splendory usarskie Pietrka, ani chciała obaczyć go w tym stroju. W bolesnym zaciśnięciu serca rozmyślała z żalem, że oto traci czwarte dziecko, najmilejsze.

Gdy Pietrek przyszedł paść jej do nóg, szepcząc tkliwe, dziecinne słowa pożegnania, załkała, przyciskając go rozpacznie do serca, lecz nie chciała nawet wyjść, by popatrzeć na odjazd. Zawarła się w swym alkierzu.

Uściskawszy brata i stryja Pietrek skoczył na konia — zatoczył nim, spojrzął, czy wszystko gotowe. Jaśko Ogniwo z Dobrocieszy i Grzela rodu Czarny Jeleń z Drużkowa siedzieli już na koniach. Wyładowany pakownie wóz obciążony był starannie płachtą smołowaną. Boguta kreślił szeroko batem znak krzyża nad końmi. Nastka dojarka i matka Grzeli, stara Jeleniowa, stały chlipiąc przed domem.

Drzwi skrzypnęły nieśmiało jakoś, boleśnie. To matka nie strzymała, wyszła. Pietrek zawrócił, zeskoczył, padł do kolan, pocałunkami okrył ręce, twarz odtężała nagle, ciemne pod czepcem włosy.

— Jedź już! jedź! — powtarzał zdławionym głosem Sebastian.

Oderwał się chłopiec od matki, spojrzął na nią: uśmiechała się do niego przez łzy, zmożona uczuciem.

Siadł na konia i ruszyli. Tuż za bramą ogarnęło go wesele szczęśliwe swobodnego żołnierza, niefrasobliwość czarowna wojačka. Wydało mu się, że niby bocian odbija się nogami od ziemi i rozpościera skrzydła, by ulecieć... Skrzydła! Choć starannie opakowane leżały na wozie, obejrzał się żywo, bo zdało mu się, że ma je niechybnie u ramion. Wiatr wiosenny szumiał. Konie parskały zrywając się raz po raz. W górze gąstoliły drzewa. Pietrek obejrzał się znowu na dom. Pobita w zeszłym roku gontowina już zszarzała — widniał w oddali maleńki, bury jak grudka zeschniętego błota, roztopiał się we mgle porannej...

## ROZDZIAŁ OSMY

### SZLAKIEM MORU

**O**d pół wieka nie pamiętają takiego moru jak ni-nie — prawil Rogowski alias Pielsz de Rogi. — Rychło patrzeć, jak poczną z Krakowa ludzie uchodzić. Pod Lwów zarazę plugastwo pogańskie przywlokło i teraz het całe województwo ruskie, a i część sędomirskiego i krakowskiego zajęta. Pono i na Mazowsze już sięga...

— Kara Boża!

— Byle tu nie doszło — szepnęła pani Pielszowa.

— Owa! Tutaj nie przyjdzie! Tu góry... Powietrze jeno po nizinach rządzi. Zawdyć król jegomość z dworem i kto możniejszy w nasze góry albo w Niepołomicką Puszczę uchodzą. Widno nasze leśne majki i brzeginie mocniejsze niż owa wiedźma...

— W sześćdziesiątym ósmym roku była tu przecie zaraza — zauważył sceptycznie Sebastian.

— Raz jeden! Wielga mi rzecz! Zlicz no, wiela razy była od tego czasu na Rusi!

— Najważniejsza przeciw zarazie ochrona — pouczał stryj Hermolaus — dobrze z chowańcem żyć, a nie przeciwieć mu się, jak to różne czynią. Chowaniec życzliwy a wdzięczny zarazy do domu nie puści, choćby wokoło już była...

— My mu nie przeciwni — rzekła bratowa.

— Wiadomo! A są takie, co o chowańce nie dbają... *exemplum* mój sąsiad Wierzbięta: miał ci skrzata, któren dropia tej maści nie lubił. Nie lubił, to nie lubił — nie trza się było przeciwieć. Aż tu niedawno Wierzbięta świerzopę dropiałą z jarmarku zwiódł. Żona w płacz: Chowaniec się ozeźli, powiada. A niech sobie pęknie ze złości, prawi Wierzbięta, szkapa dobra, taniom kupił... Legli spać. Skrzat na kobyłę! Całą noc na niej kajsik gnał, że ją rano schwaconą zastali, a sam poszedł w świat i teraz wszystko im ginie. Mówiła mi Wierzbięcina, że ni gęsi, ni kury uchować nie mogą...

Strząsnął na ścianę trochę miodu z czarki z życzliwym uśmiechem.

— Naści! Pewnie tam gdzie podłuchujesz, bestio, napij się a labuj sobie!

Siedzieli na przyzbie w pogodnych blaskach słońca. Złota jesień okryła czerwienią góry, a białym przedziwem czerwień. Srebrne strzapia babiego lata, płynące lekko z oddali, czepiały się głów siedzących, niby wieści przybyłe z nawi, zaświata. Przeciążone słodyczą niebo leżało nisko nad wystrojoną na ostatnie gody ziemią. Przejrzałe ożyny kapały z parkanu żalobnie czarnymi kroplami. W ogrodzie różowiały wonne przyzmy jabłek, pachniała męcząco pietruszka. Nad głowami, pod wystającym okapem, kołysały się pęki schnących ziół.

— Jak tam z siewami stoicie? — zapytał Rogowski.

— Ja na moich lipowskich ślinach nietęgo, bo ciężka robota, ale Sobek bez mała już skończył...

— Podorywki wszystkie, a siewy za dwa dni — potwierdził nie bez dumy synowiec.

— Gotowyś z robotami, a do Marcina jeszcze trzy niedziele! Tyle czasu! Co będziesz robił, chłopie? Ja ci powiem: ożeń się!

— Święte słowa: niech się żeni! Ma czas do zimy...— przywodził krewniakowi stryj, gdy Sebastian otworzywszy usta spoglądał na nich zaskoczony.

— Z kim? — wykrztusił wreszcie.

— Juźci z panną, nie z pachółkiem... Czego się czerwienisz? Upatrzyłeś już jaką dziewczkę? Ejże ino?

Wzruszył ramionami niechętnie, nie znosząc takowych żartów... żenić się? Wiera, trza będzie kiedyś to uczynić. Matka coraz starsza, przydałaby się jej wyręka. Samemu ostać jako pień, nie łza również. Nie negując obowiązku podtrzymania rodu, odsuwał go jednak jak najdalej, za zło raczej nieuniknione uważając. Surowo żył, iście jak mnich, nie folgując zachciankom ciała — aż wżył się w to, wzwyczał, w pracy ciągłej lub długich włóczęgach łowieckich po górach stępując ostrzeżeniu możliwej pokusy. Żona? W gospodarstwie i rodzinie potrzebna, on sam jednak obyłby się bez niej doskonale. Zresztą uważał, że wyborem snechy zając się powinna matka. Juźci ona lepiej potrafi rozeznac przymioty przyszłej gospodyni Czarnego Potoku, poznać, zali z tej lub owej dzierlatki wyrośnie oszczędna, rządna, nieswarliwa pani. Co on mógł o tym wiedzieć? Panien unikał jak ognia, nie odzywał się do nich przynigdy.

Dziś po raz pierwszy przemknęło mu przez głowę, że gdyby owa nieznana, wybrana przez matkę umiała śpiewać dźwięcznym głosem Hanki Pielszówny z Pinian, nie ujmowałoby to nic jej zaletom gospodarczym, a przydało wdzięku. Niechby też miała podobnie rozdzielone strugi włosów i modre jak chabry oczy...

— Czas, Sobciu, czas!... Ani się spodziewasz, jak cię za starka ogłoszą — ciągnął stryj Hermolaus. — Juźci taki gadatywus jak ty sam się nie ożeni, bo elokwencją każdą podwikę nastraszy... Ja się rozglądnę za żoną dla ciebie, poczekaj!

— Żeń go, żeń, jeno nie modą Jordana...

Roześmieli się wszyscy, nawet Sebastian, bo przygoda młodego Taszyckiego znana była w całej okolicy: swatał go wuj, stary Jordan, z piękną panną Balentą Czermińską, ale jakoś z tych swatów zrękowiny panny z wujem wyszły — nie z siostrzeńcem.

— Nie ma strachu! Gdzie mi tam do białołów! — bronił się pan Hermolaus. — Trzymałem się do niedawna, ale odkąd tego smarkacza nie stało, postarzałem ze wszystkim...

Matka westchnęła cicho, nic nie mówiąc. Nie zwierzała się nigdy nikomu, jak bardzo tażyła za nieobecny. Gdzie jest ninie pieszczoch luby? Co robi?... W zatwardziałości nieodżałowanej nie chciała go widzieć w rycerskim rynsztunku — i oto teraz nie umie sobie wyobrazić, jak wygląda krągła, dziecinna, najdroższa twarz pod srogą przyłbicą i hełmem. Czy zdrow? Nie głodny? Nie ranny? O wiadomości ani marzyć! Gdzie? Przez kogo?... Szybko, niby to poprawiając czepca, otarła wierzchem dłoni łzę, której się wstydziła.

— Tandem żenimy Sobka — zakonkludował Rogowski powstając.

— Nie żartujcie, waszmościowie. Mór idzie, klęska Boża; modlić się trza raczej i pokutować, nie o cielesnych sprawach myśleć — rzekł sucho Sebastian.

— Co mór do ożenku?! Tutaj nie przyjdzie. A że będzie, wiadomo było zrazu, bo na szczodry wieczór grzmiało, łońskiej jesieni obfitość była gadów i wszelakiego paskustwa, a z wiosną widzieli ludzie zdychające z nagła ryby w wodzie i ptaki w locie. Nieomylnie to symptomata powietrza.

— Mór najgorszy, gdy się z jarem pocnie, bo daleko, zatracona mać, pójdzie. Teraz jesień, to mróz zarazę zetnie i koniec...

— Byle zimę Pan Bóg dał ostrą a rychłą...

**L**ecz jak gdyby na przekór ludzkim życzeniom zima się nie śpiechała. Owszem, jesień trwała — zgniła, deszczowa, mglista, niezdrowia wszelkie w zanadru nosząca. Drogi rozkisły głęboko, w słotwiny się przemieniając, a oziminę trza było owcami spasać, bo w kolanka szła.

Listopad końca dobiegał, gdy do Czarnego Potoku przyjechał gość nieoczekiwany i cudaczny: kozaczek w wielkich hajdawerach, z osełdcem wiszącym nad uchem.

„Mnie wielce poćciwy i uprzejmy krewniaku Sebastianie — pisał przez niego pan Bazyli Pielsz. — Będąc od niejakiego czasu febrą malitiose opanowan, do czego i duszne molestacje nie mało się przyczyniają — iż lepiej zawsze na wszelakie termina być sposobnym, rad bym serdecznie waszmości, miłego mego krewniaka, oglądał, a to, by in casu mojego zgonu poniektóre kwestie mnie personaliter najżywiej na sercu leżące ogadać. Za czym ośmielam się upraszać, aby waść, miły krewniaku, uprzejmość mi i uczciwość wielkie okazać raczył przyjeżdżając do Pinian, za które to trudy i fatygę Bóg cię stokrotnie nagrodi w tym życiu jako i przyszyłm. — Dan dnia 15 augusta, anno 1604.”

— Piętnasty augusta! — wykrzyknął z gniewem Sebastian. — Na wole czy ślimaku jechał ten posłaniec?!

Kozaczek Daniło tłumaczył się po rusku, że sam pan zapowietrzzone okolice kazał mu omijać. Zatem, w strachu, ruszył od Rudek na Janów i Rawę Ruską aŜ poza Krasnobród i dopiero od Zawichostu ku Sączowi nawrócił pytając wszędy o drogę. Nadłożył jej nie mało, więc nie dziw, że ledwo teraz dojechał. Zdrożony był okrutnie i on, i podjezdek, bo pod koniec i popaść nie było już gdzie, chyba na ozimynie, gdy właściciela nie było w pobliżu... — Alem powietrza ani zczuł! — dodał z dumą. Odesłano go do kuchni na zasłużone jadlo i spoczynek.

— Trza jechać — mruknął Sebastian odczytawszy list raz wtóry. — Naszej jest wiary i człek dobry. Trza jechać niemieszkający...

Chodził zamyślony po izbie, nie okazując takiego zmartwienia, jakiego matka, znająca jego wstręt do wszelkich dalszych wyjazdów, oczekiwała.

— Jakoż w tę zarazę pojedziesz? — zapytała niespokojnie.

— Kołować jak ten ruski cudak nie będę, bobym na wiosnę powrócił... Bóg jakoś ustrzeże. A może gdzie o hetmańskich i Pietrku co zasłyszę — dodał, by umysł jej na inne szlaki obrócić.

Chciał się zbierać zaraz, na drugi dzień, sam, wierzchem, jako miał we zwyczaj. Lecz matka, zazwyczaj rada tej chrystiańskiej prostocie i surowości, uprosiła go, by tym razem wyjątek zrobił i pachołka ze sobą wziął. W razie, broń Boże, nieszczęścia da znać o pomoc.

Przystał w końcu i ruszył samotrzeć ze Staszkiem, zwanym Dudkiem, i kozaczkiem Daniłą w daleką drogę pod Sambor.

**T**uż za Dębicą Sebastian i jego pachołcy wkroczyli w krainę objętą morem, co snadno poznali wjechawszy do wsi Lubczyn. Zaraz z kraju spotkali chatę o wrotach zamkniętych i oknach zabitych deskami. Naznaczony białym wapnem na deskach krzyż czynił z niej trumnę i grób zbiorowy zarazem. Ani nad jedną strzechą kurnych chat nie płątał się dym, a na wioskowej drodze leżała cisza martwa i nieznośna.

Druga chata podobnie była zabita na głucho i wapnem naznaczona; podobnie trzecia i czwarta. Stały szeregiem wzdłuż drogi, w milczeniu kryjąc straszliwą tajemnicę swego wnętrza. Zdradzał ją mdlący odór, okropnych cuch śmierci, tamujący oddech w gardle. Z zapadłej chaty,



której okno było wywarne, wylazło parę płowych kundli, zwabionych odgłosem kopyt. Przysiadły przed chatą na zadach, warcząc podejrzliwie i wrogo na przejeżdżających. Były obżarte, z dzikimi oczami i ciężkim od padła kałdunem. Gdy wyjeżdżali z tej wsi zamarłej, wyszła z opłotków chuda, stara koza. Widząc jezdnych, pomknęła ku nim, trzęsąc niby porozumiewawczo brodą. Ruszyli w skok rzucając w nią kamieniami, które Daniło kozacką sztuką chwycił z ziemi, nie wstrzymując konia. Lecz koza nie dawała się odpędzić i biegła uparcie niby wiaduch-demon moru, becząc żałośnie a szyderczo zarazem. Kiedy nareszcie stracili ją z oczu, wstrzymali konie w polu, zlanii potem, żegnając się faz po raz.

Teraz już omijali z dala osiedla ludzkie, wędrując lasami jak zbóje, by oszukać straszną dziewę moru, krążącą w poprzek gościńców. Głodowali potężnie, grzyby — których obfitość była po lasach niezmierna — smażąc przy ogniu i ryby łowiąc w potokach. Zszerszeniałe konie gryzły jedlinowe gorzkie igły, żółkłe liście i gnijącą trawę. Omijali również studnie, krynice i poidła, czerpiąc jeno wodę z głuchych strug po lasach, przed wypiciem szepecząc nad putnią jedno z siedemdziesięciu siedmiu zamówień pomocnych przeciw zarazie — i rzucając do niej wypalone węgle. Żuli też zioła toja i budrycz, dane przez matkę z apteczki, a rozkładali ogień tylko z jałowcowych i jedlinowych gałęzi, których wonnego dymu wiedźma zarazy nie znosi.

Chociaż tak ostrożnie unikali ludzi, w pobliżu Rzeszowa przyglupek obłąkany, zgłupiał do reszty z trwogi, a może i głodu, nagi mimo zimna, przyplątał się do nich i biegnąc koło koni, wśród wybuchów niesamowitego śmiechu opowiadał, że widział wiedźmę morową w szarej, posoczej płachcie, siedzącą na progu koło zagrody Panasia ze Świlczy.

— A sobaki na nią hałkały. Dziań! Dziań! Dziań!... A widzma hładała a kryczała: Nagoga — noga! Nagoga! — noga!... Nagoga! — noga! — wykrzykiwał machając rękami.

Gdy mimo grózb i wymysłów odczepić się nie chciał, Daniło wyciągnął ukrytą w olstrach króciwą, lecz Sebastian zabronił jej użyć. Jechali pędem, obłąkaniec biegł za nimi, jak gdyby miał u wychudzonych nóg skrzydła. Napędził im strachu niemało. Na koniec zmożony padł na ziemię, wołając: — Ońdzie o je! ońdzie! Nagoga — noga! nagoga!...

Jechali dalej w ponurym milczeniu. Dudek popłakiwał ociągając się z tyłu i prosząc, by wracać. W lesie, wśród mgły burej, jadowitej, zarazę ze sobą niosącej, napotykali prawie codziennie obozowiska zbiegów, zdrętwiałych z głodu i lęku, którzy, wywłókszy mór ze swoich zagród, przychodzili tu konać śród boru. Uciekali przed własnym zatrutym tropem coraz to dalej, znacząc drogę szerniałymi trupami, niedbale chrustem przykrytymi. Tych trza było omijać najostrożniej, bo w bezprzytomnej rozpaczyci rzucali się, by zdobyć konie i pierzchać w świat, ując przed swoją dolą straszliwą. Widziane z dala, w sinym kręgu ognia, twarze ich zdawały się być upiorowe, potępieńczym stygmatem beznadziejności znaczone — że nie wiadomo było nieraz, czyli to żywi ludzie siedzą, czy też widma, duchy. Czasem napotymano gromadki zdrowe jeszcze, zaręczające, że z dalekich, nie zarażonych okolic wędrują, proszące, by ich do kompanii przyjąć. Lecz kłamstwo wyglądało z oczu ich, przyczajonych w śmiertelnym lęku okropnych widziadeł, drżało na dygocących w trwodze wargach — i podróżni milcząc zacinali upadające z sił konie, uchodząc co rychlej od niepożądanych towarzyszy.

Dziesiątego grudnia, minąwszy z daleka Jarosław, powitali z radością nagły mróz. Mgła zgniła, ciężka osiadła na drzewach uroczą szadzią świetlistą. Łamliwa śreż przycięła bagna i kałuże. Powietrze stało się czyste, rzeźwe, jakby spod złego czaru wyzwolone. Nawet wychudzone konie ruszały się raźniej, parszając — co jeźdźcy poczytywali słusznie za pomyślną wróżbę. Jakoż koło południa usłyszeli przed sobą tupot koni po grudzie i głosy śpiewające:

Jechała niewiasta  
Z kogutkiem do miasta,

## Co jej nie chciał rano piąć...

Pierwsze to było wesołe śpiewanie zasłyszane w pośepnym władztwie czarnej śmierci. Konie zastrzygły uszami. Dogonili jadących przed nimi. Spory poczet jeźdźców, dostatnio odzianych, otaczał cztery skarbnicze wozy, wyładowane sianem i tubami. Na widok nadjeżdżających umilkli, a zwracając się przodem wyciągnęli króćce.

— Stój! — wołał starszy mąż w cynamonowym żupanie. — Ani kroku dalej! Coście zacz?

— Sebastian Pielsz z Czarnego Potoku, klejnotu Nabra, z Sądeczyny... W podróży jestem, pod Sambor do krewniaka niemocnego jadąc. Zarazy przy nas nie ma...

— Stawy waści nie bołą?

— Brzuchy nas bołą, bo prawie od dwu niedziel grzybami jeno żyjemy, lecz wątpia mamy zdrowe...

Grzmotnął się pięścią w piersi dodając:

— Parol szlachecki, żem nawet ni z kim zapowietrzonym nie gadał, ni ja, ni moje pachółki...

— No, no — rzekł uspokojony szlachcic podjeżdżając ku niemu. — Mateusz Cholewa, herbu Cholewa, z Kańczugi — rekomendował się wzajem. Oczami zlustrował bacznie Sebastiana, jego szary kopieniak i czekan bez okucia.

— Z braci polskiej? — zapytał poufnie.

— Chrystianin, owszem.

— Przednio się składa... Somsiedzi! — krzyknął obracając się ku swoim — dobra nasza, kompan przybył!... My z Kościoła reformowanego — objaśnił Sebastiana — co aktualnie na jedno przyjdzie. Jednakowo wrogami papieżników będąc, krzepić się razem musimy przeciw jezuitom. Będziesz nam waszmość socjuszem... Jedziemy na generał do Sądowej Wiszni, gdzie żarkie będą obrady...

— Sejmik? W tę porę? — zdumiał się Sebastian.

— Juźci nie w miasteczku, jeno w polu. Pojedziemy razem, co nawet po drodze waści, skoro do Sambora jedziesz.

— Nie widzi mi się, boć ja zaraz za Przemyślem na południe przez Dobromil wykręcę...

— Uchowaj Boże! Strwiąż wylał i brodu nie znajdziesz. Tam zresztą samo ognisko zarazy, która z Dobromila naprzód się wyszcznęła... W samborskie zaś lasy nie doszła... Najłacniej i najbezpieczniej jechać przez Sądową Wisznię... Cholewa to waści mówi! Ochotnym sercem prosim do kompanii.

Ruszyli razem. Ludzie pana Cholewy oraz towarzyszy jego — panów Żórawskiego z Żurawicy i Dunina Szpota — rozglądali się za miejscem sposobnym na południowy spoczynek. Gdy stanęli na obszernej polanie, konie Sebastianowe rzuciły się chciwie do siana. Submitował się za ten uszczerbek przed panem Cholewą, który machnął niedbale ręką.

— Niechaj żrą sobie na zdrowie, starczy nama! Do Wiszni, jak słyżę, pan Zdahowski z Wołostkowa tyle już siana zwiózł, zebyś pospolite ruszenie obdzielił.

— Nie byle to impreza sejmik w tak nieznośny czas!

— Ha! Co począć? *Bonum publicum* — pierwsza dla szlachcica rzecz. *Litteras deliberatorias* rozesłano już w pierwszych dniach septembra, sejm zaś ma być zwołany rychło po Godach. Nie ordynaryjny to sejm, ale największej baczności wymagający... Owe listy zapowiednie! Jedno zgorszenie! W materiach, o których rumory trzęsą się po całej Rzeczypospolitej, ani słowa! Niby w najspokojniejsze lata! Wiemy zaś dokumentalnie, że dworscy kabałę przeciw nam planują, którą sprezentować chcą z nagła... Kupą, kupą zatem trza

iść, by się papieżnikom nie dać zadławić... Zbieramy się wszyscy różnowiercy, bo *periculum in mora*.

— Nie podchodź! Precz!! — wrzasnęli naraz ludzie. Z lasu bowiem, znęcone ogniem i zapachem jadu, wysuwały się stwory sine, obdarte, nieszczęsne, z oczami głodomorów, błagalnie wyciągając żebrzące ręce-piszczele.

— Strzelać do tych psułatów!! — krzyczał pan i. Cholewa. — Zapowietrzone gadziny! Zarazę nam tu chcą przywlec!... Idźcie w las zdychać, bydlaki!

Padło kilkanaście strzałów. Widma cofnęły się nieco, zawodząc i wyjąc jak psy. Na skraju lasu przysiadły na ziemi, wpółwidoczne na gnijącym podścielisku liści, znędniałe kupy łachmanów — patrząc chciwie na to, co się dzieje w obozie.

— Precz! precz, powiadam!! Strzelać jeszcze! — wołał pan Dunin machając czekaniem. — Żeby z was znaku nie było!...

Strwożeni, znikli w gąszczu leśnym, rozplłynęli się pokornie, niby zjawy.

— Zaraza niesroga rzecz, byle się umieć jej strzec — prawil uspokojony pan Dunin sięgając kotlika z warzą. — Karawakę małą przy sobie nosić (kalwinem jestem, przesadami papieżnickimi gardzący, ale karawaki skuteczność spraktykowałem)... przy sobie nosić, jeśli nie przy drodze grzeczną, dębową, postawić. I zasługę człek zyskuje, i zdrowie chroni... Poza tym dużo miodu a gorzały pić i frasunku do siebie nie dopuszczać. Dlatego też moim ludziom cięgiem każę śpiewać, jak waść uważałeś.

Wyposzczony Sebastian jadł żwawo. Opodal kości trzeszczały w zębach obu pachotków. Zawzięty odludek po raz pierwszy w życiu odczuł błogość obecności ludzkiej. Krzepiąca siła gromadzka, społeczna, odganiała widma ponurej grozy i lęku z równą łatwością jak tych głodomorów. Pędziła je precz, zwoląc na oddech swobodny. Ulubiona zazwyczaj samotność stawała się w tej strasznej krainie nieznośnym ciężarem, skrzeczącym głosem przygłupka: nagoga — noga! na-goga! — Oddychał z ulgą, wyzwolony, z wdzięczną przychylnością spoglądając na pana Cholewę.

— Bóg ich zresztą wie, zali to były żywe ludzie, nie upiory — zauważył pan Żórawski wskazując głową w stronę lasu.

— Niedawno — szepnął do Sebastiana imć Balicki, pana Żórawskiego rękodajny — widziałem gomon... Jak Boga chcę przy skonaniu! Takem widział jak waćpana. Tuman się zerwał po lesie... zakręcił liśćmi niby lejem, tartas okrutny wali się przez bór, jakby tachnęły kartauny... Cioty kraczą, puchacze puchają, sowy kuwikają... Jezu Chryste Nazareński! W tumanie rudym, kręcąca się niby cyga, sama wiedźma ponad chojary wypląsa, zaś wkoło czorty, wiaduchy, strzygi i sprośne odmieńce... Leciąło przed siebie to paskustwo wijąc się ciągle, a czego dotknęło: krza, patyka, drzewa, wiewiórki, szaraka, to wnet z nimi jak opętane a żywe leciało. Chojar, za który się skryłem, w moich oczach korzenie wytargnął i z wykrotem poszedł tańczący za dziwem. Dreszcz zbiera, kiedy wspomionę, bo przeleciała ta zawierucha diabelska ode mnie na długość kopii...

— „To troje zwykło w ludziach powietrze wytracać: wnet daleko wyjść, uchodzić i nierychło wracać” — zacytował pan Cholewa zaczerpnąwszy z manierki lepszego ducha, gdy drudzy milczeli, strwożeni opowiadaniem.

— Imć Sleszkowski powiada, że przyczyna moru: zbytne pobłażanie Żydom — ciągnął. — Żółtki niekrzczone ostatni pot z ludzi wyduszają, a nikt im nie przeszkadza... Na Ukrainie wszystkie podatki trzymają w arendzie... Wstyd! Panowie im radzi, bo talarów pożyczają; księża też nie łąją, byle kozubalce o swojej porze znosili...

Daleki zgiełk zabrzmiał w lesie.

— Jedzie ktoś — rzekł pan Żórawski.

Nateżyli ucha. Zgiełk się przybliżał, rósł, zmieszany z piskiem, brzękiem i pohukiwaniem.

— Gomon!! — wrzasnął pan Balicki przeraźliwym głosem.

Porwali się wszyscy na nogi, patrząc, kędy by uciekać. Przez las pędziła istic nawałnica. Z rykiem surmów, piskiem janczarek i trąb wypadli na polanę jezdni pstro odziani, zahuczeli grzmiotem kopyt, znikli w ścianie lasu. Za nimi, migocąc proporcami, furkocąc forgami piór, sadzili jak do natarcia pancerni. Zalśniły barwiste kaftany arkebuzerów, błysnęła czerwona twarz pana w odkrytym wasążku. Nadbiegły nowe oddziały, mignęły, zagrzmiały, znikły; z hurkotem, brzękiem wpadły na polanę wozy.

— Bywaj! bywaj! — krzyczał pan Cholewa osłaniając dłonią usta, lecz żaden z jadących nie odwrócił głowy. Przelecieli, spełzli w lesie, powtarzającym łoskot w nieskończoność.

— Prawda, że gomon i diabeł, ale łańcucki, bo to starosty zygwulskiego ludzie — rzekł śmiejąc się pan Cholewa do sąsiada, pana Żórawskiego. — Musiał się zwiedzieć, że Opaliński wprzód pojechał, i goni, by go uprzedzić a lepsze stanowisko zająć...

— Animoszja zawdy pomiędzy nimi jednaka?

— Moiście wy! coraz sroższa! Choć bodaj przeciw Drohojowskiemu a wojewodzinie wołyńskiej zawziętsza...

Skulbaczone konie i ruszyli stępa śladami wojowniczego starosty zygwulskiego, radzi, że liczne wozy przytarły ,ostrą grudę.

**S**ejmik generalny zbierał się na obszernym łągu w pobliżu Sądowej Wiszni. Gdy przybyli, błonie pełne było ludzi i taborów. W najwidoczniejszym miejscu rozkwaterował się już Stadnicki, diabłem łańcuckim nazywany. Pięćset luda w szyku bojowym stało pod wielką chorągwią złocistą. Obóz ten stał się ośrodkiem różnowierców, którzy skupili się po obu stronach. Na przeciwnym krańcu błonia, z wozów sprzężonych łańcuchami warowny czyniąc szaniec, zebrali się katolicy. Tu rej wodzili: Opaliński, marszałek koronny, Stanisław Golski, wojewoda ruski, i Stadnicki z Liska, kasztelan przemyski.

Panowie: Cholewa, Żórawski i Dunin wraz z Sebastianem pociągnęli na prawe skrzydło dysydentów, przymykając do komuniku pana Swoszowskiego, pisarza. Wozami ubezpieczyli tył. W środku błonia stało kilka stogów z sianem i wielki bróg słomy, którą pacholcy, nie szcędząc sobie wzajemnie szturchańców, rozciągali już na legowiska dla panów. Rozpalano ogniska. Bogatsi rozbijali barwiste namioty. Większość, zsiadłszy z koni, przechadzała się spoglądając na przeciwników niechętnie i zabijając ręce dla rozgrzewki, bo ziąb był okrutny. Wiatr północny, przenikliwy, przedmuchiwał na wskroś kości. Palce grabiały.

Postanowiono niemieszczając przystąpić do wyboru marszałka. Mróz poganiał ku zgodzie, więc że dysydenci w znacznej byli przewadze liczebnej, katolicy bez długiego oporu przystali na pana Ozgę, sędziego , lwowskiego. Zresztą, choć heretyk, człek był poważny, spokojny, miarkujący zbytnie zapały swego stronnictwa. Dokonawszy tak szczęśliwie wyboru, powszechność jęła wołać o posła królewskiego z instrukcjami.

Lecz posła nie było. Marszałek eksplikował, że poseł z obawy powietrza zadzierzył się w Tomaszowie, skąd jeno instrukcje przez tego oto pachółka (wysunął go w przód) przysyła...

Zawrzało w obu obozach. Despekt tak niesłychany!

— Panowie bracia! — wołał pan Maciej Mrozowicki z Mrozowic. — To my możemy życie i głowy nakładać, deliberując w zapowietrzonej dziedzinie, a magurski paniczek lęka się z

instrukcją do zacnych synów Rzeczypospolitej zjachać? Hańba, waszmościowie! [Hańba! Oto jak nas Szwed traktuje!!

— Myszkowskiego Gonzagi robota!

— Przez pachółka!! Do mieszczan taką modłą słać nie godziłoby się!!

— Gorze, waszmościowie! Gorze!

Krew uderzyła do głów. Zapomniawszy zwykłych antagonizmów i uraz, katolicy z dysydentami gardłowali zgodnie. Wśród ogólnego wrzasku starosta zygwulski radził pachółka obedrzeć ze skóry i takową posłać do Warszawy, wypisawszy na niej odpowiedź. Umiarkowańsi chcieli go przynajmniej wykapać w smole, wytarzać w pierzu i w podobnym adiustunku odesłać. Bogu ducha winny pachółek, blady z zimna i trwogi, trząsł się jak osika, szczękając zębami. Lecz marszałek, pan Ozga, człekiem ludzkim będąc, sprzeciwił się jednym i drugim zamierzeniu, a wyzwolony chłopczyzna smyrgnawszy zaszył się w słomę, skąd nie wylazł aż na drugi dzień, już po sejmiku.

Teraz wrzała dyskusja nad tym, czy rozjechać się wobec despektu do domów, ignorując wybory i sejm, czyli obrady kontynuować mimo tak wielkiej urazy.

Marszałek przedkładał roztropnie, że nieobecni są wrogom przyjemni, tedy polityczniej będzie wyboru dokonać, na czele jeno instrukcji poselskiej skargę o tak żalosne pohańbienie obrad kładąc. Gdy zdanie jego przemogło, skupili się wszyscy słuchając w milczeniu odczytywanej instrukcji królewskiej.

Mętna była i długa, najważniejsze bolączki, cały naród obchodzące, przemilczająca, pustymi słowami górnolotnych frazesów o rzetelnej miłości króla ku Rzeczypospolitej zastępująca treść. Toteż zaledwie marszałek ukończył czytanie, buchnął gwałt ze wszystkich stron.

— Sodomskie zrękowiny z siostrą nieboszczki zamyśla, o czym do senatorów listy słał, a słowa o tym nie wspomina!

— Wojsko w Inflanciech z głodu zdycha — wołał pan Fredro Chodnowski — a w instrukcji na zbytek powstaje!

— Na swawolę żołnierską narzeka, a kto władzę hetmańską obciął, byle kanclerzowi dopiec?!

— Że pieniądze fałszywe do wzgardy i lekkości u obcych przyszły, kto winien?! Onże sam, prawo myncarskie byle Żydowi sprzedając!

— Lżej było cierpieć tamtego tyrana niżli to półdiabie szwedzkie!

— Wolność sumienia? kaj ona? — wzdychał patetycznie pan Swoszowski. — Przyjdzie nam niebożętom uchodzić z Rzeczypospolitej, jako z Hiszpaniej lub Francjej...

— Biada nam, biada, panowie! Alchemicy, jezuita a baby rządzą na dworze!

— Rumory chodzą, że koronę cichcem zdaje Ernestowi. Niemcowi nas chcą zaprzedać!

— Prawda to, waszmościowie?

— Jak zbawienia duszy pragnę! Wojewoda krakowski świadkiem, iż w Niepołonicach traktat tajemny spisali...

— Precz z Niemcami! Precz z Niemkinią! Niech se szuka innej żony!

— Panowie bracia! Uciszcie się! Wysłaniec księcia Ostrogskiego chce coś rzec!

Wrzawa przycichła, stłumiona ciekawością. Pan Gołębiowski, okazały szlachcic, wysunął się w przód, witając audytorium.

— Z orędziem od prawowiernych wyznawców starożytnej cerkwi ruskiej przychodzę do panów różnowierców — zaczął ciągnąc z ukraińska.

Wnet na to dictum wśród katolików wybuchł srogi huczek.

— Precz z Ostrogskim! Nie dać mówić!

— Precz z wysłańcem!

— Precz z prawosławnym orędnem! Nie potrzeba tu dyzunitów!

Gwałt czynili okrutny tupiąc nogami, otoczeni kłębami buchającej z ust pary. Niemniej, mimo ich oporu, pan Gołębiowski w kole różnowierców doczytywał swoją rzecz. Dyzunicy prosili panów dysydyntów, by zechcieli się z nimi połączyć a sprawę zatwierdzenia archimandryty Pletenickiego popierać.

— Knowania, mości panowie! Zdradzieckie knowania! — oburzył się pan Stadnicki z Liska.

— Dworską modłą tajemne intrygi a kabały wiodą!

— Gubią kraj owe naszepty przebrzydłe!

— Waszmościowie! — uspokajał marszałek — a któż wam broni za archimandrytą Pocijem, unitą, swoich namawiać?

Stanąwszy na wozie, jał kołatać ze wszystkich sił żelazną antabą w pustą beczkę, więc zachrypnięci, zmęczeni, przycichli słuchając, czego by chciał.

— Panowie bracia — przedkładał serdecznie — szkoda czas tracić na daremne swary! Ważniejsze rzeczy czekają! Pan Mikołaj Daniłowicz, podstoli koronny, przywiódł nam rezolucje sejmiku bełskiego, pod protektoratem kanclerza odprawionego. Rezolucje zgoła cenne, wszystkie nasze postulata mieszczące... Tuszę, mili waszmościowie, iż warto je przedelibrować, by rychłe uchwały z nimi uzgodnić, a tym samym na sejmie partię naszą wzmocnić... Raczcie słuchać, waszmościowie!...

Jawna słusność propozycji, powaga kanclerzowego imienia nakłoniły większość głów. Lecz zmrok zapadał, mróz wzrastał, przy ogniach rozłożonych wieńcem buzowały się nęcąco mięsiwa i coraz więcej głosów wzywało do ukończenia obrad nazajutrz. Marszałek — lubo zrazu pragnął dla niebezpieczeństwa zarazy sejmik w jeden dzień odprawić — przystał. Rozeszli się wszyscy ku wozom. Sebastian zbierał się, by ruszyć w swoją drogę, lecz pan Cholewa ani słyszeć o tym nie chciał.

— Jutro wota, sam ważny moment, a waść chcesz odjeżdżać? Tyleż to dbasz o salwowanie swobód i wolności wiary?

— Toć i tak prawa wotowania nie mam, z innego województwa będąc — tłumaczył się Sebastian.

— Będzie się tu kto o prawo pytał! Krzycz jeno głośno, i koniec!

— Krewniak słaby, trza się śpieszyć...

— Gadanie! Tyl`a czasu nie chorzeje! Otworzyście rzekę waści: albo już dawno pomarł, więc mu nie pomożesz, albo ozdrowiał, więc się nie masz czego trapić...

Został zatem, choć niechętnie, i wnet poszedł szukać pana Fredry Chodnowskiego, którego słowa, że wojsko w Inflanciech z głodu zdycha, zapadły mu głęboko w sercu. Lecz pan Fredro niewiele umiał powiedzieć, zasłyszawszy tyle jeno od krewniaka swego, sędziego rawskiego, któremu z kolei prawił o tym lwowczyk jeden, do Inflan w delegacji od miasta po zwłoki umiłowanego księdza Laterny, jezuita, przez Szwedów utopionego, wysłany.

— Rozumiesz waść, iż krewniak mój w konfidency z łykem wchodzić nie mógł — tłumaczył pan Chodnowski — tedy nie pytał o więcej. Głód tam pono srogi, bo żołnierze kwarty od roku nie otrzymali... Na nic zeszyli chorągwie...

Sebastian wrócił zasępiony, a wkopawszy się w siano na gościnnym skarbniczku pana Cholewy, daremnie próbował zasnąć. Mimo siana mroźny wiatr przewiewał do szpiku, a dręczące myśli kasały.

Rano, ledwo dzień pobiełał, sejmikujący byli już na nogach. Wrony-ciotuchy

czwarzyły się na pobliskich drzewach lub krążyły nad obozem kracząc przeraźliwie — na śnieg albo też na bitwę. Śniadano na stojączkę, przepijając gorzałką i śpiesząc do obrad, nie lubnych w ten mróz nikomu.

Marszałek, stanąwszy na wozie, odczytywał rezolucje sejmiku bełskiego, redagowane genialną ręką starego Jana Zamoyskiego, wielkiego hetmana i kanclerza. Słuchano zrazu w milczeniu, ochotnie, aplaudując żądaniu, by zabronione było tajne znoszenie się posłów z dworskimi i uchylanie instrukcji wyborczych. Uznano chętnie, że swawola żołnierska wynika z ocerklowania władzy hetmańskiej, którą co rychlej przywrócić należy. Zgodnie przykłaśnięto żądaniu, by król powinne zamki na Zadnieprzu wznosił...

— ...,Ninie zaś oświadczamy się — czytał donośnie marszałek — iż w samowolnej materii nie cierpiącego zwłoki dzieła naprawy Rzeczypospolitej żądamy nie zmiany statutów, jeno silnej a sprawnej ich egzekutywy. Prawa Rzeczypospolitej dobre są, równych sobie w świecie nie mające, jeno obserwancja ich szwankuje, całą machinę Królestwa psowając. Tandem, jak najpilniejsze przestrzeganie praw, od króla poczynając do podstarościego, na czele potrzebnych kładąc reform..."

Reformy!...

Podjejrzone to było a niemile słowo. Więc też wrzawa zgłuszyła dalszy ciąg uchwały. W tumultach zginęły następujące żądania wolności wyznań, warowania konfederacji warszawskiej, pokoju z sąsiadami oraz natychmiastowego zapłacenia walczących w Inflancjach wojsk...

— Reformy? Jakie reformy?!

— Władzę królewską ograniczyć — ot co! Jedyna reforma!

— Kanclerz, mospanie, za Myszkowskim absolutum dominium chce wprowadzić!

— Silne przestrzeganie praw! Wiadomo, co pod tym się kryje. Stryczek na szyję wolności!

— W imię przestrzegania praw zginął niebożę Zborowski!

— Panowie bracia najmils! — wołał starosta zygwułski — Rzeczypospolita doskonała jest sama w sobie, nikt jej nie ma co dodać ani ująć, chyba ku szkodzie!! Nie trza reform! Kto prawi inaczej, niepościwej matki jest synem!...

— Hej, zdałoby się niejedno poprawić — oponował marszałek, lecz starostę zygwułskiego już poniosło. Dość długo moderację ekstreordynaryjną okazując, słuchał spokojnie uchwały przez adwersarza swego i wroga spisanej. Teraz zakapiał.

— Panowie! — krzyknął — kto nam tę kukłę przekłętą z Szwecji na kark sprowadził?! Kto ją nam narzucił?! Dyć kanclerz! Będziem słuchać zrzędzenia dziada, urażonego, że mu pupil wdzięczności należnej nie żywi?! Do wotów! do wotów! Rezolucję sami ułożym! Szelma, kto się z tym nie godzi!

— Sameś szelma, wywołaniec! zbój! Nie słuchać, panowie bracia!

— Wyłaż, który tam na mnie za plecami szczekasz! Nuże!

— Ja zza pleców na cię szczekam, mości starosto piekielny? Ja?!

Opaliński, pan na Leżajsku, wysunął się przed towarzysza.

Utkwili w sobie ze Stadnickim oczy nabrane nienawiścią zimną, okrutną, żarłoczną. Jeden drugiego z rozkoszą byłby wbił na pal, smażył na ogniu, dał w pasy, lubując się męce przeciwnika. Nienawiść ta w krótkim czasie wybuchnąć miała w wojnie zwanej legawą, bo o psa legawego wszczętej — która trwała trzy lata, zniszczyła część Małopolski i kosztowała życie kilku tysięcy ludzi. Teraz, mierząc się wzajem kąsającymi oczami, hamowali się jeszcze ostatkiem sił. Stadnickiemu złe ślepią krwią zbiegły, kark wzdął się niby u byka. Lecz wnet inni wepchnęli się pomiędzy nich, perswadując i łagodząc, by nie dopuścić do bitwy, co by

uniemożliwiła obrady. Marszałek na swoim wozie kołatał, co miał sił, w beczkę, krzyżąc rozpaczliwie:

— Uciszcie się, waszmościowie! Wszelkie hadrunki na potem! Słuchajcie sekwencji uchwały: w sprawie koniunktur zagranicznych...

— Odkądże to bełzanie lepszy mają mieć dowcip niż my? — parsknął ktoś w tłumie szydyczko. — Panowie bracia! cudzego sejmiku będziem słuchać?! Nie mamy to głów na karku?

— Praw mówi! Nie znamyż, czego nam potra?! —

— Wotować! wotować!

— Toć lepiej byłoby kupą, *unanimiter* iść i jednego się domagać — przedkładał marszałek z żalem; lecz nikt go nie słuchał.

— Wotować! wotować! — grzmiało ze wszystkich stron.

Siadano co żywo na koń i po chwili oba obozy stały naprzeciw siebie, zamieniając wrogię spojrzenia. W ciszy padały nazwy kandydatów, by po ogłoszeniu utonąć w huk piekielnych wymysłów. Różnowiercy wystawili panów: Ozgę, marszałka, i Jana Swoszowskiego, pisarza, wroga zawziętego Rzymu i króla — jako posłów ziemi lwowskiej; Stadnickiego Diabła i Samuela Trojeckiego, stolnika — przemyskiej; Daniłowicza zaś i Czepielowskiego — sanockiej. Ze strony katolików podano Szczęsnego Herberta z Felsztyna, Drohojowskiego, referendarza, Jana Krasickiego, pisarza sanockiego, Andrzeja Fredrę Chodnowskiego i Stanisława Stadnickiego na Żmigrodzie z Liska. Wrzawa panowała nie do opisania. Podniecone nią wrony krakały coraz to głośniej. Marszałek, przebiegając z końca w koniec wozu, daremnie wznosił błagalnie ręce prosząc, by się ugodzili wybierając po trzech z każdej strony. Na koniec widząc, że nikt na niego nie zważa, dosiadł sam wielkiej, dereszowatej kobyły.

Stadnicki, zgrzytając zębami, kłął się, iż raczej trupem padnie, niżli dopuści, by arcypies, przeklętnik i przechera Drohojowski doszedł izby poselskiej. Herburt z Felsztyna i Fredro Chodnowski krzyczeli, że za ostatnią hańbę by sobie powzięli iść w parze ze Swoszowskim — wyrodkiem i Stadnickim — wywołańcem, zdrajcą, wrogiem ojczyzny i gwałcicielem panienek. Za Stadnickim pół tysiąca ludzi stało gotowych do boju, co widząc inni zbroili się również co żywo. Pacholcy na gwałt dosiadali wyprzęgniętych koni, śpiesząc na sukurs swym panom. W garściach dzwoniły już niecierpliwie szable. Pan Cholewa spojrzawszy na Sebastiana, który siedząc pobok na swym przychudym podjeźdźku, trzymał w ręku nieokuty kijaszek.

— Co waść czynisz?! — wrzasnął. — Z kijem do bitwy?! Na śmiech się będziesz podawał?!

— Nie mam szabli — odmruknął Pielsz.

— Wnet ci każę dać! Są na wozie!... Z kijem!...

— Bóg zapłać. Nie wezmę. Gardło dać mogę, bić się nie będę.

Pan Cholewa odsunął się o krok.

— Bodaj was zabito! — krzyknął. — Ariany przeklęte! tchórze! zdrajcy! Nurki obmierzłe! Bodaj was kat brański smalił!! „Gardło da, bić się nie będzie!!” — przedrzeźniał. — Ejże, mości panie! Szablę bierz! bo...

Odwrócił się ku wozom.

— O reta! reta! — krzyknął naraz tak nieludzkim głosem, że oglądnęli się wszyscy. Wrzawa zamarła w powietrzu, zastygła mrozem na ustach...

Oto chłopci głodomory, zbiegowie z zapowietrzonych wsi, śledzący od wczoraj obóz, korzystając, iż nikt nie zwraca uwagi na zostawione bez opieki tabory, rzucili się na nie, plądrując chciwie za jadem. Już wszystkie wozy pokryte były, niby robactwem, nędzarzami o upiornych twarzach, świecącymi przez strzępy łachmanów odmrożonymi kikutami rąk i nóg. W milczeniu przepychali się, chwytali za koła, gmerali w łubach, wydzierając sobie wzajemnie



zdobycz — kłębili się jak rojowisko. Spłoszeni okrzykiem pana Cholewy i zwróconą uwagą całego sejmiku, stali teraz nieruchomo lub chyłkiem pomykali w las. Lecz wojownicy nie ścigali ich, stojąc jak urzeczeni, bezmowni, ostygli naraz z bojowych zapałów.

Pachołcy pana Swoszowskiego ruszyli spędzać plugastwo.

— Do nogi, psiawiary! — zakrzyczano zewsząd. — Niechać ich! Lepiej dobytek stracić niż zarazę wziąć!...

I stali dalej w milczeniu, niepewni. Naraz młoda, obdarta, na szkielet wychudła kobieta, zeskakując z wozu z potężnym bochenkiem chleba, potknęła się i zmożona zimnem, głodem, a może chorobą, upadła jęcząc na ziemię. Wnet inni wyrwali jej chleb. Zawyla dojmująco, rozpaczliwie, niezdolna powstać i bronić zdobyczy. Krzyk jej przeleciał nad polem jak szyderyczy skowyt śmierci, jak poszum skrwawionej płachty straszliwej wiedźmy morowej. Przerażonym wydało się, że widzą ją, dziewę moru, przeklętnicę, polatującą nad błoniem. Pustymi oczodołami zajrzała w ślepia butnej gromadzie tęgokrwistych, odpasionych zabijaków.

Śmierć...

Jeno nie śmierć-drużka, śmierć rycerska, którą kilkakroć dziennie wyzywali radośnie do tańca — lecz plugawa śmierć z zarazy, sina, rozpuchła, rzucająca się po ziemi w skurczach konającego ścierwa. Strach, lepki, oślizły, zdrtwiałły, ścisnął gardła krzykaczów. Naraz bez słowa ruszyli cwałem kupą bezładną przed siebie, byle najdalej od zapowietrzonych. Widząc to, tłum głodomorów zaskomlał zwycięsko, zawracając do rabunku. Parli się, obalając i depcąc jedni drugich, pijani radością i znalezioną gorzałą.

Uciekający zniknęli już w lesie. Kredencarz starosty zygwulskiego rozpaczął głośno nad straconym srebrem i wszelakim dobrem. Wiatr przycichł, ciężkie chmury wstrzymały się nisko nad ziemią i począł sypać miękki, puszysty śnieg.

Marszałek zatrzymał konia doradzając ukończenie obrad.

— Oszalałeś waść! — ofuknął go Drohojowski. — Będziem tu radzić w polu, bez kęsa strawy ni kłapcia siana dla koni! Do domu wracajmy co rychlej...

— Posłów trza wybrać definitywnie — przedkładał rozważny pan Ozga.

— Posłowie wybrani! Instrukcje przestem im później! — zawołano chórem.

— Nie wybrani! — odkrzyknęli drudzy.

— Wybrani!

— Nie ma zgody!

— Nasi pójdą!

— Nasi!

— Obaczym!

— Szczęśliwej drogi! Do zobaczyska w izbie poselskiej przy rugach!

— Oj, będą rugi czerwone!

— Jeno nie wiadomo, czyje...

Rozjeżdżali się powoli, wygrażając sobie pięściami, nie szczędząc wymysłów i obelg. Luźne gromadki jezdnych ginęły powoli z oczu. Śnieg polatywał coraz to gęściejszy, zasypując ślady sejmiku. Na opuszczonych taborach szalejący z chciwej radości nędzarze walczyli teraz pomiędzy sobą o cenniejsze łupy — zaciekle, śmiertelnie, bezlitośnie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### CUD

**M**roźny wiatr, wyjący żałośnie jak zapomniany przy obejściu pies, tłukł głową o bezlistne gałęzie, szarpał się w nagich czubach drzew. Sebastian podjeżdżał do Pinian. Gdzieś w głębi jego umysłu, poza świadomością, wbrew zimnej rzeczywistości wichrem zachodzącej, czał się obraz daleki, pozornie tylko zabyty, obraz miesięcznej nocy lipcowej... Dzwoniła ostro, przenikliwie bałabajka, niby krople strząsane na srebrne rzeszoto — wyносił się młody głos, nalany ciepłem i barwą jak węgierska śliwa sokiem... Daniłko niecierpliwie poganiał zdrożonego konia, wpatrując się w czerniejące w oddali obejście.

— Witer worota wyłomił! — zameldował, a wnet potem: — Oho! ho! bohaćko pidwidiw na toku... wetykij zjizd u naszoho pana...

— Zjazd? — drgnął Sebastian, przebudzony z zamyślenia.

— Dywyś, pane, skilko czużich woziw stoit!...

Sebastian zmarszczył brwi i popędził konia.

Wjechali na majdan, istotnie pełen wyprężonych kolas, zamożnych koczów i brożków. Woźnice spali leżąc w poprzek siedzeń lub, zgromadzeni, gadali. Daniłko zatrzymał się przy nich. Sebastian pognął ze Staszkiem do dworu. Pieszczące ucho dźwięki letniego wieczoru rozprysły się, uleciały przed nagłą, niezbitą pewnością, że nie na co innego zjechała się szlachta Samborska, jeno na pogrzeb wujowy. Jakoż przed dworem, na ganku i w sieni panowały tłok i gwar. Gwar uroczysty, męczący, ściszony niby, przecież zbyt głośny i dokuczliwy — właściwy pogrzebom. Stropiony i onieśmielony Sebastian przepychał się wśród nieznanego tłumu, gdy pan Achacy Rudowski, pisarz Samborski, porwał go w objęcia.

— Płacz! płacz! folguj łzom! Pomarł twój krewniak serdeczny! — wołał bucząc na cały głos. — Przyjechałeś, nieboraku, tyli szmat, by na marach — tak jest! na żałośliwych marach! — ujrzeć naszego druha niezapomnianego!... Panowie! — ciągnął zwracając się do zgromadzonych — oto umiłowany pociot nieboszczyka, Sebastian Pielsz, klejnotu Nabra, z Czarnego Potoku w Sądeczyźnie ród swój wiodący, któren całą Rzeczpospolitą w czas srożącego się moru przejechał, wuja zobaczyć... Za późno! Złośliwe Parki jedzony przecięły nić nieboszczykowego żywota, zanim oczy jego zdołały się widokiem krwi swojej ucieszyć, jedynaczkę opiece czulej powierzyć... O nielitościwe Fatum! O zawistny ludzkiego szczęścia Plutonie! Nie mogliście mu ostawić tych paru chwil lubych ku osłodzie ciężkiego z żywobytem rozstania?!...

Gadał długo i górnie. Podczas z gromady obecnych wysuwały się ku Sebastianowi dłonie. Rekomendowali się sąsiedzi nieboszczyka szurając ceremonialnie nogami. Podejrzliwym wzrokiem mierzyli szary, kusy ubiór przybyłego, oczami szukali szabli. Odpowiadał, ścisnął podane prawice, rekomendując się wzajem, acz mrukiwie i niechętnie. Żal serdeczny ścisnął go o wuja. „Zdażyłbym, by nie ten sejmik zatracony!” pomyślał z goryczą, lecz równocześnie mierzył go, urażał tłum obcy-. Rad by był uciec stąd co rychlej.

Korzystając z tego, że pan Achacy wycierał hałaśliwie nos, co spowodowało przerwę chwilową w jego wymowie — zapytał półgłosem, gdzie Hanka.

— Chlipie gdzieś pewno w kącie niebożatko, sierotka nieszczęsna, od zmysłów z boleści niezdolnej dchodząc... Najdziem ją, jeno chodźmy wprzód do nieboszczyka.

Przeszli do izby jadalnej, gdzie wśród pacholków i dziewczek uwijała się wydając rozkazy pani miecznikowa Kazanowska. Zjazd był ogromny, więc należało stypę godną przyładować, by pamięć nieboszczyka urazy nie poniosła i mile wspomiana była. Na widok Sebastiana załkała rzewnie, podniosła ręce górę, po czym objęła ramionami jego głowę, komplementa tkliwie prawiąc i łyż roniąc. Gdy sfolgowała w uścisku, oderwał z ulgą twarz od woniejącego larendogra, felpą oszytego mentlika, zaś jejmość prawiała dalej, ocierając łyż:

— W nieszczęściu się ludzi poznaje... Jak pięknie, te waćpan przybyłeś... Ja takż pierwsza przybyłam... Dobrym somsiadem, przyjacielem był chudziaczek, więc zabiegam tu, staram się, krzątam, by wszystko godnie narządzić... Hanka ani się tknie niczego, aż mi dziwno. Buczy i buczy przy truchle, a wzdyc gości trza przyjąć przystojnie...

Odwróciła się do jednej z dziewczek, tknięta nagłą myślą:

— Słysz, Frasyne! gdzie cukry, co ja łońskiego roku przywiozła? Na stole je postawimy dla większej prezencji...

— Ne baczyła ja — odparła zapytana.

— Durna ty, niczoho ne baczyła...

Otwierała żwawo mnogie drzwiczki w służbie, zajmującej połowę ściany, zaglądała po różnych zakamrkach i schowkach.

— Frasyne, idi do panienki, spytaj sia, de cukry, co ja z wesela wojewodzianki przywiozła — rzekła rozkazująco do dziewczyny. — Pewno schowane w skarbczyku...

Przytrzymała za odzież chcącego pójść dalej Sebastiana, opowiadając jękliwie o ostatnich chwilach zmarłego i sieroctwie Hanka... — Szczęściem — dodała — Bóg miłościwy inną łaską stratę jej nagroził...

— I cóż? — przerwała rzucając się do powracającej Frasyne.

— Panienka każut, szczo je wykinuły, szczo na tamtoj światij wecer...

Pani miecznikowa skamieniała.

— Wyrzucili! — jęknęła. — Weneckie cukry! wojewodzińskie!... Miast dla wnuków schować na pamiątkę! — Załamała ręce zgorszona, puszczając połę kurty Sebastiana. Wyzwolony, ruszył dalej za panem Achacym.

Sąsiednia izba zamieniona była na kaplicę. Ściany i okna zaciągnięto kirem czarnym. Świece gorzały trzeszcząc i kapiąc woskowymi łzami. Na wzniesieniu, pięknie kobiercami ustrojonym, stała odkryta trumna. Sebastian, który w pierwszej chwili cofnął się na widok świec i adornamentów, zmógł się i uklęknął przed nią.

Pan Bazyli miał twarz pogodną i jasną, weselszą niżli za życia — jeno dobre, wypłowiawe oczy zamknęły się na wiek wieków. Smuga łagodnego ich spojrzenia, które Sebastian pamiętał tak udręczonym, urwała się, skryła, nieskora wyjawic przyczynę pogody lic. Odziany był w paradny kamchowy żupan wiśniowy, przepasany pięknym, pozłocistym pasem.

Szepcząc z cicha słowa psalmu Sebastian spoglądał niechętnie na jarzące się światła, na trumnę bogatą, adamaszkim i frędzlą wybitą, miast być, zwyczajem ariańskim, w jednym klocu wydhubaną, żywicą oblaną, wszelkich ozdób pozbawioną. W miejsce tabliczki miedzianej z napisem: *Scio, cui credidi*, zmarły trzymał w ręku obrazek złocisty Bogarodzicy i karteluszek pergaminowy w trąbkę zwinięty, drobnymi literami zapisany.

— Katolicki akomodunek? — szepnął z urazą do pana Achacego.

— No jużcić, bo nieboszczyk przed śmiercią wiarę katolicką przyjął i po katolicku pomarł... Stąd taki zjazd somsiadztwa. Na chrystiański pogrzeb pies by nie przyjechał — objaśniał pan pisarz Samborski.

— Porzucił wiarę?! — zdumiał się gorzko Sebastian spoglądając z wyrzutem w twarz wuja.

Lecz pan Bazyli uśmiechał się nadal z pogodną słodyczą, nieruchomy, daleki, obcy i obojętny wymowom, wiedzący już o sprawach życia i śmierci tak wiele, że tłumaczyć się nie potrzebował.

— On już z dawna ku temu się chylił — mówił I: pan Achacy — ksiądz go namówił i porękę dał...

— Porękę?

— A ot, ów karteluszek, co go w rękę trzyma... Ksiądz poręczył na nim, że gdyby nieboszczyk na sądzie Boskim za zmianę wiary cierpieć cokolwiek miał, on, ksiądz, zbawieniem duszy wobec Majestatu Boskiego za to odpowiada, wraz z całym Kościołem katolickim. Taką asekuracją opatrzony, przyjął Sakramenta i spokojnie pomarł... Chciałeś waść obaczyć Hankę?

Postąpili parę kroków. Teraz dopiero Sebastian zobaczył dziewczynę, zasłoniętą uprzednio wielkim świecznikiem. Klęczała przy wezgielcu trumny, wpatrzona w twarz ojca, szepcząc doń najczulsze, zdrobione nazwania. Gdy przystąpili, podniosła na Sebastiana oczy splekane w zmęczonej, postarzałej twarzy i skinęła głową obojętnie, wracając do niemej rozmowy ze zmarłym.

— Chodź teraz waść do gości — szeptał pan pisarz samborski. — Krewniakiem jedynym jesteś, nazwiska dziedzicem, tedy uczciwość musisz czynić dobrym somsiadom, życzliwym sercem przybyłym.

Nie czekając odpowiedzi ujął go za ramię. Sebastian poczuł mróz w krzyżu. Pozazdrościł nagle wujowi trumny, Hance — jej wielkiej boleści i prawa do niej. Myśl o zdawkowej, uprzejmej niby rozmowie z obcymi wydała się zmorą. Lecz pan Achacy już go wiódł ku drzwiom.

**Z**a one cudowne nawrócenie ojca Bóg wrychle sierotę nagrodił... Posłuchaj waść jeno, jakimi faworami ścielona drożyna życia przed nią się otwiera: Najmiłościwsza dobrodziejka, wojewodzina Mniszchowa, sama deklarowała się z gotowością przyjęcia Hanki do fraucymeru!! Szlachetna, wspaniała to pani! Szczęsny los uśmiecha się dziewczynie! Niech Bóg szczęści zacnym państwu!... Wojewoda, sam wojewoda! rzekł do mnie: Jedziesz aścka do Pinian, to po pogrzebie przywieź tę małą na zamek... „Tę małą!”... jakoby o córce! — opowiadała żywo pani miecznikowa nie zważając, że słuchający w milczeniu Sebastian nie podziela jej zapału.

Przeciwnie. Nielubo mu czegoś było, że Hanka idzie do fraucymeru wojewodzińskiego. Chudak niezależny, góral swobodny, czuł mimowolny wstręt do dworów pańskich. Prócz tego pierwszy raz błysło mu w duszy poczucie, że opieka nad sierotą do niego, jedynego krewniaka, należy, po raz pierwszy pomyślał, że może wuj tego pragnął, po to posłańca przysyłał i przed śmiercią widzieć chciał. Zawstydził się sam za siebie.

Wokoło panował ruch. Za chwilę wynosić miano trumnę, już zamkniętą. Dwór natłoczony był ludźmi. Pan pisarz Samborski perorował głośno, wynosząc pod niebo zasługi zmarłego. Hanka szlochała, obojętna na pociechy pani miecznikowej. Ksiądz, okryty, czarną, srebrem spływającą kapą, stał już przed trumną z modlitewnikiem otwartym w rękę i rozglądał się niecierpliwie za mającym mu wtórować w śpiewie klechą. Ten się nie kwapił. Zgięty wpół, z

zaczerwienionym, szurzym nosem i wężącymi, chytrymi oczami przeciskał się między tłumem tu i tam, nareszcie stanął przy Sebastianie.

--- Poproś wasza miłość, by trumnę otworzono — szepnął --- niech se sierota raz jeszcze na rodzica spojrzy...

--- Po co — obruszył się dosłyszawszy ksiądz — bólu próżnego niebodze dodawać? I tak trzy dni jadła w gębę nie bierze, przy trumnie jeno wystając...

--- Silno o to prosi... trza jej uczynić... a ot i naród chce popatrzeć. Rozkaż wasza miłość — nacierał klecha nie zwracając uwagi na słowa księdza, który spojrział nań z odrazą i niepokojem niby na gada.

Sebastian obejrzał się na Hankę. Przypadła do trumny, którą panowie Sulatycki, Bał, Wilczek i Kobielski rychtowali się już brać na ramiona — i całowała wieko z rozpaczą.

— Ha, jeśli iście biedactwu tym dogodzimy... — szepnął.

Klecha poskoczył ku trumnie. Odjęto wieko. Błysnęło ciągle jednako pogodne oblicze zmarłego. Tłumna ganku zebrani chłopci wspinali się na palce, przez otwarte drzwi zobaczyć nieboszczyka pana.

— Ten kartelus — mówił do nich klecha podniesionym głosem — to poręka, świadectwo wydane przez jegomości księdza proboszcza, zbawieniem własnym odpowiadającego za utrapienia, jakie nieboszczyckiej duszy mogłyby się na tamtym świecie przydarzyć...

— Patrzcie! nie wiedziałem! — zadziwił się pan Sulatycki.

— Porękę dałeś jegomości?

Ksiądz szczerwieniał jak wiśnia.

— Dałem — wyznał sromięźliwie — ot, dla uspokojenia chorego... niby dziecku. Świstek papieru furda, ale... (głos mu się wzmochnął) przed Bogiem ślubowałem to samo, i ślub ten ważny jest... Bóg go akceptował... Z radością go uczyniłem, zbawienia duszy swojej za przyjaciela najmilszego nie szczędząc...

Klecha nachylił się nad pergaminem.

— Rany Boskie! — krzyknął potężnie — to inny pergamin! Pielszowa na nim pieczęć i podpis!!

Rumor powstał dokoła. Ciśnięto się zewsząd, by sprawdzić. Pan Sędzic Sędzicki, stolnik Samborski, blady ze wzruszenia, wyjął kartelus z zastygłej ręki zmarłego i przeżegnał się.

— Pismo nieboszczyka — szepnął.

— Czytaj waszmość, czytaj! — niecierpliwiono się wokół.

— „Ja, Bazyli Pielsz, zmarły przed czterema dniami — zaczął pan stolnik drżącym z wrażenia głosem — wolnym czynię księdza jegomości Wawrzyńca Kosowskiego, proboszcza, od rękojemstwa na duszy onegoż ubezpieczonego, albowiem stało mi się zadość w odpuszczeniu grzechów od Najmiłosierniejszego Majestatu Bożego, a to właśnie, owszem, ze względu na przyjęcie wiary świętej katolickiej i wyrzeczenie się błędów heretyckich, — Dan w Dolinie Pokuty, *die 11 Decembris anno 1604, Bazyli Pielsz, manu propria*”.

Wśród ciszy śmiertelnej, co teraz zapanowała, ksiądz padł ze stukiem na kolana.

— Cud! cud! Niegodniśmy, Panie! niegodni! — wyjąkał z łkaniem i runął krzyżem na ziemią.

Za nim osunęli się wszyscy obecni, zdumieni, skruszeni, przejęci. Przygięty twarzą do podłogi klecha spoglądał na nich ukradkiem z pobłażliwą a chytrą wyższością. Z politowaniem szczególnym zerknął na szlochającego księdza, Wśród ogólnego przejęcia i lęku górujący ponad zebranymi zmarły uśmiechał się nadal spokojnie, wiedzący widno zbyt wiele, by cokolwiek mogło pogodę jego zamącić.

**P**ozwól waćpanna, iż pokonferujem — zaczął Sebastian i urwał nie wiedząc, od czego rozpocząć pracowicie uprzednio przygotowaną przemowę.

Było już po pogrzebie i wspaniałej, męczącej jak zły sen stypie. Goście się porozjeżdżali. We dworze panował nieład i ziąb, bo drzwi wszystkie i okna otwarte były na przestrzal. Mimo to w powietrzu trwała uporczywie zmieszana woń świec, jedliny, kadzidła, obfitego jadła — i śmierci. Pani miecznikowa i pan pisarz kręcili się po domu, pilnując porządkującej służby i monologując każde do siebie o niezwykłym cudzie, o którym już w całym Samborskiem, i dalej, mówiono.

— O czym waść chcesz konferować? — zapytała Hanka. Skulona i zziębnięta otulała się w wytartą lisiurę ojcową.

— Co waćpanna myślisz czynić ninie? — zagadnął wprost Sebastian rezygnując z ułożonego uprzednio dyskursu.

— Wiem to ja? — odparła spuszczając głowę. — Samej tu ostać straszno... Pani miecznikowa chce mnie na wojewodziński dwór brać...

— Widzi się to waćpannie?

Milczała. Zaczął więc mówić spiesźnie:

— Bo mnie się nie widzi całkiem. I wuj jegomość (świeć, Panie, nad jego duszą!) nieradzi by chyba byli... Co się tam po pańskich dworach wycierać!... Nie bardzo i o onym wojewodzie pięknie mówią... Jeszczeż gdyby innego azylum nie było... Wzdyc jest... Toćże my krewni! Pojedziesz waćpanna ze mną... Dom u nas niebogaty, ale spokojny, przepieczny. Matka — godna białogłowa a mądra! Ckni teraz za młodszym bratem, któren w Inflanciech wojuje — serdecznie będzie waćpannie rada... Słowa złego nie usłyszysz... Jakoby u rodzonych... Tak mi się zda, że i wuj jegomość tego chcieli...

— Chcieli — szepnęła schylając jeszcze niżej ciemną głowę.

— Ot widzisz!... Pewno k'temu po mnie pisał, kres czując na sobie rychły...

— K'temu — wyznała skubiąc brzeg lisiurki. — A poślednie dnie to ino ciągiem pytał: Zajrzyj, hołubko, zali Daniłko nie wraca...

Łzy puściły jej się sznurkiem. Sebastiana ogarnęło rozrzewnienie, jakiego dotychczas doświadczył tylko w stosunku do Pietrka.

— Ot, widzisz! — powtórzył. — Nie płacz! ... Hanka! Co sobie będziem waćpanować, krewniakami będąc? Za brata mnie poczytaj... Twardym człowiek, prosty, gadać nie umiem, ale krzywdy u nas nie zaznasz, jak mi zbawienie duszy miłe... Sieroctwa ani poczujesz...

Płakała coraz rzewniej, choć spokojniejszymi, ulgę niejaką przynoszącymi łzami. Pan pisarz samborski wszedł do izby spoglądając bystro na obojga.

— Rezolucję powziąłem — zwrócił się do niego Sebastian — zabrać krewniaczkę do nas. Matka moja rada matkę jej zastąpi... Jeno się kłopotę, co z substancją uczynić?

— Jak mi Bóg miły, dobrze waćpan czynisz! — zagrzmiął pan Achacy. — Poznałem waści, żeś nie wicher; nieraz gadalimy o tym z nieboszczykiem... Wielce on tego pragnął... Dwór wojewodziński zgoła mu się nie nadał... Stary — rajfur i awanturnik, baby, jak to baby... Co z substancją? Nie kłopot — gdy jest, jeno gdy jej nie ma... O miedzę siedzę, w dzierżawę mogę Piniany wziąć... Sieroty nie skrzywdzę, to pewna... Ogadamy to, zarejestrujemy w grodzie i umowę spisana przetniemy jako należy, jeślić moja oferta dogadza...

Sebastian dziękował mu gorąco, z radością widząc, że wejście w opiekę mniej trudności przedstawia, niż się zrazu obawiał. Uciecha to była jednak przedwczesna, należało

bowiem jeszcze zawiadomić o decyzji panią miecznikowa.

Weszła w tejsze właśnie chwili posuwistym krokiem, doradzając Hance otrząsnąć się z lamentacji i przyodziewki pakować — a usłyszawszy nowinę,omalże w mgłości nie wpadła z szczytnej indygnacji.

— To są chyba żarty trefne, gadki nieprzystojne! — wołała. — Gdy najczarowniejsze aspekty Opatrzność przed dziewczyną otwierać raczy, prekaucję dając swego miłosierdzia — miast za to z najniższą submisją, rewerencją, atencją Bogu i jaśnie wielmożnym państwu dziękować, waść chcesz ją zabrać i zakopać w jakiejś Sądeczyźnie, której nikt w całym województwie nie zna? W jakowychś górach straszliwych! Pan miecznik, nieodżałowanej pamięci dobrodziej mój i małżonek, człek bywały był, światowy... W Warszawie, Krakowie był! Do Gdańska kiedyś się zbierał, ale w Sądeckie nie dotarł ani o nim słyssał!... Bogu dzięki, że tu jestem! Nie dozwolę zatracić sieroty!!

Zalany potokiem słów Sebastian rzucił panu pisarzowi spojrzenie błagając o pomoc.

— Mościa pani dobrodziejko — zaczął tenże energicznie.

— Lecz jejmość zatrzepała gwałtownie rękami.

— Cichaj, waść! Nie gadaj nic! Już widzę, żeś mu socjuszem! Laboga! Dwa łyse konie na targu nie tak skoro się porozumieją porozumieją, jak dwa chłopy dufne w swą preeminencję, gdy o poszkodzenie białołowie idzie! Ale ja tu jestem! -- Powtarzam: Nie zwolę się zdewinkować. Presumpcjonalnieś to waćpan ułożył... Nic z tego!

Zatchnęła się z alteracji.

— Gadajże! — zakończyła naraz do milczącej Hanki. — Nie dzieckoś! Odezwiw się! Gdzie wolisz?! Na wojewodziński dwór czy w one góry zabite?

— Do rodziny chcę — rzekła dziewczyna podnosząc głowę wcale stanowczo. — Tym bardziej — dodała — że tatulko jegomość tego sobie dusznie życzyli...

Pani miecznikowa oniemiała.

— Niewdzięczna dziecko! szalona! obses cię snadź opętał!... A co ja pocznę?! — jęknęła z rozpaczą. — Jak powiem pani wojewodzinie dobrodziejce, że ekstra-ordynaryjne jej fawory odrzucone są zgoła grubiańsko!... Jak owe cukry weneckie! — dodała boleśnie. — Oczu na nią nie podniosę! Odezwać się nie ośmielę!... Niechże ten swak, co cię tak łacno przekabacił, sam jedzie wyeksplikować...

— Ja? — obruszył się Sebastian. — Potrzeby żadnej ekspliki nie widzę...

— Musisz! — napierała — musisz! Inaczej wojewoda urazi się srodze... A słusznie, Boże mój! słusznie! Niestychana to rzecz przecie...

Oponował stanowczo, lecz prawiła tyle i tak długo, że w końcu pan Achacy stanął po jej stronie, zatrwożony perspektywą możliwego gniewu wojewody.

— Starostą jest... a mściwy i chytry jak gad. W dzierzawie może impedimenta stawiać, na czym substancja ucierpi... Jedź waść, niewielka to rzecz... Wyeksplikujesz, iż dziewczynę zabierasz do siebie, za okazaną dla niej życzliwość dziękując...

Na poły przekonany, Sebastian ustąpił, acz wielce niechętnie, i nazajutrz z dwoma pachotkami, ubranymi z kozacka, przydanymi mimo jego oporu przez Hankę, pojechał do grodu na wojewodziński zamek.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### SPOTKANIE

**Z**amek Samborski pana wojewody sędmirskiego Mniszcha warowny był i okazały. W pierwszym rzędzie otaczał go parkan potężny, na półtora chłopca wysoki, z kłoców dębowych pod topór spuszcanych złożony, w którym basteczki były dwie i brama podmurowana z samborzą i banią okrągłą, świecąca. Za parkanem była fosa cembrowana, a za fosą mur wyniosły, bastionami ukrzepiony, z drugą bramą, jeszcze zdobniejszą niż pierwsza. Dopiero zza tego muru wychylały się dachy właściwego gmachu, strome, zębate, świecące miedzią gałek na wieżach i baniach. Most, przerzucony przez fosę, opuszczony był gościnnie, obie bramy na ścieżaj otwarte i kozakami a dworskimi gęsto obsadzone. Dziedziniec widział się ustrojony jakoby na gody. Długie proporce spływały z blanków wieżowych. Od drugiej bramy do zamku, w szyku uroczystym, potrójnym rzędem w ścisły szpaler wyciągnięci, stali węgrynowie, zwani sabatami, w obcisłych portkach, czyli famurach, i krótkich, barwnych kabatach z pętlicami. Dalej raj tary, według cudzoziemskiej mody przyodziani, w kapeluszach i koletach, arkebuzery i dragony.

Sebastian wjechał stropiony w ten szpaler, nie wiedzący, co by miała ta gala oznaczać, przeprowadzany niezycliwymi spojrzzeniami żołnierzy. Jużcić nie dla tego szaraka stali tutaj od rana na mrozie! Wstyd nie pozwalał mu zawrócić, jechał więc stępa, wypali trując miejsca, w którym mógłby się przedrzeć za szpaler. Lecz żołnierze stali ciasno, ramieniem się dotykając i nie myśląc się usuwać. Przed zamkiem spory szmat ziemi wystany był sukmem szkarłatnym. Przystanął niepewny — wjechać na nie czy zawracać? I Równocześnie za murem zagrzmiąła salwami palba, na wieżach uderzyły uroczyście dzwony, z zamku wybiegł zażywny jegomość, zapewne marszałek, i skamieniał na widok intruzów.

— Czego tu?! — wrzasnął. — Nuże! na bok! Prędzej! Jego Wysokość Carewicz już jedzie!

— Szlachcicem jestem, przyjechałem w sprawie personalnej do wojewody sędmirskiego — zaczął urażony Sebastian, lecz jegomość przerwał mu gestykułując gwałtownie:

— Dość! dość! Potem, gdy wjazd się odprawi!... Jeśli jaśnie wojewoda będzie miał czas... W taki moment! przed sam zamek!... Tam czekaj waść! — Ujął m uzdę konia Sebastianowego i przeprowadził go wraz z pachołkami przez szpaler żołnierzy. — Tam! — powtórzył wskazując ręką oficynę. W teże chwili zagrała rześiście stojąca na murze kapela, huknęły moździerze i bombardy. Kozacy stojący przed bramą palili z samopałów, piechota prezentowała broń. Herold w barwie wpadł na dziedziniec, trąbiąc, a osadziwszy konia przed sukmem rozestany, zakrzyknął:

— Jego Wysokość Carewicz Dymitr Joannowicz, Wielkiej Rusi, Ugleckie, Dmitrewskie, Grodeckie Książę, monarchii ] moskiewskiej pan i dziedzic — nadjeżdża! Z zamku wyroiło się na taras świetne towarzystwo. Z twarzą czerwoną, zwieńczoną białą jak mleko czupryną, w stroju kapiącym od złota, pan wojewoda Jerzy Mniszech z Kończyć Wielkich, herbu Kończyć, przydomku Wandalin, zszedł stopni tarasu na sam dół. Za nim powinni i goście. Powyżej, w



rozwartych drzwiach, stały: pani wojewodzina w cudnej toczenicy na siwiejących włosach, w szacie altembasowej starsza jej córka Orszula, księżna Wiśniowiecka, błyszcząca z dala subtelną powłoką szat, i młodsza Maryna, w wieńcu misternie wyrobionych woskowych róż na długich, czarnych | warkoczach.

Zadudniły kopyta pod sklepieniem bramy. Między zwartym sznurem wojska posuwał się z wolna poczet dostojny. Przodem, na siwym dzianecie z grzywą i ogonem farbowanym na purpurowo, w świetnym giermaku błyszczącym spod sobolej delii, jechał carewicz, pretendent do moskiewskiego, przez Godunowa zasiadanego tronu. Na głowie miał wysoki szłyk, osyty wielkimi perłami. Z wyniosłą swobodą rozglądał się wkoło, okiem znawcy wodząc po wyprężonych żołnierzach. W pewnej chwili zwrócił twarz w stronę Sebastiana, który omal nie krzyknął w zdumieniu. Poznał go od razu po wielkich kurzajach, nieforemnych rysach i bystrych oczach... Tuż za carewiczem, kołysząc się na bachmacie, księżę Jadam Wiśniowiecki uśmiechał się w prawo i w lewo szeroką, bezczelną gębą opilca i zabijaki. Choć kaleka o kuli chodzący, na koniu trzymał się nieźle. Za nimi zdążali inni wśród wrzawy wiwatów, muzyki, dzwonów i salw nieustannych. Wjechawszy na szkarłatne sukno carewicz zeskoczył lekko z konia biorąc w ramiona oczekującego pana wojewodę, za czym śpieszył złożyć galantowny hołd damom.

Gdy wrota zamkowe zamknęły się za gośćmi, mur żołnierzy pękł, zwolniał, rozsypał się jak zesunięte ze sznurka paciorki. Na dziedziniec wjechał bogaty tabor Wiśniowieckich. Wśród pokrzyków, łajañ i witań lokowano przybyłych ludzi i konie. Tenże sam co przedtem marszałek przebiegł podwórze, zwołując przyjezdnych do oficyn na poczęstunek. Plac opustoszał. Rzęsiście oświetlone okna zamku kładły na udeptanym śniegu różowe kwadraty ciepłego światła; dochodziła brzękliwa wrzawa kapeli.

Sebastian czekał ciągle, zziębnięty i zły. Zsiadłszy z konia, przechadzał się w prawo i w lewo, tłumiąc w sobie wzrastającą irytację. Byłby dawno zawrócił do domu, gdyby nie obawa, że miecznikowa wyprawi go po raz wtóry. Nareszcie zoczył wracającego od bramy marszałka i podszedł szybko ku niemu.

— Zamelduj waść wojewodzie — rzekł rozkazująco — iż Sebastian Pielsz z Sądeczyny, krewniak zmarłego tamtej niedzieli Bazylego Pielsza z Pinian, pragnie z nim pomówić. Jeśli pan wojewoda zajęty, wracam doma nie przeszkadzając.

— Powiem wnet — rzekł uprzejmiej nieco marszałek. — Tymczasem pójdź waść czekać na pokoje.

Obskrobawszy starannie buty ze śniegu Sebastian poszedł za nim przez boczne wejście do niskiej, sklepionej komnaty, gdzie dworzanie i oficerowie na służbie będący oczekiwali rozkazów. Naprzeciw wejścia umieszczone zwierciadło weneckie odesłało mu własną postać, szarą i podkasaną, nędznie się prezentującą na tle strojnego towarzystwa dworskiego. Na wielkim kamiennym kominie z okapem gorzały karpy smoliste, strzelając co moment skrami. Strop sali zdobiły freski. Bogato rzeźbione drzwi w głębi wychodziły na ogród i galerię, oświetloną smolnymi kwaczami, płonącymi w alabastrowych urnach. Sebastian usiadł na wskazanej mu przez marszałka ławie i czekał znowu bez końca. Nie zwracając nań żadnej uwagi gromadka młodzieży dworskiej rozprawiła żywo, choć półgłosem:

— Prezencję ma niczego... A dufny! Baczyliście?

— Praw-li on carewicz czy nie? Waszmościowie?

— Cyt! — szepnęła ostrzegawczo Osmólski, starszy rękodajny.

— Kanclerz przy mnie gadał: Na Boga, Plautowa-li to komedia? Toćże adwent, nie zapusty...

— Ciągnęli Wiśniowieckie kanclerze, jak mogły, on zasię: Rad bym ostatek dni na co gruntowniejszego zażył...

— Sam jegomość wojewoda długo się ważył i apprehendował, jeno że kombinację obmyślał...

— Cyt! — powtórzył surowo Osmólski.

Przycichli, ale tylko na chwilę.

— Książę Jadam prawi, że carewiczka poznały Kozaki i deputaty moskiewskie, i czerńce, jako prawy Demetrius jest...

— Księciu o Sniatyn i Przyłuki idzie, to mógł nastać, kogo chciał... Mało takich, co za dukata w diabie rodzonego ojca by poznali.

— Pst! cichajcie! Ktosik idzie!

— Miechowiecki! Miechowius! sam tu!

— Bywaj, stary, do kompanii!

— Chyba że carewiczowym kancellariuszem będąc gadać już z nami nie zechcesz?

— Na sucho pewnikiem ani gęby otworzę, za hołotę was trzymając — roześmiał się przybyły.

Otoczyli go ciasnym kołem. Osmólski posłał po miód. Zaczęli gęsto przepijać wśród śmiechu i żartów. Miechowiecki, osobisty sekretarz carewiczka Dymitra, miał krągłą, wygoloną twarz i włosy niby z tatarską przy skórze ostrzyżone czy, jak złośliwi twierdzili, z francuskiej choroby przedwcześnie wyłysiałe. Pozbawiona zarostu twarz, tryskająca sprytem, zdawała się być licem raczej kuglarza lub błazna niż szlachcica. Małe, ustawicznie mrugające oczy, o cynicznie kpiącym wyrazie, biegały wokół, spostrzegawcze i przenikliwe.

— W poręś przyszedł, bo nas ciekawość rozpiera... Gadaj żywo, co w tym jest?

— W czym? — spytał udając głupiego.

— Nie symuluj franta! Powiedz: carewicz to czy nie?

— Szkarłat mu słaście na dziedziniec, toćże chyba nie cyrulik abo parobek?

— Polityka, wiadomo! Ale ty nam powiedz prawdę!...

— Prawdę? — rzekł uroczyście, podnosząc palec do góry. — Latosi rok jest rokiem wielkich rewelacji: słuchajcie jeno! W tym roku okazało się dowodnie, że mój aktualny pan prawowitym jest dziedzicem Moskwy, ja zaś, Miechowiecki, jako mnie widzicie, bastardem nieboszczyka papieża... Tak się stało, choć mać moja nigdy w Italii nie była ni Ojciec święty w Sarmacji... Astrolog jeden kiedyś mi to w cynozurze razem z kanclerstwem przepowiedział, ale wiary dać nie chciałem — a ot, okazało się prawicą!...

— Gadaj bez żartów! Żaden z nas pary z gęby nie wypuści...

— Puszczajcie parę, jeśli wola! Co mi to szkodzi? Czego się wam trza dowiedzieć? Czy jest carewiczem? Jest! Czy Miechowiecki jest sekretarzem i przyszłym kanclerzem? Jest! A dlaczego? Bo oba mają głowy na karku!

— Więc to nie syn Iwanowy?!

— Iwanowy, Adamowy, Maciejowy... Co mi do tego? Ludzi nie kąsa jako tamten zwierz... Owszem, Chłop wcale do rzeczy...

Pociągnął miodu i spojrzał podejrzliwie w przeciwny koniec sali na obojętnego i zamyślnego Sebastiana. Spoważniał nagle.

— Powiem wam — rzekł niżając jeszcze bardziej głos — iż pierwsza myśl symulacji, jakoby Demetrius żył, z Moskwy wyszła... Od samego Borysa Godunowa, jeszcze przed laty.. Nie wiedział, zali się zdoła sam na stolcu udziereć, i tego młodzika upatrzył, by w jego imieniu regencją niby sprawować... Pisał o tym swego czasu z Moskwy Jędrzej Sapieha, starosta orszański, który już proklamację przygotowaną widział... Teraz Godunowe przeciwniki tegoż samego kandydata wyciągnęły...

— Ale kto on? kto? Moskwicin?

— Jak ja Olender; podobno... — Nachylił się, by im szeptem zwierzyć tajemnicę, lecz nagle wyprostował się, głośno, urzędowym tonem mówiąc: — Tandem, skoro ów preceptor Grek, szczególną łaską Opatrzności wspomagany, zdołał ocalić cenne życie Jego Wysokości Carewicza...

Obejrzeni się zdziwieni i wyprostowali. Szeleszcząc cicho po posadzce ciężką suknią, przechodziła przez salę młodsza wojewodzianka, Maryna. Nie patrzyła na nikogo. Zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi i wyszła na galerię, nie bacząc na mróz. Stała przy balustradzie, chłodząc rękami rozpaloną twarz. Czerwony blask smolnych kwaczów, w urnach płonących, oświecał jaskrawo jej szczupłą postać, ginącą w ciężkich fałdach brokatowej szaty, czarne, żywe oczy, pogardliwe usta i dumny podbródek. Stała, obojętna na rzucane z za szyb dyskretne spojrzenia dworzan — wpatrzone w ciemność ogrodu. Wyniosłe, nieograniczone marzenia ponosiły wyobraźnię pysznej panny, rozpalały twarz i piersi, że nie czuła mrozu, zmieniały zimową noc w przedziwną, wschodnią, tkaną klejnotami baśń...

Naraz drgnęła i obróciła się gwałtownie.

— Kto tu? — zapytała ostro.

Skulony, obdarty wyrostek wiejski oderwał się od ściany, do której przylgnął zaglądając ostrożnie bokiem szyby, co się dzieje w sali.

— Iwaśko z Zarudów... pismo prinisł panu łowczomu — bełkotał mnąc czapkę.

— Czoho tu szlajesz sia?! — krzyknęła groźnie. — Na majdan, paszoł! Ach, ty wołokito! zołodijako!

Uciekł jak zmieciony. Klęła jeszcze za nim, rozdrażniona nie tyle niebywałym zuchwalstwem chłopca, co przzerwaniem złotego przedziwa marzenia. Wzorzysty kobierzec baśni urwał się, rozpełził i przepadł. Z winy tego obdartusa, chłopca, włóczęgi!... Wart za to porządnej chłosty... Przeszła z powrotem przez salę nie spoglądając na nikogo. Woskowe, połyskujące kroplami pereł róże kłoniły się od ciepła na jej czarnych włosach.

Ledwie wyszła, wpadł zadyszany marszałek.

— Skoro! skoro! chodź waść! — wołał do Sebastiana. — Jaśnie wojewoda raczy chwilę czasu waćpanowi poświęcić. Komplacencja to niezwykła, bo zaraz do uczytę proszą...

Wiódł go żywo przez boczne, słabo oświetlone komnaty do bogatej, kragłej izby basztowej. Wojewoda grzał przed kominkiem nogi, obute w złociste ciżmy.

--- Miło mi poznać asana — zaczął niedbale. — Waść jesteś krewniakiem nieboszczyka Pielsza z Pinian? Dobry był człek. Cud znamienity na pogrzebie zdarzył, o którym rad bym usłyszał najdokładniejszą relację... Byłeś asan może świadkiem tej łaski szczególnej? Opowiedz! — Byłem świadkiem — odparł Sebastian. — Karłusz w ręku zmarłego tkwiący okazał się innym niżli ten, co był włożony poprzednio... Nie wiem wszakże, zali to można cudem nazwać?

— Jak to? — obruszył się pan Mniszech. — Mało waści? Transformacja substancji, nadprzyrodzoną modłą dokonane przeinaczenie się martwego obiektu!

— Mógł kto kartelusz zamienić...

— Kto by się ważył? Toć świętokradztwo! W jakim celu?... Chybaby proboszcz... Na niego waść rzucasz suspicje?

Sebastian zamyślił się głęboko; niewinne, szczere oczy księdza zamajaczyły we wspomnieniu.

— Nie — rzekł stanowczo — ksiądz tego nie zrobił.

— Więc któż by? Cud oczywisty!... Wasze jakiej jesteś wiary?

— Chrystianin.

— A... a... a... — rzekł wyniosłe pan Mniszech. — Rozumiem teraz niechęć waćpana do skonstatowania mirakulum, którego negować nie mozesz... O Panie — westchnął pobożnie —

jakich znaków jeszcze trzeba, by ślepi przejrżeli?... Co za sprawę miałeś asan do mnie?

— Chciałem podziękować za łaskawość okazaną mej krewniacze sierocie, a zarazem eksplikować, iż korzystać z niej nie będzie...

Wojewoda zamrugął oczami.

— Wybacz asan, nie rozumiem dokumentnie, o co chodzi... Krewniacze? Jakiej, dalipan?

— Pani Miecznikowa Kazanowska — tłumaczył Sebastian — mówiła mi, iż Wasza Dostojność chciałeś wziąć sierotę po Bazylim Pielszu do fraucymeru jaśnie wielmożnej Wojewodziny Dobrodziejki...

— Ech! — machnął ręką pan Mniszech. — Białogłowskie to sprawy, nic mi do nich... Zda mi się, że coś o tym słyszałem... Owszem, owszem, dziewczyna może iść do fraucymeru...

— Kiedyż właśnie nie pójdzie, bo ją zabieram do siebie...

— Więc czegoż u kaduka waćpan chcesz ode mnie! — Żachnął się zniecierpliwiony wojewoda wstając.

Sebastian o mało nie zaklął również.

— Podziękować... wyeksplikować — powtarzał niezdarnie.

— Wystarczyłoby powiedzieć to marszałkowi... Dobrze już dobrze... Możesz asan zostać na bankiecie — dodał kiwając głową łaskawie — miejsce znajdzie się, owszem: jedna osoba mniej, jedna więcej, nie zawadzi... Wielkiego gościa dziś mamy... Prawy dziedzic tronu moskiewskiego, przez Borysa Godunowa uzurpowanego...

— Najpokorniej dziękuję Waszej Dostojności za inwytację, nie przystrojonym wszakże — i w żałobie... Jegomości carewicza zaś poznałem łośkiego roku w Hoszczy na synodzie chrystiańskim... Noclegowaliśmy społecznie w jednej kwaterze...

Wojewoda obrzucił mówiącego szybkim, podejrzliwym spojrzeniem.

— Znasz go wać? Tedy wiesz, jak Opatrzność cudownie odmieniła jego dołę, krzyżując nieczne plany uzurpatorowe... Słuszna to nagroda za szczerą ku wierze świętej katolickiej gorliwość... zęgnam asana — dorzucił uprzejmie.

— Obecnego jegomości carewicza poznałem na synodzie chrystiańskim — powtórzył z naciskiem Sebastian. Lecz wojewoda udał, że nie słyszy.

— A co z Pinianami? — zapytał nagle od progu.

— Pan pisarz samborski wziął w arendę...

— Już? Szkoda! Sam bym gotów był wziąć z czystej dla nieboszczyka życzliwości... Pisarz?... Rudowski?... Niezły człek, ale gospodarz... Pożal się Boże! No, trudno — mruknął wychodząc. Przez otwarte drzwi buchnęły falą muzyka i gwar.

Spocony niby po łaźni, zły jak Belzebub, Pielsz wyszedł szukać koni. Kłął półgłosem w żywy kamień miecznikową, wojewodę, niepotrzebną jazdę i stracony dzień. Na domiar przeciwności nie mógł nigdzie znaleźć koni. Pachołcy zapewne raczyli się gdzieś gorzałą, korzystając z ogólnej fety i poczęstunku. Głodny i zziębnięty Sebastian szukał ich długo po różnych przybudówkach, stajniach i licznych budynkach gospodarczych, z jednakim lekceważeniem traktowany przez wojewodzińskich. Bez szabli, w szarym, krótkim kopieniaku, widział im się jakowymś pisarczykiem, patronem, może nawet zwykłym wagarusem. Złość go zalewała... Nareszcie odnalazł konie i pachołków spitych jak kłody. Przebudziwszy obu potężnym kopnięciem, zgola z zasadami Ewangelii niezgodnym, ruszył z powrotem do Pinian.

Noc była mroźna, gwieździsta. Gdy w szybkiej jeździe wyparskał nieco swój rankor, z nową siłą uderzył jego umysł zdumiewający fakt przemiany biednego eks-monacha Gryszki w carewicza. Bo bez wątpienia był to ten sam. Poznał go od razu, a wojewoda domysłem nie

zaprzeczył.

„Ale chytry gad! — pomyślał z podziwem. — Nagroda za żarliwość katolicką... Ejże! a w Hoszczy mówił: Tutaj mi Śyc i umierać... Niespokojny to ptak i nieraz jeszcze zamętu przyczyni — wspomniał słowa młodego Hojskiego. — Ten go przegładną! Iście, niespokojny ptak... Łatwo mu pióra linieją, i maść... Lecz skąd się wzięł? Jakim sposobem przemienił?”

Bezsilny wobec zagadki, daremnie ją rozpatrujący, ani się spostrzegł, jak spod ciężkich okapów śniegu ciepłe światełka zabłysły w oddali, niby dobrotliwie patrzące spod nastroszonych brwi oczy. Był już w Pinianach, a świeciło się we dworze. Carewiczowa zagadka uleciała z głowy jak rzecz błaha i ni nie znacząca, ustępując miejsca sprawie bez porównania ważniejszej, sprawie rychłego powrotu do domu z Hanką. Jak odbędą drogę?... Czy uda się jej Czarny Potok? Czy będzie zadowolona z zamiany domu? Zapragnął, aby tak było, z żywością, z której jał gorliwie tłumaczyć się sam przed sobą.

„Wzdyc obowiązek to mój — myślał — obowiązek podwójny: wuj opieki nie zdążył mi nałożyć, ale dusznie tego chciał: zatem do opieki zniewolonym: to raz. Drugie: duszę chrystiańską w wierze prawdziwej trza utwierdzić i od odstępstwa uchronić... U Mniszców zrobiliby z niej papieżniczkę, ani chybi... Szczęście, zem na czas przyjechał... A skoro opiekunem muszę być, juźci trza opiekę tak sprawować, by sierota sobie nie krzywdowała... O nic innego mi nie chodzi — uspokajał własną podejrzliwą surowość — jeno o wypełnienie ostatniej woli poćwiwego krewniaka i zbawienie duszy dziewczynskiej... Tak jest. O zbawienie duszy... Nic innego...”

Urwał rozmyślenia, bo koń stanął przed zasypanym śniegiem gankiem.

## Rozdział jedenasty

### W obozie

**P**rzyłóżcież choć drew do ognia! — sarknął niecierpliwie towarzysz, pan Balcer Cetner, zatulając się starannie w derę, bo noc, choć sierpniowa, przejmowała chłodem. Od niedalekiego morza pociągał ostry, słonawy posmak w ustach zostawiający wiatr. Zawsze gotów na wysługi, Pietrek Pielsz podniósł się, by szukać drew.

— A może byś naszedł kaj co do żarcia... bodaj rzepę — pisnął za nim żałośnie Jędrek Rupniewski spod dery.

— A juźci! Rzepę! Może kapłona albo wianuszek kiełbasy? — roześmiał się odchodzący.

— Nie wspominaj kiełbasy, taki synu...

Ucichli kuląc się przy migającym ledwo ogniu.

Dokoła leżał w milczeniu obszerny obóz. Ogniska tliły skąpo, bo nikomu nie chciało się

dokładać paliwa, gdy nie było co do ognia przystawić. Lepiej rychłym snem oszukać kęsający głód.

— Skąd tu tak zeszło na wszystkim? — dopytywał boleśnie Krajewski Paweł, towarzysz, który dopiero przed tygodniem do chorągwi zjechał.

— Skąd? Toć kwarta król jegomość nie przysłali już półtora roku!

— Nie nowina, że kwarta się spóźnia, przecie żołnierz zawdy znajdzie sobie radę... nie desertum to libijskie gdzie jeno, jako prawią, piachy, niebiosy i monstra plugawe...

— Gorzej niż desertum! — splunął pan Cetner wytknąwszy głowę z okrycia. — Monstrum, choćby najplugawsze, da się w garnek włożyć i na ząb wziąć... „żołnierz znajdzie sobie radę...” Wiera! jeno nie w Inflanciech... Kraj obrany został z jądła czasu pierwszej szwedzkiej, gdy król jegomość z dworem swoim zjechał... Kanclerz za głowę się wziął! Batory takim manierem nie jeździł! Dyć armia ściągnęła liczniejsza niż nasza, dworzan, cyrulików, balwierzy, wróżbiarzy, koniuszych i dworskich bab. A wszystko musiało jeść tłusto, spać w pierzu. Parę miesięcy ta hołota stała, nic juźci nie zdziaławszy, jeno wyniszczywszy kraj. Gdzie się jaka kura chroniła, wypatrzyli, żeżarli, nic innego do roboty nie mając...

— A przódziej bogato tu było... Hej! — zaśpiewał z litewską pan Sieheń. — Jedno starostwo w Inflanciech tyle znaczyło, co trzy na Mazurach... Ta cóż, kiedy wojny i wojny!... Najgorsze były moskiewskie... *Deus omnipotens!* Włosy wstają, gdy słuchać, co ludzie o okrucieństwach Iwanowych prawią...! Jechali my pod Rewlem groblą, którą dotąd ludzką zowią bo że grząska była, ludzi na niej związanych mostem kładziono by kartauny bezpiecznie prowadzić... Straszno tam jechać, bo kości dotąd zewsząd z błota sterczą...

Pietrek powracał z szelestem ciągnionych gałęzi, nakrył nimi ogień umiejętnie. Dym biały, gryzący, rozkudlił się nisko, aż krtusie się jęli, lecz wnet wiatr go przewiał, trzasnął ogień, bryznął w górę wesołymi płomieniami, oświetlając wytartej kubraki skórzane z odcisniętymi pasami pancerzy i wychudłej twarzy towarzyszy...

— To i kwarta niewiele by pomogła — wzdychał pan Krajewski.

— Hale! Zakupiliby my czego dusza zapagnie w Kurlandii! Łońskiego roku, gdy mizeria takowa nasza, że ludzie i konie marli od głodu jak muchy (teraz to jeszcze nic), Lisowski, porucznik z Niewiarowskiego roty, konfederację podniósł i z kupą wojska do Kurlandii wpadł... Haniebnie tam naswawolili, bo człek głodny gorszy zbója... Wrócili syci, z łupem, jeszcze i nas podkarmili... Niepiękny był proceder, przecie nit zjadł się tą strawą nikt... Wdzięcznie, owszem, my na nich patrzyli. Jeno pana hetmana mało alteracja z miejsca nie zabiła. Gardłem chciałem ich jako grasantów karać, precz pędził z obozu, na Lisowskiego banicji wołał i za infamisa ogłosił...! Silnie się stary ozeźlił, aż z cholery i frasunku zachorował na trzy niedziele. Na koniec się ugłaskał i rebeliantów do łaski dopuścił. Innemu może by nie uszło, ale Lisowskiego miłuje, że jeniusz jest wojenny i wielkiego serca.

— Nie powtórzy się taka inkursja, gdy bieda dopiecie?

— O, nie! Raczej do domu powrócimy... Pan hetman przysięgę złożył, że buławę ciśnie a wojsko pośle na maciory, gdyby go raz jeszcze taką niesławą okryło...

— Ale wydzierzyć ciężko — dokończył pan Balcer. Ślężakiem był i dobrze zjeść lubił.

— A ciężko — potwierdził Pietrek.

— Nie gadaj! Ty się i tak jeszcze dobrze trzymasz, smarkaczu...

— Boch je grał, a o nas góralach prawią, że mają czarne podniebienie a duszę na poprzecz — błysnął Pietrek białymi zębami. — Nie przywykli my po wierchach do wielkich rozkoszy.

Wychudł i szerniał do niepoznania (spłakałaby się na jego widok pani matka),

lecz zachował wesołe oczy i dziecinny uśmiech.

— Raczcie, szlachetni panowie, zezwolić kęs miejsca przy ogniu niefortunnemu wolontariuszowi Muz — zapiszczał płaczliwy głos.

Z mroku wychyliło się wąskie lico, objęte długimi włosami. Był to imć Maciej Chocieski, Pindarem chętnie się przezywający, niegdyś proboszcz grudziądzki, potem pastor toruński, ninie zaś wolny rymopis. Różnorakie koleje wagabundzkiego żywota zagnały go do obozu, gdzie plątał się przymierając głodem i kryjąc, jak mysz pod miotłą, przed hetmanem, który cudaka nie lubił i przygłupkiem otwarcie nazywał.

— Siadaj, asan, siadaj — rzekł pobłaźliwie pan Cetner. — Jakieś nowiny z Parnasu?

— Ukończyłem aktualnie poema — zwierzył się szczęsnym szeptem Pindarus — poema w dwunastu pieśniach, uroki życia sielskiego opiewających; każda zaś pieśń składa się z sześciu kamen, dzielących się z kolei na dziesięć ekspresji...

— Ho! Cale foremne opus, nie mniejsze chyba Iliady?

— Prawie, prawie... O, gdyby miłościwe nieba raczyły nakłonić szlachetne serca ku pomocy w ogłoszeniu drukiem tego dzieła, tarchnęłoby, wierę, całym światem, odmieniło koleje przewrotnie idącego uniwersum, stawiając przed zarażone zawiściami, na piękno Muz zapuchłe oczy błogie rozkosze sielskiego żywota, oderwałoby umysły od ustawicznych krwiopławów... Któż nie przeniesie słodkiego szumu ruczaju nad groźny a swarliwy szczeń oręża?

Słuchacze tręcali się nogami, rozweseleni, zapominając o głodzie, zaś poeta prawił w natchnieniu dalej:

— Przewiduję koniec wojnom, gdy moje poema znane będzie światu... Powróci złoty wiek Muz... Między gotowe do natarcia szranki wejdzie bezbronny poeta z lutnią w rękę, wieńcem wawrzynowym strojny, i strofy swe śpiewać pocznie... A wtedy ślozy puszczą się strumieniem z ocz skruszonych wojowników i pojednani odejdą...

— Jako żywo! Jestżeś asan tego pewny?

— Czyżeż się serce nie wzruszy na obraz wdzięcznej czułości! — odparł Pindarus.— Zechciejcie zresztą posłuchać szlachetni panowie; oto jak pasterz Hyzander przemawia tkliwie do trzódki sobie powierzonej:

Wstańże i idź z drugimi, srokata owieczko —  
Oto przyszło do ciebie ssać tve jagniąteczko;  
Daj mu mleczka — twój ci to baraś, twoje dziecię...  
Wstańże, owieczko — oto przyległaś to kwiecie...

— Przestań, asan, na Boga, bo w rzeczy samej ślozy nam płyną z oczu... Owieczka, baraś!... O lube wspomnie nie!...

— Niezapomnianej foremności kształcie!

— Hej! Ujrzyć tutaj barasia, towarzysze mili!...

— Z matką, mości panie, z matką!...

— Ponęty sielskie rozkoszą są wzniosłych umysłów — rzekł poeta spoglądając na nich nieco podejrzliwie.

— Nikandym wznioślejszym nie był, jeśli brać miarę z radości, z jaką bym widział barasia! — wykrzyknął gorąc Pietrek.

Nie strzymali dłużej i ryknęli śmiechem. Rymopis porwał się jak oparzony.

— Szkoda balsamu na kapustę, a cennego olejku na buty -mruknał uchodząc żywo w

mrok.

Ciskali za nim pecynami ziemi śmiejąc się długo, rozgłośnie. Z sąsiednich legowisk ruszyło ku nim parę postaci zwabionych ogniem i śmiechem.

Utykając na przestrzelonej pod Felinem nodze, podszedł pan Eliasz Arciszewski z Arciszewa, arianin. Za nim pan Nowodworski Bartłomiej, kawaler maltański, i wiecznie nasepiony pan Pszonka, chorąży sieradzki. Usłyszawszy przyczynę śmiechu skrzywił się niechętnie:

— Facecje się dzierzą waszmościów, choć pora nie krotochwilna... Pozwólcie się ogrzać, bom zziąbł...

— Na Cyprze inaczej bywało — wzdychał pan Nowodworski. — Pośledni raz bywałem tam na same Gody... Gorąc morzył, a słońce dopiekało niby w czerwcu... Wina przedniego, choć koźlim fetorem (że to je w workach z koźlej skóry trzymają) tracącego, było wszędy, wieleś chciał...

— Przydałoby się nam tutaj, choćby i z fetorem...

— Żle jest. waszmościowie, źle — narzekał wysuwając pięty ku ogniu pan chorąży. — Sytuacja aktualna najfatalniejsza. zaś wszelkie cyrkumstancje prognostykują, iż jutrzejsza będzie jeszcze gorsza... Pokawił hetman... Pokawił... Strategos on jest j wódz, a przecie pokawił...

— W czym? — nasrożył się pan Cetner.

— Ta w czym. kochaneńku? — przywodził śpiewnie pan Sieheń.

— Jako na dłoni wywiode: Karolus już wylądował i ku Rydze pono idzie, dokąd Mansfeld z Lindersonem śpieszą, by się złączyć... Co gdy nastąpi, połkną nas jak płótkę... Amen z nami, mospanowie!

— Amen abo i nie amen...

— Trzem armiom rady nie damy osobliwie gdy brzuchy dawno nam w pięty uciekły... A trza było do złączenia się pludrów nie dopuścić. Mansfelda albo Lindersona znosząc...

— Jednego szukając w borach, drugiego nad morzem, gdzie go armata strzegła jak mamka oseska!... Co byś na flotę poradził?

— Praktykę w krajach nadmorskich mając, której tu wszystkim szwankuje, konstatuję, iż poradzić na flotę bez floty jest trudno — orzekł roztropnie pan Nowodworski, a ziewnąwszy zwrócił się do Krajewskiego z zapytaniem o nowiny z kraju.

— Kiepskie! — odparł tenże. — Wiecznie to samo, aż życie się przykrzy... Wszystkim rządy obecne dojadły... Nic, tylko kabały, plotki, dworskie protekcje, intrygi! Wszystko dla interesów personalnych, a przeciw Rzeczypospolitej... W wojnę z Moskwą nas wciągają przez tego wypędka Dymitra, gdy szwedzkiej zakończyć nie mozem...

— Jakiego zaś Dymitra? — spytali chórem zdziwieni.

Opowiedział im pokrótce o świeżym pojawieniu się carewicza, którego najpoważniejsi senatorowie, z kanclerzem na czele, za impostora i szalbierza trzymają.

— Po całym kraju rum idzie — ciągnął — że dłużej wydzierżec nie lza! Wszystek naród w opozycji. Na gas jeno dzwonić i do poprawy się brać...

— Jakim manierem? Na sejmie?

— Sejm nic nie robi, jako pośledni zimowy nie zrobił... Rozlał się w kłótni frakcyjów, zgoła nic nie uchwaliwszy...

— De publicis aż się trzęsie!... Tu obóz, mości panowie, nie sejm! — zabrzmiał nagle stentorowy głos nad nimi. Ogromna postać wychynęła z mroku:

— Wasza Dostojność! — poderwali się przejęci.

— Z polityka kiepski żołnierz; pilnujcie swoich spraw...

Hetman litewski, starosta żmudzki. Jan Karol Chodkiewicz przeszedł mimo, obchodząc



dalej uśpiony obóz. Stali długo, wyprostowani, nie śmiejąc się odezwać.

— Znieobaczka nas zaszedł — szepnął ostrożnie Rupniewski

— A postarzał! Uważaliście?

— Ta, kochaneńki, nie dziwno... W takich terminach! Inny by skapiał do szczątku...a?

— Moiście wy! Od roku na głowie jednego człowieka cała wojna wisi. Król wojnę wszczął, a potem rzucił nas jako sieroty... Dyć stary już Myszy i Berzony zastawił i intraty na dwa lata wprzód wybrał, byle wojsko nieco poratować...

— Cichoście. bo dosłyszycy, że gadamy, i powróci...

— A tak i pokawił... Do oczu bym mu rzekł, że pokawił — mrucał pan Pszonka. wieczysty malkontent.

— Okazja była; czemuś mu waść nie powiedział?

— Czasu zbrakło, a szkoda; rzekłbym, że należało postąpić, inaczej — upierał się pan chorąży wracając na swoje leże.

**O**bszedłszy obóz hetman zawrócił ciężkim krokiem ku wzgórzu! na którym stał jego namiot, większymi tylko rozmiarami różniący się od innych. Pan Aksak. przyjaciel zaufany, rotmistrze] Lacki i Dąbrowa stali przed namiotem.

— Wasza Dostojność — meldował Dąbrowa — z Bychowa imć Hołub z listem od jaśnie wielmożnej Pani Hetmanowej! Dobrodziejki...

— Dawaj go tu sam! — zakrzyknął hetman uradowany, przyśpieszając kroku. — Światła!

Imć pan Hołub, rękodajny. chylił mu się do kolan, podając gruby papier, pieczęciami obłożony.

— Pieniądze są u waści? — spytał szybko hetman.

— Jaśnie Wielmożna Pani Hetmanowa Dobrodziejka tylko pismo dać raczyli — odparł posłaniec stropiony.

Usiadłszy ciężko na zydlu. Chodkiewicz nie słuchał już odpowiedzi; niecierpliwymi ruchami rozerwawszy pieczęcie czyta półgłosem:

„Mnie wielce miłościwy Jegomości, panie małżonku mój i Dobrodzieju!

Pisanie przez Judyckiego otrzymałam, za które uprzejmy dank zasyłam. Wedle nowin, o które się Jegomość pytasz niewielka u nas odmiana. Purkiel za arendę, którą Marchaj dzierży, postąpić gotów pięćset złotych, co pod deliberacją jegomości Dobrodzieja mego przedstawiam, jako że od Marcina umowę nową trza zawrzeć. Wbijanie palów nad stawem, jakoś jegomość zaordynował, dość opacznie idzie..."

--- Pewnikiem nie tak zabijają, jak kazałem — mruknął.

„Hieronimek i Hanusia dobrego, Bogu dzięki, zażywają wczasu. Mnie jednej żywot w ciężkim upływa frasunku i zgryzocie dusznej z raczej wieści, które mnie coraz dochodzą z obozu, o onych gładkich Moskiewkach, co je za sobą powszędę wozisz Jegomość..."

Urwał, czerwony z gniewu.

— Co za choroba naszczekała na mnie o Moskiewkach? — krzyknął uderzając pięścią w stół. — Gdzie one? Kto je widział? Niech mnie piorun spali, jeśli choć głośną jaką podwikę od początku ekspedycji!! Nie pochożym na to... Kiedyś tam, owszem... Ninie! Ni zdrowia, ni ochoty!...

Sapiąc z pasji, powrócił do listu.

„Przeto w utrapieniu ciągłym żyję, nie takiej wiary i placencji w świętym sakramencie małżeństwa się spodziewając. Klejnotów, jakoś mi Jegomość przez Judyckiego nakazywał, nie

zastawiłam, tak miarkując, iż te pieniądze, których siła Jegomość wciąż żądasz, na rozpustę i upominki dla dziewczek są potrzebne, którego to pogwałcenia praw boskich i małżeńskich protegować ni tolerować żadnym manierem nie mogę..."

Zmiał list, rzucił na ziemię, nie czytając dalej.

Był sam. Obecni wysunęli się już wcześniej przezornie z namiotu. Kopnął potężnie stołek, by ulżyć sobie w gniewie, i chodził z kąta w kąt, sykając chwilami z bólu, bo chora żółć, poruszona rozdrażnieniem, dojmowała srodze.

— Na rozpustę... Na rozpustę! — powtarzał w gorzkim żalu nad niesprawiedliwością i ślepotą najbliższej sercu, najmilszej mu istoty. Po chwili postawił stękając wywrócony zydel i usiadł przed pultynkiem, by małżonce niemieszkając odpisać.

„Jejmość Dobrodziejko moja! — zaczął zamasyżycie. — Na tak niecnotliwe pisanie, z wszelkiego umu, bodaj białogłowskiego, wyzute, niewiele mam co odpisywać..."

Urwał myśląc, co rzec dalej niewdzięcznicy. Szybsza od ręki i listu myśl pobiegła wprzód, do Bychowa. Dom ciepły, rodzony, przytulny... żona, mimo wszystko, miła, dziecinne główki najdroższe... Jakże słodko byłoby przebywać z nimi miast terać wiek w nieustannej poniewierce, głodzie i niedoli!... Gniew jego, wzbierający nagłą, straszliwą falą i ustępujący wnet, opadł, przysł, rozsuł się żalem.

„Nieboga! co winna? — pomyślał — frasuje się bez potrzeby... Ten hycel winien, co napyskował; bodaj go kołem łamali! Ej, dostać takiego w ręce!... Cóż ona! Od białogłowy kto by wymagał rozumu?..."

Podarł zaczęty list i wzięwszy drugi karteluszek pisał, prawie uspokojony:

„Moja najmilsza Zosieńko, pociecho moja serdeczna!

Przywiózł ci mi posłaniec, pan Hołub, list cudacznych jakichś imaginacji pełen, z którego zrazum srodze się zgniewał, a teraz śmiech prosty mię bierze. Bóg świadkiem, żem tu na oczy ni żadnej Moskiewki, ni białogłowy nie oglądał, bo nie masz tego w obozie. Dorotki — nie na naszą to nędzę towar. A bodajby były, i gładkie, Diany konterfekt prezentujące, pewnie by mnie i tak pokusa nie ruszyła. Dobrzem z łaski Bożej umortyfikowany, i frasunkiem, i chorobą. Rad bym znał, kto Wam, duszo moja, takowych suspicjów w głowę nakładł, które że posłuch łatwy nalazły, i dziwno mi, i boleśnie. Klejnoty chciałem zastawić, by się, uczciwie rzekłszy, od głodu ratować, bom już trzy niedziele kawałka mięsa w gębie nie miał, a moje nieboraki głodują jak w tamtym roku, jeno drzę, czy konfederacji nie złożą, czego bym isto nie przeżył. Srebra, którym miał przy sobie, także już sprzedałem, by niebożętom dopomóc — przeca co to znaczy!! Na jeden obiad starczyło. *Tandem*, jeśli słowa moje znajdują u Was wiarę, starajcie się wszystkie cenności zastawić co rychlej. Marchaj Wam w tym pomoże, którego bym nierad z arendy ruszał, choć tanio trzyma, bo jucha sposobna, a jaki by był Purkiel, nie wiadomo.

Upieśćcież dziatki kochane, okrutnie mi tęskno za nimi. Hieronimus niech do nauk pięknie się przykłada, bo być głupim — nic dla szlachcica sprośniejszego.

Dłuższym nie bawiąc pisaniem, oddawam się uprzejmej miłości Waszej, Pana Boga prosząc, abym Was z dziatkami dobrze zdrową a bezpotrzebnych aprehensji wolną szczęśliwie oglądał. Waszej Mości uprzejmie z serca miłujący małżonek — *Jan Karol*".

Złożył starannie list, wypisał adres i wezwał pana Aksaka, by przyłożywszy pieczęć, posłańca o świcie odprawił. Sam przeszedł do drugiej, sypialnej części namiotu, zabierając ze sobą podjęty z ziemi list żoniny. Wygladził go palcami i czytał ponownie, usiadłszy na przykrytym łosiową skórą tapczanie. Ukojony, na chwilę zapomniany żal ogarnął go, oprzął znowu. Nie żal może nawet, ale niechęć i niemoc — niemoc taka, że nie chciało mu się palcem ruszyć. Z głębin serca wypełzła cierpka niechęć do króla, żony, do wojennego rzemiosła — i do własnego schorzałego ciała. Czuł się niewymownie sterany, zmęczony i słaby.

„A także głodny — przemknęło mu przez głowę. — Mniejsza o jejmość i króla; jakbym tak podjadł dobry kawał schabu, wnet by mi ulżyło — byłem znał, że i moje biedaki wspólnie zajadają... Pacholka niemocnym wezwać, a tej Moskiewki po łbie chodzić... Skaranie boskie z babami...”

Jęknął z cicha, bo ból go ostry przychwycił, i klasnął w dłonie na chłopca.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### TOWARZYSZ USARSKI

„Może dziś zjedzie posłaniec od Króla Jegomości z kwartą?” myślał codziennie rano otwierając oczy każdy ciura, towarzysz czy rotmistrz, do hetmana włącznie.

Lecz dnie i tygodnie mijały, a nie było ni posłańca z pieniędzmi, ni w ogóle żadnej odpowiedzi na liczne misywy hetmańskie, przedstawiające grozę sytuacji i konieczność ratowania wojska. Własną substancję hetman wycisnął już do cna i z trwogą myślał o mającej nadejść zimie. Jedynym podtrzymaniem i zaopatrzeniem wojska mogła stać się zwycięska bitwa, lecz o tę równie było trudno jak o spyżę. Szwedzi omijali, jak mogli, strasznego hetmana, nie kwapiąc się bynajmniej ryzykować otwartego spotkania. Daremnie ich wyzywał, droczył i kusił, podsuwając się pod same oczy, szarpiąc boczne kolumny i znosząc podjazdy. Zarówno przemyślny, doświadczony Mansfeld, jak mężny i ognisty Linderson przemykali się ostrożnie, jeden lasami, drugi brzegiem morza pod osłoną floty — obaj spieszenie zdążając ku Rydze. Jedyny zaś wróg, którego odeprzeć nie było czym — głód, nie pomykał, lecz przeciwnie, atakował hetmańskich wytrwale i bez wytchnienia. Znędziali żołnierze szemrali. Nowa konfederacja wisiała w powietrzu. Zasobny kraj poza Dźwiną nęcił wygłodniałych.

Wstrzymywali się ostatkiem sił, pomni obietnicy danej hetmanowi, ale głód, srogi pokaźnik, rozgrzeszał z wszelkich przyrzeczeń, tłumaczył i uniewinniał. Więc też skoro w zapadłych z głodu oczach swych rycerzy baczny na wszystko hetman dojrzał martwą desperację, która jest zgubą i końcem żołnierza, wezwał do kwatery obu zaufanych rotmistrzów-druhów, Dąbrowę Tomasza i Lackiego Pawła, by się naradzić, co czynić. Ale starzy wojownicy, ochrościani w licznych bojach, milczeli posepnie, czekając jego, hetmanowego zdania. Sami nie widzieli wyjścia - uchodzić z pola niezwyčajni, walczyć nie mający z kim. Jużcić, do konfederacji nie ruszą, za Dźwiną sprzymierzeńca plądrować nie pójdą... Położą się tu i zdechną...

— Obmyśliłem lepszy sposób — rzekł hetman z powagą — by bez niesławny wyjść z tak opłakanych terminów. Spójrzcie tutaj, waszmościowie...

Ukazał im mapę Inflant, na której czerwonym inkaustem podkreślił wszystkie zamki i grodki znaczniejsze. Palcem wskazywał po kolei Wolmar, zdobywany wśród utrapień

pskowskim, równych; Anzel Moiza, pod którym ginęli od mrozu jak muchy; Felin, gdzie zginął niezapomniany wojewoda wendeński Farensbach; Biały Kamień, za niezdojbyty do niedawna uważany;: potężny Dorpat, Rachiborz, nareszcie Dyament i Rygę, aktualnie przez Szwedów oblegane.

— W Felinie, Białym Kamieniu i Wolmarze mamy niezgorsze składy amunicji — mówił. — Do pozostałych trza rychło przewieźć choć po kilka beczek prochów, czym się waszmościowie co żywiej zajmiecie, jeno z cicha, by gadania wczesnego nie było... Tandem, w każdym grodku ubezpieczyć sobie trza paru ludzi z towarzystwa, pewnych, którzy w oznaczonym przeze mnie momencie prochy podpalą, jednego dnia, o jednej godzinie wszystkie zamki w powietrze wysadzając.

— Wedle rozkazu. Wasza Dostojność — rzekli skwapliwie obaj słuchający.

— Jedną mogiłę ostawim Sudermańczykowi... Kto zechce, wolen wrócić wprzód do kraju... Ja nie wrócę, Biały Kamień sobie na pochówek rezerwując...

Przez chwilę trwało milczenie.

— *Tandem* — podjął znowu hetman — miejcie to na bacznej uwadze, waszmościowie... Umówimy sygnał ogniowy na wzgórzach. Prochy i ludzie niech będą gotowi, bo chwili tej ino patrzeć... Długo już nie wydzierzemy...

Zadyszany od biegu towarzysz podniósł zasłonę namiotu.

— Wasza Dostojność! — krzyknął nie bacząc, że przerywa obrady. — Poseł od króla Jegomości z kwartą!

— A Słowo stało się Ciałem! *Et ne nos inducas in tentatnem* — przeżegnał się hetman. — Sam go tu! O czym mówiliśmy, waszmościowie, ni pary z gęby przed nikim! — Zgarnął mapę do szuflady i okrył ramiona delią. U wejścia stanął goniec królewski, pan Amand von Osten — Holandczyk, lecz indygenatowy. Ubiór miał staranny, twarz wymuskaną, różową, wąsy zakręcone do góry i rozczesane na końcach.

— Witajże nam, witaj, mości panie! — rzekł hetman radośnie. — W dobrą porę przybył... Masz pieniądze?

— Są na wozie, Wasza Dostojność, w czterech miechach, przez Jegomości pana podskarbiego pieczętowanych; sto tysięcy złotych polskich...

— Sto tysięcy? Niebogato...

— Mało? — zdziwił się naiwnie pan Amand.

— Jakby czerwonych, nie byłoby mało... Mniejsza z tym, dobre, co w ręku. O, w porę przybyłeś waś!... Jest pismo króla Jegomości?

Pan Amand wydobywał ostrożnie z zanadru skrypt zawinięty w chustę jedwabną i podał z szacunkiem. Hetman skruszył bez zbytniego zainteresowania pieczęcie i rozłożył pergamin królewski.

„Uprzejmy, wielce nam miły! — pisał król Zygmunt — Będąc ustawicznie a *fortissime* od Waszej Uprzejmości molestowani, posyłamy z trudem i z wielkim uszczerbkiem spraw innych, naglejszych zebrane pieniądze — *nolentes* ukrywać zdziwienia, iż równie znaczne ekspensa idą na potrzebę, z której nijakich fruktów doczekać się nie możemy...”

Uśmiechnął się kiwając wyrozumiale głową. Snadź odbiegła go zwykła zapalczywość, bo gniewu ni cholery nie czuł. Przywykł już. Wszakże od trzech lat powtarzało się nieustannie to samo. Dobrze, że pieniędzy choć tyle przysłano... Zaspokoi się wojsko na jakie dwa miesiące. Mógł snadno przyjść taki oto list — bez pieniędzy...

Przebiegłszy niedbale oczami czułe zapewnienia o niezmienniej królewskiej przyjaźni i zaufaniu, jął w myśli obliczać, w jaki sposób sumę, stanowiącą piątą część istotnej potrzeby, rozdzielić.

— Siła się tu spomiędzy indigenów znajdzie pachotków dobrych — zwrócił się nagle do Łackiego — które za strawę gotowe służyć ochotnie. Dokompletować trza będzie nimi piechotę. Bełżecki ich skoro wyuczy... Broni a moderunku zdobycznego starczy bodaj na trzy pułki...

— Tak jest, Wasza Dostojność.

— Mości Dąbrowo, każ obębnić po obozie radosną nowinę. Pocieszą się nasze chudzięta. Waszmość, panie pośle, prosim kordialnie na obiad.

Posel ukłonił się nisko, szastając nogami i obciągając strojny kaftan.

Weszli panowie rotmistrze: Sapieha, młody starosta uświatski. Wilamowski i Giedroyć. Hetman zasiadł przy stole wskazując ręką, by zajęli miejsca. Pachotek wniósł misę w popiele pieczonej rzepy, którą hetman rozdzielił między obecnych swobodnie, jak gdyby rozdzielał kapłona.

— Mości Lacki — odezwał się nagle — mamy gdzieś pono glon chleba, skryty na czarną godzinę. Dajcież go; oszczędzać nie potrzebujem mając jutro uczciwy obiad w perspektywie...

Z drewnianej skrzynki, w kącie namiotu stojącej, rotmistrz wy dobył kawał owsianego placka, rzetelnie już wyschniętego.

— Aby podzielicie się równo — upomniał hetman. — Giedroyć, ten by sam wszystko zjadł... Znamy go! Cały dzień jen o jedzeniu myśli...

Buchnęli śmiechem rozgłośnym. Pan Amand spoglądał t na nich, to na leżącą przed nim rzepę rozszerzonymi oczami Zrazu sądził się być ofiarą żartu, lecz spojrzawszy baczni w wychudłe lica rotmistrzów, poznał w ich oczach zadawnion głód. Potężne szczęki miażdżyły zeszcły na drewno place z widoczną rozkoszą.

— Wybacz, panie pośle, że popijem jeno wodą — rzek wesoło hetman. — Woda tu jest przednia, źródłana...

— Wasza Dostojność — wybąkał poseł na poły z płaczem — mam na wozie antaek niezgorszego wina, na wszelki ewentu w drodze zabranego; półgęsków też nieco... Racz mi, Waszi Dostojność, fawor osobliwy okazać i zezwolić tu je znieść...

— Bóg zapłać — oburknął hetman. — Chowaj je waść na powrotną drogę. Półgęski! Odwykli my takich specjałów.. Zresztą — dodał łagodniej — każ dać wino dla chorych a ranych... Jest ich ze dwadzieścia, niebożąt, nie tyle z chorób co z głodu ginących.

— Natychmiast! — porwał się z miejsca pan Amand. Wy biegł do swoich ludzi, wzburzony, zmieszany, czując, jak nie wytłumaczony wstyd zalewa mu czoło.

— Jakież nowiny na dworze? — zagadnął go hetman, gdy wrócił.

Młody poseł zaczerwienił się gwałtownie. Obracał bezmyślni w palcach wystygłą rzepę, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Zbyt rażącym przeciwieństwem wśród otaczającej nędzy byłaby opowieść o ciągłych festynach, kunsztownych zabawach, drogie podarkach rozdawanych ulubieńcom i nieustannych, moc złota pochłaniających doświadczeniach z alchemikami.

— Na dworze?... Jak to na dworze — wybąkał. Hetman uśmiechnął się zrozumiawszy.

— A jako żywie jegomość ksiądz Skarga?

— Święty to człowiek! — ożywił się podnosząc z ulgą głowę pan Amand. — Drugiego takiego nie masz! Przyjaciel oddany Waszej Dostojności... Szczerze trza rzec — zarumienił się znowu — żeby nie on, nie byłby jeszcze pewnikiem król Jegomość kwarty wysłał... Jeno że ksiądz Skarga silno napierał a dokuczał... Byle król Jegomość tynfa komu dał, wnet mrucał: Tu zbytki, a tam pan starosta żmudzki (wybaczyć racz, Wasza Dostojność) z głodu ginie wraz z rycerstwem...

— Daj mu, Boże, zdrowie, druhowi dobremu...

— Jeno wyznać się ośmielę — ciągnął poseł ze wzrastającym zmieszaniem — iż nawet jegomość ksiądz Skarga nie sądził, by do takich żalosnych terminów już przyszło, a Wasza

Dostojność... rzepe...

Łzy stanęły mu w oczach. Opuścił nisko głowę, nie śmiać spojrzeć na uśmiechających się drwiąco rotmistrzów.

— Nie płacz waćpan, boś nie baba — klepnął go dobrotliwie hetman po ramieniu. — żołnierska to dola: dziś tak, a jutro inaczej... Hej, zadamy teraz Szwedom bobu, gdy podjemy!

**Z**szumem i śpiewem — długim, łyskającym węzem wojsko ciągnęło wysoko, skalistą drogą ku Rydze.

Gdy gościniec wynosił ich na górę, widzieli z dala mieniącą się w słońcu bławą szatę morza. Bił o uszy poszum jego, z nieskończonych oddalin i głębin idący, chełstliwy, szumny, zawodzący przyśpiew wieczystego hymnu mocy od nikogo niezależnej, samej dla siebie istność stanowiącej, doskonale obojętnej i wzdardliwej na rojące się po caliznach życie.

Pan Elias Arciszewski zatapiał w widzie tym oczy z lubością, chłonąc duszą zmienne barwy kipielin, kładących się rzędem jak skiby pod wolą wiatru-oracza. Zdjął hełm, nastawiając czoła na mokry, słonawy wiatr, nasłuchując, jak muzyki, lekkiego poplusu przybiegających odpocząć na żółtawym żwirze fal. Musiała się była jego matka na morze zapatrzeć, a bodaj w piosence orylskiej, w pohukiwaniu ich tęsknym zasłuchać — bo od dziecka tęsknota parła go do morza, uporczywa, niemożona, mocna niby urok. Jeno zaspokoić ją, w czyn wcielić, miał dopiero młodszy jego brat, Krzysztof, któren, admirałem będąc w służbie holenderskiej, niezmierną sławą imię polskie okrył.

Pan Eliasz, wypatrując oczy ku jawiącym się w dali roztoczom, prawił o nich dziwa Pietrkowi Pielszowi, z którym pobocz, strzemię przy strzemienu, jechał. Dwuniedzielną błoga sytość odmieniła gruntownie wygląd jeźdźców i koni, a przejeżdżający właśnie wzdłuż kolumny hetman myślał:

„Hej! Zawojowałbym z tymi ludźmi cały świat, byle o nas Ojczyzna nie zapomniała...”

---

---Król August, uważasz waćpan — prawił Arciszewski — był pan rozumiejący się na morzu... Armatę wodną chciał mieć, galeon przedni w Elblągu budował... Już gotów był, „Smok” się zwał... Ninie nie wiada nawet, co się z onym stało... Pewnie Elblążany sprzedały Gdańskowi, jeśli nie Szwedom. Ot dola!... I kapry dobre były pachołki. Tęgo stawały... Gdańsk ich zeżarł. Nikt o to u nas nie stoi! Co wy się wszyscy na morskich rzeczach rozumiecie!

Istotnie, Pietrek niewiele się rozumiał, choć słuchał starszego towarzysza z uprzejmą uwagą. Nie ciągnęło go zgoła morze, zmienne, chełbiące rozwiry, lejąca się, zdradliwa głębia, o której nie wiesz, jaka za godzinę będzie. Góral, przywykły do krzepoty twardych wierchów, w których skałuby drążył deszcz wiekami, mierzył sobie przestworz wodną, wdzięcznie wieczną, kapryśną, nigdy nie zaspokojoną. Prostakiem będąc nie umiał wyrazić tego, co czuł, lecz widziało mu się zawsze iż góry to naisto szlachetniejsze dzieło Boże.

Arciszewski zamilkł puściwszy wzrok w dalekie rozlewiska wód; jadący z tyłu pan Bartłomiej Nowodworski kiwał pogardliwie głową.

— Co to za morze! Mnie ono niedziwne... Jedno jest morze na świecie: Pośródziemne... modre, gładkie... Co kapkę ujedziesz, ład wesoly widzisz. Kiedy bywałem na Cyprze...

— Nie powiadaj waść byle czego — zachnął się pan Elias. --- To właśnie w morzu nęcące jest, wielkie, że granic nie mając,: nie wiesz, dokąd cię zakolebie... Gwiazdę za kałauza biorąc, jedziesz, ni słysząc o lądzie... Sięga oceanu Bałtyckie Morze furką otwartą będąc na prądowiny nieznanne, które zjeżdżyły przecie narody flotę mające — kończył z żalem, do siebie raczej niż do towarzyszy.

Zjechali ze wzgórza w dół, ku zielonej jeszcze łące. Trąbka oznajmiała postój przedpołudni.

Wnet, korzystając z chwili wolnej, pan Bełżecki z Magierowa, wielki swój animusz wojenny ofiarnie podlejszej służbie w piechocie oddający, zebrał swych nowo zaciężnych, by naukę strzelania powtórzyć.

Gdy inni odpoczywali, związał się niestrudzenie pośród swej gromadki, krzyżąc ochryplym z wysiłku głosem:

— Muszkiet na ziemię!... Nie tak! Porządnie, psie syny! Na ziemię!... Sześć kul w gębę!... Krześ na lont! Muszkiet bierz! Niedźwiedzie! Swiniopasy! Chamy! Nie za rurę! Gdzie bierzesz? Tak... Rurę ochędź grajcarem!... Muszkiet na forkiet! Forkiet! Widelec! Nie rozumiesz, poganinie? Prędeż, chłopy, bo łby urwę! Przekłuj zapał! Podsyp proch!... Nie rozsyp który, bo w pysk... Zaprzyj panewkę!... Muszkiet na lewy bok bierz! Kulę kładź! Pakuły daj na prawe ramię!...

Zasapany, ocierał pot z czoła, chwycił oddech, a sprawdziwszy jeszcze raz wzrokiem szereg, wypuszczał grzmiąco z piersi uroczysty finał:

— Mierzaj! Pal!

Dym przesłaniał chmurą szereg, wzgórza oddawały echo, a nim przebrzmiało, słychać było w dymie:

— Zaczynać, kondle! Zaczynać! Forkiet precz! Muszkiet na ziemię!... Gdzie kładziesz skopie? O miłę?

— Niezgorzej się już ruszają — zauważył Pietrek z uznaniem.

— Bełżecki praktyk! Nim do Rygi dociągniemy, wyuczy ich niczym Szkotów...

Nagły tętent przerwał rozmowę. Minęło rysią piętnastu usarzy. Sam rotmistrz Giedroyc prowadził.

— Dokąd? — zapytali zdziwieni jadącego na końcu Krajewskiego.

— Z podjazdem! — odkrzyknął. — Języka nam trza koniecznie. Hetman przykazał choćby pod Rygę podjechać...

— Laboga! Laboga! że też na mnie nigdy nie wypadnie! — desperował Pietrek. — Psie moje szczęście! Jużćie nam się należało, a nie Krajewskiemu, któren do Niewiarowskiego przeszedł! Jak się zwiedzia! A my siedzim...

— Użyjesz jeszcze, użyjesz — pocieszał go Rupniewski, stateczniejszego umysłu będący. Siedzieli na stoku łąki oblanej słońcem, zajadając chleb z wędzonką. Rozkielznane konie chrupały obrok z płótnianek, podrzucając co chwila łbami, by owies od sieczki odebrać.

— Czołem, waćpanowie! Można spocząć przy was?

Porwali się na równe nogi, witając serdecznie dawno nie widzianego kompana. Pan Skumina, towarzysz usarski, miał wesołą, suchowatą twarz i piękne, rozcapierzone szwedzką modą wąsy.

— Na Boga! Skądś się waćpan wziął?

— Za Szweda prawego przebrany!

— Z hetmańskiej kwatery idę, gdzie raport zdawałem...

— Ale w obozie! Toćżeś był w Dyamencie!

— Z Dyamentu też jadę z listami...

— Co waść gadasz? Zdaliście się?

— A jakże! Głupstw po próżnicy nie prawcie. Co się mieliśmy zdać? Z wycieczką się wypsnał w szwedzkim adiustunku. Nasi rajtarów prali, a ja w nogi. Podle mnie ze dwudziestu Szwedów uciekało, tedy nikt na mnie nie spojrział... Uciekałem, uciekałem, ażem się tu oparł — dokończył ze śmiechem. I

— Powiadaj żywo, co słyhać?

— Niewiela co mam powiadać... Będzie temu trzy niedziele, ściągnął Sudermańczyk. Wojska z nim siła, dobrego... Wnet parlamentariusza słał, którego Białozor publicznie z honorami wszelkimi przyjął. Prawi Szwed: Najjaśniejszy Pan, król szwedzki, żądają zająć tę twierdzą... — Toćże ona w posiadaniu! Króla szwedzkiego — powiada Białozor — Najmiłościvszegol Pana Zygmunta Trzeciego... — Szweda aż zatchło: Nie udawaj waść. Najjaśniejszy Pan Karolus Sudermański poddaństwa żąda, któren, gdy się opierać będziecie, jako Tytus z Jerozolimy, kamienia na kamieniu z tych fortów nie ostawi... — A Białozor na to: Ani ten oberwaniec samozwańczy jest Tytusem, ani my Jerozolimą. Jechał po was pies z ostatkiem; chodźcie! spróbować zająć twierdzą, jeśli chcecie...

— Dobrze ci mu rzekł!

— Ba! Ba! Morowy to chłop! Tak i oblegają, bombardą a kolubrynami gęsto obstawiwszy, my zasię wycieczki robimy żeby się nie cniło...

— Panowie! Trąbią! Ruszajmy!

**K**arol, książę Sudermanii, od niedawnego czasu król szwedzki, j wrócił z przeglądu wojsk do swej kwatery w Blumenthal — zadowolony. Tępa i uparta, lecz energiczna jego twarz promieniała. Pospępnie zazwyczaj oczy pełne były łaskawości, gdy uśmiechał się do towarzyszących mu generałów nie widzianymi od paru lat u niego uśmiechem. Nie zaznana dotąd radość grzała jak słońce, olśniewała myśl w przededniu niechybnego osiągnięcia wymarzonego celu. Cztery lata mijaly, jak niedołącznej, fantastycznej, ale potężnej Rzeczypospolitej przeciwstawiał swój chłopski upór, zimną konsekwencję i niczym nie wzruszoną wytrwałość. W ciągu tych czterech lat nierównych zapasów ileż poniósł klęsk, porażek, strat, zda się, niepowetowanych — ofiar w ludziach i sprzęcie wojennym — nie osłodzonych ni jednym, bodaj najmniejszym zwycięstwem! A jednak po każdej klęsce dźwigał się znowu na nogi, krzepił, zabiegał, zgarniał niedobitki i znow wyciągał rękę po Inflanty. Nie żyć mu było bez nich. Raz poznawszy żyzny ten, bogaty z przyrodzenia kraj, zaprzysiągł wzbogacić nim skalistą, biedną ojczyznę. Gdyby nie Zamoyski i Chodkiewicz!... Sam dźwięk tych przeklętych nazwisk doprowadzał go do waru. Gdyby nie oni! Skończyłby dawno i szczęśliwie wojnę! Wszakże nikt więcej w Rzeczypospolitej nie dbał o to, co się tutaj dzieje. Nikt ich nie wspomagał. Siedzący na tronie polskim synowiec upierał się wprawdzie przy tytule dziedzicznego króla Szwecji, pisał groźne noty i wiódł zawile intrygi dyplomatyczne — lecz wojny wszczętej prowadzić nie umiał. Ci dwaj szaleńcy jedynie — naprzód jeden, potem drugi — walczyli jakby o swoje własne, ojcowskie dominia, niestrudzeni, niezwalczeni, psy wierne, stróżujące obejścia niedbałego gospodarza. Nie sekundował im w walce tej nikt...

Praktyczny, trzeźwy umysł skandynawski daremnie silił się zrozumieć tę obojętność Rzeczypospolitej, pojąć ową siłę nieobliczalną, leniwą, niestałą, powiazaną z alternatyw bezwładu i wszystko miażdżącej, wybuchowej energii. Zaciekawiony niepokój mieszał się z pewną pogardą, gdy wspominał, że z ubogiej, szczupłej swej dziedziny miał zawsze więcej sił niż ten kraj olbrzymi, w którym trzy czwarte ludzi chodziło przy szabli. I teraz oto, po czterech



latach niefortunnej wojny, zebrał dość grosza, by stawić na nogi wspaniałą zaciężną armię, czternaście tysięcy głów liczącą. Przymknąwszy oczy ujrzał widziane przed chwilą zastępy, z całej Europy zebrane na podbój ostateczny Inflant. Głębokie bruzdy piechoty, szeregi dział...

Wieleż potężna Rzeczpospolita stawiała przeciw tym wyborowym wojskom, z Niemiec, Francji, Danii i Szkocji sprowadzonym?

Cztery tysiące nie opłacanego, wyniszczonego rycerstwa!

Nie dziwo, że się uśmiechał król Karol...

Generałowie: Brandt, Mansfeld, Linderson i księżę Liineburski, pułkownicy de Vrede i Heller — siedzieli wokoło niego, trzymając pierzaste kapelusze na kolanach, skupieni i milczący jak przed wielkim świętem. Bo też świętem nie zaznanym, uroczystym, będzie to zwycięstwo dojrzałe, pewne, po które dość rękę wyciągnąć. Najtrudniejszego zadania już dokonali szczęśliwie. Złączyli siły, nie dając wciągnąć się w bitwę. Zdołali uniknąć spotkania. Teraz pozostaje tylko zdusić w ramionach, jak w kleszczach, małą garstkę hetmańską, po czym bez trudu poodbierać zamki, przez stu, najwyższej półtorasta ludzi załogi bronione...

— Jeśli się wymknie?... — zaniepokoił się naraz głośno król.

— Nie wymknie — zaręczył Linderson stanowczo. — Dogonim go i otoczym.

Uśmiechnęli się wszyscy radośnie, witając duszą rychły moment chwalebego odpocznienia.

— Astrolog Foxus, kóregom o koniunkturze tej potrzeby pytał — podjął znowu król — powiedział: Uda się, niech jeno flota będzie blisko brzegów... Trzymamy ją blisko.

— Foxus słusznie prawil, bo gdyby nie flota, byłby nas Chodkiewicz idących tu zniósł — roześmiał się Linderson.

Pod drzwiami rozległy się kroki. Wszedł oficer w błyszczącym morionie, skórzanym kolecie, ze szpadą w ręce a dardą na ramieniu, meldując Jego Królewskiej Wysokości, że przednie j strażę starły się z podjazdem polskim pomykającym ku Rydze. I Polacy wzięli trzech jeńców, oni zaś jednego...

— Z rajtarów?

— Towarzysz usarski, Wasza Królewska Mość.

Kazano go co rychlej przyprowadzić, pierwszy raz zdarzyło się bowiem, że pojmano usarza. Po chwili zadźwięczały ciężkie kroki, zaciemniało we drzwiach. Towarzysz, pan Paweł Krajewski, zasłonił sobą pół izby. Chłop był rostry, barczysty, z roty Niewiarowskiego, w której skrzydła nową modą lutowano do i naramienników, nie do siodeł. Stał wyniosły i spokojny, orlimi skrzydłami wieńczącymi barki, forgą piór strusich na szyszaku sięgając pułapu. Niedźwiedzia skóra, złotymi pazurami spięta, spływała z pleców na pancerz. W duszy wrzał w nim gniew na podjezdka, co pośliznąwszy się na mokrym osypisku gliny przygniótł go sobą do ziemi i w niewolę popadł, twarz jednak miał obojętną, nieruchomą. Oficer pobiegł po tłumacza, król i jego świta spoglądali na usarza w pewnym onieśmieleniu, bo zdał im się ten jeniec zwidzianym kędyś bogiem skrzydlatym z rodzimej, północnej sagi lub zmartwychwstałym olbrzymem, z owych zaklętych po górach.

— Widzieliście takich? — rzekł księżę Liineburski po szwedzku, zniżając głos mimo woli.

— Zaiste, z takim wojskiem Chodkiewicz się nas nie lęka...

Lecz król już ochłonał z wrażenia.

— Głupiś! — krzyknął do Mansfelda. — Włóż na siebie wilczą skórę, a też będziesz straszny! Iluż takich jak ten może tam być? Najwyżej kilkunastu!

Wchodził tłumacz, kupczyk miejscowy, bijąc czołem przed majestatem.

— Gadaj, waćpan, wszystko, co wiesz, nic nie skrywając, bo i tak sami dobrze

wiemy — rzucił niecierpliwie Karol w stronę jeńca. — Jest was cztery tysiące wszystkiego?...

— Bez mała półczwarta tysiąca — odparł spokojnie Krajewski.

Wodzowie spojrzeli po sobie z tryumfem.

— Jazdy trzy tysiące?

— Jazdy dwa tysiące czterysta i piechoty tysiąc.

— Gdzie aktualnie jest hetman? Zdziwienie odbiło się na twarzy usarza.

— Dyć idzie tu wielkimi pochodami — odparł.

— Tu idzie — wykrzyknął radośnie król — o koncentracji naszej nic oczywiście nie wiedząc... Zadziwi się — dodał do Lindersona.

— Jegomość hetman o połączeniu się wojsk Waszej Książęcej Mości dobrze jest powiadomiony...

Karol zmarszczył gniewnie brwi, lecz udał, że zuchwałego zaprzeczenia tytułu nie dosłyszał.

— Tu idzie? — powtórzył. — Tu idzie chcąc się bić z nami?

— Tak jest, Wasza Książęca Mość.

— Przed królem stoisz! — krzyknął gniewnie Karol. — A w ogóle szczekasz sam nie wiedząc co! Ani młodzik wasz hetman, ani z rozumu obrany, aby sam na zgubę laź! Dopadniem go owszem i zgnieciem, lecz nie uwierzę, by sam się ku nam śpieszył!

— Spiesz się, Wasza Książęca Mość.

— Szanuj majestat monarszy!

— Nie byliśmy jeszcze powiadomieni o ustąpieniu Waszej Książęcej Mości tytułu przez Miłościwego Pana naszego — odparł z niezachwianym spokojem szlachcic.

— Będziecie powiadomieni rychło, nie bój się! Dwa trzy dni nie miną, a wasz hetman, wasz wielki Chodkiewicz, będzie stał tu, o tu, na twoim miejscu, przede mną, zmiłowania i łaskowości mojej oczekując! — krzyczał rozwścieczony Karol. Dygotał z pasji straszliwej, rad bić, sponiewierać zuchwałego jeńca. Na twarzy wystąpiły mu ceglaste plamy. Pomiarkował się jednak, ochłonął. Poprzez wzburzenie i złość przeleciała myśl, że co uchodziłoby księciu, nie przystoi królowi. Zaprzagnął być wielkodusznym.

— Zatrzymuję waszmości na parol i zapraszam do mej stołu — rzekł z uprzejmością, która zadziwiła mile jego wodzów.

**W**ara przystawać, mości panowie! Wolność wyznania pierwszy fundament Rzeczypospolitej! Nie damy się zgwałcić! Wolej trupem paść — perorował z zapalem towarzyszył pan Wolski potrząsając karteluszem. Wypisany na nim imienny porządek asystowania przez rycerstwo uroczystymi czterdziestogodzinnemu nabożeństwu, nakazanemu świeżo przez hetmana.

— Nie widziane to są rzeczy, waszmościowie! Za Nerońskich chyba czasów oglądane! Tyrana Kaliguli godne!... Przed papieżnickim ołtarzem! Dwie godziny stać w ordynku!... Niedoczekanie starego!

— Ta rozkaz, kochaneńku — bąknął nieśmiało pan Sieheń.

— Rozkaz?! Ni do marszu, ni do bitwy! Waszmościowie mili! Jeśli ustąpię, jutro hetman, względów żadnych nie żywiący, jako ten tygrys hirkański, każe nam iść do spowiedzi! Nie ustąpię!

— Nie ustąpię!

Zebrana spod kilku chorągwi spora kupa różnowierców słuchała jego wywodów z uznaniem. Arciszewski, arianin, kiwał potakująco, choć w milczeniu, głową. Stojący za nim

Pietrek Pielsz, zły i niepewny, rozmyślał przeciwnie, jak by się chyłkiem wymknąć śladem Jędrka Rupniewskiego, który odrzekł się jawnie i otwarcie wszelkiej wspólnoty z dysydentami. Byłby zaraz to samo uczynił, lecz wstrzymał go w ostatniej chwili wzgląd na matkę, na Sobka... Teraz powściągliwości żałował. Jałowe spory religijne stały mu się od dawna obce, obojętne, a nawet niemiłe. Co mu do nich? Żołnierzem był, nie teologiem.

— Jezuity z jarzmem papieżnickim czyhają jeno na naszą słabość, by sumienia nasze zakuć! — ciągnął zapalczywie a gniewnie pan Wolski. — Pierwszy to krok do utraty swobód, do persekucji straszliwych! Winniśmy posłuszeństwo hetmanowi, nie neguję, przecie nie w sprawach sumienia!... Jeden Bóg może się tykać tak delikatnych materii!...

— Miecz mieczem — plesz pleszem; co ma Msza do bitwy? Nie idziemy, mości panowie!

— Nie idziemy! — potwierdzono chórem. — Delegatów do hetmana! Delegatów!

Wypychali się wzajem, kłócąc i dogadując, bo nikt się zbyt do tej misji nie kwapił.

— Ta, kochaneńki, hetman sam tu idzie! — zawołał pan Sieheń i wymknął się chyłkiem z zebrania.

Nie miano czasu napiętnować tak niekawalerskiego postępu, bo hetman był blisko. Szedł wspierając się na czekaniku, wesoły, nie wiedzący o niczym.

— Cóż to za rada? — zapytał na widok zgromadzenia.

Przestępowali z nogi na nogę, chrząkając niepewnie, nareszcie pan Wolski wysunął się naprzód.

— Wasza Dostojność... Nie możemy żadną miarą brać udziału w nakazanym nabożeństwie, dysydentami będąc...

— Czego nie możecie? — spytał hetman nie dosłyszawszy.

— Nie mogę partycypować w nabożeństwie... Różnowiercami jesteśmy... O wolność nie zgwałconego sumienia nam idzie... — tłumaczył pan Wolski tracąc rezon, w miarę jak brwi wodza ściągały się w groźny łuk. Cofnął się o krok między towarzyszy, bo głos hetmana podobny się stał do grzmotu.

— Słyszysz ja dobrze? — zaryczał. — Waść, waść, mnie obstrukcje czynisz? żołnierz nad rozkazem deliberujesz?

— Wasza Dostojność... rozkaz to kwestii wiary dotyczący... Zamach na wolność sumienia; jezuickie jarzmo za nim... Ścierpieć go nie lza... My wszyscy *unanimiter* przeciw obstawiamy...

— Wszyscy! — słabo potwierdziła mniej więcej połowa zebranych.

Hetman powiódł po nich pałającymi oczami.

— Tedy ja wszystkich waćpanów mam za durnych żaków, sejmowych pyskaczy, drapichrustów, oczajduszów, nie żołnierzy! Możecie sobie iść na cztery wiatry! Nie potrzeba mi poganów!... I ty tu, szczeniaku! — parsknął ujrzawszy Pietrka, który pod ziemię, byłby rad się schować. — Nie słowem uczyć cię rozumu, ale czymś twardszym!... Patrzcie go!... A waść wstydu nie masz! — zwrócił się znów do Wolskiego. — Stary żołnierz w przeddzień bitwy sejmiki alias sobory zwołuje! Hańba! Tfu!

— Wasza Dostojność — bronił się urażony do żywego Wolski — na bitwę my gotowi, wszakże nie na papieżnickie, antychrystusowe modły obrzydłe...

— Coś rzekł? — wybuchnął hetman ruszając nań obces z czekanem.

Pan Wolski podał tył, a widząc, że hetman następuje silnie, zawrócił zmykając pośpiesznie. W najwyższej pasji hetman cisnął za nim czekanikiem, aż obuch świsnął w powietrzu, przelatując mimo głowy uciekającego.

— Waćpanowie — rzekł krótko do zebranych — albo według przepisane go porządku

staniecie niemieszkając koło ołtarza, albo precz z obozu. Dixi.

Zawrócił się i odszedł sapiąc jak dzik z oburzenia.

— Cóż, panowie, chyba pójdziem? — zagadnął nieśmiało Arciszewski.

— A chyba... Jużci przed bitwą nie rzucim chorągwi...

— Paskudnie nas stary spostponował... Zesromocił ze wszystkim. Bo i na co było wszczynać?

— Wolski namówił..

— Dawajcie tutaj Wolskiego!

Obrócili się żywo, radzi wylać na niego swój rankor, lecz pana Wolskiego nie było. Skonfundowany uszedł do swojej chorągwi.

Wojska stawały już w szyku. Przed ubranym jedliną ołtarzem ksiądz kapelan Boyer, uczony jezuita, latopisiec, kronikarz wyprawy, wdziewał już albę. Rozeszli się więc ku swoim.

Gdy rycerstwo stanęło na placu, śpiewając pobożnie, hetman zlustrował baczynym okiem szeregi. Nie brakowało nikogo. Na skrzydle Giedroyciowej roty Pietrek Pielsz z pogodną twarzą śpiewał potężnie Bogarodzicę, aż koń strzygł uszami. Hetman odetchnął, zadowolony.

— Dobre są pacholki, jeno otumanione; ale im z łaski Bożej odeszło... Heretyk — tłumaczył panu Aksakowi — to taki syn, co za dużo i bez potrzeby myśli, *ergo* nie może być dobrym żołnierzem.

## Rozdział trzynasty

### Żniwiarze hetmańscy

Słońce osuwało się nisko, oświecając wzgórza, zmyte niedawną przewalną ulewą. Morze tęczyło się i migotało, skrzące, mieniące jak drogi jedwab turecki. Między obozem polskim a przeciwnymi, płonącymi w słońcu wzgórzami słała się szeroka dolina, tonąca w liliowym zmierzchu, niegdyś wyspę i dawne koryto rzeki stanowiąca, dziś rżyskiem równym pokryta. Na lewo od polskich stanowisk tknęła łbem o brzegi Dźwina, dzieląc się, obejmując wyspy i ostrowy, pieniać i hucząc, bo fale schełbane, ujrzawszy morze w pobliżu, rwały ku niemu w przepędy, niecierpliwe dopaść.

Dymy ognisk szły strzelistymi słupami ku niebu, wróżąc pogodę nazajutrz.

— Rad bym do Kircholmu zabiegł — mówił Jędrzek Rupniewski, rozmarzonymi oczami wodząc po rozrzuconych pod wzgórzami domach. — Dziewkę tam znam okrutnie przyjemną i polityczną. Ojciec jej balwierzem jest. Hilda ją wołają. Lubiliśwa się łoni, gdyśmy to stali pod Rygą...

- Et, pewnikiem już dawno za mąż się wydała — powątpiewał Pietrek.
- A nie wydała, bo mi powiadał Pacuła, że jak szli tamtędy, to pytała o mnie...
- Owa! A ciebie pewnie spyta o Pacułę...
- Nie taka ona, co gadasz!... I siostrę ma młodkę niczego. W sam raz dla ciebie.

Pójdziecie razem, obaczysz...

- Nim zajdziem, trza Szwedów sprać, boć chyba o glejt prosić ich nie będziem?
- Spierzemy jutro pludrów, pewnikiem.

Układali się do snu niefrasobliwi, ufni. Wiadoma całemu wojsku olbrzymia przewaga liczebna wroga nie zmąciła ni na moment ich pogody. Co by się mieli kłopotać? Hetmańska w tym głowa, nie ich.

— Dziwaj się! — trącił zasypiającego towarzysza Pietrek. — U hetmana jeszcze się świeci... Widno stary siedzi i myśli...

- Duma pewno, jakie jutro Szwedom lanie sprawi... Spijwa, bo robota pewna.

**A** hetman czuwał istotnie, jeno myśli jego dalekie były od beztrioskiej ufności zasypiającego rycerstwa. Odprawivszy wszystkich siedział sam na zydlu, z głową opartą na potężnych dłoniach, rozpatrując w milczącym skupieniu czekający nań w mrokach dnia jutrzejszego propozyt. Jeńcy sprowadzeni przez podjazd Giedroyciowy dali dokładne wiadomości o sile wojsk Karolusowych. Mimo niemałej chełpliwości z ich strony — wiedział, że mówili prawdę. Jedenaście tysięcy co najprzedniejszej piechoty... Trzy tysiące i pół rajtarii... żołnierz świeży, nie znużony, zaopatrzone bogato...

Tuż przed wieczorem donieśli mu jeszcze szpiegowie, że cała ta siła, rzuciwszy oblężenie Dyamentu i Rygi, ciągnie na jego spotkanie. Staną tu lada godzina. Popołudniowa nawałnica musiała ich nieco zatrzymać, niemniej jeno ich wyglądać...

--- „Półczwarta... Tam z górą czternaście... A taki trza im basarunek wlepić... Trza — powtórzył z mocą, prawie głośno — wlepić i wyżenać precz!...

--- „Nie dasz rady! Siła ich” — podszepnął wątpiący rozsądek.

Zachnął się zniecierpliwiony.

--- „Trza dać rady... W tych cyrkumstancjach innego wychodu nie masz... Jutrzejsza nasza przegrana to nie zguba nasza, boć to krzyna bez znaczenia, ale utrata bezpowrotna Infant... Z żywego ciała Rzeczypospolitej oddarty najprzedniejszy skraw... Nie dopuść, Boże! Nie masz innego sposobu, jeno ryzykując! walczyć...”

--- „Jest sposób zawsze — doradzał przekonywająco rozsądek. — Podnieść nocą cichaczem chorągwie... Pusty obóz zastanie z rana Sudermańczyk... Nie nowina ci wymykać się jak wilkowi... Ujdiesz szczęśliwie, wojska na zaturę nie rzucając, szarpniesz jeszcze Szwedów po drodze...”

--- „Nie nowina mi przemykać się jako wilkowi, lecz po to, by wroga zaskoczyć, nie aby szczęśliwie zbiec...”

--- „Co poczniesz? Legniesz tutaj wraz z rycerstwem; żywa z was noga nie ujdzie... Zaś Sudermańczyk zwycięski ruszy w granice Rzeczypospolitej... Kto mu stawi czoło? Jużci nie król z doradcami swymi... Na Ukrainie, Wołoszy bojuje gdzieś hetmani polny. Nie zdąży wrócić, zatrzymać... Wejdzie Szwed niby do siebie...”

--- „Dlatego trza go zwalczyć, jakom rzekł...”

Przeciagnął się, zaplótł ręce, aż chrząsnęły, i otrząsając precz j tajnych doradców, z ufnością żarliwą miłującą spojrział w wiszący u wezglowia obrazek Matki Boskiej

Ostrobramskiej, osobliwej swej patronki.

— „Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna” — zaczął półgłosem. — Jużci nas jutro wspomnożesz, wywiedziesz z tego upału... „Pan z Tobą”... Jakżebyś nas nie wspomagała, wiktorii nie przyczyniła?... „Błogosławiony owoc żywota Twego”... Sprawuję się, Panno, przed Tobą, co i sama wiesz, że nie zysku ni splendoru, ni prywaty szukam wojując... Wolej bym w domu z dziatkami miłymi odpoczął... Strudzonym, chorym, a wczasu nigdy nijakiego... Nie o swoje się tutaj dobijam... Ty wiesz. Pani Miłościwa... „Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi”. Skiń ręką. Panno Niebieska, by nie pognębiły jutro rycerstwa Twego pludraki... Uproś Synaczka swojego... „Teraz i w godzinę śmierci”... którą na polu w bitwie racz dać!... Amen.

**D**zień białął za ledwie, mieszając mrok nocy ze srebrzystą jutrzni poświatą, gdy pan Ogiński wszedł do namiotu hetmana.

— Wasza Dostojność! Szwedy podchodzą! Co nam czynić?

— Jak to, co czynić? Naprzód do Boga potem do oręża i koni! Ksiądz Boyer niech ze Mszą wychodzi; chorągwie na koń! Przez munsztuk otrąbić! Ja idę!

Młodzieńczym ruchem zeskoczył z tapczana, ubierając się tak szybko, że pacholek nie mógł nadażyć podawać odzienia. Wciągnął pludry, zlewał barki i łeb zimną wodą, nasłuchując, czy chorągwie zbierają się rażno. Pan Aksak stał w pogotowiu, by ponieść jakie rozkazy. Na jego poważnej twarzy znać było frasunek. Jeden na czterech!... Nie zdzierżym! Lecz hetmana nocne troski odbiegły daleko. „Niechby jeden na dziesięciu — odpowiedział w myśli przyjacielowi — i tak będę silniejszy tam, gdzie trza, i wtedy, kiedy będzie trza...”

Prężnym, młodym krokiem, bijącym rytmem zwycięstwa, wyszedł z namiotu na cmentarz wioski Kurtenhof, leżący o kilkanaście kroków powyżej. Mleczna mgła wypełniała jeszcze ścielącą się przed nim dolinę, lecz wzgórze kircholmskie wyłaniały się już ostro, oświecone wschodzącym poza nimi słońcem. Czuby wzgórze, choć krzakami nie porośnięte, falowały niby żywe, drgały, sunęły, aż znieruchomiały. Wyteżył orli wzrok wypatrując nieprzyjaciela. Niezawodnym ujęciem starego praktyka rozpoznawał w skośnych błyskach słońca — piki, w szarzejacej masie — działa, w ruchliwych plamach świetlnych — jazdę. Szerokim pasem zajmowała środek wzgórze piechota. Głęboko zapewne sformowana, boć mają jej kupę... Jazda na skrzydłach... A no.

Zeszedł ze wzgórze na dół, do obozu. Ksiądz już czekał z mszą. Szeregi rycerstwa klęczały. Hetman uklęknął przed nimi. Gdy dusza podała się cała w gorącej modlitwie ku Panu, co mocen jest zdwoić, stroić, zdziesięciokrotnie zastępy, umysł podświadomie, lecz nieustannie pracował, układał szyki, rozgrywał nadchodzącą walkę. Jakby pod natchnieniem Bożym, z modlitwy spływającym, ujrzał ostro, wyraziście całą okolicę, każde wzgórze i wgłębienie, każdy oddział nieprzyjacielski i własny. Wyznaczał im miejsce, obliczał siłę natarcia i siłę obrony. Genialnym odczuciem przewidywał aż do błędów przeciwnika, chwycił je, przymuszał wroga, by szedł jego wolą... Lwie wypukłości czoła drgały z nateżenia, gdy pod wyniosłymi brwiami rodził się plan bitwy, jasny niby cięcie miecza, nieomylny jak świst strzały.

Gdy wstali z klęczek, wezwał przed siebie rotmistrzów, mocnym głosem wydając rozkazy: —

— Mości Woyna, staniesz tutaj, z moją chorągwią hetmańską... Waś musisz strzymać na sobie całe corpus wroga, piechotę. Siła jej, ale wydzierżysz, aż uderzymy na boki... Starosta uświatski ze swoją, Giedroyciową i Kossakowskiego — na prawo, Dąbrowa z Wilamowskim,

Boruchowskim, Niewiarowskim i Giebułtowskim — na lewo! Tatary Achmeta i petyhorcj Zachara — za nimi w siekanym hufie posiłecznym! Lacki w odwodzie stanie tam!... Piechota za nim... Na miejsca!

Zagrały trąbki. W mgłę białej, mlecznej poruszali się z cicha sprawnie, niby duchy.

Gdy wiatr ją zgonił nad morze, przybił do trawy rozperloną rosą, wykwitły w opalowym świetle stojące już w miejscu chorągwie, barwne niby grzędy kwiatów.

Na prawym skrzydle, za Sapieżyńskimi, Pietrek Pielsz. stał na swym miejscu w Giedroyciowej chorągwi. Jaśko Dobrocieski tuż za nim opowiadał mu półgłosem:

— Cosikiej powiem Pietrkowi — (gdy nikt nie słyszał, gadali do siebie poufale jak w Czarnym Potoku). — Jenó niech aby Pietrek, na Boga, komu nie powie... Ino ruszym, pan Ogiński! ma zebrać pachółków i ciurów, rynsztunek im dać i hany, w ten las zaprowadzić...

— Po co? — zdziwił się usarz.

— Wiem to ja? Pan hetman sekretnie mówili. Jenó niech Pietrek nie gada...

Machnął ręką obojętnie, cały pochłonięty nastąpić mającą bitwą. W gorzeli oczekiwania drżał jak pies przed polowaniem. Bywał już w boju — ba! ba! pewno z kopę razy — lecz nie czuł jeszcze nigdy takiej jak dzisiaj ochoty, stężonego aż do bólu naprężenia wszystkich sił. Zdało mu się, że stał się nagle jednym z kopia, co isticie nie w boru wzrosła, jenó z niego, z krwi i kości — przedłużeniem jest żywym ramienia. Czuł niby na własnej skórze pieśczętę proporca, tulącego się miękko do drzewca, stalową twardiznę grotu, co drgał w takt uderzeń serca. Podobnie ostro, dokładnie czuł dotknięcie łapek muchy chodzącej po szyi konia, spędzał jej lepłą natrętność nerwowym odruchem skóry, drzeniem niecierpliwym, szybkim — jednym będąc ze swym wierzchowcem, jedną siłą i ochotą, ściągłą, nierozdzielną, sprawną. Spojrzawszy wokół, widział twarze towarzyszy, równie jak jego napięte i radosne zarazem, stergłe a lotne. Głos trąbki polatywał nad szeregami, płosząc mewy, które znad morza niosły się z piskiem, ciekawe.

— Kajże to zacny Pindarus? — roześmiał się naraz stojący obok Jędrak. — Ma okazję, niechby stanął pośrodku doliny, poema swoje śpiewając... Obaczym, jaki stąd będzie rezultat...

— Oho, dobrze się przytań, ani go uwidzisz...

Zamilkli czekając nadal niecierpliwie. Zalegając przeciwległe wzgórze wojska szwedzkie stały ciągle nieruchomo, błyskając w słońce lasem jeżących się pik.

Wpatrzony w nie ze swego stanowiska, hetman zżymał się i sarkał niechętnie.

— Dwie doby możem tak stać, jeśli się pludry nie ruszą! — mówił do pana Aksaka. — Jazdą ich w tych garbach nie wymacasz... Muszą nam wyniść w dolinę!... Jedź waś do Woyny, niechaj harcowników pchnie.

Kilkudziesięciu rycerzy wykwitło barwnie na szarym rżysku doliny. Wnet Mansfeld wysłał naprzeciw co najprzedniejszych rajtarów, mistrzów w mierzeniu z długich, pięknie zdobnych pistoletów. Na szerokim, pustym błoniu poczęły się harce, gonitwy — uciecha i zazdrość patrzących się wojsk.

Lecz uwagę chorągwi Dąbrowy oderwał od pola widok nowego oddziału, który wychylił się z lasu nad rzeką. Jeźdźcy wznosili kapelusze krzycząc. Odpowiedziano radośnie, poznawszy. To książę Kettler kurlandzki, rzetelny rycerz, prawy lennik Rzeczypospolitej szedł na pomoc z tym, co miał: trzystu końmi dobrej jazdy. Stanęli stropieni na brzegu, rozglądając się za przeprawą. Prom dawno zrabali Szwedzi — o brodzie ani zamarzyć!...

— *Gott mit uns!* — zakrzyknął książę i skoczył pierwszy do wody. Za nim cały oddział. Rzeka spieniła się, zakolebała, wstrzymała, z chlustem skoczyła na brzegi Płynęli dzielnie, choć prąd mocno ich unosił. Wśród grzmotu wiwatów wylądowali szczęśliwie wszyscy prócz kilkunastu, za którymi Dąbrowa pchnął co rychlej ludzi z linami na pomoc. Książę, ociekając

woda, meldował się hetmanowi. Postawiono jego oddział w centrum, na poparcie Woyny. Zgęstniały miny Woynowym. Uśmiechali się do Kurlandczyków, gadając przyjaźnie na migi i manierkami (bo woda grzana nie była) częstując.

Na polu trwały wciąż harce. Słońce wzniosło się wysoko. Oschnięte z mgły babie lato polatywało czepiając się hełmów. Południe było za pasem, a Szwedzi ciągle nie schodzili w pole. Ostatkiem wymowy rozważny Mansfeld upraszał rwącego się króla, by nie atakował pierwszy, by obronnej pozycji samochcąc nie porzucił. Karol gryzł wargi z niecierpliwości, lecz buchał. Do czasu...

Bo któż by zdzierzył, gdy ponad polem świsnęły naraz piszczalki, harcownicy polscy skupili się jak przepiórki i pędem uszli ku swoim. Równocześnie czołowe chorągwie hetmańskie zawróciły uchodząc na wzgórze.

— Nie mąiłem, Śe Polacy uciekają! — woła z tryumfem król. — Za nimi! Naprzó!  
Za nimi!

— Wasza Królewska Mość — krzyczy Mansfeld z rozpaczą — to podstęp! Chodkiewicz uchodzący z pola? Jeszcze się to niej zdarzyło!

Daremne przestrogi, bo król dał już znak. Zawrzały chrapliwie trąby. Z krzykiem: „Jehowa!” — olbrzymie cielsko armii szwedzkiej wywała się w dół. Środkiem, niby płaz chrzęszczący, sunie korpus Lindersonowej i Luneburskiej piechoty, w jedenaście czworoboków ustawionej... „Jehowa!” — grzmi nad doliną. Wałą z poszumem i chrzęstem w niepokalanym porządku. Od lewego skrzydła zajeżdża Brandt ze swymi rajtary w głębokie kornety ustawionymi, od prawego Mansfeld, a tysiąc rajtarów gwardii podąża z tyłu, w odwodzie. Królewski sztandar z koroną i szumnym słowem: Sum! Sum! — kołysze się ponad nimi.

Karol Sudermański przelatuje przed szeregami swoimi radośnie.

— Przepadło to wojsko! — woła ukazując ręką cofając się szyki hetmańskie. — Wepchniem ich do Dźwiny! Dobra nasza!

— Lepiej zawdy cieszyć się po zwycięstwie niżli przed — mruczy niechętnie książę Luneburski.

Karola ogarnia złość. Przed chwilą Mansfeld krakał coś podobnie.

— Tchórzów mam, nie wodzów! Baby! — woła w pasji.

Bez słowa książę Luneburski ciska o ziemię kapelusz z cudnie fryzowanym piórem, odwiązuje błękitną szarfę, odznakę dowództwa i zsiadłszy z konia, z piką w ręku, lecz bez szczytu, staje w pierwszym szeregu pawężników. Głupie najemne gemajny patrzą na niego ze zdziwieniem. Karol wzrusza ramionami.

— Komendant! — cedzi przez zęby, odjeżdżając.

Już Brandt i Mansfeld wysuwają swoją jazdę, by dognać, zdusić hetmańskich. Lecz w tejże chwili, niby za zakłębieniem, uchodzące polskie chorągwie błyskawicznym ruchem zwracają się czołem, rozwijają niewidoczne dotąd za nimi kolumny, szlusują do boków, mnożą się, rosna, krzeczają i — jako pierwsza strzała puszczone z cięciwy — hetmańska chorągiew Woyny grzmi już do ataku. Stęka ziemia, warkoczą kopie i proporce, szumią poświstliwie skrzydła. Krzyk: „Jezus Maryja!”... „Kłuj! Siecz!” — niesie się nad polem. Staje jak wryty sunący jaszczur piechoty. Przed rząd potrójny pikinierów i osłaniających ich szczytami pawężników trawersują muszkietniki. Oparli na forkietach muszkiety. W niejednym serce upada, boć to nie ludzie wałą, jeno burza. Drżącymi nieco rękami przykładają zapał. Grzęda białego dymu wykwitła nad grzechot palby. Dawszy ognia, z twardą, chrzęstliwą sprawnością wsiąkają muszkietniki w żywe kobylice pikinierów, by puścić w przód dalsze, gotowe do strzału szeregi. Lecz nawałnica pędząca dopada, już się podnosi, wspina nad zaporę pik, spada na osłonięte szczytami, strwożone głowy. Szczwany towarzysz a znany siłacz Pągowski, rum sobie czyniąc, nachyla się,



lewą ręką chwyta dwie piki jak kłosa, wrywa z ziemi i luką wyrwaną wpada za mur pawężników. Już wyłom pierwszy zrobiony. Pęka niewzruszona ściana. Już błyszczą kopie w środku czworoboku, wznoszą się straszne koncerze...

Ejże, muszkiet broń dobra, gdy przygotować zawczasu, lecz nie daj Boże nabijać, gdy nieprzyjaciel na gardle już siedzie. Walczą więc piechury rapierami, w zdławionym milczeniu, przerywanym jeno chrapaniem lub jękiem, podcinają golenie, prują brzuchy koniom, powalonych jeźdźców dobijają toporami. Śmierć chodzi pośród szeregów, srogą wśród jednych i drugich wytykając dziesięcinę.

Jak drwale cierpliwi w las, jak karczownicy uparci, wrębują się piędź za piędzią. Woynowi w gąszcze szwedzkich czworoboków. Kurlandczyki, dobre pacholki, niezgorzej im sekundują. Stękają z wysiłku konie. Świszczą oddechy. Szczołźnie się czasem ze zgrzytem żelazo po gładkim hełmie. Przesłonią się mgłą oczy Woyny. Krew go uchodzi z lewego, szpetnie rozplatanego ramienia. W strudzonej głowie kołacze się jedna myśl: Wydzierzyć, póki nie uderzą z boków... Tak jako hetman przykazał... Krzyk z prawej dodaje mocy na wpeł omdlałym ramionom. Dąbrowa zwał się z Mansfeldem i już go spycha powoli. Nim oszołomiony rajtar wzniesie ciężki miecz, dech żywota przetnie zwinna, jadowita szabla. Kołaczą o siebie zbroje, zmagają się ludzie w ścisku, borykają twarzą w twarz, krew jednych bluzga, zalewając oczy drugim. Nie wytrzymują rajtary natarcia. Na cofających się Dąbrowa puszcza skwierczące z ochoty petyhorskie, tatarskie chorągwie, sam z usarją waląc się w bok na piechotę. Podnosi wysoką postać w strzemionach; wypatruje Woyny, jak się wypatrują żeńcy na przeciwnych końcach ładu: widzi go pośród topniejącej garstki, pracującego bez tchu.

Ściele się gęsta poręba w miejscu pierwszych pięciu kwadratów piechoty. Trupy jak śniaty zwalone leżą, zrąbane jak kłocce. Lecz niby ściana boru nie dotkniętego toporem czeka straszliwych rębaczy dalsze sześć tysięcy, sześć czworoboków, z których każdy jest, jako krzepią warowna, zjeżony pawężnikami, osłonięty szańcem szczytów.

Nic to! Nabrawszy oddechu, jakoby splunawszy w garść, pędzą niestrudzeni drwale w biały dym salw muszkietowych.

Dwaj bracia Jurachy, Żmudzini, wdzierają się pierwsi w środek, gdzie znaczny pierzastym kapeluszem stoi Linderson. Próżno bronią go zaciekle otaczające piechury. Jurachy prą jak zgłodzone wilki. Linderson ścina starszego.

— Ścierwo szwedzkie! — ryczy młodszy tnąc mieczem na oślep.

Pada koń Lindersonowy, a wraz muszkietnicy podcinają kolana Jurachowego podjezdka. Wodzą się zapaśnicy na ziemi, tarzają w krwawym, pluskającym błocie. Nim piechury zdążą rozsiekać Juracha, ginie Linderson z gardłem przerżniętym tulichem. Nie stało wodza piechurów. Zabit już wcześniej mężny książę Luneburski. Ninie w wyłom Jurachowy wpada Maliszewski, za nim Kiersnowski, Tański i Piotrowski. W tumanie kurzu, kłębach potu unoszącego się z koni — widzą już blisko czubate szyszaki usarzy Dąbrowy.

Wraz nad wrzawę zawieruchy wypełniającej dolinę wznosi się okrzyk radosny:

— AuksyLIA idą! AuksyLIA!

Idą rzeczywiście. Szwedzi i Polacy widzą jak na dłoni pokaźne wojsko wychodzące z lasu.

— Radziwiłł ciągnie! Radziwiłł!

Przybywa świeżej ochoty jednym, ubywa drugim. Wprawdzie o tym Radziwille snadnie mogliby coś rzec Pietrek i Jaśko Dobrocieski, że jednak obaj dobrze muszą gęby swe oganiać, brak czasu na wszelkie uwagi, tym bardziej że zbliża się nowa zabawa. Dotychczas nie wysilali się zbytnio, ścinając się z Brandtowymi. Więc też pan Pszonka, wieczysty malkontent, kiwał z oburzeniem głową:

— Pokawił hetman! Pokawił! Tutaj jakoby harce, a tam z Woynowych pewnikiem nic już nie zostało...

Oj, nie pokawił, bo oto od flanku rżnie na nich wąskim, zmijowatym hufem tysiąc co najprzedniejszej królewskiej rajtarii, dotąd w odwodzie stojącej. Zwracają pędzą naprzeciw, by impet pozyskać. Giną w ćmie dymu jak w chmurze. Trzeszczą kopie, zgrzytają po pancerzach miecze. Kwiczą, gryząc się wzajemnie, konie. Pan Pszonka przestaje litować się nad Woynowymi, sam w dobrych będąc terminach. Zbierają się Sapieżyńscy, Giedroyciowi w kupę. Byle wydzierżyć, byle się przerąbać, przedrzeć! Nie przedrą się. Ze łzami rozpaczy i wściekłości w oczach wali Pietrek mieczem jak obuchem, młóci niby cepem. Rupniewski zwija się z szablą jak mucha w ukropie. Rąbie na odlew Arciszewski. Odepchnięci odpryskują, skupiają swój szereg, walą znów cwałem zażartym. Niby drzazgi spod siekiery — lecą ramiona, dłonie, utracone miecze. Niedoczekanie psubratów! Zalany juchą cudzą i własną Sapieha skrzepią chorągwie, uderza trzeci raz, czwarty. Dźwięczą o siebie w boju zaciekłym kolana, chrzypią oddechy w gardzieli. Rozbici, znów się zbierają krzycząc: „Kłuj! Siecz!” mętnymi z wysiłku głosami. Pietrkowi pot zalewa oczy. Zda mu się chwilami, że bój już trwa lata, a trwać będzie do zginienia, boć oni nie ustąpią, a Szwedów ciągle przybywa. Przybywa, bo Karol ostatnie oddziały wysłał w pomoc rajtarii, aby przechylić zwycięstwo.

Od dawna, stojąc na wzgórzu, czekał na tę chwilę hetman. Skoro wróg rzucił nareszcie w bój wszystko, co miał — podnosi swoje odwody, straszliwą usarską Łackiego. Sam pędzi na czele z buławą w podniesionej dłoni. Rozwiewa się ciemna delia, szumiąc jak chmura gradowa. Skry leczą z płonących oczu. Zbyte troski i kłopoty, znikło gdzieś schorzałe ciało. Pędzi w lotnym uniesieniu, wiecznie młody bóg wojenny, pan żywiołu straszliwego, rozpetanego wokoło. Nurza się w nim, pławi, tonie, wylata w górę jak płomień. Gniady ogier, gniewny staniem, podniecony wrzawą, ryczy jak buhaj, sadząc przez zagony. Jakkolwiek śpieszą się Laccy całą siłą serc rycerskich i nóg ponoszących koni — nie mogą nadażyć za jego piorunowym lotem. Pędzącego samotnie poznają Szwedzi i wnet kilkunastu zabiega drogę na przełaj. Rozbija dwom głowy buławą, w biegu — wpada wśród swoich w rozsypce.

— Naprzód, dzieci! Naprzód, psiawiary! Za mną! Kłuj! Siecz! Naprzód! W nich! Zbierają się w sobie, wracają na wroga, urzeczeni potężną mocą jego woli. Konie słaniają się na nogach z utrudzenia, lecz idą za żrebcem. Krew chlusta na oczy spod rozbitych hełmów. Z przyłbic wyzierają usta czarne z utrudzenia, zapiekłe potem i krwią. Ni jeden nie ma już kopii, koncerza. Pan Arciszewski Potrząsa szczątkiem drzewca jak maczugą. Pan Cetner, moczarny okrutny, walczy żelazną pięścią, zbrojną w żelazną, pogiętą od razów rękawicę. Pietrek Pielsz, Jędrak Rupniewski kropią co sił nadziejkami.

Lecz już grzmi ziemia pod tętentem dwustu koni. Krzepki krzyk targnie zwycięsko powietrzem. Szeroki łuk zatoczywszy wali się Lacki z boku na rajtarów. Łamie zaskoczonych, miesza, odrzuca precz na piechotę. Oszołomieni, zepchnięci, druzgoczą własne szańce czworoboków. Nieludzki wrzask wznoszą strwożone piechury. Nie śmiejąc strzelać do swoich, proszą, krzyczą, trąbią, grożą. Daremnie! Spłoszone konie rajtarów niosą przerażonych jeźdźców wprost na pawężę, na piki. Za nimi goni usaria. Rzuciwszy muszkiety, szczyty, salwują się, jako tylko mogą, nieszczęśne gemajny.

Wśród ogólnego splątania niecierpliwego Boruchowski wypada z garścią pancernych na tyły. Na wzgórzu król Karol z Mansfeldem, de Vredem i von Hellerem, mając przy sobie zaledwie dwudziestu rajtarów, patrzy w dolinę osłupiałymi oczami. Nie tak wygląda zwycięstwo! — Sum! Sum! Sum! — woła wielka złocista chorągiew trzepiąc się nad nim szyderczo. Poznają po niej króla pancerni i sadzą prosto na wzgórze. Nie ma czasu do namysłu. Karolus uchodzi ze swymi co siłą, Boruchowscy za nim w ślad. Lekkie petyhorskie konie kulą się w sobie, śmigają

niby jaskółki. Pędzą wytrwale, uparcie, pylnym, białawym gościńcem, ku widocznemu w oddali morzu idącym. Dogonią króla za moment. Von Heller zawraca rajtarów, staje z nimi w poprzek drogi. Nim zginie, tamci okrętów dopadną, zbawczy brzeg już niedaleko.

Niedaleko — jak dla kogo, bo petyhorcy już przejechali rajtarom po brzuchach i gonią zaciekle, niby ogary za tropem. I

Broczący krwią, z łbem rozplatanym petyhorską szablą, von Heller unosi się ostatkiem sił, patrzy za ścigającymi. Tuż opodal leży w pyłe królewski sztandar: Sum! Sum! — nie podjęty przez goniących, by nie tracić czasu. Konający wlecze się ku niemu, kładzie na chrzęszczącej jedwabiem pościeli, zawija się weń niby w całun. Śmierć już mu oczy całuje. Tak legnie. Ze skostniałych palców rycerza, spod skrwawionych bark, będą j musieli wyrywać złotą chorągiew zwycięzcy...

W straszliwym kotle kipiącej wrzawą doliny pryska, pęka armia szwedzka. Króla i Mansfelda nie masz, Brandt pojmany, a pozostali polegli. Wojsko bez wodzów łamie się, chwieje i cofa coraz to szybciej a szybciej. Trzymane w ryzach posłuchu, lecz jużci obojętne na los Szwecji muszkietniki pierzchają ile sił w nogach, uchodząc przed własną rajtarią, gnana bez tchu przez usarję. Ścigani i ścigający sadzą przez mrowie nieszczęsnej piechoty jak rozhukane żrebaki przez wyłożony łan żyta. Bokami dopada zbiegów wypoczęta, chciwa czynu, stojąca dotąd w rezerwie hetmańska piechota! Hej uciecha! Wybieraj, którego chcesz! Ten dobry, a ten jeszcze lepszy!

Zmiatają Szwedzi gościńcem ku Rydze, niechając wszelkiego oporu. Marny ich los! Gościńiec zwęza się zdradnie między Dźwiną a borami, wspina mozolnie pod wzgórze, z których na zgubę zeszedli dzisiaj rano. Nie ujdzie stamtąd Śywa noga!

**P**ylnym, białawym gościńcem sadzą petyhorce-ogary, nie ustając. Błyszcą oczy, wbite w migający zad Karolowego kasztana. Zza rozchylonych warg bieleją drapieźnie zęby. Ciężki królewski bachmat dobywa ostatnich sił. Potyka się raz i drugi, potyka znowu, upada ryjąc nozdrzami po ziemi. Mężny de Vrede zeskakuje z konia, podnosi z kurzu monarchę, podaje mu swoje strzemię, sam z mieczem stając na drodze.

— Dzielnyś chłop! Zдай się na pardon! — krzyczą z uznaniem Boruchowscy. Potrząsa głową z pogardą i ginie milcząc.

Król, nie oglądając się za siebie, zmyka dalej. W głowie kołacze przepowiednia astrologa: „Uda się, jeśli flota będzie blisko brzegów...” O straszna, dwuznaczna wróżbo! Takż był twój sens tajemny! Uda się... Jeno nie bitwa ucieczka!... Nędzna ucieczka!... Byle okręt był blisko, byle blisko! Jest!

Jak upragnione zbawienie, smukły królewski farbot chwieje się przy samym brzegu, czekający. Olbrzymią postacią przechylony przez burtę jeniec, towarzysz Krajewski, chłonie pościg rozgorzałymi z radości oczami. Łzy uniesienia kapią na wąsiska. Przy nim ze grozą, niedowierzaniem i lękiem spogląda szwedzka załoga. Rzucili mostek, zerwali kotwę gotowi. Ostatni moment, bo obaj uciekający czują już na karkach oddech petyhorskich koni. Wyciągają się ku nim chciwe ręce... Król z Mansfeldem zlatują na ziemię, ostatnim tchem wbiegają na mostek. Załoga oparła już o brzeg bosaki — odbija. Kołysze się z wolna farbot. Wiatr wzdyma żagiel. Zbawczy parów głębi wodnej dzieli już od ścigających. Król, oparty plecami o maszt, łapie oddech, na pół przytomny. Podnosi błędny wzrok i naraz... — widzi przed sobą usarza. Przeciera oczy i znowu patrzy na siebie w milczeniu. Ten usarz!... Stoi jak widmo kłęski haniebnej, miażdżącej. Prostuje się dumnie, ogromny, jak znieawidzona Rzeczpospolita. Z oczu

mu patrzy radość Chodkiewicza, na ustach błyska szydliwy pośmiech zwycięzców. Cofa się król jak przed marą.

— Zgiń! Przepadnij! — krzyczy w przystępie nagłego obłędu, przebijając bezbronnego jeńca szpadą. Przebija raz, drugi, trzeci. — Zgiń! Przepadnij!

Trzępiącego w agonii rękami usarza mściwa załoga wyrzucał rada za burtę, gdy Mansfeld podtrzymuje słaniającego się króla. Uciekająca od farbotu fala poniesie ciało do brzegu, gdzie je wyłowią ostrożnie, czule, nadbiegli co ino towarzysze. Użalą się śmierci przyjaciela, w bezsilnej złości zaciskając pięści.

— Och, statków! Statków! — szlocha prawie Arciszewski tupiąc z wściekłości nogami. — Statków, i do Szwecji za nimi! Do Szwecji!

— Patrz, co znaczymy bez armaty wodnej! — krzyczy do Pietrka w nagłym uniesieniu. — Teraz ich gonić, dogonić, raz koniec najazdom położyć! A tak, co? Zmogą się, skupią i kiedy zechcą, powrócą!...

— Oj, nie zechce im się prędko! — powątpiewają towarzysze, nie dzielący jego trosk.

— Na Cyprze, gdy odnosiłem podobne wiktorie — zaczyna opowieść pan Bartłomiej Nowodworski. Lecz nikt go słuchać nie ciekaw.

Podjąwszy z ziemi ciało towarzysza, ciągną z powrotem do obozu, radośni, weseli, milknąc jeno, gdy kto wspomni tych, co zostali na polu. Zostało ich zaś niemało... Hej, trudno! Piękna za to mieli śmierć... Daj Boże każdemu taką!... Pozostali mogą radować się życiem. Wiatr wieczorny odgania z głów czerwony czad; wyprostowują się z ulgą utrudzone gnaty, przycicha w uszach ogłuszający wrzask boju...

— Dobry był dzień! — wzdycha Jędrak.

— Uch! Narobociliśwa się, jak się patrzy — przytwierdza Pietrek przeciągając ramiona z rozkoszą.

— I do Hildy bez glejtu zajedziem...

— No, jeno jutro, jak się wywczasujem...

Zjeżdżają stępą ze wzgórza. Po drodze chłopci dobijają resztek Szwedów bez pardonu. Obdzierają z odzienia. Trupy świetnej zacieżnej piechoty Karolusowej leżą na drodze gęsto jak brukowce. Towarzysze bokiem omijają martwe zwalę, z ciekawością oglądając, gdzie była najcięższa rzeźba.

— *Nec nuntius cladis* — powtarza chełpliwie pan Balcer.

— Prócz tych, co z Karolusem do Szwecji uciekli — mruczy niepokieszony pan Arciszewski.

— Patrzcie! Pindarus tam stoi! — woła Jędrak.

— Gdzieś był, asan? Czekaliśmy, że staniesz przed frontem i lutnią, strofy swe śpiewając!

— Tyle krwie mogłeś oszczędzić!

— Woyna ino się oglądał, czy gędźby rzewnej nie słyhać...

— Szlachcicem jestem — protestuje urażony poeta — i stawałem niezgorzej od zacnych waszmościów. Czterech Szwedów tą ręką zakłułem...

— Aż czterech? Nie może być! Kiedy?...

— Co ino, gdy uciekali; przódziej nie mogłem — dodaje — z ciurami pod lasem wojsko idące symulując... Ninie zaś składam poema ku czci rycerstwa i zwycięskiego hetmana... Raczcie posłuchać pierwszych strof, panowie!

Nie czekając przyzwolenia nadał pierś i głos:

Serce nam kwitnie z wesolej nowiny.

Która rozbrzmiewa z inflanckiej krainy.

O sądy Pańskie skryte, niewymowne.  
Sprawy cudowne!...

- Udatne rymy; radzi posłuchamy, gdy waść skończysz...
- Skończę jeszcze dziś pewnikiem... Słuchajcie dalej, panowie:

Febe z wielkiego Jowisza córami.  
Jeśliś się kiedy zabawiał pieśniami,  
Złóż zwycięskiemu dziś śpiew hetmanowi —  
Chodkiewiczowi...

Przejeżdżają mimo, nie bacząc na resentyment srodze dotkniętego Pindara. Nieskorzy są do rymów, gdy serce jeszcze inny rytm wydzwania. Patrzą w zadumie w równinę, na której zżęli dzisiaj plon chwalebny. Niebo na zachodzie purpurzy się, płonie ogniem. Zapala się odeń całe morze i gorzeje. Słońce jak szkarłatny kwiat już się osuwa ku wodzie. Płynące wysoko lekkie korabie-obłoki zdają się być koralowe. Na wąskich skrzydłach niosące się, mewy różowe są i złociste. Świat cały kapie się w glorii, święcąc chwałę niezmierną hetmańskich.

„**J**asnie Wielmożnej Pani Zofii z Mielca Chodkiewiczowej, Starościnie żmudzkiej *etc, etc*, do własnych rąk oddać.

Dan w obozie die 30 *Novembris*, anno 1605.

Moja miła Zosieńko!

Otrzymałem ninie przez Judyckiego dwa listy, a oba tak nieforemne, że się wydziwić nie mogę Waszemu tyrańskiemu sercu, delicję jawną najdującemu w ustawicznym mnie targaniu. Gniewacie się o nowiny, że nie piszę, gdy pan kasztelan nowogrodzki Wołłowicz swojej podwice wiktoryę już opisał — wypominając mi, iż przez to, że Wołłowiczowa młodsza, ergo i u niego droższa. Dla Boga żywego! Kłamstwo wierutne, którego czytać aż wstydno. Mógł pan nowogrodzki dziesięć epistołów słać, na głowie nic innego krom siebie samego nie mając, gdy ja cały dzień pracą rozliczną koło wojska a jego potrzebów zajęty. Dalipan, nie z braku ochoty od skrybowania się wstrzymuję! By czas był, słałbym list co dzień, bodaj w te jeno słowa, że Cię uprzejmie, serdeczna moja Zosieńko, miłuję i zawsze jednako, choć mnie wzajemnym afektem nie karmisz.

Wiktoryę w dniu 27 Septembra dał nam Pan Bóg znaczną owszem, jako podobnej nie znaleźć. Czynił każdy wedle powinności swojej, tedy i błogosławieństwo Boże było. Pod wsią Kircholmem ona potrzeba zaszła. Rozbiliśmy na szczerą siłą Szwedów, zdobycz znaczną biorąc. Sudermańczyk samotrzeć na okręcie zdrowie swe salwował. Z wodzów jeden Mansfeld uszedł, zaś Linderson i książę Luneburski poległi. Ostatniego osobliwie mi szkoda, bo kawaler był wielkiej fantazji, któren w szeregu kopijników, bez odznak, pieszo, dla okazania śmierci kontemptu, stanął. Dąbrowa go ściał, ani wiedząc, co zasz.

Poszcześnie się nam niezgorzej, wszędy też o tej wiktorii gadają: aż dziwno, że stugębna fama tak skoro świat obleciała. Dyć ledwo osiem niedzieli od onej potrzeby, a już mi poseł niemiecki i angielski wincze od swoich panów przysłali, papieżowe zaś błogosławieństwo książdz legat, czym mnie wielce ufetował. Pisał tudzież pan Dzierżyk, przy Stambule poseł, że sułtan konterfekt mój w pałacu swym kazał zawiesić, któren oby mu się przyśnił a wyśnił, bo może jeszcze przyjdzie z tym psem powojować, co daj, Boże.

Do Króla Jegomości zarazem po bitwie pana starostę uświatskiego z kilku towarzystwa pchnął. W Warszawie, Pana zastawszy czasu nabożeństwa, srodze nowiną uradowali. Wnet też z Warszawy na rozpartych koniach jeszcze przed końcem Oktobra posłaniec przybieżał z listem od Króla Jegomości wielce łaskawym, z którego frazy niektóre *in extenso* Wam podaję:

...Łaskę Naszą nieskapą Waszej Uprzejmości i temu szlachetnemu rycerstwu okazem — dla tak zacnych wojowników udzielonymi nam z Bożej a Narodu łaski dobrami ochotnie szafując... Tandem w ślad za tym pisaniem wysyłamy posła wtórego, któren szerzej wdzięczność naszą opowie, także zaległą kwartę i dary a gratyfikacje chlubnie zarobione przywiezie, *etc, etc...*

Otrąbiłem po obozie; list królewski odczytano publicznie, skąd *gaudium* było znaczne. Prawda, że od tego pisania minęło pięć niedziel a zapowiedzianego śladem posłańca — ni słychu. Ja tam, otworzyście mówiąc. Królowi nie ufałem, nie ufam i ufać nie będę, wszakże dumam, że chyba tym razem choć kwartę zapłaci, despekt by to bowiem był a słowa królewskiego poniewieranie ostateczne. Nie może inaczej być! Tak więc tusząc, że ucisk koło nas zelzeje, a swoich pieniędzy nie trza było ustawnie wyklądać, rad bym Wam też, duszo moja, jaką uprzejmość uczynił. Wiem, iż od pół roku bolejecie o tego karła, nie mogąc go nabyć, jako insze mają. Tedy proszę i zezwalam, pošlijcie do Wilna, niech Marchaj plugawca starguje i wiele trzeba za ono monstrum, skoro Wam tak miłe, zapłaci. Baczę ja, iż gdyby mnie natura bardziej do karła podobnym uformowała, większe bym miał pono u pani mojej fawory — cóż, kiedy na urodę przyrodzoną nie poradzi! Przetoż owego brzydliwca hodujcie sobie na zdrowie. Jeno nie chciałbym, by w nogach łoża Waszego sypiał, a w gotowalni swobody zażywał, jako karły pani Wojewodziny wileńskiej, bo to gady niechędożne i sprośne, a zawdy białołowcie nieprzystojnie. Któremu, w takowej *libertate* go zastawszy, łba skręcę jako kurowi i za wały ścierwo miotnę, o czym Was, miła moja, uprzejmie uprzedzam.

Posyłam też nieco muszkatele na sprobunek, nie wiem, zali przednia? Wzięli my ją z kredensem Sudermańczyka. W kredensie srebra był gwałt, które niemieszkając rozdałem towarzystwu, jako i inną zdobycz, sobie jeno ową muszkatelę zachowując. Zasiliło się nieco panów towarzyszy, w tym tylko bieda, że na *verbum* królewskie się zdawszy, faworów obiecanych i wypłaty wyglądając, ochocą sobie, wino piją i za dziewczętami chodzą miast grosz dusić a na zimę się obzierać. Co pocznem, jeśli kwarta nie nadejdzie! Strach pomyśleć! Dnie idą, mrozy nieźle już doskwierają, a ja co dzień usilniej posłańca wyglądam. Rad bym i *de publicis* coś pociesznego nareszcie usłyszał. Czas teraz jedyny pokój ze Szwedem zawrzeć, ustąpienia wieczystego z Inflant i Estonii żądając, na co przystałyby chudzięta łącno, bo silnie sprane. Otóż to. Nic zaś o rokowaniach nie słyżno, bo Król Jegomość, Sudermańczyka za uzurpatora trzymając, paktować z nim nie chce. Tedy jeśli nie pokój, wojnę by na ich grunt przenieść i tak szczęśliwie zaczęta z Bożą pomocą kontynuować. My zaś czekamy rozporządzenia Króla Jegomości, stojąc beczynn timer już osiem niedziel. Na co czekamy? Aże pludraki ochłoną ze strachu a zbierą się w kupę na nowo. Bacżże, duszo moja, że choć *Victor felix* króle mnie nazywają i wincze ślą, w utrapieniu żyję, swobody ni żadnej nie zażywając. Ażem z frasunku znów zasłał i dwa dni w bólach przeleżał. Medyki kładą za przyczynę zbytnią abstynencję, która się w kamień a piasek na szkodę zdrowiu obraca. Wy temu, pociecho moja, wiary nie dacie, ale iście prawdę mówię, którą medyk może uczciwie zaświadczyć. Radzą mi te doktory do domu na niedziel bodaj dwie pojechać a wywczasować się. Ejże, rade by na to i dusza, i ciało — wszakże wojenny tryb inszego potrzebuje. Lada dzień zająć może jaka odmiana. Szkoda byłoby opuścić, co z pożytkiem i sławą Rzeczypospolitej być może. Taki już tutaj tkwieć będę, listem jeno afekt mój ku Wam wyrażając.

Dzieciątka serdecznie umiłujcie ode mnie. Sercu się Waszemu i miłości oddawam. Boga prosząc, abym w niej lepiej chowan był.

## Rozdział czternasty

### Skarb ukryty

**S**zesnastoletni otrok, Jantek Grzybów, syn Grzyba, chałupnika z Wrocimirowej, przemykał się trwożnie pod borem. Za przyniesienie czarodziejskiego korzenia pokrzyka starka Mądrzycha obiecała mu talara. Całego talara! Majątek! Więc szedł, choć serce kołatało za pazuchą jak dzieciół w drzewo na wiosnę.

Noc była taka właśnie jak należy, sam widek, czyli pełnia, gdy każde ziele w moc rośnie. Krzepiąc truchlejącą duszę nadzieją sutego zarobku chłopiec brnął po śniegu. Chłodna strużka potu spływała wzdłuż pleców, gdy według powtarzanych wielekroć wskazówek babki biegł w przód trzy kroki, zawracał się na rozstaju, skręcał to w prawo, to w lewo, kryjąc głowę w ramiona i podniesiony u kapoty kołnierza, by go zgubna chęć spojrzenia za siebie nie opanowała. Bez tchu nieomal dopadł wreszcie naznaczonego latem przez starą kopczyka. Przymknawszy oczy, drżącymi rękami odgarniał mokry, lepki śnieg, rozrzucał zbutwiałe liście, spod zmarzłej ziemi wydłubując pazurami korzeń zakłęty pokrzyka, w tej porze wczesnomarcowej największą mającego moc. Już zmacał korzeń, maleńkiego człowiczka o dużej głowie, i wyłuskiwał go z ziemi ostrożnie, lekko, aby nie zakrzyknął. Włos stawał dęba pod czapką na samą myśl o możliwości wznoszącego się spod palców pisku. Ostrzegąła przecież babka, że na ten pisk, acz słabszy od latoperzowego, zleca się migiem borowe strzygonie i strzygi, wieszce i wieszcyce, zmory, gniotki, nocnice, północnice i jeszcze inne paskustwo, którego zliczyć nie sposób. Wydało mu się, że stoją już za plecami chichoczącą, przyczajoną zgrają. Dzwoniąc zębami jak w febrze, wydobyl korzeń szczęśliwie. Pokrzyk głosem nie przemówił — snadź go nie uszkodził. Odetchnął raźniej.

Wsunawszy zdobycz za pazuchę kopnął się co tchu do domu nie obzierając za siebie. Jakieś długie, wiotkie ręce chwyciły go za kapotę — może zmory, a może tarnie i zesłoroczne badyle. Pędził jak sarniuk, sadząc przez wykroty, nie przystając aż pod dworskim parkanem. Tutaj kończyła się dziedzina leśnych stworów — uroczyisko pozostało z dala, odpływała trwoga. Między parkanem a borem słała się ścięgna, nie używana wprawdzie przez nikogo, raczej zwykłym odgraniczeniem ogrodu będąca, przecie przez ludzi wytknięta. Poczul się bezpieczny, zwycięski. Strach odszedł, wracała zwykła, ciekawa wszystkiemu ochota. Błysła znów wizja talara. Zarobił go, bo zarobił!

Nieraz znosił babce zioła, przecie nie takie straszeczne, nie tak okrutnie strzeżone! Babka owa, Mądrzycha, głośna była ze swojej wiedzy lekarskiej na całe Sądeckie. Znała sposoby na wszystkie uroki. Kołtun, nawet dziewięciórny, umiała zamawiać, że kwiczał ze strachu i w

oczach świadków przenosił się na strzechę, gdzie mu pozwalała dziewięć niedziel ostać. Miała czas wiedzę tak wielką pozyskać, bo wiekowa już była, setki roków, doświadczeniem nabytym bogatych, sięgająca. W ostatnich latach starość oczy jej zasła i nogi całkiem odjęła. Latem zwlekała się jeszcze ze swego wyrka i sztykutała w pół zgięta. Zimą nie wychodziła z chałupy, najmłodszego wnuka, ulubieńca, po zioła potrzebne posyłając. Przynosił już jej nieraz trawę, której nazwy mówić nie należy, trawę, co w usta włożona czyni niewidzialnym — odojan, adamowy korzeń, nasięźrzał i różne inne mocne ziele, którego ojcem jest sejec, a matką lebiodka. Zmyślny był chłopiec, a przede wszystkim odważny, gotów nawet iść o północy gacka z mrowiska wyciągnąć. Stara myślała po cichu sposobić go na następcę, wtajemniczyć w zawity kunszt lekarski, zanim sama z wiedzą swoją pod darnikiem legnie. Zamawianie — dobry kawałek chleba; i niechajby został w rodzinie. Z jej to przecie zarobków, nie z dworskiego łanu, zbudował Grzyb chałupę porządną, w której siedzieli. Wstrzymywała się jednak z nauką, nie widząc jeszcze w chłopcu potrzebnego statku.

W danej chwili przyszły znachor odpoczywał pod płotem, oglądając uważnie, choć z szacunkiem, świeżo wydobyty korzeń. W pełnym świetle księżycowym, z dala od nieczystych potęg, pokrzyk czynił się podobnym do zwyczajnego korzonka, zatracalo się gdzieś nawet ludzkie podobieństwo. Wróciło ono w długim, niebieskawym cieniu, rzuconym na śnieg, gdy chłopiec podniósł pokrzyk do góry. Zaciekawiony, obracał go wysoko w palcach, gdy tuż nad nim zabrzmiały głosy. Ledwo zdążył rzucić się w śnieg, nakrywając korzeń sobą. By go dostrzegli — oho! — pokrzyk utraciłby wszystką moc. Leżącego bez tchu w mokrej zaspie minęli dwaj jeźdźcy. Ciemny kabłąk wygiętego grzbietu chłopca widział się w świetle przelina wyzierającą spod ziemi. Przejechali niepodejrzliwie o krok od niego. W jednym Jantek poznał po głosie dziedzica, drugi był obcy, a mówił z niemiecka... Chcącego powstać przygwoździł nazad do śniegu skrzyp płóz. Zerknął bokiem, zdumiony. Jedne, drugie, trzecie, czwarte — nadjeżdżały sanie, kute, ładowne, jakoby prasołów lub innych kupców wędrownych. Gdzie jechały? O tej porze! Nie szła tędy żadna droga właściwa, jeno przesieka. Wjazd do folwarku i dworu był z przeciwnej strony. Gdy przejechali, zawahał się chwilę, ostrożnie przepęłzył oświetloną drogę i osłoniony bezpiecznie gęstym mrokiem boru, ruszył bezszelestnie w ślad za jadącymi.

— Pewne to aby schowanie? — dosłyszał głos cudzoziemca; a był nim uczony pan Osterode z Goslaru.

— Przecieczniejszego nie znajdziesz waćpan nikędy — odpowiedział pan Wiszowaty, Socynów zięć, właściciel Wrocimirowej. — Głusza tu, nikt nie zajrzy, jakom już zresztą powiadał...

— Bogu dzięki! Bogu dzięki! Ustawnie pytam o jedno, czemu się waćpan nie dziwuj, bo po tylu srogich przeciwnościach zdradliwej fortuny trudno w szczęśliwą odmianę uwierzyć...! A także lęk mnie ogarnia, by waszmości, zacnego dobrodzieja mego, na szwank jaki nie wystawić.

— Nie ma strachu — roześmiał się Litwin — pustką stoi, nikt tam nie chodzi. Klucz u mnie zawdy był, a teraz będzie u waści.

— Dusza kruszeje i spływa z czystej wdzięczności ku szlachetnemu Salwatorowi, dobrodziejowi mojemu...

— At, serce! Próżno nie gadaj! Miejsca zbytniego będę żałował, czy co? Rozrządzaj lamusem, jak chcesz. Jenó złożym waścine skarby, pojedziem na folwark, gdzie waćpana jako kupczącego płótnami sprezentuję...

— Ślady ostaną — zaniepokoił się Niemiec.

— W nocy zadyмка pewna, bo wiatr wstaje, a bór już się otumaniał. Zadmie i znaku nie będzie.

Jechali dalej, milcząc, krok za krokiem bo konie z trudem torowały sobie drogę po śniegu.



Pan Wiszowaty podnosząc ku miesiącowi łagodną twarz zasłuchał się w miły nade wszystko poszum boru, zbudzonego powstającym ze snu wiatrem. Rozumiał jego mowę, prawnikiem, może wnukiem będąc tych, co dęby stare jako bogów czcili. Wielbił niespożytą, omal wieczystą moc puszczy, jej stałość, spokój, mądre, nie uchylające się przed nikim prawa, powagę w zamieraniu zimowym i radość coroczną odnowy. Wychował się, wzrósł pośród borów. I pewnikiem — by nie te lasy górskie, podobnie litewskim szumiące, by nie miesiąc — święty, przeświety do niedawna Menu — zagryzłaby go tęsknica na śmierć. I tak tężył za rodowizną, miejsca sobie nieraz znaleźć nie mogący. Uchodźić zaś musiał ze swoich stron z racji wiary. Prześladowania — nie tyle katolików, ile Radziwiłłowskich kalwinów — wyzbyły go substancji i dachu. Bezdomnego zaradna żona pociągnęła w Sądeckie, blisko ojca. Osiadł tu przed trzema laty. Folwark był niczego, przecie tęsknił coraz to bardziej a bardziej.

— Daleko jeszcze? — spytał Osterode półgłosem.

Pan Wiszowaty ocknął się z zamyślenia, zawstydzony.

— Dwa kroki, serce; ot, lamus! — ukazał ręką ciemniejący w sadzie kształt.

— Biedniaszek ja — wykrzyknął nagle — toć trza było wpierv wygubić szczury, silnie w onym sklepie rozwiemożnione! Szczurołapa już dwa razy sprowadzałem z Biecza. Na fujarze grając, do Dunajca je wywiódł. A tak i wróciły, szelmy...

Lecz Osterode uspokajał go, że nie lęka się szczurów na razie. Nim papier nadejdzie, sprowadzi przemyślną trutkę niemiecką, skuteczniejszą niż fujara szczurołapa.

Stanęli wśród skrzypu płóz. Konie buchały parą. Pod kierunkiem pana Wiszowatego wyjęto przęsło z parkanu. Lamus stał o parę kroków, murowany, rozkraczony szeroko na szkarpach, z grzybiastym, wysokim dachem. Pan Wiszowaty otwierał długo drzwi zardzewiałym, skrzypiącym kluczem, podczas gdy jego towarzysz krzesał ognia, by zapalić małą, błoniastą latarkę. Woźnice zrzucili z sań tłumoki z towarem i stękali z wysiłku, ściągając teraz coś wielce ciężkiego, co potaszczyli z trudem do lamusa. Rozległo się głucho stuknięcie o klepisko sklepu. Wrócili, by z drugich sań ściągnąć ciężar wtóry, potem z trzecich i czwartych. Rozszerzone ciekawością oczy przyczajonego za chojarem Jantka dostrzegły, że były to żelazne, okowane skrzynie...

— Ostrożnie!... Sunąć pod ścianę! — komenderował wewnątrz pan Wiszowaty.

Niemiec świecił przy wejściu latarką.

Gdy czwartą skrzynię pociągnięto w ciemną głąb, Litwin zatrzaskał drzwi i klucz cudzoziemcowi wręczył. Uczony mąż kładł ręce na sercu i przestępywał z nogi na nogę w śniegu, rozpluwając się w górnołotnych podziękowaniach. Woźnice krzatali się żwawo, miotłą wyłamaną z krzaków zamiatając starannie ślady przed budynkiem, wstawiając przęsło wyjęte z parkanu na miejsce i układając w saniach z powrotem zrzucone uprzednio tłumoki. W oczekiwaniu końca tej roboty pan Wiszowaty popadł w poprzednią zadumę, ulgnawszy duszą w przeciągłym, hucznym, wieść rychłą o wiośnie niosącym poszumie.

Pan Osterode, oparty obok o parkan, oddychał z ulgą niezmierną. Skończona obrzydła tułaczka! Wygnany zeszlą wiosną z Holandii, gdzie zbyt gorliwie propagował zalety zboru antytrynitarskiego, wrócił do Rzeczypospolitej. Pora była niepomyślnych koniunktur gwiezdnych, przeto nie wiodło mu się od początku. Ksiądz prymas wysłedził jego przyjazd i na pięty uparcie nastawał, do wszystkich biskupów rozsyłając listy, uczonego pana Osterode z Goslaru jako szkodliwego arcycypsa wystawiające. Wykwintny wielbiciel nadobnych hiacyntów i tulipanów holenderskich wymykał się prześladowcom niby piskorz, kluczył jak szarak, co tym trudniej mu przychodziło, że nie lada tabor wiódł ze sobą: ukryte pod pakami z płótnem; krotły, czyli czcionki drukarskie, przednie, amsterdamskie, w żelaznych skrzyniach spakowane. Nie tracił bowiem nadziei uparty Niemiec, że znajdzie przecie w końcu kąt bezpieczny, w którym na złość

prymasowi i jezuitom osiedzie, drukując w cichości dwa ukochane płody swego ducha: folium „O Bóstwie prawdziwym Chrystusa” oraz: „Broń śmiertelną, kapitalną przeciw papieżnikom i innym Chrystusowym wrogom”.

--- Gotowe, Wasza Miłość — meldował starszy woźnica.

— Teraz ja, serce, wróćę tędy do obrządku, nic wrzкомо nie wiedząc. Waść zaś jedź dalej pod parkanem aż ku drodze. Za czym drogą wykręć na lewo, i w bramę. Głośno gadajcie wszędy, że drogę zmyliwszy, pod borem musieliście się kopać, tedy choć kto ślady zoczy, suspicji żadnej nie weźmie.

Wskoczył na konia i zawrócił, gdy oni ruszyli w przód.

Wysunąwszy się ostrożnie zza chojara, Jantek rozprostował ścierpłe nogi, spojrział badawczo w obie strony i lasem kopnął się co tchu do domu. We dwa pacierze stanął przed chałupą. Gdy wszedł do niskiej, błękitnej od dymu izby, panowała w niej cichość uroczysta, choć wieczornica była w całej pełni. Nawet siedzące gęsto w dychtowanych mchem ścianach świerszcze nie ciurczały, jakby zasłuchane na równi z kobietami, co poniechawszy krążeli prząślICY, bezwładnie puściwszy wzdłuż kiecек wrzeciona, zastygły w uwadze niby urzeczone.

Nie dziwota. Z uczePIONego pod pułapem wyrka stara Mądrzycha prawiała. Rzadko zabierała głos, a nigdy dla gadek uciesznych czy bajek. Jeśli raczyła przemawiać, to by z głębin niezmiernej swej wiedzy wyłonić tajemnice nieznane nieba i ziemi, prawa losami ludzkimi rządzące — słuchano więc jej niby Objawienia. Snujący się z dogasającego na polepie ognia dym otulał zasłuchane twarze, nim wsiąknął w poddasze. Na powleczonych ciemną patyną ścianach majaczyły malowane na szkle obrazy, przedstawiające zbójników i świętych. Siedząca na wyrku starucha z brązową, pomarszczoną twarzą widziała się poprzez zwoje dymu niby dawne bóstwo leśne, przywołana kędyś z mroków dziwobaba.

— ...Wzion ci Ponbócek dwie wielgoryby — prawiała sepleniąc bezzębnyimi wargami — złożył na krzyż, ziarko piasku rzucił i krzyżem świętym przeżegnał... Ziarko, Panabóckową ręką rzucone na wielgoryby, rosło ci, rosło, aze się rozrosło w ziemię. Kieby wielgachny kołac pływo se ziemicka po morzu i pływać będzie do skończenia świata...

— Jezusicku! Kieby kołac! — westchnęła w zdumieniu Jagniska.

— Bac, ze który studnie ryje, zawdy się wody dogrzebie... wsędy woda pod nami niebożętami je... Na Opatrzności Bożej cały świat wisi...

— Dunaje płynom po wierchu? — pisnęła pytająco Maryśka Kuziarów.

— Durnaś! Dunaj abo i jezioro je woda, co z góry padze, a z wierchu na spodek spływo... Zaś hań po górach są Morskie Oka, bezednie, duktem bez ziemie idące; tam kłodę rzuciwszy, na morzu płynącą na drugim końcu świata ją uwidzis... Kaj to spomne --- młódką sce beła --- lensowniki w Wielicce odwaliły strasescny kłópec soli; wielgi beł... Kaj się zwalił, dno przebił na durch. Bajnkujom lensowniki, bajnkujom, aze patrz! w dziurze wybitej woda kajsikiej spodem wartko płynie. Co widzący kacora wzienły, bandę mu złotą u syi uwiązały i do tej wody puściły... Kole Gdańska na morzu kacor z bandą wypłynął... haw go oryle złapały...

Słuchali z zapartym oddechem.

— Kiej ziemicka była całkiem nowa — prawiała dalej Mądrzycha — wsystko było strąśnie wielgie, mocarne a hyrne! Zyto kiej las, chojary kieby góry, a chłopcy jako tęgie bucki. A żyli półtora tysiąca roków abo i więcej... Teroz wsystko je mniejsze, a będzie jesce mniejsze... Na ostatek przyńdom takie śmiesne ludzie, co w naskich piecach młócać bedom...

Wybuchły ciche przyśmiechy.

— A słońce? — spytała nieśmiało Walerka. — Gadajom, ze corny baran na rogach je nosi...?

— Tako to prowda, jak kamień pływo — odparła z gniewem stara. — Słońce Ponbócek na niebie zawiesił, a świeci zorzą ze dworca Bożego z chóru siódmego idącą... Furtecka tam je uchylona... światło rychtyk jak wymierzył na słońce pado... Casem cort bestyja (przeżegnała się a z nią obecni) kapkę zaru z nieba skrodnie, to się słońce śćmi... A żywe je, z gębą i ocami, miód przasny jada kopyścią...

— Słysyta, ludzie? Laboga!!

— Gwiazdy zaś dwojakie som: jedne wiecyste, od stworzenia świata trwające, które na sądny dzień o ziemię prasnom na ament; drugie docesne, które z ciekim rodzom się i ginom... Kuzda dusa swoją ma...

Przeciagnęła się na kozuchu, którym wysłane miała legowisko, i odstawiła prząśnicę pod ścianę.

— Na! dosyciech gadała — mruknęła. — Prawcie sobie teroz gadki sami. Kiej Jantek wróci, niech tu przyńdzie ku mnie...

— Je Jantek...

Chłopiec tylko co wszedł i stał zasłuchany u progu.

— Reta! cóżeś taki zgrzany? — dziwiły się kowalówny.

— Wilk me gonił — odparł wymijająco.

— Chudzina! Zegnał się chrobak ze strach!...

— Wilki teraz goniom jak wiedzmy na świętą Łucyję... Zeby nie święty Mikołaj, zeżarłyby wszystko...

— Naisto! Pedoł stary Grynia, jako sam bacył świętego Mikołaja na wilku oklep se jadącego...

— Moja starka prawili, ze kiejś w wilka białego się zmienił i stado za sobą wiódl...

— Gadocie! święty nie wilkołak, coby się w wilka : przekocił! Z jamką pod pachą się rodził!

— Dyć w bieluśkiego kiej gołabek, ze zorza od niego sła...

— Jura od Kabzów wilkołakiem beł; to ino sie na wietku pokulnął dwa razy, odsib a k'sobie, a strząchnął, i już wilkiem prawym stał...

— Moiściewy!...

Po stojących pod ścianą żarnach Jantek wdrapał się na wyrko. Stara chwyciła go chciwie ręką za zanadrze.

— Mas?

— Mam!

Wśród gwaru, który zapanował w izbie, mogli gadać, jco chcieli, bezpiecznie.

— A nie dożrzał cię nikto? — pytała podejrzliwie, biorąc z lubością w rękę wysupłany zza pazuchy korzeń.

— Nikto a nikto. Dawajcie, starko, talara...

— A juści, tak spiechno? Moze łzes?

— Nie łzę, zeby me tu pieron spalił... zeby me ciężki smród pobił! Pokrzyk dobry je... Dejcie talara, babulu, cosikiej wam jesce powiem...

— Dam jutro...

— Dejcie zaroz... takech sie zgonił! A odmieńce to ino sapały za mną a chrobotwały po lesie... Myślołech, ze mi fba skręcom. Za kapotę chytały... Nikandy więcej nie pońde, kiej tak! — zakończył z determinacją.

— Mas, gadzie! — westchnęła wygrzebując, zza czarnej koszuli czerwony niegdyś węzełek, w którym chowała pieniądze. Srebnik błysnął poprzez dym. Schwycił go w rękę z radością.

— Teraz warna rzekę — wyciągnął się koło niej szepcząc w samo ucho: — Dziedzic z jakimsik Miemcem zwieźli wielgie skarby cichcem do lamusa... pod las jechali, bez drogi... co ino...

— Oddaj talara, zazraku!! — syknęła. — Gadałeś, że cię nikt nie bacył...

— Bo me nie bacyli... Sprawiedliwie! w gajum się skrył... By na mnie poźrali, ubiliby pewno... Miemiec ino na boki ziazał, cy kogo nie widno...

— Oho!... ho! — mruzczała zaciekawiona.

— Na śtyrych sanicach towar jakisik beł... Oni zasie spod towaru krzynie wytargali i do lamusa zanieśli.

— Krzynie?

— No, zielezne; kuzdą śtyrych chłopów niesło, a stękali! Dziedzic kluc Miemcowi dał, śnieg zamietli i pojechali...

— Pewnikiem wino — zauważyła sceptycznie.

— Bajić! Sam dziedzic prawił do Miemca, ze skarb... Co je skarb, babulu? Cheba złoto?

— Złoto, abo i drogie kamyski...

— Kamyski?

— No, zielone, cyrwoneńkie, modre, białe kiej miesiącek. Rozmańtę som... Widziała ja, kiej me do starościny, co słabowała, wołali... Cniło się pani w łozu, to se krzyneckę na kolanach trzymała a one kamyski w parstach przegarniała... Blask kieby od słońca sedł... Za takie kamyski, co chces, dostanies... Panem mozes być... Bogacem...

— Reta! Reta!

— Łebo kamyski, łebo złoto, a łebo i śrybło... Śrybło tez je dobre... Kajsikiej, będzie z kopa roków, Dudów Jambrozy i Wardęgów Tomek juhasowali na wierchu. A beł tam kamień, wielgi, płaski. Ogień na nim zrobili... Palom se, grzejący, choi dokładajom, az tu — bac! cosikiej świecące ciurko spod kamienia! Skoczył Dudów, parsty wraził: spiekło mu ze wszystkim. Śrybło!... Widno zbójniki kajsikiej pod kamień dały, ogień przypiekł i stopiło sie... Dwa setne obejścia wystawiły se za te zuzelki... Hej! — dokończyła w zamyśleniu.

Łuczywo, zatknięte w szparę przy oknie, zagasło, a gospodyni nie wetknęła nowego, bo prządki już wychodziły.

Ostatnie pasma dymu krążyły z wolna po izbie. Miesiąc przeświecał przez grube błony okienka niby przez gęsty, zielonawy lód.

Jantek zesunął się z wyrka na ziemię i legł pod ławą, gdzie sypiał. Odruchowo zmacał w zanadrzu talara i równocześnie skrzywił się z niechęcią. Co ten jeden talar wart? Wielu znaczy! Cztery skrzynie złota, srebra i drogich kamysków!... To je skarb! — Wciągnął kapotę na głowę, bo od drzwi ciągnęło, i zasnął.

**Z**aczęły się dla Jantka Grzybowego ciężkie dni. Złoto świetliste, żółte jak płomień gromnicy, migotało nieustannie przed niezdolnymi zapomnieć o nim oczami. Jarzyło się, gdy patrzył w ciemną toń przerebli, rychło ukazać mającej sunące serce niewodu garnącego. Może skarb?... Śnieg na gałęziach lśnił jak więź klejnotów, zamkniętych w skrzynce chorej starościny... Czworokątna czarna tafla, chlupocząca pod obojętnym pułapem lodowym, stawała się wnętrzem lamusa, kryjącym dziwy nieznane. Z dała, na swobodnej wodzie, słońce kładło pas złocisty, drgający, kuszący, nęcący jak ukryte w skrzyniach skarby.

— Jantek, gapo! Dziwaj się! Matnia już podchodzi!

Przebudzony, ciągnął ku sobie sznur zachłannie, uważnie, jak gdyby niewód miał

wynieść złoto z głębiny. Z cierpkim rozczarowaniem patrzył na bogaty połów okoni, leszczów, karp i szczupaków.

Złoto, zwiezione przed kilkoma niedzielami do lamusa za sadem, błyskało żywe wśród słomy, którą ścielił żróbkom, mąciło wzrok, gdy rozkrywał kopce z rzepą, migotało nawet w ospie sypanej do koryta maciorze. Świadomość o skarbie ukrytym pędziła z miejsca na miejsce, wyzierała z misy polewki, z serwatki mąką zaklepanej; stała za drzwiami, za oknem, czekała na barłogu pod ławą, szeptała dziwną o sobie opowieść zasypiającemu i budzącemu się rano. Chodził niby urzeczony, urzeczonym nie będąc. A najgorzej ciążyło mu, że nikt jego udręki nie dzielił. Babka zakazała surowo nie tylko mówić, lecz nawet myśleć o skrzyniach w lamusie. Nikt w całej Wrocimrowej nie wiedział o tajemnicy, tylko on i dziedzic (Niemiec pobyl z tydzień we dworze i gdzieś ze swymi ludźmi wyjechał). Jeno dziedzicowi świadomość o skarbie nie zdawała się ciążyć bynajmniej. Spode łba, ukradkiem, lecz bacznie wpatrywał się w niego Jantek, gdy pan Wiszowaty, chodząc po podwórzu, strofował parobków, daremnie usiłując łagodnemu głosowi nadać groźne tony, a niebieskimi oczami błędził nad dachem obory z tym samym co zwykle roztargnieniem. Znać było, że nie podlegał żadnej a żadnej turbacji. Nie był skłopotany niczym. Skrzętna a krzykliwa dziedziczka kręciła się zwyczajnie po gospodarstwie, szturchała dziewczki i wymyślała jak zwykle, z włoska po polsku, pachółków. Oboje z mężem zaglądali do sadu, zarządzając wczesne wybielenie drzew; przechodzili koło lamusa — ani nań spojrzawszy! W zawartym wnętrzu, w ochronnej skorupie żelaza, migotało, tęczyło, jarzyło się złoto, błyskały drogie kamienie — a oni mijali mury obojętnie, gadając o nadchodzących robotach wiosennych. Dnie budne, robocze, przetykane świątecznymi, szły zwykłą, swoją koleją, niby paciorki różańca, żadnej odmiany nie przynoszące, jednakie jak łoni, jednakie jak w zaprzeszłe lata. Nikt a nikt nie wiedział, nie trapił się straszliwą, choć cudowną obecnością skarbu oprócz Grzybowego Jantka.

**K**ieby tak zbójów sprowadzić! — zagadnął raz babkę półgłosem.

— Durnyś! Cichaj! — skrzeknęła przerażona, ukazując mu podobną do zeszcłego grzyba pięść. — Co ci we łbie? Zbójce złoto rade wezmom i w" wierchy ujdom, a ciebie pan katu odda... Ostaw to, bo pierwsa panu rzekę, by cię do gąsiora zawrzył... Biedę na wszystkich chces sprowadzić, ty chacharze!...

Umilkł, ale myśl powzięta w zuchwałej, ciekawej głowie kiełkowała wytrwale, uparcie. Zbójniczkom pedziałyby, że o skarbie wie, jeno nie rzeknie, kaj on, aż mu harnasiowe, zbójnicke słowo dadzą, że jedna skrzynia dla niego. Juźci przystaną. Katu go nie dadzą, bo czekać nie będzie, jeno ze skarbem w świat pójdzie czy ze zbójami na wierchy... W świat lepiej... I Czymże tam będzie? Panem? Rycerzem? Bogaczem?... Nie umiał sobie tego uprzytomnić, lecz słowo „świat" skrzyło się w myślach chłopaka równie tęczowo jak skarb, mieniło się jak pióro pawie.

Zamysł, tak prosty pozornie, palił podeszwy pragnieniem rychłego biegu ku urzeczywistnieniu. Jeno gdzie znaleźć zbójniczków? Wiadome było powszechnie, że sam wielki harnaś Kwoczka zimuje zazwyczaj w Pieninach, w Zamku Świętej Kingi. Przenigdy tam Jantek nie trafi, nie zajdzie! Pieniny! Stary Hołeksa, tracz, za młodu na zbój chodzący, prawil nieraz o tych gróniach groźnych a przepastnych, jakoby mieczem rozciętych na poły, a tak stromych, że ptak nawet lęka się pojrzeć w dł z wierchu. O innych bandach, pomniejszych, brakło wiadomości, a Niemiec mógł lada dzień wrócić i skarby wywieźć, jak przywiózł!

Szczerniały z frasunku, z otwartą gapiowato w zamyśleniu gębą — Jantek ciągnął z dołu piłę, którą rozkraczony na wysokim koźle Hołeksa prowadził równo, jak pod sznur, wzdłuż bala przerzynanego na cieniutkie deski. Delikatny obłok trocin, lśnił się złociście w słońcu,

rozdmuchiwany każdym pociągnięciem piły, osiadał na głowie i na ramionach chłopca. Pod nogami szeleściły atlasowe wstęgi wiórów. Jak bursztyn ciemny, bezcenny, błyskała na nich żywica. Jawny urok! — wszędy to! złoto i złoto! Byś chciał o nim zapomnieć, nie mogłeś!...

— Witajcie z Ponjezusem! — zabrzmiał głos za nimi.

— Witajcie! — odparł skwapliwie Hołeksa. Puścił piłę i zsunął się z kozła na ziemię.

Jantek obejrzał się żywo. Jakisik nieznajomy bacza z gór pozdrawiał ceremonialnie starego, za czym usiedli pobok siebie na kłodzie, gadając. Nie z tych stron widział się bacza. Czerwony, kowany pas błyszczał spod wywróconego włosem do wierzchu serdaka. Za pasem był krzywy nóż o rękojeści zakończonej trzema mosiężnymi kulkami. W miedzianej, suchej twarzy białe zębce błyskały ku przechodzącym dziewczuchom, lubo a srogo zarazem, gdy oczy pozostawały wzgardliwe, obojętne i dalekie. Wnet też po dziedzińcu poszedł rumur, że to zbój. Zbiegły się parobki i dziewczki z całego obejścia, spoglądając nań z daleka z podziwem i ciekawością. Przybyły nie zważał na to, przyjacielsko z Hołeksa ugwarzając.

— W Pieniny idom? — pytał stary tracz.

— Ni, na Modyń, haw zimujem... Do grodu chodziłek po sól.

— Hale! Na Modyniu! Tak blisko?

Bacza zniżył głos odpowiadając coś żywo, trząśł przy tym głową i ramionami szydliwie.

— Ostańcie z Panem Bogiem! — zakończył powstając; machnął ciupagą i poszedł.

Hołeksa westchnął patrząc za odchodzącym. Wdrapał się stękając na kozioł i ujął za piłę.

— Jantek! Kajżeś ty, zarazo? Jantka nie było.

Mrucząc w gniewie stary spuścił nogi z kozła i czekał cierpliwie. Mógł czekać długo, bo chłopiec, wyrwawszy się wcześniej z dziedzińca niepostrzeżenie, biegł teraz w tropy za zbójcem.

**P**łomień wielkiego niby stos ogniska strzelał, buzując i trzeszcząc wysoko aż ku szczytom drzew. W czerwonym, zmiennym jego blasku rozcapierzone, rozchwiane jodły ukazywały się, to znów niknęły wchłonięte głębiną ciemni. Dziwaczniejszy jeszcze od nich samych cień kładł się z tyłu na urwistej skale i białych płaciznach śniegu. Jaskrawe dłonie światła wydobywały z mroku postaci kilkunastu zbójów leżących wokoło ognia na suchej podścieli z łabuzia — oświetlały ostro twarze. We wnętrzu tworzącym niby niszę w skalnej ścianie, tuż poza ogniem, w pełnym jego blasku, rozciągnięta na skórze niedźwiedziej leżała dziewczka w sukni ze złotej lamy, w czerwonej, złotem szytej katance poczwórnym rzędzie dukatów, zwisających aż na piersi. Dzwoniły, skrzyły się, migaly za każdym ruchem. Giętka jej postać barwy migotliwego płomienia, widziana poprzez płomień, zdała się być nie żywym człowiekiem, lecz salamandrą czy innym stworem z zarzewia, w ogniu zrodzonym, w ogniu bytującym i ginącym razem z nim... Olbrzymiego wzrostu, zwalistej kłodzie podobny, harnaś Kwoczka leżał nie opodal dziewczki. Milczeli wszyscy, tylko Stachura młodszy trącał niemrawo w gęśliki.

...Hej, zabielały góry, hej, zasumiały wiatry...

— doleciało nagle z dołu.

— Neściorak wraca — zwuważył Hadryga Wojtek.

...Śnieżek polatuje — osędziały Tatry...

— kończył śpiewający wynurzając się z cienia. Pozdrowił harnasia, a widząc, że już wieszczali, spojrział markotnie, zali mu co ostawiono.

— Je haw dobry stuk barana — uspokoił go Stachura młodszy ukazując głową kotlik.

— Macie dla mnie, co kazałam? — zapytała dziewczka ostro.

— Co byk miał nie mieć — mruknął zbój z niechęcią.

— Od Swarcychy?

— No, od wiedźmy, cyganichy — przytwierdził. Wydostał z zanadru płaski węzełek i podał dziewczynie, po czym przeżegnał się ostrożnie i splunął dwa razy przez ogień.

Rozwinęła skwapliwie. Pozawijane ciasno w szmatki, były tam jakieś proszki, zioła, maści, róż do policzków, bielidło, lusterko stalowe, grzebyk kościany, złote czółko i inne drobiazgi białogłowom zwyczajnie ulubione, do upiększania lub czarów służące... Po drugiej stronie ogniska Neściorak zając opowiadał towarzyszom nowiny ze spodku, unosząc się nad bogactwem i dufnością kupców bardyjowskich, do Sącza zjeżdżających z towarami.

— Nie po naskim ślaku — westchnął.

— Kasperka na nich nie ma... hej!

— Hej, nie ma! Hyrny był chłop!

Zamilkli słuchając wiatru, który, obudzony, tłukł się poniżej wśród boru.

— Gadajom, ze kiej wiatr z nagła zaduje, Kasperek jeździ po lesie...

— Spominali my go, to może i jedzie...

— Ba! Jedzie na białym koniu, głowiszę obciętą pod pachą trzyma — jeno nie z tym wiatrem, a z węgierskim... Widziały go nieraz ludzie... Kasperek... Kasperek!... Cysorz trzy tysiącki dukatów za żywego obiecawał...

— Za głowę Bebkowi dwa tysiącki wypłacili?...

— Za żywego trzy, za głowickę dwa... Póki żył, ledwochskie, bardyjowskie a kosyckie rusyć się na krok z grodu nie śmiały.

— I Kuba Mądralów mocarny był zbój! Tyz go zdradą zmogły jako i Kasperka...

— A J□ek z Jaworowego? Sam cysarski pułk roztrzepał...

— Ba! Ba!... Na siubienicy w Milkulsku zgnił...

Milkulas, Milkulas, milkulaskie mostki;  
Tam się rozsypujom dobrych chłopców kostki!

— zaśpiewał Stachura starszy. Coraz gwałtowniej tętniący przywłóczył mu wiatr.

— Spominajom, spominajom... Jesce nadlecom — zauważył niespokojnie Wojtek oglądając się na las.

— By tez nadleciały, przy ogniu się pogrzać... Wiecne odpocnienie daj im tez. Boże, ament — odparł z powagą Neściorak.

— Ament — powtórzyli chórem.

— Cysarskie jesce i teraz o Kasperku śpiewajom, jeno po ichniemu...

— Śpiewają — potwierdziła nagle milcząca dotąd dziewczyna — nieraz słyszałam:

Kasperek, der Kauffang,  
Fangt er nicht, raubt er nicht,  
So ist er krank.

Słuchali uważnie, nie rozumiejąc ni słowa.

— Kiebyście to nam przełożyli? — zauważył harnaś nieśmiało.

Przetłumaczyła łaskawie, choć z pogardliwą wyższością, z jaką przemawiała zawsze do „durnych chłopów”. Sama była grabianką, Jadwiszką Paryshazówną, której ucieczka z ojcowego kasztelu, z młynarczykiem, poruszyła niedawno całe Węgry i Podgórze. Dlaczego zbiegła? Nie wie. Snadź stojące czasu jej urodzin przy łożnicy grabini-matki wróżki rodzenice odeszły nie zaspokojone, nierade z podarków a obiaty i w złości rzuciły urok na niemowlę — bo w dziewczce, gdy wzrosła, krew się tłukła niespokojna, kipiąca, dzika, przymusu ni tamy nie znająca. Z komnat złocistych, od swatów księżących poniosło ją jakieś złe w wierchy, ku zbójom, z którymi rada się stowarzyszyła, panią i przodowniczką ich się stając, miast, jak przystoi, w komnacie barwnym jedwabiem snuć krosna. Jeszcze łośńskiego roku, zbrzydźszy sobie lnianowłosego młynarczyka Ładysława, podszčuła harnasia Kwoczka, by mu kazał przez Dunajec, w miejscu zwanym „Zbójcecki skok”, jako innym hycać. Za czym, wzięwszy się pod boki, stała patrząc, gdy błady jak giezło chłopiec odbił się na długiej żerdzi, nie doskoczył skały, runął w głębinę warcząca, chlupiąca. Wychynał na wierch na mgnienie, cosik krzyknął i poniosła go fala rozbić o Facimiech. Śmiały się zbóje, aż echo grało o Mnichy — śmiała się do łez grabianka. Odtąd była kochanicą samego harnasia, a właściwie panią jego srogą, posłuch okrutny mającą. Chytra była i przebiegła. Prostacków, umiejących jeno skoczyć z toporkami ze skały na przejeżdżających kupców, uczyła zmyślnych zasadzek. Nieraz, przebrana za Cyganekę, chodziła na wywiady, wróżąc. Doradzała bogatym mieszczanom węgierskim tą drogą jechać, nie inną. Kwoczka był ciemny i głupi, słuchał jej ślepo, choć przykrą mu była, o byle co bijąc po gębie wąską, białą ręką. Lękał się równie jej rozumu i niewątpliwych czarów, jak żaru nigdy nie sytego i pieszczot drapieżnych, kocich. Lękali się jej zresztą równie wszyscy zbóje. Kazała się nosić w złocistej, panom Szalomonom z węgierskiej strony zrabowanej lektyce — lecz gdy trza było, śmigała pierwsza jak dzika kozica poprzez niedostępne wierchy. Teraz, leżąc przy ogniu na niedźwiedziej skórze, wśród zadumanych spominkami zbójów, podniosła naraz żywo głowę.

— Idzie ktoś — rzekła.

Neściorak przyłożył smolnych gałęzi do przygasłego ogniska, nasłuchując bacznie.

— Duk pewnikiem — zauważył Hadryga — na telo o nich gadania...

— Głupiś! — rzuciła. — Nie duch, ale człowiek...

Teraz usłyszeli wszyscy ostrożne, nieśmiałe stąpanie.

— Gdo idzie? — zagrzmiął groźnie harnaś Kwoczka.

— Ja — pisnął wpłdziecinny głos.

Jantek Grzyb □ wychylił z zarośli swą pucolowatą twarz. Przydługa ojцова kapota utyłłana była w śniegu, on sam zaś wielce, mimo przyrodzonej fantazji, spłoszony.

— Ki cort przyniósł tego dólskiego zazraka? — roześmiał się harnaś. — Co kces?

Chłopiec przestępywał z nogi na nogę, mnąc niepewnie czapkę w rękę.

— Ja z Wrocimirowej przysedłem za tym wielmożnym panockiem — ukazał głową Neścioraka. — Cosikiej mam rzec...

— Gadaj, ino wartko...

— Jeśnie wielmożny panie hetmanie dziedzicu, znam miesce, gdzie jakisik Miemieć skrył śtyry krzynie samego śrybła, złota i drogich kamysków... Krzynie zielezne, wielgie — wyrzucił jednym tchem.

— Kaj? — spytał obojętnie Kwoczka.

Jantkowi zaschło w gardle. Zebrał rozpierzchlą odwagę oburącz.

— To rzekę jaśnie wielmośnemu panu hetmanowi, kiej mi obiecąjom, ze ćwierć będzie la mnie.

— Co? — poderwał się hetman. — Ty durny łochu, kotłoku! Gadaj, świniopasie, a skoro!



Na węgliki go, chłopcy, posadzić!... Gadaj!

— Gadam! — ryknął płaczem chłopak, bo zbóje już go chwytaly pod pachy, a ogień był tuż.

— "We Wrocimirowej, u pana Wiszowatego, we starym lamusie, co w sadzie...

— Puścić go! — rozkazał harnaś.

Zaległa na chwilę cisza, przerywana tylko żalonym chlipaniem Jantkowym.

— Oj, prawdę mówili starka! Sprawiedliwą prawdę! Trza było słuchać i nie iść!... Zbóje wsyćko sobie wezmom... O Jezusicku! O Jezu!

— Nie bud... Ze sto talarów dam ci za nowinę — rzucił uspokajająco Kwoczka.

Jadwiszka Paryshazówna, grabianka, uniosła się leniwo na łokciu.

— Co ty gadasz? — syknęła gniewnie. — Za co sto talarów? Ja powiadam: łeb skrócić temu niepościwemu chłopcu, co przychodzi spokojnych zbójniczków do napadu na ślachecki dom namawiać...

— Ano, ano — przyznał Kwoczka bez przekonania, lecz zezwalające

Skinęła ręką. Wojtek Hadryga i Stachura młodszy podeszli ku chłopcu niechętnie.

Ale Jantek miał się na bacności, odkąd jeno zaczęła mówić kładąc na nim swe piękne, okrutne oczy gadziny. Porwał się, uskoczył, zbiegł. Pobiegli za nim i byliby dogнали dólskiego niezdarę, gdyby potknąwszy się w ciemni, nie runął w głęboką, śniegiem wysłaną skałubę. Przelecieli mimo, niezbyt go ta, co prawda, szukając. On zaś leżał w dziurze bez tchu do rana, a nad ranem wymknął się niepostrzeżony i wrócił półżywy ze strachu do domu. Tam ekonom sprzął go rzetelnie bizunem, że roboty bez opowiedzenia się odbieżał i dwa dni kajś zmitrężył; stary Hołeksza dołożył, a w chałupie ojciec Grzyb poprawili jeszcze lepiej rzemiennym, przylepny pasem. Snadź z tego strachu i bicia odleciał Jantka zatracony urok. Jak ręką odjął — odeszła go chęć skarbów i ciekawość do nich.

**Z**a to na szczycie Modyniu, przy podsycanym wciąż ogniu, do rana trwały narady i spory nad zasłyszana od Jantka nowiną. Harnaś, rozważywszy dobrze całą sprawę, orzekł, że nie myśli iść. Dobre złoto, lecz swoboda i głowy na karku milsze. Niedawno w Bieczu, na całą Rzeczpospolitą zwanym „akademią katów”, stracono dwudziestu dobrych chłopców, bo stumanieni, szlachecki poczet napadli... Hej! Insza rzecz szarpać Węgrzynów czy kupce, o które nikt bardzo nie stoi — a inna szlachecki dwór! Huczek by był w całym województwie!...

— Dyc sprawiedliwie gadajom — przytwierdzał Neściorak.

Lecz grabianka innego była zdania. Nawyzywawszy ich od tchórzów, bab i niedoługów, parła koniecznie, aby iść zabrać skarb. Cztery skrzynie złota! Pomyśleć ino!

— Weźmiewa, zbudujewa sobie kasztel lepszy od Czorsztyna...

— Hale?! — zbóje rozwarli gęby, oniemieli z dziwu.

Podobna myśl nie mieściła się w ich głowach. Czorsztyń! Wielu razy ciągnąc tamtędy, obejmowali chciwymi oczami niezdobytą twierdzę, której dolne piętra kute były w samym wnętrzu góry żywej, zaś górne wznosiły się hardo iglicami wież. Nie wiedzieć, gdzie kończyła się skała, a zaczynał mur. Jeno głodem mogłeś ten kasztel zdobyć albo zdradą. Wielu razy, wpatrzeni w owo orle gniazdo, wspominali szczęśliwych rycerzy-zbójników, Słupeckiego i Rogale, co przed dwustu laty zawładnęli zamkiem i panowali dolinie. Lecz zuchwałę pomysł Jadwiszki przechodziły ich pojęcie. Wybudować inszy zamek! Nie jednej to nocki robota!!

— Nie będziecie murować sami — tłumaczyła pogardliwie. — Najdziem takiego, co dla nas zbuduje. Za pieniądze wszystko można. — I zmrużywszy piękne oczy, marzyła w głos dalej:

— Wybudują nad Popradem, bo tam trakt bogatszy, kasztel niedostępny jak szczyt Czerteziku, wyniosły jak czuby Trzech Koron... Blisko granicy węgierskiej. Będą tam sobie panować na przekór grabi jegomości, panu ojcu...

Widziała się już kasztelanką we własnym zbójnickim zamku. Boć co prawda, mimo lektyki, futer i kobierców, dokuczyło już jej zimowe obozowanie po górach.

Gdy Kwoczka trząśł uparcie byczym łbem, nierad zaczepiać szlachty i zwracać na się uwagi starosty, skoczyła mu z gniewem do oczu, jak dzika kocica. Po krótkiej sprzeczce ustąpił.

— Nie zabacom nam bez wiek! — westchnął. — Uciekać trza będzie w Tatry czy Orawę...

— Głupiś! — sarknęła. — Ostaw mnie to wszystko... Tak zrobim, że nikt nie uzna, kto wziął...

Kiwał głową, nie przekonany. Lecz młodszym chłopakom oczy się skrzyły do zamierzonej wyprawy. Uradzono posłać zaraz Stachurę młodszego ku Litaczowi, do Puszczy Świętego Swirada, by oko na Wrocimirową miał i wszystko donosił, a samym porą sposobną wyruszyć.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

### GWAŁT BISKUPI

**W** dużej, sklepionej komnacie para buchająca z czupryn przesłaniała jarzące się w lichtarzach świece. Cała prawie szlachta sądecka, zebrana na starościńskim zamku, słuchała uważnie wywodów pana Męcińskiego, który, jako delegat przez wojewodę krakowskiego Mikołaja Zebrzydowskiego przysłany, do akcesu ku konfederacji proszowickiej panów braci wzywał.

Nie pierwsze to były podobne obrady, namowy. Od dłuższego już czasu w całej Rzeczypospolitej burzyło się jak w kadzi z jęczmiennym słodem. Wszędy roztrząsano ciężkie grawamina przeciwko królowi, bolejąc nad nieudolnością i bezrządem rządów. Nic też nowego nie obwieszczał pan Męciński prawiąc podniesionym głosem:

— Trybuty nowe, niepowinne, nakłada, a grosz ten marnuje! Kwarty, podatki, prowizje wniwecz na alchemią i zabawy obracając, wojsko do zguby przywodzi! Swawolić musi żołnierz nie opłacony, głodny... Swoboda wyznań dawno w zapomnienie poszła... Naród ścierpieć nie może Rakuszanów, on przedsię przeciw woli całej Rzeczypospolitej złączył się z nimi po wtóre! Granice nie obronione, zamki w ruinę popadły, nieprzyjaciel pładruje, jako chce! Sam wojnę ze Szwedem wszczął, a teraz o zakończenie jej nie stoi! Tatarzyn jasyr w Rzeczypospolitej wybiera niby u siebie: rychło patrzeć, jak się pod Kraków zapędzi... W tych wszystkich angariach

naszych, opresjach praw i wolności, dość już jeno skarżyć się a płakać! Niewiela lament przyczyni! Nie Iza dłużej cierpieć, miłościwi panowie bracia!...

— Cóż waćpanowie chcecie uczynić? — zapytał starosta, pan Ligęza.

— Co czynić? Dłaboga! Gdy nam schodzi na regimencie królewskim, na zdrowej radzie panów senatorów, których on sobie *pro arbitrio* zebrał i nasadził — najdziemy ratunek sami! Zbrojną naprawę żalosnego stanu Rzeczypospolitej przeprowadzimy!

— Zbrojną naprawę, waść mówisz?

— Wycisnęły tę decyzję opłakane aktualne czasy, gwałt prawa pospolitego *et importunitas dominatus* niesmacznego. *Nihil temere factum, quoniam ratio humana docet...*

— Sroga decyzja, mospanie — przerwał powątpiewająco starosta.

— Nie powzięlim my jej lekko — zapewniał orator. — Ninie zaś wojewoda krakowski prosi łaskawych waszmościów o zjechać do Stężyc na dziewiąty Apryla, celem zgodnego omówienia onej akcji... Zjechać trza zbrojno a liczno... Cała Małopolska tam stanie...

— Do Braci Polskiej waszmość mówisz — zauważył starszy Jordan — których wiara użycie broni potępia...

— Są terminy, w których trza dobro publiczne salwować, takowe mentalne *impedimenta* odsuwając...

— Czekajmy, co Sejm uradzi — proponował rozważnie Rogowski.

— Sejm nic nie uradzi — zakrzyknął Męciński. — Rozejdzie się albo już rozszedł! Nasi posłowie podali Szwedowi od izby zarzuty na piśmie spisane. Dwadzieścia i trzy było punktów, choć wiele zmilczano... Cóż z tego? Przał się ze wszystkich po swojemu, naprawy żadnej nie chcąc obiecywać...

— Przecie jedyna to droga...

— Nie z nim! A dziw, jako Sigismundus dokuczył już wszystkim! Nie było króla równie od narodu nie cierpianego... Niedawno przejeżdżającemu w oczy krzyknął jeden szlachcic: *Fatalis tu es rex! fatale imperium!* — zaś pospółstwo wkoło przywtórzyło. *Praw! Fatalis rex!...* Nie masz dnia bez paskwilusów nowych, podrzucanych na zamek, które zbierać i spamiętać byłoby trudno... „Sława nasza zdeptana za twym panowaniem — powiadają — rządysz wkoło królestwem, a tyś cieniem na nim... Za panowania twego wszystko złe się dzieje — wojny, głody, rozterki, aż serce truchleje” — deklamował z patosem delegat.

— Nikt negować waści nie będzie, a już najmniej tutejsza społeczność, najżałośniejsze syny Rzeczypospolitej, poniewierane, prześmiewane a dręczone za swą wiarę, reprezentująca — rzekł z wielką powagą starosta. — Przecie wspomnę, waści, iż gdy łośkiego roku książę Ostrogski chciał Rakuszance zbrojnie wstępu do Rzeczypospolitej wzbronić, kanclerz na łożu śmiertelnym leżący odradził imprezę, powiadając: Wiem ja, jako łatwo mnóstwo podburzać, lecz znam oraz, jak trudno raz pokuszone utrzymać... To były prawie ostatnie jego słowa *de publicis*. Święte słowa...

— Ba, ba, gdyby kanclerz żył — westchnął pan Taszycki.

— Gdyby kanclerz żył — podchwycił pan Ligęza — sam bym pierwszy akces do konfederacji zgłosił... Nie masz go... Kto będzie głową?

— Owa! Mało to głów w Rzeczypospolitej! — wykrzyknął zwolennik konfederacji, pan Maciej Drużyna.

— Za wiele może — mruknął pod nosem Hermolaus Pielsz.

— Głów siła, ale kanclerzowa była jedna...

— Kto powiedzie? — powtórzył starosta. — Hetmani jużci przeciw powinności żołnierskiej nie pójda...

— Wojewoda krakowski powiedzie — odparł porywczo Męciński. — Na hetmana

polnego liczy owszem, jako na dziewierza i swobód szczerego obrońcę. W Wielkopolsce zaś animuje opozycję Smogulecki, na Litwie księżę Radziwiłł...

— Ot i trzech, a trza jednego...

— Wojewoda krakowski zacny pan, przecie nie z przekonania, jeno z prywaty o kamienicę i starostwo grodeckie przeciw królowi występujący. Nie wódz to... W Proszowicach chorego udał i niby pod przymusem dopiero na trzeci dzień zjechał... by *responsibilitas* na nim nie ciążyła...

— Najdziem wodza, byle siła szabli się zebrało.

— Ja daję wotum za konfederacją! — zawołał stanowczo pan Drużyna. — Coraz nieźnośniej zewsząd nas, chudziaków, uciskają... Rok temu narzekali my, że gorze niespokojniczkom w Rzeczpospolitej, a dziś trza wspominać one czasy jako błogie! Gwałt po gwałcie! Jeśli się bronić nie będziem, przepadniem!

--- Ja daję wotum przeciw --- rzekł Sebastian Pielsz powstając. — Waszmościowie! Użycie miecza bardziej szkodzi temu, co go wyciągnął z pochwy, niżli któren legł od niego... Dobra sprawa bije bez oręża...

— Waść chcesz czekać, aż nam jezuita dachy nad głową podpała! — huknął pan Drużyna.

— Daleko jeszcze takowych terminów, a dom szlachcica zawdy *inviolatus*...

— Gadaj zdrów! Niczego człek nie jest pewien! Ot, jak w Męcynie! Kościół, z niemłym trudem przez nas okupowany, znów w katolickich jest rękach! Wstyd powiedzieć! Sam Krzesz, odstępcza przebrzydły, ministra przegnał, a księdza nazad sprowadził...

— Prywatne to sprawy pana Krzeszowe, nic do poruszanych materii nie mające...

— Każdą rzecz można na opak wywrócić — skrzywił się pan Drużyna. — Podobnie może waść powiesz, iż nie było gwałtem, gdy mnie wiedźma papieżnicka z domu niby psa wyгнаła?

— Gwałt był, wszakże nie lza na nim tak ciężkiej decyzji, wierze przeciwnej, opierać...

— Oho, ho! Odkąd on się stał taki ortator? — burknął z przekąsem pan Maciej.

Stryj Hermolaus zamrugnął oczami wesoło. Lecz starosta poparł gorąco Sebastianowe wywody.

— Bywa lekarstwo gorsze od słabości — mówił. — Wojewoda krakowski widzi mi się (wybacz waćpan) takim być medykiem... Własneż prawa mamy gwałcić? Zła to wojna, gdzie się pana poddani nie boją... Na oba boki wybrusowany miecz: dziś my przeciw Zygmunтови, jutro insze przeciw nowemu elektowi...

— Batoremu... — odpowiedział pan Jordan z Mielsztyna.

— *Vivat Batory Gabriel, rex* — huknięto wkoło.

Męciński wskoczył na ławę.

— Za pozwoleniem, waszmościowie! — krzyknął czerwieniejąc z gniewu. — Nie trza podobnych okrzyków! Batory kandydatem oponentów nie jest!

— Jest!

— Swój człowiek! Chrystianin! Nasz!

— *Vivat Batory!*

— Panowie! Będziem nad tym radzić, kiedy przyjdzie pora! Są kandydaty korzystniejsze. Sami je uznacie...

— Pewnie katolickie... Nie uznamy! *Vivat Batory!* i Nagły, przeraźliwy krzyk przerwał na burzliwe flukta wchodzące obrady. Świętobliwy patriarcha Socynus wtargnął do komnaty, krzycząc wniebogłoso cienkim, iście babskim głosem.

Otoczyli go wszyscy, strwożeni.

— Wasza Doskonałość! — Co się stało? Ogień?  
— Chrystianie! Kto żyw, ratuj! — jęczał prorok szarpiąc brodę. — Na pomoc, bracia! Na pomoc!

— Komu? Mówże waść, na Boga?  
— Wiszowatych mordują, rzną biją! Jezu Nazareński! Już pewno pobite! — wołał nieprzytomnie.

Starosta Ligęza ciągnął go za ramię.

— Kto morduje? Gdzie? Kto mówił?...

— We Wrocimirowej... Pacholek zbieżał... Tu jest... Pobili... Z wieczora, ino się śmiło, napadli — szlochał bezsilnie Socynus upadły na fotel. Rysy jego straciły zwykły wyraz dostojnej, choć cokolwiek lisiej powagi. Łkał, strwożony nieszczęściem córki i wnuków, jedynych istot, które kochał na ziemi prawdziwie.

— Na koń, panowie! Co żywo! — komenderował starosta. — Ja wnet za wami nadbiegnę, jeno drabantów pościagam...

Pieliszowie, starszy i młodszy, pięciu Taszyckich, trzech Błońskich, Jordanowie, Drużyna, Rogowski i inni siedzieli już na koniach, ruszając w skok ku Wrocimirowej.

Noc była jasna, miesięczna. Sadząc kupą, rozprawiali żywo, co by to mógł być za napad.

— Trza było samym pacholka wypytać...

— Szkoda czasu; dowiemy się lepiej na miejscu...

— Nie zajazd przecie somsziedzki?

— Uchowaj Boże! Wiszowaty słodki człek! Z nikim zwady nigdy nie miał...

— Ani nie zbóje; bo czego by tam szukały?

— Juźci, że nie.

— Suponuję papieżnicka intrygę...

— Waść wszędy papieżników widzisz.

— Bom sam gwałtu nad sobą doświadczył — dowodził pan Maciej. — Jeno nie wiem, czemu, gdy tu kupą jedziem, a sam starosta ze zbrojnymi za nami wali, za mną chudziakiem w podobnej opresji będącym nikt się nie ujął ani na pomoc nie śpieszył...

— Nie gadaj, waszmość, tu pono na gardle im siedzą...

— Mnie też byłaby ona jędza rada utrupiła, jeno żem placu ustąpił... Jak me huknęła bez łeb, tom dziesięć świeczek obaczył... Tak to, tak! Są we zborze jedne tańsze, jedne droższe — zalił się gorzko. Lecz nikt go nie słuchał, bo dojeżdżali do Wrocimirowej.

Dziedziniec był pusty i cichy. Drzwi dworu czerniały wywarte. Weszli do sieni. Pusta była również. Słaby jęk doleciał z izby sąsiedniej. Związany mocno postronkami, z ustami zatkanymi szmatą, leżał tam pan Wiszowaty, na wpół zduszony, typiąc łagodnymi, niebieskimi oczami z bolesnym zdziwieniem. Gdy jedni rozwiązywali go ostrożnie, drudzy w przyległym alkierzu cucili równie skrepowaną jego małżonkę. Dzieci szlochały, zawarte w ciemnej bokówce, przerażone. Szafarka ledwo zipała, zduszona pierzyną. Służby nie było ni znaku — rozbiegła się w trwodze po domach. Dwór nie był zrujnowany ni też ograbiony.

— Boga dzięki nikt nie zabił — odetchnął z ulgą pan Taszycki senior. — Trza Socynowi co rychlej dać znać, bo stary tam ledwo z żałości żyw...

— Kto tu był? Po co? Czego chciał? — pytali natarczywie inni.

Pan Wiszowaty chciał — na znak, że nie wie — wzruszyć ramionami, lecz jęknął tylko, bo były srodze od postronków obolałe.

Panią Wiszowatą odeszły już nieco mgłości, więc tuląc splekane dzieci jęła opowiadać wszystko, z włoską wehemicją, o zajściu. Nie wiedzą zgoła, kto ich napadł ani po co... Wieczerali właśnie, gdy z wrzaskiem srogim wpadło z dziesięciu zbirów wywalając drzwi.

Wiązali ich, noże przykładając do gardła, by zarznąć w razie oporu... Związanych poniechawszy poszli...

— Co to za ludzie były?

— Kapice mieli do ziemi, z dziurami jako penitencjariuszowie noszą, nogi bose...

— Mówili po tutejszemu — wtrącił pan Wiszowaty.

— Nic nie wzieni?

— Musi że nie, bo nawet i nie szukali. Jako gomon przelecieli... Powiązali nas i poszli tamtymi drzwiami, bez sad...

Zatętniło przed domem — z szablą w rękę wpadł starosta zostawiając przed gankiem sporą kupę zbrojnych.

— Gdzie są?

— Uszli! Uszli, nic nie zaczepiwszy...

— Ot, wpadły, serce, jakieś niepoćciwe ludzie, strachu narobiły i poszły... — tłumaczył pan Wiszowaty.

— Tak ja nie gadam!!! — huknął starosta. — „Przyszły — poszły”-.. Trza dognać!... Co za jedne? Dokąd poszły?... Stać będziemy jak barany? Śladem, waszmościowie! Śladem!

— W sad poszli! — wołała za nimi pani Ewa.

— Za śladem jeno ostrożnie, by go nie zdeptać...

Ślady były istotnie wyraźne na rozmiętej, wiosennej ziemi. Szli za nimi ku lasowi.

— Z lamusa drzwi wywalone! — krzyknął Błoński młodszy.

— Z lamusa? — powtórzył pan Wiszowaty w zdumieniu.

— Ano. Cóż tam waść chował?

— Ja nic. Pustką stoi. Osterode swoje krotły w nim trzyma, drukarnię tu chcąc instalować...

— Kto ma światło, mospanowie?

Błysnęło kilka krzesiwiek. Zeszli ostrożnie w ciemne, opuszczone wnętrze.

— Nie ma skrzyń Osterodego! — zakrzyknął pan Wiszowaty.

— Zabrali! Wszystkie! Patrzajcie, ślad jako je tędy taszczyli... Dalej, waszmościowie!

Dalej!

Lecz znaki ginęły z oczu na skalnym podścielisku lasu, gdzie miesiąc nie rozświecał ciemni. Darmo wypatrywali kładąc się na ziemi. Trza było na razie zostawić dalsze poszukiwania.

— Na co im u diaska potrzebne były buksztaby? — powtarzał pan Jordan z Tęgorborzy, gdy wracali przez sad ku dworowi.

— Widno, po to jeno przyszli...

— Widziałeś kiedy waść taki napad?

— W głowie się nie mieści!

— Czcionki zabrali, nic więcej!

— Wierę, jak zwykle, za niefortunną Kassandra będę poczytany, wszakże *repeto*: papieżnicka to intryga. Nie zwykły rabuś, jeno jezuita lebo biskupowe ludzie tu były, którym drukarnia wadziła...

— Może to być! Może to być! — przytakiwali inni.

Przed dworem stała spora kupka służby i czeladzi.

— Psie syny! Gołoszyjce! Wywłoki! Na ratusz was wlec! — krzyczał na nich groźnie starosta. — Pana w opresji odbieźali! Dworu poniechali!

Kryli głowy w ramiona, strwożeni, kuląc się przed jego gniewem. Jakoż było bronić, gdy taki strach padł? Kany kto mógł, to przycupnął, i dychać nie śmiejąc...

— Jeden łebski, co na talara zarobił, to pacholek, któren do grodu przybieżał; tę zasię resztę gamoniów można obwiesić bez szkody — sapał starosta wchodząc do dworu.

Pan Wiszowaty zapraszał do izby, gdzie rozścieloną już słomę przykryto kobiercami. Lecz sen nie zbierał nikogo. Zasiedli koło stołu, roztrząsając dalej niezwykle zdarzenie.

— Bogać mi, wszystko na to patrzy, że jegomość Drużyna ma rację — kiwał głową Hermolaus Pielsz.

— Zawdy mam rację! — uderzył pięścią w stół pan Maciej. --- Nie szwankuje mi z łaski Bożej na bystrości, jeno uparte ludzie wiary moim słowom nie dają! Pożalują poniewczasie! Głosili tu niedawno poniektórzy, jakoby dom szlachecki wiołencji a gwałtu cierpieć nie miał (Łypnął okiem niechętnie w stronę Sebastiana). — A ot, co widzimy! Nie porznięto nieboraków, bo oporu nie stawiali, broni w domu nie mając... Inaczej trupy by my tu żałosne zastali — trupy!

— Noże nam do gardła przystawiali, to prawda, być może przecie bez intencji złej — rzekł pan Wiszowaty łagodnie.

— Niech cię kule biją! W jakiejże intencji? Zarżnięty, rzekłbyś pewnie, iż trafunkiem to zrobili, skaleczyć jeno nieszkodliwie chcąc...

— Mnie się widzi, że to Osterodego adwersarze być musiały...

— Nie Osterodego, ale naszej wiary... O druki im chodziło! O buksy! Toć jasne!

Stary Hołeksa wszedł do izby, szukając wzrokiem dziedzica.

— Jeszcze jeden z tych szujów, co się pokryły, gdzie mogły — burknął na jego widok starosta — ledwo teraz wylazł, drab...

— Ja ta pod żłobem nie siedział — odparł urażony tracz prostując się. — Za tymi rabuśnikami, co na panoczka napadły, poszedłech...

— Tak i gadaj! Toś zuch chłop! Powiadajże żywo...

— Prosto ze dwora poszli do lamusa, jakiesik skrzynie stamtąd wytargali...

— To wiemy! Powiadaj dalej!

— Nieśli je wartko bez las, ledwoch mógł nadażyć... Szmat drogi szedłech, jeno kiej na halę wyszli, tom się bojał, bo miesiąc świecił. Na hali jeszcze pięciu było i jakisik starszy widno, co go ponieśli w kolibce...

— W kolebce?...

— Takiej z drążkami... kiej dyszle; dwóch w kapicach poniosło...

— W lektyce, znaczy! Ejże, chłopie! — wrzasnął pan Drużyna. — Widziałeś ty dobrze? Nie łzesz?

- Jak Boga przy skonaniu chcę, nie łzę! Kolibka czy lektyka. jak panoczek prawią, to była, świeciła się cała do miesiąca kieby złota...

— Sam biskup! — jęknął ze zgrozą pan Maciej. — Nie wstydał się!... Biskupa — dodał objaśniająco — w lektyce złocistej po Krakowie noszą. Sam widziałem!

— Może biskup — przyznał Hołeksa — bo rękę z kolebki wyciągnął, to w czerwonej sukni...

— Otóż wiemy, mospanowie — rzekł ponuro pan Taszycki — czyja dłoń kierowała napadem... Antychrystowych sług, co same o miłosierdziu rade rozprawiają...

— Gorze! Gorze! — powtarzali inni w osłupieniu.

— Dalej juzech nie szedł, boby me widzieli... Ponieśli kolibkę i skrzynie bez Cichoń...

— No tak! Na Tymbork i Dobre... Ku Krakowu, limanowską drogą...

— I my tu jeszcze siedzimy! — zakrzyknął gromko pan Maciej. — Jeszcze czekamy!

Jeszcze nam mało? Nie ruszmy się wesprzeć swoich? Pod Stężyce! Do konfederacji! Walczyć o nasze bezpieczeństwo, o święte swobody! Zdrajca, kto ostanie w domu, mospanowie! W takich terminach sam Chrystus nakazuje miecza jąć!...

Sebastian podniósł znad stołu twarz twardą, postarzałą.  
— Racja waszmości — rzekł krótko — trza się bić niemieszkający...

## Rozdział szesnasty

### Na marne

**J**aśnie Wielmożnej Pani Zofii z Mielca Chodkiewiczowej, StarościnnieŻmudzkiej etc, etc, do własnych rąk oddać.

Dan w obozie, die 25 Iulii, anno 1606.

Moja najmilsza Zosieńko, moja jedyna, kochana duszo!

Nie będę Was dzisiaj długim pisaniem utrudzał, skoro nie tylko nic pociesznego do wiadomości nie masz, lecz przeciw, coraz cięższe termina nadchodzą, od którychem tak zmelankoliczał, że zgoła nic po mnie na świecie. W poślednim piśmie, temu trzy niedziele przez Hanusa wysłanym, jeśli Was w czym uraził, to nie z gniewu, a z żalu ciężkiego, w którym i dotąd pofolgowania żadnego nie mam. Na Boga! Nie dodawajcie mi jeszcze ciężaru zgoła krotofilnymi suspicjami, gdy i tak od zgryzoty ciągłej ledwie oszaleć nie przyjdzie. Od Króla jak nie było responsu ni kwarty, tak i nie ma po dziś dzień. Rychło rok będzie, jako po kircholmskiej potrzebie pisał, jeśli pomniecie, że posłańca z pieniędzmi śle. A obiecował! Przyrzekał! Ćwierci, darowizny, kaduki po tych, co się nie stawili!... Rok blisko — i grosza my nie ujrzeli, na nędzę wydani ostatnią. Słyszeliśmy za to, iż czasu onego weseliska, na które cała Rzeczpospolita płakała, rzucono między pospólstwo dwa korce pieniędzy złotych z napisem: *Regnorum securitas*. Nie dziw, że dla nas nie stało! *Regnorum securitas*, gdy jakoby na wulkanie, na malkontentacji powszechności siedzi! Zaprawdę, *difficile est satiram non scribere*...

Sudermańczyk, któren zeszłego roku gotów był korzystny dla nas wieczysty pokój podpisać, znów się zmógł i z potężną flotą nastąpił. Dobrze tam, jako słyszę, pan starosta pucki Gdańsk musi przed nim oganiać. Tak obróciły się wniwecz nasze zeszłoroczne przewagi!

Nie sierdźcie się, duszo moja o frasobliwy tenor tego listu. Zwyczajnie nierad ja publicznymi sprawami Was utrudzać ni zgryzotami wojskowymi nękać, wiedząc, jako białogłowom lekciejsze, słodsze temata wdzięczne są i przynależą. Bych mógł pisałbym Wam jeno takie, szczęśliw, że Was pisanie moje rozweseli. Wszakże dzisia nazbyt wiele na głowie mojej usiadło, że uzalić bym się rad, a przed kim, jeśli nie przed Wami, duszo i pociecho moja? Wybaczyc mi tedy chciejcie, frasunek sercem dzieląc czym mu się w połowie zelżeje i, da Bóg, jakoś wydzierzę.

Jaka była dla nas zima, to i powiadać nie potrza, bom sam nieraz pisał i posłance powiadały, a też wiecie, że siła substancji poszło, by niebożęta od głodu ratować. Stało się to z krzywdą jawną dziątek lubych i Waszej Miłości mojej — ale co było począć? — Patrzyć nie



mogłem na ich głód, na łzy... Tym mi dziś ciężiej, że nie na wiele się to wszystko zdało, bo znów nas mizéria przytknęła, na którą rady nie masz. bom co mógł, tom już wycisnął. W ostatecznej desperacji a nędzy żołnierz konfederację zawiązał i do dom wraca, cierpliwości i sił zbywszy. Pojmiecie to, duszo moja? Śmierć bych wolał niżli taki sromotny koniec kampanii! A sposobu nie mam ich zatrzymać. Już wszyscy bez mała za Dźwinę się rzucili. W poniedziałek Koło ma być tych, co jeszcze są, na którym rezolucję pewno wezmą za tamtymi iść. Niech im Bóg błogosławi! I tak długo a nad siły cierpieli chudziaki. — Taka sytuacja aktualnie u nas w obozie. Takiej się hańbym doczekał. Patrzy na mnie nieprzyjaciel, ja na niego — a następować nie mogę i dwóch chorągwi pełnych przy sobie nie mając. On nie naciera, wiedząc o bunciech. Czeka. Tak stoim. Małe utarczki, te co dnia się zdarzają, ducha nieco podtrzymując. Wczoraj położyli my stu Szwedów. Naszych legło pięciu, rannych kilku, z których jeden tylko ciężiej. Dobry towarzysz, choć dzieciuch, którego Pielszem wołają. Do kraju go odprowadzam, bo ramienia mu prawie całkiem odrabali — może go tam doma baby wykurują. Szczęśliw pacholek! By mnie kto mocen był z nakazu własnego sumienia zwolnić a doma swobodnie odprowadzić, kłopoty wszelkie innym ostawiając! Oj przydałoby się, bo choroba coraz gorzej z frasunku dojmuje, przyjdzie Wam chyba rychło, duszo moja, dyszłem się ku wdowieństwu obrócić..."

Przerwał pisanie, bo pacholek uchylił zasłony meldując, że towarzysz Pielsz pyta, zali może do nóg przed odjazdem paść.

— A bywajże. towarzyszu! Bywaj! — zawołał żywo hetman obracając się na stołku.

Wszedł Pietrek, srodze wymizerowany, z ręką przewieszoną na szmacie.

— Jedziesz waść? Daj Boże szczęśliwą drogę...

— Wasza Dostojność — rzekł jękając się chłopiec — suplikować śmiem, by mię Wasza Dostojność raczyli ostawić tutaj... Wygoi się jednako rychło, tu czy tam... Rad bym ostać... Chodkiewicz zmarszczył brwi.

— Cóż to? Niesubordynację waćpan zaczynasz okazować? Mało jeszcze tego w obozie? Pietrek szczerwienił jak mak.

— Wasza Dostojność, nie buntownik ja ni z konfederacji... Suplikuję jeno, by mnie nie odprowadzać... Któż tu ostanie? — wybuchnął w końcu z rozpaczą.

Serdeczny uśmiech rozpromienił twarz hetmana.

— Żartuję sobie, mój synu. Szczeryś żołnierz, osobliwie mnie miły... Oj. rychlej wykurujesz się doma niż tu... Jedź. a powracaj, da Bóg zdrowy... Nieleotka przy mnie służba, niesłodka. przecie wróc...

— Wasza Dostojność! — Chciał coś rzec, ale ryknął płaczem chłopaczysko, ustami przywierając do pana hetmanowych kolan. Modrymi jak niezabudki oczami wpatrzył się w twarz wodza z bezgraniczną adoracją, psim przywiązaniem. W ustach. w krtani zrywały się i łamały, wyrazu znaleźć nie umiejąc, słowa zaprzędane, wierne, jakieś ślubowania żołnierskie, krzepkie a niezłomne..

**D**opiero szóstego dnia drogi odeszła nieco Pietrka luta żałość, że z obozu precz jedzie, towarzyszy i hetmana w mizerii niechając. Rzeźwy morski wiatr odwiął z duszy melankolię, oczy poczęły się ciekawić przebywanym krajem. Dokuczała znowu za każdym wybojem zapomniana w utrapieniu rana.

„Jużci, kaleką byłbym, mańkutem — pomyślał — a tak, jeno się wygoję, powrócę”.

To sobie powiedziawszy poweselał znacznie. Jechał przez Prusy Książęce, niedaleko morza się trzymając, bo stary Boguta wolał drogi wprawdzie zdrowo nadłożyć, ale na gościńce

gdańskie bezpieczne się przebrać, niżli po barach i bezdrożach litewskich, starzynach nieprzeszłych guza zbytecznego szukać. Jechali więc na Tylżę, Ragnetę, Wystruć i Bisztynek — krajem leśnym i wzgórzystym, nieprzeliczoną ilością jezior zasłanym. Gdy wyjeżdżali na górę, jasne szyby wody migotały się ze wszystkich stron, jak gdyby kto sypnął z wysoka potrzaskane weneckie zwierciadło. Dróg było mało i przykre, ciągłymi brodami uciążliwe. Boguta kłął okolicę i ów nadmiar wód, zdaniem miejscowych Mazurów pełnych topielic, wodników, brzeziń i wszelakiego plugastwa. Czy to jednak, że noce były bezmiesięczne, czyli pora nieprzyjazna, żadne z tych pogańskich bożąt nie zastawiło im drogi ani wychynęło z błota, by nastraszyć. Natomiast z każdej słotwiny czy też jeziora zrywały się z trzepotaniem nieprzeliczone ilości ptactwa wodnego. Tłuste kaczory, oblane bekasy i bąki dawały się łatwo strzelać z rusznicy lub chwycić w pętlice, ku niemałej radości podróżnych, wetujących sobie suto minione dni postu. Konie ich również nabrały zgoła innego aspektu, a drygant Pietrkowy, przy łęku przez Jaśka Dobrocieskiego wiedziony, busznił się, storzył i prychał. W zimie tak już nieboraki na psa zeszyły, że drogami trza je było z podścieli podnosić — natomiast teraz wypasły się pięknie na nadmorskich słonych łąkach.

Po dwóch niedzielach podróży ujrzeli Chełmno i Wisłę. Rozjaśniły im się twarze, jak gdyby naszli się doma. Wprawdzie inaczej wyglądała ona Wisła niżli swojaczka, znana spod Krakowa — była jednakże tą samą Wisłą, świętą Białą Wodą, osią i rdzeniem ziem polskich. Zmieszana z wodą kroci i kroci potoków, przezysta woda z wartkiego Dunajca płynęła w niej wraz z innymi. W potężnym nurcie odnalazłbyś zapach rodzonych, górskich strumieni. Sniat otoczysty, gnany przez fale ku morzu, zwałił się może jodłą nad Czarnym Potokiem, otarł, wirując na głazach, o lube ojców obejście, zanim spłynął z szumem w dół. Patrzyli weseli na rzekę jak na dobrego zwiastuna, przynoszącego wysłaną poprzód wieść z domu. Konie parskaly raz po raz, czując pod nogą twarde królewski gościniec.

Rozległ się tętent za nimi. Z podźwięciem bogatych szorów, turkotem szerokiej, plecionką wybitej bryki, minął ich zażywny szlachcic. Minawszy obejrzał się badawczo raz i drugi i wstrzymał nieco woźnicę.

— A skąd Bóg prowadzi? — spytał.

— Od hetmana litewskiego — odparł krótko Pielsz.

— Z Inflant! Waść rannyś? Spod którego znaku?

— Towarzysz usarski z pana Giedroyciowej roty.

— Na Boga! Pozwól, waść, że się zaznajomim! — zawołał żywo jadący złażąc z bryki.

— Niemojewski jestem, Jan...

Rekomendowali się sobie wzajemnie.

— Towarzysz usarski! Spod hetmana litewskiego! — powtarzał szlachcic. — Nie byle wodzowi służysz! W srogiej on u nas estymie! A dokąd droga, jeśli wolno spytać?

— Doma jadę, w Sądeckie, ranę leczyć...

— Szmat drogi! A dawno w służbie?

— Dwa lata...

— Dwa lata! To może waść w kircholmskiej potrzebie był?

— Byłem — odparł z godnością Pietrek, znudzony tą indagacją. Lecz szlachcic, w odpowiedzi, skoczył na wóz i wziął go w ramiona.

— Kircholmczyk! Laboga! Nie puszczę cię, towarzyszu! Musisz k'nam zajechać!

Kircholmczyk! Jedź przodem! — krzyknął do swego woźnicy. — Ot, Łowinek przed nami... dominium to mego brata, Stanisława, podstolego koronnego, w Moskwie aktualnie będącego... Ja opiekę nad substancją i rodziną sprawuję... O, nie odmawiaj waść, bo się to na nic zda.

— Subiekcji przyczynię zbytniej...

— Subiekcji? Albo waść żartujesz, alboś na Pomorzu nie bywał... Bogu dzięki, gość jeno radości u nas przyczyną... Kircholm! Siła my o tej wiktorii słyszeli, wszakże pierwszy raz świadka naocznego obaczym...

Skręcili z gościńca na polną drogę. Otoczony starymi sokorami dwór białął w ciemnej gęstwie drzew. Że leżał blisko traktu nie brakło w nim nigdy gości, toteż na turkot wozu wysypało się na ganek zacne grono pomorskich sąsiadów. Posłyszawszy, jakiego to gościa przywozi wicegospodarz, witali Pietrka owacyjnie. Sama pani podstolina wysłała mu uczciwość czynić. Urodziwe podstolanki zerkały ogniście. Po raz pierwszy od dawna zasiadłszy przy bogato zastawionym stole, Pietrek jadł i opowiadał na przemian.

— Wierzyć się nie chce! — powtórzył pan Bieliński, miecznik koronny. — Jakoście mogli wydzierżeć! Nie pojme!

— Prali my — mówił z prostotą Pietrek — prali my co sił. Kopie nam się rychło skruszyły, potem koncerze i szable... Mnie nadziejak jeno ostał, i to rozszczępiony... Poniektórzy pięścią gołą bili, ni drzewca ułomka w garści już nie mając... Nasza chorągiew sześć razy w natarcie szła, insze więcej... Nie zdzierzyliby my pewno, jeno pan hetman tak sposobnie sprawił, że Karolus wszystko, co miał, już wprzągł, ni rezerwy, ni odvodu sobie nie zostawiając, a dopieroż pan hetman Łackiego, którego do tej chwili stojącego trzymał, rzucił.

— To jenuusz! To wódz prawdziwy! Tuszę, iż ma zachowanie i miłość waszmościów?...

— Pan hetman? — zakrzyknął Pietrek. — O Boże! W ogień my za nim, we wodę!

Spłonął z uniesienia, oczy mu błysnęły szkliwo. Patrzyli nań przychylnie, bo podobał im się ten ferwor młodzieńczy — lecz on opuścił głowę i osmętniał wspomniawszy, w jakich zostawił wodza terminach.

— I katolik żarliwy — podjął pan Niemojewski. — Przed bitwą (prawda to?) nabożeństwo czterdziestogodzinne nakazał... Nie osiedzi się przy nim heretyk...

— A nie — przyznał swobodnie Pietrek wracając do jedzenia. Milczące zaprzaństwo wiary przełknął gładko wraz z kęsem kapłona. Nie zafarbowało mu nawet policzków rumieńcem. Czyż był heretykiem? Może... Bardzo dawno...

— Że też jegomości nie ma! — żaliła się pani. — Zawdy prawil, że jeno wśród starożytnych herosów przykłady takich bojów znaleźć...

— Pan brat — rzucił objaśniająco pan Niemojewski Pietrkowi — będzie już z pół roku, jako do Moskwy z wojewodą sędomirskim i carową ruszył...

— Carową?

— Mniszchówną... O carewiczu Dymitrze i o tym, jak tron carski reokupował, musisz przecie waszmość wiedzieć?

— Zastyszeliśmy co nieco łońskiego roku...

— Wojewoda sędomirski córkę mu zrękowił, jeszcze gdy jeno pretendentem był, i walnie do reokupowania tronu dopomógł... Były, które narzekały, że to impostor a znajdek, kiepski wróżąc koniec sprawy. Dopieroż kiedy od onego znajdka swaty po wojewodziankę przyjechały... A bogato! A z darami! Wnet go wszyscy carewiczem istnym przyznali, rozumiejąc, że dobrze się stało...

— Byłem na onych godach — rzekł pan Cerekwicki Jan, starosta śrzedzki. — Sam król jegomość z królowną Anną asystowali... Ceremonialnie odprawiało się weselisko. Carewiczową osobę reprezentował bojar Własjew, od klejnotów i pereł skrzący, wszakże chłopisko ciemne a grube, jako cała Moskwa... Ten ci Własjew, gdy go ksiądz biskup przy ołtarzu zagabał: Nie ślubowałże car wiary małżeńskiej nikomu? — zasromał się, ramionami ruszył i prawi: Ja znaju?... Ksiądz biskup nie wiedział, co rzec, zaś panowie podśmiewali się z cicha z takiej nieobyczajności...

— Dziw, że każdy nie ośmiał się głośno...

— A to jeszcze rzekę waćpanom — ciągnął pan starosta śrzedzki — że nieboszczka królowa takiej splendecy i pyszności nie zażywała, jak owa carowa, bywsza wojewodzianka... Ani przystępu nie miałaś! Ochmistrzynią jej fraucymeru zaś była, jeśli pomnę, jejmości pani Kazanowska, miecznikowa samborska, tak górnie a z partesu przemawiająca, żeś się, człeku, nie wiedział, gdzie podziać ni jakie pokłony bić...

— Są wieści od pana podstolego? — zapytywał pan Proski, starosta chełmiński.

— Są, owszem — rzekł pan Niemojewski junior. — Na barbarię a grube obyczaje moskwicinów narzeka, o caru pisząc, iż rządzi nad podziw, jakoby się na tronie wychował, jeno za gorący jest i zbyt nagle chce Moskwę przekabacić w bardziej polityczny naród...

— Niedobrze z tym nadto się śpiechać, bo o sedycję w onym pospólstwie nietrudno...

— Toż i pan podstoli pisze...

— A jak z ową misją i klejnotami królowy? — spytał zniżając głos pan miecznik Bieliński.

— Powiada, że rychło pomyślnie załatwi, bo car rad wszelkie precjoza kupuje. Za czym i do domu mieć się będzie...

— Ślubowałam ołtarz nowy do fary, skoro jegomość szczęśliwie powróci — westchnęła pani podstolina. — W tęsknocie żyję, rewolty się jakiej u onych barbarów ciągiem obawiając...

— Ejże, dobrodziejko moja! Zali rewolty ino u barbarów? Słyszeliście waszmościowie, co się w Małopolsce tworzy?

— Toć i tu za tym chodzą niezgorzej, a judzą i mącą... Lepiej Wszelako trzymać się od tych poczynań z dala; niewiela wart dowcip panów małopolskich...

— Wiera! Jedna pomorska lebo wielkopolska głowa lepsza niż krakowskich dziesięć...

— Z dawna znane jest przysłowie, którego konserwacja a obserwacja na dobre jeno Wielkopolanom wychodzi: „W Małopolsce rzeką tak, ty gadaj inak...”

— Powiadają — rzekł pan Cerekwicki — że pod Sandomierzem sto tysięcy pospolitego ruszenia stoi. Jak mi Bóg miły, tak powiadają...

— Prawda to?...

— Kto tam wie? A jako w wojsku, mości towarzyszu? Co mówią po chorągwiach o wojewody krakowskiego zamierzeniach? Mości towarzyszu usarski, jakie waści zdanie?... A bodaj cię! — roześmiał się obejrzawszy pan Jan Niemojewski junior.

Objęty lubą sytością, rozmarzony winem a do cna utrudzony podróżą, niebaczny na spojrzenia wdzięczne podstolanki, Pietrek spał już od dłuższej chwili jak zabity.

## Rozdział siedemnasty

### Pod Sandomierzem

Oj, rycy siwy wołek.  
Da, ze się nie wylecił.  
Oj, i chłopasio płace.  
Da, ze się nie ośenił!...

— brzmiało donośnie nad modrymi od lnu zagonami. Jadący stępa za wozem Jaśko Dobrocieski trącił nogą towarzysza, przyciężkiego i małowównego Grzelę.

— Do nas śpiewa ta jucha... Poczekaj!  
— Poprawił czapki na głowie z fantazją i huknął:

—

Oj, nie bez tak te dunaje  
Da mój konicek przepływał.  
Oj, u nie takich tez i ja  
Da panieneczek bywał —  
Bo tu jedna ślepa,  
A druga garbata.  
Trzecia przełamana,  
Cwarta zyzowata...

Śpiewaczka zmlkła, zaskoczona obelgą, lecz po chwili, nie tracąc rezonu, odśpiewała:

Oj, zasło słońce, zasło.  
Da za wysokie dęby.  
Oj, te chytre wojoki  
Da wyscekały zęby...

— A to ci szelma pyskata! Nie przegadasz jej — kiwał głową Jasiek oglądając się z żalem za siebie.

Krasna jak mak głowa dziewczyny wykwitła nad płotem, spoglądając ciekawie za odjeżdżającymi. Machnął ręką, niby grożąc — zapadła ze śmiechem w len.

Droga odwiodła ich dalej. Dzień był upalny, parny, pył szedł leniwo za wozem. Jechali polną, koleistą drogą, przed ośmioma dniami poniechawszy w Płocku warszawskiego traktu, biorąc się na Łowicz, Skierniewice, Radom i Sandomierz, skąd na Baranów i Mielec droga pójdzie jak strzełił do domu.

Do domu!... Pietrek powtarzał sobie to czarowne słowo, wąpiąc chwilami, zali domu swego dojedzie. Pod wpływem gorąca i trzęsienia wozu rana jego zaogniła się znacznie i dokuczwała coraz to nieznośniej. Ból rwący, przykry a nieustanny ćwierkał uporczywie w głowie, szarpał, przesłaniał myśli tumanem gorączki. W tumanie tym migały, zlewając się w jedno, śpiewki i żarty pachotków, jednostajny turkot wozu, wsie mijane, twarze kmiece, pola i dąbrowy. Ponad tą smugą zmętniała, jako jedyny punkt jasny, wyraźny, tkwił dom oczekiwany, koniec dręczącej podróży. Jakże był jeszcze daleki! Pośpieszyć ani sposobu. Boguta zbyt był rozważny, żeby nadwerężyć koni albo ukrócić popasów...

— Wojsko jadzie — rzekł Jasiek nagle.

— Wojsko? — ożywił się ranny.

Jakoż z szumem i tętentem nadjeżdżała za nimi dobrze okryta chorągiew, nie mniej dwustu koni. Boguta zjechał co szybciej na ugór, gdzie stało już parę usuwających się przezornie

zawczasu chłopskich powózek. Chorągiew minęła ich szumnie i strojno, owinęła płaszczem kurzu, ogłuszyła pieśnią:

Kto nam chce skarby wydrzeć.  
Nic wydrze! Nie wydrze! Nie wydrze!  
Trwogi się bać! Trwogi się bać! Trwogi się bać!  
Hardo stać!  
Moc na moc!  
Brońmy! Brońmy! Brońmy!...

Pietrek ocknął się od razu i usiadł na wozie.

— Dokąd jadą? Czyje to?

Siedzący obok na powózce swojej chłop zamruczał niechętnie:

— Dyc pod Sandomierz... Już dwie niedziele jadą tam ciągiem i jadą...

— Na okazowanie?

— Bogać tam! Z całej Polskiej... Luda jak lasu...

— Pospolite ruszenie! — zawołał radośnie Pietrek. — Na Szweda chyba? Jużci że na Szweda!...

— Jeśli nie na Tatara — suponował Jasiak.

— Gospodarzu! Nie wieta, na kogo się zbierają?

Chłop obrócił ku nim doskonale obojętną, nieco drwiącą twarz i wrzucił ramionami na znak, że nie wie. Najbezpieczniejsza to, doświadczeniem pokoleń narzucona odpowiedź. Jakże bowiem zgadniesz, co się pytającemu spodoba, a co go ozeźli, że dzieli przez łeb niemieszkać?

Lecz pokrewny mu duchem Boguta odczuł te słuszne obawy i wyciągnął spod siedzenia blaszankę, jeszcze w Skierniewicach przez gospodynię gościnnego kanonika napełnioną, a z kieszeni czarękę.

— Napijta się, gospodarzu, na zdrowie.

Kmieć wychylił z przyjemnością, wytrząsnął starannie resztę na ziemię i — znieufniał tym bardziej. Znający ludzi a przenikły Boguta zakręcił lejce o luśnię i zeszedł z wozu ku niemu.

— Powiadajcie! Ja nie z panów... Jeno że bez Sandomirz nam trza jechać, to się pytam... Rannego, widzicie, wieziem... Powiadajcie po krześcijańsku: na kogo się zbierają?...

— A dyc na siebie — z cichym przyśmiechem rzekł chłop.

— Jak gadają?

— Ano, jak słyszą. Pod Sandomirzem jedne, pod Wiślicą drugie... Będą się tłukły ze sobą...

— O co?

— Wiem to ja?

Tym razem był zupełnie szczery. Gdyby nawet miał możliwość dowiedzenia się, o co szlachta ma zamiar walczyć między sobą — nie zapytałby na pewno. Cóż go to mogło obchodzić? Przyczyny boju w żadnym razie nie dotyczyły chłopów. Nie: mogły źle czy dobrze wpływać na kmiecie losy szarych rzesz, I sunące własnym, przyziemnym korytem, tak dalekim i obcym światu walk, ambicji i zamierzeń szlacheckich, jak gdyby brały swój początek na innej planecie. Wojna — wiadomo, dopust Boży co najcięższy. A o co ją wiodą?... Próżno ni warto dopytywać, skoro nie zmieni to nic. Ścierpieć ją trzeba i przeczekać — oto wszystko. Żołnierz, swój czy obcy, nie dołoży, a zabierze, co się da. Taki jego wojenny obyczaj. Od tego jednak człek ma rozum, by się ubezpieczyć. Wygnawszy konia, krowę i świniaka do lasu, ukrywszy w

dole po rzepie córkę — a nie zawadzi i żonę, jeśli niestarawa — mogłeś jako tako przebiedować wojnę...

Boguta wrócił do wozu markotny.

— Powiada, paniczu, że się będą między sobą biły...

— Gadanie! — Zachnął się Pietrek. — Co on wie! Jedźmy, a ostro, dowiemy się zaraz sami...

Ruszyli szparko, im bliżej Sandomierza, tym gęściej widząc rozłożone przy drodze i na polach kupy zbrojnych. Wyjechawszy na wzgórze pod Pokrzywnicę, ujrzeli błonie po obu stronach rzeki pokryte śniegiem nieprzeliczonych namiotów.

— Pospolite ruszenie! — powtarzał Pietrek. — Na Szweda! W sukurs hetmanowi!...

Zapomniał o ranie i bólu, patrząc rozgorzałymi oczami. Wjechali stępą w gęstwę obozu. Małomówny Grzela Jeleń zamruczał naraz coś niezrozumiałe.

— Czego tam?

— A bo ońdzie, paniczu, ten cudak, co był z nami łoni...

Pietrek spojrział we wskazanym kierunku i roześmiał się poznawszy chudą twarz i długie włosy imci pana Chocieskiego, rymopisa. Pindarus poznał go również i podbiegł żywo do wozu.

— Czołem szlachetnemu rycerzowi! Najniższy podnózek waszej miłości!... Wasza miłość ranny?...

— Tak jest... Cóż asan tu robisz?

— Wbrew niefundowanej gadce, iż Bellona dławii Muzy, ja Marsa Mużę zagrzewam do czynu; sam czerpiąc zeń w zamian natchnienie.

— Na Tatara czy na Szweda zeszedli się pospolitacy? — przerwał niecierpliwie usarz.

Pindar wznosił oczy do góry.

— Aż mogę znać, na kogo ruszą te szlachetne hufce? Krzepię poezją ich wspaniałe męstwo, o resztę się nie troskając... Drzewiej pisałem poema pasterskie, tusząc, iż koniec położy krwie przelewaniu... Czas wszakże jeszcze nie nadszedł... Homera ująłem więc lutnię... Przeciw wrodzonej modestii śmiem nawet zapewnić waszą miłość, że aplauz tum zyskał niemały, na którym mi u pana hetmana litewskiego nie dostawało...

Choć zniecierpliwiony, Pietrek, nie mógł się wstrzymać od uśmiechu.

— Osobliwa łatwość płodzenia wymyślnych rymów na każdą nadarżającą się okazję zyskała mi akklamację powszechności — ciągnął rymopis. — Co prawda, nie chwalący się, w kunszcie improwizacyjnym do nie widzianej doszedłem biegłości...

— Wierzę, ale na kogo, u licha, zebrało się tyle wojska? Gdzie pójdą? Siedzisz tu asan i nie wiesz?

Trzech panów dostatnio odzianych, rozmawiających opodal na drodze, obejrzało się na ten wykrzyknik.

— A skąd waść jedziesz, że nie wiesz? — zapytał jeden z nich.

— Z Inflant, od hetmana litewskiego. Pielsz jestem, towarzyszu usarskiej Giedroyciowej chorągwi — odparł Pietrek schodząc z trudem z wozu.

— Czołem, mości towarzyszu! Ranny, jako baczym...

— Obojczyk mi Szwed przerąbał, z raczej czego doma jadę...

— Ha, szkoda! Myśleliśmy, że ku nam... Prezentowali mu się wzajem, muskając uprzejmie wąsów.

— Dunin Andrzej ze Skrzynna, sędzia sędmirski.

— Mateusz z Zimnejwody Leśniowski...

— Wąsowicz Kaźmierz. komornik Chęciński...

— Jeśli nie jako kompan, zajdź waszmość ku nam jako gość, na pogawędkę — zapraszał

pan sędzia Dunin.

— Tym wdzięczniej z inwitacji skorzystam, że ciekawość mię pali dowiedzieć się nareszcie, na jaką potrzebę tak grzeczne siły się zebrały?...

— Człowieku! Naprawdę nie wiesz? Od Hyperborejów chyba zjechał, a nie z Inflant?

— Naisto nie wiem...

— Znaj zatem — rzekł uroczyście pan Zimnejwody Leśniowski ukazując ręką bielejące mnóstwo namiotów — znaj, że widzisz tu zebrany kwiat Rzeczypospolitej, obywatelstwo przezacne. z którego każdy Cyncynatowi jest równy, gotowe poświęcić krew i substancję dla salwowania zagrożonej Rzeczypospolitej i na walkę jawną się ważyć...

— Z kim?

— Z najgroszym wrogiem narodu i ojczyzny, z królem! rzekł wspaniale pan Leśniowski.

— Z którym?

Wszyscy trzej pokiwali głowami, zgorszeni.

— Jeden jest przecie, Sigismundus; bodaj zdechł!

Oszołomionego, nie wierzącego uszom, powiedli do namiotu, częstując miodem i wypytujac wzajem, co słycać w Inflanciech.

Choć zaniepokojony dopiero co zasłyszana wiadomością, powiadał szczerze, opisując głód, opuszczenie, bezsilność hetmana i aktualne konfederacje żołnierskie.

— Z niebaś nam spadł, towarzyszu! — zakrzyknął radośnie pan Dunin. — Pójdźcie z nami co żywo przed gremium obywatelskie, by te nowiny powtórzyć.

— Niezmiernie to ważne są rzeczy — potakiwał pan Wąsowicz. — Sojusznik przybył nam w waści nie lada...

Wymawiał się Pietrek, jak mógł, zmęczeniem i raną, lecz go zakrzyczeli.

— Dobru publicznemu, hetmanowi się przysłużysz!

Poszli więc przez olbrzymie rojowisko zbrojnych, wiodąc Pietrka między sobą i czapkując gęsto na obie strony znajomym.

— Panowie bracia! — wołał stentorowym głosem pan Wąsowicz. — Prosim na majdan, kto łaskaw! Ważne wiadomości z Inflant!

Stanęli na dużym placu, pod wielką chorągwią, łopocącą ku słońcu napisem: *Libertas Aurea*. Wokoło, znaczne buńczukami, proporcami, przepychem namiotów, rozpościerały się stanowiska przywódców. Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski, stał tutaj, mając przy sobie osiem rot pieszych i chorągwi własnych sześć. Książę Janusz Ostrogski zajął cały bok majdanu, przywiódłszy jedenaście rot piechoty i szesnaście chorągwi usarskich. Diabeł Stadnicki, starosta zygwułski, sześć węgierskich, trzynaście polskich i jedną kozacką. Janusz Radziwiłł, wróg Chodkiewiczowy, pan na Birzach, Dubinkach, Słucku i Kapyłu, przewodził czterem tysiącom piechoty i siedmiu chorągwiom pancernym. Po dwie, trzy chorągwie przywiedli panowie: Grudziński, wojewoda rawski, Tęczyńscy Gabirel i Jędrzej, Stabrowski i inni. Majdan zapchany był ludźmi.

— Wasza Dostojność — wołał pan Dunin do wojewody krakowskiego, przeciskając się przez tłum — oto towarzysz usarski spod hetmana litewskiego świeżo przybyły, któren powtórzyć zechce arcyciekawe nowiny!

Nim się Pietrek spostrzegł, wyciągnięto próżną beczkę z któregoś namiotu i ustawiono go na niej przemocą, nalegając, by mówił. Rad nierad jał opowiadać o walkach, o sytuacji nieznośnej, obietnicach królewskich, nigdy nie ziszczonych, oddaniu przez hetmana ostatnich swoich zasobów, o głodzie, konfederacji i buntach. Zrazu opowiadał niechętnie, pod jawnym przymusem, lecz nagle olśniła go myśl, że niewątpliwie audytorium, posłuchawszy, jak się rzecz ma, pośle część stojących tu wojsk w pomoc hetmanowi. Zagrzany tą nadzieją, jał mówić z



ogniem, nieuczenie, lecz wymownie, nie tając ni ukrywając niczego.

— Słyszycie, panowie! słyszycie! — przerywał raz po raz Stadnicki. — Oto jak ów koster, krzywoprzysięzca, sodomczyk, najlepszych synów ojczyzny traktuje!

— Hańba! Hańba! — odpowiadały setki głosów.

— Panowie — kończył Pietrek — niszczy tam i przepada, co z trudem oręza wyrąbane, zdobyte zostało! Ratunek dajcie! Hetmanowe wysiłki wspomzcie! By dziesiąta część tych chorągwi, co tu stoją, ruszyła na parę niedziel do Inflant — skończyłaby się wojna od razu!

— Przyjdzie na to czas i pora, przyjdzie! — uspokajał Zebrzydowski. — Teraz zaś opowiedz waszmość jeszcze raz da capo, bo siła nowych się zeszło, którzy by usłyszeć radzi...

Opowiadał więc posłusznie, drugi raz, trzeci i czwarty. Dostojnicy dawno odeszli, lecz otaczały go coraz to nowe gromady, żadne posłyszenia nowin. Zmierziło go to w końcu ostatecznie. Jeszcze gdyby, jak w Łowinku, kazali mu opowiadać o bojach zwycięskich, sławie usarskiej dobrze zarobionej — nie jeno wyłącznie o głodzie i nędzy żołnierskiej, dokuczliwej i utrapionej jak wesz!... Lecz audytorium tego tylko było ciekawe i chciwe, zaś wszystkie nowiny inflanckie obchodziły je tylko o tyle, o ile można z nich było ukuć nowe ważne grawamina przeciwko „sodomczykowi”.

Przejrzał to jasno, więc gniew w nim wezbrał i gorycz. Rana dokuczała nieznośnie, w oczach się ćmiło, powracał tuman gorączki. Na koniec udało mu się wyrwać z koła i zmęczony, ślaniający na nogach, odszukał Bogutę i pachołków z końmi, rad uciekać stąd co rychlej.

— Z całej Rzeczypospolitej widno zjechały — zauważył stary chłop pomagając mu sięść na wóz. — Może i od nas kto jest?

— A może! — ożywił się Pietrek. — Mości panie — interpelował stojącego na drodze szlachcica — wybaczyć, że inkomoduję: nie stoją tu gdzie sądecy?

— A jest ich kupa; tam, nad Wroną — odparł zapytany. Podziękował mu wdzięcznie i ruszył wartko we wskazanym kierunku.

— Pewno będą i znajome... Zasłyszemy nowin z domu. Sobka to jużci nie zastaniem — roześmiał się Pietrek.

Urwał wpół słowa, zeskakując w biegu z wozu. Bo oto drogą naprzeciw szedł — właśnie Sebastain. Onże sam! Nie szedł, ale biegł prawie, z pochyloną głową. Na krzyk brata stanął osłupiały, nim się porwali w objęcia.

— Powiadali, że jakiś towarzysz usarski z Inflant przyjechał — mówił szybko — i leciał bez tchu, żeby języka zasięgnąć... A to by! Opatrzność Boska!... Pietruś! Tośmy się spotkali! Co tobie, dziecko! — podtrzymał osuwającego się — co ci to?...

— Et, nic! — uśmiechnął się młodszy. — Zamgliło mnie trochę z radości i z zem ranny... Laboga! Czym się też spodziewa! Rychtyg powiadam: Sobka tu nie będzie... A ono Sobek je.

Roześmiał się dawnym, dziecinnym śmiechem, garnąc się ku bratu. Sebastian objął go ramieniem tkliwie, jak piastunka. Twarda jego twarz promieniała niby od zatlonej wewnątrz ciepłej lampki. Serdecznie witał starego Bogutę i obu chłopaków.

— Chodźta do mnie — powtarzał — tam się nagadamy. Chodźta... Pietruś! Dwa lata i kwartał, jakeśwa się nie widzieli! Tyli szmat czasu!... Dawno cię ranili? Gdzie?... Mądrzycha w mig cię uleczy, obaczysz... Na wszystko baba zna leki... Zmizerowałeś się, że strach... Aleś jeszcze wyrósł, chłop setny!... Tyli czas!...

„Sobek gada!” — radosnym zdziwieniem przemknęło przez głowę szczęśliwego Pietrka. Nie mówił nic, dając się wieść bratu, płprzytomny, oszołomiony nadmiarem niespodziewanych wrażeń. Dopiero gdy się wyciągnął wygodnie na słomie w szopie stanowiącej Sebastianową kwaterę, a Boguta przewinął mu ranę okładając ją świeżymi liśćmi babki umaczanymi w kwaśnym mleku, co znakomicie złagodziło ból — nawał pytań zaczął się cisnąć na usta.

— Co doma sływać? Powiadaj!  
— Doma? — powtórzył przeciągle Sebastian i nagle pokraśniał jak wiśnia.  
— Pani matka? — nalegał Pietrek, rumieńca nie zauważywszy.  
— Pani matka zdrowi — spiesznie, jakby z ulgą odpowiedział starszy — a tęsknili za tobą, a cnili! Toteż będzie uciecha! Boże! Słaczą się matczysko z radości...  
— A stryjec?..  
— Stryj zdrowia dobrego zażywa... Co dzień bez mała przyjeżdża i z matką o tobie gadają...  
— Dobry stryjec! jeno teraz ja mógłbym go uczyć szablą robić... Wprawiłem się, że hej! Zdziwi się stary...  
— Wielka u nas w domu odmiana — zaczął Sebastian czerwieniejąc znowu i urwał...  
Nie mógł na razie znaleźć odpowiednich słów, by wypowiedzieć bratu najważniejszą, najradośniejszą nowinę, choć drżała mu ona na wargach od pierwszej chwili spotkania. Nowina dziwna i niespodziewana, co odmieniła mu duszę, lśniąca tęczą rozpościerając się nad chmurnymi zazwyczaj myślami. Nie dziw, że nie wiedział jeszcze, w jakie by ją ubrać słowa, skoro pierwszyna czarowną była dla niego samego. Toż dopiero niedawno, po wyjeździe z domu, zrozumiał i pojął, co od roku w sercu mu się kłuło. Teraz milczał, skupiony, radośnie poważny, czując zawczasu posmak nie zaznanej, nie przeczuwanej dotychczas radości, zwierzenia się komuś bliskiemu ze szczęścia. Tajemnica, niedawno przed samym sobą odkryta, podnosiła się w zawartej na siedem spustów piersi samotnika, parła ku górze niby pąkowina, spieszna rozwinąć się kwiatem. Szukając słów należytych uśmiechał się sam do siebie, uśmiechem, który jego zawziętą twarz wypiękniał, rozjaśnił, odmłodził.  
— Odmianę zastaniesz — powtórzył.  
Lecz w tejże chwili Pietrek uniósł się na łokciu i zapytał nagle:  
— Czuj, Sobek, powiedz wpierw, na co się tu pospolite ruszenie zebrało? Gadali mi, że na króla, aleć to rzecz nie do wiary...  
Twarz Sebastiana zagaśła nagle.  
— Nie do wiary, ale prawda... Byś zdrów był, poszedłbyś z nami... Przeciw królowi powstałim, owszem, zbrojnie go przymusić do potwierdzenia konfederacji warszawskiej, a także naprawy Rzeczypospolitej...  
— Zbrojnie przymusić? Króla?!... Cóż kwarciani? — pytał gorączkowo Pietrek.  
— Przy królu stoją. Pod Wiślicą się kupią. Hetman polny już pono z Ukrainy ściągają, a litewskiego mają tu sprowadzić...  
— I co wtedy?!  
— Jak to co? Bić się będziemy...  
— Bić się z nami?! — zakrzyknął Pietrek ze zgrozą.  
— Ciebie tam przecie nie będzie — szepnął Sebastian z tkliwością.  
— Nie może to być! Nie może to być! Sobek! oręzasz się praż, na mnie powstawał, a na taką imprezę idziesz?! Nie znasz, co wojna, nie biłeś się nigdy... Lubo prać wroga — ale swojego?! O Jezu! W najmężniejszym by serce struchlało... Na króla nie macie innych sposobów? Nie ma to Sejmu? Nie ma praw?  
— Są prawa, ale trza, by Sejm jednomyślnie uchwalił je za zgwałcone. Zaś w Sejmie zawdy połowa pójdzie tak, połowa inak, frakcja dworska krzykaczów przekupi i Sejm się rozlezie...  
— Ze swoimi wojna — powtarzał Pietrek dygocąc jak w febrze. — Tyla luda!... Niechby, psiekrwie, ruszyły na granice — zakrzyknął naraz z wściekłością — nieprzyjaciela przegnały, a

dopiero wojnę skończywszy, o naprawie jęły radzić... Tam giniem, a ta hołota stoi tu nic nie robiący!... A ty z nimi!... Boże!

— Nietekto mi to przyszło... Co mam gadać, kiej mię znasz... Pomiarkuj sam: przyjeżdżali, namawiali, coraz większy ucisk wiary i świętych swobód naszych ukazując... Anim chciał słyszeć i innym jeszcze odradzał, zakonu się swego trzymając. Aż napadli na Wiszowatych... wiesz? we Wrocimirowej... Miał tam Osterode, Niemiec, drukarnię naszą założyć; tłoki do starego lamusa zwiózł. Biskup krakowski swoich ludzi nasał... Na dom szlachecki, któren *inviolatus* ma być, targli się po zbójceku. Wiszowatych jak baranów powiązali, nożami im grozili... Tłoki zabrali i uszli... Bychmy nie nadbieżeli, poginęłyby niebożęta, usta szmatami mając zatkane... O pomstę do nieba woła taki gwałt! Starosta czynił, co mógł, chodził za tą sprawą... Nic! Zaparli się w żywe oczy wrzekomo o niczym nie wiedząc... A człowiek Wiszowatego widział samego biskupa w lektyce, jako z dala kierował inkursją!... Słyszałeś! Tom se rzekł: skoro już szlachcic we własnym domu bezpieczeństwa nie ma i byle klesze wolno mu na gardle sięść, trza skrupuły odrzucić i do tych, co się za nami ujmują, przejść... Ale ci jeszcze raz rzekę, że mi to letko nie przyszło, oj, nie!...

Pietrek słuchał z natężeniem.

— Gwałt to był isto, ale jedno z drugim kupy się nie trzyma. Wielu razy zdarzy się najazd somsiedzki czy inny, a nikt o to wojny nie animuje...

— Za wielu tych krzywd się zebrało... Nie najazd to ni sprośny czyj wybryk, jeno systema z góry nakazane, do wyniszczenia naszego idące... Król to z jezuitami wszczął, nas przyniewolił. Na ich sumnienie grzech...

— Nie obstarję ja za królem... Nikt tak jak my nie zna. co on wart, kukła przebrzydła!... Ale nie takim manierem, nie wojną! Nieszczęście jeno z tego wyjdzie.

— Co począć? Posłuchaj jeno! Zbór ginie. Przy takich persekucjach dezercja zeń ustawiczna. Trudno ludzi o to winić, boć każdy chce żyć... Kilkanaście lat jeszcze takiego ucisku, a zboru nie będzie... Musim go ratować, bronić... Najświętsza to dla nas rzecz...

— Pierwsza Rzeczpospolita niż zbór.

— Pietrek! Toćżeś nasz! Chrystianin! Wiary się zaparłeś?

— Żołnierz jestem hetmański, nic więcej — odparł twardo chłopiec. — Nic więcej! Wiem, co by pan hetman rzekł: nie mędrkować, nie pyskować, granicy strzec... To jest przykazanie dla mnie!...

— Chryste! A zbawienie duszy?

— Kiedy na polu w uczciwej potrzebie legnę, tom i o duszę spokojny... Kalekam teraz nie do boju, ale pomnij. Sobek: bym zdrów był pierwszy bym przeciw wam przy hetmanie stanął...

— Przeciw mnie? Bratu?

— Cóż robić? Ja nie teolog ani mędrak, nie hultaj z kupy swawolnej lub z pocztu pańskiego. Żołnierz jestem, żołnierz Rzeczypospolitej, rozumiesz?

— Zamilcz, Pietrek! Tu o wiarę naszą świętą, o swobodę sumnienia idzie... Ważniejsze one niż wszystko...

— Moje sumnienie swobodne, gdy swoją powinność wypełnię!

Zaległo ciężkie, nieznośne milczenie.

— Szkoda gadać dłużej — rzekł nagle usarz powstając. — Konie popaśły, będę się zabierać w drogę.

Sebastian poruszył bezdźwięcznie ustami, ale nie rzekł nic.

— Podprowadzę cię kęs drogi — ofiarował się wreszcie nieśmiało, gdy Pietrek już siadł na wóz.

— Jak chcesz. Chodźwa piechty; Boguta pojedzie za nami.

Przecisnęli się milcząc przez majdan, na którym od dwóch niedziel odbywał się dniem i nocą nieustanny wiec czy sejm. Gdy jedni, znużeni, szli spać lub jeść, zjawiali się drudzy, wypoczęci. Chętnych do gadania nie brakło nigdy. Potoki wymowy płynęły z ust domorosłych Cyceronów, z rozkoszą zaspokajających przyrodzoną żyłkę oratorską. Każdy z niezliczonych mówców głosił inne prawa, konstytucje i projekta polityczne, jednaki od słuchaczy odbierając aplauz.

Ulewnym deszczem padały kwieciste metafory, alegorie, bóstwa greckie, przykłady starożytnych herosów Romy i Hellady. Świetnie utrzymane i zaopatrzone wojska obozowały dokoła huczno i gwarno.

— Próźniaki — mruczał Pietrek z pasją — wałkonie! Tu się wylegują, a tam, przy hetmanie, nikogo!... Sobek! — rzekł nagle, przystając, gdy minęli główny obóz. — Co tobie do tej hałastry? Wracaj ze mną doma... Sobek!...

Sebastian potrząsnął głową, dawnym uporczywym i posepnym ruchem. Pietrek chciał nalegać dalej, lecz w tejże chwili konferujący opodał na drodze z jakimś jezdny pan komornik Wąsowicz podbiegł ku nim, srodze zalterowany.

— Słyszeliście, waszmościowie, ekstraordynaryjne nowiny? Car Dymitr ubit, a wszyscy nasi, co w Moskwie byli, porznięci!

— Porznięci? Kiedy?

— Jeszcze w maju... Dwudziestego siódmego... jeno wieści Moskwa nie puszczała... Ot tobie, panie wojewodo sędomirski! A pysznił się a wynosił, że carskim jest teściem...

— Straszne rzeczy!...

— A poniekórym naszym panom ubył kandydat do tronu — dokończył z satysfakcją pan Wąsowicz. — Trza lecieć co prędzej, zawiadomić gremium...

Ruszył pędem, ile mu tylko pozwalała tusza. Bracia stali, milcząc, na gościńcu. Carewicz Dymitr... Opowiadanie o weselisku... Wieczera w Łowinku... Obawy słuszne podstoliny... Przemkły przez głowę Pietrka i zagasy jako szczegół bez znaczenia wobec szarpiącej serce zgryzoty.

— Ostaw ich, wracaj! — próbował jeszcze namawiać, lecz urwał z beznadziejnym gestem, spojrzawszy w zamkniętą twarz brata.

— Jedź z Bogiem, Pietrek...

— Ostawaj z Bogiem...

Wóz ruszył z turkotem. Sebastian stał nieruchomo, patrząc za odjeżdżającymi, póki nie zniknęli z oczu.

„Jedź ze mną” — mówił Pietrek... Ej! Ej!. Ani się domyślał, mówiąc, jak się w nim do tego serce rwało...

**W**racał powoli, z głową przygniecioną ciężkimi myślami. Odmowa brata, jego jawne odstępstwo od wiary dolewały nieznośnej goryczy poprzednim udrękom, które też małe nie były. Czuł się w obozie pokrzywnickim gorzej, niż to mógł przypuszczać Pietrek. Próźniacze, od paru niedziel beczynnie stojące tłumy były dlań od pierwszej chwili obce i nieznośne. Całymi dniami przesiadywał zamknięty w swej szopie, gdzie leżąc nieruchomo wyciągnięty na słomie, powtarzał sobie: Trzeba! Trzeba! Trzeba! Wiary bronisz... Zboru bronisz... Ostatnia nadzieja dla zboru — zwycięstwo rokосу i elekcja Batorego. Im silniej ogarniała go przemożna chęć rzucenia wstrętnego dlań zbiorowiska i powrotu w podwójnie teraz umiłowaną samotnię, tym bardziej, twardym narzutem przywykłego do ciągłej dyscypliny sumienia, rozkazywał sobie

trwać na stanowisku, bronić sprawy, strzec, aby nie utonąła w morzu sprzecznych interesów, planów i poszczególnych ambicji.

Jeno czy rokosz zwycięży?...

Mimo widoku olbrzymich sił zebranych zwątpienie zaczynało wsączać się do duszy, gdy patrzył na panujący w obozie chaos, brak jednolitej myśli i kierunku. Dwie niedziele minęły, jak wysłano delegatów do króla z ultimatywnym żądaniem, by się, niemieszkający, w terminie pięciodniowym w Pokrzywnicy przed oblicznością rokoszu stawił — zapowiadając uroczyście, iż w przeciwnym razie, „*non obstante absentia* Jegomości Króla, naród postanowi sam, co *praesens rerum status requirit*”. Król się nie stawił (Sebastian przyznawał w duchu, że trudno mu się było dziwić) — naród zaś nic nie postanowił. Nie wiedzano, co dalej czynić, oczekiwano decyzji hetmanów. Większość sądziła, że potęga wojsk zebranych wystarczy sama, by króla i dworskich przerazić, bez potrzeby dalszej akcji. Tymczasem król ścigał wojska pod Wiślicą. Wbrew zapewnieniom przywódców rokosz nie ogarnął snadź całej Rzeczypospolitej, bo w dwa tysiące ludzi pociągnął do „sodomczyka” Sieniawski, cześnik koronny, w trzy tysiące panowie Potoccy. Pod wpływem wojewody Gólskiego szlachta ruska opowiedziała się za tronem, o czym, zgrzytając zębami, mówił starosta zygwulski. Wielkopolska czekała na dalszy rozwój wypadków. Siła zależała od hetmana polnego, Żółkiewskiego, który spiesznymi pochodami szedł od południowej granicy. Mimo jego enuncjacji, nieprzychylnych dla rokoszu, czasu zjazdu lubelskiego na Słomiany Rynek przesłanych, Zebrzydowski zaręczał, że hetman, dziewierzem jego będąc a druhem nieboszczyka kanclerza najlepszym, nie sprzeciwi się sprawie salwowania wolności i swobód, w najgorszym razie neutralność zachowując. Posłano już wcześniej co najmniejszych delegatów, by go na drodze spotkawszy pod Sandomierz kaptowali. Oczekując powrotu tychże, tłumy ogładzały okolice, klóciły się, gdy wspomniano przyszłego elekta, i gadały, gadały, gadały...

W danej chwili zwłaszcza rozlewne spusty wymowy doszły do szczytu, świeżo bowiem otrzymane wieści z Moskwy poruszyły wszystkich. Jedni współczuli pomordowanym, drudzy cieszyli się z nieszczęścia nie lubianego powszechnie wojewody Mniszcha, któremu nagłego wywyższenia i spłacenia długów wielu zazdrościło. Inni jeszcze zastanawiali się, co pocnie teraz stronnictwo, które już się znosiło ze zmarłym, koronę polską mu ofiarowując. Przeciwnicy dymitriady tryumfowali głośno, wnosząc pod niebiosa swój przenikliwy rozum polityczny — zwolennicy psy wieszali na zdradzieckiej Moskwie.

Sebastian przeciskał się wśród nich prawie obojętnie — duszą wybiegłszy daleko za obóz. Zdało mu się, że jedzie wraz z Pietrkiem do domu...

Nie było nigdy między nimi zwady, nie pożegnali się w żalu... Jadą społem, radośni, weseli, Boguta zacina konie pod wzgórze, debrze bukowe, skąd obejście widać... Kamienie toczą się ostro spod kopyt... Z rześkim pluskiem tryska pod kołami potok... Już wjeżdżają na dziedziniec... Matka, stryj, Hanka... Hanka! — matka obejmuje Pietrka... Słońce patrzy złościście na radość... Są wszyscy razem, nikogo nie braknie... Mięknie spancerzone serce milczka, samotnika, roztopia się w jasnej błogości. Za górami są, za lasami, bezpieczni, dalecy od walk, hadrunków i swarów... Nie potrzebują nic wiedzieć o tym, co w świecie się tworzy...

Wstrząsnął się naraz, ockniony, i ręką powiódł po czole prawie z przerażeniem.

„On jeden odstępcza — pomyślał — ja drugi: a zbór niech ginie!...”

Zwarł się w sobie, przegnał precz z głowy marzenia, ostudził twarz i sztywnym, twardym krokiem poszedł ku swojej kwaterze, trafiając po drodze prosto w ramiona grubego komornika Chęcińskiego, pana Wąsowicza.

— Jakżem rad, że waści spotykam! — wołał tenże kordialnie. — Opowiedziałem już nowiny moskiewskie po całym obozie. Wszędy od rumoru aż się trzęsie... To waści brat ten

usarz, któren przyjeżdżał?

— Brat.

— Grzeczny kawaler, udał się nam. Jużci, gdyby zdrowie folgowało, ostałby tu... Co?

— Nie wiem — rzekł krótko Sebastian.

— Z odpowiedzi waści suponuję, że alterkacja musiała między wami *ex re* fundamentów politycznych zajść?

— Bynajmniej.

— Tedy chwala Bogu! Gorzko byłoby pomyśleć, że tak zacny adolescens regalistą jest, co się aktualnie wyklada: wrogiem wolności... Waści nazwisko jest Pielsz?

— Pielsz z Czarnego Potoku, zawołania Nabra.

— Starożytny to klejnot, wiem! Parę niedziel blisko stojąc, nie znaleźmy się dotychczas, co nie dziwota w tej ciźbie... Byłżebyś waśc krewniakiem onego Pielsza spod Sambora, cudem niezwykłym wsławionego?

— Krewniakiem — przyznał Sebastian poglądając z rozpaczą, którądy mógłby ujść.

— Nie może być! Podwójniem tedy rad z koneksji! Niebyste to było zdarzenie, o którym cała Rzeczpospolita mówiła... Znam wszystkie szczegóły, od naocznego świadka je przejąwszy... Wiem, jako krewniak waćpana siadł w trumnie i pergaminem potrząsając wezwał gromko obecnych, by za jego przykładem idąc, błędy heretyckie rewokowali...

Urwał, bo gwar niezwykły podniósł się w obozie. Zewsząd grzmiały przeciągłe wiwaty.

— Coś się stało! — zawołał biegnąc ku najbliższej grupie ludzi. Sebastian odetchnął wymykając się szparko do siebie, lecz pan komornik już wracał.

— Pan hetman polny nadjeżdża! Pan hetman polny już blisko! — krzyknął radośnie. — Dzień samych nowin osobliwych, wszakże ta najpocześniejsza!!

Zawrócił, by iść na majdan.

Sebastian zdjął czapkę i przesunął dłonią po spotniałym czole.

— Wiera, najpocześniejsza — mruknął — może się wreszcie zacząć coś czynić statecznie.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

### OBROŃCY WOLNOŚCI

**P**an Stanisław Żółkiewski, hetman polny koronny, kasztelan lwowski, zdążył ku Pokrzywnicy z kilkoma tylko czeladzi. Jechał stępą, a rad by był jeszcze zwolnić kroku, po raz pierwszy bodaj w życiu łamiąc się dusznie sam z sobą. Splątane myśli wiły się po głowie sprzeczne, niepewne jasnej zwykle drogi obowiązku. Z trudem siłąc się owoładnąć ich rozstrzelonym chaosem, hetman rozważał wszystkie *pro* i *contra* wszczętej przez szwagrów

imprezy, na ścisłych szalach obywatelskiej powinności i sumienia ważąc starannie rychłą swą decyzję.

Nie była łatwa do wzięcia ni lekka. Co go trzymało przy królu? Nic, krom przysięgi poddańczej. Co był wart król Zygmunt III? Niewiele. Człowiek mały, ciasny, obcy, obojętny narodowi, we wszystkich swych poczynaniach wysoce szkodliwy. Jak bardzo obcy i lichy — mało który z najzawziętszych, wrogich „sodomczykowi” krzykaczów wiedział równie dobrze jak on, Żółkiewski, druh najlepszy nieboszczyka Zamoyskiego, wtajemniczony we wszystkie tajne królewskie, przez kanclerza przechwytywane kabały. Onże miał swojego czasu w ręku dokument tajnego układu, w Rewlu z Ernestem Habsburgiem zawartego — dowód niecnej frymarki koroną. Zasłyszeli coś niecoś o tej sprawie Zebrzydowski i Stadnicki, gadała o niej po całej Rzeczypospolitej szlachta, nic pewnego jednak nie wiedząc — on zaś haniebny ów papier widział i czytał! Z uśmiechem politowania spoglądał w oczy królewskie na sejmie inkwizycyjnym, gdy pociągniony do wyjaśnień Zygmunt wyparł się, odprzysiągł wszystkiego, jako oszczerstwa. Zmilczeli, kanclerz i on, nie chcąc resztek powagi królewskiej druzgotać. Bądź co bądź, ten mały, tchórzliwy człowiek był królem, przedstawiał władzę prawowitą, majestat Rzeczypospolitej. Był zwierzchnością, z dobrowoli przyjętą, mocą nieprzymuszonej przysięgi obojga złączonych Narodów ponad państwem postawioną. Zmilczeli zatem... A teraz? — Zadeptać własną przysięgę? Nauczyć naród, że wolno i z pożytkiem bywa zobowiązania swojego nie zdzierzeć? Jakże groźny to precedens! Wiadomo, do czego częste zmiany panów doprowadziły Wołoszę i Węgry... Byle raz zacząć...

Westchnął, w rozważanie biorąc drugą stronę sprawy:

Za niewątpliwe długowieczne krzywdy, przez wyłom w sumieniu narodowym uczynione, jakie dobro zyska rokosz? Czym straty nagrodzi? Stara maksyma przebiegłego Włocha, mistrza nie zrównanego w gorzkim znawstwie ludzkich natur, wychynęła ze spodu pamięci, spłynęła sama na wargi: „Zamachy stanu chwalebne są i pożyteczne, gdy się udają; przeklęte i zgubne, gdy celu nie osiągną i zawiodą...” Niezbita, słuszna maksyma! Jak sądzić według niej aktualny rokosz? Jakie mu wróżby i cynozury postawić? Uda się — czyli zawiedzie? Twórczy jest — czyli bezpłodny?

Nie chcąc wydawać sądu przedwcześnie, jechał sam do Pokrzywnicy, aby własnymi oczami ujrzawszy powzięć o ruchu tym zdanie. Siłę zgromadzili wielką, ale kto nią rządzi? Czy mnóstwo zebrane pręży się jak jedna wola, zna cel, ku któremu skupia swe wysiłki? Choć świadomy zupełnego braku instynktu państwowego u szlachty, łudził się, że tym razem może jest inaczej... Kto wie? Może się tam rzeczywiście zebrali najlepsi? Może zdrowa myśl naprawy Rzeczypospolitej jest sprężyną puszczającą pocisk gniewu tego tłumu?

„Obaczę... Uznam, czyli można ostać przy nich, czy z ciężkim sercem opowiedzieć się przy królu, bez miłości, bez przekonania, broniąc w nim jeno zasady prawowitej, przez naród usankcjonowanej władzy...”

Jakże rad bym uczynił to pierwsze! — pomyślał z westchnieniem — jakżebym ohotnie poszedł tworzyć wraz z innymi nowe zarysy gmachu najmilszej ojczyzny, wymiatać precz błędy dawne!... Obaczę... Ciekawość, kto nimi rządzi? Czy wybrali już spośród siebie wodza? „W tym grunt...”

Przebiegł myślą znajomych mu, a w przeważnej części i powinowatych, przywódców rokoszu, z żalem stwierdzając, że żaden nie łączył w sobie przymiotów potrzebnych wodzowi.

„Sam weź w rękę i poprowadź!...” szepnął jakiś głos wewnętrzny.

Potrząsnął głową przecząco:

„Sam? Nie!... Sługą być tylko mogę Rzeczypospolitej, nie gwałcicielem i reformatorem... Miękki jestem; skrupułów pełen... Przodownik skrupułów nie śmie mieć, do celu idąc na przelaj... Nie mnie tam potrzeba, nie!...”

Jeden był...

O królu niezapomniany, odeszły! O wodzu! Czemuż cię zbrakło?...

W nagłym porywie żalu uprzytomnił sobie tego, co się pokochał w szalonym polskim narodzie, zaśnił o nim rzeczy wielkie, zawładnął, porwał i — odszedł nie zdążywszy wprowadzić zamysłów swych w czyn... Gdy odszedł, odetchnął z nagłą ulgą gmin szlachecki, wyzwolony spod stopy „tyrana”. Zmierchło nad Rzeczpospolitą...

Zamyślony hetman zdjął mimo woli kołpak z głowy, bo ujrzał przed sobą, jak żywe, twarde, nieugięte rysy, orli Stefanowy wzrok, żelazne ręce złożone ze spokojną mocą na kolanach... Zatopił w widzie tym pełne smutku oczy...

O królu niezapomniany! wodzu mądry, przenikliwy! ześlij podobnego sobie!

Daj przywódcę narodowi!

Niech stanie wojownik twardy, ale sprawiedliwy, mocen opanować tłumy, strzymać je w ryzie, stalową stopą, o ścieżki własnej korzyści niedbałą, powieść niesforny, bezładny lud polski... Niech przyjdzie! Uchylę się przed nim szczęśliwy, skrupułów, wahania zbywszy... Pójdę pod jego dowództwo z radością... Ześlij bezwzględника, nie schlebiającego nikomu, nie liczącego się z niczym, prócz z dobrem Ojczyzny, umiejącego zgnieść, podbić, ogłuszyć i powlec zzymający się, oporny naród ku własnej jego, nie przeczuwanej wielkości...”

Ogromny obóz pokrzywnicki uderzył jadącego w oczy jasną pstroczną namiotów. Otrzeźwiony z marzeń hetman zjechał ze wzgórza. Oczekiwano na niego w paradzie. Pod wielką chorągwią, śmiejącą się słońcu napisem: *Libertas Aurea*, i pod szeregiem buńczuków stali panowie: Zebrzydowski, Radziwiłł, Ostrogski, Stabrowski, Herburt, Grudziński, Tęczyńscy i inni. Na widok nadjeżdżającego zawrzasty surmy i trąby, gruchnęły salwy, zadrżało powietrze od krzyków.

— Wiwat hetman! Vivat victor! Wiwat bohater! — krzyczano zewsząd. Gdy zsiadł z konia, Zebrzydowski, dziewierz, Herburt Szczęsny, żonin brat, pochwycił go w objęcia.

— Vivat victor! Vivat salwator! Pogromca Kantymira! Zwycięzca udycki! Vivat! — grzmiało bez przerwy wokoło.

Hetman machnął niechętnie ręką, wydobywając się z objęć.

— Sprzed płóroka wiktoryę a śnieg zeszłoroczny wspominać — to jedno.

— Wieki o niej pamiętać będą — odparł pompatycznie Herburt.

— Ani mówić nie ma o czym — wzruszył ramionami hetman. A gdy okrzyki nie ustawały, skłonił się tłumom, dodając z powagą: — Bóg zapłać, panowie bracia... Zadosyć owacyj... Zdarzył Pan Bóg z miłosierdzia swego, że Kantymir nie z wielką odszedł pociechą, czego sam nie byłbym iście zdziałał, jeno wsparła ochota uczciwych i zacnych ludzi z tamecznego województwa, którzy, jako do wspólnego ognia gaszenia, zbiegli się ku mnie...

Lecz szlachta wiwatowała coraz zapalczywiej. Pan Chocieski, rymopis, Pindara lutnię z Homerową łączący, wdrapał się na stożek siana, intonując ułożoną na poczekaniu pieśń, którą zebrani podchwycili chórem:

Miła wszystkim wspominać, słodka o tym mowa,



Co twa z niebezpieczeństwem zniosła mądra głowa;  
Czy na zdrajców narodu, czy pożar pogański,  
Gotowy cię nieść wszędzie animusz hetmański!...

— Zadosyc, panowie! Zadosyc... Dziękuję uprzejmie!

Wziąwszy gościa pod ramiona, panowie przywódcy wiedli go ostentacyjnie ku głównej kwaterze, między długim szpalerem stojących w paradzie chorągwi. Hetman idąc lustrował je baczny okiem starego żołnierza. Tłum ciągnął z tyłu krzycząc i śpiewając:

Niech Wołosza, Podole i Inflanty własne  
Z włością — twe zdrowie sławią, coś niósł, by tam w straszne  
Sznupki nie podpadała ta Rzeczpospolita.  
I tak często z twej łaski jej berło zakwita...

— Wojsko nadciąga? — spytał poufnie Zebrzydowski, z przymilnym uśmiechem ściskając dziewczera za łokieć.

— Wojsko stoi pod Opatowem. — Spojrzał na pytającego ze zdziwieniem, ogarniając wzrokiem jego postać w pokutniczej szacie z czarnej, ostrej wełny i nie goloną od dłuższego czasu twarz.

— W penitencjariuszowym stroju widzisz mnie waszmość, miły panie szwagrze — westchnął w odpowiedzi wojewoda krakowski — gdyż modłę się i poszczę, łaski Bożej upraszając, która by mizerny mój umysł objaśniła, co czynić dalej...

— Nie wieszże tego jeszcze? Nie jesteś głową zebrania?

Zebrzydowski gwałtownie potrząsnął rękami, negując.

— Uchowaj Boże! Wyrazicielem jestem jeno woli powszechności, najniższym narzędziem... Pod przymusem przyjąłem przełożenie, lecz go nie sprawuję, błahe me zdanie pod światło panów braci oddając. Naród rządzi, nie ja... *Vox populi, vox Dei!* — dodał wznosząc oczy pobożnie ku niebu.

— *Vox populi, vox Dei* — podjęło kilkanaście głosów w pobliżu.

— Siła tu zaciejszych ode mnie, pełnego modestii chudziaka — ciągnął wojewoda krakowski. — Oto — wskazał ręką Radziwiłła — prawdziwy Kodrus ateński, miłością Ojczyzny bohaterom, których starożytność w rzędzie półbogów stawiała, równy. Oto jegomość starosta zygwulski; wdał się w sam środek pałającej nienawiści, życie swe w jawne podając niebezpieczeństwo... Oto pan starosta bydgoski, którego ostatek chudoby gotów na rozkaz powszechności poświęcić... żaden z nich nigdy przeciw narodowi co czynił, jeno posłusznie za chęcią powszechną chodził...

— Więc któryż z waszmościów jest wodzem nagromadzonych tu sił?

Weszli do wspaniałego Radziwiłłowskiego namiotu, gdzie służba zastawiała suty poczęstunek. Tłumy przestawszy wiwatów podejmowały swe zwykłe wiecowanie całodzienne na placu.

— Żaden! — odparł z dumą Herburt na zapytanie hetmana — Żaden! Wodzem jest naród... Wszyscyśmy równi miłością Ojczyzny i ukochaniem wolności... Rządzi ta zacna szlachta, hojnie opatrzona *dono sapientiae et intellectus*...

— Jedynym tu wodzem, którego każdy słucha bezapelacyjnie: miłość swobody i Rzeczypospolitej! — przywodził górną Stabrowski.

— Tak?... pokiwał głową hetman. — Zaś walne decyzje, szybkości uchwycenia momentu wymagające, jako rozstrzygacie?

— Nic się nie dzieje bez poddania aklamacji powszechności...

— Z tego wnoszę — skonstatował pan Żółkiewski z pewną ulgą — że jeno obrady, jakoby sejmowe, nie walka orężna, są celem waszmościów?

— Jak to? — oburzył się Herburt. — Przeciwnie! Walka i nic więcej! Dość sejmikowania! Mógł Sigismundus akceptować nasze uchwały wcześniej... Obaczy teraz, co możemy...

— Skoro król, oby skonał, sześćdziesiąt siedem punktów rokoszowych do wiadomości przyjąć nie chce i przed oblicznością zjazdu się nie stawił, uchwalilim z tronu go zwelc, a nowego elekta wprowadzić...

— Zaś jeśli ustąpić nie zechce?

— Nie zechce? Sto tysięcy nas tu stoi! Na Kraków ruszmy! Niech wynijdzie w pole z garścią zdrajców, co przy nim ostaną!

— Nie ulęknem się!

— Starczy nas, starczy ochoty, by wolność salwować!... Nie zbraknie serca, słuszną urazą dobrze wyobroczonego!...

— I hetman litewski go nie obroni...

— Starosta Żmudzki taki sam niecnotliwy jak król z Myszkowskim Gonzagą... Jednaka ich kara spotka — warknął Radziwiłł, któremu twarz się ściągnęła na samo wspomnienie Chodkiewicza.

— Sroga rzecz, krwi bratniej przelew...

— Nie brat, kto na zgubę wolności nastaje!... Tatarzyna gorsi, którzy, miast z bracią się łączyć, Sodomczyka popierają... Kto będzie winien tej krwi? Ci, co się do nas nie przyłączyli, bo jużci, gdyby nikt przy królu nie ostał, walki by nie było — wywodził logicznie Grudziński.

— Król najbardziej winien, paktować z nami nie chcąc. Teraz już za późno...

— Nigdy nie późno, by rozdarcia w narodzie oszczędzić.

— Nie! nie! — wrzasnął Stadnicki. — Skończone! Żadnych paktów! Choćby tu anioł mediatorem stawał, nie ustąpię, aż króla nowego obierzem!...

— Który zaprzysięże swobody kardynalne, niewzruszone!...

— Przywileje konieczne zawaruje!

— Nie dopuścimy do zachcianek o *absolutum dominium*!

— Protegowania faworytów!

— Nakładania nieznośnych ciężarów!

— Naród ma rządzić, nie król!

— Któż jest elektem waszmościów?

— Karol Sudermańczyk...

— Nieprawda! Gabriel Batory!...

— Dymitr... Nie, już ubit... Najdzie się inny, byle z ruskich, żeby od Moskwy był spokój...

— A choćbyśmy i diabła obrali, lepszy będzie niżli ta kukła sodomska!

— Słuszne słowa, przecie imienia Złego lepiej nie wspominać, grzechu nie ściągając — reflektował Stadnickiego pobożny wojewoda krakowski.

— Kiedy zamierzacie ruszyć waszmościowie? Spojrzeli po sobie, nieco zaskoczeni.

— Kiedy?... — powtórzył przeciągle Radziwiłł. — No, jużci, niedługo... niedługo... Ino wrócą delegaty do kandydatów posłane, boć trza wprzód warowne od nich przyjąć deklaracje, a obaczyć, który foremniejszy da gwarancje swobód...

— Za czym, decyzję pod zgodę powszechności poddawszy, konstytucje przyszłe z góry postanowim...

— Inaczej przedstawiałem sobie propozyt waszmościów — zaczął pan Żółkiewski w zamyśleniu. — Inaczej zgoła... Opaczne mi się zda to wszystko... Trzech kandydatów?! A naprawy Rzeczypospolitej ni reformy nijakiej w programie waszym nie widno...

— Naprawa sama wynijdzie z obwarowania a ocerklowania elekta jako należy...

— Ejże! — zachnął się hetman niecierpliwie. — Nicowanie to prawdy, nie uchybiając waszmościom... Jakoby widzącemu w południe macać drogi kazano albo węzła w matni szukać, bo wszystko zło właśnie z ocerklowania władzy królewskiej się wszczęło...

— Żartujesz, Wasza Dostojność!

— Na próbę nas, miły panie szwagrze, bierzesz?

— Więc taka ma być jeno *ratio* tej sedycji? Taki *finis*? — ciągnął hetman nie zważając. — A ono mnóstwo zebrało się tu jeno, by narodowi przypomnieć żalosne czasy ostatniego bezkrólewia? Pomnę je dobrze, gdy dotąd raz byczyński doskwiera.

— Niezapomnianej chwały kanclerz, któregoś Wasza Dostojność rad mistrzem i druhem mianował, dyrektywę mu nad swoim summieniem oddając — odparł z przekąsem Radziwiłł — miał przecie w głowie ten rokosz cale już uformowany, jeno śmierć w poprzecz stanęła...

Spokojne oczy hetmana zabłyśły.

— Daruj waść, ale byłby on całkiem inakszy — rzekł twardo. — Dla odmiennych celów spopreżony, a inaczej w cugle wzięty.

— Może to być — przyznał Radziwiłł niedbale — bo kanclerz, świeć Panie nad jego duszą, tyrańską modłę nieboszczyka Stefana popierał... Nie w tym rzecz... Mawiał tedy kanclerz: dość cierpieć, gęby mając jakoby zaszyte... Którzy nie tylko gąstolić, ale ruchać się umieją — niech czynią...

— Czynić można różnie...

— Jakoby łabędzia umierającego była ta jego śpiewka! — zakrzyknął patetycznie Herburt. — Ostrzeżenie o nagłości salwowania oprymowanej swobody! Wojewoda krakowski, senator cnotliwy, pierwszy na śpiew ten się ocknął i nas za sobą powiódł...

— Nie chciałem zrazu — przerwał skromnie Zebrzydowski — gdy jednak sam Pan Bóg ślacheckie serca ku zamysłowi temu pobudził, ruszyłem za bracią... Bóg widzi, że nie z prywaty, choć nikt tak nieznośnie od Sodomczyka skrzywdzony nie został jak ja, któremu dachu nad głową zaprzano... Wszakże ja swego nie szukam... Za wolą narodu poszedłem... Stąpam jako po brzytwach, nie wiedząc, zali wszystkim dogodzę...

Pan Żółkiewski spojrział na mówiącego badawczo, stwierdzając w myśli, że wielkość podjętego przedsięwzięcia nie odmieniła w niczym wojewody krakowskiego. Był tym samym, co zawsze, ambicjuszem, bez krzty odwagi cywilnej, zatopionym w dewocji oraz rozpamiętywaniu urojonych krzywd, zawziętym, a zarazem chwiejnym, wygórowaną miłość własną i pychę osłaniającym pozorem świątobliwej pokory i uniżonej skromności.

— Jedyna moja pociecha — ciągnął dalej, wznosząc w górę oczy — zem otworzył umysły braci. Już teraz grozę *absoluti dominii* a opresję swobody na oko widzą, walczyć z nią ochotni...

— Wszystkie despekta i wszystkie dysgusta wziął na siebie ten ojczyc narodu, w zacności najznakomitszym nie ustępujący, byle powszechność do ratowania skołatanej Rzeczypospolitej nakłonić — deklamował Stabrowski.

Wojewoda krakowski protestował, o swojej małości zapewniając, lecz zakrzyczeli go Herburt i Tęczyński. Za czym wszyscy czterej pompatycznie i wymownie prześcigali się w oddawaniu sobie pochwał oraz wyszukanych superlatywach.

Hetman milczał. Obojętnym uchem chwycił co dziesiąte słowo, myślą odbiegłszy daleko. Na wargach drżał gorzki ślad uśmiechu politowania nad samym sobą, nad własnymi złudzeniami

niepoprawnego marzyciela. Oto jak wyglądała rzeczywistość rokoszowa! W otrzeźwionym z nagła umyśle przyznawał, że nie mogła wyglądać inaczej. Wszak znał tych ludzi. Mógł przewidzieć zawczasu, że poczynać będą tak, nie inac. Po co tu przyjechał? Zebrane dokoła tłumy były niewątpliwie potęgą, ale potęgą nieokiełznaną, bezwolną. Moc ich, nie ujęta w żadne karby, miał runąć niszczącym, ale ożywczym strumieniem, roznieść stare formy i odrodzić, rozlała się z szumem w niegroźną, mętną kałużę. Będzie stała, krzykliwa, aż się zacuchnie i stęchnie. Nie uderzy w przeciwnika taranem gniewu nie zwiąże się z nim w życiodajnym, twórczym starciu, nie dokona nic wielkiego ni pożytecznego...

— Chwila to arcyważna, podobnej sobie w dziejach nie mająca, boć i Gliniany niczym w porównaniu — perorował Herbut, zamyślenie szwagra za dobre biorąc omen.

Zaś przed oczami hetmana, nie wiedzieć skąd i czemu, zamajaczyła nagle Wisła, rzeka — nie spod Krakowa albo Sandomierza, wąska, przejrzysta i wartka, lecz Wisła spod Góry, Warszawy, Dobrzynia — gnuśna, bezkresna, jako ten rokosz silna, a niemocna. Za szeroką płachtą ledwo sunącej się wody jaśnieje płowy grzbiet piaszczystej łachy, za nią nowa struga wody, znów piasek, wikliny, znów woda... Pół łokcia ledwie głęboka. Brodzą, szukając mozolnie nurtu głębszego, oryle. Rozgląda się bacznie za ciemniejszym pasmem głębi retman wiodący galary. Kędyś daleko, we mgle, majaczy właściwy brzeg zestroszony czochratymi rokitami. Nurt przewala się to tu, to tam, pod ten, to pod tamten ład. Nagle, bez żadnej przyczyny, bije w złości brzeg ostrowu, wywala drzewa, kąsa wściekle glinę, zalewa gniazda brzegówek, pieni się i tłucze, by o małą staję dalej rozlać się znowu leniwie i sunąć ciężko po piasku. O rzeko macierzysta, ogromna, próżniacza — jakżeś w swym bezwładzie, w porywach nagłych, jałowych, do tego tłumy szlacheckiego, polskiego, podobna!

— *Tandem*, one prerogatywy fundując, naprawę Rzeczypospolitej rozpocznem — ciągnął krzykliwie Stabrowski.

Hetman podniósł nań przecknięte z zamyślenia oczy.

— Nie trza nowych prerogatyw — przerwał spokojnie. — Dość ich mamy ze szkodą pono innych stanów. Poszanowania trza istniejących praw... Ot co! Silnej, przez odpowiedzialnego, dufności godnego pana strzeżonej egzekutywy...

— Naród egzekucji będzie strzegł!

— Naród zawdy w śmiech obraca i uniemożliwia wszelką egzekucję, zaś raptem miałby jej strzec?... Inaczej to sobie reprezentowałem — powtórzył hetman drugi raz, z cicha, jakby do siebie — zgoła inaczej. Są wielkie bolączki w Koronie, wołające o naprawę, są urazy, do zguby Rzeczypospolitą przywieść mogące, których (co tu gadać) wielmoże i szlachta sami przyczyną a powodem...

— Rzekłby kto, iż Wasza Dostojność sam nie z zacnej krwi pochodzisz — warknął uszczypliwie Stadnicki.

— Leczyć one braki trzeba, przecie nie takim manierem, by zaś kuracja gorszą chorobą nie była... Zda mi się widzieć tutaj, w obozie naszym, te same bolączki, utrapieniem będące Rzeczypospolitej... *Medice, cura te ipsum!*

Chrząkali gniewnie, zniecierpliwieni i znudzeni.

— Raczże nas oświecić tedy, miły panie szwagrze — zaczął Zebrzydowski głosem syconym fałszywą słodyczą — jakim manierem jąć się mamy koniecznej naprawy? Radzi zdania światłego posłuchamy a pouczym się...

— Dwie są jeno drogi do naprawy, jako historia wskazuje — odparł pan Żółkiewski poważnie, nie zwracając uwagi na szyderstwo. — Jedna — to zamach stanu Cezarową modłą, raptowny, srogi, zuchwały a mądry; do tej drogi ja wśród waściów obiektu ni możliwości nie widzę... Druga — to stary, uczciwy sposób, otworem zawdy stojący: Sejm.

— Sejm? Całujcie psa w nos z Sejmem — buchnął drwiąco Stabrowski.

— Sejm — powtórzył hetman z naciskiem. — W tym żalonym położeniu innego *modum* nie widzę... Przypomnę waszmościom, w jak wielkim zachowaniu był Sejm u naszych przodków, którzy wszystkie prawa i wolności na nim stanowili...

— W zachowaniu był u naszych przodków, ale my go mamy w zadku! — krzyknął urągliwie Grudziński.

— Sejm! — powtórzył ze złością Radziwiłł. — Wasza Dostojność gadasz, jakbyś z miesiąca ekskursje na ziemię uczynił! Krotofila czysta!

— Dlaczego?...

— O laboga! Dlaczego? Bo jednomyślności nie ma! Bo posły dranie są, przekupne huncwoty, przynajmniej w połowie! Sejm zawdy się rozlezie na nic...

— Łatwo dopilnować sejmików, ludzi ućciwych, hojnie *dono sapientiae et intellectus* — (mimowolny uśmiech zagrał mu na twarzy) — zaopatrzonych, do Sejmu wprowadzić...

— Tego nikt nie dopilnuje; zawdy się kanalia wciśnie.

— Jeżeli waszmościowie nie jesteście *in statu* sejmików w swoich ziemiach rządnie przeprowadzić, jakoż ład przeprowadzicie w całej Rzeczpospolitej?

— Kazanie? — zaświstał Herburt. — Panowie! Spodziewaliśmy się socjusza, a zjechał klecha i z ambony maksymy wygłasza!...

— Dostyc tego! Wąż kłamliwy! Do ostatka nas ludzi! Przyjechał...

— Zdrajca wolności!

— Zaprzaniec!

— Na przespiegi tutaj zjechał!

— Kanclerz z abominacji w grobie się obraca!

— Wojsko na nas z Ukrainy ściągnał!

— Do uporu króla zachęca, byle krew bratnią rozlewać!

Ponowny, coraz to smutniejszy uśmiech przemknął po twarzy hetmańskiej.

— Jużci, krew bratnią rad pijam — zauważył — cały mój żywot o tym świadczy, jużci... Nie łudziłem waszmościów bynajmniej... Jakom przez pana Leśniowskiego do Lublina pisał, powtarzam, że pomogę zawdy w tym, co do utrzymania praw i wolności należy. Ale godziwym manierem! Wojskam na was nie sprowadzał, grzbietu uporu nie trzymam. Do obozów przyjechał zobaczyć swymi oczami, zali może się najść u was zbawienie ojczyzny. Uznałem, że nie. Za dużo go w wielu gębach, by się uchowało zdrowe...

— Nie wzruszył kamiennego serca waści Widok tej potęgi, tych zacnych ludzi, ochotnych głowę położyć za wolność? Widzisz te tłumy?

— Widzę i groza mnie bierze na myśl, jakie byłyby ich rządy.

— Hańba, panowie, hańba! Ślachtę dobrą postponuje!

— Dość tego gadania!... Zostajesz z nami Wasza Dostojność czy nie?

— Jeśli nie, to ruszaj z Bogiem!

— Mnie też nie w smak ta rozmowa, ostawajcie waszmościowie w zdrowiu.

— A pamiętaj, że sędzią tych spraw będzie nie kto inny, jeno rokosz sam! Pomścim obelgi, któreś nam tu zadał!

— Nie zapomnimy urazy!

— Obiecuję przynajmniej, że neutralność zachowasz! — rzucił się błagalnie za wychodzącym Zebrzydowski.

— Nie masz neutralności, kiedy w domu gorze! Jadę stąd prosto do króla...

— Bodajeś zginął po drodze! Bodajeś sparszywił ze wszystkim! Zdrajco! Poganinie! Taki synu! Nie puszczać go! — wrzeszczał pieniać się Stadnicki. Lecz wstrzymał go Herburt, nie

tracący jeszcze nadziei, że szwagier da się przekonać.

Na widok wychodzącego z namiotu hetmana zebrane na majdanie tłumy podjęły na nowo wiwaty.

— Przeście, panowie! — rzekł donośnie a ponuro Zebrzydowski. — Pan hetman polny nie jako kompan zjechał do nas, ale jako wróg, i ninie wraca do króla, krew naszą przy nim przelewać.

Cisza osłupienia zaległa plac na krótki moment.

— Nie może być! Hańba! Hańba! Gorze! — buchnęły zewsząd okrzyki.

— Mości hetmanie! Przy narodzie stój!

— Ejże! Utracić możesz tę buławę!

— Tchórz go obleciał! Miast z braćmi głowy nadstawiać, woli za króla się schować!

— Potomność nie darujec tej zbrodni!

— Nie darujemy i my!

— Zdrajca! Tchórz!... Królewski najmita!

— Parszywa owca Rzeczypospolitej!

Kruk, czarny ptaszek, choć się często mywa.

Przec swojej farby nigdy się nie zbywa!

Także też i ty nie zbędiesz swojego

Uczynku złego!

— zagrzmiął pan Chocieski, przedziwnie zaiste biegły w improwizowaniu rymów.

Uczynku złego!

--- powtórzyła zgromadzona szlachta, chórem już teraz za Pindarusem śpiewając:

Gryf, mężne zwierzę, jednym za herb dano,

Że w nich i cnotę, i dzielność widziano;

Tobie nietoperz ledwo służyć może,

Biedny nieboże!

Pan Żółkiewski dosiadł konia i ze szczupłym swym pocztem ruszył stępą, bez gniewu ani zbytniego zdziwienia spoglądając na urągające mu w bezsilnej złości gromady. Na moment ściągnął wodze, zawahał się, spojrział dokoła, jak gdyby chcąc coś rzec do tłumy, lecz wnet poniechał tego zamiaru i pchnął w przód podjezdka. Wyjeżdżającego z obozu goniły jeszcze w polu słowa pieśni:

Cielę być głupim wszyscy powiadają —

Wołowi jeszcze więcej przyznawają;

Dajemyć imię: weź, które chcesz sobie.

Albo weź obie...

## Tom drugi

### Rozdział pierwszy

#### Obrońcy prawa

**P**an Żółkiewski wysiadł z kolaski na turniejowym wawelskim dziedzińcu i szedł ku głównemu wejściu. Zniżające się już słońce zalewało blaskiem cudny dworzec Zygmunta Starego, złociło smukłe kolumny. Grały barwami freski na górnej galerii. Dziedziniec, zarastający od paru lat trawę i opuszczony z racji coraz to dłuższych i częstszych pobytów króla w Warszawie, pełen był dzisiaj dawnego życia i gwaru. Parskały, tupiąc nogami niecierpliwie, trzymane przez stajennych konie. Gdy trzęsły łbami, broniąc się od natarczywych much, dzwoniły ostro, przenikliwie złote wisiory uździenic. Kołysały się kity z barwnego pierza. Błyszcząca frędzlą oszyte kropierze spływały prawie do ziemi. Rój dworzan, służby i pośledniejszej czeladzi mrowił się pod arkadami jak pszczoły przy ulu. Alabartnicy strzegli drzwi nieruchomo. Kuchniki, dziewczki dworskie, służebne, pachotki przebiegali raz po raz dziedziniec.

Nie biorąc udziału w ogólnych pogwarach, Wojtaszek Długoraj, przesławny niegdyś muzykant, brzdąkał z cicha na lutni, oparty o słup. Ulubieniec trzech królów z kolei, osypywany przez nich faworami, dożywał tutaj opuszczonej i zapomnianej starości. Miejsce królewskiego lutnisty zajął Włoch Claboni cieszący się aktualnie wielkimi łaskami u dworu. Nie był w kunszcie swym bieglejszy, lecz cudzoziemiec... „I młodszy!” myślał z goryczą Długoraj. Nikt już nie przystawał, by go grającego słuchać. Gdy go zbyttnia tęskność zdjęła, grywał samemu sobie w opuszczonym zamku, zapatrzony w porastającą dziedziniec murawę.

Pchnąwszy naprzód pokojowca, hetman szedł z wolna na górę. Zamyślona dłoń wsuwała się sama w chłodną rynnę kutej w marmurze poręczy. Naraz przystanął i obejrzał się wokoło z pełną pietyzmu miłością.

„Niech król Jegomość jako chce warszawski stroi — pomyślał — nigdy się temu nie zrówna.”

— Wasza Dostojność — objaśnił uniżenie czekając nań marszałek dworu — o osobliwej audiencji u Miłościwego Pana dzisiaj ani marzyć... I jutro wątpliwe, gdy Miłościwy Pan srodze jest zajęty... Ninie z mistrzem Sędziwojem praktykami uczonymi się zabawia, którego, gdy odprawi, asystować będzie z całym dworem ekstraordinaryjnym produkcjom imci Niegoszewskiego...

Hetman z trudem pohamował ruch zniecierpliwienia.

— Raczże wszakże, miły waszmość panie, zameldować moje przybycie Miłościwemu

Panu, przydając, iż o rychłe posłuchanie silno proszę.

— Spróbuję — rzekł sceptycznie marszałek i odszedł do izby zwanej pospolicie Alchemią.

Hetman pozostał czekając. Owładnęły go wspomnienia, z każdego załamania gmachu bijące. Zza drzwi zawartych sunęły korowodem widma, cienie wielkie, niezapomniane a zmarłe...

— *Impossibile* — rozkładał z konfuzją ręce powracający marszałek. — Jutro po południu najwcześniej... — A widząc, że pan Żółkiewski zabiera się do odejścia, dorzucił szybko: — Miłościwy Pan wielce radzi z przybycia Waszej Dostojności, życzą sobie, byś Wasza Dostojność produkcję imię pana Niegoszewskiego obaczył...

— Co zacz? Kuglarz? Fizyk?

— O, Wasza Dostojność, uczony, jakiego dotąd świat nie widział... *Mundi miraculum*, cudem przyrodzenia zwany... Świeżo z Wenecji i Paryża zjechał. Na zapytania, z zakresu wszelkiej scjencji pochodzące, odpowiada bez namysłu wierszem heksametrowym, nigdy miary ni sensu nie chybiając...

— Gdzie dwór zebrany?

— W Poselskiej.

Hetman powolnym krokiem poszedł na drugie piętro. Z sali dolatywał głośny gwar niemiecko-łacińskiej rozmowy. Pod stropem, z którego poglądał milczący tłum głów rzeźbionych, czekało już sporo ludzi. Lśniące, fałdzone togi profesorów Akademii, wezwanych dla zadawania pytań cudowi przyrodzenia, imci Niegoszewskiemu, połyskiwały w purpurowych blaskach zachodu. Płonęły wrzącą czerwienią szaty dostojników Kościoła: kardynała Maciejowskiego, prymasa i krakowskiego biskupa zarazem, i Piotrowskiego, biskupa przemyskiego, kanclerza. Andrzej Schoneus, matematyk i astrolog, słuchał z niedowierzaniem opowiadania o mądrości uczonego Sędziwoja alchemika. Uczony jezuita Argentus z Modeny dyskursował z jezuitą Barsciusem, spowiednikiem króla, o stosunki religijne w Polsce wypytując. Pan Gostomski, wojewoda rawski, świeży neofita, dowodził zapalczywie konieczności wygnania z kraju wszystkich kacerzy, czemu oponował nieśmiało łagodny ksiądz Gissa, spowiednik królowej. Znakomitej sławy malarz Tomasz Dolabella, pierwszy raz w Krakowie będący, z udaną obojętnością rozpatrywał zdobiące salę freski wielkiego Diirera. Samo *prodigium*, fenomenalny imię Niegoszewski, przechadzał się po sali w pompatycznym odosobnieniu, wlokąc za sobą z szelestem drogocenną tokę, dar Rzeczypospolitej Weneckiej. Profesorowie ścigali go wzrokiem z niechęcią, gotując w myśli co najzawilsze pytania. Wielki marszałek koronny, margrabia Gonzaga Zygmunt Myszkowski, wszechwładny ulubieniec króla, krążył wśród zebranych, siejąc słowa łaskawe. Lśnił niby słońce od bezcennych ozdób. W połyskliwym świetle klejnotów ograniczona, pyszna jego twarz zdawała się być jeszcze bardziej wyniosła i odpychająca. Przymrużał oczy, olśniony własnym blaskiem. Niby cień posłuszny, krok w krok za możliwym stryjem posuwał się bratanek jego, Piotr Myszkowski, na omnipotencji krewniaka-opiekuna budujący nadzieje kariery.

Na widok wchodzącego hetmana margrabia ruszył naprzeciw z uprzejmą godnością. Przywitali się ozięble; nie było między nimi cienia amicycji.

— Z obozu Wasza Dostojność przybywasz?

— Z obozu... Z Miłościwym Panem rad bym co rychlej mówić... Wczoraj byłem w Pokrzywnicy.

— W Pokrzywnicy! — powtórzył margrabia. — U onych zdrajców. Judaszowi równych! Wasza Dostojność gadałeś z nimi? Podziwienia godna ludzkość dla zbrodniarzy, a nieczułość na obrazę majestatu!... Na cudotwórcze relikwie świętego Floriana! Sam widok tych łotrów, dłoń na świątobliwego Pana naszego podnieść gotowych, do ekscesów by mnie



ostatecznych pchnął, do krwi przelania, bodaj z własną zgubą!...

Hetman uśmiechnął się mimo woli, bo marszałek koronny uchodził ogólnie za tchórza.

— Gadziny niewdzięczne! Hydry głowiaste! Monstra bezecne! Ojacobójcy! — prawil patetycznie Myszkowski. — Na takiego Pana! Dobru ojczyzny i sławie Bożej cale oddanego! Potwarzy! Ale — *in se spuit, qui in caelum spuit!* Wzniesiony przez nich miecz spadnie na ich głowy!... Nie gadać z nimi! Nie paktować! Jako od zapowietrzonych uchodzić, a orężnie natrzeć i wytepić! Żywa noga nie winna ująć z tych psubratów, których ścierwa ziemia naisto przyjąć k'sobie nie zechce ani Psi nie ruszą...

— Ja zaś uważam, że za wszelką cenę nie lza dopuścić do rozlewu bratniej krwi i w ten tenor mówić będę z Miłościwym Panem — przerwał zimno hetman.

Margrabia przymrużył złośliwie oczy.

— Czyżby istotnie prawdą miało być, co niegodne wiatry pyskaczów roznoszą, że Wasza Dostojność trudną do wyeksplikowania słabość czujesz ku onym hultajom? Z racji może mnogich familiantów, wśród rebelii rej wodzących? Takowa benewolencja w stosunku do arcyłotrów poczytana być musi za osobliwą a zacudować każdego...

— Choć Wasza Miłość familiantów w onym gronie, gdzie same starsze rody się zebrały, nie masz, bardziej osobliwą musi się wydać zawziętość, z jaką do wojny domowej namawiasz — odparł krótko hetman i, odwróciwszy się na pięcie, poszedł zostawiając margrabiego czerwonego z gniewu. Dotknął go w najczulszą strunę.

Pan Żółkiewski rozejrzał się po sali. Zagubieni wśród tłumu cudzoziemców i księży, nieliczni senatorowie usuwali się spod jego spojrzenia, nieradzi doń podchodzić. Był w niełasce, wiadomej powszechnie. Jako przyjaciel zmarłego kanclerza i szczerzy republikanin, pozostawał u dworu w podejrzeniu, a świeża wymiana zdań z marszałkiem nie wróżyła odmiany na lepsze. Przechodzącego ktoś pociągnął za rękaw; odwrócił się i uśmiechnął przyjaźnie, pierwszy raz od wejścia na zamek. W jowialnej, krągłej twarzy małe oczki błyskały sprytem i żywością spod wystającego czoła. Był to jegomość Marcin Wadowita, kanonik krakowski profesor Akademii, luminarz w całej Rzeczypospolitej głośny. Słyszał zarówno z wiedzy, jak z rubaszości. „*Ars angelica, vox diabolica, mores rusticani!*” mawiał o nim papież Klemens VII. Nie dziwota, uczony mąż był synem kmiecym z Wadowic, gdzie pacholęciem świnię pasał. Straciwszy raz wieprza, w strachu przed karą zbiegł do Krakowa, gdzie niezwykłą pojętnością zwrócił na siebie uwagę uczonego Zieleniewicza vel Herbesta, który mu nauki ułatwił. Nie wstydząc się tych początków, kanonik rad o sobie mawiał: *Si non iste porcus, non fuisset Vadovius doctus.*

— Do stóp się ścielę Waszej Dostojności — mówił teraz szybko. \_ Rzadki gość! *Rara avis!*... Oj, dobrześ rzekł faworytowi! Ażem się za brzuch chwycił z kontentacji, patrząc, jak on kabalarz w złości ślinę własną łyka. Bo to sam pryncypialny intrygant! A jaki dufny! Ma chleb rogi, ma! *Satietas feroam pariñ!*... Słyszałem, co prawil: *Śywej nogi nie puścić!*... Ha. trudno! Komu Bóg rozumu nie da. kował mu go nie ukuje... Margrabiemu pono nie dał, że zaś co się łyso rodzi, łyso ginie tedy do śmierci głupim pozostanie, chyba że się wcześniej zatchnie własną pychą. Jakaż żałość przeniknęłaby *universum* na tak niefortunną wieść! Tuszę, iż nawet nieczułe góry, a skały tkliwymi spłyną łzami... Ja zaś epitafium niepodłe ułożę w tym sensie:

Bezpotomnieś pomarł, margrabio Gonzaga —

Osły same się rodzą — siać ich nie wypada.

Odsapnął głęboko i spowaźniał nagle.

— Siła tam luda pod Sandomierzem? — zapytał zniżając głos.

— Do stu tysięcy zbrojnych...

— Do diabła! To nieźle! A co robią?

— Póki — nic. Odgrają się, gadają...

Kanonik poweselał na nowo.

— Gadają, Wasza Dostojność? Chwała Bogu! Tedy nic z tego nie będzie! Na gadaniu się skończy... Ja to mówię! Obaczysz, panie, czy Wadowitowa gęba cholewa... *Proverbium* powiada: Abo pij, abo się bij, *aut bibe, aut abi* — u nas przedsię wolą pić i gadać... Niech gadają! Skorzej się nie wygadają jak przez parę niedziel... A tu żniwa nadejdą. Siłaż ich wtedy zostanie? Po siewach zbiorą się znowu, wszakże zanim każdy zdąży swą rzecz wypowiedzieć, mróz ściśnie... Dobra zima! Jak przysłowie mówi: By nie mróz na złe pokrzywy, byłby ten chwast wiecznie żywy... Kto by tam w zimę wojował! Chyba z babą doma abo pyskiem na sejmie. Do wiosny spokój pewny. Nie ma się co strachać. Zali uważałeś, Wasza Dostojność, że u nas, gdy się co dzieje, to jeno za sprawą pojedynczych ludzi, a przez powszechność, jako indziej, nie... Chyba nam coś nie dostaje *in consilio*, że krom sporów a gadania nic krzepkiego a gruntownego z narady nie wyjdzie... A tam człeka osobliwego, co by ich powiódł, nie mają?

— Nie.

— I tu też nie; przeto spać możem, rokoszem się nie troskając...

— Trudno się nie troskać, gdy i tak siła on złego uczyni.

— Oj, uczyni niejedno! Nie wiem, co Wasza Dostojność masz na myśli, ale *quidquid delirant reges, plectuntur Achivi* — powiada Horacy. „Czego panowie nawarzą, tym się poddani Poparzą” — a gdzie szlachta za łby się wodzi, tam u kmieci włosy trzeszczą... Znam to dobrze, pamiętam...

— O czym mówicie, dostojni panowie? — zapytał podchodząc ku nim Amenda, Włoch, kopalniami królewskimi srebra i ołowiu zawiadujący, zwany stygarem olkuskim.

— O fenomenie owym, mającym nas rychło zadziwić — roześmiał się Wadowita ukazując okiem stojącego opodal Niegoszewskiego — szacunek mu wszelki oddając, bo: *honores grandes*, czcuj, kantorze, mistrza; ośmielę się zauważyć, że ptaka po pierzu, a po mowie chłopa znać... Obaczym mowę, bo pierze widzi mi się farbowane, toga złocista po wierzchu, a pod nią portki cycowe... Czyli w umyśle inaczej? *Proverbium* jest, które mówi: „By nie cudze płatki, nie miałyby krawiec karwatki”; a imć Niegoszewski...

Przerwał, bo na salę wszedł mistrz alchemii Sędziwój, w czarnej, aksamitnej, złotymi gwiazdami usianej szacie. Panowie Montwiłł i Rudomina, dworzanie królewscy, nieśli przed nim ostrożnie na wielkiej tacy maleńką bryłkę lśniącego kruszcu.

— Dostojni panowie — rzekł głośno pan Montwiłł — Miłościwy Pan polecił mi oznajmić, iż eksperyencja udała się najfortunniej, świetne rokując nadzieje, zaś urodzony mistrz Sędziwój między pierwsze *celebritates* świata słusznie winien być poczytany. W przytomności Miłościwego Pana i pana podkomorzego dwieście pięćdziesiąt uncji ołowiu prawem tajemnym transmutacji zmieniło się w te oto dziesięć uncji najczystsze złota...

— Krawiec, igły szukając, za grosz świec spalił — mruknął Wadowita.

Zgromadzeni skupili się z ciekawością wokół tacy.

— Złoto sprawiedliwe.

— Z ołowiu!

— Nie suponuje Wasza Miłość czarów w tych arkanach?

— Skoro sam świątobliwy Pan nasz bierze w nich udział, nie wątpię, iż działają tu jeno siły przyrodzenia, wolne od ingerencji nieczystych — uspokajał wojewodę rawskiego biskup Pstrokoński.

— Takiego cudotwórcę mamy, a skarb pusty! — roześmiał się hetman.

— Za rok nie będzie pusty, obaczysz, Wasza Dostojność! — dowodził z zapalem pan

Montwiłł. — W mojej obecności mistrz Sędziwój eksplikował Miłociwemu Panu, iż za cztery, pięć niedziel najdalej będzie *in possibilitate* przemieniać ołów na złoto w wielkich ilościach, sztabami.

Wadowita splunął głośno.

— Tak ci eksplikował?... Bodajby pamiętał, że łgarze Pan Bóg karze, jeśli nie mrozem, tedy powrozem...

Sędziwój spojrzął w jego stronę i odszedł bez słowa w drugi koniec sali. Szczupła, myśląca twarz mistrza alchemii zdradzała szczerą udrękę.. Przyczynę jej znali niektórzy: wbrew doświadczeniom i ogólnemu mniemaniu nie posiadał tajemnicy przemiany metali. Zratowany przezeń od śmierci wielki wynalazca Seton dał mu wprawdzie przygarść cudownego proszku, ołów w złoto przemieniającego, lecz istoty jego nie wyjawiał. Umarł, zazdrosny o swą tajemnicę. Sędziwój daremnie szukał formuły proszku. Gdy wyczerpie skąpy zapas — wiedza, którą błyszczał przed światem, rozwieje się niby dym...

— Tak z nim będzie jako ze sławnym medykiem Bartholdim — prorokował Wadowita. Ten z ciała wisielca mumię *pissasphaltum* spreparowawszy, po cząsteczce onej mumii do leków dodawał. Skuteczne były nad wyraz i Bartholdus rósł w poważanie a w pierze. Lecz mumii w końcu zabrakło, a wraz ustała pomocność leków i sława...

— Czemuż drugiej nie spreparował? Wisielców nie braknie.

— Specjalne tam były koniunktury gwiezdne, metamorfozie osobliwie przyjazne...

Łoskot otwieranych drzwi przerwał rozmowę. Król nadchodził. Wszyscy zmiłkli. Przez otwarte na ścieżaj podwoje wszedł błazen królewski, Włoch, z Bononii rodem, nazwiskiem Rialto, eks-komediant i rymopis, poliglota i kobieciarz, w ciągu tułaczego życia kolejno astronom, polityk, muzykant, sztukmistrz, a na koniec trefniś. Cięty bywał i zjadliwy, póki się nie roztył.

Za błaznem dwu paziów, bokiem idących, z lichtarzami zatłonymi w rękę, poprzedzało króla, za którym, zamykając pochód, szedł podkomorzy koronny Bobola, o ascetycznej, wyposzczonej twarzy. Król Zygmunt miał na głowie niewielki beret z kosztowną zaponą, sztywną, układaną krezę dookoła szyi i materialny kaftan zszywany z kolorowych pasów. Zmęczonymi oczami powiódł po obecnych.

— Gościa pono mamy?

Hetman już szedł ucałować rękę pana. Król witał go uprzejmie, chociaż zimno, z pewnym zakłopotanym przymusem. Wymowę miał skąpą, nieskładną, akcent cudzoziemski.

— O sprawach publicznych pomówimy jutro — rzekł szybko, jakby uprzedzając, i zasiadł na swoim krześle.

— W tejże chwili z przeciwnej strony ukazał się fraucymer Królewskiej Jejmości. Przodem, za oświecającymi drogę paziami, szła ochmistrzyni, Fraulein Urszula Meierin, szpetna, przebiegła, obleśna i wszechmocna, rywalka Myszkowskiego Gonzagi, z którym spoglądali na siebie niechętnie, lecz znacznie od niego silniejsza, bo mędrsza. Rządziła *de facto* całym dworem. Wszystkie stronnictwa i frakcje zabiegały o jej łaski. Znając nieograniczony wpływ ochmistrzyni na króla, królową i królewicza, sam Ojciec Święty przysłał niedawno dla niej Złotą Różę. Teraz szła, pokornie spuszczać oczy — z włosami szczesanymi gładko w tył i nakrytymi długim faceletem. Za ochmistrzynią pośród panien dworskich, między którymi cudem niezwyklej urody błyszczała młodziutka Izabella Daniłowiczówna, podskarbianka, postępowała z wolna królowa Konstancja. Kreza, podobna mężowskiej, okalała jej długą, bladą twarz. Oczy miała niewielkie, bezbarwne. Złotolita suknia z lamy chrzęściła za każdym krokiem. Przed zajęciem miejsca spytała niespokojnie księdza Gissę, zali w zamierzonych produkcjach nie znajdzie się nic przeciwnego wierze. Była bowiem nad wyraz pobożna i o swoje sumienie lękliwa. Pomyślność

domu Habsburgów i obawa grzechu stanowiły dwie zasadnicze troski jej życia. Uspokojona przez spowiednika, usiadła.

Szeleszcząc wenecką togą, wysunął się imć Niegoszewski kłoniąc się nisko królestwu.

— Z dalekiej Italii do lubej ojczyzny pomyślnymi zefirami przygnany — rozpoczął swoją orację — za szczęśliwszego niżli Odysej Itakę oglądający, niżli angielski Ryszard z więzienia powracający, niżli Orfeusz lubą Eurydykę witający słusznie poczytywać się będę, w obliczności Najmiłościwszych Państwa moich, pod fortunnymi ich auspicjami, skromną moją scjencję mogąc sprezentować... Nie uchybiając wrodzonej modestii, z samej miłości prawdy wyznać muszę, iż w szlachetnej Republice Wenecjańskiej przez dwie niedziele wszyscy co najprzedniejsi adeptci kunsztów mentalnych i mistrze — sam sławny Aldus Manutis w ich gronie — skonfundować mnie usiłowali, z umiejętności teologicznej, filozoficznej, matematycznej, kabalistycznej, medycznej tudzież wojskowej i politycznej kwestie arcyzawile zadając. Opatrzność łaskawa dozwoliła, że mizerny mój umysł wcześniej u źródeł wiedzy zasiliwszy a dowcip dobrze naostrzywszy, nie pochybiłem ni żadnej, na każdą *ex promptu* pięciomiarowym wierszem odpowiedź moją wykładając...

— Tęgo o sobie trzyma — mruknął Wadowita. — Bym był trefnisiem, nie wydzierzyłbym...

Siedzący na stopniu przy królewskim krześle Rialto zerknął w stronę kanonika. Setnie mu się nie chciało gadać ni baraszkować, chorym na żołądek od paru dni będąc — uznał jednak, że trzeba zabłysnąć, by reputacji nie stracić. Stęknął w duchu, lecz sprężyste (biedne, wychudzone nogi wędrownego komedianta!) wyskoczył przed króla:

— A teraz dla mnie oracja! — zaskrzeczał.

— Nie przeszkadzaj, asan — mruknął wzgardliwie Niegoszewski owijając się rzymskim gestem w togę, by ciągnąć dalej swój dyskurs.

— O, nie ujdiesz mi jegomość! Nie znasz, żem równy Najmiłościwшему Panu? Nam jeno dwom osobliwe i ekscypjonalne, choć różne, przynależą przywileje... Moje bodaj że większe; Miłościwшему Panu wolno wprawdzie z błazna zrobić choćby marszałka, ale mnie jednemu tylko wolno się zbłaźnić, wiewa razy chcę... Miłościwy Pan nie odstepuje swych przywilejów nikomu, gdy ja moje chętnie zdaję na *usus* waszmoscin, nie wątpiąc, że się w dzisiejszej demonstracji zdadzą...

Rozległy się ciche pośmiewchy. Marszałek Myszkowski, do żywego urażony, mruknął cale głośno, że zuchwałego błazna warto by ochłostać. Pan Niegoszewski był siny.

— Ejże, to przedni trefniś! — rzekł niby wesoło. — Nie poznałem się zrazu na tak znakomitej personie.

— Ha, ja byłem domyślniejszy, poznałem waści od oka — odparł Rialto z powagą, siadając z powrotem.

Dworki królowej wpychały sobie chusteczki do ust, by nie śmiać się głośno. Nawet obojętny i niemrawy zazwyczaj król Jegomość raczył się uśmiechnąć półgębkiem. Wadowita nieznacznie cisnął dwa talary, które błazen w lot pochwycił. Za marszałka jeden, za sponstponowany fenomen wenecki drugi.

Nie zwracając na to zajście zbytnej uwagi, hetman przeglądał badawczo oczami orszak królowej, a nie widząc, kogo szukał, nachylił się ku wojewodzie rawskiemu.

— Jegomości księdza Skargi nie masz? — szepnął.

— Owszem, przyjechał z królestwem z Warszawy.

— Nie widno go...

— Pewnikiem jakimś dzieckom dziadowskim trza było usmarkane nosy otrzeć, więc nie przyszedł — roześmiał się Gostomski. — Nie znaszże, Wasza Dostojność, obyczajów księdza

Skargi?

Uniwersalny mędrzec imię Niegoszewski zdążył już ochłonąć z gniewu.

— W onej to wspaniałej Republice Wenecjańskiej — podjął przerwana przemowę — gdy przeczytawszy z nie znanego mi autora poemata, tysiąc wierszów liczące, bez omyłki je ozdobnie powtórzył, w złotą księgę wpisany, togą obdarzony i wieńcem bobkowym, glorię poetycką figurującym, zwieńczony zostałem. Słonecznego Feba i wdzięczne córki Jowisza, szlachetne Muzy, o *auxilium* skutecznie prosząc, śmiem się spodziewać, iż w obliczności Najmiłościwszych Państwa moich nie sprezentują się podlej... Za czym, za łaskawym zezwoleniem, wzywam prześwietnych mistrzów Akademii do zadawania mi kwestyj...

Stanął nieruchomo, w posągowej pozie, oczekując. Zaszleściły togi profesorów sunących naprzód. Zebrani wstrzymali oddech w najwyższym zaciekawieniu...

Z góry, z misternie belkowanego stropu, tłum rzeźbionych głów spozierał na zgromadzenie milcząco, wymownie. Tuż ponad tronem królewskim dziwaczna głowa niewiasty z przewiązką na ustach, Fatum pono wyobrażająca, zdawała się kryć groźną, ważną tajemnicę, ani podejrzaną przez tłum, zebrany na dole, oczekujący w napięciu na odpowiedzi cudu przyrodzenia, imci pana Niegoszewskiego. By zdarto jej opaskę, krzyknęłaby ostrzeżenie. Kędyś, w Nieznanym, piętrzyły się już wypadki, gotowały przyszłe losy, przepływały z tajnym szumem koło małych ludzi nie śmiejących spojrzeć im w oczy. Hetmanowi zdało się nieraz, że dogadałby się łatwiej z tymi martwicami na stropie niżli z żywymi na sali, wysunął się z zebrania niepostrzeżenie, szukać jedyne swego na dworze przyjaciela.

## Rozdział drugi

### Sumienie Rzeczypospolitej

Siedzieli na prostych, ledwo zheblowanych stołkach, serdecznie wzajem radzi, że się widzą. Niewielki sosnowy stół, wąski tapczan, lawaterz — dopełniały umeblowania izdebki. Dwie zrudziałe od starości i wyświecone sutanny wisiały na kołku przy drzwiach. Wielki czarny krucyfiks przecinał ścianę nad łóżkiem.

— Tę siłę mając, Szweda można by z Inflant wyżenąć, Tatarów na wieczne czasy okiełznać — mówił pan Żółkiewski z żalem.

— Wiera, żeby można... Sto tysięcy! Sto tysięcy bezczynnie, na zgubę jeno i szkodę stojących!... A gdyby. Boże zachowaj rzetelne niebezpieczeństwo przyszło na Rzeczpospolitą, Turek stanął na granicy, nie zbierzesz uniwersałami, nie wyżebrzesz prośbą marnych dziesięciu tysięcy...

— Jakie nowiny z Inflant? — przerwał hetman. — Z Ukrainy idąc ni jeszcze dopytać się

nie miałem czasu...

Ksiądz Skarga machnął ręką.

— Lepiej się nie pytać! Zgroza! Półtora roku wojsko kwarty nie dostało... Rozeszło się i królewszczyzny tego rabuje. Płacz tam, pisk, wołanie o pomstę. Ha, głód przymusił żołnierza... Pan starosta Żmudzki takie tu listy słał, że kamienne serca by wzruszył... Zubożył się, na nic zeszedł, własną substancją wojsko ratując... A my — nic! Miesiące idą, zaczem jaką decyzję poweźmiem... Ninie starosta Żmudzki chory w Berzonach leży, a wszystko, cośmy łoni w Inflantach zyskali, przepadło...

Hetman zacisnął ręce, aż trzasnęły stawy.

— Boże! Boże! — szepnął głucho. — Co się tamtym dziwować? Co ganić?

— Kiedy bacz, Wasza Dostojność, że oni nie o to, co się ǐście złego dzieje, powstali...

— Żal mi pana starosty Żmudzkiego okrutnie. Inwidię sieje między nami dla złości Radziwiłł, czemu z pożałowaniem pan hetman daje pono wiarę. Ja wszakże miłuję go i admiruję ekscypjonalne jego cnoty niezmiennym afektem. Powiadają, że mi sławy zagłąda, jakoby mniej ode mnie wiktorii w rejestrze swym mając, czemu ja zgoła nie wierzę. Jeniusz to jest znamienity, z nikiem w komparację wejść nie mogący...

Ksiądz Skarga nie zważał, wróciwszy myślą do rokoshu.

— Byłeś tam, Wasza Dostojność? — zapytał. — Gadałeś z nimi? Co mniemać o ich inklinacjach?

— Juźci dla króla Jegomošcia nie są one życzliwe... Mnóstwo to jest, do najgorszych ekscesów podżegane a słusznymi (co tu gadać) urazami podniesione. Jeno że kręcą w miejscu jak tuman na rozstaju, wodza nad sobą nie mając. Wojewoda krakowski i drudzy schlebiają jeno powszechności, inicjatywy i *responsibilitatis* unikając...

— Wodza brak i po tej stronie...

— Choć się srodze odgrażają, nie widzi mi się, by zaczęli pierwsi zbrojnie czynić. Z kandydatami jeszcze chcą się znosić, targować... Ale marszałek pcha króla do bitwy...

— Nie popchnie. *Primo*, że król Jegomošć nigdy na żadną decyzję skoro się nie zmoże, *secundo*, iż nie żaden to Herod ni Heliogabalus, by się kwapił krew przelewać. Sam także pierwszy nie ruszy...

— Kanonik krakowski prawił mi co ino, że rokosh kipieć będzie, kipieć, aż wykipi, i na gadaniu się skończy...

— Bodaj że słuszenie wy wróżył... Ale co z tego? Ej, Wasza Dostojność! Nieraz rozmyślam, czy nie lepiej dla narodu, by pękł nareszcie ten wrzód i zaszła jakaś odmiana, choćby kosztem krwi? Zawdy po burzy swobodniejszy jest dech, rzeźwiejsze powietrze... A ot, pociągnie się to roztartnięcie może rok jeszcze, może dwa; ujadać będą na siebie regalisty, rokoshany, śliny ni czasu nie szcędząc, aże zabędą, o co poszło zrazu... Może się kiedyś i zderzą, potłuką... Aż ścichnie wszystko, przyschnie... Nic się nie zmieni na lepsze... Uważasz, Wasza Dostojność: Nic się nie zmieni. Jeno zły kwas w narodzie zostanie, będzie rósł i rósł... Biada wnukom, którym pożywać przyjdzie chleb z tego zaczynu! Niesporo im przyjdzie go zekłtać. Poszanowanie władzy przednie siemię. Gdy je wyważą, łacno może strop runąć na głowy...

— Czemu tak się dzieje, ojczy? Klątwa to jakaś czy co?

— Za dobrze jest narodowi... Juźci niecałemu — szlachcie; o innych stanach nie lza i wspominać! Jako ziarna pod młyńskim kamieniem, tak są poddane pod panami swymi... Mieszczany także ledwie, ledwie, że resztką ducha kołaczą... Jakoż może dział się dobrze, jakoż może ta budowla trwać, gdy jednym po gębie kapie, a insze na trzaski wyschnięte! Gdy jedne od nadmiaru swobody dur chwyta, a drugim od kolebki do grobu niewola? Nie maż tego Bóg

pokarać?... Wasza Dostojność! Lęk mnie zbiera, groza trzęsie, gdy o tym wszystkim pomyślę. Ku czemu idziem? Co będzie z tą Rzeczpospolitą?! Siakim takim proroczną mizernym będąc, w Słowie Bożym i poselstwie, zaklinam, do opamiętania wzywam. Cóż o to? Większe bodaj znaczenie miały słowa dziewczki pogańskiej Kassandry niż moje. Kto o nie stoi? Widzę, jako czerw podgryza fundament, rysuje się sklep, krzycząc: Gorze! — a nikt mojej mowy nie słucha... Zła dola już stoi we drzwiach, samochcąc przez naród zwołana...

— Na zły czas przyszli my obaj, na jesień... Jesień to Rzeczypospolitej...

Ksiądz Skarga nie odparł nic, utkwivszy w promieniu świec mądre, szeroko rozwarte, jakby wypatrzone oczy. Zamyślił się, duszą zapatrzył w bezkresy wieczności, kryjące kędyś przyszłe koleje narodu. Podobnie jak astrologowie badają bieg planet, wróżąc z nich losy wszechświata, tak on całe życie przenikliwym wzrokiem śledził bytowania ludzkie frasobliwe, powszednie fakty codzienne, małe drobiny, tysiączne okrucieństwa, rozsypane po wielkiej, pyłnej drodze Losu. Podglądał owe kółeczka maleńkich wydarzeń, zazębiających się o drugie wydarzenia, równie małe, bezpotrzebne i oderwane na pozór, a przecie tworzące zbiorowo logiczną, zwartą budowę. W całości dzieła ginęła drobność poszczególnych ściegów, a wyłaniał się wzór jeden, Bożą ręką tkany. Wydało mu się na mgnienie, że obejmuje go wzrokiem, dostrzega szlaki naród, ku celom swoim dążących. Poczul ulgę niewysłowioną — lecz zanim zdołał odszukać na owym wzorze tajemnym ściegnę wytkniętą Rzeczypospolitej, wskazać ją przyjacielowi, widzenie splątało się, zmierzchło, rozeszło... Zostały znów jeno tysiączne, drobniutkie ludzkie zabiegi i losy, na oko sprzeczne, zawile, pełne smutku, okrucieństwa i niesprawiedliwości.

Westchnął przecierając oczy. Przez otwarte okno wlatywały wielkie, pierzaste ćmy, wirowały wkoło świecy, opadając miękko na stół. Ruchliwe, wyolbrzymione ich cienie błądziły niespokojną gromadą, niby duszków, po pułapie. Za oknem granatowe, głębokie sklepienie błyszczało bogactwem gwiazd. Raz po raz któraś spadała, jak gdyby niebo strząsało ich nadmiar. Z dołu niosło się ku oknu cudne gędziolenie lutni, samotna gra starego Wojtka Długoraja, którego już ludzie słuchać nie chcieli.

— Ku czemu idziem? — powtórzył hetman poprzednie pytanie księdza. — Prawdę powiadacie, ojczy: Krzywdy rosną zewsząd, ciężkie krzywdy; ściągają karanie Boże... Ni połowy ich nawet znać nie możecie, spokojnie tu u dworu w ciszy siedzząc...

— Spokojnie! — wybuchnął ksiądz z urazą. — Jakby mi tu miło było! Mieszkam, iż mi kazano... Nie obierałem nigdy miejsca tego, jeno stoję jak żołnierz, gdzie każą, choć gęsta strzelba bije... Niech jeno skinienie starszego, a z ochotą się stąd porwę, strawnego ani odwozu nie prosząc... Który mi tę nowinę przyniesie, suknię bym z siebie darował... Spokojnie! Gdzie tu spokój! Imaginuj sobie, Wasza Dostojność, że godziny nie ma, by kto o protekcję prosić nie przychodził. Zamykać się przed nimi trudno i grubo, a przyjmować nieprzystojnie i czasu utrata... Zgryzota istna... Powiadam każdemu: Nie przychodźcie tu, panie, po pożytki swoje, nic ja nie mogę... Woźnicy, któren mnie wodzi i ze mną się u dworu postarzał, uprosiłem wakancję, w żupach groszy dwadzieścia. Jedyna to moja w życiu protekcja... O spowiedź tutaj przychodźcie, a nie o wakanse... Tak gadam, oni przecie leżą i leżą...

— Siła jest ludzi, które by się nie tylko tak świątobliwej osobie, ale piecuchom a masztalerzom kłaniali, byle tam o pomocy swej poczuli...

Za drzwiami rozległy się kroki. Wszedł nieśmiało młodziutki braciszek zakonny, o bladej, wymęczonej twarzy.

— Jakiś poseł szuka pilno wszędy Jegomości pana Hetmana...

— Poseł? — zdziwił się ksiądz. — Przywołać go tu, Wasza Dostojność?... A cóżeś to brat tak skiepciał?

— Pościłem — szepnął braciszek zarumieniony.

— Widzę to, ale nie pochwalam. Pod obediencją nakazuję iść natychmiast na wieczerzę, a postu do zezwolenia zaniechać... Ciało masz — jeść i pić musisz. Najadłszy się więcej zrobisz za godzinę niżli głodny a słaby za dziesięć... Nie bój się! *Libidines* tyrpać cię nie będą, skoro roboty nałożę... A posła tutaj przyprowadź...

Chłopaczyna wybiegł, czerwony po uszy.

Roześmieli się obaj.

— Skaranie Boże z tymi smarkaczami — burczał ksiądz. — Każdemu się widzi, że byle jeść przestał, już z Kostką Staszkiem się zrówna. Oj, nie tak to łatwo... Prosimy! — zawołał słysząc stuknięcie pod drzwiami.

Onieśmielony, nastroszony jak sęp, Sebastian Pielsz kłaniał się niezgrabnie od progu.

— List do Waszej Dostojności od pana Wojewody krakowskiego — meldował. — Pan krakowski usilno prosił, byś go Wasza Dostojność przeczytać raczył przed obaczeniem się z królem Jegomościa...

— Dajże waść!... Oho, folium to całe, nie list... żeś się to waćpan podjął tu przyjechać, glejtu ni ubezpieczenia nijakiego nie mając? By się rozeszło, że z Pokrzywnicy goniec, nic witano by cię na dworze zbyt *amabiliter*... Osobliwie marszałkowscy łatwo do wiolencji mogli się posunąć...

— Sam o tę funkcję prosiłem, personalną jeszcze sprawę mając ku Waszej Dostojności...

— Słucham chętnie.

— Chciałem rzec... — zaczął Sebastian i urwał... Nawyk milczenia, nieśmiałość walczyły w nim z chęcią wypowiedzenia tego, co wypowiedzieć uważał za swój obowiązek.

— Chciałem rzec, że siła było w obozie takich, którzy inaczej myśleli niż ci, co krzykali a śpiewali na drodze...

— Byłem tego pewny — rzekł hetman wyciągając doń kordialnie rękę. — Miło mi poznać... Jak waści nazwanie?

— Sebastian Pielsz, herbu Nabra, z Czarnego Potoku...

— Siadajże waść i poczekaj, aż one traktaty odczytam... A oto jest jegomość ksiądz Skarga Pawęski, kaznodzieja Jego Królewskiej Mości.

Sebastian drgnął i spojrzał bokiem, posłyszawszy nienawistne każdemu innowiercy nazwisko. Nasepiwszy się tym bardziej, usiadł niechętnie na brzegu stołka, z pewnym zdziwieniem spoglądając na otaczające ubóstwo.

— „Strzała, którą Ojczyzna, śmiertelna już matka, od zdrajców ginąca, a gorzko zelżona, ku wyrodnemu synowi panu hetmanowi polnemu, kasztelanowi lwowskiemu, dla zmiękczenia jego nieszczerzego serca, w ostatecznej lamentacji wypuściła” — przeczytał hetman nagłówek listu.

— Herburt to wymyślił, nikt inny...

Zagłębił się w czytaniu długiego manuskryptu.

Ksiądz patrzył uważnie na Sebastiana.

— Waść należysz do rokoszu? — zapytał.

— Ano.

— Wolno wiedzieć, jakie motywy kierowały waścią?

— Obowiązek ratowania mej wiary, którą jezuita — (podkreślił to słowo z cichą satysfakcją) — srogimi persekucjami całkiem chcą wyniszczyć i zgniebić... Musim walczyć, pokąd swobody wyznania, jako drzewiej była, nie dostaniem...

— Waść kalwin? Protestant?

— Chrystianin, zboru małego.



— Chrystianin, czyli krześcijanin, jako i my wszyscy...

— Nie — odparł szorstko Sebastian — bo chrystianin iście od Chrystusa się wywodzi, zaś krześcijanin od krztu papieżnickiego, który błędny, bałwochwalczy i dla duszy szkodliwy jest...

— Oho, ho! — uśmiechnął się stary ksiądz pobłaźliwie, a nawracając do początku rozmowy, dodał: — Także więc Chrystianów prześladujęm?

— Nie widzę racji o tym dyskurować — mruknął Pielsz. — Toć wiadomo: gwałty, represje, persekucje zewsząd! Zginąłby zbór, gdyby tak potrwało, ale my nie dopuścimy... Nie zginie! — rzekł hardo, podnosząc wyzywająco głowę.

— Mylisz się, waćpan, sądząc, że zginąłby od persekucji (o których dziwno mi, że nie słyszałem). Prześladowania wzmacniają jeno wiarę. W ogniu a krwi męczenników wypala się glina kościołów... Możesz zawierzyć waść naszej eksperjencji. z górą półtora tysiąca lat liczącej, gdy wy z biedą nie wiem. Czy siedemdziesiąt naliczycie... Jeśli ginie, tedy z innych przyczyn...

— Nie masz innych, jeno nienawiść papieżników, jezuitów w szczególności... Ale my ich powstrzymamy!

Szczera wesołość zaświeciła w oczach księdza.

— Oj, nie powstrzymacie! Potośmy są żołnierze Chrystusowi, by Domu Pańskiego strzec, a zbłąkane dzieci z powrotem doń przyprowadzić... Szkoda, żeby się traciły... Prawda, że złe heretyctwo, ale ludzie dobrzy, złe błędy, ale natury chwalebne, złe odszczepieństwo, ale krew miła...

— Do Kościoła papieżnickiego nigdy żaden z nas nie wróci, hydząc się nim a brzydząc...

— Wróćcie albo się zgoła rozpadniecie jako liście. Waść narzekasz na persekucje, ja zaś powiadam: by nie one zgoła niepotrzebne stosa a męki w Izpanii, Anglii, Francji, Niemczech — dawno by już żadnej herezji nie stało! Zwiotczałyby, struchlały, rozpadły się same w sobie, jako wiotczeje wasz zbór... Skrzepiły się muszem obrony...

— Tedy niechajcie nas w spokoju... Co wam potraza?

Ksiądz rozweselił się znowu.

— Nie poniechamy! — zapewnił. — Słusznie prawisz, że my są wasi nieprzyjaciele najgorsi, niezrażeni, niestrudzeni, nie dający się ubłagać niczym. Utwierdzenie namiestnickie, najwyższe, mamy do tej walki, jeno nie orężnej, nie ogniem, ale miłością i przykładem... Bacz, że to nie persekucja, jeno walka jawna, w której różne mogą być siły oboje... Do boju was wyzywamy... Nuże! Starajcież się nawrócić nas... Kto wie? Może się wam uda?

Sebastian zacisnął zęby z gniewu.

— Nigdy — powtórzył twardo, nie odpowiadając na szyderstwo — nigdy nie pójdzem na owe bałwochwalcstwa, czarownictwa, zabobony, oszukańcze cuda...

— Oszukańcze! Śmiałe są słowa waszmości...

— Mam prawo tak je mianować — warknął Sebastian — bom sam widział! Wiem, co cuda wasze warte, świadkiem naocznym jednego zostawszy.

— Powiedźże waść, jak to było?

Wbrew zwykłej małomówności Sebastian opowiedział szczegółowo zajście na pogrzebie wuja Bazylego, rad, że może księdza niewątpliwym fałszem upokorzyć.

— Krzyczeli wszyscy wkoło: „Cud! cud!” — zakończył... ja zasię powiadam: łgarstwo! Nie wiem, kto je uczynił ani po co... Prostak jestem, w górach siedzący, nieuczony, przecie by mi nie wiem kto co gadał, rzekę, iż ręki Bożej w tej sprawie nie było! Oszustwo jakieś i tyła... To są wasze cuda!

Ksiądz Skarga słuchał uważnie.

— Ja też sędzę, że było to łgarstwo, jakich nie brak po świecie — rzekł spokojnie — nie

widzę bowiem w tym zdarzeniu żadnego z koniecznych elementów cudu, dostatecznego powodu żywej ingerencji Bożej. Nie lada trzeba przyczyny, by cud uprosić! Toćże to królewska łaska... Spada nieoczekiwanie jako błyskawica, by zdeterminować jakąś wielką rzecz, potwierdzić wolę Bożą, gdzie się wątpliwą wydaje, pokarać krzywdę albo ulżyć i kogo zratować... Nie dzieje się nigdy cud dla dogodzenia czyjej próżnej chwalebnej. Ani bez koniecznej a oczywistej potrzeby... Prosty jest cud, rozgłosu nie szukający. Bóg popisując się nie chce ani potrzebuje, nie lubi zbytnej ozdoby...

— Ja ta nie umiem o tych rzeczach gadać — odparł Sebastian niechętnie — na gębę zawdy ksiądz będzie mocniejszy... Co by mi kto jednak uczenie nie prawił, nie wierzę, żeby zdarzył się prawdziwy cud, niby żeby Pan Bóg w ludzkie sprawy żywo wglądał. Za wielki On! Gdzie Mu do nas! Stworzył świat, drogę ludziom ukazał, którą do Niego iść potraza, i barziej się w to nie miesza. Od dzieckich lat zdawał mi się Bóg jak one wierchy tatrzańskie, które z naszych groni widno, w chmurach sterczące, śniegiem wyiskrzzone, a noga tam ludzka nie dojdzie ni one do człeka nie zejda...

— Mizerna i smutna wiara na takim węgle się wspierająca — zauważył ksiądz Skarga. — Bez ufności w ciągłą opiekę miłosiernego Pana, gotowego każdej chwili ściągnąć dłoń, by podeprzeć, żyje człek jako bez słońca... Nie zuchwalstwo to, nie umniejszanie majestatu Boga, jeno stwierdzenie wiecznej Jego obecności...

— Obecny jest, ale myśmy prochem...

— Wszystko jest prochem... i gwiazdy są pył... wszechświat nie większy mrowiska... „Tysiąc lat w obliczu Jego, jako dzień wczorajszy minął...” Tysiąc lat — jeden dzień! A przecież bliski jest nas, miłosierny. Obecny wszędy, wszystko przenika, pojmuje... Pojmując zaś, jakżeby nie współczuł, nie ulżył? Który rzekł: „Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy obciążeni jesteście”... Wszyscy, rozumiesz waść? Wszyscy! Nie masz w Jego oczach małych istot, małych strapien, bo wszystko jednako nędzne...

Umilkł, ale po chwili ciągnął dalej, zamyślony:

— Ustawiczna przytomność Boża! Słodkie, a wraz groźne słowo! Żyjemy w niej jakoby w żywiole straszliwym, łacno go zapominając... By pamiętano, inaczej by życie szło... Dlatego to, przypominając człowiekowi, że na oczach Boskich działa, tawiamy męki, krzyże, obrazy, figury, wołające: Bóg jest wszędzie! Bóg cię widzi! Jest tu i tu, i tu... Patrzy na ciebie oczami obrazu, wyciąga ramiona z każdego krzyża! Jest nieustannie przytomny... Pomnijcież!

— Po mojemu, bałwany to, jakoby pogańskie, i tyle...

— Nie bałwany, ale przypomnienie i wyobrażenie Boga... Wierzaj mi waść, że dusza i rozum — bez to widno, że oczami ciała patrzą — nic duchowego bez cieniów i barw cielesnych nie pojma, a ludzie, gdy chcą być bardzo wysokimi i samym duchem Boga chwalić, bezbożnymi dalekimi od Niego się stają...

— Błuzni, kto chce Boga wyrazić, któremu nic podobnego na świecie nie ma...

— Jest owszem wszędzie Jego podobieństwo... Stworzenie każde to niby ślad Boży, po którym poznać, iż On tam przeszedł... Jako myśliwi po śladach zwierza szukają, tak człowiek rozumny, na świat patrząc, Boga szukać i poznawać może... Wszystka moc, piękność i wielkość ziemi powiada: Nie myśmy Bogiem, ale tędy przeszedł, oblicze swoje na nas wyrażając...

Oczy mu rozgorzały i ciągnął jakby w uniesieniu:

— Stworzenie wszystko jest jako dwór pięknie i mocno zbudowany, po którym rzemieślnika poznać, i mógłby on gmach powiedzieć: Gadaj, kto mię budował, a rozmiłuj się takiego misternika... I jest stworzenie jako zwierciadło, w którym twarz się Boska wedle podobieństwa swego ukazuje... Nasze zwierciadło jest wszystko to, co Pan Bóg stworzył, w którym widzimy prawdziwie Jego moc, mądrość, dobroć i wielmożność...

„Tak jest” —omalże nie przyznał Sebastian, lecz opamiętał się w porę. Czując ubytek gruntu pod nogami, wysunął inny argument.

— Nigdy — rzekł z rozmyślną szorstkością — nie pójdziem na owo ślepe posłuszeństwo papieżnickie, nieomylną (pożal się Boże) *autoritas* Kościoła...

— Przyjdziecie z utęsknieniem, gdy dokuczy samowola... Cóż dzieje się u was bez owej *autoritas*? Widziałem nieraz różnowiercze synody: nie tylko się nie zgodzą, ale więcej jeszcze sekt i wiar przyczynią. Jeśli z sześciu przyjechali, z dziesięciu się rozjadą; nie synod to, ale karczma czy swarnia ludzi nierozumnych i hardych.

Sebastian otworzył porywczco usta, lecz wspomniął Hoszczę i nie odrzekł nic.

— Pierwszy fundament ładu, któren z kolei jest węglem wszystkiego — u sukni Chrystusowej nieszytej, pierwszy haczyk: *autoritas Ecclesiae*... Skoro ten przerwiesz, wszystkie inne się rozwiążą... Posłuszni my, *perinde ac cadaver*, bośmy są żołnierze, a cóż wart żołnierz bez posłuszeństwa?

Umilkł, a nie doczekawszy się odpowiedzi, spojrział wzrokiem przeglądającym na wskroś i zapytał nagle:

— Zali w waszym zborze, zarówno jak w rokoszowym obozie, nie tęskno nigdy waści za autorytetem i ładem?

Sebastian poczerwieniał gwałtownie.

— Przyjdiesz z czasem, synu, do nas — rzekł ksiądz spoglądając na niego z nieopisaną dobrocią. — Nieskoro jeszcze, ale przyjdiesz... Posłuszeństwo? Myślisz, że mnie za młodu nie targało jak psa na uwięzi? Komu się nie zda, że świat zbawi, nową prawdę nieskalaną głosząc?... Ale się wszczepił w Kościół jak różdżka leśna w pniak oliwny, z nią się zrosłem jak jedno drzewo, z niej tłustość i owoc, i wzrost biorąc...

— Dobrnąłem końca nareszcie, choć szkoda mojej fatygi — sarknął niecierpliwie hetman kładąc na stole odczytaną epistołę. — Aż dziw, że w tak krótkim czasie zdążyli tyle naskrybować, z tak małą pociechą dla sensu! Nic tu nie ma kromfrazów, mętnych waporów i połajañ niepościwych... Prócz gadania robi się tam co u was w obozie? — zwrócił się do Sebastiana.

— Nie — wyznał tenże, coraz to więcej zmieszany.

— Rad bym tu zaraz respons wykoncypował. Długi nie będzie. I słów tam szkoda, gdzie pożytku przynieść nie mają.

— A ot, inkaust, kartelusz, pióra i piasek — zakrzętnął się gospodarz wyciągając potrzebne przybory z szuflady stolika.

Zaległo milczenie, przerywane tylko skrzypieniem gęsiego pióra po szorstkim papierze. Sebastian siedział nieruchomo, utkwivszy wzrok w kamienną podłogę, z rzetelną urazą do samego siebie sprawdzając, że się tu czuje dobrze, lepiej znacznie niżeli w obozie. Darmo nazywał się w duchu zaprzęncem i zdrajcą. Darmo sobie uświadamiał, że nie powinien ni chwili dłużej słuchać tego jezuitę, wroga zboru, i hetmana, odstępcy rokoshu. Nie pomogła nawet najniezawodniejsza ludzka broń odporna: ośmieszanie ich przed sobą samym, wydrwiwanie usłyszanych wywodów i własnej łatwowierności. Natrzasał się i zaśmiewał (niezbyt szczerze) w duchu, a równocześnie z zalem myślał, że za chwil parę odejdzie. Nie zetkną się nigdy ich drogi. Nie spotkają się inaczej, jeno jako wrogowie... Ład i autorytet! Mój Boże! Nie tylko tęsknił, ale dusił się z ich braku! Szukał daremnie, dążył ku nim, ginął w jałowej rozterce — a ci dwaj znaleźli je, znali nie tylko z brzmienia, rządzyli się nimi, czerpali z nich siłę i spokój... Czemuż należą do wrogów!

Naraz drgnął, przypomniawszy sobie słowa ostrzegawcze Smalciusa, powtarzane niejednokrotnie przez Socyna, że jezuita Skarga, charakternik, o praktyki jest podejrzaný, czary

mając w mowie, którymi ludzi przyłudz, dokąd zechce. Słusznie ostrzegali! Jeszcze moment, a byłby może i jego przyłudz! Wzdrygnął się przerażony, zeszywniał i sprężył się w sobie.

— Nie mam pieczęci — zatroskał się nagle ksiądz. — Chyba do kancelarii posłać?

— Nie potra — odparł hetman — żadnych tajemnic tu nie ma. I tak proszę wojewody krakowskiego, by to pisanie przed powszechnością odczytał...

„Wojewoda krakowski nie uczyni tego pewnikiem” — pomyślał Sebastian. Wziął list, skłonił się krótko, po żołniersku, i wyszedł bez słowa.

— Udał mi się ten szlachcic; będzie jeszcze z niego pociecha dla Kościoła i Ojczyzny — zauważył ksiądz Skarga, którego słusznie snadź Smalcus, Moskorzewski, Socyn i inni reformatorzy pomawiali o praktyki, duszołapem i czarownikiem go nazywając.

## Rozdział trzeci

### Wiosna

Stara Mądrzycha Grzybula słusznie się pyszniła swoją wiedzą, bo rozrąbane ramię Pietrka pod staranną jej opieką zrastało się łącie cudownie. A kiwali nad nim głowami — zarówno przechwalony znachor ze Starego Sącza, jak owczarz praktyk, i kowal znany w całej okolicy z tego, że wielkim kluczem zęby *expedite* rwał. Wszyscy dowodzili, iż rady na to nie ma i panicz albo zemrze, albo trza ramię wyłuskać i chłopca z próżnym rękawem jak kalekę puścić. Takiego młodzieńkiego! Pożalcie się!...

Gdy Mądrzychę przywieziono pierwszy raz, Pietrek leżał w gorączce, nikogo nie poznający, rana zaś zaogniona była szpetnie i fetorzysta. Jednakże dała jej radę. Nieskoro to poszło, nieskoro... Powoli wszakże okładania okowitą wężową i driakwią, naporzania z dziecięcerawy, lebiodki i kurzego ziela, smarowanie maścią z żywokostu — zrastaniu się kości przyjaznego — zrobiły, co należało. W połowie tylko. Główna część zasługi leżała bowiem w umiejętnym, mocnym zamawianiu, w którym z Mądrzychą nikt równać się w biegłości nie mógł. Za każdą bytnością powtarzała te same znaki i zaklęcia, nigdy się nie pomyliwszy, co było niezmiernie ważne, najmniejsza bowiem pomyłka mogła od razu zwichnąć całą skuteczność leczenia.

I teraz, z lubością obmacawszy zabliznioną ranę, ostukawszy wielokrotnie zrastającą się kość nakreśliła nad głową usarza szereg tajemniczych znaków, okrążyła go trzy razy, przeżegnała cztery strony świata i wśród nowych znaków, coraz to bardziej zawiłych, zaczęła mówić uroczystym, nosowym szeptem, nie przerywając dla nabrania oddechu ni razu:

— O mój bólu, o mój piękny, mój najpiękniejszy, mój najślicniejszy, proszę cię imieniem Kristusa Pana i Ducha Świętego, Świętej Trójcy nierozdzielnej, zaliś ból kołtunowy, zastrzałowy, rąbany, różowy albo bolackowy — upatrz se miejsce na Skalnej Górze, na Pczowej Górze i na

Włoscowej Górze. Jak się Ewa-nielija rozchodzi po kościach, tak się ty, bólu, rozejdź po gałęziach. Jak się chwała Boża rozchodzi po świecie, tak się ty, bólu, rozejdź po kamieniach. Wyjdź, bólu, z ciała i kości — proszę cię do Boskiej miłości. Zamawiam cię puchowym pióreckiem, makowym ziareckiem, miesiackiem i Bożą pomocą...

Odetchnęła, zasapana, kreśląc nowy szereg znaków.

— Za parę niedziel — rzekła ukończywszy szczęśliwie ceremoniał zabiegów — wydobrzeje ręka całkiem. Zrazu stergła będzie, bo od ruchania odwykła, ale i to przejdzie...

— Czas, czas! — westchnął Pietrek. — Toć już rok bez mała...

— Wielgie rzeczy: rok! Żeby nie starka, kaleką byłby panie ostał na ament — a ot...

Na wpół ślepymi oczami obmiotła z uśmiechem dorodną postać chłopaka.

— Juźci że tak — przyznawał jej rację — wybierzeta też sobie, cielicę, babko, sami...

Skłoniła się nisko, zadowolona. Powózka, mająca je odwieźć do domu, stała już przed gankiem. Ociągała się jednak z odejściem, czekając na powrót starszej pani, która wysunęła się uprzednio z izby, by nie słyszeć grzesznych (cóż, kiedy skutecznych!) zaklęć do papieżnickiej Trójcy. Mądrzycha czekała cierpliwie, wiedząc, że nie odejdzie z próżnymi rękami. Cielna jałowica miała być uwieńczeniem szczęśliwej kuracji, lecz niezależnie od tego za każdy przyjazd godziły się mniejsze datki, których jej nie szczędzono...

— Powiada starka — rzekł do wchodzącej matki Pietrek — że za parę niedziel będę mógł w pole iść...

Poważna twarz pani Pielszowej pobladała.

— Nie pójdziesz! — zawołała. — Starosta stryjowi gadał, że hetman litewski przeciw rokoszowym ściągnął... Na Sobka byś poszedł? Na brata?

— Kajże to som starsy panic? — zaciekawiała się stara.

— Poszedł z innymi przeciw królowi wojować — objaśniała pani — bo nas straszno za naszą wiarę uciskają...

— Niby kto?

— Któż by? Król, biskupy, katolicy wielmoże... Ot, choćby tamtego roku... Pamiętacie, babko, jak na waszych dziedziców sam biskup krakowski zbójów nasłał?

— Hale? — zdziwiła się stara. — To biskup ich nasłał! A bez co?

— Posłuchajcie: Miał tam Niemiec w lamusie krzynie z krotłami... Krotły to ołowianki są, żeby książki drukować, znacie?... To nocą napadli, zabrali, wywieźli, wydarli, aby jeno nam dokuczyć, książek naszych między ludzi nie dopuścić!... Taka krzywda! I za co? Poświadczyć może każdy, żeśmy są ludzie ućciwe, spokojne, nikomu nie wadzimy, po Bożemu, lepiej od innych żyjemy... Czegóż chcą od nas? Książek nam nawet drukować nie wolno? To sprawiedliwość ma być? To prawda? Bez to starszy panicz poszli się bić, a z nim kupa drugich, bo dalej tak cierpieć nie Iza...

— Miemieć skoduje sobie o te krzynki?

— Moiście wy! Co ma, to by za nie oddał, ostatniego dukata wysuptał... Ale nie odbierze!... Kaj? Zaraz je pewno zniszczyły...

— Laboga! — kiwała stara głową z przejęciem, a podziękowawszy pięknie za ofiarowany półkorczyk owsa, odjechała.

Pietrek naciągnął kubrak i wyszedł wesoły przed dom. Nie znać już było na nim choroby ni wojennej poniewierki. Prosty był, piękny, tryskający radością życia i siłą. Zapatrzył się uważnie w pachnącą toń sadu, migotliwą od blasków i cieni, aż mrużyć musiał oczy, olśnione po półmroku izby. Z cienistej głębi, lekka, barwista jak motyl, poniosła się ku niemu piosenka:

Zachodzi słońeczko

Za las kalinowy.  
Zimna rosa pada  
Na sadek wiśniowy...

Pobiegł w tę stronę co żywo.

— Hanka! — zawołał. — Póđźwa na wierch, pogładnać ku owcom!...

Dziewczyna podniosła głowę znad grzęd, na której peła szczebrzuchy.

— A cóż tam owce? — spytała przekornie. — Odmieniły się od rana?

— Nie chcesz iść? — zdziwił się, zawiedziony.

Roześmiała się w odpowiedzi, prostując cienką swą kibić, ujętą w modry kształciczek, i wytrząsając na drózkę chwasty z podółka. Idąc obok niego, śpiewała dalej:

Nie padaj, nie padaj.  
Moja zimna roso,  
Aże ja zabiegnę  
Do Jasieńka boso...

Poszli z sadu prosto w las, pod górę, wznoszącą się stromo ścieżką, zaraz za obejściem. Szli radzi, podobni do siebie z wesołego błękitu oczu i bujnej młodości. Las był jodłowy, strzelisty, grunt usłany drobnutką, śliską ścielą igieł, rok po roku warstwami się układających. Dzięcioły kuły na zabój.

Z poważnej omroki boru uchodząc, nurzali się w młode bugaje, na zrąbaninach połogich wyrosłe, niby w zieloną otchłań. Tarny chwytały za odzież idących, spętanych uprzednio giętkim węzem pędów malinowych. Na trzemchach fiukały wiwilgi. Krze głogowe w powodzi kwiatów zdały się okryte śniegiem pachnącym, pszczołom nade wszystko miłym. W zaroślach pełno było wrzawy ptasiej. Drozdy, królewskie śpiewaki, terlikały co sił, starając się przekrzyczyć Hanke. Drożyła się z nimi, rzucając głos wyżej i wyżej, zawieszała w powietrzu przejrzystość swych trel jak na srebrnej nitce, gdzie falowały, cichły i unosiły się znowu na przekór gędzącym ptakom. Śmiała się w głos z ich porażki i gniewnego ćwierkania, po krzakach.

Na szczycie odkrytym wzgórza stało szałaszyisko, bielejące z daleka kierdelem świeżo postrzyżonych owiec. Owczarz Kacper spał jak zabity, nie bacząc na łożące mu po gębie muchy. Stada strzegł, bacznie siedzący na płaskim kamieniu, mądry nad wyraz pies Kurta. Powitał nadchodzących przyjaznym merdnięciem ogona i uśmiechniętym płobrotem ostrych uszu, nie odrywając bystrych oczu od powierzonej gromady.

— Cóżeś chciał, Pietrek, od owiec?

— Com chciał?... A nic... Póđźwa jeszcze kęsek dalej...

Poszli w las grzbietem góry, nie budząc owczarza. Śpiewali teraz oboje:

Z tamtej strony jeziora  
Stoi lipka zielona...

Czyste, dopełniające się wzajemnie głosy płynęły ciepłą smugą ponad połoniną. Niewolnik obowiązku Kurta łowił je pożądliwie i zazdrośnie, strzygąc uszami. Gdy zmilkł, westchnął głęboko, kłapnął zębami na muchy i odwróciwszy się tyłem do nęcącej głębi lasu, poświęcił znów całą uwagę owcom. Stary Kacper chrapał bez troskliwie — Kurta rozumiał wagę tego zaufania.

Młodzi przeszli po kamieniach przez potok dzwoniący, perlący i szli dalej w las, bez celu,

radośni samym faktem szczęśliwego istnienia. Myśli ich były słoneczne jak niebo, pierzchliwe, nieuchwytnie — głupiutkie, dziecinne i żadne, a zarazem mądre najwyższą, choć nieświadomą mądrością wiosny i życia. Odświętna rozkosz drzew kwitnących, godów ptasich przenikała ich na wskroś wraz ze słońcem. Gdy Hanka podnosiła dłoń, by twarz osłonić przed chłostą powracającej gałęzi, śmiała się, sama nie wiedząc dlaczego, precudnemu rubinowi krwi nalanej w palce, niby w smukłe, wąskie fiolki. Nogi ich stawały się śmigłe, polotne, chciwe wdarcia się dalej, na szczyty, to znów ciężkie, leniwe, w rozmarzającej słodkości ledwo sunące po wzywającym do spoczynku mchu. Oczy, podobne sobie z jasnego błękitu żrenic, stapały się razem, swawolne, bez troskie, serdeczne.

Radzi byli sobie szczerze. Zrazu, po przyjeździe Pietrkowym zeszłego lata, szczególnie rada była uszarzowi Hanka. Oj, bo też cniło jej się, cniło między małomówną, surową wujną a milczącym posepnikiem Sebastianem! Codzienna monotonia życia: ranne przepędzanie owiec przez dojnijk, ciepła mulka, bryndza, wędzenie serków, obrządek krów i trzody, bielenie płótna, czesanie lnu i konopi — tysiączne domowe zajęcia, nie rozjaśnione nigdy niczym wesołym uśmiechem, słowem zachęty lub bodaj najrzadszą rozrywką — stawały się dokuczliwe, nudne i ciężkie, traciły powab i wartość. Czynna i żywa, kręciła się wprawdzie w zajęciu tym cały dzień, lecz nudy to nie zmniejszało. Sebastian, nic nie mówiący, lecz wodzący ustawicznie za nią wzrokiem, to lubym i przyjacielskim, to niby srogo badawczym — płoszył do reszty wesołość dziewczyny. By nie stryj Hermolaus, jedyny łącznik z światem żywych ludzi, zżarłby ją smętek, trapiduch...

Za to z Pietrkiem przypadli sobie od razu do duszy, jak rodzeni. Z jego przyjazdem Czarny Potok się odmienił. Gdy poprzednia zima wlokła się niby wiek, latosia, mimo takichże samych zasp śnieżnych, fujawicy i bezdroży, zleciała migiem przy opowiadaniach wojaka, po sto razy powtarzanych, lecz zawsze z jednaką ciekawością przez obie kobiety słuchanych. Sama nie wiedząc, kiedy i dlaczego, Hanka odżyła na nowo, rozkwitła, rozdzwięczyła się śmiechem i śpiewem.

— Mówiła mi Mądrzycha, że za dwie, trzy niedziele wydobrzeje mi ramię ze wszystkim — przypomniał sobie nagle Pietrek najważniejszą nowinę dnia, gdy zawrócili z góry ku domowi.  
— Pojadę.

— Pojedziesz? — Stanęła jak wryta.

— Juźci, że pojadę, do hetmana... Żołnierz przecie jestem.

Nie odparła nic, idąc szybko przodem.

— Nie leć tak, jeszcze zdążym...

Milczała nie zwalnając. Dwoma skokami zabiegł dziewczynie drogę śmiejący i ze zdumieniem zobaczył oczy jej nalane łzami.

— Hanka! — zawołał w olśnieniu.

Przyśpieszyła kroku bez słowa.

— Hanuś! Hanuśka!

Gdy nie odpowiadała, dogonił ją i przytrzymał.

— Hanuś? Bez co?... Gadaj! Hanuś?

Spuszczała nisko głowę, cała we łzach i ogniu. Odkrycie dech mu zaparło.

— Nawidzisz me? — zapytał cicho, gorąco.

Wyrwała rękę i uciekła. Przytrzymał ją znowu.

— Nawidzisz me?

— Nie wiem — szepnęła strwożona...

— Bo ja cię miłuję okrutnie... Hanuś!... Hanuśka!... Nie miłym ci?... Gadaj!...

Spojrzała nań prawie z rozpaczą.

— Później ci rzekę! — zawołała uciekając ku domowi.

Poszedł za nią, szczęśliwy, a zarazem zafrasowany, nie rozumiejąc, dlaczego nie powiedziała od razu.

„Albo nawidzi, albo nie — pomyślał. — Na co tu czekać?...”

W domu zastali stryja Hermolausa, opowiadającego matce o wczorajszej swojej bytności u księdza w Męcynie. Hanka zakrzętnęła się koło podwieczerja. Stawiała zimną maślanekę i placki na stole, unikając starannie Pietrkowego wzroku. Matka nieco kwaśno dziwiła się stryjowej tolerancji i koneksji z papieżnickimi księżmi.

— Droga mi tamtędy wypadła — tłumaczył się pogodnie stary. — Co bardziej, powiadają o tym księdzu, że siłacz, jakiego jeszcze w Sądeckiem nie było... Ciekawość brała obaczyć, tom zajechał. Rad mnie przyjął i częstował...

— W sercu truciznę chowając...

— Nie widzi mi się... Dobry chłop... A siłacz setny, to prawda. Nie wiem, czyby spotrafił konie, co w szkodę wlaży, przez parkan wysoki powyrzucać, jako Drużkowski, bochotnicki proboszcz, uczynił, ale dwie podkowy razem złożone przy mnie przełomił, a garść orzechów ścisnąwszy, olej z nich wytłoczył... Tęgą sztabę giął na parstach... Mocny chłop!...

— Owa! — rzekł Pietrek. — Rotmistrz Lacki lepsze rzeczy pokazywał, dębczaka cale grzecznego z korzeniami z ziemi jedną ręką wrywając...

— Doczkałta, bo nie o tym chciałem gadać; mocnych w garści jeszcze u nas Bogu dzięki nie brak... *Tandem*, siedziwa przy piwie, kiedy organista włązi: Co każą jegomości z tym świętem jutrzejszym?... — Jakie święto? — pyta ksiądz. — A dyć, mój jegomości, na pamiątkę, jak ariany wygnały katolików z kościoła, co roku idą wsiowi szmaty i kule słomy za wodą palić, potem śpiewają, tańczą, gorzałkę piją... — Diabła zjadłeś, psu bracie — krzyczy ksiądz — to katolicki teraz kościół, nie ariański! Ja wam dam! Szatańskie chcecie pamiątki obchodzić! — Chłopisko kołtuna drapie: Kiej, proszę jegomości, ludzie tego święta zwyczajni. Gorzałkę piją, ogień palą, tańczą... Cztery roki już święto jest... Pójdą, choćby zakazować... — Bodaj ich zaraza — prawi ksiądz — niech se świętują, ale na pamiątkę przegnania arianów... — Rozumiesz? — A dyć rozumiem, proszę jegomości, niech się tam zowie, jak chce... Ludziom o miano nie chodzi... — Poszedł chudziak. Proboszcz głową kiwa: Te sobie teologią głowy nie morzą — powiada. — A słuszna!...

Stryj Hermolaus roześmiał się pobłaźliwie, jako stary człowiek świadomy życia i poczynań ludzkich. Nikt mu nie zawtórował. Panią Małgorzatę urażał pogodny sceptycyzm krewniaka, którego pojąć nie mogła. Stratę kościoła w Męcynie odczuła boleśnie i jeszcze nie przeboleła. Woląta o niej nie słyszeć. Młodzi zaś nie wiedzieli w ogóle, o czym była mowa. Siedzieli nieobecni a milczący i roztargnieni. Stryj Hermolaus opowiadając przyglądał im się spod oka.

**T**ego wieczoru Pietrek nie miał już okazji rozmówić się z Hanką, a następnych dni również. Najniespodziewaniej dziewczyna zaczęła go unikać trzymając się ustawicznie spódnicy ciotczynej. Gdy pewnego poobiedzia nie mogła iż sobie wymyślić żadnego zajęcia, usprawiedliwiającego uparte zostawanie w domu, zaofiarowała się, że przeczyta wujnie głośno parę rozdziałów z traktatu „O prawdziwej znajomości Boga”. Pani Pielszowa skwapliwie przystała, Pietrek zdębiał. Przysłuchiwał się przez pewien czas, jak powoli, niewprawnym głosem, wymawiając z osobna każde słowo, odczytywała monotonne, zawile dysertacje teologiczne, i z przerażeniem myślał, że mogą być ludzie, dla których podobne rzeczy są



zajmujące i zrozumiałe. Z nieukrywanym zadowoleniem stwierdził wkrótce, że matka, choć przykładająca się gorliwie do zrozumienia tych spraw, wielce jej drogich, zasnęła twardo, znużona zbytnim wysiłkiem umysłowym i bezbarwnością zabójczą lektury. Teraz mu Hanka nie ujdzie!

Wyszedł na palcach, by czekać na nią pode drzwiami. Daremnie! Przeczuwszy ten zabieg, wyprysła z izby tak szybko, że nie zdążył jej przytrzymać, i pobiegła do kuchni, by zasiąść tam z dziewczkami do przebierania poziomek, na suszenie przeznaczonych. Pietrek, zły jak Tatar, powlókł się w góry. Postępowanie dziewczyny drażniło go niewypowiedzianie. Mało albo wcale nie rozumiejąc się na zawilej dziedzinie afektów, ani przypuszczał możliwości jakowychś konfliktów, wahań czy szarpań wewnętrznych.

„Lubi, to lubi... a nie, to niechaj powie, że nie, miast uciekać... Cóż to? Niewolić ją będę, czy co? — myślał w rozżaleniu. — Blekotu się chyba najadła albo jej szaleju zadali?... Zdurniała!!”

Im bardziej jednak jątrzył się na nią i gniewał, tym wydawała mu się pożądana. Przez tych parę dni odkrył w niej wiele wdzięków i zalet, nie zauważanych poprzednio. Siedząc na pniaku, widział teraz przed sobą, jak żywą, jej drobną, smagłą twarz, szafirowe oczy, ciemne strugi warkoczy i zwiewny, ruchliwy wdzięk pliszki w całej postaci. W uszach dzwonił jej śliczny głos, który od kilku dni nie rozbrzmiewał równie wesoło, jak zwykle, po domu... Dlaczego właściwie? Im więcej myślał, tym mniej ją rozumiał.

Łoskot kamieni, toczących się z góry, przerwał jego rozmyślenia. Stryj Hermolaus, ściągając ostrożnie wodze starej kobyły, jechał ze swego Lipowca do Czarnego Potoku. Na widok synowca zsiadł z konia i szli razem piechotą.

— Co słyhać u was na spodku? — pytał stryj.

— Nic. Co ma być słyhać? — odmrunknął niemrawo Pietrek. Schodzili chwilę w milczeniu.

— Macie się k'sobie z Hanką? — rzekł nagle stary bez wstępu.

Pietrek aż podskoczył ze zdumienia.

— Kto stryjowi powiedział?

— Nikt. Cóż to, oczu nie mam?

— Ja bym się ta może miał — wyznał chłopiec — ale ona nie...

— Ejże? — zdziwił się stryj.

— Spytałem jej tamtej srody, czy mnie nawidzi, a ona, miasto co rzec, uciekła i teraz smyka przede mną jak przed poganinem...

— Myślisz, capie, że bez to ucieka, iż cię nie lubi?

— A jakżeby? — otworzył szeroko oczy usarz.

— Głupiś!... Co ty wiesz... Ale nie w tym rzecz... Dawno chciałem z tobą o tym pogadać i pono źle, żem się spóźnił, jeno tak się jakoś zemkło... Mnie się widzi, uważujesz, że Sobek chciał ją dla siebie brać... Nie mówił ci nic?...

— Sobek? — wykrzyknął Pietrek, przerażony tą myślą.

— Miarkowałem se, patrząc na niego, że mu się dziewczyna udała... Nie dziwota, bo miłe to, gładkie, robotne... Nic ci nie gadał?

— Nic — odparł Pietrek zgnębiony. — Prawda, że i czasu nie było, bośwa się zaraz poswarzyli i ja odjechałem...

— Mnie też nigdy nic nie mówił, jak to Sobek; alem tak sobie kalkulował widząc, jako na nią patrzy a mile ogląda...

— Zaś ona? — wykrzyknął Pietrek, któremu dech sparło w piersiach.

— Nie uważałem — odparł politycznie stryj. „Jużci, że nie pozierała na niego tak jak na

ciebie" — dokończył w duchu, głośno tego jednak nie wyraził. — Może z nią co gadał? — dodał.

— Może... Wnet się zapytam... „A taki czego ucieka, zamiast powiedzieć od razu?" — rozmyślał Pietrek idąc obok stryja. Był skołatany i wzburzony niespodziewaną nowiną. Hanka dla Sobka! O Jezu!... Cóż robić?... Słowa nie piśnie, jeno do hetmana pójdzie i tam ostanie... Sobkowe prawo pierwsze...

Serce waliło mu jak młotem, gdy dochodzili do domu.

— Hanka, pódź, mam ci coś rzec — rzekł wchodząc do izby, gdzie siedziały obie z matką.

Podniosła głowę zaskoczona. Gdy wyszła, schwycił ją za rękę i poprowadził do sadu.

— Hanka! Powiadaj mi zaraz: miłuje cię Sobek czy nie!

— Zaś ja wiem? — odparła, przerażona zapytaniem jego i wzburzeniem.

Przesunął ręką po czole.

— Stryj prawią, że miarkowali, jako on ciebie miłuje... Mówił ci co o tym? Mówił?

— Nie mówił.

— Bogu dzięki — odetchnął z głębi duszy.

Hanka dygotała jak liść.

— Nie mówił — szepnęła — jeno...

— Jeno co? — zatrzęsł się znowu.

— Mnie się też czasem widziało, że on... — Nie skończyła wybuchając głośnym płaczem.

— Cichoj, Hanka! Czego płaczesz?

— Bo ja za niego nie pójdę — szlochała — za nic na świecie nie pójdę!... Żeby mnie ubili, nie pójdę...

Łkała coraz to żałośniej.

— A za mnie poszłabyś? — szepnął przysuwając się tuż blisko.

— Poszłabym — wyznała wśród łkań — poszłabym... Ino żeby nie Sobek!...

— O mojaś ty!...

Świat rozjaśnił mu się w oczach. Wszystko wydało się naraz łatwe, proste i radosne.

Objął ją zdrowym ramieniem.

— A bez co uciekałaś ode mnie?

— Bez to właśnie — szepnęła nie przestając płakać.

Niewiele go to objaśniło, lecz uspokoiło od razu.

— Mojaś ty! — powtórzył. — Hanuś!... a czemu myślisz, że Sobek cię miłuje, jeśli nic nie gadał?

— Bo ja wiem?... Patrzył... Gdziem się ruszyła, patrzył cięgiem... Tak mi się widzi...

Sama nie wiem, bez co. — Płatała się nie umiejąc wyrazić tego, co nieomylny instykt jej powiadał.

— A nie poszłabyś za niego? — upewniał się.

— Nie! — wybuchnęła — Za nic! Boję się go!... Jakisik taki... Nie wieda nigdy, co myśli... Sowę zadmie, nie wiesz o co... Roześmiać się przy nim nie snadno...

— Sęp on, ale dobry chłop — rzekł Pietrek ze wspaniałą szlachetnością.

— By nie wiem co, nie poszłabym... Boję się...

— A mnie się nie boisz? — zapytał nagle, nachylając ku niej twarz.

Spojrzała mu w błyszczące oczy i roześmiała się serdecznie przez łzy.

— Oj, boję się... Boję okrutnie...

Nie skończyła, bo jego usta spadły jej nagle na twarz, gorące, chciwe i lube.

— Puść! Pietrek! Puść!

— To za to, że się nie boisz... Poczekaj! — odparł całując coraz ognściej.

Wyrwała się na koniec z jego płonących uścisków, roztrzęsiona, półprzytomna. Stali naprzeciw siebie, łapiąc dech, niezdolni słowa przemówić.

— O Jezu! Jezu! Co my robiwa! — krzyknęła nagle z rozpaczą. — Jeżeli Sobek się uprze, co będzie? Pietrek! Co będzie?

Spojrzał na nią głęboko, uważnie i oprzytomniał od razu. Wróciła zapomniana groza położenia, nieustępliwa, mocna jak prawo starszeństwa.

— Jeśli Sobek się uprze... — szepnął złamanym głosem — jeśli... Trza będzie we świat pójść... Ani pisać... Ani pisać... On brat... Starszy. Prawo jego...

Zachłysnęła się łkaniem na nowo.

— Przecie nie gadał nic nikomu, że miłuje — czepiał się Pietrek nadziei.

— Nie gadał, ale ja wiem...

Szli powoli ku domowi.

— Hanuś — rzekł nagle z tkliwością — tak cię nawidzę, że reta!

— A chcesz, by mnie Sobek brał! — buchnęła z krwawą urazą.

— Ja chcę? Dlaboga, cóżem ja winien?... Brat, pierwej cię znał... Hanuś!

Milczeli oboje przez chwilę.

— Pogadam jutro z panią matką — zaczął Pietrek raźniej. — Jeśli Sobek i im nic nie mówił, to czego my się tyła trapacujem? Miłował, a nikomu nic nie gadał, sam sobie winien! Cóż to? Mus nam wiedzieć czy co? Tobie się widzi, stryjowi się widzi, a naisto nie wie nikt... Nie ma się co frasować...

— Jest — szepnęła z cicha, nie porwana jego optymizmem.

— Gadanie! — zachnął się z gniewem. — Jeśli stoi wino i rad bym je wypić, ale nikt o tym nic nie wie, będę się swarzył, że kompan przyjdzie i zabierze?... Będę go o to winił?... Za co? Jakże mógł wiedzieć, skorom nic wcześniej nie gadał?... Tak i tutaj... Trza z panią matką pomówić i zrękowimy się, nie czekający...

Ale oczekiwana rozmowa zdmuchnęła jego złudzenia. Pani Pielszowa, owszem rada była Hance i uważała ją nawet od dawna za sneszkę, dla Sobka jednak na żonę przeznaczając, nie dla Pietrka. Młody jest, może poczekać, gdy Sobkowi sama pora... Nie uważała za potrzebne zwierzać się młodszemu, iż z dawna trapiły ją obawy o Sebastianowy ożenek. Mruk jest, milczek, ani gdzie pojedzie, ani do panny zagada... Jakże go żenić? Toteż traf, który dobrą, gospodarną dziewczynę (i z wianem!) sprowadził na miejsce, do domu, poczytywała za szczególną łaskę Opatrzności, której przeoczyć nie chciała bynajmniej. Czy Sobek Hankę miłuje, nie była zupełnie pewna, lecz to w jej oczach położenia nie zmieniało. Niech Pietrek nie durzy się darmo... Nic z tego!...

Dufny w przewagę, jaką w matczynym sercu posiadał, młody usarz po raz pierwszy próżno prosił, pieścił, błagał, do kolan się kłonił. Tyle jeno uzyskał, że mu zezwoliła spytać się Sobka, gdy wróci, jemu decyzję ostateczną zostawiając.

— Jeśli przystanie, pobierzeta się... Póki go nie ma, i gadać o tym nie zwolę...

Jedno spojrzenie na matczyną twarz upewniło Pietrka, że nic więcej nie uprosi. Nie zostawało im nic innego zatem jak czekanie.

**A** Sebastian nie wracał i nikt nawet nie umiał powiedzieć, gdzie może obecnie przebywać. Przeciagająca się niepewność położenia ciążyła obojgu młodym nieznośnie. Wykolejeni, strapieni, nie umieli sobie miejsca znaleźć. Unikali się wzajem, jak gdyby nie mogąc znieść swego widoku, a równocześnie szukali się trwożnie, desperacko, niby w obawie przed

możliwością rozstania. Oczy splatały się z sobą żarłocznie, by wnet, spłoszone, uciec w dwie przeciwne strony!... Mimowolne dotknięcie dłoni przy posiłku lub wspólnej robocie paliło ogniem jak rozżarzone żelazo. Krew buchała na jagody. Stryj Hermolaus śledził te symptomata ze współczuciem pełnym zrozumienia; matka z milczącą niechęcią patrzyła na gorączkową, chaotyczną pracowitość Hanki, przeplataną bezradnym, godzinami trwającym opuszczeniem się w sobie i zamarciem.

Pietrek wałęsał się całymi dniami po górach. Pierwszy to raz w dzieciennie proste jego życie, nie znające ani przypuszczające zatargów dusznych i splotów losu dziwacznych, wpadał ciężki kamień wewnętrznej rozterki. Miłując i szanując brata, powtarzał sobie po sto razy, wśród nieskończonych wędrówek po wierchach, że Sobkowe prawo pierwsze i że on, Pietrek, nie może tu słowa rzec przeciw. A równocześnie na samą myśl, że brat wróci i zabierze dziewczynę jak swoją, czerwona mgła stawała mu w oczach, a nie zaznana dotąd furia, druzgocąca, samcza, zaciskała pięści. Hanka zaręczała wprawdzie, że nie pójdzie za Sobka — lecz cóż stąd? Pójdzie, jak ją nasiądną Sobek, matka i stryj... Będzie się tam wiele pytał kto dziewczki, sieroty. Ojców przecie nie ma, którzy by się zmiłowali... Choćby się oparła, co pocznie? Gdzie się podzieje? Życie będą pod jednym dachem we troje, każde z osobna? Oszaleć by wtedy przyszło! Życie przedstawiało się niby wąwóz bez wyjścia... Chyba że jej Sobek nie miłuje? Z tą alternatywą jakże rozjaśniało się wszystko promiennie! Oto powraca starszy i na zapytanie brata wzrusza ramieniem w zwykły swój, mrukliwy sposób: Co mnie podziewce! Żeń się, Piotruś, skoro chcesz... Niewymowna, tkliwa wdzięczność opływała serce chłopca; chybaby bratu rzucił się do nóg z radości!... Lecz wnet czarna chmura zwątpienia precz odrzucała czarowne marzenie o zgodzie braterskiej i szczęściu... Zaśby Sobek mógł jej nie miłować? ółtora roku na nią patrząc? Oczu by chyba nie miał!...

On, Pietrek, miłował coraz goręcej. Wspomnienie jedynego pocałunku, wtedy, w sadzie, paliło wargi, zapierało dech pożądaniem, którego straszliwej mocy nigdy nie przypuszczał. Niemało użył łatwych miłostek obozowych, zwyczajnych uciech żołnierskich, o których nazajutrz ledwie człowiek wspomni, i nie przypuszczał, by mógł do spraw miłosnych zachodzić inny stosunek. A oto zwała się nań zmora nie podejrzana, chciwa, dręcząca, i w dzień, i w nocy przytomna. Potężna, rozrodcza siła życia huczała mu w głowie, przelewała się z szumem po żyłach; nie mogąc znaleźć sobie ujścia, zahamowana, zgnieciona, gnała go jak opętańca po wierchach, spędzała nocą sen z powiek, przyprowadzała o zawrót głowy i słabość. Wychudł i szerniał. Ze zdumieniem wspominał, że przecie rok blisko żyli z Hanką pod jednym dachem w niefrasobliwym braterstwie, weseli, spokojni, bezgrzeszni. Cóż nagle się odmieniło? Jaka zaporą stanęła między tamtą niewinną przeszłością a męką chwili obecnej? Jeden dzień, jedno słowo sprawiły taką odmianę? Chyba czary? Uroki, które stara Mądrzycha przez chytrych zadała?... Właśnie owego dnia była...

Niecierpliwie oczekiwał ponownego przyjazdu wrocimirowskiej znaczorki, by ją w tej materii szorstko i stanowczo na osobności zagadać. Zaprzeczyła, oburzona, a co gorsza — jak się Pietrkowi zdało — niby i rozśmieszona. Kaprawe, wpół ślepe jej oczy miały filuterne błyski, gdy zaręczała, że urok leży w czym innym. Odchodząc radziła życzliwie, by się obmył wodą, w której zgaszono trzy święcone węgle, i wytarł nadołkiem wywróconej na lewą stronę koszuli. A nuż pomoże? Spróbować nie wadzi. Pietrek machnął pogardliwie ręką. Nie miał najmniejszej nadziei, by równie łatwy i niewinny zabieg mógł przywrócić im obojgu dawny błogi spokój, zwołać beztroskie, lube przyjaciełstwo, pod którego osłoną kłuł się widno dzisiejszy pożar zmysłów i serca.

Drapieżna siła miłości, rosnąca w miarę oporu, spadła na ich proste, niezwykle wewnętrznych walk dusze, stargała je, zszarpała, rzuciła bezsilne. Byli sobie najbliżsi i zarazem

obcy jak wrogowie. Nieprzyjaciółmi stali się wzajem swojego spokoju, w rozterce ani przypuszczając, jak wiele cierpieniu temu zawdzięczają. W głowie im nie powstało — bo skąd by? — że gdyby nie ta przeszkoda, gdyby zwykłym, uświęconym trybem obyczaju swatali ich starsi, rozważnie wpieryw ogadując wiano i oprawę — nigdy by się równie mocno nie pokochali. Wiosenny, beztroski pociąg dwojga młodych, krótkotrwały, poza codzienny obręb nie wybiegający — siłą oporu przekształcił się w miłość, wielką, prawdziwą, dostojną. Miłość ta wyrwała pierwotne, spokojne ich dusze z roślinnego bytowania, postawiła wysoko w człowieczeństwie. Płonąca, podniecona niepewnością i zaporą, porywała za sobą oboje w sferę uczuć nie zaznanych, nie przeczuwanych, trącała skrzydłem, z wieczności lot swój biorącym. W miesięczne gorące noce, gdy szczyty gór rysowały się na niebie niby srebrzyste widziadła, zawite w smugi wznoszących się z Dunajca mgieł — w głowach, Hanczynej i Pietrka, budziły się skądś myśli nowe, dziwaczne, dalekie, nic wspólnego z bieżącą robotą gospodarską, a nawet z nimi samymi, nie mające. Bezsenne oczy patrzyły w świat przeobrażony, inny, bogatszy o wiele w kształty i barwy. Poszumy z borów idące, surowe oddechy gór, grały melodię nową, nigdy nie słyszaną.

Lecz oni, umęczeni, stroskani, niecierpliwi, przechodzili mimo, niebaczni, równie nieświadomi swych wlotów w nieznaną przedtem kraj czarów, jak i tego, że kraj ten zamknie się przed nimi z chwilą skończenia udręki.

A Sebastian nie dawał w dalszym ciągu znaku życia; ani wiedziano, gdzie jest. Mógł powrócić każdego dnia. Pietrek równocześnie pragnął gorąco tej chwili i drżał przed nią. Każdy skrzyp bramy wjazdowej, szczekanie psów na dziedzińcu podnosiły go na nogi okrzykiem: Brat jedzie!... Nienawidził wtedy nadjeżdżającego, świadomie, zimno, okrutnie, i oddychał z ulgą, skoro wyszedłszy ha ganek, widział, że nikt nie przyjechał. Na ten czas opadały go wyrzuty i wstręt do samego siebie. Cóż winien, coż winien nieobecny brat? — szeptało z żalem sumienie. — Nie wienien, ale wara mu od Hanki!... Moja jest!... Skołatany umysł poczynął w męce projekty najdziksze, najfantastyczniejsze. To dziecinne — jak ucieczka z Hanką w góry, to ciemnokrwawe — jak zbrodnia. Byle jej nie ujrzeć bratową ani czyjąkolwiek! Tylko zuchwałę zaprzeczenie praw braterskich, otwarty bunt przeciw kanonom rodzinnym, ciężącym z całą siłą surowej ariańskiej etyki moralnej, nie przychodziły mu do głowy — nawet w chwilach największej rozterki: starszy brat — i poznał pierwszy!

— Nie pójdę za niego — zaręczała po raz setny, równie nieszczęśliwa jak on, dziewczyna.

Kiwał na to głową wąpiąco:

— Cóż poczniesz, niebogo? Dziewką ostaniesz czy co?

Podniosła nań zmizerniałą twarz, w której stanowczym blaskiem zaświeciły oczy.

— Już obmyśliłam i wiem... Na wiarę katolicką jak tatulko przejdę i zakonnica ostanę...

Spojrzał na nią ze zdumieniem, a zarazem głębokim podziwem nad jej mądrością. Otóż znalazła wyjście z położenia, które wydawało mu się matnią zamkniętą! Jeśli nie sądzone im żyć razem, nie będzie Sobkową, nie będzie niczyją... Odetchnął z ulgą, lecz równocześnie ogarnął go żal i tkliwość serdeczna. Wydało mu się, że już widzi młodziankę jej twarz w osłonie czarnego kwefu, grubymi murami odgradzoną od świata i życia Z jego powodu, dla niego! Po raz pierwszy zapragnął całować nie usta jej, ale ręce.

— Może Bóg da, że nam się to wszystko ino zwiduje gołąbeczku mój — szepnął. — A jeśli nie, to już ciś tak zrobim ty do kalsztoru, a ja do hetmana...

Uśmiechnęli się do siebie bez słowa...

## Rozdział czwarty

### Wygnanie

**B**odajeś nogi połamała, jedzono, poćpiego! — krzyczała jejmość Stanisławowa Farnowska wychylając z odrzwi kuchennych lico osypane mąką.

Pochylona nad balią jejmość Barbara Kokoszkowa, właścicielka zajmowanego przez Farnowskich domu, zatrzęsała się z oburzenia.

— Ja poćpiega? — wycharczała. — Krukwo? Nieplago! Dziadówko! Mój jegomość, Bogu dzięki, na mnie nie narzeka!... Słyszeliśta ją: poćpiega!... Bodaj ci ozór wygnił, koczpergało!

— Tyle mi stoi twoje gadanie, co ścierwo! Rakarz był twój tatko!... Chy? — ścisnęło zjadliwie z kuchni z brzękiem zaborczym naczynia.

— Ty bombizino! Marcho! Diabelski pomioocie! —bulknęły wściekle mydliny.

— Samaż bomblizina!... Czekaj! Szlachcianka jestem, urodzona! Wiesz?

— Szlachta, co psy łupi! O wa! kościogryz! Miotła piekielna! Chcesz po łbie? Chodź ino! Chodź!...

Zbliżały się ku sobie z rozpalonymi ślepiami. Złość babska, straszliwa, gwałtowna, rozsadzająca mózgi, bulgotała niezrozumiałym charkotem w grdykach. Trzęsły się poorane zmarszczkami twarze, latały spiczaste brody. Jadowita ślina strzykała z rozchłapanych warg. Pokrzywione, węzłowate palce drgały pragnieniem wczepienia się w kudły przeciwniczki. Nienawistnymi oczami bodły się wzajemnie, sapiąc. Jejmość Farnowska była tęzsza i silniejsza, lecz pani Kokoszkowej przybyła w pomoc córka Agata. Czerwona na gębie, tęga jak dzieża piekarska, sunęła rozszożona, żądna walczyć w obronie macierzy. Widząc nierówność sił pani Farnowska, choć z zalem, cofnęła się na poprzednią pozycję w drzwiach kuchni.

— Ty męcherzyno! Świnio plugawa! śebraczkoo!! — krzyczała panna Agata oparłszy rękę na obfitych kłębach, nierada, że do czynnej utarczki nie przyjdzie.

— Stul gębę, gidio! Frycygierno szatańska! Pyskata jałówko!

Na dziedzińcu zastukały kroki. Apostołowi podobien z uduchowionej twarzy i srebrzystej brody, stary Farnowski wracał namyślony. Na odgłos babskiej wrzawy przystanął, powiódł dookoła oczyma prawie z rozpaczą, a skuliwszy głowę w ramiona, usiłował przemknąć się niepostrzeżenie w głąb domu. Daremnie! Przesuwającego się chyłkiem dostrzegła małżonka i przychwyciła gwałtownie za poję odzieży.

— Co chcesz, jejmość? — zapytał cicho.

— Broń mnie, stary niedołego! Chuchraku! Patrz, jak mnie miejskie krukwy oprymują! Przez ciebie, trutniu! Widzą, że nikt za niebogą nie obstanie, to byle suka ujada!... O reta! Reta! Niby bagniatko ostałam, sama, bez opieki... Chy!...

Machał bezradnie rękami, próbując się wyrwać.

— Nie pójdziesz! — wrzasnęła z wściekłością. — Nad książkami pogańskimi dukwisz, a o żonę ślubną nie dbasz! bombizną mnie przezywa ta szelma, z twojej łaski! Mnie, szlachciankę urodzoną! Ot, na co zesłałam przy tobie, cielepajło! Gamoniu! Przygłupku!

— Ady choć raz prawdę rzekła! Choć raz — przytakiwała pani Barbara, zadowolona.

Stary reformator wyrwał się na koniec i uciekł na górę, zatykając uszy dłońmi. Na dole zaś przerwana na chwilę walka rozgorzała ze świeżym impetem. Dom trząsł się od wyzwisk babskich.

Farnowski po wąskich, trzeszczących schodach wdrapał się żywo aż na poddasze, gdzie miał maleńką izdebkę-pracownię, zawaloną księgami i rękopisami. Było to jego jedyne i ostateczne *refugium*. Zasunął obartlik u drzwi i odetchnął. Naprzeciw, przez małe okienko, dymnik raczej w dachu wykrojony, świetlistością lazurem rozśmiał się do niego daleki sierp widnokregu. Siadłszy na sosnowym stołku, zapatrzył się w ten cichy wykrój, niosący wieść niby o cudach zaświata, usilnie starając się odnaleźć przerwany wątek rozmyślań.

Krzykliwe wymówki żonine powtarzały się z regularnością kwadr księżycowych, po trzy razy na dzień, od pięćdziesięciu z górą lat. Miał zatem czas do nich przywyknąć. Podobnie mógł się przyzwyczać do codziennych batalii jejmości z panią Barbarą Kokoszkową, które to harce były snadź koniecznym dopustem temperamentu obu matron utrzymującym je w dobrym zdrowiu i rzeźkości. Przecież nie przywykł dotąd. Jednak raz iły wrzaski, jednak bolały wyrzuty żony, wieczne narzekania na biedę, poniewierkę, brak najpotrzebniejszych rzeczy, ubogą, latami łataną odzież. Juźci, trudno było przeczyć: zbywało im na wszystkim, on zaś nie umiał temu zaradzić. Poczucie pewnego rodzaju winy wobec małżonki sprawiało, że nieugięty, popędliwy Farnowski, postrach synodów dla niepohamowanej gwałtowności i nietolerancji — w obliczu kłótni babskich stawał się lękliwy, nieśmiały, bezbronny. Gdy obie jejmoście, wspomagane piskliwym dyszkantem jejmościanki Kokoszkówny, rozpętały się niby furie, z rozpędem iście kosmicznym zachłystując się żywiołem wyzwisk co najwyszukańszych; gdy rozciapane ich ozory, mielące z bezprzykładną szybkością ciężkie gruzły złości na wartki pył obelg, przechodziły z wściekłości od słów w bełkot charkliwy, chlapanie bez związku; gdy wyschłe, ziejące czeluście paszczęki zanosily się gdakaniem indyczym — ucieczka widziała mu się jedyną drogą ratunku. Ilość energii zużytej dla powodu tak błahego jak rozwieszenie szmaty na tym, nie na tamym kołku lub odsunięcie garnka od ognia nie w porę — wprawiała go zarazem w zdumienie i przerażenie. Uchodził z pola, nie siląc się na — bezużyteczną zresztą — interwencję. Zamknięty w swoim azylum na strychu, cierpko, gorąco zazdrościł księżom katolickim bezżeństwu. Z zawiścią myślał o spokoju, w jakim ci utrapieni wrogowie mogą oddawać się dociekaniom nad istotą Bytu i Prawdy Najświętszej. Celibat zdawał się być rajem wyśnionym. Z gorzkim uśmiechem, natrząsając się sam z siebie, wspominał, jak tysięcznymi nieodpartymi argumentami zwalczał niegdyś i potępiał bezżeństwo duchownych. Szalony! Gdyby był wiedział! Jakże szczęśliwy jest człowiek samotny, nie mający nic na głowie prócz poszukiwania Prawdy, troski o zbawienie duszy i siakie takie utrzymanie przy życiu mizernego ciała, bodajby chlebem żebraczym! Jakże swobodny i wolny! Z żalem stwierdził, że szczęście to nie było i nie będzie nigdy jego udziałem. W najpiękniejsze chwile wewnętrznego skupienia, krzepkiego stężenia w sobie samym, by sieć gorącego umysłu jak najdalej w otchłań wieczności zarzucić, w rozedrganą na wyżynach Nieba tkanę jego myśli padał, niby płaski raz kijanki, wrzaskliwy lament o kwokę ubitą kamieniem przez zbytniego Rocha, najmłodszego z Kokosząt, lub wylane na grzędę mydliny.

I teraz nieustający tartas piskliwych, rozjudzonych głosów dochodził aż tutaj, przenikał cienkie drzwi, brzęczał dokuczliwy, nieznośny. Odganiał od niego myśli, niby od muchy

natrętnej.

„Za tydzień wyjeżdżamy, to się te wymysły skończą” — pomyślał i wraz westchnął uprzytomniwszy sobie całą bezpodstawność tej nadziei. „Wyjazd nic nie zmieni. Zamiast tej gospodyni będzie inna. Znajdą się jakieś sąsiadki. Baby muszą być wszędzie — niestety!”

„Za tydzień wyjeżdżamy” — powtórzył z wolna, z namysłem jak gdyby wnikając w znaczenie istotne tych słów. Zatopił się w nich tak głęboko, że wrzaski babskie jęły już przepływać koło niego nie zauważone, obojętne wielkiej ciszy, w której się zanurzył głęboko, pograżył, rozszedł...

Wstał ze stołka i wyszcznął głowę przez dymnik. Puścił oczy daleko, żywiąc je cudem widoku. Pobiegły chyżo niby ręce konie, wsparty się o łańcuch gór, wróciły doliną do grodu rozestanego u stóp. Patrzył się chciwie, inaczej niż co dnia. Od czterdziestu ośmiu lat mając przed oczyma ten obraz, przywykł do niego, jak się przywyka do własnego głosu, kształtu swej ręki, gestów i zdarzeń, tak codziennych, nieodmiennie jednakowych, że zatracają z czasem wszelki kształt i treść. Lecz myśl o rychłym wyjeździe rzuciła mu naraz w oczy dolinę sądecką, taką jaką ją ujrzał po raz pierwszy przed pół wiekiem prawie, w całej krasie i przedziwnej urodzie.

Najdalsze pasma gór zamykających widnokrąg zdały się płynące, rozchwiane, na kształt obłoków powiewne, błękitne jak zawieszzone ponad nimi niebo. Linia znacząca ich garby przejrzyste, nalane lazurem, podobne kryształowym odwróconym czarom, była tak znikoma i subtelna — barwa tak bliska czarownicy czystości nieba, że oko raczej wyczuwało ją, niżli dostrzec mogło. Poblizsze kopce, obłe i połogie, spływały łańcami borów niby dostojną brokatową szatą. Urocze jak tchnienie wiosny, jasnozielone smugi buków i modrzewi wrzynały się w czerni jodeł na kształt misternego wzoru, rytego w ciemnym agacie. Na jednostajnej, ćmawej głębinie jodłowej kładły się ni to przyśpiewek szczęśliwych początków lata. Dolina, zalana słońcem, śmiała się szmaragdem łąk i złotem kaczeńców załzawionym oczom starca, patrzącym w nią niby w oblicze kochane, a odchodzące na wieki. Poprzez roześmiane łęgi wiła się rzeka spieniona, szumiąca, skacząc, śląc jedne fale w pogoń za drugimi. Były w niej moc i wytrwałość, uparte, radosne dążenie ku odległemu celowi. I wpatrzonemu w nią z wysoka staremu człowiekowi wydało się, że każda z niezliczonych fal, co przepłynęły tędy przez ubiegłe lata, uniosła jedną myśl jego, równie jak ta woda do celu swojego dążąca. Wieleż ich było?... Sunęły nieprzerwanie fale pod murem domostwa, sunęły dniem i nocą, zimą i latem, rano, w południe i wieczór. Nie zliczyłbyś tych nawet, co przepływały w ciągu jednej chwili. Tak i myśli jego... Niespokojne, nieustanne, wiecznie w jedną stronę idące...

Powiodł oczyma po górach, jak gdyby i wśród nich szukając pozaczepianych o szczyty tyloletnich dumań-marzeń. Tędy je słał, wsiąkły wszystkie w tę dolinę, objęły każdy kęs gleby, musnęły każdą gałązkę. Kędyż są dzisiaj? Jakże je odnaleźć? Hej! Po co szukać, gdy oto niby mocne nici łączą go, wiążą, osnuły razem z tym krajem w jedno...

Naraz, wbrew własnym mocnym zapewnieniom, że to lub owo miejsce na ziemi wygnania obojętnym ma być człowiekowi — targnął nim żal okrutny, żrący i przenikliwy do łez. Poczul się wrośniętym korzeniami mocno, mocno; z drzeniem myślał o wyrwaniu się stąd.

A wyrwać się, odjechać, trzeba...

— Na stare lata... jak psa pędzą — mruknął z głuchym gniewem.

Wypędzono go istotnie. Po Ligęzie starostwo sądeckie objął Lubomirski, który, katolikiem będąc gorliwym, prześladował zbór. Układnego Socyna do czasu znosił. Farnowskiego nie cierpiał. Dokuczał, jak mógł, na koniec wyjechać kazał. Zresztą był to ludzki człowiek i zapewne byłby się dał uprosić, lecz nikt w zborze nie ujął się za starcem, sprawy jego nie podniósł, o zostawienie w miejscu nie apelował. Farnowski zaś zbyt był dumny, by korzyść



się, błagać. Widząc, że jest sam i opuszczony, wyjeżdżał do Firlejowa, gdzie ostatni jego zwolennicy zgodzili się dać mu przytułek.

O, jak ciężko wyjeżdżać! Jak ciężko!...

Wpatrzył się znowu w świetlisty rozłóg doliny, usiłując dojrzeć na jej tle siebie samego, tego, co przybył tutaj przed półwiekiem. Nie zmienił się kraj ni rzeka, ni góry, lecz jakże innym był on! Pół wieku!... Jakże był gorący, młody, pewny zwycięstwa swej Prawdy! Jakże tę Prawdę miłował!... Zarzucano mu powszechnie hardość, samowolę i pychę, gdy były to jeno zbyt gorącość wiary i siła przekonań. Gdy nie mógł zwalczyć przeciwnika erudycją i dialektyką, wybuchał druzgocącym gniewem oburzenia na tych, co oczywiście, w jego mniemaniu, Prawdy nie rozumieli. Przyznawał słusność zawziętemu antagoniście swemu, księdzu Skardze, że tolerancja jest zaletą letnich. Sam nie posiadał tej cnoty ani się o nią kusił. Nie umiał, jak Socynus, łagodzić sporów i naginać swych wywodów do miary audytorium. Zażartą walkę z przeciwnikami ułatwiał mu umysł bystry, pamięć przedziwna, ćwiczona. Wrażliwym mózgiem młodzieńczym, chciwym coraz szerszego poznania, wchłonał niegdyś wiedzę uniwersytetów w Marburgu, Zurychu, Heidelbergu — posiadał łacinę, grekę i hebrajski na równi z mową ojczystą. Nie miały dla niego sekretów stare, w kamieniu ryte i zamarte, z niechęcią tajemnicę swoją zdradzające mowy chaldejska, syryjska. Z łatwością odczytywał one wspominki prastare, pamiątki dziwne po pasterzach, gwiazd czcicielach. Jeden tylko Piotr z Goniądza mógł się z nim w uczoności równać. W głowę, żywe źródło umysłu, biorąc każde brzmienie, każdy znak pisarski Ewangelii świętej — przeciwstawiony sobie tekst parował tekstem, jeden przykład zbijał dziesięcioma. Groźny w dyspucie, porywający ogniem, wymową, zapalem, przez pół wieku niestrudzenie walczył o zwycięstwo.

Gdzież ono?

Gdzież ono?...

Stare oczy rozbłąkały się znowu po górach. Gdzież jego dawne energia i wola? Nie ma ich!... Rozwiały się gdzieś, rozpełzły jak mgła wstająca z ugorów. Od piętnastu lat systematycznie usuwany z naczelnego stanowiska przez biorących górę unitarianów, Stanisław Farnowski, dyteista, miłośnik Chrystusa, stał dzisiaj wobec porażki zupełnej, której nie starał się już przed własną dumą ukrywać. Wyznawcy rzucili go i poszli mimo...

Dlaczego?

Zadumał się głęboko nad tym pytaniem, niejasno chwytając przyczynę. Prześwitywało mu przecie w głowie pojęcie, że ruch braci polskiej nie był podobny nic a nic do wszystkich ruchów sekciarskich Zachodu. Był jeden jedyny na świecie i tylko w Polsce możliwy. Nie podyktowały go, umiejętnie do miłości Bożej przymieszane, dodatki prywaty lub względów socjalnych. Nie podnieśli go wydziedziczeni. Uprzywilejowani, możni, szczęśliwi, w najszlachetniejszej czystości serca i duszy wydali z siebie ów krzyk protestu przeciwko różnicy dzielącej od nich niewolne tłumy poddanych. Strwożeni własnym wywyższeniem, zapragnęli zbyć się go i pójść Chrystusa śladami.

Lecz w tych nieziemskich zaiste początkach, będących wieczną chwałą zboru braci polskiej, były zarazem ziarna jego zguby. Pozbawione koniecznego hamulca spraw i przyczyn ziemskich umysły, nie liczące się z żadnymi względami, poza czysto moralnymi, oszalałe żądzą Prawdy, szły i szły naprzód; raz wyzwolone, pędziły w bezkres skroś wieczności i wszechświata, od twierdzenia do twierdzenia, od konsekwencji do konsekwencji, aż doprowadziły logiczne na pozór wnioski, z Pisma Świętego ciągnięte, do karkołomnej granicy, za którą był już chyba jeno albo powrót do mozaizmu, wzorem Budnego lub Dawidowicza — albo religia tak uduchowiona, daleka, rozwiana abstrakcyjna, wszelkiej łączności z Bogiem pozbawiona, że właściwie religią być przestawała...

Stanisław Farnowski miał dość rozumu i woli, by samemu sobie dogmaty nieprzekraczalne postawić i krzepki gmach wiary wznieść. Lecz wyznawcy jego nie chcieli stanąć... Odeszli. Został z chramem swoim — sam.

Z boleśnie szyderczym uśmiechem rozstawił palce u ręki, by policzyć tych, którzy mu jeszcze zostali. Ejże, jedna dłoń wystarczy?!... Zabawscy... Serdeczni ludzie, książki jego własnym nakładem drukują... Jordanowie... Pielsz... Rozjaśnił się na wspomnienie Sebastiana.

— Dobry chłop. Zwarty i mocny. Ująłby się za mną, bronił... Cóż, kiedy go nie ma doma...

Wrócił do dumań na losami zboru.

Choć gwałtowny i zapalczywy, nie mógł nie zauważyć zmian, jakie w ciągu ostatnich dwudziestu lat zaszły w Kościele katolickim. Nie mógł oprzeć się wrażeniu wzmożonej potęgi, odrodzenia znieprawionego wroga. Odmęt reformacji miał zatopić Rzym i zalać — wywiódł go, niby zbawienne podcięcie biczem, z grząskiej slotwiny na suchy, wysoki ład. Stary heretyk przestał się łudzić rychłym upadkiem papieżstwa, z zazdrością widząc, jak umniejszony o tłumy wyznawców Kościół silniejszym jest teraz niżli kiedykolwiek. Wiek, który miał przynieść jego zagładę, stał się dlań wiekiem skrzepienia i mocy... Zali to właśnie było Twoją wolą, Boże? A my wszyscy po tośmy jeno żyli i działali, by się bezwownie do jego wzniesienia przyczynić?

Stary człowiek cofnął głowę z dymnika i usiadł ciężko na stołku, przytłoczony ciężarem tego zapytania, po raz pierwszy przez myśl zjawionego. Zatrząś się w trwodze przed srogim jego szyderstwem. Przymknął oczy przerażone. Skulił się, niby przepiórka pod bliski dźwięk kosy. Lecz myśl wracała uparcie, nagląca.

„Po toś nas powołał? Po to? Czyliż to możliwe, Panie? Im powierzyłeś arkę swojej Prawdy? Ich bronisz, osłaniasz, zastawiasz szczytem swej łaski!... A my?... Boże!... Toż dla Ciebie zaprzaliśmy świata, wyzuli się z wszystkiego. Nie łaknąc nic, jeno Prawdy Twojej — nie pragnąc nic, jeno obecności Twojej... Szukaliśmy Cię w ubóstwie, w apostołskiej prostocie, wśród własnych słów Twoich... Szukaliśmy Cię w braterstwie, miłowaniu społecznym... Nie busznił się nikt ponad drugie... Pylny, utrudzony a żmudny był ten nasz gościniec... Zdeptaliśmy go ogorzałą od znoju piętą, w oczach piach mając przez obmowców miotany. Palił plecy wstyd potwarzy niezasażonych, goniły wydrwiska powszechności, szczęśliwej w swojej miernocie... Przecieśmy szli... I to wszystko na nic było? Potrzebne po to jeno, by wzmocnić a wywyżżyć tamtych? Ten ci koniec naszych wysiłków i trudu? Rzuciłeś nas, podeptawszy?...”

Złamał się, ugiął pod gniotem piekącego buntu. Gniew, pękający jak granat, czerwony jak płomień ból — rozgorzały, wytrysły, zaszamotały słabym ciałem, aż jęknęły stawy. Zmagał się z rozwalającą pierś pasją, z wołaniem w niebo bijącym, z żądzą okrutną, bluźnierczą, rzucenia w twarz Bogu krzywdy swojej i zawodu. Chude ręce, dwóm wyschłym konarom podobne, uniosły się ponad głowę w bezmownym, groźnym wołaniu:

„Gdzie jest Bóg?! Gdzie jest? Czy słyszy?... Niechaj tu zstąpi w poddasze, w płomiennej grzywie ognistej, niech się pojawi jako Mojżeszowi, niechaj odpowie: dlaczego?...”

Wyteżył oczy i uszy, jak gdyby czekając. Lecz w straszliwym milczeniu Niebios słyszał tylko własny szyderczy pośmiejch, ćwierkający gdzieś w mózgu uparcie, jak świerszcz: Nie krzycz, człowiecze nie szalej!... Tamci są jeno wybrani... Po was i śladu nie będzie...

-----

— Jegomość! Na obiad! — zabrzmiał pode drzwiami głos żony, wrzący jeszcze niedawną urazą.

Ani drgnął, nie słysząc nic.

— Skaranie Boskie! Odezwij się choć, gamajdo! Polewka gotowa!... Złaż!... Diabeł, twój kum, cię porwał, stary małpierz — czy co?... A siedź se tam do skończenia świata... Chy! Ty Salomonie, antychryście, dziadu! — zakonkludowała schodząc.

Godziny sunęły koło niego, nie zauważone. Przez wąskie palce, zaciśnięte na twarzy, bezmierną męką wyciśnięta łza spływała — ciężko jak grudka ziemi cmentarnej opadła na kolana, zalśniła na nich żałością przez chwilę. Słońce zniżyło się, zajrzało w dymnik. Miliardy pyłków porwały się, by radośnie zawirować w ciepłej smudze. Promień łaskawą pieśczęcią dotknął nachylonego czoła.

Stary herezjarcha podniósł głowę i spojrzął z wdzięcznością w ten blask.

— Byle ku Prawdzie iść, Boga miłując, o swoje nie dbając — szepnął sam do siebie — byle z wszystkich sił ku Prawdzie... Gdzie by się nie zaszło, człowiek czyni wolę Bożą, dzieło Boże...

— Dzieło Boże — powtórzył głośno z rezygnacją. — toćże o nic więcej nie chodzi jeno o to... Dość zaszczytu Bożym narzędziem być... Zrobiliśmy swoje...

Nowe kołatanie do drzwi zatrzęśło izdebką.

— Jegomość! Ady, jegomość!... Pomerł? Skołowaciał? Spił się utrapieniec?... Chy!

— Czego tam? — spytał niechętnie.

— Przecież się, ozwał!... Złaż skoro; jegomość Pielsz z picownym wozem przyjechali...

— Pielsz? — krzyknął radośnie prawie. Nikomu w tej chwili nie byłby równie rad jak Sebastianowi.

Otworzył szybko drzwi i cofnął się zawiedziony na widok Pietrka.

Usarz pochylał się do dłoni starca z obojętnym, nawykowym szacunkiem.

— Brat doma? — spytał Farnowski żywo.

— Nie ma — odparł krótko Pietrek.

— Kiedy powraca? Macie wiadomości?

— Ani nawet wiemy, gdzie jest.

Farnowski westchnął z żalem.

— Pani matka dziesięcinę Waszej Wielbności przesyłają — ciągnął Pietrek.

Nagły rumieniec powlókł zapadłe policzki starego reformatora.

— Omyłka to! — zaprzeczył żywo. — Ja dziesięciny ani wymagam, ani przyjmuję...

Co z miłosierdzia kto łaskaw dać, biore, tyle jeno, wiele do życia potrzeba...

„Nie kijem go, to pałką” — pomyślał Pietrek znudzony, dodając głośno: — Ozór mi się opsnał... Racz Wasza Wielbność wybaczyć...

Lecz Farnowski wyczytał jego myśli z twarzy i zmieszał się jeszcze bardziej... Stara to była bolączka, mus przyjmowania owej darowizny czy opłaty, wieczny rozdźwięk między realnymi wymaganiami życia a zasadą. Rad był nic nie brać, od nikogo nie żądać, a przecie musiał wyżywić żonę i siebie. Sam skąd by wziął, całe życie strawiwszy na nauce i nawracaniu a pouczeniu innych?

— Przywiozłem kopę serków, korzec żyta, pół korca pszenicy, ćwierć jęczmienia, dwie półcie słoniny, suszu na garusy, dwie kwarty maku i rzepy worek — wyliczał Pietrek.

Stary podniósł ręce do góry.

— Za wiele! Za wiele! Bóg zapłać! Nawet ćwierci tego nie weźmiemy...

— Jegomość! — pisnęła groźnie za jego plecami małżonka.

— Nigdy zapasów nie robił — mówił nie zwracając na nią uwagi — tym bardziej teraz, gdy za parę dni wyjeżdżamy.

— Wasza Wielbność wyjeżdża? Dokąd?

— Do Firlejowa. Ciężko to przychodzi, tyle lat tutaj spędziwszy... Co począć?...

Zniewolili mnie...

Urwał widząc roztargnienie słuchacza. Nie warto mówić... Co go to obchodzi! Wyjeżdża? — niechaj wyjeżdża. Świat się nie zawali... Tak powiedzą wszyscy... Ani się kto zatroszczy, ani kto wspomni... Wydaje ci się, człowieku, że duszę z siebie wyrwiesz odjeżdżając, że pięćdziesiąt lat pracując, nie wiedzieć co tutaj sprawił, a ot... wiatr ślad zamiecie i znaku nawet nie będzie...

— Kiedy brat powraca? — zagadnął zapomniawszy, że się już o to raz pytał.

— Nie wiada — mruknął chmurnie usarz.

— Gdy powróci, powiedz mu, synu, że dusznie byłbym go rad widzieć... Serdecznie rad... Zdać na niego chciałem przed wyjazdem wiele rzeczy, wiele... Ha, nie ma go; wola Boża...

Zawrócił do siebie. Pietrek z jejmością zeszli na dół wyładować prowiant. Niewiasta nie podzielała bynajmniej zapatrywań męża i mile przyjęła wszystko, co im zwieziono.

— A to? — zapytała łakomie, widząc, że parę worków zostało na wozie.

— Dla patriarchy Socynusa.

Westchnęła ciężko, żałośnie.

— Zawdy tłusty potęć smarują — sarknęła. — Bóg zapłać waszmości i za tę drobinę... Wyjeżdżamy, to prawda, ale na nowym miejscu też zjeść trzeba... Chy!...

Pożegnawszy ją Pietrek wyjechał z Polskiej ulicy na rynek, pod mieszkanie Socynowe. Patriarchy nie było doma, jak go objaśniła dziewczka. Może zresztą był, jeno zawarty, bo obawa persekucji przerodziła się u niego z wiekiem w chorobliwy, nieustanny lęk.

Zdawszy dziewczynie zapasy, Pietrek zostawił wóz na środku rynku i ruszył pieszo, przepychając się przez gęsty zawsze tłum. Matka kazała mu przywieźć imbiru i szafranu z apteki, przez imię pana Momotka, przedniego aromatariusza, trzymanej. Tam też dążył, na ukos przecinając rynek. Odwykły od ruchu i gwaru, zatopiony we własnej zgryzocie, włókł się niemrawo, spode łba patrząc wokoło. Ludno było jak zwykle i gwarno. Przed kamienicą narożną alchemika Sędziwoja stała po dawnemu gromada żaków i innych urwipołciów, wykrzykujących ze śmiechem i piskiem:

— Czarodziej, dobrodziej! Ohe! Daj złota! Czarodziej!...

Pietrek przechodząc rzucił okiem przez kratę dzielącą dom od ulicy. Na schodach kamiennych siedział sam mistrz Sędziwój, w zrudziałym aksamitnym kaftanie, z twarzą ukrytą w dłoniach, obojętny i głuchy na swawole żaków. Przed pół rokiem chytry alchemik Muhlenfels wykrał mu zdradziecko proszek Setonowy i zniszczył go czy skrył. Cóż stąd, że elektor powiesić kazał Muhlenfelsa na wysokiej szubienicy, poźłoconej u szczytu dla urągowiska? Cóż stąd? Utraconego skarbu to nie przywróciło. Z dnia na dzień wielki Sędziwój, głośny w całej Europie, bożyszcze monarchów, stawał się nędznym, śmiesznym i nic nie wartym. Ukryty w rodzinnym mieście, pracował dniami i nocami, w nadziei, że jeszcze odkryje cudowną formułę Setona i sławę dawną odzyska... Tymczasem żaki, znudzone jego nieruchomością, ciskały weń końskim nawozem.

Pietrek, nie wiedział nic zgoła o pana Sędziwojowej tragedii i obojętnie przeszedł mimo, ku aptecę. Obszerna była i zasobna. Sprzedawano w niej gorzałkę, wszelkie korzenie i zioła, воск czerwony na pieczęcie, ziele tatarskie, marcypany, hizopy, limowy, nalewkę cyprysową, sukna przednie falendyszowe, skóry kordubańskie, grzyby suszone, sadła lisie, wilcze i borsucze, skrom zajęczy, makowniki, kadzidło, olej lniany i liście bobkowe. Mroczne wnętrza odorzało zmieszana wonią wszystkich tych specjałów. Imię Momotek, aromatariusz, nosił wysoką,

spiczastą czapkę magistra, wielkie okulary i ciemną, fałdzistą szatę. Posiadał ruchy pełne nabożnego dostojeństwa i chylącą się zawsze na niekorzyść klienta wagę. Udzieliwszy Pietrkowi żądanych przedmiotów, zachwalał mu jeszcze driakiew, prawdziwą wenecką, i alkiermes, środek bezcenny, niezmiernie rzadko w handlu bywający.

— Nie opuszczaj sposobności, wasza miłość! — prawił podnosząc palec do góry. — Mdłość serdeczną, melankolię w dwa pacierze leczy... Sprawiedliwy to alkiermes, z Italii świeżo zwieziony... Z poczwarki jedwabnika, soku jabłka rajskiego, cynamonu, ambry, kamienia lazuruowego, pereł tłuczonych i złota bitego sporządzony... Skuteczniejszego środka nie masz w całym świecie... Sam zapach już wesołym czyni...

„Nie alkiermesu mi potraza” — pomyślał Pietrek i nagle, nie słuchając dalszych wywodów imci pana Momotka, wyskoczył niby obces ze sklepu.

Nie dziwota: ulicą szedł brzęcząc ostrogami, dzwoniąc zawadiacko puszczoną po bruku szablą, krygując się niby drygant — Jędrak Rupniewski. Usłyszawszy kroki goniącego, odwrócił się i wrzasnął z radości, aż pierzchnęły co bliższe przekupki. Uściskali się serdecznie jak bracia.

— Skądęś się wziął? Co robisz? — pytał gorączkowo Pietrek.

— Spod Warszawy jadę; hetman mnie na dwie niedziele odpuścił, ojców odwiedzić. Onegdaj przyjechałem i właśnie się do ciebie zbierałem... Cudnie się złożyło... Pietrek! Kiepsko wyglądasz, ale ręka jest... Bogu dzięki!... A myśwa wszyscy myśleli, że nijak tylko z próżnym rękawem, nieboraku, chodzisz!...

— Machać nią jeszcze nie machnę ni konia powiodę, ale za parę niedziel isto i to będzie... Chodź pogadać do winiarni!

— Piłem ja już dziś niezgorzej, ale z tobą jeszcze pójdę. Przy takiej okazji warto łąba rzetelnie zalać.

— Gdzie stoicie? Co się dzieje?

W odpowiedzi Jędrak, istotnie dobrze już napity, zaśpiewał na całe gardło:

Co się dzieje na Podolu?  
Żołnierze się biją w polu.  
Czym się biją? — Szabelkami,  
Krew się leje dunajami...

Zasiedli za stołem w winiarni.

— Gadaj bez żartów, co słyhać?

— Król nas ściągnął pod Warszawę, bo mu na gardło nastają... Zaraz podskoczyliśmy w cenie i kwarty zaległej pół przysłał, byle mu skoro w sukurs iść... Od dwu lat pierwsza to kwarta! Wnet się trochę chorągwi z za Dźwiny wróciło... Łońskiego roku staliśmy jako wpierw, z Mansfeldem się użerając i zębami z głodu dzwoniąc...

— Gadały tutaj, że się wojsko rozeszło?

— Ano, dwie tylko roty nas ostało: hetmańska i Fitingowa; biliśmy się co dnia, licząc, że u Szwedów jakieś żarcie najdziem... Nie miały biedy te bestie! Tośmy się darli do jeich obozu jak wilki do konia, a zawdy czasu obiadu... Nie wiedziały już chudziaki, którą porę obrać, bo ino ognie rozpała, myśmy są. Dokuczaliśmy im srodze, tedy gdy król kazał, hetman rozejm na półtora roku z Mansfeldem podpisał, któren z radością przystał. Do przyszłego nowembra spokój ze Szwedami. Zborowski Jędrzej tam ostał, zamków pilnować...

— Siła was przyszło?

— Więcej półtora tysiąca. Co będzie dalej, nie wiadomo. Rokoszany ustawicznie na obóz swoich nasyłają, żeby spraktykować żołnierza, niedolę naszą a nieszczerłość królewską

wypominając... Byłoby się może towarzystwo skłoniło ku niemu, ale hetman nie dał. Wiesz, jaki jest...

— Wiem — rzekł Pietrek z nabożeństwem.

— W kupę wszystkich wziął, obóz okopał, onych umawiaczy różgami kazał siec i nago z powrotem puszczać, a za zdradę po wojennemu karać na gardle obiecał... Tedy jest spokój i posłuch.

— Sobek tam u nich? Nie wiesz?

— Skąd mam wiedzieć? Chodzę do tych szujów czy co? Żadnej z nimi koneksji nie mamy, jako mówiłem... Gadaj teraz, Pietrek, o sobie, co robisz? W ciepłe siedzisz, owce strzyżesz i dziewczki tyrpiesz? Pewność już wszystkie w okolicy obszedł?

— Bogać tam, ani mi to w głowie! — zaprzeczył Pietrek i urwał.

Zdziwił się sam, dlaczego zamilkł w chwili, gdy należało przyjacielowi powiedzieć o swej zgrzyzocie. Jakaś przeszkoda, którą czuł nie do zwalczenia, zamknęła mu usta. A przecież to był Jędrak, druh serdeczny, przed którym nie miał dotąd nigdy nic skrytego. Jędrak, z którym razem chadzali do Hildy i Kundy w Kircholmie, do Otty i Berty w Parnawie, i w Rewlu razem pomstowali na niewierność jasnowłosej Klotki, która ich, usarzy, zdradziła z petyhorcami. Niejasno odczuwał przepaść, dzielącą tamte wesołe miłostki od dzisiejszego uczucia.

— Głupi Sobek, że tam siedzi — ciągnął Jędrak popijając. — Po co? Rozbijem ich, bo wojsko to wojsko, a kupa zawdy kupą będzie... Żeniłby się lepiej... Jest u was przecie ta krewniaczka spod Sambora?

— Jest — rzekł Pietrek rumieniąc się gwałtownie.

— Co się czerwienisz? Ho, bracie! Tum cię czekał! Miła ci ona, jagódka? I nic nie gadasz? Przed kompanem skrywasz, zdrajco! Gadaj żywo, co z nią masz?...

— Nic nie mam... Kto prawił, że Sobek będzie się z nią żenił? — zapytał Pietrek z kiepsko udaną obojętnością.

— Laboga! Wszystkie somsiady!... I ojce w domu... Wszędy gadają... Sobek się pono odmienił, poweselał... Ej, do licha! Siedział bestia w domu, kiedy my wojowali, to sobie dziewczynę upatrzył. Czasu miał dość, to choć on raz na miesiąc jedno słowo wyduknie, zawdy ją w końcu ugadał... Żeby był w okolicy, nie dopuściłbym nikogo, a sobie ją brał... Miła szelma...

— Znasz Hankę? — zachłysnął się Pietrek zdziwieniem.

— Jakże! Nie mówiłem ci? Cztery roki temu, jadąc z Sobkiem z hoszczańskiego synodu, zajeżdżali my do Pinian... Strasznie mi się od razu dziewczucha udała, bo i ładna, i niebiedna... Piękne było gospodarstwo... Kto tam teraz rządzi?...

— W arendzie pono jest...

— Coś tak osowiał? Zazdrość ci o Sobka? I mnie też zazdrość... Wielkie rzeczy! Nie ona jedna na świecie, gdzie spluniesz, tam baba, tylko wybierać... Wracaj do nas, a wnet melankolię stracisz... Pij!

— Na zdrowie!... Wróć, bracie, wróć... Nie ona jedna... — mruczał Pietrek rzetelnie podпиты.

Razem z przyjacielem owionęło go powietrze żołnierskie, obozowe, beztroskie, dalekie od walk serdecznych, jakie obecnie przechodził. Zateśknił za nim żarliwie, gorąco. Zapragnął dusznie wyrwać się z morze, otrząsnąć, stać się na nowo żołnierzem... Cóż on teraz — żołnierz? A jużci! Baba, niedołęga, dureń! Jędrak siedzieć by z nim nie chciał, gdyby znał, co w duszy kamrata się dzieje...

— Pij, Pietrek, a nie trap się!...

— Piję, bracie... Dobrze gadasz!... Nie ona jedna... Świat wielki...

— Sto lepszych znajdziesz! Usarz by się frasował o dziewczkę? Nie było jeszcze tego!  
Jechał ją pies z ostatkiem! Pij!

— Piję...

— Pluń i pij, a do nas rychło powracaj...

— Oj, powrócę!... Nie ona jedna... Usarz jestem, do stu diabłów!

Ściskali się na umór, płacząc z rozrzewnienia, bo wino tęgie było, chociaż młode.

„Kiedyż właśnie, że jedna!...” — myślał z zalem Pietrek dojeżdżając do Czarnego Potoku. Zaledwie wino wywietrzało nieco z głowy, udreka wróciła z tą samą co poprzednio siłą. Cokolwiek by sobie powiadał, jedna ona była na świecie, a wszystko poza nią niczym. Zszedłszy z wozu polazł w góry, ani zachodząc do domu. W zgryzocie swej doszedł do punktu, w którym serce i dusza, zdręczone, bunt podnoszą przeciw rozwlekłej bierności cierpienia, żądając wielkim głosem rozwiązania. Koniec! — niech będzie jakikolwiek, ale koniec! Raz już wiedzieć... Wiadomość, że rokoszanie stoją pod Warszawą, wbiła mu się klinem w głowę, kielkując coraz to bardziej stanowczym zamiarem. W połowie góry przystanął, podumał chwilę i naraz zdecydowanym krokiem skręcił w prawo do Lipowca, by podzielić się ze stryjem myślami. Pan Hermolaus leżał w łóżku, powalony srogim atakiem podagry, i czytał fraszki nieboszczyka pana Reja.

— Dobry chłop z ciebie, żeś zaszedł — powitał ulubienca serdecznie, — Leżę sam, jako ten Łazarz czy Job. Dokucza ta zaraza, że strzymać trudno... Co w domu?

— Spotkałem dziś w grodzie Jędrka Rupniewskiego — zaczął Pietrek. — Na permisję go puścili. Powiada, że rokoszowi stoją pod Warszawą... Pewnikiem Sobek tam z nimi. Pojadę k'niemu i zapytam bez obłazu, jako jest z Hanką. Niech rzeknie... Nie mogę już dłużej wydzierżyć! Nie mogę! — wybuchnął. Wstał wzburzony i chodził po izbie, wysoki, smukły, głową poczerńiałych, wygiętych od starości belek sięgający.

Stryj wodził za nim oczyma, zafrasowany. Sprzyjał mu całym sercem, uważając, że byli z Hanką stworzeni dla siebie. Hej, para by to była, para! Lecz i Sobka było mu serdecznie żal. Też chłop poćwiwy, prawy, rzetelny. Tyle tylko, że niemowny i odludek, ale złoto szczerze. Nie pochwalał Pietrkowego zamiaru jazdy, bojąc się, by między braćmi nie przyszło do ostrej rozprawy. W domu co insze — matka by upilnowała — ale tam?... Oba są chłopcy morowe. Nie pierwszy by raz połała się krew między braćmi o dziewczkę.

— Żeby nie pedogra, sam bym pojechał i to byłoby najlepsze — rzekł głośno. — Twoja jazda na nic.

— Pojadę — odparł Pietrek z uporem — zapytam się go ućciwie, co myśli; a jeśli powie, że sobie Hankę raniej na żonę upatrzył, nie wrócę tu już, jeno do hetmana pociągnę... I bodaj mnie tam zabito...

— Nie widzi mi się przystojnym, by usarz hetmański po obozie rokoszowym się włóczył... — wynalazł w lot inną obiekcję przemyślny stryj.

Pietrek zacukał się nieco, z czego korzystając stary prawil:

— Albo czekajcie, aż mnie pedogra odejdzie, tedy sam pojadę, albo list napisz, niechaj na piśmie odpowie...

— Co tam pisanie! Pojechać samemu zawdy najlepiej...

— Wiesz ty, zali on pod Warszawą jest? Minięta się w drodze... On tu przyjedzie, a ty będziesz szukał wiatru w polu po próżnicy...

— Prawda — przyznał Pietrek, któremu na myśl o przyjeździe brata w jego nieobecność

oczy błysnęły drapieźnie. — Prawda, że można się minąć... Napiszem do niego list...

Wrócił ożywiony tą myślą, a zapał jego udzielił się Hance. Pojąć nie mogli, że podobne załatwienie sprawy nie przyszło im wcześniej do głowy. Zabrali się wnet do urzeczywistnienia projektu, żądni nie tracić ani chwili. Należało tylko posłańca przygotować i wyprawić w cichości przed panią matką, która pewnikiem nie pochwaliłaby imprezy — no, i napisać sam list. To ostatnie nie było łatwe bynajmniej. Wprawdzie Pietrka dobrze zaprawiali do pisania w luławickiej szkole, surowca nie szczędząc, a i Hanka była piśmienna, bo chrystianie mieli w zwyczaju nawet dziewczki w piśmie kształcić. Było to jednak już dawno. Od owych szkolnych czasów żadne z nich nie miało pióra w ręce. Ten list miał być pierwszy w życiu. I to taki list! Głowili się nad nim kilka dni, pracowicie koncypując i przepisując niezliczoną ilość razy. Nareszcie był ukończony. Stryj Hermolaus go zaaprobował. Jaśko Dobrocieski w czapkę ostrożnie wsunął — i pojechał.

— Będziewa nareszcie wiedzieć, co z nami — rzekł Pietrek z ulgą, widząc go znikającego za bramą.

Pewne ukojenie spłynęło na nich z samej świadomości, że los się rozstrzygnie. Nie zaraz, bo rychlej niż za miesiąc nie ma się co nawet odpowiedzi spodziewać — zawsze jednak lżej będzie czekać.

— Jeżeli Sobek odpisze, że o cię nie stoi — marzył głośno Pietrek — pobierzewa się zaraz... Haniuś złocista moja, zaraz!... Słyszysz? Nie wyjadę, aż się pobierzewa...

— I... i... i... — mruknęła niewyraźnie.

— Coś ci niepilno? — rzekł urażony.

Zaczerwieniła się i uciekła. Obok zasadniczej troski niepewności nurtowało ją od pewnego czasu jeszcze inne zmartwienie, którego Pietrek nie przypuszczał.

Wieczorem, zabierając się do snu w swojej bokówce, rozplotła warkocze i zamyślona zastygła w otwartym oknie, machinalnie gładząc ciepłe, ciemne strugi włosów. Noc była bezmiesięczna, gorąca. Jaśminowe krze, okryte kwiatem, rzucały w przestrzeń — jak przejmujące wołanie — fale zapachu o mocy upajającej do bólu, niby rozkosz sama, pełne okrutnej, miazdzącej swoją słodyczą tęsknoty. Powyżej nietoperze kreśliły w ciemni szybkie trójkąty i koła swych lotów. Od łęgów w dole dochodziło aż tu granie żab. Gdy Hanka wychyliła się, by oprzeć twarz o ciepłą pierś nocy, włosy jej spłynęły, zrosły się z wilgotną, rosną trawą. Niby głęboki dech ziemi przeniknęło ją za tym dotknięciem nagle, bezwzględne, napastliwe pragnienie pieszczoty. Całą istotą wezbraną, drżącą od przeczuć tajemnych, zażądała należnego sobie szczęścia — na przekór Sebastianowi, na przekór wujnie, na przekór wszystkim. Zuchwałość tego żądania oszołomiła i odurzyła ją samą. Zbuntowana, choć złękniiona, dygotała pod aksamitnym dotknięciem ciemności.

— Pobierzewa się — powtórzyła z mocą słowa Pietrka — ślub weźmiem i... Ach, ten ślub!...

Uniesienie jej opadło; prysł czarowny urok nocy. Dokuczliwy, trapiący od dawna frasunek wylazł z zakamarków myśli i stał szydery, tym przykrzejszy, że wstydziła się doń przyznać.

— Bo gdybyż to był ślub naprawdę, jak się patrzy — tłumaczyła ciemności rozżalona szeptem — nie ten... ten... ariański!

Skrzywiła się prawie ze wzdrganą, wspominając widziane niejednokrotnie, surowe w swej twardej prostocie obrzędy. Opalone kije w ręku otaczających, młodzi w cudacznych niby śmiertelnych gzałach na gołe ciało przywdzianych, boso, stojący nieruchomo pod drzewem w sadzie, czekający, cierpliwie aż minister odśpiewa nad nimi trzy psalmy. Po czym powrót młodych, już zaślubionych, w milczeniu do domu i... koniec na tym. Ani weseliska, ani nie!



Zwykły, budny dzień, roboczy dzień. Ani wiesz, że to dzień ślubu, ani go zapamiętasz...

Ogarnęło ją, zalało uczucie żalu do losu, do ojców, rodziny, którzy ją podobnie skrzywdzili nie zapytawszy o zdanie ni wolę. Nie tak, nie tak wychodzą za mąż inne dziewczki! Ślub — to ślub! Długie korowody... Ruciany wianek, starościny, druźbowie i druhny, kołacze, marszałek z różgą kwiecistą, oracje... Ukwiecone majem brożki wiozą weselny orszak do kościoła. Grzmią radośnie, hulaszczą kopyta pędzących koni. Pałą bicze, drży powietrze od przyśpiewek, z kościoła jarzą się świece, czerwone sukno zaściela pawiment, krasą strugą wylewa się aż na schody — huczą organy, wali się ulewa dźwięków, polatuje górnie, donośnie głos dzwonów... Potem weselisko, czepiny... Mj Boże! To jest ślub, najgorętsze marzenie dziewczynskie! Niejedna dla takiego dnia gotowa później choć całe życie przepłakać! Jest o czym do śmierci wspominać...

Przymknęła oczy wyobrażając sobie, że jedzie do ślubu, przetowłosa pod zielonym wiankiem, w barwnej, mieniącej niby motyl szatce — roześmiane druhny wokoło... Pietrek sadi przy woze na swoim drygancie, nachyla ku niej twarz lubą, rozgorzałą: „Moja ty...” Wiatr w odpowiedzi zarzuca nań obłok jej włosów, aż gniady płoszy się i chrapie... Zza tej pachnącej przegrody patrzą na siebie miłośnie. Druźbowie krzyczą rozgłośnie: „Hej! Hej!...”

Ocknęła się, podniosła głowę — i zamknęła z gniewem okno w nagłej urazie ku wszystkim. A juźci! A juźci! Gdziet! Nie dla niej one radości, nie dla niej to święto... Pożenią ich po swojemu w Socynowym ogrodzie, a tajemnie, a cicho, by się ludzie nie zwiedzieli, na parkan nie wyłazili, gapić się niby na dziwo... Ot dola!

Zasnęła spłakana, czując się bardziej nieszczęśliwa i osierocona niżli kiedykolwiek.

## Rozdział piąty

### Trzy korony

Uczony pan Osterode z Goslaru, wykolejony i zgnębiony utratą swojej drukarni, na której wielkie nadzieje znaczenia i sławy budował — wałęsał się po kraju bezradnie, aŜ przybył znowu do Wrocimirowej.

Melancholia bezbrzeźna ogarnęła go, gdy spojrzął na leżące tam, od dwu lat gotowe rękopisy dzieł: „O Bóstwie prawdziwym Chrystusa” i „Śmiertelna broń przeciw papieżnikom i innym Chrystusowym wrogom”. Dobrze jeszcze, że pani Ewa Wiszowata, z książkami od młodu obznajmiona będąc, nie użyła ich pod placki, co w innym domu łatwo się mogło przydarzyć. Za to myszy, mniej szanujące rozprawy uczone, poobgryzały już nieźle brzegi manuskryptów. Ś

Żaloszny twórca onych płodów ducha objechał już wszystkie oficyny drukarskie Rzeczypospolitej, prosząc, molestując, góry złota obiecując. Daremnie. Nawet wielcy drukarze,

Maciej Garwolińczyk ze Lwowa i Franciszek Cezary krakowski, nie chcieli podjąć się nowej roboty, każdy będąc zawałonym na długi czas swoją. W owym czasie bowiem, kto żyw, pisał w Rzeczpospolitej. Czytano mało, a pisano dużo. Lub raczej: kto czytał, ten pisał. Obojętnych czytelników, zadowolających się biernym przeczytaniem książki, można było policzyć na palcach. Niejeden szlachcic, gdy zniewolony przez uczonego sąsiada, księdza lub wprost pod wpływem tajemniczego, potężnego prądu, wiejącego poprzez Europę, oderwał się od uciech łowieckich a zajęć gospodarskich i przesyłabizował z trudem „Zawstydzenie nowych arianów” księdza Skargi albo „Zniesienie Zawstydzenia”, które ksiądz Piotr Skarga niesłusznie na zbór Pana Jezusa Nazareńskiego wnieść usiłował imci pana Moskorzевского Hieronima, albo jeszcze „Wtóre Zawstydzenie”, albo „Zniesienie Wtórego Zawstydzenia”, i na dodatek „Nowego Mesjasza” — rozogniał się, sapał, wyrwał z dziadowego raptularza czyste karty i małą wprawą ręką pisał prozą, czasem nawet rymami, ciężkimi jak bat ekonomy — pochwałą albo naganą przeczytanego traktatu. Za czym posyłał co rychlej do drukarni, talarów nie szczędząc, byle swój utwór szerokiej powszechności dać poznać. Drukowano też bez pamięci. Rozprawy, paszkwile, satyry, anonimy, ulotki, fraszki, epigramy, lamenta i polemiki zalewały kraj. Jeny głosu pana Osterodego brakło w tej ciżbie drukowanych słów. Nie dziwota, że nad tym cierpiał nieznośnie. O sprowadzeniu nowych czcionek ani marzyć. Coraz pilniej za tym śledzono. Do Amsterdamu, ojczyzny drukarzy, wstęp miał wzbroniony od dawna. Osowiwały i markotny, beczynny i wykolejony, włóczył się po lasach otaczających Wrocimiorową i nad smutną swą dolą rozmyślał.

Siedział któregoś dnia zgarbiony na zwałonej kłodzie, przeklinając po raz tysięczny biskupa, sprawcę swego nieszczęścia, i oczami bezmyślnie po czubach drzew wodząc, gdy stara Mądrzycha, zbierająca zioła wśród jałowców, podeszła ku niemu.

Drgnął zaskoczony, bo wydała mu się ni to stworem leśnym, dziwokiem, niesamowitym, ni to zjawą — zgięta we dwoje, ledwo że sunąca. Okrywające ją łachy były szare jak mech, wyrudziałe jak sosnowa kora. Sękaty palce podobne spletanym korzeniom świerkowym. Lecz z twarzy zoranej, wyschłej, zmiętej i splukanej jak liść dębowy z łośkiego lata pozostały, kaprawe pół oka błyskało ku niemu przyjaźnie. Pozdrowiła po Bożemu panoczka ze dwora, a widząc jawny frasunek proponowała nabycie po niższej cenie kapłoniego kamienia, który czyni niezwyciężonym, ochotnym, niewiastom nad wszystko przyjemnym...

— Co mnie niewiasty! — mruknął uczony dysertator niechętnie. — Tyle mi stoją co psu piąta noga...

— Ziele wrotyc mam, które z płucami lisiemi susonemi pite, odmianę humorów sprowadza...

— Moich nie odmieni — westchnął.

— Najlepszy jest dziewięciornik; nie zwyczajny: osobliwy, przez wilce gardło przelany...

— Et! — machnął ręką znudzony, zbierając się do odejścia. Zastąpiła mu drogę, wcale żwawo.

— Rękę mi dajcie, panocku: Powiem sprawiedliwie: co było, co będzie, co w progę... Co trapi, co minie, co ostatnie — powiem... Niewiela wezmę: talarka...

Zawahał się i usiadł z powrotem na kłodzie. Starucha ujęła obie jego ręce przyglądając im się z głęboką uwagą. Mamrotała pod nosem niezrozumiałe słowa zakłęb, tak długo, że się aż zaniepokoił. Skurczonym jak haczyk, twardym i ciemnym jak sęk drzewa palcem wodziła po jego pulchnej, pracy niezwyczajnej dłoni. Długi, narościami pokryty, do dziwnego grzyba podobny nos poruszał się niepokojąco, stykając raz po raz z brodą. Na koniec podniosła głowę. Jedno oko, zasnutę gęstym bielmem, wydało mu się groźne w swej nieruchomości, drugie, w pół jeszcze widzące, mrugało przenikliwie i dobroduszenie, żwawo biegając w otoce czerwonej powieki. Przyjrzała mu się badawczo, świsnęła bezzębnymi wargami i znów spojrzała na ręce.

— Mówcież — niecierpliwił się.

— Wielkomożny panoczek mieli wielką utratę — zaczęła — dawno... może rok będzie... może więcej... Dotąd panoczek się trapiom.

— To prawda — wyznał z westchnieniem.

— Złodzieje zabrały cosikiej, co dla panocka wielkomożnego stało wiele, a dla złodziejów nic warte... Jest ona zguba kajś niedaleko panocka...

— Co? Gdzie? — Zerwał się na równe nogi.

— Bo ja wiem, panocku?... Widzę, co w ręce... Utrata je od niech niedalecko...

— Nie wywieźli do Krakowa? — zakrzyknął patrząc na nią z niedowierzaniem i radością zarazem.

— Do Krakowa?... Kraków daleko... Oje! Oje! Daleko... A na rękę pokazuje, że utrata je kajś blisko...

— Muszę wiedzieć, babko, gdzie. — Przysunął się natarczywie.

— Jak wiedzieć? Nie ludzkie to, a Panbóckowe sprawy... Jest ziele moc mające zajrzeć w to, co skryte, ale u mnie go ni ma; lekarka ja, nie wróżka... Drogie ziele, bardzo drogie...

— Zapłace...

— To egipskie ziele, bonbaron... Cyganichy je majom i nierade przedadzm, chyba za kupę pieniędzy... Nie opłaci się nowina, wielkomożny panocku. Niechajcie!

— Dla mnie zawsze się opłaci.

— Wiedźmy to som zatracone... I dusę krześcijańską cłek na pokuszenie wodzi gadając z nimi... Ostawcie lepiej, panocku.

— Wiele trzeba na to ziele? — pytał pan Osterode, nie zważając.

— Jędze chytre... Czarownice... Mogom siła żądać; może kopę dukatów? — szepnęła świszczącym ze wzruszenia głosem.

— Dam kopę.

— Może więcej?

— Będzie prawda, dodam więcej — zdecydował się po krótkim namyśle.

Odsapnęła głęboko, spuściwszy zaropiałą powiekę na zbyt bystro zerkające oko.

— Więc? — dopytywał niecierpliwie.

— Obacym... Pogadam z Cyganichami... Dajcie, panocku, pieniądze... Nie przedadzm, oddam, rzetelnie...

— Gdzież te Cyganichy są?

— Kandy ni ma tej zarazy? — wzruszyła ramionami. — Siedzom zawdy pode grodem. Drzewiej, pomnę, jesce młódką bełam, nie włócyło się ich tyła... A jesce raniej, całkiem Cyganów nie beło... Inse narody od potopu som, ale Cyganów nie beło... Dopiro kiej Panjezusa wiedli krzyżować, chudziacka, na Golgotę, seł tam jeden cłowiek, to mu dały te wojoki gozdki, zeby niósł. Jednemu okrutnie było Panjezusa skoda, to schował jeden gozdek do portek. Myśli se: Zbraknie gozdka, to nie ukrzyżują. Przyšli na Golgotę. Krzycom wojoki: Gdzie cwarty gozdek?! — Ni ma — pedo on — dali wy mi jeno trzy. — Łzes! — Jak na Sądzie Ostatnim gadam, co nie łzę. — A óne: Łzes! A on: Panbóg wie, co nie łzę! — Tak Panjezus obrócił lico ku niemu (a juz leżał na krzyżu) i prawi: „Oj cyganis, Cyganie jeden!...” Tak on się zasromał i ucik. Myśli se: Panjezusowi nie pomogłech, ale mi gozdek ostoł. I to był pirsy Cygan. Potem na jego dzieci juz wołali: Cygany — a potem to się te marchy rozrodziły, ze ich wsędy pełno... Z diabłem kumostwo trzymajom i diabelskie znaki po sobie majom, które som...

— Dobrze, dobrze! — przerwał zniecierpliwiony. — Kiedyż do nich, babko pójdziecie?

— Ano zaraz, ino mi dajcie pieniądze...

— Nie mam przy sobie, przyniosę.

— Pockam na wielkomożnego panocka.

Poszedł szybko ku domowi, zostawiając starą, śmiejącą się cicho bezzębnymi ustami. Słońce grzało jej stare ciało równie rozkosznie jak radość żarząca się wewnątrz. Jantkowy skarb zaczynał przynosić profita nie byle jakie. Obiecała sobie w duchu sprawić za to chłopcu nową kapocinę.

Czymże jednak jej zarobek w porównaniu z tym, czego niechybnie zażądataj (i dostaną) zbóje? Na tę myśl radość jej gasła. Przejął ją głęboki smutek nad niesprawiedliwością jawną losu, toteż osowiałym i nie wróżącym nic dobrego wzrokiem powitała wracającego Niemca. Obojętnie przyjęła pieniądze, wyrażając stanowczą wątpliwość, by Cyganichy zechciały oddać szczyptę czarodziejskiego ziela za sumę równie znikomą. Za cztery dni, w sobotę, obiecała dać wiadomość i powlokła się w las kuszykając, zgięta w pół, do leśnego dziwa podobna.

Cztery dni dzielące od soboty zbiegły dla pana Osterodego w gorączce oczekiwania. Nie mógł sobie miejsca znaleźć — to pełen zwątpienia, nazywający się w duchu marnotrawcą, roztrwożcą, łatwowiernym osłem, to rojąc cudowne możliwości odzyskania skarbu. Nie zwierzył się Wiszowatym, bo wstyd go brał, mędrca uczonego, gardzącego dobrymi dla papieżników zabobonami, że z babą Mądrzychą wchodzi w komitywę. W piątek z niepokoju stracił chęć jadła i picia. W sobotę, przed wieczorem, gdy zwątpił już całkiem, pacholek szepnął mu do ucha, czeka za bramą.

— Wielkomożny panocku — rzekła uroczyście — wiem już, kaj je ich utrata. Śtyry to krzynie były, zabrane z lamusa?

Nogi się pod nim ugięły z radości.

— Tak, cztery skrzynie. Gadajcie, babo, a skoro!

— Podłe jędze, Cyganichy — prawiła Mądrzychą — ani patrzeć na one dutki nie chciały! Jenom im na zbawienie dusy przysięgła, na moją starą głowicę, ze restę jutro przyniosę, to kapkę ziela odpuściły... Zal me brał, ze się panocek tyle trapiom, tom przysięgła... Kiej resty nie oddam tym juchom, o reta!...

— Wieleż tej reszty?

— Dużo — jęknęła — pewnikiem panocek nie dadzom... Zginać mi przyjdzie... Laboga! Ubijom... Przeklnom, jesce i dusę zatracom!...

— Ależ dam — jeno gadajcie: wiele?

— Jesce kopa — wyznała nieśmiało, z nie udanym drzeniem.

Dał bez słowa. Chwyciła szybko, drapieźnie. Aż zatchło ją na chwilę ze wzruszenia. Niech se już teraz zbójniki żądają, wiela chcą! Ona miała dość. Chwaci dla Grzybów, dzieci ich i wnuków na dostatnie życie, a dla niej na szumny pochówek z dzwonami. Może czekać śmierci spokojnie.

— Gdzie skrzynie, babo? Gdzie skrzynie? — powtarzał pan Osterode, już gniewnie.

— Niechże, wielkomożny panocek pilnie uwazajom: krzynki zabrały z lamusa zbójniki, co z harnasiem Kwocką wandrujom. W Pieniny je poniesły. Tam one w maclochu — jamie takiej, wiedzom? — leżom... Nierusone.

— Zbójniki zabrały? Po co?

— Bo ja wiem? Durne chłopcy może prawiły, ze złoto... W Pieninach krzynie som...

Niechaj wielkomożny panocek pošlom do zbójników... Pewnikiem za okup oddadzom.

— Do zbójów posyłać? Kogo?

— Hołeksę można, bo na zbój chodził za młodu...

— Odsunął się od niej podejrzliwie.

— Ej, babo — rzekł groźnie — nie oszukujesz ty aby? Bo jeśli to wszystko łgarstwo...

— Toć tu siedzimy w dziedzicowych rękach, ja i sytkie moje — odparła spokojnie.

— Sprawiedliwą prawdę powiadam. Niech się panocek spytają dziedzica, cy stara Mądrzychą cygani?

Wrócił do domu oszołomiony niespodziewaną nowiną, nie tając już teraz nic przed Wiszowatym.

— Mądrzychą cyganić nie zwykła, to racja — przyznał Litwin. — Ot, dziwajcie się, serdeńko, jak łatwo człowieka na sławie ukrzywdzić: krzyczeli my na biedniuszka biskupa, a to były zbóje...

— Biskup także musiał być, skoro lektykę widziano... Widno ze zbójami w paragon wszedł i dyrygował imprezą...

— Ta może i tak, kochaneńki, a może inaczej... Hołeksę pchnąć można, nie wadzi...

Zaczęły się znów dla pana Osterodego dni oczekiwania, dłuższe tym razem, bo Hołeksza wrócił dopiero po dziesięciu dniach. Odpowiedź, dana przez zbójników na gębę, była krótka: Skrzynie są. Niech Niemiec sam przyjdzie, trzysta dukatów da i zabierze.

Mądrzychą tryumfowała. Pan Osterode korzył się przed jej wiedzą. Lecz pan Wiszowaty odradzał wyprawę ze względu na wygórowaną sumę okupu.

— Taż sumienia nie mają te zbóje — dowodził. — Cały majątek stracisz, kochaneńki. Tyle dukatów już poszło, a trzysta okupu... A wiewa zechcą za odniesienie ich tutaj? Boć w Pieninach drukarni nie założysz.

Racje to były słuszne, więc pan Osterode wahał się w bolesnej rozterce. Suma żądana była iście wielka, lecz pasja autorska i pęd reformatorski jeszcze większy. Odzyskać czcionki, odbić nareszcie ukochane dzieła, na zbudowanie swoim, zgubę jezuitom — pokusa to zbyt silna. Natomiast inne obiekcje stawały przed jego ostrożnym umysłem.

— Jakóż tam jechać między zbóje? Śmierć pewna... O fortunę mniejsza, ale człek gardłem nadłoży...

— Co gadasz, kochaneńki? — obruszył się pan Wiszowaty. — Toż to zbójniki, nie żadne hultaje... Honorne chłopy... Jeśli same przyjsć kazały, nie tknie cię żaden, nie bój się!

Pan Osterode słuchał z niedowierzaniem, zasadniczo inne mając o zbójach pojęcie, i krążył po domu niezdecydowany...

W tymże czasie starego Hołeksę obstał na dziedzińcu ciekawy tłum dziewczek i parobków dopytując się nowin o zbójach. Lecz mowny zazwyczaj traczył nierad był czegoś tym razem o kompanach prawić i mruknąwszy: — Nie ma tam dobrze ze wszystkim — wrócił do przerwanej przed dziesięciu dniami roboty. Stojąc rozkraczony na wysokim koźle, pociągał z wolna, miarowo, piłę, zezem spoglądając na noszącego słomę do cieletnika Jantka Grzybowego. O zmroku, gdy zeszedł z roboty, pomyślał chwilę głęboko, powstał i poszedł do Grzybów. Wywołał starą Mądrzychę z chałupy. Gadali długo za opłotkiem. Stara płakała, jęczała, przeklinała, groziła, nareszcie dała mu wyciągnięte z zanadru dziesięć dukatów.

— Ostatni jedyny gros! Na śmiertelną godzinę schowany! — powtarzała w rozpacz, stukając w ziemię kosturem.

Hołeksza, niewzruszony, pieniądze przeliczył, splunął i zażądał jeszcze wywiniecia kołtuna, siedzącego snadź na wnętrzu, bo go od kilku dni darło okrutnie po kościach. Gdy obiecała, kiwnął przyjacielsko głową — i zwykły spokój zaległ na folwarku.

**W** kompanii harnasia Kwoczki działa się istotnie źle. Wszystko zaś z przyczyny Jadwiszki Paryshazówny, grabianki. Pod jej przemyślnym i chytrym a okrutnym kierownictwem banda wzbogaciła się wprawdzie niepomiernie łupem, była postrachem wszystkich kupców węgierskich i małopolskich — lecz trzymani żelazną garścią dziewczki zbóje zatracili dawną swobodę i radość zbójnicką. Honorne, wesołe chłopcy stały się skryte, ponure, niemrawe. Mało było jam i pieczar w Pieninach, nie zapełnionych zdobytym przez nich bogactwem, lecz pociechy stąd nie mieli żadnej. Jadwiszka skąpa im była, żałując każdego grosza i krokiem nie puszczając na zabawę czy do dziewczek. Chciwa i mądra, zachłannie zbierała skarby. Obecne życie zbrzydło już jej do cna. Zbrzydły drżące przed nią chłopcy, ciemny, okopcony, choć złotogłowiem wybity sklep w ruinach zamku królowej Kingi — i włóczęga po górach. Leżąc beczynnym na kosztownych futrach, snuła marzenia odmiany. Niełatwe to było, bo w dole czekały na nią wyroki i władza ojcowska, nie traciła jednak nadziei, że obmyśli jakiś sposób, by się przed nimi uchronić. A wtedy fraszką już będzie durnych chłopów zmylić, na szubienicę postać, a skarby bezpiecznie zabrać... Tymczasem trzymała ich w postrachu grozą czarów. Nienawidzili jej i drżeli przed nią. Pod jej wpływem zaczęli też z wolna nienawidzić się wzajemnie. Każdy z nich czuł nieświadomą pogardę dla samego siebie, że popadłszy w tę niewolę, nie umie się z niej wydobyć, i to uczucie zapełniało im każdą godzinę warczącym, mściwym rozdrażnieniem. Krótkie, gwałtowne, a nieraz śmiertelne sprzeczki buchały co moment. Hej? Gdzie dawne śpiewania zbójeckie i tańce, gadki przy ogniu prawione, niefrasobliwa wesołość, szalone, rozrzutne hulanki w gospodach! Szczęły, uleciały dawno. Uleciał mir u ludzi, serdeczna zażyłość z juhasami. Nie schodzili w doliny nigdy, chyba po niezbędne zakupy albo dla napaści. Nie zachodzili ku gazdom na halach. Siedzieli na wierchach jak sępy, otoczeni grozą. Gdy idąc milczącym, posępnym szeregiem nieśli swą władczynię w adamaszkim wybitej lektyce, piękną, strojną i wżgardliwą — rzekłbyś, iż to korowód uczarowanych przez jędzę odmieńców ciągnie ponuro brzemień swojej doli, od której ucieczki nie masz.

Najsilniej nienawidził grabianki sam harnaś Kwoczka. Dawno przestała być jego wyłączną kochanką wybierając wedle swego kaprysu wśród bandy, na co musiał obojętnie patrzeć. Toteż z radością byłby ją widział w mocy katów i na mękach. Niechby ją nawet spalili! Nie ulitowałby się ni jej gibkiego, pięknego ciała, ni krasy zdradzieckiej. Sam jednak nie śmiał jej tknąć. Jednym skinieniem mogła — tak zapewniała — zesłać nań niemoc, ślepotę, gnucie wątroby albo smrodliwy dym w gębie. W apatycznej rezygnacji znosił swą niewolę, podobnie jak reszta bandy.

**P**an Osterode z nie ukrywanym niepokojem wysiadł z wozu. Był nieswój i złe przecucia obsiadły go niby zmary. Pierwszy raz będąc w tej okolicy, z dziwem spoglądał na dwie strażnice skalne, niedosięgłe, pilnujące wejścia doliny: Czorsztyń i Niedzicę. Strzelały warownie po obu stronach Dunajca, wzrosłe ze skały, stanowiące jedno z nią. Siostrzyce groźne, kamienne dokumenty mocy Rzeczypospolitej, patrzyły srogo wąskimi szczelinami okien na każdego, kto przechodził tamtędy. Panu Osterodemu wydało się, iż ostrzegają go, by się nie zapuszczał dalej.

— Hnet za Niedzicą będzie cekał zbójnik — mówił towarzyszący mu Hołeksa ruszając przodem, wąską ścieżką, nad brzegiem rzeki biegnącą. Niemiec stąpał za nim, trwożnie oglądając się raz w raz poza siebie.

Tu, za tymi zamczyskami, kończyło się władztwo prawa, zaczynał świat dziki, górski, nieujarzmiony, swobodny, państwo bezsporne rysia, niedźwiedzia i zbója. Kto weń wszedł, na sobie samym tylko, na własnej sprawności i męstwie musiał polegać. Nie strzegło go nic, nie

chroniło urodzenie, obawa sądów, obyczajność ani sumienie niczyje. Uczony dysertator uświadamiał to sobie wyraźnie i drżał. „Honorność” zbójników miała być jedyną rękojmnią jego cennego żywota. Po co, szalony, tu laź!... Stał, niepewny, zali nie lepiej wrócić, póki czas.

— Już widno cółna — odwrócił się ku niemu Hołksa. Pan Osterode westchnął i zdecydował się iść.

Uszli jeszcze kilkadziesiąt kroków. Zakryty urwistym brzegiem młody góral, w cusze i cyfrowanych portczyskach, siedział na trzech spiętych ze sobą czółnach, do żłobów podobnych. Każde wydłubane było w jednej kłodzie drzewnej. Mocne wiklinowe postronki wiązały je ciasno w tratwę.

Hołksa przyjaźnie powitał zbójnika Stachurę.

— Niechże siadajom panocek.

Niezgrabnie, nieufnie pan Osterode spuścił się z brzegu na człna. Hołksa podścielił mu uprzejmie kilka gałęzi świerkowych, by usiadł wygodnie. Góral odepchnął się żerdzią od brzegu. Łodzie zawirowały ciężko, zachybotwały, stanęły niby niepewne, nim osunęły się w ramiona prądu. Chyży i wartki porwał je i niósł ku środkowi rzeki. Ciężkie kłody stały się lekkie i śmigłe, niby stworzone ku radosnej igrasce z falami. Bystra woda uniosła je miękko, pluszcząc przyjaźnie o chropawe, grube dna. Stojąc na przedzie, stary tracz i zbójnik gadali półgłosem, nie zwracając najmniejszej uwagi na siedzącego za nimi uczonego męża. On wodził strwożonymi oczami po spiętrzonych na obu brzegach rzeki lasach, zwartych, potężnych, odwiecznych, nie tkniętych, nie zmierzonych jeszcze ludzką ręką ani stopą. Strzeliste świerki wynosiły się nad świerki, zwieszały długie, Żałobne konary jedle. Gdzieniegdzie ponad błękitną ich czarność wykwiatał jasny pióropusz modrzewia. Gdy prąd zbliżał ich do brzegu, w przepastnej otchłani lasu majaczyły pnie odwieczne, zbrojne sękami po spadłych konarach, niektóre proste jak kolumny greckie, inne potwornie skręcone, pełne guzów i narośli. Wielkie, przekształcone z wiekiem w twardą miazgę drzewną grzyby sterczały płaskim wykuszem z łona prastarego dębu. Jakies straszliwe rany, okropne rozdarcia, zadane przed wiekami siłą wichrów lub piorunu, zalane słodką Żywicą i rdzeniem, zaschłe, zarośnięte mchem, ujawniały grozą pozostałych blizn niespożyta moc i żywotność drzewa. Kora, błyszcząca od wiecznej wilgoci, mieniała się w gęstym mroku jak łuska gadziny, lub chropowata, zdrzewniała, zorana w tysiączne bruzdy zdała się być rylcem wieków zapisaną, cierpliwą kroniką boru. Miejskami ze zwartej, czarnej ściany puszczy wychylała się, niby zjawisko, brzoza smukła, przeźroczy listowiem pod słońce się skrząca, podobna dziewce w białe gieżło przyodzianej, wrywającej się z ciemnicy na świat Boży. Długie, jak tchnienie wiatru lekkie gałązki kładły się na rwącej wodzie z płochliwym, ostrożnym wdziękiem. Spływały z wodą w dół, czarownie uległe, by naraz wstrząsnąć się, unieść w górę i do macierzy powrócić. Zalotnie płocze, zwieszały się znów ponad wodą, czekając, rychło śmielsza fala je zabierze... Zielony mech spływał po brzuchatych głazach aż do samej wody. Wymyte korzenie olch wiły się u brzegu jak koralowe węże. Choć dzień był gorący, lipcowy, od wieczystego cienia borów bił na jadących przejmujący chłód. Czerń lasu, pokruszona na tysiączne złomki, padała w wodę głęboko, sięgając gdzieś bezdna, porwana prądem płynęła razem z łodziami. Sunęli po tym odbiciu puszczy, niby po dziwacznie pokrzywionych czubach drzew, po skrawkach lazuru, coraz to szybciej i szybciej. Na zakrętach biała piana czepiała swoje warkocze do czółen.

— Hany, Trzy Korony! — rzekł krótko Hołksa ukazując Osterodemu wynoszący się ku niebu ponad borami szczyt.

Lewy brzeg wzniosł się wysoko, wywalając, niby trzewia ziemi, szare i czerwone upłazy. Las uciekł wyżej, wisiał frędzlą czarną w górze. Zatoczyli szeroki łuk wokoło łąki zielonej, wyspy niskiej, kaczeńców i wikliny pełnej. Niespodziana, łagodna jej zieleń miękki zarys obłych

brzegów upieściły oczy. dodały otuchy... Już ją minęli; pozostała w tyle jak przystań bezpieczna — stracona. Prąd wzmagał się, pędził, huczał. Spieniona woda bryzgała wokoło czólen. Po obu brzegach rzeki wieżyce, kasztele skalne, wzniosły się, dźwigiły prostopadłe w górę, bliskie, dyszące swą grozą. Oko, struchlałe, bezsilne, zsuwało się po przeraźliwej spadzistości murów, nie mając gdzie się uczepić. Po prawej ręce, ukryta w ciasnym wąwozie, mignęła wieża klasztoru, niby przypomnienie, że Bóg i nad tą pustacią panuje. Z lewej wyrosła, zasłoniła niebo, przytłoczyła wszystko wokół zębata turnia Trzech Koron. Woda wlewająca się w ścieśnioną gardziel gór, bruzdę, skałbę straszliwą, przeoraną skroś skał żywych, stłoczona zewsząd tęgimi biodrami grani — ryczała z bólu i trwogi jak buhaj, pluła pianą, dusiła się i cofała, by wtargnąć znów do wąwozu, przedrzeć się wyrwać, wyzwolić. Niecierpliwe stopy fal, w tym w samym miejscu drepczące od wieków, wyłobily w skale przepaść, głębinię zawrotną, gdzie nurt zawracał się spodem, by kłębem, wirem wychynąć z szumem złowieszczym na górę. Ze skalnego ganku, wilgotnego od wściekłych zasięgów rozjuszzonej wody, zwieszała się kępa rozkwitłego złotogłowiu, pochylając bezwładnie w dół przecudne, kruche kielichy — niby czarowny obraz ulotnego piękna w obliczu grozy prawie wiekuistej. Zgiełk wody wzrastał zajadły. Odbite silnie żerdziami od skały, czółna runęły wprzec wiru pod groźnym murem Grabczychy, zalane wodą, przemknęły rącho przez Zbójcecki Skok. Po obu stronach zacieśnionej rzeki, na płaskich gładz, czerniały zacięcia, dokąd który z junaków doskoczył. Hołksa uśmiechnął się wspomnieniom dawnym. W pamięci mignęła białość cuchy, rozwiewającej się u ramion w skoku... Już byli daleko, uniesieni oszalała wodą, co niosła wprost na zamykające wąwóz szare cielsko skały. U stóp jej roztrzaskane na tysiączne bryzgi fale wyły rozpacznie, kłębiły się i znów zwierzały w napaści. Zbójnik i stary tracz nastawili żerdzie, czekając. Pan Osterode, uczepiony kurczowo czółna, półżywy z trwogi, zamknął oczy. Błady był jak jego kryza. Wydany szaleństwu wody, czuł się słaby, bezradny i nędzny. Gdy łódź, odbita od skały, musnąwszy dnem zdradne progi, wypadła znowu na środek, otworzył strwożone oczy i nieśmiało, z lęklwym podziwem spojrział na obu górali. Stali krzepko, prości, mocni, zbratani w jedno z żywiołem. Pozazdrościł im gorąco. Cóż znaczyła jego wiedza, nauka, bieglność w wywodach, dysertacjach, sylogizmach? Na co by mu się tu zdały?...

Nagle wstrząśnienie przerwało bieg myśli. Czółna, dygocząc i trzeszcząc, stały przyparte do stóp Facimiechu, ciśnięte doń całą siłą wody. Stachura zarzucał spokojnie łańcuch o wypukliznę gładzów.

— Wyłażcie, panocku! — rzekł Hołksa.

Pan Osterode niezdarnie wyszedł z łodzi i stanął na oślizłych kamieniach. Nogi drżały pod nim z emocji po przebytej drodze, a w oczekiwaniu nowej. Po co tu stanęli? Gdzie pójda? Niemożliwe przecież, by mieli piąć się po caliźnie posępnej turni, wznoszącej się nad ich głowami w piętrach i uskokach. Poblądł zoczywszy waziutką, ledwo dostrzegalną perć, odchodzącą w bok zakosem. Stachura już na nią wszedł...

Nie było rady. Mając za plecami wściekły warkot głębi wodnej, pan Osterode ruszył z rezygnacją w przód, usiłując nie myśleć o niczym. Łamiąc się ze zgubną chęcią spojrzenia w dół, poza siebie, starał się dla uspokojenia przypomnieć sobie treść ostatniego dzieła Andrzeja Wolana albo ministra Paklepki. Daremnie! Więc ilość rozdziałów we własnym dziele „O Bóstwie Chrystusa...” Na próżno! Słowa, nazwy, twierdzenia brzęczały w mózgu beztreściwe, puste, niby obce. Utkwił znękany wzrok w śmigające przed nim kierpce zbójnika. Stapały lekko, pewnie, tanecznie. Widok ten dodał mu nieco otuchy, którą potęgował spokojny, miarowy krok tracza Hołksy, idącego z tyłu. Pot, którego nie śmiał ocierać, by równowagi nie stracić, ściekał z twarzy kroplami na wymiętą i zbryzganą kryzę. Jednakże szedł, innego wyjścia nie widząc.

— Nie prec — zauważył góral — dym słyhać...



Jakoż po niecałej godzinie jeszcze straszliwszej "zdaniem pana Osterodego) wędrówki wyszli na szczyt góry Zamkowej. Zwaliska niedostępnego niegdyś zameczku królowej Kingi, rozbitego na szczyt przed półtora wiekiem przez husytów, sterczały wśród iglic skalnych. Z warownej niegdyś stróży pozostały jeno szczątki, ledwo dające schronienie przed deszczem, porośnięte bujnie zieleń. Poza zamkiem, w miejscu zwanym Ogródkiem Królowej, palił się ogień, warzyła zupa w kotliku. Kilkunastu zbójów siedziało wokół.

Pana Osterodego, gdy wyszedł na wierzch, uderzył w piersi wiatr górski, po wierchach polatujący, mocny jak stare wino, rzeź wy i wonny niby dech swobody. Uderzył z nagłą, mało z nóg nie zwałił. Trzymając niezdarnie ulatujący z głowy kapelusz, zbliżał się nieśmiało ku siedzącym. Harnaś Kwoczka olbrzymim wzrostem górował pośród nich. Pan Osterode rzucił w bok oczy, zgłupiał, przystanął... Grabiarika Jadwiszka siedziała skromnie na uboczu, zapatrzona w dalekość gór. Wydała mu się przedziwnie piękna, rzewna i melancholijna. Splecione dłonie bezwolnie opuściła na kolana. Obojętna wszyskiemu, zdawała się nie widzieć jego obecności. Niewymowna tęskliwość i smutek biły z jej zadumy.

— To je ten Miemiec, co wiedzom — objaśnił harnasia Hołksa.

Przywrócony do rzeczywistości, pan Osterode oderwał wzrok od dziewczyny i kłaniał się nisko hetmanowi zbójcekiemu. Kwoczka, odwykły z dawna rozporządzać się sam, zerkał na grabiankę oczekującą, zdziwiony niezwykłym jej zachowaniem się i obojętnością. Widząc, że milczy uparcie, odwrócona, zdecydował się przemówić.

— Som tu jeich krzynki, owsem. Dadzom trzysta — (spojrzał na grabiankę pytając) — trzysta cerwonych i mogom zabierać z Panbogiem...

— Gdzie są? — zapytał pan Osterode.

— Hany, w Sobcańskim wąwozie...

— Te same to aby skrzynie? Rad bym je wprzód obaczył...

— Hale! Nie Cygany my! — fuknął gniewnie zbój. — Kces, to płać — a nie, to idź do stu bucków!...

Grabianka podniosła głowę.

— Czemu, mości hetmanie, nie chcecie zezwolić panu, by najpierw oglądnał skrzynie? Co wam to wadzi? — rzekła łagodnie. — Kto wie? Może są nie te, co myślał?

Zbójce spojrzeli na nią oniemieli, szeroko rozwierając gęby. W tym głosie, w tych słowach kryło się pewnikiem coś niesłychanie przemyślnego, coś, czego pojąć nie mogli. Kwoczka wezwał Neścioraka.

— Prowadź ich... Niech se popatrzom.

Pan Osterode poszedł za przewodnikiem, oglądając się raz po raz na piękne zjawisko. O mało przy tym nie upadł, bo droga była dość stroma.

— Kto ta pani? — spytał nieśmiało zbójca, gdy stracili obóz z oczu.

— Czarownica, bodaj zdechła! — mruknął spluwając Neściorak.

Urażony w swym zachwycie, nie pytał więcej. Przeszli szeroką halę, utkaną przepychem nigdzie indziej nie rosnących kwiatów, i schodzić zaczęli w wąwóz. Zrazu szeroki, zamknął się, ścieśnił wśród skał. Gdzieniedzie po szarym cielsku niebosiężnych ścian spływała jasna smuga piargu, niby piorunowa rana. Wielkie paprocie czepiały się szczelin. W głębi wąski otwór, podobny bramie skalistej, ukazywał słoneczny dzień, wieżę klasztorną i szczyty gór leżących po przeciwnej stronie rzeki.

— To zbójniki wyrąbały siekierkami, zęby miały wychodek na świat — rzekł z dumą Neściorak ukazując ręką przejście.

— Kiedy?... — zapytał pan Osterode, oszołomiony.

— Nie wiada... Dawno jakoś... Stare tak gadajom...

Po prawej stronie czarna rozpadlina skalna ziewała chłodną wilgocią. Z drobnym trwożliwym pluskaniem uciekał z niej srebrnym galonem poniczek, biegł w dół, śpiesząc się ku rzece.

Neściorek przyklęknął na wilgotnym mchu.

— Tu — rzekł krzesząc pracowicie ognia.

Przy słabych blaskach iskier pan Osterode dojrzał, że wejście rozszerzało się dalej i tworzyło grotę. Wsunął się za zbójem na czworakach w zimną, niewiadomą czeluść, szepcząc w duchu słowa psalmu. Mokre, ostre kamyki uwierały w kolana nieznośnie. Neściorak znów krzeszał ognia.

— Na! Majom je tu sytkie styry... Mogom stanąć; tu wysoko...

Wyprostował się z ulgą i posunawszy się krok dalej, zmacał rękami utracone skrzynie. Neściorakowi udało się zapalić łuczycwo. Przy świetle Osterode widział teraz swe skrzynie wyraźnie. Stały rzędem, pokryte rdzą, lecz nie uszkodzone. Podniósł z trudem opierające się wieko. Ołowianki leżały w swoich przegrodach, te same.

— Kcieli my to zrazu cisnąć do Dunajca — mówił zbójnik — ale ta (mruknął plugawe przekleństwo)... nie zezwoliła...

Pan Osterode, zapominając o wszystkim innym, zanurzył z rozkoszą palce w pierwszej skrzyni. Tępy chrzęst wilgotnego, zimnego ołowiu zdał mu się cudną muzyką, miłszą niżli wszystko inne. Wyjmował poszczególne czcionki, składał z pieśczętą na dłoni, widząc je już ułożone w szeregi liter, myśl jego wyrażających... Nareszcie!

Neściorak patrzył na niego wzgardliwie.

— Dólski głupiec — mamrotał zduszając łuczycwo.

— Jakże ja je stąd zabiorę? — zakłopotał się naraz uczony, z żalem przymykając wieko.

— Zapłacam, to odniosiem — odparł krótko zbój.

— Wiele?

— Na wierchu im powiedzom — rzekł Neściorak cofając się do powrotu.

Pan Osterode cofał się za nim na czworakach. Odetchnął radośnie, wyszedłszy. Słońce zachodziło kędyś za wieżą klasztorną. Dno wąwozu zalegał już półcień, z wilgotnych głązów powstawały białe mgły. Przeciągały się niby senne, wirowały i opadały z powrotem, jakby zbudzone za wcześniej.

Sapiąc i świszcząc niczym miech kowalski, podążał Osterode pod górę za zbójem, pogrążony w bliskich urzeczywistnienia marzeniach o sławie pisarskiej, rozgłośnej. Naraz podniósł głowę zdumiony. Neścioraka nie było. Przed nim stała piękna panna, widziana poprzednio przy ogniu. Zdjął spiesznie kapelusz, w głowę zachodząc, skąd się zjawiła tak nagle. Ani słyszał jej nadejścia, ani zauważył rozkazującego gestu, którym odprawiła Neścioraka ku obozowi. Plecy zbója ginęły już za wzgórzem. Stali naprzeciwko siebie, sami.

Oszołomiony i zmieszany, pan Osterode obciągał kusego kaftana, poprawiał nerwowo zmiętą kryzę i szurał raz po raz po trawie kapeluszem, płaczącym rozfryzowanymi od wilgoci wąwozu piórami.

— Jakże mam Bogu dziękować za łaskę chwili sposobnej ku rozmowie z Waszą Miłością? — rzekła grabianka słodkim, przejmującym głosem.

— Mowę straciłem, darmo zgadując, które bóstwo Olimpu raczyło stanąć przede mną? — odparł dwornie.

Roześmiała się cicho, przesmutnie.

— Bóstwo Olimpu! Wasza Miłość! Ofiarę nieszczęsną widzisz, ofiarę losów srogich a nielubych... Lecz chodźmy dalej, bezpieczniej tam będzie gadać...

Poszła przodem, stąpając lekko i zwinnie jak koza po stromej, osypującej się ścieżce. Pan

Osterode kroczył ostrożnie za nią, starając się powstrzymać głośną sapkę. Z wrażenia i ciekawości nie zważał, dokąd ni jak długo idą. W pewnej chwili oblała go luna zachodu — suknia idącej przed nim dziewczyny rozjarzyła się złością, zalsniła gorąco... Spod nogi wionęła pustka. Zbladł śmiertelnie, chwytając się kurczowo skały.

— Nie lękaj się, Wasza Miłość; tu perć pewna, jeno że ostro zawraca... Można iść.

Zniknęła za złomem skalnym. Bez tchu, przyłgnąwszy do ściany, posuwał się za nią. Ścieżka okrążyła występ głazów, łamała się pod kątem prostym i ciągnęła dalej, szersza już nieco istotnie. Znajdowali się poniżej Okrąglicy, najwyższego ze szczytów Trzech Koron, na wygięciu zwanym Siodłem. Za plecami mieli stromą, nagą zwartość skały. Spod nóg uciekała przepaść prostopadle w dół. Skok jej był tak nagły, niesamowicie urywany, trwożliwym skurczem serce chwytający, że wzrok obawiał się rzucić w nią ołowiankę spojrzenia, nie wiedząc, zali nie ściągnie go za sobą w dół, nie sięgnie skroś wnętrza ziemi. Szczyt wierchu, igła polotna, sterczał nad nim wysoko pod niebem śmiały i smukły jak zakończenie gotyckiej wieżycy. Słońce złościło jaskrawie igłę, szczyt i ścieżkę, lecz z dołu podejmowały się już ciemnofioletowe chmury i podpełzały ku górze, zakrywając czeluść straszliwą otchłani. Kędyś, w głębinie ciemnej tych obłoków, huczała po kamieniach woda. Wśród ciemni borów rozlanych po szczytach wyrastały nagie, białe, gorejące od zachodniej zorzy skały. Samotne, dziwaczne, „babami” zwane, wznosiły się ni to posągi, miecze gorejące lub kolumny jakichś pradawnych zamków, przez olbrzymów, w górach żyjących, stawianych. W dali, za górą Klasztorną, widniała Spiska Magóra, Tatry schodziły zębatym wieńcem ku Orawie. Słonił je już mrok błękitny. Ścichły na uroczysty moment zachodu wiatr powstawał niecierpliwym pośród kłębow chmur, uderzał skrzydłem o góry i znów przypadał, czekając, rychło się słońce za wierchy zanurzy.

Uczony mąż, wsparty plecami o ścianę, patrzył na te górskie dziwy i grube łysty drzały pod nim jak w zimnicy.

— Możemy tu śmiało mówić — uśmiechnęła się do niego smutno grabianka. — Pytasz, Wasza Miłość, ktom ja jest? Nieboga, w przeklętą godzinę zrodzona... Opowiem krótko, bo czasu mamy niewiele... Grabi Paryshazego z węgierskiej strony jestem córką... Rodzice moi papieżnikami są zagorzałymi, gdy ja osobliwą łaską Boską światło prawdziwej wiary chrystiańskiej poznałam, tajemnie ją przyjąłem i do dziś wyznaję... Pan ojciec, wykrywszy to, żywcem mnie w lochu zamurować chciał...

— O Boże! — jęknął słuchacz.

Spojrzała nań przez zasłaniające twarz palce z zadowoleniem.

Bodaj byłabym wówczas ową śmierć męczeńską mężnie przyjęła... Niestety! Trwoga przemogła... Zbiegłam w niedostępne góry, Bogu Śywot i dziewiczy kandor polecając... Po kilku dniach, zgłodniała i słaba, wpadłam w ręce zbójów... Biada mi! Od tej pory w jasyrze ich pozostaję... Niewolnicą jestem, służką... Tkliwe moje serce na rozbój ustawiczny musi patrzeć, na łzy, na krew ludzką... Biada! Biada! Zbiec nie lza, chybaby się w te oto flukta groźne cisnąć... Pan ojciec przez zemstę niegodziwą rozgłosili wszędy, żem z kochankiem do zbójów uciekła... Pojmać mnie i na zamek odstawić kazali... Oto moja dola!... Szczęśliwam, że choć raz pierwszy użalić się przed kim mogę... Z ufnością się zwierzam, od człowieka przysłanego zasłyszawszy, żeś Wasza Miłość też prześladowanym prawdziwej wiary wyznawcą... O jedno proszę: westchnijcie za mnie, nieszczęsną, przy wspólnej z bracią modlitwie...

Szorując plecami po ostrej ścianie, pan Osterode przysunął się ostrożnie, wpatrzony w nią z podziwem, współczuciem i czią.

— Dostojna Pani — szepnął zdławionym ze wzruszenia głosem — nie modlitwę, lecz ratunek trza co rychlej dać... Aby uwolnić cię stąd, nie masz ofiary, której bym nie spełnił...

— Bóg zapłać! — szepnęła rzewnie. — Nie zawiodło mnie przeczucie... Spojrzawszy

jeno w szlachetne lico Waszej Miłości, zdało mi się, że anioł wybawca się zbliża... O, pomóż mi wydostać się stąd, a służą twoją będę korną całe życie!...

Kłoniła się, jak gdyby chcąc mu paść do nóg.

— Pani! Pani! — bełkotał przejęty, szczęśliwy, lecz nie śmiejący się ruszyć. — Mnie łaskę najwyższą uczynisz, pomoc moją biorąc, mnie, podnóżkowi swojemu...

Patrzył na nią w zachwyconym uwielbieniu. Tak czarującej białogłowy nie spotkał nigdy dotychczas. Zapomniał do cna o celu swego przybycia, o skrzyniach z czcionkami... Ot, stara Mądrzycha umiała wróżyć, a nie przepowiedział tej najcudowniejszej w życiu, niezwyklej przygody! Pożałował gorzko, że nie kupił od niej kapłoniego kamienia. Czułby się teraz niezwyciężonym, dziarskim, w męskim wdzięku nieodpartym — miast sapać, stojąc lękliwie na drygających ze strachu przed przepaścią nogach!

Lecz jasne było, że nawet po użyciu kamienia kapłoniego grabianka nie byłaby mogła milej nań patrzeć, niżli to czyniła. Powłóczył się spojrzeniem, raje rozkoszy obiecującym, obejmowała czule jego postać, i uczone a niezwykle niewiast serce pana Osterodego topniało w słodkości jak wosk.

— Pani — powtarzał — co chcesz; fortunę, skromne nazwisko moje, by cię od persekucji uchronić — wszystko radośnie składam u twych stóp...

— Iście, poślubiłbyś Wasza Miłość niebogę wyklętą, sierotę?

— Klnę się na wszystko, co święte, iż za szczęście największe będę to sobie uważał...

— Pomyśl wprzód dobrze, co czynisz! Ścigana jestem... Ojcowskie wyroki na mnie złożone po grodach...

— I jam także ścigany wygnaniec... Zbiegniem do Italii albo do Danii czy Szwecji. Na razie u bliskich a pewnych ludzi się schronim... Jeno jak wymknę się zbójom? — zagadnął naraz trwożliwie.

— To najmniejsza... Podłe to a durne chłopcy, łatwo ich oszukać. Jutro rano pójdziesz stąd Wasza Miłość, nic po sobie nie pokazując. Ja ujdę później, nieznacznie; dogonię... Trzysta dukatów trza im dać i za odniesienie czcionek wiele zechcą, ale nie frasuj się tym Wasza Miłość... Znam wszystkie ich kryjówki po górach, gdzie siła skarbów jest poukrywanych... Zabierzem później... Dość na tym złocie ciąży krzywdy ludzkiej by nie było cnotliwym uczynkiem zabrać i na chwałę Bożą a cele godziwe je oddać...

Chłonał oczarowany postać jej i słowa, brzmiące dla ucha niby niebiańska muzyka. Sam ich dźwięk upajał rozkosznie. Rad by ukląkł przed nią, całował jej ręce, lecz wąskość miejsca hamowała skutecznie zapały.

— Wracajmy teraz, ni słowem się nie zdradzając — mówiła grabianka. — Pieniądze daj. Wasza Miłość, bez obawy... Odbierzem je rychło i z nawiązką, jeno...

Nagły szelest nad głowami przerwał jej słowa. Odwróciła się — i drgnęła całym ciałem. Szybki jak ryś, harnaś Kwoczka zsunął się z góry na ścieżkę.

— Suko! — ryknął... — Gadzino! Diabelska córko! Gamratko!!

I w furii straszliwej, zbywszy się zwykłego lęku przed czarami, porwał ją wpół, rozmachnął i cisnął w kłębiącą głąb chmur. Runęła z wrzaskiem okropnym. Stanąwszy na brzegu urwiska harnaś patrzył za nią pilnie. Leciała po stromej ścianie, z wyciem, czepiając się głązów, które, ruszone, leciały wraz z nią. Czarne jej kosy rozplotły się w pędzie i wzniosły się w górę jak ogon złowieszczy komety. Zapadła w chmury. Po długiej chwili z głębin doleciał ostatni, zduszony krzyk i plusk wody... Słońce zniżyło się zupełnie, ścieżkę zalał siny cień. Obok patrzącego w dół Kwoczki stanęli rzędem nadbiegli za nim: Neściorak, Stachura, Hołksa i Józwa.

— Zdechła — rzekł harnaś z ulgą. Zdjął czapkę i przeżegnał się pobożnie.

— Szeźła zmija, szeźł jej jad — dodał filozoficznie Neściorak. gdy Stachura, drobiąc nogami tuż nad przepaścią jak w tańcu. krzyczał rozgłośnie:

— Hej. chłopcy! Zginęła wiedźma! Znów my som hyrne, swobodne zbójnicki, jak drzewiej!

— Ty, Miemiec, wstawaj! — zawołał Kwoczka.

Pan Osterode nic nie odpowiadał. Wpółomdlały z wrażenia i grozy, leżał bezwładnie, oparty plecyma o ścianę, z wytrzeszczonymi przed siebie oczyma. Harnaś kopnął go pod żebro.

Ty głupi! — rzekł. — Ponbócku dziękuj, żeśmy przyšli... A teraz zabieraj się prec...

Lecz pan Osterode nie mógł utrzymać się na nogach i leciał przez ręce podnoszącego go Hołeksy jak kukła dziecinna, z której wypruto trociny — wpółżywy z lęku i oburzenia. Przerażliwy krzyk grabianki trwał przytomny w uszach. Piękna jej postać, rzewne spojrzenie stały w załzawionych żalem oczach. Po toż, nieszczęsny, poznał słodkie ponęty niewieście, by je tak rychło i strasznie utracić!

Przed godziną jeszcze zniecierpliwieni zbójnicy byliby go pewnikiem cisnęli w ślad za nią, pokłonić się od nich dunajcowym pstrągom — lecz niespodziewane wyzwoliny wróciły im zapomniany dawno dobry humor. Wśród śmiechu i kpin stary Hołeksa wziął uczonego męża na plecy niby barana i poniósł ku obozowi. Reszta szła za nim, śpiewając po raz pierwszy od wielu miesięcy, a rozgłośnie, aż echo grzmiało od Hukowej Skały:

Hej, Janicku serdecko,  
Kaześ podział piórecko,  
com ci dała?...

Harnaś Kwoczka nie śpiewał. Szedł na końcu, oglądając się z niepokojem na czarną głębię przepaści. Po wierzchu snuły się jeszcze błyski złociste i płowe, lecz w głębi legła już noc. Harnaś przesunął dłonią badawczo po karku, zamachnął ramieniem jednym, drugim. Z radością stwierdził, że nie czuje żadnych czarów. Żadna zmora nie podłaziła ku niemu z ciemności. Przeciwnie, czuł się wesół, rzeźwy i swobodny.

„Z nagłam ją chycił i nie zdążyła zazionąć” — pomyślał z otuchą, doganiając idących przodem towarzyszy.

## Rozdział szósty

### Bez domu

**K**ulawy dziad-proszak Jaroszko rozejrzał się badawczo po obozie otrzepując z siebie wilgoć. Dzień był jesienny, mglisty. Flaga oślizła, pluta osmętniała nakryły świat szarą,

beznadziejną płachtą. Rozmiękle błoto chlupało pod nogami, błyszczało tępo w niezliczonych bajorach wśród kolein drogi. Niskie, szare niebo niby zwisający pułap leżało tuż tuż nad szeroką, senną równiną podlaską, ciężkie wspierało się o szczyty drzew. Stada wron podrywały się z wrzaskiem na ścierni, czarną kurzawą obsiadały drogi. W oddali siny pas boru, zamykający zewsząd pierścieniem horyzont, ginał, roztopiał się we mgle deszczowej. Bliżej — pojedyncze, na porębie stojące chojary samotniki to wynurzały ciemne, rozczochrane łby, wysoko na pniach, sękami jakby szczeblami nabitych, wzniesione — to znów, niby cofające się, ginęły za burą płachtą niebieskiego rozlewiska... Sam Jaroszek, spłowiasty, zgrzebny dziad parciany, zdawał się być uosobieniem żywym tego deszczowego dnia. Ze strzępów rudoszarej sukmany ściekały strużki wody tak obficie, jak gdyby planetnikiem był, obłokiem, na chwilę jeno kształt ludzki mającym, co wnet rozplynie się wodą.

Tupnął nogami, rozbryzgując krople wkoło, i rozejrzał się ponownie. Obóz zdawał się pusty, bo ludzie siedzieli zawarci w namiotach — śpiąc lub klnąc psią pogodę. Nie zrażony tym jednak dziad wyprostował się, wypiął pierś i uderzywszy przeraźliwie w mosiężne struny wydobytej spod sukmany bandurki, zaśpiewał jękliwym głosem:

Boże z nieba wysokiego,  
Twórco świata szynowego,  
Racz się nad nami zmiłować  
A ten gniew swój uhamować.

Niesłychane to nowiny,  
Żeby jednej matki syny  
Widział kto w tak srogim boju,  
Wychowawszy je w pokoju...

Z najbliższej, na wpół rozwalonej chaty Sebastian Pielsz wytknął głowę i słuchał w milczeniu. Śpiew — ni to śpiew, ni to skomlenie — zdał mu się być, podobnie jak dziad, ucieleśnieniem słoty żałośnie przeciągła, jednostajna nuta dzwoniła w deszczu, kapiała z dachu kroplami, nasiąkała zgniłą wilgocią w odzież, w buty — rozprzęgała mięśnie i nerwy.

Zachwycony uwagą słuchacza, dziad zawodził jeszcze donośniej:

Brat na brata rodzzonego,  
Synowiec na stryja swego,  
Kopiją śmieie uderzy,  
Do boku z muszkietu zmierzy.

Nieprzyjaciel serce swoje  
Cieszy słysząc niepokoje...

— A pójdiesz. zdechlaku! Psi synu! Gidzie obrzydły! Szelmo! Wywłoko! Hultaju! — wrzasnął naraz pan Wąsowicz wyskakując z sąsiedniej kwatery. — Kanalia podła! Szpieg Chodkiewiczowski!... Brać go, chłopcy, i tęgi basarunek wlepić!... Nuże!

Nie przestawał krzyczeć. Dwóch pachotków smyrnęło już niby ogary, lecz Żebrek nie czekając przerzucił bandurkę na ramię i kopnął się żywo, jak gdyby nigdy nie kulał. Nie przystanął, aż w szczerym polu, za obozem.

— Chto ich teper znaje? — mrucał ze złością. — Rokosze ce, ili konfederaty?...

Czelowik dumął, szczo konfederaty, a ot!... Sochroni Bih!...

Splunął, obciągnął sukmanę i obszedłszy obóz naokoło, zaszedł z przeciwnej strony, by tam zaśpiewać właściwszą już pieśń.

Sebastian cofnął się w głąb swojej izby i usiadł na stołku z pięściami pod brodą. Czemu Wąsowicz przegnał dziada? Wszak prawdę śpiewał, szczerą prawdę:

Niesłychane to nowiny.  
Żeby jednej matki syny...

Ano tak, tak!... Wzdrygnął się i skulił pod wrażeniem nagłego wewnętrznego chłodu. Był zniechęcony ostatecznie i rozbity, goniący resztkami woli. Półtora roku mijało, jak tkwił w obozie rokoszowym. Półtora roku męczył się w śmiertelnej nudzie, wykolejony, wytracony ze swego życia, rzucany kapryśnym biegiem wypadków wzdłuż i wszerz całej Rzeczypospolitej. Przywykły do ciągłej pracy, rzeźwych świtów górskich, twardego, zdrowego snu — gnił beczynny, truł się i gorzkniał z każdym dniem. Gwałt, jaki zadał samemu sobie, by zaraz w pierwszych miesiącach nie odbiec rokосу — nie przyczynił się w niczym do polepszenia sprawy i to zwiększało gorzkość, z jaką patrzył na klęskę zeszłorocznych marzeń. Odeszły go już najtrwalsze, ostatnie złudzenia.

A łudził się długo. Po nieszczęsnej guzowskiej nie uciekł jak inni do domu. Lecz uparty i zawzięty w swych postanowieniach, cofnął się z wojskami Radziwiłła i Herburta do Lublina. Tam z milczącym, lecz surowym oburzeniem patrzył na skwierk i gwałt mieszczan, obłożonych bezprawą a tatarską iście kontrybucją. Gdy później Żółkiewski chwycił i uwięził Herburta a Zebrzydowski opuścił cichaczem bezpieczne schronienie u bernardynów opatowskich, gdzie dwa miesiące z górą przesiedział — Sebastian wraz z innymi niedobitkami Herburtowymi przymknął ku niemu. Wojewoda krakowski skupił swych adherentów w Rykach, nie opodał znanej z poprzedniego zjazdu Stężycy. Stamtąd rozesał po całym kraju uroczyste wezwania na sejm elekcyjny, na Woli w dniu piątego września odbyć się mający. Wysłany przezeń wraz z innymi Sebastian — jeździł, konwokował, namawiał, tłumaczył. Dla dobra sprawy naginał swą naturę odludka, przymuszał do funkcji nieznośnych sobie i przykrych. Mimo jednak rzetelnych zabiegów wszystkich wysłańców — na elekcję zjechała tylko znikoma część szlachty o pozorach bodaj sejmu nie było co marzyć. Sodomczyk, choć za zmarłego cywilnie ogłoszony, żył i tryumfował... Skoro, na dobitkę, w dogasającym rokосу wszczęła się walka między Zebrzydowskim a Radziwiłłem o główne dowództwo — Sebastian odszedł wojewody krakowskiego przenosząc się do Radziwiłła, szczerzej opieki dla spraw wyznaniowych spodziewając się po nim niżli po zelancie katolickim, Zebrzydowskim. Tu siedział pod Brześciem wśród kupy innych różnowierców, patrząc na ostateczny rozkład rokосу.

Obóz brzeski nie przypominał już w niczym zebranej poprzednią wiosną pod Sandomierzem potęgi. Wielmoże cofnęli z dawna swe hufce, miękko obiecując przystać je, gdyby zaszła tego potrzeba. Wolontariusze, zapalczywi w pysku, zgodnie z przepowiednią Wadowity rozeszli się wracając do domów i zaniedbanego gospodarstwa. Mizerne parę tysięcy pozostałych składało się albo z powsinogów, objboków, nie mających kędy ni do czego wracać — albo z posesjonatów, którzy naswawoliwszy zbytnio *in gratiam* swobody rokoszowej, woleli nie ukazywać się w rodzinnych pieleszach wcześniej, zanimby huczek ekscesami ich wywołany nie przycichł, a złożone w grodzie pozwy nie poszły w niepamięć. Fanatycy, trzymający się uparcie sprawy dla samej sprawy, jak Sebastian, należeli do nielicznych, zagubionych w tłumie wyjątków. Na domiar złego Chodkiewicz wisiał nad obozem jak miecz Damoklesa, ściągający nie opodał ze swym wojskiem, w antyrokoszowy związek skonfederowanym... Ostatnia

nadzieja, że kandydat do tronu Gabriel Batory wkroczy zbrojnie w granice Rzeczypospolitej i wesprze usiłowania ich z zewnątrz — spełzła na niczym. Batory nie myślał ryzykować podobnej imprezy. Nie było co się łudzić — rokosz dogorywał.

Sebastian wstrząsnął głową, jak gdyby opędzając ją z myśli niewesołych — a wzięwszy machinalnie ze stołu wystrzępiony od częstego czytania zwitek papieru, zagłębił się w jego treść. Czytanie było u niego nowym nawykiem. Gdy swego czasu wojewoda krakowski wysyłał go z Ryk na Mazowsze umawiać pod Warszawę panów braci, doradził mu zaznajomić się z treścią niektórych pism rokoszowych.

— Natura poskąpiła waści elokwencji — prawil — przetoć radzę zaopatrzyć się w skrypta, których tutaj nie brak, i z nich argumenta co przedniejsze wyluskiwać...

Sebastian skorzystał z rady, biorąc wcale grzeczne naręcze pism, broszur, paszkwiów, pamfletów i innych elukubracji. Niewiele mu one pomogły w kaptowaniu stronników, lecz miał czym zapełniać sobie wlokące się zabójczo godziny. Zrazu, jako prostak z piśmem nie zwyczajny, sylabizował powoli, z trudnością chwytając sens zdań i mało krytycznie odnosząc się do treści. Powoli jednak oswoił się, pojął, przeniknął rozliczne intencje piszących; w nieskończenie długie dni rozmyślając nad każdym słowem, biorąc pod światło sens jego, rację i potrzebę, dobił się własnego zdania, surowego kryterium, murowanego sądu o zawilej dziedzinie tych spraw. Dojrzał i pogłębił się. Zbywszy doszczętnie poprzedniego nieśmiałego szacunku i kredytu dla drukowanego słowa, posiał niedbale po różnych przygodnych kwaterach liczne Dyskursy, Responsy Rewersały, Deploracje — nawet Bazyliuszka, nawet Trąbę na pospolite ruszenie przeciw jezuitom, Votum albo Ostatnią decyzję i Cenzurę konstytucyj sejmowych — nie widząc w nich dla siebie nic pożytecznego lub pociągającego. Na koniec została mu tylko jedna ulubiona broszura, wykładająca zgodnie własne jego myśli. Znał ją już całą na pamięć, lecz chętnie mimo to czytywał w chwilach przygnębienia.

I teraz, przerzuciwszy kilka stron, powtarzał półgłosem, wodząc poślinionym palcem wzdłuż wierszy:

„... Tedy rokosz jest *sacra ancora*, ostatnia obrona wolnej Rzeczypospolitej... Tedy ma mieć rokosz powagę większą od sejmowej i reprezentować całą Rzeczpospolitą... Wszystkie *in genere* potrzeby Rzeczypospolitej na tym miejscu bez żadnego odkładania obmyślane, namówione i konkludowane być mają, *eo et non alio scopo*... Ruszywszy się bowiem, wszystkiego nie zawrzeć, a furtkę nowemu rokoszowi ostawić — jest to rzecz *extremae demenciae*... Zaś pierwsze *gravissimum fundamentum*, którym wszelka naprawa zaczęta ma być: pilne przestrzeganie prawa. Od Króla Jegomości poczynając, do podstarościego, by się nikt w Rzeczypospolitej prawu uchylać, jako teraz widzimy, nie ważył...”

Odłożył książkę, nagle zniechęcony, uderzony mimowolnym szyderstwem słów w stosunku do rzeczywistości. Z drwiącym grymasem spojrzął na samego siebie: słowa jest, tedy rad czyta, że pogoda winna być; ale deszcz pada, jak padał... Tak i tutaj... *sacra ancora*, jedyna kotwica ginącej Rzeczypospolitej... A jużci! Ładnie ona kotwica wygląda! Gdzież są owe wielkie idee rokoszowe? W co się obróciły! Czy w ogóle przyświecały kiedy komukolwiek, prócz nieznanego autora broszury i jego, Sebastiana?...

Pilne przestrzeganie prawa... Toć nic więcej by nie potrza, prócz tego jednego... „Prawa Rzeczypospolitej dobre są, równych nie mające, jeno obserwancja ich szwankuje” — przypomniało mu się nagle. Kiedy już słyszał te słowa? Prawda! Wszak kamień węgielny rokoszu, to, co w nim było jedynie sprawiedliwe, słuszne, nieodbite, zawarty był już dawno w owej instrukcji sejmiku bełzkiego, przez sędziwego Zamoyskiego dyktowanej — której szlachta w Sądowej Wiszni dosłuchać do końca nie chciała... Wielka myśl mądrej naprawy Rzeczypospolitej błysnęła w genialnej głowie kanclerza i zgasła z nim razem nie znajdując po



sobie prawego dziedzica. Wszystko, co rokosz dodał do skromnego postulatu przestrzegania prawa, było już jeno wypaczoną, krzywą nadbudową, dyktowaną pychą, osobistymi urazami albo chęcią wywyższenia się i zysku...

Silniej niż zwykle Sebastian poczuł gryzącą nostalgię za ludźmi, którzy, obcy podobnym pobudkom, pracowaliby istotnie nie dla siebie ni swej kasty, lecz dla rzeczy trwałych, większych, poza nimi i ich korzyścią leżących. Przejęła go żalność bezsilna, tęsknota za zgasłą wielkością kanclerza, bezinteresownością Farnowskiego, spokojnym rozumem nieznanego szlachcica, autora czytanej broszury, lub... (odegnał precz z niechęcią nasuwające się mimo woli jeszcze dwa nazwiska). Z takimi ludźmi pracować! Pod ich kierownictwo oddać się duszą i sercem!...

Drzwi skrzypnęły na drewnianych biegunach, puszczając pana Wąsowicza, niby żywe zaprzeczenie tego marzenia. Komornik chęciński na przekór jawnej niechęci Sebastiana zaszczycił go niezmierną i natarczywą przyjaźnią.

— Co waś tu siedzisz niby dzik? — zawołał od progu. — Chodź do kompanii... Na pociechę przy tej plusze rzniemy haniebnie w tryszaka...

— Bóg zapalać, dobrze mi tu — odparł Sebastian.

— Chyba jakowyś afekt skryty dręczy waszmości, boć nie do wiary, by człek młody kameduły figurę prezentował albo książką się, jako bakałarz czy kauzyperda, zabawiał?... O dla-boga! A toż co? — przerwał sam sobie, otwierając szybko drzwi.

Wyjrzał na drogę. Konny w barwach Radziwiłłowskich jechał trąbiąc przeraźliwie. Z wszystkich namiotów wyszcznęły się ciekawe głowy.

— Mości panowie towarzysze — wołał jeździec — Jaśnie Wielmożny Marszałek wzywa Ichmościów łaskawych na majdan. Poselstwo umyślne przybyło od cara Dymitra!...

Pojechał dalej, trąbiąc.

Zaciekawieni słuchacze ogarniali się szybko, narzucając burki i kapuzy, przypasując szable. Poszli kupą w głąb obozu, rozprawiając żywo.

— Cara Dymitra, cara Dymitra!... — przedrzeźniał pan Kazimirski. — Cygan, nie żaden Dymitr, otworzyście mówiąc...

— A pierwszy może był inny?

— Tamten jeden oszust, a ten drugi...

— Gdzie zaś! Ten sam! — oponował żarko pan Rudnicki. — Jeszczem w sierpniu łońskiego roku w Samborze był, gdy on się do teści swej, wojewodziny sędmirskiej, schronił... Tamem go i widział parę razy...

— Ten sam ci był?

— Nie widziałem tamtego na oczy, więc przysiąc nie mogę, ale teścia go uznała i pismo do papieża słała, że tenże jest zięć jej, cudownie salwowany. Rychtyk Bołotnikow, wielki wojewoda, zjechał od Wenecjan z galer turskich wykupiony. Obediencję mu składał i zaraz w Siewierszczyznę ruszył, powszechność przeciw Szujskim animować...

— Bołotnikow, na galerach będąc, także pierwszego znać nie mógł...

— Nie nasza głowa, panowie... Ten czy inny, poselstwo może być arcyważne. Znosili się z nim nasi panowie, koronę mu ofiarowując... Może w tej materii są nowiny?...

Majdan zapchany był ludźmi, brnącymi po kostki w błocie. Poselstwo carskie reprezentował jeden tylko człowiek, pan Zerstinowski, szlachcic zmoskwiczony, który jeszcze czasu posłowania Lwa Sapiehy do Borysa Godunowa w Moskwie został. Wśród ogólnego, natężonego milczenia kończył odczytywać list carski:

„Wy tedy, panowie rotmistrze i towarzysze, do Nas zjedźcie się k'Naszemu carstwu, w sławny zamek Starodub, służyć Nam. Wielkiemu Caru Dymitru Joannowiczu. To wam piszem od Naszego przeświatłego lica... A jako będziecie przy Naszym Carskim Wieliczestwie, My was

pożałujem swoim carskim pożałowaniem... Zjehawszy w ziemię sławną moskiewską, stancje najdziecie wszędzie nagotowane. Diengi zapłacone będą z góry. Po czemu płaci król Zygmunt, w trójnasób płacić się obowiązujemy..."

Gdy skończył kłaniając się audytorium, pan Wąsowicz przysunął się ku niemu.

— Gadaj no, waść — zagadnął poufale — jeno na słowo szlacheckie: prawy to Dymitr czy łgarz?

— Dawniejszy, czyli też nowy? — poparł Kazimirski.

— Waszmościowie — odparł sucho Zerstinowski — takowe ekstrawagancyjne suspicje są dla mnie zgola niepojęte. Cała Moskwa *unanimiter* wita swego hosudara...

— Oj, niecała, boby tu waści nie przysłał, potrójną kopę obiecując...

— Słyszałem — wtrącił pan Budziło — że panowie towarzysze Sienkiewicz i Zenowicz do Orszy trzeciego Dymitra sprowadzili...

— Do licha? Wieluż ich jest?

— Mylicie się, waszmościowie — prostował z godnością Zerstinowski. — Do Orszy przybył nie hosudar miłościwy, lecz Piotruszka Fiodorowicz, niefortunnego cara Fiodora syn, carowy bratanek, równie jak hosudar cudownym zrządzeniem Opatrzności od siepaczy, przez Godunowa nasłanych, zratowany...

— Dziw, jak wiele cudów zdarzyło się w tej familii! — zauważył z przekąsem pan Chruślicki.

— Odmieńce chyba, że zawdy kogo innego w miejsce ich ubiją?

— Raczcie zważyć, waszmościowie — przedkładał poseł — jak ekstraordynaryjne warunki ofiarowuje w swej wielkiej szczodroblewości hosudar: potrójna kwarta, wypłacona z góry...

— Ha, pomyślimy — mruknął Kazimirski.

— Panowie — zawołał patetycznie pan cześnik Walawski — wspomagając cara Dymitra Joannowicza, elekta naszego wspomagamy, ergo Rzeczpospolitej służymy...

— Jeszcze jedna ofiara na ołtarzu dobra publicznego złożona! — przywótórzył cienkim głosem pan z Zimnejwody Leśniowski.

— Przestań waść — oburknął szydliwie Budziło — bono publico głowy nie zawracaj! Bez komedii! Pójdziem my, pójdziesz waść, bo dobrze obiecują płacić...

— Za siebie mów waść, nie mieszając się w motywa drugih...

— Jaki mi Kato! Radzęc tedy rzec się kwarty...

— Na dobro waści pewnikiem?

— Panowie bracia, ostawcie hadrunki — interweniował Wąsowicz. — Lepiej nad propozycją carską debatować... Nic dobrego tu nie wysiedzim. Mam doma wracać, wolej na wyprawę iść...

— Osobliwie skoro dom sąsiad już zasekwestrował — dociął pomstliwie Leśniowski.

— Idziemy, panowie bracia! Za granicami niewdzięcznej Ojczyzny czekać jaśniejszych aspektów...

— Potrójna kwarta. A zdobycz?... Moskwa bogata...

— Książę Rożyński już pono ze swymi chorągwiami poszedł!

— Ja idę — zdecydował się cześnik Walawski — w sukurs carowi moskiewskiemu, da Bóg królowi polskiemu...

— Baczcie, bracia, że jeśli *casus* podobny nastąpi, którzy go w niepomysłnych terminach wsparli, pierwsze mieć będą miejsce przy dworze...

— Sprawiedliwości nie byłoby inaczej!

— Da Bóg, wrócim z carem, pokazem Sodomczykowi i hetmanom, gdzie raki zimują!...

— My będziemy prawa dyktować!  
— Moskwiciny chłopcy ciemne; zawojuję je, jako będziem chcieli...  
— Ejże! — westchnął nieco sceptycznie Chruślicki — tak samo gadali, którzy dwa roki temu pojechali...

— Nie bój się waść, z nami tak nie będzie...  
— Ja pójdę — stentorowym głosem obwieszczał Budziło. — Kto więcej?  
— Ja! — wrzasnął gruby Wąsowicz.  
— Ja!  
— Ja!  
— Waść pójdiesz z nami? — zagadnął Sebastiana komornik Chęciński.  
— Uchowaj Boże — odparł. — Ja powracam doma.

Odszedł z majdanu do siebie, reszta pozostała. Otoczywszy ciasnym kołem Zerstinowskiego, dopytywano o szczegóły zaciągów, gwarancje wypłaty i siły aktualne cara.

— Wracam doma — powtórzył drugi raz Sebastian sam do siebie i uśmiechnął się prawie pogodnie.

Íście, żaden skrupulat nie mógłby mu już rzec: ostań! Po co? Wszak koniec to był. Połowa obozu co najmniej pójdzie do Moskwy, to widać; reszta powróci do domów. Skończone!...

W upartej goryczy klęski ulżyła mu nieco świadomość, że zrobił, co doń należało, dał z siebie, wiele mógł, wytrwał na placówce do ostatniej chwili. Odpowiedzialność za nędzny koniec rokoshu nie spadała w żadnej mierze na jego sumienie. Wolny był, miał prawo wracać bez wstydu do domu.

„Do domu! — pomyślał z rozkoszą — choćby jutro, choćby dziś...” Dziś nie zdąży, jutro do dnia...

Do domu!...

Dopiero teraz, spuściwszy nareszcie duszę ze smyczy nieustannie naciągniętej woli, uświadomił sobie, jak bardzo za tym domem tęsknił... Półtora roku! Jakąż radością zdręchniałemu sercu będzie powrót!

— Hanka...! Hanka...! Hanka...! — rozdzwijało mu się nagle jak hejnał radosny, zdolny zagłuszyć nawet zgryzotę porażki.

Dawno już przestał wstydzic się tego uczucia ani go krył sam przed sobą. Wyznawał je owszem śmiało, w niepojętym zdumieniu odkrywając co chwila, jak wielkim szczęściem jest miłowanie. Wśród nieznośnej udręki ostatniego roku świadomość lubego jasyru, w który oddał, zrazu bezwiednie, potem dobrowolnie, serce, była otuchą, podtrzymaniem, jedynym jasnym promieniem. Bez buntu, z cichą radością dociekał w bezsenne noce, skąd to kochanie się wzięło, kiedy zajrzało tajną szczeliną do serca, puściło w głębi podstępnie korzenie i naraz buchnęło rozrosłe, przemożne, zwycięskie. Czuł się odmieniony, bogatszy i młodszy, dostępny tłumowi uczuć tkliwych, wesołych, pobłażliwych, których przedtem ani znał, ani rozumiał, w pogardzie je raczej mając. Więc nie dziw, iż na myśl, że jutro pojedzie do domu, rozkołysała się w nim dusza niby dzwon. Daremnie karciał się za to, usilnie przywołując na pamięć bolesne sprawy polityczne, które winny były być pierwsze, a oto zbladły, osunęły się, zdrobniały zadziwiająco. Hanka!... Hanka!... — dzwoniło nadal w głuchych na wszelkie inne brzmienie uszach.

Położył się na swym tapczanie i podłożywszy ręce pod głowę, śnił rychłą godzinę powitań. W monotonnym pluskocie deszczu dosłuchiwał się radosnej pobudki powrotu. Z wilgotnej szarości izby, z burej mgły czepiającej się ramy okiennej wykwitły naraz lekko, wdzięcznie zarysy rodzinnych gór, oblaných słońcem. Drgające nozdrza wciągnęły wonne oddechy wiatru, mocny zapach jedli i siana, co wraz z widziadłem wtargnął falą do zatęchłej

izby.

— Moje, moje!... — szepnął z rozkoszą.

— Przymknął oczy, olśniony widzeniem.

Chwile oczekiwane rozsunęły się przed nim niby tęczowe weneckie paciorki. Nizał je na nitkę myśli, przebierał cicho, radośnie. Usnął ani wiedząc, kiedy. Sen-przyjaciel otworzył dalsze drzwi marzeniu, upieścił głowę odludka. Widział się we śnie mownym, wesołym, swobodnym... Wzlatywał w szczęście jak ptak...

Nieśmiałe chrząkanie zbudziło go nagle. W izbie zaczynało szarzeć. Podniósł głowę, a widząc w półmroku uśmiechniętą gębę Jaśka Dobrocieskiego, pewny był, że śni dalej.

— Na koniec ja panicza znalazł — mówił chłopak radośnie — a to już, bywało, myślę: trza wracać z niczym do domu...

Sebastian oprzytomniał i zerwał się na równe nogi. „Matka umarła!” — przeleciało jak wicher przez głowę.

— Co się stało? — krzyknął. — Gadaj!

— Wszystko dobrze, zdrowi wszyscy — uspokajał chłopiec. — Pietrek... chciałem rzec, panicz młodszy, list do panicza dali...

— List? — powtórzył Sebastian ze zdumieniem.

Jaśko wyjmował ostrożnie z za podszewki czapki zmięty, przepojony zapachem potu, skóry i sadła papier i ukazał z tryumfem nietkniętą pieczęć.

— Alem się najeździł.'... Pod Warszawą byłem... I w Rykach... I znów pod Warszawą...

„List” — powtarzał w duchu Sebastian, patrząc nań tępo, z nieokreślonym niepokojem.

— Idź, Jasiek, do szopy, gdzie konie, tam mój chłopiec jest... Da ci jeść, boś pewno głodny...

— Dziękuję łaski panicza.

Wyszedł, rad z dokonanej tak szczęśliwie misji. Sebastian został sam. Ujął do ręki ostrożnie nie rozpieczętowany papier, badawczo patrząc na dziecinne, duże pismo Pietrka. Po co brat pisał? O czym, skoro wszyscy zdrowi? Co się wydarzyć mogło tak ważnego? Z nagłą decyzją rozerwał pieczęć i podszedł do okna.

„Mój miły bracie Sebastianie!

W pierwszych słowach tego listu pozdrawiam cię braterskim pozdrowieniem i zapytuję, czy jesteś zdrow i jak ci się powodzi? Piszę ten list, aby cię zapytać, zali to prawda, że miłujesz krewniaczkę naszą, Hankę, i chcesz się z nią zenić, bo matka i stryj powiadają, że tak sobie miarkowali. A nie z ciekawości pytam, jeno że my oboje z Hanką miłujemy się okrutnie i pobrać się serdecznie byśmy radzi, a nie wiemy, co ty na to? Twoje prawo starszego pierwsze, więc choć nic nikomu nie gadałeś, pytam się ciebie uściwie, odpowiedz, kochany bracie, bo nam strasznie tęskno i nieľubo w niepewności żyć. Jeźeli prawda, że Hankę miłujesz, tedy nie proszę cale, byś mi jej ustąpił, sam czując, że gdyby mnie o to samo dziesięciu braciów molestowało, łby porozbijałbym im, a dziewczki nie oddał. Ale ty jesteś starszy brat i prawo twoje. Dľatego proszę cię, odpisz szczerze, jak ona rzecz jest, to albo my się zaraz pobierzewa, albo ja do hetmana wrócę, a Hanka do klasztoru, prawi, pójdzie — bo za ciebie nijak iść nie chce.

W domu wszystko porządkiem ordynaryjnym idzie. Przybyło nam dwadzieścia dwie owce, w tym macior trzynaście, a tryków dziewięć. Pani matka zdrowi są — o tym liście nic im nie gadałem. Stryjowi pedogra dokucza.

A teraz pozdrawiam cię uprzejmie, miły mój bracie, i Boskiej Opatrzności polecam, rychľej odpowiedzi wyglądając.

Piotr."

Szary kartelusz, dużym, dziecinnym pismem zapisany, wysunął się z rąk i upadł z szelestem na ziemię. Sebastian stał nieruchomo, ogłuszony. Co było właściwie w tym liście?... Przybyło dwadzieścia dwie owiec... macior trzynaście... To dobrze... Matka zdrowi... Chwała Bogu... A więcej? A więcej? Co?... Miłują się. Hanka i Pietrek... Hanka i Pietrek. Hanka i Pietrek... Miłują...

Siadł na tapczanie, niezdolny pojąć nic więcej jak te dwa imiona, najbliższe, najdroższe na świecie, jedyną dotąd radość życia stanowiące. Powtarzał je uparcie, nieskończenie, niby w bolesnym osłupieniu, niezdolny zebrać myśli, rozpierchłych nagle jak ptactwo spłoszone rzuconym kamieniem.

Pytają się go ućciwie... Starszy jest... Ma prawo... Niech wybiera... Co ma wybrać? Albo oni się pobiorą... (Pietrek i Hanka... Pietrek i Hanka... pobiorą się, Pietrek i Hanka...), albo on pójdzie do wojska, ona do klasztoru... Do klasztoru?... Katolickiego chyba?... I wiarę gotowa odmienić, byle za mnie nic iść... Cóżem jej złego uczynił? Słowa lichego nigdy nie rzekł...

— Boże! Boże! —jęknął głośno. — Cóżem jej uczynił?

Zacisnął wargi, aby nie skowyczeć głośno. Po raz pierwszy uderzyła go myśl, że nie zastanawiał się dotąd nigdy, czy Hanka jest mu wzajemna. Nie przyszło mu to do głowy, by inaczej mogło być. Może dlatego, że nie było we zwyczaju pytać się dziewczek o zdanie; może nowicjuszem w sprawach afektów będąc, nie sądził, by zdarzało się uczucie nie odwzajemnione, szczęściem będące jednemu, nielube i przykre drugiemu.

— A oto... A oto... Do klasztoru woli, byle nie za mnie... Pisze brat: nie ustąpiłbym, choćby mnie dziesięciu prosiło na klęczkach... A pewnie! Pewnie! Skoro cię miłuje... Nie ustąpiłbym i ja... Miłuje, kalsztorem mnie straszy... W tęskności żyją, jego decyzji czekając...

Leżał na wznak na tapczanie, zapatrzony martwo w zakurzony, krzywy pułap. Zateśknił naraz dziecinnie, gorąco za matką. Ulgę przyniosła świadomość, że nie wiedziała o liście. Nie należała do jego krzywdy, nie byłaby na nią zwoliła...

Gdybyż tu mogła być! Nie mówiliby nic do siebie, lecz sam fakt cichej jej obecności zdjąłby mu połowę ciężaru z duszy. Sam jest jak palec, bezbronny wobec nieznośnego terkotania, tnącego serce jak nożem: Hanka, Pietrek... Hanka, Pietrek... Miłują się, Hanka, Pietrek!...

Co im odpowie?

Objął głowę rękami w rozpacz. Prawda! Nie dość samej wiadomości, trza jeszcze na nią odpisać. Powziąć okrutną decyzję. Własną dłoń zmusić do skreślenia słów beznadziejniejszych niż śmierć. Zabić swe życie. W głowie, oszołomionej dotychczas samym uderzeniem ciosu, zamajaczyło pierwszy raz pytanie: co dalej? Usiadł patrząc w mrok przerażonymi oczami.

Co dalej? Co dalej?... Nie ma już domu. Nie ma dokąd wracać. W przeciągu jednej godziny dom rodzony, przystań najdroższa, pociecha, ostoja serca, szczyt pewny — rozwiął się, przepadł, szczeł... Nie ma go już i nie będzie. Jest jeno dom, w którym miłują się Pietrek i Hanka, z niepokojem oczekując jego powrotu. Nie czuł się na siłach, by tam powrócić. Może kiedyś, kiedyś — nie teraz. Teraz za nic!... Lecz co pocznie? Domu nie ma... Omal nie zaskomlał żałośnie nad swą niedolą, jak pies, czując się niby pies bezdomnym. Wszakże odpowiedź dać trzeba. Dać szybko. Oczekują jej niecierpliwie. Wychodzą oboje przed bramę słuchając, czy Dobrocieski nie wraca. Trzeba odpisać. Niech nie markocą się dłużej. Trzeba odpisać zaraz, bo jutro może sił zbraknąć...

Zwłóknął się z tapczana i chodził po ciemnej izbie. Odpisać?... Ale czym?... Nie miał przecie w kwaterze pióra ni inkaustu. Krzyknął na pachołka. Nie było go. Poszli gdzieś widno z Jaśkiem częstować się wzajemnie. Zagryzając wargi do krwi, Sebastian zmógł się i ruszył do

sąsiedniej, Wąsowiczowej, kwatery. Buchało stamtąd światło, gwar i brzękanie szklenie. Wolontariusze moskiewscy, panowie: Budziło, Walawski, Chrślicki, dwóch Kazimirskich, Wąsowicz — siedzieli przy winie, ogadując przyszłe profita zamierzonej ekspedycji i niewątpliwe wawrzyny.

— Witamy! Witamy! — zawołał radośnie na widok wchodzącego gospodarz. — Siadaj waść, o wyprawie mówimy... Ot, szkoda, że jechać z nami, towarzyszu, nie chcesz...

— Właśnie chciałem rzec waszmościom, że odmieniłem decyzję i pewnikiem z wami pójdę...

— Toś nam brat! Wiwat Pielsz!

— Wiwat nowy kompan!

— Wiwat!

— Na Boga, coś waść tak przybladł? Gęba jak u nieboszczyka!

— Febra mnie trzęsie z tej aury...

— Tercjanna to, ani chybi, o tej porze zawdy grasuje. Napij się waść na noc gorzałki grzanej z tłustością... Opuści, jak ręką odjął.

— Maliniak lepszy, bo transpirację sprowadza.

— Uprzejmie wdzięcznym za radę... Rodzinę chcę o decyzji zawiadomić — zwrócił się do gospodarza — i przyszedłem prosić o łaskawe użyczenie kartelusza papieru, pióra i inkaustu...

— Ochotnie służę waści... Oto jest wszystko, co potrza. U mnie jak w kancelarii, bo diariusz dla przytomności codziennie spisuję... Listy wszakże napisz waść jutro, boć się nie pali nad głową — a dziś siadaj popić z nami na szczęśliwą drogę...

— Dziękuję uprzejmie, nie mogę.

Skłonił się niezgrabnie i wyszedł w mglistą ciemność nocy. Rozkisłe, gęste Ignisko błota chlupało pod wlokącymi się ciężko nogami. Przystanął na drodze, patrząc nieprzytomnymi z bólu oczami wokoło. Obejrzał się na opuszczoną przed chwilą kwaterę, i na myśl, że będzie musiał iść z tymi ludźmi Bóg wie gdzie, do Moskwy (po co do Moskwy? co go obchodzi cała Moskwa!), tłuc się po cudzych drogach, po obczyznach — ogarnęła go taka żałość, że rad by rzucił się w błoto i wył. Onże to pójdzie? On? W co się postanowienia jego obróciły? Ślubował szabli nie jać, nawet we własnej obronie, a pójdzie bić się, sam nie wie, z kim ani o co?

— Nie pójdę — rzekł twardo sam sobie.

Lecz wnet opuścił bezradnie ramiona: nie pójdzie do Moskwy? A gdzie? Co zrobi? Co pocznie? Gdzie się ukryje ze swym bólem, gdzie się zatraci? Daleko musi wędrować, daleko, kędyś w północne mierzaje, lodowe morskie rozłogi, gdzie żaden głos, wiew żaden z kraju nie doleci... W pustce obczyzny, w głuszy zaprzepadłej może zelżeje cierpienie... Uchodzić trzeba czym prędzej a skrycie, a szybko, jak uchodzi zraniony jaźwiec do jamy...

Ale odpowiedź! Ten list, co nań czeka!... Czy zmoże się, by go skreślić?... Musi!

— Pisz! Pisz! — powtarzał sobie. — Przede wszystkim trza odpisać, a potem niech się dzieje, co chce...

Wszedł do izby, zapalił światło i siadłszy pisał jednym tchem:

„Miły mój bracie Piotrze!

Na twoje pytanie odpowiem szczerze, że chciałem się z Hanką żenić, ale skoro się Panu Bogu spodobało, że wy się miłujecie, niech się dzieje Jego wola. Możecie się pobrać. Nie będę miał o to żalu ni żadnego. Pani matce Dobrodziejce pokłoń się ode mnie serdecznym, niskim pokłonem. Pozdrów też Hankę i stryja. Ja do Moskwy razem z innymi jadę, cara Dymitra wspomagać, przeto nie spodziewajcie się mnie w domu skoro..."

Urwał, bo siły go opuściły i oparłszy głowę na stole, rozszlochał się jak skrzywdzone

dziecko.

## Rozdział siódmy

### Latawica

Choć wrzesień dopiero był, gdy kupa ochotników rokoszowych zdecydowała się iść ku Moskwie, nie ruszyli się przecie aż wiosną następnego roku, a i to niesporo. Po części wstrzymywały ich zabiegi pana Gorajskiego i marszałka rokoshu, Radziwiłła, usiłujących jeszcze wzniecić i ożywić dogasający rokosh bodaj za cenę obcej interwencji — przeważnie zaś obawa przed zimą. Już też bezpieczniej było lutą porą spokojnie w Radziwiłłowych włościach przesiedzieć niż pchać się do głodnej i zniszczonej Smoleńszczyzny. Niech się chociaż trawa puści, by konie można przeżywić. Tymczasem zbierano gorliwie informacje co do sytuacji nowego cara Dymitra; beznadziejna-li jest czy warta poparcia? Przepadnie czy się utrzyma i będzie miał czym zapłacić? Wiadomości co do tego przychodziły sprzeczne. Wprawdzie oblegany w Tule wojewoda Bołotnikow, filar Dymitrowej potęgi, został uwięziony, a wojska jego zdziesiątkowane, lecz stojącego w Starodubiu cara zasiliły chorągwie książąt: Rzyńskiego i Wiśniowieckiego oraz Kozacy Aleksandra Lisowskiego. Wszechwładny przy boku cara Miechowiecki słał coraz to nowe listy, nagłać rodaków, by przychodzili z pomocą prawemu, po dwakroć cudownie salwowanemu monarsze, wspaniałość jego pod niebiosą chwałąc. Już też skoro Miechowiecki, od paru lat najbliższy carskiej osoby, zaręcza, iż to jest carzyk ten sam — mawiali politycy brzescy — musi tak być bez ochyby. Wiadomo zaś, że do rzeczy to był człek, kochający się w ludziach rycerskich.

Gdy wiosna wreszcie nadeszła, jęli się zatem wybierać. Ciągnęli jak sójki za morze, dyskutując, wiecując i radząc bez opamiętania. Szli kupą bezładną, co parę mil zapadając obozem dla odpoczynku i nowych dyskursów, bez których, przez półtrzecia roku przywyklszy, nie mogli się obyć. Ciężką ręką pobierali z ludności samozwańczą kwartę, rachując ją sobie potrójnie, w myśl zapowiedzi Dymitra. Darmo rozsądniejsi przekładali, że w swoim są jeszcze kraju, nie moskiewskim. Gdy nareszcie z końcem czerwca weszli w ziemie carskie, nierażno im znów było małą kupą w nieznany kraj sunąć. Pilnie też wyglądali, czy inne ochotniki z Polski nadciągają nie będą, i ze szczerą radością ujrzeli nad rzeczką Łośminą obozujące wojska pana Jana Piotra Sapiehy, starosty uświatskiego, przesławnego kircholmczyka i wodza. Szedł on pod Moskwę, w sukurs Dymitrowi, w siedem tysięcy przedniego żołnierza, i chętnie panów byłych rokoshan zagarnął, do poszczególnych chorągwi ich przydzielając. Były to zaś chorągwie strojne, ćwiczone, karne, w boju straszne, na polityce nic a nic się nie rozumiejące.

Sam pan Sapieha — z przekonania, nie z sympatii bynajmniej do Króla Jegomości,

regalistą był i zwolennikiem istniejącego porządku. Ciągnął na wyprawę nie jako rebeliant ni rokoszanin pobity. Nie ściagały go kondemnaty lub zasłużona invidia niczyja. Szedł z swobodnej dobrowoli, bujnej ochoty rycerskiej. Surowy senior rodziny, mądry kanclerz. Lew Sapieha, zgodził się na tę imprezę i funduszami dopomógł w skrytej nadziei, że krewniak odzyszcze przy tej okazji włości Opaków i Jelnę w Smoleńszczyźnie, jeszcze za króla Zygmunta Starego utracone. Lecz dla młodego rycerza był to cel najodleglejszy, zgoła obojętny. Wywlokła go z domu nie chciwość, lecz żądza sławy i boju. Kompanem serdecznym będąc Aleksandra Lisowskiego, tę samą niósł w piersiach, co on, wartką, niespokojną duszę, tęsknicę-zmorę dalekich przestworzy i sławy. Posłyszawszy, że druż już pociągnął w pole, w rozległe, puste krainy, męźnej stopy zdobywcy oczekujące — nie zdzierzył. Poszedł w ślad za nim. Jadąc na czele chorągwi, niecierpliwymi oczami sokoła wyglądał przyszłych swych czynów, z zapalczywością butną wzywał przygód, niebezpieczeństwa, tańców ze śmiercią walecznych. Nie obejrzał się za Ojczyznę przechodząc granicę i nie byłby oglądnał się również, posłyszawszy, że nigdy już tędy nie wróci. Cóż o to? Śmierć — kochanica żołnierska. Byle zarobić wprzód dosyć sławy, nasycić nią duszę głodną!

Prowadził tedy pan Sapieha swoje pułki przez rozległe pustaki smoleńskie. W ciemnych oczach, płonących w młodej, urodnej twarzy junaka, tliły się zamysły ważkie, szalone, ambitne, z których przed samym sobą nawet nie śmiał się jeszcze spowiadać. Uśmiechał się spoglądając na swe pułki, swoją Argo. Zaiste czuł się Jazonem, po złote runo dążącym...

Rozpolitykowani panowie rokoszanie odetchnęli zrazu swobodnie, znalazłszy się w dużej sile; przecie po świętej wolności Radziwiłłowskiego obozu nie snadno im było przywyknąć do surowej dyscypliny i żołnierskiego rygoru panującego w chorągwiach. Wnet po przybyciu zaprzysięć musieli artykuły konfederackie, przez wojsko zaraz po przejściu granicy spisane — srodze najłżejszą samowolę prześladowające. W ich też oczach osądzono na gardło panów: Buskiewicza i Miłkowskiego, którzy, garść pachółków wzięwszy ku pomocy, przejeżdżających kupców ograbili. Buskiewicza ścięto, Miłkowskiego wyprosiło towarzystwo, bo kawaler był wielkiej fantazji i serca, choć wicher. (Za wstawiennictwo dziękując, przysiągł jakowąż wielką wojenną przewagą sławę odzyskać i miłosierdzie wypłacić). Pachółków, którzy wzięli udział w napadzie, bito tego, powrozami na środku obozu. Toteż gadatliwemu panu Budzile, komornikowi Wąsowiczowi, braciom Kazimirskim i innym włosy stawały na głowie ze zgrozy, rozumieli bowiem, że w niewolę tyrańską popadli. Niektórzy jednak, w tej liczbie Sebastian Pielsz, błogosławili twardej ład żołnierski, panujący w obozie pana Sapiehy, sprzykrzywszy sobie do cna poprzednią gadaninę próżniaczą. Wśród chorągwi usarskich nie mało było dawnych rycerzy Chodkiewiczowych, towarzyszków Pietrka, mile go wspominających. Choć zgryziony i posępny odludek Sebastian w niczym nie przypominał serdecznego kompana, beztrioskiego śmieszka — radzi go przyhołubili przez pamięć tamtego.

**W**iodąc za sobą długi szereg wozów, Sebastian wjechał do rozległej wsi Pogorełoje. Siedzący na wozach pachółcy spoglądali nań koso, jako na dziwaka, co miał brać wprost siano z licznych, czerniejących w pobliżu brogów, jechał do wsi... Po co? Na co?...

Wieś była szara, szeroka i cicha, niby bez ludzi. Pustką i opuszczeniem przypominała Sebastianowi widzianą niegdyś wieś wymarłą czasu moru. Wzdrygnął się mimo woli na to wspomnienie, ale po chwili z ulgą skonstatował, że tutaj pustka rzekoma była jeno ostrożnym wybiegiem. Skąpy dym snuł się gdzieniegdzie nad dachem. Półnagi dzieciak wyjrzał zza któregoś węgła. Miał wielki, wydęty brzuch, ciekłą szyję i kończyny jak piszczele. Sebastian



kiwnął nań ręką, wołając, lecz malec pierchnął co tchu z wrzaskiem przeraźliwym. W sąsiedniej chacie w małym otworze okiennym mignęła brodata twarz — znikła z równym pośpiechem. Zsiadłszy z konia Sebastian kołatał do drzwi długo i daremnie. Ruszył ku drugiej chacie, z tymże samym skutkiem. Nareszcie jeden z pachółków przywłókł za kark capniętego zniecka wyrostka. Ten wytrzeszczał ogłupiałe oczy głodomora, na każde zapytanie odpowiadając tylko głośnym, jęklwym sapnięciem.

— Gadaj, gdzie tu jest starszyna, bo baty dostaniesz! — krzyknął zniecierpliwiony Sebastian.

Wyrostek ukazał ręką większą nieco od innych chatę stojącą opodal i wyśliznąwszy się z rąk pachółków, przepadł jak zmieciony. Sebastian poszedł we wskazanym kierunku. Z grubych bierwion zbite drzwi zawarte były od wewnątrz jak inne, lecz pachółcy, osobliwie krępy Maciek Bury, podsadziwszy się pod nie, w mig je wyważyli. Sebastian wszedł do ciemnej, zadymionej izby. Wysoka postać majaczyła w mroku. Była to żona starszyny. Wyświechtany, raz do roku przed „Jordanem” zmieniany kokosznik wieńczył jej chudą twarz o biegających niespokojnie oczach. Sama była w izbie, choć ledwo dostłyszalne szmery w stronie piekarnika mogły równie dobrze ujawniać obecność tam szczura czy też skrytego przemyślnie starszyny. Żółte, zawiędłe ręce złożyła na piersiach, patrząc na wchodzących z tęnym przerażeniem.

— Siano zbieram dla wojska. Siano... Rozumiecie? --- zaczął z wolna, dobitnie Sebastian.  
— Chcę zapłacić... Czyje ono jest? Wiele się należy?

Ptasie oczy starej znieruchomiały w trwożliwym zdumieniu; zabełkotała pośpiesznie:

— Bieritcie, gaspada! Bierite wsio!... Nikomu ono nie nužno... Pożałujsta... bieritcie...

— Zapłacić chcę, ale komu? — powtórzył Sebastian.

— Ja nie znaju... Eto nie nasze; sochroni Boh, nie nasze... Bieritcie — upierała się wietrząc szatański jakiś podstęp w tych nieoczekiwanych słowach.

Wzruszył ramionami, wysyłając pachółków, by ładowali podwoły.

— Sera, masła, nie ma u was? — zapytał zbierając się do odejścia.

Skrzywiła się dziwnie bolesnym grymasem nie odpowiadając nic.

— Zapłacę, zapłacę dobrymi pieniędzmi — zapewniał ukazując jej garść groszaków.

Przylgnęła do nich wzrokiem żarłocznie, drapieźnie, lecz wstrząsnęła głową przecząco.

— Nie ma? — powtórzył zniecierpliwiony.

— W całej derewni nie znajdziesz, baryń, ni jednej żywiny; ot, czemu siana nie trzeba...  
— odparła z wolna, nie spuszczać urzeczonych oczu z pieniędzy.

Stojąc już w progu. Sebastian obrzucił spojrzeniem nędzną, czarną izbę. W dymie snującym się wzdłuż ścian majaczyły rzędem ubogie, spłowiałe ikony. Rzucił na nie okiem mimochodem i zauważył, że wszystkie wiszą na wywrót, głowami do dołu.

— A toż co? — zapytał ukazując na nie ręką.

— Za karę — rzekła krótko stara.

— Co takiego?

— Za karę — powtórzyła twardo. — Nie wysłuchali nas — niech się hańbią. A prosili my: Święty Mikoło cudotworny, Święty Olegu, Święta Eufrazjo dziewico, pomilujcie... Dajcie przetrwać zimę, zwólcie żyć!... Nie zwolili. Troje nam dzieci umarło... Ni jedno nie ostało w izbie... Ni jedno! Ja i mąż, sami... Troje było... Mąż prawi: nie chcieliście, wy, ikony, pomocy dać, poczekajcie! Poprzewieszał je... Zostaną tak, póki odmiany nie będzie... Jaka może przyjść odmiana? Dzieci nie ma!... Nie ma... Nie ma... Pusta zostanie się izba...

— Skąd tu taka bieda u was? — zapytał, zdjęty mimowolną litością.

Zakołysała piramidą kokosznika, w nagłym przypływie zaufania rozpoczynając długą, żalną opowieść. Jęklwym monotony głos rozsypał się ni to w zawroźwienie, ni to w przyśpiew

smętny o dawnym, ledwo w pamięci mającym dostatku, gdy za bogaczy ich ogólnie uważano. Tak, tak, za bogaczy!... O srogich czasach, co potem nadeszły, gdy za bezbożne zbrodnie Borysa Godunowa Bóg zesłał na ziemię głód. Nie wiedzieć wprawdzie, w czym naród winien jest śmierci cichego cara Fiodora, przez Borysa Godunowa ubitego, ale kara musi być. Cierpieć muszą za to wszyscy. Takie prawo... Straszny był głód. Odkąd świat światem, nie było takiego. Ludzie korę z drzew żarli i trupy. A kiedy trupów zabrakło, to żywych... Byle kto słabszy sam wyszedł z izby wieczorem, już go zabito, zjedzono... Było tak, było!... Hospodi!

Imieniem Bożym niby bolesną pieczęcią znacząc punkty opowieści, mówiła dalej o strzelcu, wysłańcu cesarskim, co z listem za Smoleńsk jechał, przystanął we wsi konia napoić. Krasawiec był, głodu nie znał. Tęgi, rumiany na gębie. Zobaczyły go z okna Wasilczycha, Jefiemka, Antonowiczówna i popadia. Umówiły się. Zwabiły chłopca do izby. Przyszedł, durny. Drzwi zawarły, toporem krasawca zarąbały, z odzienia zwlekły... Ciało w komorze trzymały... Po kęsku jadły. Mróz był... Starczyło na trzy niedziele... Ot, czasy, czasy! Hospodi!

Urwała patrząc nieruchomo w ścianę. Sebastian wzdrygnął się mimo woli i spojrzał ku wyjściu, lecz stara podjęła dalej:

— Potem mór przyszedł, czarna śmierć zawzięta. Myśleli my że już koniec świata. Trzy słońca stały na niebie, a stare Antychrysta swymi oczami widziały... Uciekał, kto mógł. Na Sicz w Kozaki albo do atamana Chłopki Kosołapa. Gorszy moru był Chłopka Kosołap. Pod świętą Moskwą stał, złymi oczami na złociste cerkwie patrzył... Aż tu zaczęły przychodzić monachy, o carewiczu Dymitrze Joannowiczu prawić. Że żyje, panować idzie... Podali się na niego wszyscy ludzie z tej wołosti... Myśleli: będzie car. będzie lżej... Nie było lżej, nie było!...

Szedł carewicz Dymitr Joannowicz z wielkim wojskiem, polskim, litewskim, kozackim, bardzo ciężkim dla ubogiego narodu. Zaś rok nie minął, ubiły kniazie Szujskie carewicza. Hramoty rozesłały po godach, że nie praw on był — Łże-Dymitr, duszogubca, czort, poganin przeklęty... Pisały hramoty: które na Łże-Dymitra przysięgały, srogo będą odpowiadać; pokarże je Bóg i car; antychrystowi duszę zaprzedały. Hospodi!... Skąd naród mógł wiedzieć? Monachy powiadały, to wierzyli... Bieda! Bieda!... Szedł tedy kniaz Szujski z wojskiem, z żołdatami carskimi swoimi... Ograbili... Mordowali... Niczemu nie przepuścili... Aż teraz znów chodzą tu pielgrzymy jakież, bogomodlce; powiadają: car Dymitr Joannowicz żyje zdrow; kniaz Szujski sam łgarz, czort, antychryst; cara, słońeczko jasne, chciał zabić... Hospodi!... Nowe wojska z Polski idą. Niech idą! Zabijają pewno... A niechaj zabijają! Stoi kto bardzo o życie? Niesłodkie ono, oj, nie!... A wy, panowie Litwa, za Dymitrem Joannowiczem czy za Szujskim?

— Za Dymitrem.

Spojrzała nań z jakąś rozpaczliwą odwagą.

— Darujcie, baryń, powiedzcie starej: praw on? Carewicz czy duszogubca, poganin? Kto łże?... Hospodi! Jak ciężko duszy... Jak ciężko!...

Otarła brudnym rękawem zażawione, ropiejące oczy.

— Grzech, wielki grzech, oszukiwać prosty naród — westchnęła. — Naród sam wiedzieć prawdy nie może. Skąd by znał?... Gramotne, uczone winny pouczyć, powiedzieć... Bo duszę można zgubić nie wiedząc... Powiedzcie, panie, praw on?

— Nie wiem, matko — wyznał ze wstydem Sebastian.

Rzucił na stół, co miał przy sobie pieniędzy, i wyszedł spiesźnie. Pachołcy siedzieli już na wysokich jak chaty furach siana. Dosiadł podjezdka i ruszył przed nimi do obozu rozłożonego w Carowym Zajmiszczu. Gródek to był spory, ostatnimi czasy silnie ufortyfikowany, w rękę wojewody wiaziemskiego, antagonisty Szujskich, zostający. Wojska pana Sapiehy zajęły Carowe Zajmiszcze dopiero tegoż dnia z rana i Sebastian spotkał ostatnie tabory wjeżdżające w bramy gródka. Zamykali pochód teorbaniści, ulubieni panu Sapieże, na krępych, myszatyh,

garbonosych konikach. Jadąc kołysali się do taktu w wysokich kozackich kulbakach, gdy jeden śpiewał dźwięcznym, silnym głosem:

Sołnce nyżeńko, misiacz błyżeńko,  
Wyjdy, taj wyjdy, moje serdeńko...

Sebastian zachwiał się w siodle jak uderzony — zdarł konia. Tchu mu zbrakło, w oczach, rozszerzonych nagłym bólem, zawirowały pstre tumany płatków. Przystanął rozglądając się wkoło bezradnie, nie umiejąc zdać sobie sprawy z tego, co zaszło. Ciasny spazm trzymał za gardło. Jakieś drapieżne, niewidzialne ręce rozrzuciły w gruz od trzech kwartałów starannie wznoszony gmach zimnej obojętności. Przenikliwy ból sięgał wskroś serca. Poczul, że cierpi jak wówczas pod Brześciem... Ale dlaczego? Dlaczego?...

Oj, znaju, znaju, koho kochaju.  
Tylko ne znaju, z kim żyty maju...

— dolatywało już z dala. Pochylił się nad grzywą końską, zrozumiał. To ta piosenka! Ta piosenka! W niej była gorsza szaleju trucizna! Od niej slaniał się w strzemionach, zmagając się darmo z bólem. Z jej słów, tak prostych na pozór, szedł jad, toczący krew żywą spod serca.

Ta piosenka!... Ona wywlokła z zabitej, obręczą woli zaklepanej skrzyni wspomnień — obraz dawny, przecie przytomny jak żywy: opleciony chmielem ganek... Przygarbione, dobre plecy wuja... Te same słowa dzwoniące srebrem w czyichś ustach... Pamięci, nie pytaj, w czyich!

Zamknął oczy, by nie widzieć. Rad by zasłonił uszy, by nie słyszeć skowytu własnej tęsknoty, zbudzonej nagle, rozjadłej. Jadąc stępa za wozami, zaciskał palce, aż trzeszczały stawy. Dość tej męki!...

Zapomnieć! Zapomnieć co prędzej!... O Boże, pozwól zapomnieć! Cóż przyjdzie z daru strasznego pamięci? Nigdy, nigdy nie powróci to, co utracone... Mogą się zmienić króle, państwa, światy, lecz nie odmieni się to, że umiłowana kochania twego nie chciała... Po co masz tedy, człowiecze, pomnieć czarowny dźwięk głosu, strzelistą wiotkość kibici, słodycz jedyną uśmiechu?... Zapomnij, zabądź co rychlej!... Skryj wspomnienie, zادةcz ziemią, przybij mocno i nie powracaj w to miejsce!... Nie daj się podejść zwidzeniom. Nie słuchaj, nie patrz, nie spuszczaaj oczu ni uszu z arkanu, bo nie wiesz, skąd, z której strony — dźwiękiem, zapachem czy słowem — zmora wychynie ku tobie... Wyjrzą jej głodne pazury z prostaczej śpiewki włóczęgi-przybłądy... Rzuca ją skroś nocy letniej żaby kumkające w stawie... Spłynie z księżycą... Zaczepi cierniem krzów w kwiecie... Uchwyci cię na rozstaju... Ni chwiliś od niej bezpieczny... Jak ninie... Jak ninie!

Darmo zacina się, surowym chwytem zwiera rozbiegane myśli. To samo stoi wciąż w oczach: opleciony chmielem ganek... Przygarbione plecy wuja... Jej głos... Pełne niebo gwiazd... I jedna gwiazda, sunąca...

Drgnął, wyprostował się w siodle, olśniony nagłym przypomnieniem: Latawica! Latawica! W owej to chwili urok go opętał, zrodziło się życia nieszczęście! A ostrzegąła go Hanka... Roześmiał się z jej słów niebacznie, a ot, skąd przyszła gryząca go zmora... Czepiła się już nigdy swobody ni folgi nie zazna... Latawica! Latawica! Wiedźma pożądań daremnych...

## Rozdział ósmy

### Medea

Pewna to aby wiadomość? — pytał po raz trzeci pan Sapieha marszcząc gęste łuki brwi.

Zdumiony niespodziewaną nowiną, chodził szybko wzdłuż i wszerz komnaty. Afanazyj Jefimow, bojar, wysłaniec wojewody wiaziemskiego, kłaniał mu się w pas co chwila, tłustą ręką bijąc się w piersi na znak, że mówi szczerą, niezawodną prawdę. Gdy pochylał krępą postać, odzianą w papuzi tułup, kudłata, lśniąca od tłuszczu broda sięgała mu prawie do kolan.

— Nowina! Nowina! — powtarzał pan Sapieha. — W Lubienicy stoją! Niespełna stąd cztery mile!... Trza ku nim skoczyć co rychlej... Ot, niebożęta, dwa lata w turmie przesiedziawszy...

Odprawił ręką bojara.

Nieoczekiwana wiadomość poruszyła go nie tylko ze względu na sentyment dla długo więzionych rodaków. Przypadkowe spotkanie z carową Maryną wielce szło na rękę jego planom, nie skrytalizowanym jeszcze wprawdzie ostatecznie, lecz koło jednego punktu coraz uparciej krążącym.

Klasnął w dłonie na pachotka, by zwołał panów rotmistrzów. Gdy zeszli się, w krótkich słowach powiadomił ich o tym, co wojewoda wiaziemski donosił...

— Imaginujcie sobie, waszmościowie — mówił żywo, rozanimowany — że wojewoda sędomirski, Jejmość Carowa z fraucymerem i pan małogoski ze swymi ludźmi w Lubienicy stoją! Puścił ich z więzienia Szujski, by z Rzeczpospolitą w sroższy nie popaść zatarg... Osłonę grzeczną dał... Wszakże car Dymitr Zborowskiego z Massalskim pchnął, którzy osłonę znieśli, zaś wojewodę z carową nazad od granicy zawrócili... Tylko pan Gosiewski i jezuity nie chcieli ostać i do Polski się przebrali...

Urwał na chwilę, przystanął, a opanowawszy wrażenie, spokojnym już, zwykłym głosem wydawał rozkazy: chorągwie panów Strawińskiego i Dziewałtowskiego mają wyruszyć ku Lubienicy, jako asysta, o świcie. Najlepsza kolaska i co chędożniejsze brożki pójda dla Jejmość Carowej i fraucymeru. Na głowie pana Samuela Tyszkiewicza, obożnego, pozostaje przygotowanie wszystkiego, co potrza, na przyjęcie tak dostojnych gości. Pan Sapieha tuszył, iż nie potrzebuje *minutatim* wykładać, co i jak czynić należy. Wiadomo: wjazd ma być *sollemniter* odprawiony. *Tandem* łuki, oracje, palba — pochodnie, jeśli przyjadą o zmroku... Komnaty paradne w grodku trza by z pajęczyny obmieść, wapnem obielić, podłogi ługiem zszorować lub piaskiem przytrzasnąć, zaś robactwo wykadzić, osobliwie wszy. Zdałoby się także kocurów tam parę puścić, bo szczury srogie harce odprawują, co biaogłowy zazwyczaj inkomoduje. Za czym poczęstunek uczciwy czekać powinien. Trzy dni czasu ma pan obożny, by godnie to wszystko zładować...

Pożegnał ich, a zostawszy sam, zaplótł dłonie na karku i chodził, zamyślony, tam i sam po izbie. Krok jego był to powolny, zadumany, to rwący się, niecierpliwy, zdrewniony ciasnotą miejsca. Jakoż ciasno mu było wszędy, ciasno w domu, w rodzinie, w kraju, we własnej skórze. W pewnej chwili, przechodząc koło gotowalni, spojrzął przelotnie w stojące na niej podrózne stalowe zwierciadło. Wypolerowana tafla odesłała mu własną jego, nieco ostrą twarz, suchą, arcypanią urodę konkwistadora-rycerza. Uśmiechnął się — nie wiadomo, sam do siebie czy ze siebie — z pewną pogardliwą dufnością. Mimo woli pogładził młodego węża nad stanowczymi, chłodnymi ustami.

**G**dy nazajutrz wczesnym rankiem pan starosta wyjechał do Lubienicy, w obozie zapanował gorączkowy ruch. Każdy przykładał się z chętną pomocą. Wśród towarzystwa wielu było, których krewni lub znajomi ruszyli przed dwoma laty do Moskwy, w orszaku bądź Mniszchów, bądź obu posłów królewskich, panów Oleśnickiego i Gosiewskiego. Wszystkich ich miano dawno za straconych. O losie samego wojewody sędmińskiego i jego córki rozliczne krążyły legendy. Ciekawość zatem paliła... Pan Samuel Tyszkiewicz wraz ze swoim *alter ego* panem Mirskim krzątał się żwawo i gdy trzeciego dnia posłaniec obwieścił rychły przyjazd gości, wszystko już było gotowe.

Pan Sapiaha winien był być zadowolony. Oboźny przeszedł sam siebie. Trzy łuki, jeden za drugim, przybrane zielenią i kwieciami, głosiły w łacińskich inskrypcjach sławę monarchini, której cnoty i stałość zwyciężyły oporną Fortunę. Nie mniejsze hołdy spotykały jej rodzica, wzór mężów, obywatelów, niezłomnych Scewolów — oraz pana Oleśnickiego, kasztelana małogoskiego, w którym wielbiono wielkoduszność i męstwo. Droga przytraśnieta była majem. Wojsko, szpalerem stojące, prezentowało uroczyście broń. Grzmiały raz po raz młotki. Pod pierwszym łukiem sam pan Samuel Tyszkiewicz stał z karteluszem w dłoni, z którego piękną odczytał orację.

Jadący przodem, obok starosty uświatskiego, wojewoda sędmiński odpowiedział na tę przemowę uprzejmie, choć z pańska. Niewola i przebyte upokorzenia nie umniejszały jego dumy. Owszem, wyżej może jeszcze niż pierwej podnosił do góry czerwoną, kogucią twarz, zwieńczoną białą jak mleko czupryną. Z niedbałą łaskawością kłaniał się na obie strony wiwatującym. Dalej kilku trębaczy poprzedzało kolaskę carowej. Młodziutka twarz wojewodzianki od niewczasów i dwuletniej przeszłości zaostrzyła się i pobladła, nabierając wyrazu niechętnego uporu. Pogardliwie wysunięta warga czyniła ją podobną do ojca. Tylko oczy, czarne, bystre, wymowne, wdzięczne były w bladym licu, uśmiechające się przychylnie witającym. Z przodu kolaski zwiędła twarz starej jejmości wydała się patrzącemu zza pleców Wąsowicza Sebastianowi dziwnie znajoma. Nim jednak zdążył rozpoznać, przejechały. W następnej kolasce pan Oleśnicki, niefortunny poseł królewski, jeszcze czasu wesela carowej z Dymitrem wysłany, uśmiechał się wesoło, dobrodusznie. Cztery panny fraucymeru: Tarłówna, Bielińska, Kmitówna i Krasicka, nastroszone niby zmokłe kurki, spoglądały trwożliwie ze swego pojazdu, nieczułe na łakome spojrzenia wojaków. Żal jej zbierał okrutny, że zamiast wjeżdżać bezpiecznie do lubej ojczyzny, wraz z panem Gosiewskim, Niemojowskim i innymi — ku znienawidzonej Moskwie nazad muszą się obracać... Chorągiew usarska Dziewałtowskiego i Kozacy Buzowskiego zamykali pochód.

Wieczorem po świetnym bankiecie pan Sapiaha przyszedł niespodzianie na majdan, gdzie się towarzystwo zbierało.

— Mości panowie, mili towarzysze — zaczął ujmującym swym głosem — przywieźlim

Jejmość Carową i jej fraucymer, ale obdarte niebożątka, chłopskim prosto adiustunkiem nędzę swą słońiące, aż i litość bierze patrzeć. Sama carowa w jednym giezłeczku ostała, jako mi pan wojewoda sędomirski prawil... Barbary plugawe, psy od poganów zawziętsze, tak ograbiły niebogę. Wszystkie ochędóstwo, co ojce jej dali a Król Jegomość przyczynił, zabrało moskiewskie hultajstwo. Ma kto z waszmościów materię jaką, lebo odzież zbędną, na białogłowski manier przerobić się dającą — upraszam dać nieboraczkom. Toćże im z komnat wyjść wstydno. Ja deklaruję dwie strefy altembasowe, kryzów kilka, galonów pęk spory, trzęsienie z zaponą i dwa żupany hatłasowe...

— Ja mam żupan grodeturowy fałdzisty, po ojcu, całkiem jak nowy! — krzyknął ochoczno Wąsowicz.

— Ja paludament pupkami oszyty, z łańcuchem.

— Kołpak sobolowy dam... — meldował cześnik Waławski.

— Ja delijkę aksamitną, niestara...

— Sztukę bławatu okrutnie foremnego...

Deklarowali i inni, prześcigając się w hojności. Zebrała się kupa dar. Na delegata dla odniesienia ich nazajutrz rano naprosił się pan Wąsowicz. Przystali nań wszyscy, bo chłop był mowny i śmiały — on zasię dobrał sobie do kompanii Sebastiana Pielsza, w tej intencji, by, asystę przyzwoitą mając, w dyszkuirowaniu nie mieć żadnego od towarzysza impedymentu.

Dwóch pachółków niosło za nimi zebrane materie. Meldowali się na grodku, u komnat carowej.

— Jejmość ochmistrzynie fraucymeru wnet przyjdą — oznajmił pacholik.

Jakoż nie czekali długo. Dostojnie, posuwistym krokiem weszła do izby pani miecznikowa samborska, Barbara Kazanowska. Sebastian poznał ją teraz od razu i zbladł. W nadziei, że go nie pozna, nie spyta o Hankę, cofnął się za Wąsowicza, rad skryć się lub zbiec nie czekając.

Ale pani miecznikowa nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Oczy miała lekko przymrużone, twarz wyniosłą. Zrudziała, haniebnie wystrzępioną i pocerowaną suknię ujmowała w dwa palce, dygając ceremonialnie.

— Jejmość Dobrodziejko — zaczął z fantazją Wąsowicz — zasłyszawszy o okrutnym a zgoła nieludzkim postępowaniu barbarów, miana ludzi niegodnych, które to monstra (bodaj nigdy z Tartaru plugawe głowy ich nie wychynęły!) ograbiły ze wszego dobytku białogłowskiego Jejmość Carową wraz ze szlachetnym jej fraucymerem — zebraliśmy między nami co nieco, przyodziewku, na któren się żołnierska bieda mogła zdobyć, i szczerym sercem składamy. Wprawdzie rzec możesz. Mości Dobrodziejko, iż na Olimpie zbytnio o szaty nie stoją, zaś Junona panuje światu w byle szatce. Prawda to szczerza! Nie przynosi takoz ujmy niedostatek, w wojennej potrzebie, a srogich losu zawieruchach sprawiony... Że jednak białogłowskim sercom miłe zazwyczaj stroiki, tuszum, iż wielka władczyni raczy przyjąć od nas wdzięcznie rzezone obmioty, ochotnie u stóp jej złożone, z gorącą prośbą, by w rychłej korzystniejszej fortuny odmianie oddanych sobie usług nie zapominała...

Pogładził wása, zadowolony z oracji, i skinął na pachółków, by rozwinęli tołuby. Rozłożył chrzęszczące, lśniące materie na stołkach i spojrzął, dumny z wrażenia. Na poźkłą twarz micznikowej uderzyły gorączkowe wypieki, oczy zabłyły wilgotno.

— Dobrodzieju mój!... — zaczęła serdecznie, lecz urwała, wysiłkiem woli opanowując wzruszenie. — Bóg zapłać waszmość panom — poprawiła się z uprzejmą dystynkcją — wdzięcznym sercem przyjmuję te dary. Wprawdzie Jejmość Carowa do małżonka jedzie, gdzie dawne splendory będą jej zwrócone, tymczasem wszakże: Bóg zapłać!... Niewątpliwie — dodała protekcyjnie — bliska jest chwila, w której odpłacim się stokrotnie za uczynioną przysługę...

Miło mi będzie poznać nazwiska waszmościów, by jej Miłościwej Pani sprezentować...

— Oto lista ofiarodawców — podał szybko Wąsowicz kartelusz — jest tam i moje skromne nazwisko, zaraz po panu staroście uświatskim... Jestem Wąsowicz herbu Slepowron, komornik Chęciński, oto zaś kompan mój Sebastian Pielsz herbu Nabra, obaj wolontariusze w służbie Jegomości Cara...

— Pielsz? — zdziwiła się jejmość. — Toż ja waści znam! Zrazu lico wydało mi się znajome... A waść nie poznajesz mnie? Ani się przysuniesz? Bogiem a prawdą, zawdy był z waćpana mruk, mało polityczny — zauważyła z niezatartą urazą w głosie. — Pamiętam... Waść zabrałeś z Pinian faworytkę moją, Hankę, córkę nieboszczyka Bazylego Pielsza... Co z nią? Powiadajże!

— Za mego brata idzie — odparł krótko Sebastian, który poprzednio zdążył już opanować twarz i nadać głosowi przesadnie obojętne brzmienie.

— Mój Boże! — wykrzyknęła ze szczerym żalem. — Za waćpanego brata idzie? Nic ujmuję ja zasłudze, przecie bolesne to zdarzenie, gdy taka fortuna, taka gloria na nią czekały! Przeczuciem istnym wiedziona, odradzałam, prosiłam... Waść ją namówiłeś... Chyba nie wiesz, czym by była ostawszy: panną Iraucymeru carowej!... Waści to wina, że ją taki los ominął!... Ja sama fraucymer dobierałam. Jejmościanki, co tu są, mnie zawdzięczają swoje wywyższenie... Juźci Hankę byłabym pierwszą wybrała... A ona za mąż idzie, za byle szlachcica... Daruj waść... Powtarzam, iż nie ujmuję zasłudze ani klejnotowi, wszakże inny carski dwór niżeli szlachecki... Taki los!...

Wzdychała chwiejąc głową, przystrojoną w dziwaczny, zniszczony i spłowiały kornet.

Zniecierpliwiony Sebastian chciał już rzec, że wraz ze świetnym losem ominęły Hankę dwuletnią poniewierka, nędza, a może i śmierć — lecz w tejsze chwili pacholek wezwał jejmość ochmistrzynię. Hosudaryni potrzebowała jej obecności.

— Idę! — zawołała spiesznie. — Uprzejmie żegnam waszmościów, o łasce i pamięci Miłościwej Pani zapewniając...

Cofała się tyłem, dygając ceremonialnie raz po raz.

**P**obył w Carowym Zajmiszczu przedłużył się nadspodziewanie, na co zresztą nikt z wolontariuszy osobliwie się nie uskarżał. Car Dymitr ze swoim wojskiem stał w Tuszynie i liczni posłańcy jeździli z listami od jednego obozu do drugiego. Widno toczono jakieś pertraktacje. Lato było piękne, słoneczne. Wygrzewając się próżniaczo na wałach gródka, rycerstwo i wolnotariusze słuchali chciwie opowiadań towarzyszy, co z wojewodą i carową przyjechali. Ci zaś, szczęśliwi, że się na koniec wyrwali z niewoli, chętnie po raz setny, a coraz to barwniej, opisywali przebyłą tułaczkę, wszystkie mizerie zniesione od moskwicinów, rzeź majową, grozą dzień Sądu Ostatecznego przypominającą.

— Nie byłoby całej tej katastrofy, gdyby nie zbyt dufność Hosudara — opowiadał rozwlekłym nieco głosem rękodajny pana kasztelana małogoskiego, imć Haraburda, zebrany wokół wolontariuszom rokoszowym. — A chodzili go ostrzegać, że się sedycja szykuje; sam wojewoda chodził i pan starosta sanocki... Toż samo Bosmanow, hetman jego nad wszystkimi wojskami, wielkiej fantazji człek, choć Moskal... Bodajby ich był usłuchał! Ale gdzie! Ani gadać nie zwolił... Nie boję się, mówił, tych grubych capów (co się rozumiało bojarów), bo pospółstwo i strzelcy za mną... Prawda, że byli mu chętni jako nikomu, ale hołota to, której lubienie wiatr, a odmiana afektów skora... Tak zbyt dufając, bram zamku zawierać nie kazał, nawet i w nocy.

Stała niby przy wejściu kupa strzelców — Boże się pożał tej straży! W pień toporki powtykawszy, a ruszniczyska i amelije na ścianie rozwiesiwszy, spali smaczno ni kija w rękę nie mając. Znów halabartniki Niemcy, co sklep swój niżej pokojów hosudarskich mieli, wnet pierzchli, ino się tumult wszczął. Snadź wcześniej od bojarów spraktykowani byli. By wiary panu swemu dotrzymywali, snadno mogli, z halabartami w ciasnych gankach a przejściach się zastawiwszy, wielki gmin dłuższy czas zadzierżeć... Inaczej by się wszystko obróciło... *Tandem*, rumor usłyszawszy, Bosmanow, hetman, któren od piąci niedzieli z miłości ku caru pode drzwiami jego dla bezpieczeństwa sypiał, skoczył do drzwi z szablą, gdzie go też wnet rozsiekali. Sam Hosudar, poczuwszy gwałt, wypadł z komnat. Już drzwi wyważali. Z ganku na podwórzec skoczył, gdzie było ze dwadzieścia łokiet wysoko. Tamże omdlał, nogę skręciwszy. Czerń a strzelcy, co mu życliwi i byli, jęli go trzeźwić, on zasię do nich: Chrystolubcy, mirze i krzczony, drugi moje wierne, wiedźcie mnie na płoszczadę i k'narodowi mojemu. Tam ja bezpieczny.. — Wiedli go, ale bojary *coniurati* przypadli, wydarli, utrupili... Za czym, obawiając się dla siebie gniewu populacji, która isto wielce chętniwa carowi była, stanęli na onej płoszczadi, powiadając wsiem, jako on jeretykiem był, rozstrzyga, duszokrajcą, jako krzyż w napiętku buta nosił, bałwany, co je czcił, pod łóżkiem chował, cielęcinę jadał, pierze u głowy nosił, wiarę prawosławną odmienić chciał... Takimi nieszczerymi słowami odwrócili odeń *credulum et simplex volgus*, na nas je w końcu szczując... Pomścijcie teraz obrazy Bożej — powiadają — bijcie Litwę, a te dostatki i ochędóstwa, coście u nich widzieli, będą wasze... — Do woli było tych słów czerni, ciemnej nad pojęcie a chciwej i łakomej. Rzucili się wszyscy jak luną do rzeźby, a my, zgoła ni przygotowani, ni ubezpieczeni...

Umilkł i oczy mu się zamgliły, bo stracił w onym dniu nieszczęsnym wielce umiłowanego brata, który wraz z ojcem siedzącego obok pana Cikowskiego i wielu innymi, okrutnie zamęczony został.

— Potem — ciągnął schryplym nieco z żalu i gniewu głosem — hosudarowe ciało na Łobnoje miejsce wywlekli, spalili, popił na cztery wiatry rozsieli... A szkoda! Rycerski, światły był pan... Sprawiedliwy, hojny, nad ludem się litował, bojarów w garść brał...

— Bez to powstały na niego — wtrącił pan Cikowski.

— A bez to... Hej, szkoda się stała!... I tyle krwie naszej!... Tyle krwie! Dusza się zżyma w człowieku, a serce pomsty woła... Tegom do kraju z panem Gosiewskim nie wrócił, nazad się tu obracając, by sprawiedliwy żal swój zaspokoić...

Milczenie trwało przez chwilę.

— Tfu, do licha! — sarknął nagle Wąsowicz. — Co to za gadanie: spalili, utrupili... Jak o nieboszczyku? Któż tedy stoi w Tuszynie?

Obaj dworzanie spojrzeli po sobie zmieszani.

— Racja, racja, mości panie — tłumaczył się Haraburda — jeszcze w turmie będący doszły nas wiadomości, że bojary inszego tedy ubiły po ćmaku — nie Hosudara; insze ciało spalono, zaś Wielki Książ uszedł cało i w Polsce się skrył... (Może to być, bo powiadali, że maskarę trupowi na gębę nałożyli, niby dla pośmiewiska.) Darujcie, waszmościowie, dwa lata przywykłszy zwać go nieboszczykiem, trudno się z prawdą oswoić...

— Niepolityczna to omyłka, wyznam waści.

— Pewnie, że nie — przyznał Haraburda łagodnie.

— Ale Carowej Jejmości coś do łóżnicy niepilno? — zagadnął z przekąsem Budziło.

— Odmieniła się, widno... Jakeśmy jechali do Moskwy, to ciągiem głowę z kolebki wyściubiła, a pytała, czy daleko? Nie ma co gadać: tamtego wdzięczniej czekała...

— Tamtego?

— A waść jak ta budzisuka, ino słowa podchytujesz! — zachnął się pan Haraburda,



zniecierpliwiony. — Niechaj mnie!... Mówię: tamtego, bom go znał, a o tym jeszcze nic nie wiem, zali ten sam...

Grzejący się nie opodał do słońca, niczym jaszczurka, Sebastian Pielsz chwycił leniwie uchem co dziesiąte słowo rozmowy. Senne, bezmyślne odrętwienie przenikało go wraz z ciepłem. Jak wielką jest ulgą nie myśleć! Nie myśleć, bodaj przez chwilę!... Utrzymać jak najdłużej błogosławiony moment beczucia, niewiedzy... W powietrzu, ponad nim, drżał i dzwonił rój muszek maleńkich, przed godziną zapewne wyrojonych z otaczającego grodek oparzeliska, przed zachodem słońca żywot swój zakończyć mających. Nieświadome i beztroskie, płaśały tymczasem w blasku, podnosiły się przejrzystym, opałowym tumanem, opadały i unosiły się znowu, przejęte niewątpliwie arcyważnymi dla nich sprawami.

„Cóż my innego?” — pomyślał mimo woli Sebastian. Poczł pewne cierpkie zadowolenie, że sprawy tyle bólu i męki przyczyniające nie większe są w obliczu nieba od trosk muszki jednodniówki... Od czasu do czasu głośniejsze słowo pana Haraburdy wpadało mu w uszy. Wtedy przypominał sobie obojętnie młodego chrystianina z Hoszczy, na którym pan kasztelan kijowski tak wielkie nadzieje dla zboru budował, i świetnego carewicza w Samborze. Mimo woli do wspomnienia dołączał się podziw dla tej zuchwałej, chłodnej siły, z bezwzględnością do swojego osobistego celu dążącej, upartej, wstającej po raz drugi jak feniks z popiołów... Miliardy muszek, pyłków lotnych w świetle, unosiły się wciąż ponad jego twarzą... Z wolna podziw dla śmiałości Samozwańca zmienił się w politowanie, szczere, bezbrzeżne, głębokie. Cóż ci o to, pyszny człecze? Co z tego zostanie?... Czy warto dobijać się na świecie czegokolwiek?

Podniesiony z nagła głos przerwał jego rozmyślenia. Spojrzał z niechęcią w stronę towarzyszy. Pan Kazimirski junior nadchodził wzburzony, gestykulując, z daleka, biorąc brata, komornika chęcińskiego, i cześnika na świadków krzywdy, jaka go spotkała od pana Kołyszki, towarzysza Sapieżyńskiej usarskiej chorągwi.; Niegodny szlacheckiego klejnotu, Kołyszko sprzedał mu zaocznie konia, parol szlachecki dając, że szkapa nie jest nosata, zołzowata ani naturzysta. Omieszkał natomiast dodać, że haniebnie utyka, ostrego szpata mając w zadniej nodze. Gdy nabywca podniósł alarm, odmówił zwrotu pieniędzy przypominając, że za chromotę nie ręczył, jeno za zołzy, nosaciznę i naturliwość, od tych felerów zaś dzianet był wolny.

— Uszy mu obetnę! — krzyczał Kazimirski młodszy tupiąc z rozdrażnienia. — Na rękę nie wyzwę, za hultaja uważając, ale obszelmuję łotra!

— Czego się waść tyle sierdzisz? — reflektował wzburzonego towarzysza pancerny Wyrwioz. — Jeśli za chromotę nie raczył, to praw...

— Jak to praw?! podły łgarz! Nie pytałem o chromotę, boć wiadomo, że nikt szkapy kulawej nie kupi...

— Nosatej też nie, a przecie o nosaciznę pytałeś...

— Psi adwokat! — syknął urągliwie Kazimirski — o mankamenta pytałem ukryte we wąpiach, których na oko nie poznasz...

— Zołzy we wąpiach siedzą, wedle waści?

Diskusja się zaogniła, bo głosy były podzielone, za i przeciw nieobecnemu a chytremu Kołyszce. Zapalczywsi sięgali już szabel, lecz bliski tętent odwrócił w porę uwagę ogólną gdzie indziej.

— Wojewoda sędomiczki z poczem — rozpoznał jadących Walawski.

— Do Tuszyna jeździł uznawać cara, zali ten sam jest czy nie, i teraz widno powraca...

— Raz już jeździł tamtej niedzieli i wrócił *in dubio*...

— Kpiny to chyba, panowie? Jakże? nie uznał ujrzawszy, zali to zięc albo nie?

— Prawi, że nie widział dostatecznie, bo ćma była tego dnia...  
Zmilkli, bo pan Mniszech z asystą nadjeżdżał. Twarz miał rozpromienioną, wesołą.  
Skinął im głową uprzejmie.  
— Okrutnie czegoś rad ten stary cygan — mruknął kąśliwie Budziło.  
— Jak waść ojca Jejmość Carowej nazywasz? — rzucił się ostro Cikowski.  
— Nic, nic... uspokój się, mości panie... *Tandem*, podług was Kołyszko hultajem nie jest?  
Przerwana na chwilkę dyskusja nad skomplikowanym *casus conscientiae* imci Kołyszki  
— zawrzała.

**W**ojewoda zaś rad był rzeczywiście. Jechał z wolna przez obóz, rozglądając się wokoło, a ujrawszy ipana Sapiehę stojącego przed swoim namiotem, klasnął się rozgłośnie w kolano.  
— Miły mości gospodarzu! — zawołał donośnie, rozmyślnie jakby podniesionym głosem — z radością zwiastując, że prawdziwość Jegomości Cara *stabilter* i dokumentnie stwierdziłem. Nie lekce, jako wiesz, decyzję powziąłem; badałem, na próbę brałem... I oto dziś sumiennie zdeklarować mogę, iż ten jest zięć nasz miły, imperator wszej Rosji, Dymitr Joannowicz!  
Zsiadł z konia i wzięwszy poufale pana Sapiehę pod ramię, zniknął z nim we wnętrzu namiotu.

— Spójrz, miły gospodarzu — rzekł, gdy zasłona osunęła się za nimi, i podał staroście szeroki kartelusz ze zwisającą u dołu pieczęcią.

— „Wiadomo czynimy — czytał półgłosem starosta — iż My, wdzięczni będąc niezmiennej przyjaźni, przez miłego Pana Ojca Naszego, Jaśnie Wielmożnego pana Georga z Wielkich Kończyc Mniszcha, wojewodę sedomirskiego, Nam okazywanej, tąż samą odpłacić radzi, obiecujemy miłemu Panu Ojcu Naszemu, skoro tylko Pan Bóg na stolicy Naszej posadzić Nas będzie raczył, trzykroć sto tysięcy rublów ze skarbu Naszego niemieszkanie wypłacić tudzież w dziedzictwo wieczyste czternaście zamków w ziemi siewierskiej z przynależącymi do nich włościami darować. Czego aby był pewniejszy, pieczęcią Naszą opatrzeć kazaliśmy i ręką własną podpisaliśmy się. Dan w obozie Naszym, pod stołecznym miastem Moskwa, *die 14 Octobris, anno 1608.*”

— Iście, dokument tożsamości niezbity! — rzekł nie bez ironii pan Sapieha oddając cenny kartelusz wojewodzie.

— Czternaście zamków w Siewierszczyźnie! To lepsze od rublów. Kraj tam wprawdzie wyniszczony, ale grunty przednie! Co zaś do cara — ciągnaj czule wojewoda — nie mógł przyjechać k'nam skorzej, chorym będąc od paru niedziel. Przeto obiecałem mu, iż sami pomkniemy się ku Tuszynowi, by stęsknionych małżonków dłuższym rozstaniem nie nękać... Pan Sapieha spojrział nań bystro.

— A Jejmość Carowa już wiedzą? — zapytał nagle.

— O czym? — zdziwił się wojewoda.

— Że to nie mąż, jeno prosty muzyk, pijanica — rąbnął twardo starosta uświatski nie spuszczać z niego oczu.

Pan Mniszech splotnął jak wiśnia.

— Na Boga, ciszej!... ściany słyszą... Nie, nie wie nic. Tailim to dotąd przed nią...

— A jak nie zechce?

— Musi — odparł krótko wojewoda składając nadanie carskie ostrożnie, by pieczęci nie uszkodzić.

„Musi nie musi” — myślał pan Sapieha jadąc w niewiele dni później obok kolaski carowej.

Zaledwie półtorej wiorsty dzieliło ich od Tuszyna. Raz po raz spoglądał na nią badawczo, starając się dociec, czy zna już prawdę, czy nie. Lecz twarz wojewodzianki była nieruchoma i zamknięta, czarne oczy tkwiły uparcie wbite w jeden punkt daleki.

„Nie przyzna go — kontynuował rozmyślania młody wódz. — Nie przyzna. Choćby ją stary uprzedzał, gdy tego chama zobaczy, w gębę plunie i nie przyzna... A, wtedy...”

Uśmiechnął się do swych najtajniejszych myśli. Znał dostatecznie upór wojewodzianki, wiedział, że jeśli nie zechce, nie usłucha ojca. Znał również jej dumę, silniejszą nad wszelkie uczucia. Nie przyzna Dymitra-szalbierza za męża, lecz nie zrzeknie się też łatwo korony i nadziei panowania. Co by Szujscy nie czynili, pozostaje ich carową, prawnie, przez patriarchę, według wschodniego obrządku koronowaną. Nie zrezygnuje z tej prerogatywy. Więc co uczyni?... Wdową jest, swobodną...

Uśmiechnął się po raz drugi zwycięsko, radośnie. Uczyni to, co on, Sajpieba, zechce... Przyjmie go za męża i opiekuna, pojawiwszy, że jedyna to dla niej droga do władania... Będą panowali społem. Razem zasięda na tronie. Zgniecie Szujskich jak robaków, zgarnie całą Moskwę... Wkroczy do Kremlu otwarcie, nie potrzebując udawać nikogo. Nie jest, Bogu dzięki, bękartem, bodaj krwi królewskiej, ni durnym chłopem, narzędziem w ręku polityków. Nie ma racji ukrywać swego nazwiska, podszywać się pod trupa cudzego. Odwagi mu nie zabraknie, by sięgnąć po tron, a starczy na carowanie jenuusza i głowy.

— Tak będzie!

Wyprostował się w strzemionach i strzelił dumnie oczyma wokoło. Bezbrzeżna równina moskiewska rozkładała się w okrąg. Jego się stanie łupem, skoro zechce. Czyż nie musi być ta ziemia zawsze łupem czymś? Niewolna, senna, ciemna, bierna, przeogromna... Nie jej stanowić o sobie. Jak przed wiekami poszli stąd wysłańcy do Waregów, prosząc: Prijditie i kniazitie nami, jak przychodzili przed paroma laty na dwór Wiśniowieckich wzywać pierwszego Dymitra — tak pokłonią się do nóg i jemu...

Urwał marzenia, bo obóz carski był tuż.

**O**laboga! kogo ja widzę — krzyczał radośnie komornik chęciński jadący w ostatnich szeregach jazdy Sapieżyńskiej, ujrzawszy stojących tuż przy wjeździe przyjaciół rokoszowych dawno nie widzianych, panów: Marka Wilamowskiego i Andrzeja Młockiego. Korzystając z tego, że jechał na końcu, zeskoczył z konia, oddając go pachołkowi, i pociągnął za sobą Sebastiana.

— Co słyhać w kraju? Gadajcie! Dawnoście w Tuszynie?

— Dziś z rana przyjechalim — objaśniał ściskając go Wilamowski — z poselstwem tajnym do hosudara Dymitra...

— Tajnym?

— Nie dla waszmościów, którzyście naszymi aocjuszami są... Radziwiłł marszałek nas wysłał, pertraktować z Dymitrem, by objąwszy tron carski do Krakowa się obrócił...

— Stara piosnka...

— Nie szkodzi. A waćpanowie tutaj ze starostą uświatskim przybywszy? Gwarancje zapłaty za wysługi macie? Bo różnie o tym gadają...

— Oho! — roześmiał się Wąsowicz — zabezpieczyło się wojsko. Delegacja do cara jeździła z aktem *formaliter* spisany, którego akceptować i podpisać musiał, że gdyby w dziesięć niedziel po ukończeniu potrzeby zapłata pułków nie doszła, tedy im wolno w ziemie siewierską i

rzajańską wjechać, z nich prowenta na użytki swe, aż do zupełnej zapłaty, obracając.

— Mądrze wykoncypowane, może i my tu ostaniem?

— Ostańcie, raźniej w kompanii. Widzieliście się już waćpanowie z carem?

— Kiedy? Toć mówię, żeśmy dziś ledwo zjechali, kwatery nawet jeszcze nie mając...

— Najdziemy ją razem, a teraz pośpieszajmy skoro, obaczyć, jako się będą z carową witali.

Poszli szybko na przełaj przez obóz, bo wojsko znacznie się już oddaliło. Z przeciwnego końca zawrzały przeraźliwie trąby i cienkie kozackie piszczałki. Car wyjeżdżał na spotkanie swej małżonki. Przyspieszyli kroku i za parę chwil stanęli na jego drodze.

Otoczony swiłą bogatą bojarów i panów towarzyszy polskich, po prawej ręce mając księcia Rożyńskiego, po lewej kniazia Massalskiego, jechał stępą, pod wielką adamaszkową chorągwią. Sebastian wychylił ciekawie głowę ku nadjeżdżającym. Ujrzał grubego, brodatego mężczyznę w sowitym bojarskim stroju i wysokim sobolowym szłyku, z twarzą pospolitą, tępą. Siedział na koniu ciężko, niewprawnie, po chłopsku, garbiąc wypukłe plecy i szeroko rozstawiając nogi.

— To nie on! — krzyknął prawie z przerażeniem.

— Co waś mówisz? — zapytał Wąsowicz nie dosłyszawszy.

— To nie on! To nie car!

— Jakże nie! Car Dymitr. Czego chcesz?

— Nieprawda! To nie on! — powtarzał Sebastian wzburzony. — Z tego chyba podobny do tamtego, że obadwa ludzie!... To nie on! Na duszę przysięgam, nie on! Szalbierz jakiś, oszust, nie Dymitr!

— Cichaj waś! Cichaj natychmiast, bo już tutaj poglądują!

— Niech poglądują! Niech słyszą! Każdemu powiem, że oszusta bronim!

— Cichajże!... Wściekł się chłop, zwariował, czy co?

— Nie zwariowałem! Nieprawda! Znałem tamtego: W Hoszczy nocowaliśmy razem, potem w Samborzem go widział... To nie ten!

--- Szmat czasu! Mógł się odmienić w takowych losu kolejach...

Nie odczuł szyderstwa w głosie Młockiego. Wąsowicz z Wilamowskim odciągali go przemocą na bok, daremnie starając się pomitygować.

— Straszne rzeczy! Straszne rzeczy! — powtarzał. — I waszmościowie — zwrócił się nagle z pasją do obu rokoszan — na króla go chcecie? Tegoż muzyka, oszusta — na króla?

— Ejże — mruknął pan Młocki niecierpliwie — dosyć tego! Ten oszust, a tamten co był?

— Łgarz, jako i ten jest...

— Co się waś rozumiesz na kabałach politycznych!

— Zresztą, co tu gadać — zakonkludował Wąsowicz — ani to brat twój, ani swat... O co się swarzysz? Żona go przyznała, czego chcesz więcej?

— Żona! — wykrzyknął Sebastian w osłupieniu.

— A ot, tylko co się witali, jenoś w zapalczywości nie spostrzegł...

— Nie może być! Nie może to być!

— Obaczysz za godzinę, gdy wyjdą razem patrzeć na smotrę wojsk. Chorągwie już się szykują...

— Obaczym...

— Rudnicki ku nam idzie! Patrzajcie! — przerwał Wąsowicz dyskusję machając ręką nad głową.

— Jak mi Bóg miły, Rudnicki! Bywajże tu, chłopie, bywaj!

— Laboga! To cały rokosz już tu jest! Widzi mi się, że nie Tuszyn to, ale Pokrzywnica...

Witali serdecznie od brzeskich czasów nie widzianego kompana, pytając, co by tu robił.  
— To, co wszyscy — odparł krótko — czyli aktualnie nic... Jakaś alteracja zaszła między wami? — dodał spoglądając ze zdziwieniem na czerwoną jak burak twarz Sebastiana.

— Bynajmniej — zaprzeczył żywo Wąsowicz — jeno nasz Kato sądecki, pierwszy raz cara ujrzawszy, powiada, że mu się nie widzi do tamtego, któren był, podobnym...

Roześmieli się wszyscy czterej wesoło.

— Powiem wam tedy coś lepszego — rzekł Rudnicki — niepodobny on i do tego, któregom w Samborze u wojewodziny z Bołotnikowem oglądał... Widno, że lepszy Janusa: we troje się mieni...

— W Samborze łońskiego roku był nie Dymitr, ale Moczanow — objaśniał Wilamowski.  
— Tego wymagała polityka. Na wszelki *eventus* Dymitra cudownie salwowanego udawał, choć nie wiedziano jeszcze, zali się Dymitr zratował...

— Pocziwa teścia! List do papieża pisała, takoz na wszelki *eventus*... Przednia komedia, panowie!

Śmieli się w głos idąc powoli na plac, na którym odbyć się miał przegląd wojsk. Sebastian włókł się za nimi, zdumiony i osowiały. Wbrew zwyczajowi pchnął się w pierwszy rząd ciekawych.

— Albow ja zdumiał lub oślepl, albo to nie może być — mruzczał stając naprzeciw podwyższenia, dla cara i carowej przygotowanego. Panowie: Wąsowicz, Rudnicki i obaj posłowie uśmiechali się drwiąco za jego plecami.

— A przyglądaj się waść pilnie — szepnął Wilamowski.

— Wpatrzysz się lepiej, różnicy takiej, jak zrazu, nie uwidzisz...

— Wojewoda sędmiński takoz kilka razy jeździł, nim rozpoznał...

Sebastian obejrzał się na nich i nagle zamilkł. Krew mu buchnęła do twarzy. Zrozumiał. Pojął sens wszystkich docinków, półsłówki i żartów. Poznał, iż wszyscy wokoło wiedzieli dobrze, że to zgoła inny człek, i w skrytym porozumieniu przystali na tę zamianę. On jeden prostak ciemny, głupiec, wierzył... Jakże sam sobie wydawał się śmieszny! Jakże był naiwny! Każdy z obecnych z dawna wiedział, że tamten Dymitr, mąż wojewodzianki, człek mądry, światły, rycerski — zginął. — Jego trup, nie czyj inny, leżał w Moskwie przed dwu laty na Łobnojem Miescu... Jego prochy spalone rozrzucone na cztery wiatry... Kto był uwierzył naprawdę w bajkę o powtórnym cudownym ocaleniu? Nikt prócz niego, Sebastiana...

Poczuł wstyd, cierpki, gryzący. Nie za swoją łatwowierność, nic!... Z pamięci wypłynęła, nie wiedzieć czemu, zawiędła głowa, chwiejąca śmiesznym, wyświechtanym kokosznikiem. Ptasię, pełne cierpienia cierpliwego oczy... żalony głos: Wielki grzech oszukiwać prosty naród... Naród sam prawdy wiedzieć nie może. A duszę można zagubić nie wiedząc. Powiedzcie, panie: praw on?...

**R**ozległy się skąpe wiwaty. Carstwo wyszli z namiotu i zasiedli na krytych kobiercami stołkach. Otaczali ich: starosta uświatski, książę Rożyński, rycerz wielkich cnót, pokąd ich szpetny nałóg pijaństwa nie zgasił, chłodnej, zamkniętej twarzy książ Massalski, liczne bojary, rycerstwo i fraucymer carowej. Sebastian mógł się teraz przyrzeć dokładnie rzekomemu Dymitrowi: zgarbiony, zerkał podejrzliwie spode łba małymi, chytrymi oczkami. Każdy rys jego twarzy tchnął bezmyślną, prostacką tępotą. Mimo bogatego stroju wygląd miał niechlujny. Czkał głośno co chwila, jakby po przepiciu. Wielkie, włochate ręce spoczywały ciężko na kolanach. Carowa siedziała przy nim nieruchomo. Bledsza niż kiedykolwiek, drobna jej twarz ginęła w zbyt

obszernej kryzysie pana Sapiehy. Usta miała zaciśnięte, posępne. Pan starosta uświatski spoglądał na nią z wyraźnym zawodem, zdziwieniem, może nawet wzdargą.

Gdy chorągwie strojno, szumnie przeciągały, car szturchnął żonę poufale w bok.

— Nu. Maryszka — rzekł ochryplym głosem — maładcy Paljaki. Progonim Szujskawo — a?

— Tak, jest, Miłościwy Caru — odparła. Usta jej zadrgały konwulsyjnie. Zdawało się, że wybuchnie płaczem. Opanowała się jednak i siedziała nadal nieruchoma, złowroga i nieodgadniona.

Sebastian poczuł w sercu szczerą litość dla jej męki, a zarazem większą niż kiedykolwiek pogardę i wstręt do całej wyprawy i do towarzyszy.

„Ich to są sprawy — pomyślał — niech czynią, jak chcą... Ale co ja robię w tym wszystkim?”

## Rozdział dziewiąty

### Kondotierzy

**R**ozległy obóz tuszyński (zwany wielkim dla odróżnienia od posuniętego bardziej ku Moskwie obozu pana Sapiehy), przysypany śniegiem, wyglądał raczej na miasteczko w dzień targowy niżli na wojenne campo. W długich, zwartych rzędach stały obok siebie domy przeniesione w całości na karkach chłopskich ze wszystkich wsi okolicznych, ziemianki w śnieg zakopane i szopy lepichą kryte a nawozem ogacone, przez pacholców i konie zajęte. Wielkie zagrodzenia pełne były przeznaczonego na rzeź bydła, z mniej wyniszczonych wojną ziem moskiewskich spędzonego. Wzdłuż drogi stały niezliczone a pstre kramy przekupniów, ku kwaterze carskiej zewsząd ściągających. Brodaci kacapi sprzedawali gorzałkę, piwo i dziegieć do skór. Tatarzy w kolorowych myckach, odbijających jaskrawo od śniegu, zachwalali bakalie, korzenie i piękne wschodnie tkaniny. Okutani w kozuchy chłopci klęczeli przed workami pełnymi cebuli, ziarek słonecznika lub dyni, z Siewierszczyzny przywiezionych. Nie brakło też, którzy handlowali naczyniem różnym, bronią, sprzętami domowymi, nawet ikonami. Wysyłane codziennie po karm i spyżę dla koni ekspedycje wracały zawsze obciążone łupem — ubogim, wieśniaczym, lub bogatym, zależnie od tego, czy .na drodze znalazły się tylko ogołocone ze wszystkiego wioski, czy też bojariski grodek lub miasteczko. Panowie żołnierze spieniężali natychmiast zdobycz u kupców, od których wczorajszy właściciel odkupywał nieraz swą własność nazajutrz.

Na wąskich pierzejach, przekopanych w śniegu między domami, panował ustawiczny ruch. Z wolna, uroczyście przesuwali się stojący przy Dymitrze bojarowie w barwistych, długich

tułupach. Przystawały zalęknione, wilkiem patrzące muzyki, dla powózek pospędzane. Fyrtały się, na poły lękliwe, na poły zuchwałe dziewczki obozowe. Wszystko to zagubione w przeważającej ciżbie panów żołnierzy, butnych, gadatliwych, niepomiernie pewnych siebie.

Pośrodku obozu, na szerokim placu, stały, widne z dala, dwa dworce z kominami, o szklanych oknach, starannie ogacone i opatrzone przed zimnem. W jednym mieszkał car Dymitr z carową Maryną i dworem — w drugim książę Rożyński, naczelny wódz Dymitrowych wojsk, po wyjeździe starosty uświatskiego niepodzielnie rządzący obozem. Pan Sapieha dość już dawno posunął się pod Troicki Monaster. Mierziła go bezczynność i rad zaczynał czynić z wrogiem; przy tym, jako dobry wódz, nie życzył sobie bynajmniej trzymać swych chorągwi wśród anarchii, nieładu i łupiestwa, panujących w tuszyńskim obozie. Po jego, a także Lisowskiego odejściu przy osobie cara Dymitra zostały pułki kniaziów: Rożyńskiego i Wiśniowieckiego, parę tysięcy Kozaków przybyłego niedawno atamana Zarudzkiego, kupa wolontariuszów spod różnych znaków zebranych i spora przygarść wrogich Szujskiemu bojarów ze swymi pocztami. Wszyscy oni jednak nieznosnie ciążyli okolicy, dręcząc wynędzniałą ludność ciągłymi rekwizycjami i rabunkiem. Zniszczeni ostatecznie, do rozpacz przywiedzeni chłopci uciekali na Sicz albo w obszary przez Szujskich zajęte. Ci spotykali po drodze zbiegów opuszczających tamte właśnie strony, w nadziei, że pod Dymitrem jest lżej. Jednym i drugim, schwytanym, bojarowie ucinali za karę uszy albo prawe ręce.

Żyjąc we względnym dobrobycie obozowym, zwolennicy cara Dymitra tyli, pili i rozprawiali. Gadanie odchodziło jak za najlepszych czasów brzeskich albo sandomierskich. Pośród wrzaskliwej bandy tych krzykaczy znajdował się i Sebastian. Nie pociągnął pod Moskwę ze starostą uświatskim, zatrzymany w Tuszynie przez Wąsowicza. Gruby komornik bowiem zrzucił z ulgą z ramion surową dyscyplinę Sapieżyńskich chorągwi i nakłonił obojętnego, wykolejonego samotnika, aby pozostał z nim razem. Pan Wąsowicz uczynił zeń sobie w tym czasie nieodłącznego adlatusa, cień niemowny, którego milcząca obecność, mogąca uchodzić za aprobatę, dodawała odwagi i ważności komornikowym wywodom. Choć z dawna antypatyczny Sebastianowi, posiadał nad nim wpływ ogromny i niezrozumiały na pozór, spowodowany gruntownym zeszkapieniem, zapadnięciem się na dachu dawnego ulubieńca Farnowskiego. Wszystko, co go otaczało, stało się Pielszowi tak dalece wstrętne, przykre i nielube, że pan Wąsowicz przestał wydawać się gorszym niż drudzy... Poddając się kurateli grubego szlachcica nie potrzebował przynajmniej myśleć, decydować, wybierać. Pozwalał nieść się bezwolnie losowi, który tłukł nim niby woda kamieniem o dno potoku. Spychał z grzbietu dzień za dniem, każdy podobnie obrzydły i uprzykrzony. Przywykł powoli nic nie robić, nie czuć, nie słyszeć, a przede wszystkim nie zastanawiać się nad niczym ani wspominać niczego. Dopiąwszy tego, przestał prawie cierpieć. Nie było to jednak łagodne, błogosławione zapomnienie, cichy śnieg, pod którym dusza leczy swoje rany i zbiera siły, aby odnową wytrysnąć — lecz ciężki, duszny czad, tuman dręczący, trzymający mózg jakoby w ciągłej obręczy przepicia, w rozmyślnym ogłupieniu, będącym ucieczką przed własnym sumieniem. W podświadomych, najgłębszych zakamarkach myśli nie przestawał drzeć przed chwilą, w której musiałby spojrzeć w głąb samego siebie, rzucić okiem wewnątrz własnej, niegdyś tak hartowanej, nie uznającej kompromisów duszy. Ukochana dawniej samotność zdawała się teraz wrogiem, czyhającym jeno na chwilę sposobną, by rzucić w twarz palące pytanie: Ktoś jest? Co między tymi ludźmi robisz? Coś z duszą twoją uczynił?...

Czując, że nie zdoła znieść podobnego zapytania, ogłuszał się rozmyślnie paplaniną Wąsowicza i przyjaciół jego, nurzał się w płaskiej ich pospolitości, towarzyszył milcząco na wszystkie narady i codzienne niemal, burzliwe zebrania żołnierskiego Koła, przysłuchując się tym samym wieczyście sporom. Postarzał, wychudł, znędzniał na duszy i ciele i, o ile to było

możliwe, jeszcze bardziej sposepniał. Gorzkie, niedbałe fałdy koło ust zastygły w odlew tak nieruchomy i zwarty, że trudno było przypuścić, by mógł kiedyś uśmiech pogodny, może\* dłoń czyjaś wygładzić je i rozsunać.

Co prawda, gdyby nie opieka pana Wąsowicza, z którym razem kwaterował, skapiałby ze szczętem, a nieraz głodem przymarł. Wbrew bowiem sutym obietnicom, przywożonym pod Brześć przez Zerstinowskiego, kwarty, a bodaj jej części, nikt jeszcze nie dostał. Kto nie umiał sobie radzić sposobem doraźnej rekwizycji, nie byłby się ostał żadną miarą. Lecz pan Wąsowicz nie od parady miał głowę na karku, toteż nie zbywało mu na niczym, przy nim zaś i ponuremu towarzyszowi.

Nie przeszkadzało to bynajmniej, że w chórze ogólnym narzekań głos komornika checińskiego był najdonioślejszy. Niestłowność cara, wyrwanie odeń przyrzeczonych zobowiązań stanowiły niewyczerpany, m coraz bardziej palący temat ciągłych obrad Koła i pan - Wąsowicz nieomieszkał za każdym razem roztaczać szeroko swych żalów. I dziś szedł żwawo z nieodstępnym Sebastianem na plac wolny za taborami, gdzie się towarzystwo zbierało. Słoneczny dzień kładł błękitne, głębokie cienie na drodze, zapalał tysiączne iskry w kryształowych ostrzach sopli, zwieszających się ze strzech. Śnieg skrzypiał pod nogami. Idąc pozdrawiali towarzyszy dążących w tę samą stronę. Zazwyczaj przebieg obrad kończył się ułożeniem i przesłaniem carowi ultimatum pisemnego, wedle którego wojska miały nazajutrz powracać do domu, o ile zaległa kwarta natychmiast wypłacona nie będzie — dzisiejsze jednak zebranie zanosilo się burzliwiej, bo cierpliwość towarzystwa wyczerpała się doszczętnie. Toteż na placu czarno było i gęsto od głów.

Wśród ogólnego hałasu i krzyków pan Miodki oskarżał nieobecnego na zebraniu wojewodę sędomirskiego, że carską szkatułę ze szkodą dla wojska, swój jeno profit na oku mając, chytrze podbiera. Pan Budziło poparł to oskarżenie, dodając, że car onegdaj ofiarował ubiór teletowy i rząd srebrny księciu Jadamowi Wiśniowieckiemu. — Temu pijanicy! — trząsł ręką, zgorszony. Oburzone towarzystwo domagało się krzykliwie wypędzenia wojewody i księcia z obozu. Reprezentujący na zebraniu cara bojarowie: Hrehory Szachowski, Michaił Sałtykow i Fiedor Andronów, obsaczeni zewsząd przez żądających pieniędzy — rozkładali bezradnie dłonie i łypiąc chytrze powiekami, zapewniali po raz setny, że Jego Wielicestwo Hosudar pożałuje hojnie panów rotmistrzów, skoro jeno na stolcu imperntorskim szczęśliwie zasiądzie. Nie dano im jednak dokończyć długiej a dobrze znanej litanii obietnic. Całe towarzystwo jednym głosem żądało przybycia samego cara, grożąc, że w razie odmowy ruszą na jego kwatere. Widząc wzrastający tumult Szachowski wysunął się chyłkiem przezornie. Za nim podążył Sałtykow. Wzburzone rycerstwo przychwyciło za aksamitny brzoskwiniowy tułup pragnącego pójść w ich ślady Andronowa, zapowiadając niesłychane gwałty, jeżeli cara zaraz nie sprowadzi. Dla pewności wysłano z Andronowem kilku co najlepiej wyszczekanych towarzyszy jako delegatów. Poselstwo odniosło skutek. Po dobrej godzinie czekania nadjechał car Dymitr z monarszą okazałością, mającą na celu olśnić i ściszyć rycerstwo. Spod jasnoblękitnej sobolowej szuby przeblyskiwał złoty żupan. Wysoki szłyk marmurkowy oszyty był wkoło perłami. Dwóch bojarów trzymało ponad nim adamszkową chorągiew. Wbrew jednak wspaniałości ubioru prostacka jego twarz zdradzała żywy niepokój. Stał pośrodku Koła, tuląc głowę w ramiona, jakby w oczekiwaniu razów.

- Zdrastwujtie, gaspada — zaczął. Ale zgłuszono go krzykiem:
- Gdzie diengi?!
- Potrójna kwarta!
- Płać, taki synu, albo wracamy do Polski!
- Do Szujskiego lepiej! Do Szujskiego!



— Pierwsi ci bitwę wydamy, hultaju!  
— Po coś obiecywał, gałganie!  
— Gaspada rotmistrze — zaczął car znowu, równie bezskutecznie, bo krzyki trwały wokoło.  
— Nie gadania nam trza, ale rublów!  
— Na podarki dla faworytów jest, a dla wojska nie ma!  
— Hańba! krew za ciebie przelewamy, ni grosza za to nie widząc!  
— W Siewierszczyznę, panowie, ruszajmy! tam szukać wedle umowy!...  
Skulony i stropiony car rozjaśnił nagle oblicze.

— Gaspada Paljaki! — zakrzyknął — nie szumicie! budut diengi!

Uciszyli się natychmiast. Obstąpiono go ciasno, głu-Phając, co powie.

Tłumaczył długo i przedkładał, że ni pieniędzy, ni klejnotów na razie nie posiada. Czekają one na niego w skarbcu moskiewskim wraz z tronem. Co do podarunków rzekomo rozdawanych faworytom, fałsz to podły i obmowa. Panowie rycerze mogą sami przyjść i sprawdzić. Jeżeli jednak on, Hosudar, ubogi jest jak sierota, ma za to oddane sobie bogate i zasobne grody, co niewątpliwie pieniędzy obrońcom prawego cara nie odmówią. Niechże zatem panowie rotmistrze wybiorą spośród siebie delegatów, którzy z wiernikami bojarami i skryptem carskim pojedą do grodów siewierskich zbierać z nich daninę. Delegaty mogą ruszać choćby jutro — zakończył.

— Wiwat car! — krzyknęło drwiąco parę głosów.

— A nie okpisz, he? — spytał groźnie sam książę Rożyński, ujmując cugle carskiego podjezdka.

— Jej Bohu, nie! — przysięgał bijąc się w piersi.

Pozwolono mu odjechać spokojnie. Cała uwaga Koła zwróciła się teraz na wybór odpowiednich delegatów. Nie było to sprawą łatwą, bo w tym zacnym gronie nikt zbyt nie ufał nikomu. Nareszcie zdecydowano się wysłać panów Wilamowskiego, Kazimirskiego seniora, Budziłę i Rudnickiego.

— A pilnujcie się, bo Moskwiciny chytre jako gady!... Ni na chwilę nie dajcie wiernikom mówić z nikim bez was — upomniał ich książę Rożyński.

— Już my sobie poradzimy; znamy tę hołotę — uspokajał Kazimirski.

Roztrząsali plan podróży, gdy z obozu, na oszczędzonym od mrozu koniu, nadjechał pan Pobiedziński, olbrzym, o wążach jak wiechcie, srodze oszronionych. Zdziwiono się jego przybyciem, bo pozostawał pod Pskowem.

— Czołem, waszmościowie! Czołem!

— Czołem! — krzyknęto skwapliwie. — Co słyhać?

— Mróz w polu, że ślina marznie...

— Wiadomo, ale co z Pskowem?

— Wszystko dobrze — zapewnił zabijając z grzmotem ręce na potężnej piersi. — Takem się za wami stęsknił, waszmościowie, żem prosto tutaj zajechał, dobrą nowinę powiedzieć, choć uszy całkiem mi skrzepły...

— Rozgrzejem cię, nie bój się, jeno praw nowinę...

— Taka oto: Psków się zdał i pięćdziesiąt tysięcy rublów dla Hosudara przysłali... Taki to zasobny gród!... Pięćdziesiąt tysięcy!...

— Na Boga! Co gadasz! Dawajże je żywo!...

— Z nieba spadły te pieniądze!

— My tu już ze wszystkim zeszi, w szczęśną się porę nadarzył...

— Dawajże je, dawaj skoro!

— Toćże przy sobie ich nie mam — tłumaczył się wesoło szlachcic. — Zdałem je zaraz porządnie do carskiej kwatery...

— Oj, to gorzej! — mruknął niechętnie Wąsowicz.

— Tfu! Do kaduka! Zły pomysł waszmościn!

— Jakżeś mógł, towarzyszu, tak poszkapić sprawę?

— Trza było pieniądze u mnie, jako u naczelnika, złożyć — rzekł gniewnie Rożyński.

— Nijak nie mogłem — submitował się Pobiedziński. — Wojewoda sędmirski z samym carem jegomością zastąpili mi drogę co ino przed dworcem. Wojewoda powiada: Masz waść od Pskowian pieniądze, dajże je rychło, bo chcemy towarzystwo wypłacić, które się burzy i samemu Hosudarowi szpetnie łaje... — Cóżem miał rzec? Toć carskie pieniądze... A ot, są na wozie w trzech mieszkach, powiadam — i wzięli...

— Wojewoda sędmirski... Wojewoda sędmirski — powtarzał niechętnie książe. — Trza się mieć na baczości, mospanowie.

— A delegatów taki w Siewierszczyznę pchnąć, boć te pięćdziesiąt tysięcy — psu mucha...

Rozchodzili się do kwater, podejrzliwie pomstując na wojewodę i tupiąc z mrozu nogami. Czterej delegaci poszli ku dworcowi dopilnować Sałykowa, który odpowiedni reskrypt carski koncytował. W piśmie tym, do miłych a wiernie przy prawym Hosudarze stojących grodów skierowanym, car nakazywał dać, wiela tylko mogą, rubli, futer i klejnotów, koniecznych dla prowadzenia dalszej wojny ze zmiennikiem Szujskim. Car zobowiązywał się uroczyście zwrócić te pieniądze wiernym swoim grodom, gdy tylko stolicę posiedzie.

Zatem nazajutrz rano delegaci, bojarowie wiernicy carscy: Szachowski i Andronow, oraz przydatne dla asysty i bezpieczeństwa dwie sotnie Kozaków Zarudzkiego ruszyli w objazd oddanych Dymitrowi ziem. W obozie zapanowało względnie spokojne oczekiwanie. W ciągu najbliższych paru dni mróz odrobinę sfolgował, za to jął sypać gęsty, puszysty śnieg. Wiatr zachodni porywał go, nim spoczał na ziemi, kręcił w powietrzu, tworząc białe wiry, leje i fontanny. W tej mlecznej ślepi o dwa kroki nie byłbyś poznał człowieka. Kupcy pochowali kramy. Ulice opustoszały. Żołnierze siedzieli w ciepłych izbach, nie kwapiąc się wyjść w zawieruchę. Korzystając z tego wynędziali chłopci okoliczni podchodzili pod sam obóz, kradnąc resztki opału, słomy, grzebiąc za jadłem w stosach wyrzuconych nieczystości i odpadków. Migali wśród śnieżnej kurzawy, znikali niepostrzeżenie i pojawiali się znowu niby bezszelestne widma. Za nimi zasię od borów, równie cicho, chociaż śmieiej, sunęły pojedynczo lub gromadą — wilki. Niby we wspólnej namowie stawały wietrząc, równie chciwie jak ludzie, w stronę szop pełnych koni i bydła. Czasem w nieprzeniknionej gęstwie białej nocy nagłe zdradliwe spotkanie... Truchlejące, trwożne oczy, na wprost błyszczących pożądliwie ślepiów. Daremna próba ucieczki. Krótki krzyk; Hospod!... zdławiony w jęku ostatnim.

Tuż, za ścianą, w pełnej dymu i zapachu pieczonego mięsa izbie, pan Wąsowicz krzywi się z niechęcią:

— Słyszeliście? Wilki pewnikiem kogoś zarzęły, zarazy!

— Wilki najlepsze stróże — uśmiecha się pan Chróślicki w taką noc złodzieje wszystko by rozniosły, żeby nie one...

— Bo pewnie!... Na zdrowie, sąsiedzie...

— Niech służy!

Siedząc w kącie Sebastian słucha pogwarki nie słysząc — jak to on umie. Na dworze z wyciem przelatuje chajawica, sroga pani lutej pory; niesie z sobą dziwaczne skomlenia, ni to żalosne jęki, ni pohukiwania, potrząsa białym tumanem. Wałą się z nieba bez końca puchate, miękkie pierzyny — zasypią, zatrą, skryją i przesłonią wszystko. Sebastianowi zda się, że obojętna ich białość kładzie się równie i na jego duszę, osnuwa czucie w zapomnienie, bezwład, nicość. Zasypia dusza, przestaje wyc z tęsknoty serce. Hej, niech pada śnieg, niech pada, niechaj

nawali pod niebo!... Niechaj zatonię w nim wszystko, zaginie, skrzepnie, nie wstanie...

**R**any Boskie! Trwoga w obozie czy co! W taką noc! — zrywa się pan Wąsowicz z miejsca, przerażony. Pan Chróślicki łapie szablę. Otwierają na oścież drzwi.

Buchają kłębem zabłąkane śnieżki, wraz z nimi niesie się z głębi obozu głos dzwonu alarmowego. W mlecznym mroku biegają ludzie z zapalonymi wiechami, smolne pochodnie przebłyskują przez kurzawę krwawo, niby wilcze ślepie. Gwałt, wrzaski nieludzkie niosą się z wichrem przez obóz.

— Chyba Szujski następuje? Śpieszmy, waszmościowie! Śpieszmy!

Wybiegają co żywo, przypasawszy szable. Kupy zbrojnych biegną ku środkowi. Wszyscy krzyczą, lecz nikt jeszcze nie wie, o co chodzi.

— Nie bitwa, bo palby nie słyszą...

— Żywiej, mospanowie! żywiej!

— Co się stało? — pyta gorączkowo komornik przelatującego mimo towarzysza.

— Zdrada! Car zdradził! Delegaci powrócili!...

Przebiegł dalej, zwołując innych. Jakoż na zapchanym szczelnie, głowa przy głowie, majdanie, oświetlonym setką pochodni, mrugających niesamowicie wśród zawiei — panowie: Wilamowski, Rudnicki. Kazimirski senior i Budziło krzyczą stojąc w saniach, z których jeszcze nie zdążyli wysiąść. Wokoło stoi starszyzna — sam książę Rożyński, pijany zresztą jak zwykle.

— Zdrada, panowie! — ryczy Wilamowski. — Rozsiekać wora! Na śmierć nas chciał wydać!

— Rozsiekać! — potwierdza tłum.

— Do dworca! Na gardle mu usiąść! Judaszowi podłemu! Szelmie!

— Do dworca! — przywtarza tłum.

— Na Boga, powiadajcież wprzód, waszmościowie, co zaszło, *ab ovo*...

— *Ab ovo* zaraz opowiem — sapie Budziło. — Uciszcie się, mospanowie!... Zdam dokumentną relację... Słuchajcie, co obmyślił ten arcypiekielnik!

— Słuchamy! Słuchamy! Rozsiekać!

— Czekajcie! Zaraz opowiem!... Wyjechali my rano we wtorek... Uf! Z indygnacji w grdyce mnie zapiera... We czwartek kole południa mija nas jakiś chłopina... Szkapę miał z rybim okiem, którą poznał, bom ją przy carskiej kwaterze uwiązaną widział, gdy Sałytkow ów reskrypt dla nas spisywał... Co za muzyk! — pytam tedy Andronowa. Ja znaju? — prawi ten cap muzyk jakisik tutejszy. — Ejże, on w obozie był!... — Nie wozmożno! To tutejszy człowiek, nigdy go w obozie nie było... — Lepszą mam pamięć niż ty. skopie, myślę, bo byłem szkapę, choćby chłopską, raz obaczył, zapamiętam... Ty kuda — krzyczę za chłopem. W Kostinu — powiada. No, nam droga w inną stronę, przez Biełoje; ruszajże sobie... Zajechali my na noc do Biełoje. Rano wyszedłem przed izbę zobaczyć, jaka pogoda, a tu masz! Co do kroćset? Szkapę z rybim okiem mignęła między płotami! To, mówię waszmościom, jakby mnie coś zgnęło. Pchnąłem pachotka za chłopem: Ty tu skąd? Gadałeś, że jedziesz w Kostinu?... Muzyk trzęsie się ze strachu i nie gada nic. Dałem mu w głowę parę razy i obszukać kazałem. Listy! Z carską pieczęcią!... Zdrada to jkowaś, myślę. Poniechawszy muzyka, co tchu do kwatery bieję. Podeliberowawszy z panami towarzyszami, otworzyli my one listy, choć to gardłowa rzecz. I ot! Aż nam dech odjęło, panowie! Oto one listy... Dalibóg, jak wspomnę, cholera mnie chwyta, że gadać zgoła nie mogę... Te listy! Dyskrecjonalne, tajne, do wszystkich grodów, do których zajeżdżać my mieli... Tenor, krótko ,rzekłszy, taki:

delegatom (niby nam) pieniędzy nijakich nie dawać, a uda się gdzie delegatów (niby nas, panowie! nas!) przyłapać i zadawić albo pod lód puścić, to i charaszo...

Umilkł, a wrzawa straszliwa wybuchła na nowo. Najspokojniejszym oczy płonęły wobec tego jawnej perfidii. Powietrze drżało od okrzyków krzyżujących się pośród zawiei.

— Rozsiekać zdrajcę! Górze! Na szablach go roznieść!!

— Wór przeklęty! Oszust! Rakarz!

— Oto komu służym! Hańba! Hańba! Gorze!

— Na dworzec! Hajda! Na dworzec!

Poniesli się lawą ku carskiej kwaterze, ze zdziwieniem zastając ją obsadzoną silnie Kozakami Zarudzkiego.

— Puszczaj waść! — krzyknął do niego Rożyński.

— Ani kroku dalej, Wasza Miłość! — syknął zuchwale ataman. Podniósł do góry głowę, mierząc wyzywająco chwiejącego się na nogach wodza. W prawej ręce trzymał gotowy do strzału pistolet, w lewej szablę, a oczy wyraźnie mówiły, że nie ustąpi bez walki.

— Puszczaj waść! — powtórzył książę. — Na bok! Na bok! Słyszysz?

— Nie ustąpię, Wasza Miłość!

— Ej że, mości Zarudzki! — wołano z szeregów — z worem trzymasz? zdrajcą? Judaszem, gałganem?! Ruszaj precz, bo uderzymy! Na bok!

— Nie dopuszczę żyw nikogo do carskiej kwatery...

— Jaki mi zelant! Nie wiesz chyba, co on zrobił!

— Nie gadać! Pewnie są w zмовie! Bigosować!

— Bigosować! Do szabel! Do szabel!

Zanościło się na walną bitwę, lecz w tejże samej wili w przeciwnej stronie obozu wybuchnął wrzask nieludzki.

— Pan wojewoda sędomirski ucieka z obozu! Pan wojewoda sędomirski!!

— A niech go diabli biorą! — zakrzyknął Rożyński — co nam do tego? Niechaj idzie z Panem Bogiem!

— I ze pskowskimi rublami?!

— O dlaboga! słuszne słowa! Zadzierzyc go trza! Zadzierzyc!

— Uciekałby to cichcem, nocą?

— Rety! trzymać! ludzie! rety!

Plac przed dworcem opustoszał w moment. Kilkotysięczny tłum poniósł się na przełaj w stronę, skąd dochodził krzyk. Ataman Zarudzki odetchnął. Schował szablę do pochwy i jął przechadzać się z wolna przed dworcem, nasłuchując bacznie dolatującej z oddali wrzawy. Chwilami podnosił głowę ku dwóm oświetlonym oknom. Poprzez kryjący szyby mróz światło sączyło się nikłe, rozwiane, kładło nieśmiało połyki na młodej twarzy atamana.

Urodziwy był wielce. Do doskonałej piękności brakowało mu jeno tego czegoś nieuchwytnego, owej swobodnej, uprzejmej pewności, jaką nadać może tylko szereg pokoleń, nie potrzebujących kłaniać się przed nikim. Jakoż, choć uważano go powszechnie za dobrego szlachcica, był w istocie chłopskim synem za wsi Zarudy, w Tarnopolskiem położonej. Przed sześciu laty zabrali go w jasyr Tatarzy. W niewoli dzielnością i sprytem pozyskał serce starego, wraz z nim ogarniętego szlachcica, który go kształcił, czytać i pisać nauczył, za syna uważał i klejnot własny darował. Po śmierci starego chłopak zdołał zbiec na Sicz, do Kozaków, gdzie wprędce atamanem zasłynął. Ale nikt o tych kolejach młodego rycerza nie wiedział ni parenteli dochodził. Opiekunowy sygnet zdawał się dostateczną gwarancją urodzenia, a męstwo legitymacją. Piękna przyszłość, utkana zasługą i sławą, leżała przed atamanem. Pomimo to nie znać w nim było radości, bujnej, kozackiej, beztroskiej.

Stojący w pogotowiu przed dworcem mołojcy spoglądali z milczącym zdziwieniem, nie pozbawionym krytyki, na udręczoną twarz swego dowódcy. Dlaczego obstawał za „worem” miał pozwolić wyłupić go rzetelnie, jak tego chciało najśluszniej rycerstwo, jeszcze w tym tego dopomóc? Jakiej się nagrody spodziewał? Miękki, chybotliwy blask, siejący się przez okryte mrozem szyby, zgasł. Mleczny mrok wzmagającej się nieustannie zawiei otulił dworzec, żołnierzy i atamana...

Równocześnie w odległym o wiorstę prawie, przeciwnym krańcu obozu rozjuszone towarzystwo otaczało kryte sanie zatrzymanego wojewody Mniszcha. Bardziej niż zwykle czerwony z gniewu i alteracji wojewoda podnosił surowo głos, wzywając, panów braci do opamiętania. Z gestem rzymskiego senatora godnym rzucał gromko w zawieruchę ubolewanie, że wolność szlachecka od swoich nawet zaczyna być oprymowana. Nieszczęsny więzień, małoż dotąd wycierpiał! Jeszcze i swoi nań się zasadzają!... — Wiera — konstatował — na kształt otaczającej barbarii, manierem jej się przejąwszy, wasz-ifnościowie poczynają...

— Bez frazów! — krzyczano wokół. — Gdzie pieniądze z Pskowa?

— Pieniądze z Pskowa? — powtórzył wojewoda w najwyższym zdumieniu.

— Pobiedziński przywiózł. Gdzie są?

— Bodajem skonał, jeśli są u mnie! Bodaj mnie żywcem zatchnęło!

— Nie wierzym, stary Cyganie! Oddawaj!

— Oddawaj! — ryczano groźnie zewsząd.

— Pieniądze! — roześmiał się gorzko wojewoda potrząsając siwą głową. — Pieniądze?

Własną chudobę oddałem, by dziecko ratować, groszam moskiewskiego nigdy nie widział! Ze swojego ustawicznie dokładam, a ot, jaka mnie nagroda od waściów spotyka...

Łzy stanęły mu w oczach. Niektórzy z otaczających, zmiekczeni, gotowi byli go puścić, lecz książę Rożyński trwał uparcie przy swoim.

— Nie byłby nocą wyjeżdżał korzystając z tumultu — dowodził. — Panowie! Skoczcie no, samokilku, do tamtego łotra (jutro porządek z nim zrobim) z zapytaniem, gdzie pieniądze. Niech je ukaże, dopiero puścim wojewodę...

— Niech ukaże! Dobrze mówi!

Ze dwunastu towarzyszy popędziło ku dworcowi. Tymczasem pan Mniszech przedkładał otaczającym, by go nie zadzierżywali dłużej, przy tak nieznośnej pogodzie, po przyjacielsku doradzając towarzystwu wracać do kwater miał stać na wietrze i mrozie. Nie słuchano go jednak, czekając, aż z mroku śnieżycy wysunęli się cwałem powracający wysłańcy.

— U niego pieniądze! U niego! — wołali z daleka.

— U wojewody pieniądze!

— Nieprawda! — jęczał pan Mniszech opadłszy bezsilnie na poduszki. — Nieprawda! Oszczerstwo! Bracia! Nie wiercie ni słowa! To oszust! Łgarz! Szalbierz! Wor!!

— Ty sam wor! Oddawaj! — wrzeszczano wokoło. Tłum napierał coraz groźniej.

Zewsząd wyciągały się ku wojewodzie zaciśnięte pięści, leciały groźby, trzaskały szable. W nagłej decyzji pan Mniszech sięgnął pod siedzenia i wydostawszy stamtąd ciężki miech skórzany cisnął go daleko w śnieg.

— Macie! Bierzcie, udławcie się! — wycharczał z pasją. — W konie! — wrzasnął do woźnicy.

Nikt go już nie zatrzymywał, bo wszyscy rzucili się, gdzie upadł miech. Stojący przed kolasą konni hajdacy ze smolnymi kagańcami ruszyli przodem w skok. Za nimi ze zgrzytem płóz runęła kolaska, zniknęła w śnieżnej zawiei. Za nią cztery pary sań z łubami i kilkudziesięciu konnych.

Nie patrząc już na odjeżdżających, tłum skupił się przy rzuconym mieszku. Cisnęli się

depcząc sobie nawzajem po piętach i zaglądając podejrzliwie jedni drugim przez ramiona. W worku dzwoniły ruble. Rozsupłano sznurki, wysypano srebro, przeliczono przy pochodniach. Było osiem tysięcy.

— A czterdzieści dwa tysiące zabrał — stwierdził ponuro Rożyński. — Pokpiliśmy na głowę. Rzucił przygarść, niby prosię wilkom, na odczepne...

— O reta! Pokpiliśmy!

— Gdzie te syny, co stały przed końmi? Trza było trzymać, ażbyśmy zliczyli!...

— Czemuś waśc nie trzymał sam?

— Gonić, mospanowie! Gonić!

— W tę zawieję? Przednia rada! Nim konie skulbaczym, odsądzi się już o milę...

— Dobrze zmiata, nie bójcie się...

— Nie trza było puszczać, nie byłoby potrza gonić... Śladu nie dojrzysz, bo sypie... Nie wie, czy do Sapiehy, czy na Smoleńsk skręcił...

— Przepadło, wymknął się stary lis...

— Na dudków nas wszystkich wystrychnął!...

— Biada, waszmościowie! Biada!

— Nawet po rublu na głowę nie chwaci!

Rozchodzili się klnąc cara, wojewodę i własną nieostrożność. Pan Budziło szedł sapiąc pobok Wąsowicza.

— Bieda, bieda — powtarzał — a najgorszej pono nowiny jeszczem nie zdążył powiedzieć...

— Dlaboga! Jeszcze coś złego? Chyba dość na jedną noc?

— Otóż właśnie nie dość, jenom rzecz zabaczył: Król z hetmanami i wielką siłą już stoi pod Smoleńskiem, rozejm z Szujskimi zerwawszy...

— Ha! — rzekł Wąsowicz zaskoczony. — I co będzie?

— W tym sęk, co będzie? Król zarówno przeciw Szujskim jak Dymitrowi się deklarował. Albo nam tedy do króla trza przejść wszelkiej sperandy się wyrzekając, albo ze swoimi z wątpliwym skutkiem się bić...

— Reta! Reta! — alterował się komornik. — Niespodziewana kabała! Do Sodomczyka przejść, powiadasz waśc? Wolałbym do kanibalów! Nowy to dowód jawnej jego przewrotności, na nas, niewinnych, zażarty, jeszcze na obczyźnie godzi!

— Krzywda! Krzywda sroga! — przywtarzał markotnie Budziło.

— Wyżenać nas chcą! Na nasze krwawe wysługi nastąpić! Litości nikt nie ma nad nami, niebożętami!

Szli biadając i brnąc w śniegu, który padał nieustannie, spokojniej, bo wiatr nieco przycichł.

„Niech pada, niech pada! — myślał wlokący się z tyłu za nimi Sebastian. — Niech zasypie cały świat i obóz, i mnie z nim razem... By nawet znaku nie było pod białym, grubym kożuchem... Znaku ni śladu żadnego...”

## Rozdział dziesiąty

## Car i kanclerz

Nie pij, Onufry, więcej; już dawolno — wyciągnął rękę Miechowiecki odstawiając kufel.

Car Dymitr skrzywił się z żalem.

— Daj, ja car; wódki sobie będę żałował?...

— Będziesz pił, jak pójdę, teraz nie! Rozpiłeś się na szczyt, odkąd mnie nie ma, brodiago...

— Ciężko, miły druhu, ciężka carska dola...

— Ejże! — parsknął śmiechem Miechowiecki. — Kałdun ci się spał jak u wieprza, a gadasz, że ciężko...

— Ciężko, ciężko — mruzczał uparcie car ocierając wierzchem dłoni zaczerwienione pijackie oczy.

Siedział rozwalony na ławie; spod jedwabnego żupana wyzierała brudna rubacha. Patrzył tępo na Miechowieckiego z wyrazem nieokreślonego lęku, podziwu, wdzięczności i zabobonnej trwogi. Patrzył niby na szatana, czarta-pokusznika, co za cenę duszy zmienił jego, prostego muzyka, w cara. Jakoż wychylająca się z cienia, pozbawiona zarostu twarz byłego sekretarza i kanclerza miała coś szatańskiego w swej złośliwości. Z szyderczym uśmiechem przyglądał się „carowi” niby ulepionej przez siebie dla zabawy kukle.

Co prawda, mógł tak spoglądać. On wszakże był autorem błazeństwa drugiej Dymitriady, on dostarczył głównego aktora i sztukę genialnie wyreżyserował. Kupom zbrojnym, żądnym grabieży i pomsty za rzeź majową, bojarom niezadowolonym z Szujskiego, ciemnym moskiewskim tłumom błagającym Boga o jakąkolwiek odmianę — podał usłudze dalszy ciąg dramatu, zamienionego w komedię. On wynalazł w Starodubiu rzekomego Dymitra, nie różniącego się od tysiąca innych muzyków niczym innym, jak pewną, większą nieco dozą sprytu i ambicji; pchnął go na arenę, kierował jego krokami szepcząc do ucha słowa, które należało mówić, pisząc zań listy i odezwy. Źródłem nieustającej wesołości była dlań myśl, że do trudnej roli wybrał tego właśnie ciemnego prostaka, chodzącą antytezę zmarłego, a jednak tłumy nań przystały... Zamknęły oczy i poszły ujrzawszy przy jego boku możliwość osiągnięcia własnych korzyści i celów.

„I świnię na tronie posadzić, a miech z talarami jej dać, też by poszli” — myślał, znajdując w tym przekonaniu cyniczną przyjemność.

Nienawidził Moskwy i pogardzał nią. Nienawidził równie prawie swoich współrodaków. Bawiąc się przednio, a bynajmniej nie bezinteresownie, widokiem ludzi, podrygujących niby jasełkowe lalki wokół postawionego przezeń Pomazańca, nie byłby odstąpił pupila na krok, kierując nadal, wcale pomyślnie, imprezą. Na nieszczęście dla niego i cara, zbytnią arogancją i zadufaniem naraził się Rożyńskiemu. Popędliwy wódz wygnał go, pół roku temu, sromotnie z obozu, klnąc się na zbawienie duszy, że własną ręką ubije kanclerza carskiego jak psa, jeśli odważy się powrócić kiedykolwiek. Miechowiecki, znając kniazia, nie wątpił, że obietnicy dotrzyma, i z żalem placu ustąpił. Od owej chwili dziś po raz pierwszy cichaczem przyjechał. Gwałtownie potrzebował pieniędzy, car zaś na listy, których zresztą sam czytać nie umiał, był

głuchy. Poza tym zbierała kpiarza ochota spojrzeć na Marynę; ujrzeć ją przy boku „cara” i zapytać uniżenie, czy trafnie wybrał jej męża. Asystując wojewodziance od wieczoru zaręczynowego poprzez uroczystości koronacyjne aż do ostatniej chwili zamachu i klęski — znał dobrze jej dumę i pogardliwą wyniosłość. Nieraz ich na sobie doświadczył. Rad by więc teraz zobaczył tę pyszną carycę przy boku obcego małżonka...

— Gdzież Jejmość Carowa? — zapytał.

— Ja znaju? — odmruknął chłop.

— Któż będzie znał? Żonaż twoja...

— Czort ją zabieri! — splunął car.

Miechowiecki roześmiał się głośno:

— Cóż ty? Niestawna żeńszczyzna?

— Wódka sławna, wódka mat', a etu Paljaczku — k'ciortu!

— Znasz się, chamie, na marcypanie... Nie wie nikt aby, żem tu jest? — zaniepokoił się nagle.

— Ja nie gawarił nikomu..,

— Bando na mnie ogłosili. By się Rożyński dowiedział, gotów ubić... Ale ty car; obroniłby mnie?

— Nu — bez wielkiego przekonania potwierdził chłop.

— Na carskiej kwaterze jestem... Tu przecież nie ośmielą się zająć?

— Kiedyś tu chcieli, ale Zarudzki nie puścił...

— O cóż ciebie nachodzili?

— O diengi! Płochę carstwowanie bez dieneg... Daj mnie diengi, budu ja wielikij, sławnyj Hosudar... Wot!...

— Nie masz dieneg? — powtórzył przeciągle, z przykrym zawodem w głosie, Miechowiecki...

— Nie mam, drug... Wsio zabrali... Niczewo nie ostawili.. Bez dieneg niet carstwowania... Rugają, sromosłowią... A Paljaki chuże wsiech!...

— Nijakiego respektu dla majestatu! — parsknął znów z cicha Miechowiecki.

— Nu...

— Rekwizycje mozesz robić, z grodów pieniądze dostać - pouczał go.

— Uże wziął...

— Ale car jesteś przecie?

— Nu... da...

— I bojary dumne pokłony ci biją?

— Nu...

— Hosudar jesteś, imperator, klejmo carskie masz...

— Nu... da...

— Bacz, Onufry: kto to zrobił?

— Ty! Bodajeś zdechł, przeklęty! — warknął naraz car nienawistnie.

— O!... Taka wdzięczność? — zdziwił się sekretarz. — Żle ci, powracaj do Starodub, znajdą sobie lepszego, nie bój się...

— Odwykł ja pracy... Ciężko ostać, ciężko wrócić... Sobacze życie!...

W głosie jego było tyle żalu i goryczy, że Miechowiecki, cynik bez sumienia, zamilkł zaskoczony, spoglądając na cara niby na nowego, pierwszy raz ujrzanego człowieka. Lecz chłop już się pohamował.

— Wodka mat', ty moj drug... — rzekł przysuwając do siebie łakomie gąsiorek.

Miechowiecki nie bronił mu już, bo w tejże chwili pod oknami zabrzmiały głośno



okrzyki. Zaczęli nasłuchiwać uważnie.

— Ty moj drug — powtórzył car — jedź już lepiej... Rożyński mocno na ciebie nastaje... Pijanica a zawzięty! Jakby się dowiedział...

— Pijanica? On także? To u was taki generalny manier, widać...

Urwał, bo okrzyki wzmogły się, zbliżyły.

— Car jesteś — podjął Miechowiecki gorączkowo — nie puścisz ich tutaj... Gwałt by to był. Nie dopuść, ja twój gość!...

— Nu, nu — mrucał car niepewnie.

W teże chwili rozległo się gwałtowne kołatanie do drzwi wejściowych.

— Nie puść! — szeptał Miechowiecki. — Niech pacholek idzie, powie, że Hosudar śpi... Nie ośmiela się... Prędjiej!

— Hospodi! Hospodi! — powtarzał bezradnie car nie słuchając.

Drzwi jęczały od silnych uderzeń.

— Dalej, chłopcy! Zdrajca tam jest! Bando na kancelariusza! — zagrzmiało pod drzwiami.

Miechowiecki zbladł jak trup, poznawszy głos Rożyńskiego.

— Pchnij, pachotka, capie! — syknął. — Gdzie są drzwi drugie? Loch jaki? Kto temu diabłu powiedział, że jestem?!

— Hospodi! Hospodi! — powtarzał nieprzytomnie przerażony car.

W teże chwili drzwi pękały pod naporem ramion. Gromada ośnieżonych ludzi wtargnęła do izby. Na czele szedł książę Rożyński, z czekaniem w ręku, bez szabli. Wyjątkowo nie był pijany, lecz zimna, nieubłagana zawziętość malowała się na jego wyniosłej, sępiej twarzy.

— Jest psubrat! Szelma! Wywołaniec! Łotr! — ryknął dojrzwawszy kanclerza. — Dalejże, chłopcy! Brać go!

— Gość jestem carski! Wara ruszać! — wrzeszczał przeraźliwym głosem Miechowiecki uskakując za plecy Dymitra.

— Ja car... Nie razieszaju — przytwierdził tenże nieśmiało.

— *Crimen laesae maiestatis!* Gardło dacie! Wara ruszać!

— Da, da... Ja nie razieszaju... Paszli, dobryje ludzi, won...

— Precz! — huknął książę odrzucając cara na bok. — Chłopcy! Zakłuć to ścierwo jak świnię!

— Wasza Miłość! — jęknął rozzierająco Miechowiecki padając na kolana. Lecz nie skończył. Ugodzony berdyszem w głowę, padł charcząc na ziemię. Posypały się razy. Drgał chwilę konwulsyjnie na podłodze, aż znieruchomiał.

— Ja car, nie razieszaju — zaczął Dymitr — wy, książę, budiete atwieczaf...

— Milcz, sukinsynie, sobako, bo i tobie łeb zdejmiem, jak nic! Patrzcie go! Z gnoju my cię podnieśli, ale ani się opatrzysz, jak do gnoju wrócisz!...

— Nie szumicie, książę... Niczewo — tłumaczył się już pokornie.

--- Swołocz! Sam będziesz odpowiadał, Śeś wywołańca sprowadził i bronić chciał...

— Jej Bohu, ja nie wołał... Sam jemu mówił: uchodi... A on został...

Lecz Rożyński nie słuchał już. Kopnął pogardliwie nogą nieruchome ciało wroga i wyszedł — pacholcy za nim. Za progiem otarli starannie śniegiem skrwawione ostrza berdyszów.

Car został sam. Łyknął wódki i podszedł do leżącego.

— Wot, biedniaga... Miłyj drug moj — mruknął.

Kłękął przy trupie i żegnając się raz po raz, zaczął przeszukiwać kieszenie zmarłego.

— Niet niczewo — westchnął — wierno za diengami przyjechał... Wsie chotiat dieneg — zakończył filozoficznie.

Przeżegnał się jeszcze raz i wrócił do wypróżnionego w połowie gąsiora.

## Rozdział jedenasty

### Ocknięcie

**J**a ci powiadam, bracie: bierz tego wilczura... Pohany na oko, ale w potrzebie będzie okrutnie cnotliwy — dowodził Wąsowicz. — Sam bym go dla siebie brał, jenoże nieochajno na takim gadzie wyjechać. Ty wszakże o paradę nie stoisz? Do bitwy lepszego nie najdziesz, a przeżywi się byle czym, bodaj korą...

Sebastian kiwał potakująco głową, dobijając z grubym kacapem targu o konia kirgiza. Był to stwór tak mało do konia podobny, że chyba nikt drugi z towarzystwa nie zechciałby go dosiąść, ale Sebastian obojętny był istotnie na wszelką paradę. Niewielki, kudłaty zwierz, silnie na muskularnych niskich nogach rozparty, miał sierść jednostajnego, brudnożółtego koloru, krótką szyję i wielki, niezdarny łeb. Spod kudłatej, nawistej grzywy błyskały małe, złe oczy.

— Wytrwałe to, bo wytrwałe, krzepkie, bo krzepkie, może nawet ścięte; ależ szpetne! — dziwował się Kazimirski junior. — Chyba go waść każesz zgolić i na inną, przystojniejszą maść przemaalować?

Sebastian obojętnie machał na wszystko ręką i łyskające wściekle ślepiami bydlę Kazał pachotkowi odprowadzić do stajni. Potrzebował konia, bo służący mu wiernie wałach, jeszcze z Czarnego Potoku wzięty, dostał silnego ochwatu. Zadowolony z kupna, szedł dalej z komornikiem Chęcińskim, obaj słuchając nowin świeżo przez pana Kazimierskiego ze Smoleńska przywiezionych. Wokoło iskrzył się, płonął i skrzypiał pod stopami śnieg. Był to drugi nowy śnieg, druga zima rozpoczynająca się w tuszyńskim obozie. Całe lato zeszło na drobnych utarczkach, dość niefortunnym obleganiu Troickiego Monasteru przez pana Sapiehę — łajaniu cara i ściąganiu uciążliwym kwarty.

— Poselstwo, jako rzekłem, będzie tu na dniach — ciągnął Kazimirski. — Zważcie, waszmościowie, że przybędzie nie do cara, którego pod Smoleńskiem zgoła nie przyznają, jeno do nas, do towarzystwa... Niemały splendor — co? Jużcić namawiać będą, by się z wojskiem królewskim połączyć, ale o tym mowy nie ma...

— Mowy nie ma! — potwierdził Wilamowski podchodząc ku nim. — Konfederację trzymać będziemy...

— A co myśli pan starosta uświatski, nie wiecie? — zagadnął Wąsowicz.

— Sam jeszcze pono nie wie, na obie strony się chyląc...

— Klechy! Jak mi Bóg miły! Jakie ich лихо przyniosło? — wykrzyknął naraz Wąsowicz ukazując palcem dwie ciemne postaci, stojące przed dworem księcia Rożyńskiego.

— Prawda! Jeżeli nie oślepił, to ksiądz jegomość Kulesza, ten wyższy — przywodził ze zdumieniem Wilamowski.

— Na wywiady pewnikiem przystali tu jezuitów przeklętych...

— Co po nich w obozie? Obywałem się bez tego... Wyżenąć! — szurzył się pan Kazimirski.

— Dajcie spokój, waszmościowie — mitygował Wilamowski idąc szybkim krokiem w przód. — Nie taki to ksiądz jak inni... Zamoyskiego, kanclerza nieboszczyka, kapelan. Żołnierz szczery, do niejednej wygranej dopomógł, z krzyżem w rękę przed wszystkimi nacierając... Pod gołym niebem sypia, konia u ręki uwiązawszy... Miłość i kredyt u ludzi wojskowych ma takie, że każdego przywiedzie, gdzie zechce.

— A właśnie! A właśnie! Tacy najgorsi! — mruczał nieprzejednany Kazimirski.

Lecz Wilamowski witał już serdecznie księdza Kuleszę, barczystego chłopca o szorstkich, energicznych ruchach. Młodszy jego towarzysz, szczupły, widocznie nieśmiały, kłaniał się z oddalenia z zalęknionym pośpiechem, gdy Wilamowski rekomendował kapelanowi swoich przyjaciół. Boczyli się, lecz otwartego grubiaństwa nijak im było okazać. „Znam skądś tego człowieka” — pomyślał Sebastian, spojrzawszy mimo woli na stojącego z boku młodego księżynę.

Oderwał szybko wzrok — w instynktownej obawie zahaczenia jakiejś nici bolesnej, mogącej zerwać opryskliwie narzucone, lecz jakże kruche bezczucie! Strup pozornego zubożenia niedoskonale przykrywał nie zagojoną ranę, żywe ciało — nie lza go było zaczeptać... Ze złością zauważył, że ksiądz przygląda mu się również uporczywie, choć nieśmiało, skubiąc z zakłopotaniem rękawy kożuszka. Odwrócił się i stanął koło Wąsowicza czekając niecierpliwie, rychło pójdą dalej. Czuł teraz wyraźnie na karku, na plecach natarczywe, stroskane spojrzenie, i gniew go brał coraz większy. Czego chce ten klecha nieznajomy?! Niech sobie idzie do stu diabłów!... Nieznajomy?! Nie może to być... Widział go gdzieś niewątpliwie. Gdzie? Mniejsza o to... Nie dociekać! nie dociekać! Najwyższym wysiłkiem odegnał myśl szukającą, całą uwagę skupiając na tym, o czym rozmawiano.

— Skąd ojciec wielebny spadłeś? — wypytywał Wilamowski księdza Kuleszę...

— Z poselstwem ruszyliśmy, jeno pan kasztelan przemyski zadzierżył się nieco w Możajsku, tedy my pojechali w przód... Gody za pasem; toć siedemnastego dzisiaj. Może w spowiedzi trza pomóc?... Musi tu być jakiś ksiądz?

— Nie ma, bo i nie potrzeba — burknął niechętnie Wąsowicz.

— Po cóż pan poseł zadzierżył się w Możajsku? — pytał podejrzliwie Kazimirski.

— Wojsko tam chciał ostawić, które Król Jegomość dla obrony przed Szujskimi dał — by do obozu jako w goście do swoich, bez większych sił, zjechać — tłumaczył z prostotą ksiądz. — Trza zatem było kwatery wynaleźć, obożnego naznaczyć... Więc księdza żadnego nie ma, powiadacie?

— Bo i katolików tu nie masz...

— Ejże, chyba poniekórych znaję. Nie może być, by same różnowierce były... Pan Wilamowski to już jeden... Waszmościowie zaś z którego kościoła, jeśli zapytać się wolno?

— Ja chrystianin — odparł wyzywająco Kazimirski.

— Ja niby katolik, ale o popów nie stoję — wycodził pogardliwie Wąsowicz.

— A waść? — zapytał ksiądz Sebastiana, którego surowa, zastygła twarz zwróciła jego uwagę.

— Też chrystianin — wybąkał Pielsz niezrozumiale.

— Chrystianie! — zdziwił się kapelan. — Sądziłem, że wasza wiara zabrania zażywać miecza nawet we własnej obronie, a cóż dopiero w służbie najemnej...

— Wiara siła rzeczy broni, a przedsię człowiek to czyni i dobrze się ma! — roześmiał się niefrasobliwie Kazimirski.

— Oj, nie bardzo dobrze, nie! — westchnął ksiądz Kulesza.

Spojrzał znów na Sebastiana, lecz ten bez słowa zawrócił się nagle i odszedł. Towarzysze ruszając ramionami patrzyli za nim, gdy brnął na oślep przez śnieg, nie widząc nic i nikogo, jak gdyby od nich uciekał.

— Dobry chłop, ale ma tu coś — zauważył znacząco Wąsowicz stukając się w czoło.

Sebastian zaś uciekał rzeczywiście. Proste zapytanie księdza uderzyło go w głowę niby obuchem, rozdarło płachtę zarzuconą rozmyślnie na czucie. On chrystianin?! Jak śmiał nazwać się tym imieniem? Chrystiania?! Był nim owszem, niegdyś, niegdyś... Był gorącym, surowym i czystym, sprawom ducha wysokim oddanym... Był samotny, swobodny, bliski Bogu... Lecz teraz? Czymże się stał? Komu służy? Jakiej sprawie? Chrystianin w tym bagnie?! dlaboga!!

Chwiejąc się na nogach jak pijany, doszedł do kwatery, minął ją i skrył się w szopie, na sianie, bezpieczny od ludzkich oczu. Tam, zwinięty naokoło swego bólu niby robak, widział migające jak w zwierciadle minione bezpowrotnie lata. Uśpiona tak długo świadomość, raz szarpnięta, rozbudzona, stanęła nieubłaganie, zmuszając go do spojrzenia w samego siebie, tego, który był... Oto on, Sebastian, na synodzie w Hoszczy zaprzecza prawu zażycia oręza nawet w dobrej sprawie. (On, ten sam, dzisiejszy Wąsowiczowy przyjaciel!) Oto powiada wujowi: choćbym miał sam jeden z moją wiarą ostać!... Sam jeden! (Ostał się, ale w Dymitra-szalbierza kompanii...) W gardle rechoce śmiech szyderczy, pałący jak hańba niezmyta... Oto rokosz... Rokoszowi nie byłem winien... Nie lekce decyzję powziąłem... Z namysłu... Trza było ratować zbór... Nie moja wina, że z rokoszu wynikło — ot co...

— Nie moja wina — powtórzył i odetchnął z ulgą. Na moment tylko

— Nie byłeś winien... Może... Ale teraz? teraz?! — dopytywało sumienie. — Czymżeś jest teraz? Odpowiedz!... Czymżeś jest? Najemnikiem w służbie u oszusta! Nie lękaj się nazwać rzeczy po imieniu... Nie szukaj próżnych wybiegów! Chrystianin, surowy sędzia dla drugich, w tuszyńskim obozie... Ha! ha! ha! właściwe to miejsce dla człowieka, co wedle Ewangelii żyć przysiągł...

— Dosyć! dosyć! — jęczał przerażony. Lecz rozbudzony głos nie dawał folgi, szarpiąc, wywlekając na jaw wszystkie jego sprawy, szukając chciwie tej najboleśniejszej, najgłębiej skrytej, jądro rzeczy stanowiącej.

— Skądeś się tu wziął, surowy, górski rycerzu? — pytał wróg nieubłagany. — Co cię z tą kompanią sprzęgło? Odkąd ich drogi są twoje?... Odpowiedz!

— Los mną rzucił... ja nie chciałem...

— Los?! Jakże było temu losowi na imię? Nie Hanka?!... Słuchaj! ja ci odpowiem: przez dziewczkę tuś jest; przez dziewczkę, co wołała miłowanie twego brata niżli twoje...

— Och, och! — jęczał w bezsilnej męce.

— Przez dziewczkę! — powtarzał niezrażony głos-szyderca. — Podobną znaleźć możesz w każdym dworze... Dla niej, bez to, że cię nie chciała, zaparłeś się Jedynej Prawdy, Boga, pryncypiów i mnie, twójego sumienia... Oto na jakim fundamencie stała wiara, którąś się pysznie wynosił... Potężny to iście był zakon!...

— Dość! dość! — błagał daremnie litości. Dusza, niby złowiona w matnię, darła się i wiła w męce, tłukła bezsilnie o ściskające ją zewsząd zapory — zwątlala, leciała w dół, kędyś na samo dno istnień, brocząc krwią lepką, serdeczną. Długie godziny mijały. Nie widział, nie słyszał ich. Skulony w sianie, nie czuł zimna doskwierającego ani głodu. Zdrętwiałego zbudził wreszcie, idący niby z daleka, głos komornika chęcińskiego, szarpiącego go silnie za ramię.

— Co ci jest?! — krzyczał gruby szlachcic. — Piłeś czy co? Z kim?! Od wczoraj szukam jak szpilki... Wstawaj! Kasztelan przemyski zjechał przed nocą z setką grzeczej usarii. Dwie chorągwie lekkie, piechota, wozy i wszelakie impedimenta zostały w Możajsku... Szumnie wjeżdżali. Księżę Zbaraski, starosta krzemieniecki, drugim jest posłem przy kasztelanie.. Bardzo oficjalnie wjazd się odbył. Rożyński nie pił i orację do rzeczy miał... Caryca i wor z okien jeno pozierali. Kasztelan ani pojrzał w ich stronę, do nas tylko poselstwo mając... Wstawaj i ruszajmy skoro, bo wnet będą w Kole swą rzecz odprawować...

Sebastian powstał bezmyślnie, niewiele rozumiejąc; ogarnął odzież i poszedł bez słowa za gadatliwym towarzyszem. W głowie mu szumiło, zarówno z czczości, bo od wczorajszego południa nic w głębie nie miał, jak z udreki. Nogi uginały się niby po ciężkiej niemocy. Szedł jednak mrużąc oczy przed olśniewającym blaskiem słońca.

Za taborami, na wyiskrzonym śniegiem placu, gdzie zwykle zbierało się Koło, stało już całe rycerstwo. Zbrojnie i strojnie, zwartymi szeregami, w należnym ordynku, ani podobni do zwykłych, swarliwych krzykaczy. Trza było bowiem godnie posłom się okazać. Pan starosta uświatski przybył z chorągwią ze swego obozu. Stał przygryzając spękane od mrozu wargi, zamyślony. Urodziwy ataman Zarudzki mierzył posłów królewskich niechętnym spojrzeniem. Pijany mimo rannej godziny (zapewne, by wczorajszą trzeźwość powetować) Rożyński wspierał się oburącz na czekaniku, z trudnością tamując chwiejność ruchów. Poważny pan Stadnicki z Liska, kasztelan przemyski, poseł królewski, znany Sebastianowi z czasów sejmiku w Sądowej Wiszni, wystąpił na środek Koła. Twarz miał dobrotliwą, rozumną.

— Mili panowie bracia — zaczął spokojnym; choć donośnym głosem. — Doszły nas słuchy, iż są, którzy ekspedycją smoleńską Króla Jegomości srodze dyfamują, głosząc, że dla krzywdy panów ichmościów, z zażartości przeciw bywszym rokoszanom podjęta była. Tedy, zanim do innych materyj przejdziemy, rad bym wyłożył motywa, które Rzeczpospolitą do takowej imprezy skłoniły. Nie pachnie wojna nikomu i wzdyc wolelibyśmy grzbiet rozejmu z Szujskim podpisanego trzymać, na hazardy wojenne nie idąc. Jakże było jednak zdzierzeć, gdy Szujski pierwszy kardynalnych warunków paktu nie dojrzał, posłów królewskich nadal więżąc, a z Karolem Sudermańczykiem zbrojne przymierze zawierając? Zapewne wiadomo ichmościom, że Pontus de la Gardie z silną armią zaciężną Dymitra Szujskiego wspomaga, za co Moskwa obiecała Szwecji sukurs w nowej wojnie o Inflanty. Na tak jawne *casus belli* nie lza było oczu zamykać. Nie dość tego. Zaiste, niewdzięczni byśmy byli synowie miłej Ojczyzny, nie starając się w tym roztargnięciu, w jakie Moskwa popadła, odzyskać własnych utraconych ziem, jako smoleńskich i innych. Na ostatek zaś rzekę konfidencjonalnie ichmościom, iż siła bojarów dumnych, co najprzedniejszych, nie chce mieć na tronie carskim ni Szujskiego zmiennika, ni żadnego wora, samozwańca, łgarza, jako jest ten, przy którym się upieracie — jeno tęskniąc za prawdziwym panem i za ładem, królewicza Władysława carem chce oglądać, z czym się już *privatim* niejednokrotnie deklarowali. Z takowego obioru jak wielkie wynikłyby pomyślności i bezpieczeństwo dla Rzeczypospolitej, ani potrzebuję gadać, boć to samo jasno widać. Oto więc jakie auspicje otwierają się przed nami — oto gwoli jakowym pobudkom wszczęta była ta potrzeba. Szczęsny, komu w niej dopomagać przyszło, szczęsny i stokrotnie zasłużony! Komparację zaś stateczną przeprowadziwszy — komuż to waszmościowie służycie? Czego się po onej służbie spodziewacie? Juźci nie sławy, bo w innym ona, niż tutaj, gnieździe się lęgnie. Nie zasługi ni glorii u potomności, bo łgarstwo i gloria nie chodzą parą. Znęcił was ów szalbierz jeno złotymi promisjami fortuny. Gdzież ona? Siła może ten obiecać, co o słowa dotrzymanie nie stoi. Nie wypłaci się wam nigdy z tego, co przyrzekał, nic sam nie posiadając. Tronu nie posiędzie. Skarbca carskiego nie obejmie. Prędzej czy później szczeźnie nikkzemnie abo do stanu chłopskiego, z którego wyszedł, powróci. Z jakimże licem, panowie bracia, powracać będziecie

wówczas do dom?... Miłościwy nasz Pan, wiedząc, jak wiele zacnej krwi tu służy, wysłał nas ku wam z orędzim ojcowskim, wzywając, byście się łączyli z nami, zbratani szlachecką powinnością oddania cnotie i sławie należytego obroku. Raccie pomyśleć zatem, waszmościowie: co bliższe sercom? Rzeczpospolita czy ów wor, jak go sami zwiecie? Co droższe: wątpliwa onego zapłata czy zasługa wieczysta wobec ojczyzny i fawor Miłościwego Pana? Nie ukrzywdzi was Rzeczpospolita, panowie. Na pierwszym sejmie poruszoną będzie sprawa zapłaty słusznej za czas służby wojennej ichmościów. Z tej strony obaw żadnych żywić nie należy. Oto wszystko, com chciał rzec, raz jeszcze kordialnie a życzliwie prosząc obecne tutaj przezacne rycerstwo, by zechciało ku dobru Ojczyzny nachylić swe animusze.

— Wczoraj jeno przyjechałem — odezwał się stojący pośród audytorium książdz Kulesza — nie gadałem jeszcze prawie z nikim; przecie, spojrzawszy w marsowe lica miłych panów towarzyszy, czytam w niejednym frasunek: po com tu przyszedł? co czynię? zgoła innymi mi się to być wydawało... (Tu spojrział mimo woli na stojącego nie opodal Sebastiana, który cofnął się o krok.)

— Czemuż ostajesz tedy, towarzyszu? — ciągnął książdz. — Ba, czemu? bo łatwiej, wiadomo, w błoto wejść niż wyleźć, bo każdy krok głębiej ciągnie... Prawda to jest. Przecież, panowie, mili towarzysze, oto jest moment sposobny do chwalebego odwrotu! Oto braterskie ręce wyciągnięte! Pora cisnąć łez i zdradę, w regiment honoru wracając. Nie dziwota wprawdzie ludziom rycerskim bić się dla samej rozkoszy boju, o przyczyny ni konsekwencje nie dbając, gdy jednak wybór otwarty jest, któż by się wahał?...

Zaległo na chwilę milczenie. Pośród szeregów rycerstwa zaszumiało jak w ulu, lecz oficjalnie nikt głosu nie śpieszył zabierać, czekając, co inni powiedzą. Pan Woytkowski, człek starszy, rozumny, dośmiały, wyszedł na środek, dziękując panu posłowi imieniem zebrania za życzliwe słowa i obiecując, że towarzystwo złoży nazajutrz deklarację w tej tak arcyważnej sprawie.

— Juźcić wiemy — dodał zakończywszy — że nie kto inny był sprawcą tego poselstwa, jeno pan hetman polny... Ani Król Jegomość, ani panowie Potoccy k'temu by się nie kwapili...

— Nie neguję, że pan hetman pryncypialnym był motorem i instruktorem — rzekł pan Stadnicki poważnie — wszakże z pełną aprobatą Miłościwego Pana. W królewskim imieniu mówiłem...

Zamilkł. Wśród oczekującej ciszy zgromadzenia starszyzna wypowiadała swe zdanie. Pan starosta uświatski, zachowując zagadkowy uśmiech na twarzy, rezolwował ostateczną odpowiedź do dni trzech. Książ Rożyński opowiedział się gromko za królem, a przeciw worowi, który to okrzyk powtórzyła za nim ochoczko połowa jego rycerstwa. Ataman Zarudzki, przeciwnie, deklarował się za carem i gniewnie opuścił Koło. Inni gardłowali co sił, lecz poszczególne głosy ginęły w tumultcie. Wśród zamieszania Sebastian z nagłą decyzją podszedł do pana Stadnickiego.

— Wasza Miłość — rzekł szybko, zacinając się — wolontariuszem jestem, nie związanym z nikim... Okrutnie chciałbym przejść w służbę pana hetmanową...

— Hetman rad przyjmie — odparł spokojnie kasztelan. — Jedź waćpan z nami. Zadzierzym się tu jeno parę dni, decyzji panów towarzyszy czekając... A po obiedzie zajdź waść do mojej kwatery; potrza mi niektórych informacji — dodał, gdy Sebastian ukłoniwszy się odchodził.

**P**od Smoleńskiem? Toć wiadomo: stoimy już blisko rok — opowiadał półgłosem towarzysz posła, książę Zbaraski, słuchającemu z uwagą staroście uświatskiemu — a rezultat mizerny, bo

twierdza okrutnie wzmożona, my zaś kartaunów burzących nie mamy. Hetman zrazu to przepowiadał, inszy plan podając, ale drudzy przegadali, lekce sobie jego prognostyki ważąc Animozje osobiste tam są, na czym rzecz cierpi. Litwa z Koroniarzami nieżyczliwie k'sobie spoglądają, bardziej na siebie wzajem krzywi niż na Moskwicinów... Panowie Potoccy troskają się jeno o to, by hetman buławy wielkiej nie otrzymał... Zaś jegomość kanclerz, waszmośc in stryjec, choć, jako może, goi te inwidie i mediatorem rad staje — zbytnio pragnieniem rychłego końca kampanii zajęty...

— Wiadomo...

Uśmiechnęli się obaj wesoło, znając dobrze przyczynę tej niezwykłej u wielkiego statysty Lwa Sapiehy ochoty powrotu. Była nią urodziwa Halżusieńka, młodzianka małżonka, wnuk kanclerzowych współrównie latami, aktualnie we Wilnie przy Królowej Jejmości przebywająca. Stary kanclerz, rozmiłowany w niej srodze, niechętnie ją na czas dłuższy samą pozostawiał.

— Imaginuj sobie waść, że co dnia spod Smoleńska posłaniec z listem do Wilna bieży; co dnia... — ciągnął księżę zniżając jeszcze bardziej głos. Urwał, bo Sebastian Pielsz uchylił drzwi i chrząknął zakłopotany, nie wiedząc, zali ma wejść.

— Pan kasztelan przemyski kazał mi się stawić — tłumaczył swe przyjście nieśmiało.

— Pan kasztelan wnet nadejdzie; poczekaj tu, ot, mości towarzyszu — rzucił księżę wskazując ręką boczne drzwi. Podjęli z panem Sapiehą przerwana rozmowę, parszkając co chwila ściszym śmiechem.

Sebastian przeszedł do sąsiedniej izby. Siedzący w niej samotnie pod oknem młody ksiądz, towarzysz kapelana Kuleszy, zerwał się kłaniając z pośpiechem wchodzącemu.

„Znowu ten...” — pomyślał Sebastian z niechęcią.

Usiadł na ławie patrząc obojętnie w zasnuite szklistym gajem mrozu okno. Ksiądz stał patrząc weń pilnie, jakby chciał coś rzec. Zalęknione to spojrzenie sięgnęło samego dna Sebastianowej pamięci. Poznał go, przypomniał sobie. Był to proboszcz z Pinian, przyjaciel nieboszczyka wuja Bazylego.

Skąd się tu wziął? Czego chce od niego?

Dawne, śmiertelnie bolesne, odepchnięte dzieje stanęły w oczach jak żywe. Jeszcze wczoraj były się ugiął przed ich nawrotem okrutnym. Lecz między chwilą, co była, a męką dnia poprzedniego leżała ulga decyzji, walnego wysiłku naprawy. Dokonane z rana postanowienie wyniosło go z odmetu pogardy samego siebie, skrzepiło, dźwignęło na nogi. Bez ciekawości ni sympatii, ale śmiało zwrócił pytająco ku księdzu swą surową, wymęczoną twarz.

— Jegomość Pielsz?... Wszak prawda? — odezwał się tamten cichym głosem. — Widzieliśwa się na pogrzebie w Pinianach. Góra z górą, jak to mówią... a człowiek z człowiekiem zawdy się zetknie. Tyle lat!...

Urwał skubiąc nerwowo rękawy, co było snadź jego zwyczajem. Walczył z pętającą mu usta nieśmiałością tak gorąco, choć bezradnie, że Sebastianowi zrobiło się go mimo woli żal.

— Ksiądz chciałeś mi coś powiedzieć? — zapytał.

— Chciałem, owszem, chciałem. — Zacerwienił się i przełknął kilkakrotnie ślinę, jak gdyby mówienie przychodziło mu z wysiłkiem.

— Oto w czym rzecz — podjął z determinacją. — Widzieliśwa się na pogrzebie... Zdarzył się wówczas osobliwy wypadek z poręką, *alias* cyrografem...

— Pamiętam cud znamienity! — przerwał szydyczko Sebastian.

— Tak jest. Myśleli my wszyscy, że cud... Od zmysłów odchodziłem z radości. Dziw, że dusza ze mnie nie uleciała. A oto... Czy uwierzysz, waszmość panie: nie cud to był bynajmniej... Sebastian spojrział na mówiącego z uwagą.

— Klechę miałem do pomocy. Zmyślny, sposobny, ale niedobry człek... Niewiela o nim trzymałem, przecie nigdy bym go o takową niecnotę nie posadził. On to zrobił... Papier sfalszował... zmarłemu do ręki dał... Bez wiary człek! bez sumienia!... A ja wierzyłem!...

W pamięci Sebastiana mignęły szczurzy, węszący nos, sprytnie oczy klechy, gdy go namawiał, aby utworzono jeszcze trumnę.

„Żem tego wcześniej nie odgadł! toć jasne było” — i pomyślał.

— Wierzyłem — powtórzył ksiądz spuszczać oczy. W głosie jego drgał ból istotny, rzetelny. — Pycha mnie uniosła... Gdzieżby dla mnie, grzesznika, Pan taki cud uczynił? Niepodobieństwo... Ja przecie wierzyłem. Wszyscy wierzyli... wstyd rzec, za jakowegoś świętego mnie poczytali. Wymawiałem się, małość swoją widząc, ale nie dosyć, widno nie dosyć!... Aż rok temu... rok i pięć niedziel bez mała... chciał ów klecha święceń dopiąć, plebanem ostać. Odmówiłem mu rekomendacji do jegomości księdza biskupa, za złego człowieka, cielesnego, chutnika go mając... On zasię wtedy prawdę mi z onym cudem, jak było, wyjawiał, grożąc, że wszystkim toż samo opowie, gdy mu, czego chce, nie uczynię...

— To bestia! Cóżżeś ksiądz zrobił?

— Cóżem miał zrobić? W pierwszą niedzielę sam, z ambony, ludziom to ogłosiłem, pychę swoją i łatwowierność wyznając... Miałem dopuścić, by w fałsz wierzyli?

Sebastian spojrział na niego z szacunkiem.

— Żeś się to ksiądz nie bał osłabić w swoich korreligionarzach wiary w cuda? — zauważył.

Proboszcz otworzył oczy szeroko, po dziecinnemu.

— Jakże?! Ej, mości panie! Kościół ma dość prawdziwych cudów, nie potrzeba mu świadectwa zmyślnych... A kłamstwa ścierpieć nie lza...

— Cóż ludzie rzekli na tę deklarację?

— W tym bieda — westchnął ksiądz. — Nie uwierzyli zgoła! Nie uwierzyli! Com im mówił, przekładał! Jedni myśleli, że na próbę ich biorę, inni, że mnie zły opętał... Nie uwierzyli... Luto mi było ostać... Wstyd... Rzuciłem parafię. Ksiądz kapelan Kulesza za pomocnika mnie raczył wziąć. Z nim teraz wegetuję, Boga o przebaczenie za zbytnią dufność w sobie prosząc... Wybacz waść, że przydługi czas zabrałem, nie chciałem wszakże, byś w błędzie ostawał...

— Ni chwili w ów cud nie wierzyłem — mruknął Pielsz. Ksiądz spuścił głowę zawstydzony.

— Słusznie, słusznie... Gdzieżby? taki wielki cud... dla kogo? Słuszna kara... ale ciężko...

Zamilkli obaj. Szybki zimowy mrok zasnuwał izbę. Pacholek uchylił drzwi:

— Jegomość pan poseł wołają towarzysza!...

Sebastian wyszedł spiesźnie.

Proboszcz piniański, Wawrzyniec Kosowski, został sam, tak pograżony w myślach, że nawet nie zauważył jego wyjścia. Było mu istotnie nieznośnie ciężko na duszy. Opowiadając Sebastianowi sam fakt mistyfikacji, przemilczał wszystko, co z tej okazji wycierpiał. Drwiny jednych, zarzuty drugich, posądzenia, że do zmywy należał, trzecich. Bezgraniczna śmieszność, jaką się czuł okryty we własnych oczach, utrapiona myśl, że mimo woli przyczynił się do otumanienia swych parafian, niepewność, zali dobrze postąpił wyprowadzając ich z błędu, skoro i tak w sprostowanie jego nie uwierzyli — wszystko to zatruwało mu życie. Ostatni rok (rok i bez mała pięć niedziel) przepojony dłań był piołunem. Rozgłoszony wszędy przez dwór wojewody cud stał się powszechnie znany, i równie pod Smoleńskiem, jak i tutaj, o sto mil od kraju, coraz to spotykał ludzi z dawna o nim wiedzących. W prawości swojej czuł się zobowiązany tłumaczyć każdemu, jak się rzecz miała istotnie, a tym samym przeżywał codziennie od nowa bolesne swe rozczarowanie. Nękała go też świadomość, że nie umie stać się użytecznym księdzu Kuleszy. Z



uwielbieniem pełnym podziwu patrzył na kapelana, gdy ten jednym słowem tęgim, rubasznym, popartym uśmiechem anielskim, nieraz jednym spojrzeniem i gestem brał w posiadanie żołnierskie twarde dusze, przeglądał je na wskroś i zagarniał. Okutany w długi, po pięty sięgający kozuch, tkwił od rana w skleconej naprędcie, konfesjonał zastępującej budce, dokoła której cisnęły się tłumy żołnierzy. Proboszcz najszczerzej pragnął mu pomagać, lecz panowie towarzysze, uznawszy go szybko za spowiednika dobrego dla bab, woleli czekać na mrozie parę godzin, lecz dobić się kolejki u kapelana. Zziębniętego, bezczynnego, odesłał ksiądz Kulesza do dworca. Poczucie własnej nicości i niedołęstwa przytłaczało więc tym bardziej wątłą postać „cudotwórcy”, jak go nieżyczliwi nazywali.

Izbę zapełniał mrok. Proboszcz pchnął drewnianą zasuwę, zawierającą małe, w bierwionach wycięte okienka (szklane okna nie odmykały się zgoła) i przytknął skołataną głowę do zimnego otworu. Powietrze było ciche, szafirowe, tchnące mrozem, jak ciemna głąb studni wilgocią. Miesiąc jeszcze nie zeszedł i niebo usiane było tysiącami gwiazd. Drżały jak gdyby z chłodu, niezliczone. Zapominając na moment swojego frasunku, ksiądz zadziwił się, że jest ich tyle. Nie zliczyłby nawet tych, co się mieściły w wąskim otworze okienka. Nie czując zimna zapatrzył się w bezdeń przestrzeni, w blask sunący skroś powietrza na oślizłych łyżach mrozu. Poczłł zawrót w głowie, a zarazem ulgę, nagłe uciszenie serca. Z gwiazd, obcych niby, a przecie tych samych, z cudzej ziemi oglądanych, zeszła ku niemu pełna litości odpowiedź.

**W**ezwałem waści. byś mnie zaprowadził do carowej — mówił pan Stadnicki do Sebastiana. — *Officialiter* nic nam do szalbierza ni jego żony, wszakże *privatissime* mam pewne polecenie od pana hetmana, które chcę jej poufnie przedłożyć.

Narzucił na strojny żupan ciemną szubę, futrem podbitą, i poszli z Sebastianem ku stojącemu po przeciwnej stronie placu carskiemu dworcowi, nie zauważeni w mroku przez nikogo.

— Jak się zameldować? — mruzczał kasztelan. — Rad bym, by jak najmniej o mojej bytności wiedziano...

— Rzekę, iż nam sprawa wypadła do ochmistrzyni fraucymeru, co nie zastanowi nikogo.

— Słuszna. Kto zacz — ochmistrzyni?

— Kazanowska, z Nieborogów...

— Miecznikowa samborska! — zdziwił się kasztelan. — Znałem jej męża... Ze się babinie chciało puścić na te awantury.

Przywołany pacholek powiódł ich bocznym wejściem, świecąc dymiącym łuczywem, i zastukał gwałtownie do izby.

— Jejmość ochmistrzyni. — krzyknął.

Pani Kazanowska wysunęła głowę, cofając się lękliwie na widok gości. Postarzała się znacznie od zeszłego roku, gdy ją widział ostatnio Sebastian. Zzółkłe, zapadłe policzki układały się w gorzkie fałdy koło ust, próżne torebki jak wypłakane łzawice zwisały pod zaczerwienionymi oczami. Zrudziła i wystrzępiona suknia pełna była pracowitych lat. Lecz dygała z zwykłą dystynkcją, witając uprzejmie Sebastiana...

— Wielcem rada, wielcem rada — powtarzała. — Nie dziw się waćpan, że w takowym adiustunku mnie widzisz... Aktualnie ja jedna reprezentuję cały fraucymer Najdostojniejszej Carowej Jejmości, ja jedna... Panny jejmościanki porzuciły nas wyjeżdżając jeszcze we wrześniu do Polski... Słyszałeś waćpan o czymś podobnym? Nic to! Dokompletujem fraucymer niebawem, z najprzedniejszych rodów panny dobierając... Ju skoro...

— Stadnicki jestem, z Liska — przerwał kasztelan wysuwając się naprzód. — Chcę się widzieć z Jejmością Carową, jeno tak, by ów... jak go zwać? ... car... — (uśmiechnął się szyderczo) — nie wiedział...

— Laboga! Pan kasztelan! Laboga! — wykrzyknęła miecznikowa, lecz wnet pohamowawszy się odparła ceremonialnie: — Jej Wysokość Hosudaryni przyjmie niewątpliwie waszmości. Jego Wysokość Hosudaraczy o tej porze spać.

Poprowadziła ich do drugiej izby, równie nędznej i ogołoconej jak pierwsza. Łuczywo kopciło, wbite wprost w szpary między bierwionami. Mech, którym utkane były szczeliny, jeżył się fantastycznie długimi, ciemnymi smugami w poprzek ścian. Sosnowe, niedbale sklecone ławy i stoły stanowiły jedyne sprzęty. Świerszcz ćwierkał głośno pod pułapem. Siedząca przy oknie carowa Maryna podniosła się na ich widok, zdziwiona. W zaostrej, wychudłej twarzy żarzyły się po dawnemu czarne, dumne oczy. Szczupła, dziewczęca jej postać ginęła w zniszczonej i wymiętej sukni, uszytej z adamaszku, przez pana Wąsowicza przed półtora rokiem ofiarowanego.

Kasztelan skłonił się nisko, całując jej rękę. Sebastian i miecznikowa cofnęli się do izby przyległej.

— Wasza Wysokość — zaczął poseł — prywatnie przychodzę z poleceniem od szczerego przyjaciela, pana hetmana polnego, której to misji wdzięcznym sercem się podjąłem, będąc najżyczliwszym admiratorem Waszej Wysokości i sługą sercem oddanym. Kogóż by zresztą nie zmięczyły srogie dopusty fortuny, którym Wasza Wysokość w tak młodych leciach z godnym podziwienia męstwem podlegasz? Któż by nad nimi ślózów nie wylewał? Któż by się nie ulitował? Lecz dość tych udręczeń! Dość tej żalosnej kalwarii! Salwuj się, Wasza Wysokość! tu srogie idą termina, wątpliwości żadnej co do końca tej imprezy nie zostawiające. Ten, którego ci na małżonka, nieszczęsna wdowo, narzucono — zginie. Przepadnie, wróci, skąd wyszedł. Ostaw go! Jedź z nami pod Smoleńsk, skąd przynależną godności eskortę do lubej ojczyzny przydamy. Odetchniesz w bezpieczeństwie a spokoju. Dość tych utrapień! Sam Król Jegomość prywatnie rzec mnie upoważnił, że mieszkanie i opatrzenie przystojne, stanowisku Waszej Wysokości odpowiadające, oznaczy...

Słuchała pilnie, ze zmarszczonymi surowo brwiami.

— Król Jegomość! — syknęła, gdy skończył. — Dobrodziej! Od niego najcięższa krzywda nas spotyka! Sam chce dla siebie carstwo zawojować, prawa moje i mego męża, które pierwsze i święte są, depcąc!

Kasztelan spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Wasza Wysokość — odparł — niesłuszne to są skargi. Ten, którego ku podziwieniu memu mężem nazywasz, nie osiedzi się na carstwie ni stolca posiędzie. Ni prawa nie ma za sobą, ni siły. Kto przy was ostał? Kozaki, paru bojarów, kupa naszego towarzystwa, z którym dziś gadałem i które niewątpliwie na stronę królewską się przechyli. Książę Rożyński już się ku temu deklarował. Starosta uświacki niechybnie uczyni to samo. Ot co!... Moskwiciny albo się Szujskiego trzymają, albo królewicza Władysława życzą, albo jeszcze za Filaretem patriarchą i Golicynem ciągną... Łupiestwa kozackie, swawole pożałowania godne naszych, zraziły już nawet tych, co się wprzód najochotniej nowego Dymitra trzymali... Po prawdzie nie dziwota, boć persona „męża” Waszej Wysokości w nikim wzbudzić ufności nie może...

Splonęła rumieńcem gniewu.

— Cóż się zmieniło od czasu, gdy go sam Król Jegomość, nuncjusz i co najprzedniejsi senatorowie forytowali? — zapytała wyniośle.

Popatrzył na nią w litosnym zdumieniu jak na obłąkaną.

— Nie wiem, zali

Wasza Wysokość raczysz sobie żartować — odparł z wolna. — Dla tak drażliwych dyskusji nie

przyszedłem... Nie w tym rzecz. Zlecenie moje drugi raz powtarzam: Jedź Wasza Wysokość z nami. Żałosny przewiduję koniec. Nie do takiej cię doli mać hodowała, nie... Widywałem cię nieraz z siostrami na zamku samborskim... Pomnę dobrze: kwiatuszki misterne, pieszczone, paniątka szczęśliwe... Inne tam były niżli tu komnaty, inne życie... Doświadczyłaś już Wasza Wysokość schizmatycznej barbarii plugawców, płci ni żadnych względów przyrodzonych nie szanujących... Drzyj przed tym, co cię jeszcze spotkać może! Niechaj tego wszystkiego! Powracaj do dom szczęśliwie...

— Jakoż, bywszy carową i władczynią, mogłabym ostać na nowo poddanką? — zapytała podnosząc dumnie głowę.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Widziała już historia dziwniejsze odmiany fortuny...

— Nie ja się im poddam — odparła z energią. — Kogo raz Bóg wywyższył, świecić musi. Nie ustaje słońce być słońcem, chociaż je chmury zakryją... Wracać do dom? Ustąpić? Nie pomścić swych krzywd na tych zdrajcach? Nie ugiąć ich? Nie zatryumfować? Na swoim nie postawić?

— Zgubę znajdziesz, nie pomstę i tryumf, Wasza Wysokość — przerywał jej zapał. — Żal młodych lat, żal krwi twojej zacnej... Ostatni raz namawiam: niechaj tego chłopa i powracaj...

Nagła podejrzliwość błysnęła w jej oczach.

— Król Jegomość przysłał waści z namowami, by z moją osobą usunąć główną zawadę do zawojowania Moskwy...

Pan Stadnicki zbyt był spokojnym człowiekiem, by się rozgniewać, przeciwnie, szczerą wesołość przemknęła przez jego poważne lica.

— Parol daję — rzekł — że osoba Waszej Wysokości, również jak jej „męża”, najmniejszą jest do zawojowania Moskwy zawadą...

Urażona do żywego, jęła prawie z ogniem o niezawodnych jakoby widokach powodzenia, o grodach, które lada chwila poddadzą się Dymitrowi Joannowiczowi, o rychłym zajęciu Moskwy... Nie przerywał już, słuchając z głęboką litością, jak bredzenia chorego dziecka...

W sąsiedniej izbie, oczekując powrotu kasztelana, Sebastian znosił cierpliwie potok wymowy pani miecznikowej.

— Ta Hanka — powtarzała trzęsąc z oburzeniem dłońmi — ta Hanka z głowy mi wyjść nie może! Taki los! Pierwszą mogłaby być po mnie we fraucymerze Carowej Jejmości!

Nic nie mówiąc ogarnął przeciągłym spojrzeniem jej zdarty ubiór i znędzniałą twarz. Zrozumiała ten wzrok i wybuchnęła oburzeniem:

— Waćpanu się zdaje, że nie ma czego żałować, bo w mizerniejszej odmianie fortuny mnie widzisz? Dziw, jak pospolity i presumpcjalny to sąd! Co prawda, trudno spodziewać się po waści lepszego dowcipu. Bez urazy, mruk byłeś zawdy, nijakich faworów cenić nie umiejący... Snadź przyrodzenie to właściwe Pielszów... Nieboszczyk był taki sam, Hanka taka sama... Dałam jej kiedyś cukry weneckie z wesela... Prawda, waćpan byłeś wówczas, widziałeś... Weneckie cukry! Miast schować, zadziała je gdzieś, wyrzuciła zgoła. Zaraz sobie pomyślałam: dobre dziecko, miłe dziecko, ale do ordynaryjnego życia stworzone, do zaścianka... Ja bo codziennie Bogu dziękuję za łaskę, jaką mnie dotknął, za zaszczyt! Szczęsny los wyniósł mnie ponad inne i na świeczniku postawił... Cóż stąd, że chwilowo na wielu rzeczach nam zbywa? Fraszka to wobec wspomnienia zażytych splendorów, którym podobne czekają na nas już rychło. Wróci się wszystko z dokładem... Obaczysz wtedy!... Gdy wspomnę, jak Jejmość Carowa wjeżdżała do Moskwy! W złocistej kolasie, w dziesięć tarantów sprzężonej! Koniuszowie wiedli konie pieszo, alabartnicy z obu stron; dwudziestu czterech hajduków w kabaciech czerwonych i pludrach

zielonych aksamitnych... Z tyłu szła druga karetą, także złocista, w osiem białych ogierów... Ja w niej jechałam — ja! Sama jedna! Woźnice i hajduki w ferezjach czerwonych atlasowych. Szor na koniach aksamitny, w złoto oprawny... Za tą karetą trzecia, w której panie Tarłowa i Chmielnicka... Brożek złocisty, czerwonym aksamitem futrowany; konie jabłkowite, szor z aksamitu zielonego... Znowu brożek w konie karę... Boże! Gdy sobie to wspomnę! Jest co pamiętać! A podarki!... Klejnot Neptuna na sześćdziesiąt tysięcy złotych szacowany! Czara hiacyntowa! Ptak wielki z diamenty i rubinami! Zegar złocisty ze sztukami! Pereł cztery tysiące! Pereł wielkich jak gałki muszkatułowe — kopa! Złotogłowi, teletu, aksamitu sztuk osiemnaście! Diana na złotym jeleniu! Manele diamentowe! Misy złote... Pięć półmisków wielkich, złotych!...

Wyliczała z lubością przymykając oczy, w czarownym obrazie tracąc poczucie troski obecnej. Z nią, na ścianie, cień jej rozcapierzony, dziwaczny, chwiał się i trząsał niby szydercze widmo rzeczywistości...

Drzwi się otworzyły. Kasztelan przemyski wychodził kłaniając się nisko carowej...

— Nic więcej, Wasza Miłość? — zapytał jeszcze od progu.

— Nic więcej — odparła wyniośle z głębi izby. — Niech Król Jegomość ustąpi nam Krakowa, to Car Jegomość ustąpi mu Moskwy...

— Ostatnie to słowo Waszej Wysokości?

— Ostatnie.

— Jak wola! — Pokiwał głową ze szczerą litością. — Jeśliby wszakże szczęśliwy namysł przyszedł, racz Wasza Wysokość dać znać do mojej kwatery... Cztery, pięć dni jeszcze tu zabawię... Czołem, pani miecznikowo! Bodajście nigdy gorzko uporu swego nie pożałowały!... Zły ja koniec przewiduję, srogi koniec. Et, i mówić szkoda... Chodźmy, mości towarzyszu!

Wyszedł z Sebastianem. Pani Kazanowska wsunęła się nieśmiało do izby. Zmieniła dogasające łuczywo na nowe. Odwrócona do niej plecami carowa, wychuchawszy w zasnutej mrozem szybie maleńkie, czyste kółko, patrzyła z natężeniem za odchodzącymi. Na majdanie jasno było od miesiąca jak w dzień. Długie, szafirowe, niezwykle ostre i głębokie cienie kładły się skrzepłe na śniegu. Pan Stadnicki oddalał się szybko, gestykulując energicznie ręką. Już wszedł do dworca księcia Rożyńskiego. Już nie powróci tu więcej...

Nie odrywała oczu od maleńkiej, krągłej szybki, jak gdyby w nadziei, że wbrew wszelkiej możliwości przyjdzie znów namawiać ją do powrotu serdecznym, poważnym swym głosem. Przyjaciel dobry... Zarumieniła się mimo woli na wspomnienie wyzywających, grubiańskich słów, którymi odpowiedziała na jego troskliwość. Onaż to mówiła? Ona? Nie po raz pierwszy w życiu zaciężyła jej udręka, męcząca dwoistość własnej natury, nieposkromiony demon pychy, władający nią, narzucający słowa i myśli przeciwne. Znienawidziła go, zapragnęła zniszczyć, upokorzyć, wyzwolić się od niego, a wyzwoliwszy wyrwać się z tego piekła. Och, ani kasztelan, ani nikt nie mógł znać setnej części jej niedoli, upokorzeń, hańby, nędzy, żrącej tęsknoty do swoich. Wracać do domu?... Wydało się jej to mirażem złotym, tak pięknym, że aż niepodobnym.... A przecie oto powrócić mogła... Od niej tylko zależało...

Obejrzała się za siebie. Pani Kazanowska stała przy drugim oknie, gdzie odskrobywała paznokciem w kącie szyby czysty skrawek, patrzyła równie uparcie na majdan. Odwróciła głowę, poczuwszy na sobie wzrok pani. Spojrzały na się uważnie, badawczo, przeniknęły wzajemnie do głębi. Ujrzały nagle własne wyniszczenie, obdarcie, nie dającą się ukrywać nędzę. Po raz pierwszy urojone majaki powodzenia i wielkości, podsuwane przez upór i próżność, stanęły przed ich oczami we właściwej lichocie i nieistotności. Serca skrzepły, ścisnęły się przecuciem okrutnego końca, który im wróżył przyjaciel. Pilnie dotychczas obserwujące oficjalny ceremoniał stosunków — padły sobie naraz w ramiona, szlochając.

— Wracajmy, Wasza Wysokość! — szepnęła przez łyzy pani Kazanowska.

— Wracajmy — powtórzyła jak echo carowa — do domu... Do matki... Do domu!...

— Trza posłać do kasztelana?...

— Zaraz do niego napiszę, że...

Urwała, bo w tejże chwili nieludzki wrzask buchnął za ścianą. Pacholek wyleciał z głównego wejścia na majdan wrzeszcząc wniebogłosy.

— Jezu! Jezu! Co znowu? — jęczała miecznikowa trzęsąc się jak w febrze.

— Nic to... Cichaj waćpani... Hosudar pewno pachotka nabił, więc wrzeszczy...

— Nie! Patrz Wasza Wysokość! Ludzie zewsząd bieżą!

— Jakoż majdan przed dworcem zaroił się ludźmi. Towarzysze, Kozacy, bojary, ciury obozowe biegli gestykułując i krzycząc. Drzwi szarpnięte ustąpiły i razem z mroźnym powietrzem kilku towarzyszy wpadło do izby.

— Gdzie car? — krzyczeli jeden przez drugiego.

— Gdzie wor?

Maryna wysunęła się naprzód.

— Czego tu waszmościowie chcecie? Odkryli głowy, zmieszani.

— Nie masz cara!

— Car zbiegł!

— Car zbiegł! — krzyczeli inni nadbiegając.

Dworzec zapełnił się tłumem. Rozgorączkowani żołnierze przetrząsali domostwo od piwnic do strychu. Zasapani bojarzy klęli, co wlezie. Andronow podszedł wściekły do carowej.

— Gdzie car? Gadaj!

— Jak ty się, chamię, odzywasz do Hosudaryni?... Won stąd! — świsnęła nienawistnie.

Zarechotał obelżywie szydlwym śmiechem.

— Hosudaryni! — powtórzył. — Twój hosudar, twój muzyk, udra! Udiraj i ty... Nu, udiraj!...

Mierzyła go oczyma z zimną pogardą, jak gada. Nienawiść i duma buchnęły z niej jak płomień, ogarnęły całą, zawładnęły. Poczwała, że choćby śmierć miała ją spotkać za godzinę, nie ustąpi, nie zrezygnuje. Pomści swe upokorzenia. Nastąpi im na gardła.

— Won! — powtórzyła krótko.

— Smotri, kakaja!... swołocz! sama won!

Zadźwięzwały śmiałe, twarde kroki. Wszedł do izby Zarudzki, ataman kozacki. Odrzucił na bok Andronowa i zwrócił się do pozostałych:

— Panowie towarzysze! tu go nie masz! Białołowy niepokoiacie, miast biec za nim w pogoń!!

— W pogoń! — powtórzyli żołnierze chórem.

— W konie! w konie! Jeszcze nie zdążył daleko ujechać!...

Wyszli z pośpiechem, tłocząc się we drzwiach. Stojąca nieruchomo carowa zwróciła ku Zarudzkiemu pałającą jeszcze od wzburzenia twarz.

— Co się stało, mości atamanie?

— Car uciekł, Wasza Wysokość!

— Uciekł? Dokąd? po co?

— Bih jego znaję... Pod łubami w saniach się skrył i wyjechał.

— Po co? — powtórzyła, nie rozumiejąc.

— Pewnikiem zląkł się, że poseł królewski całe wojsko do króla namówi i jego pojmać każe... Moskwicin zdradę widzi wszędy...

— Uciekł, nie ma go — stwierdziła. W głosie jej było oburzenie, pogarda i ulga zarazem. Spojrzała na zerkającego ku niej spode łba Andronowa i twarz jej zlodowaciała ponownie.

— Czy wojsko iście przejdzie na stronę królewską? — zapytała.

Bez słowa, zauważywszy jej wzrok, Zarudzki wypchnął Andronowa i zamknął drzwi.

— Większość, zapewne — rzekł spokojnie. — Książ już przeszedł ze swoimi. Pan starosta uświatski jaszcz się waha... Bojary, jak ten oto... — ukazał na drzwi z pogardą.

— Czyli wszyscy — wyszeptała starając się zachować obojętny wyraz.

— Wszyscy?! — zaprzeczył gorąco. — Wasza Wysokość! ja zostaję i moi Kozacy... My nie zawiedziem...

Siedziała nieruchomo przy stole patrząc z roztargnieniem, jak pani Kazanowska drżącymi z przebytego wrażenia rękami wtyka dwa nowe łuczywa w szpary. Przy tej czynności miecznikowa raz po raz oglądała się nieznacznie na carową, rada przypomnieć niedawną decyzję. Ucieczka cara zdawała się ją potwierdzać, lecz twarda, posępna twarz wojewodzianki nie zdradzała ni śladu poprzedniego wzruszenia.

— Cóż teraz począć? — rzekła jak gdyby do siebie.

Ataman Zarudzki patrzył na nią z uwielbieniem, zachwytem, miłością. Patrzył i napatrzyć się nie mógł. Nie widział ostrych, wychudłych rysów, zniszczonych rąk i twarzy, w oczach mając ją taką, jaką ujrzał niegdyś po raz pierwszy, w białej, srebrzystej sukni i wieńcu białych róż woskowych na czarnych warkoczach.

— Co począć? — powtórzył półgłosem. — Wasza Wysokość, oprzeć się na moich siłach...

— Bóg zapłać — rzekła obojętnie. — Rozpędziłeś tę hołotę, atamanie, dziękując... Drugi to już raz salwujesz nasz spokój...

— Innego celu ni pragnienia w życiu nie mam — szepnął.

Odmienny niż zwykle dźwięk głosu sprawił, że spojrzała nań uważnie. Spojrzała i spuściła nagle oczy. Spłonęła, odmłodziła cudnym, nieświadomym, pełnym zakłopotania dziewczęcym uśmiechem, który przeobraził, rozjaśnił pogardliwą maskę jej twarzy. Z nie zaznanym nigdy dotąd onieśmieleniem podniosła znów długie rzęsy — ogarnęła go spojrzeniem... Stał blady, z kurczowo ściśniętymi brwiami. Pięknie wykrojone wargi skrzywił boleśnie namiętny półuśmiech... Z beznadziejnym gestem straceńca pochylił się do jej kolan.

— Wasza Wysokość — zaczął głucho.

Milczała, pierwszy raz w życiu zmieszana. Rozsadzająca piersi atamana straszliwa siła miłości i żądy, ujawniona niespodzianie, zdumiała ją, omroczyła... On zaś obejrzał się, a widząc, że miecznikowa wyszła, zapewne aby sprawdzić osobiście nieobecność Hosudara, jął mówić szybko, urywanie, na poły przytomnie:

— Wasza Wysokość! Ja twój rab, sługa, zaprzędana dusza... Wasza Wysokość... Na śmierć za zuchwalstwo skarż! Katu daj... ale zwól mówić! Tyle czasu!... Nikt nie znał, milczałem... ale dość! Nigdy więcej... Powiesz, śmierć sobie zadam sam, ale wpierw zwól mówić... Słuchaj! ... Miłuję cię!... Miłuję, odkądem cię pierwszy raz zobaczył w Samborze. Życie oddam, duszę, krew... Wasza Wysokość Słuchaj! Tamten zbieżał... Wor pohany! Już go nia ma... Sława Bohu! Carową będziesz sama! Ja carstwo tobie zawojuję... Wojsko mam... Mogę mieć więcej... Zechcesz, skrzyknę całą Sicz. Powiodę cię do Moskwy... Zdzierzę wszystkim... Panować będziesz... Wasza Wysokość! Panować sama!... Ja twój rab, u twoich nóg przysiędę... Nie chcę nic, jeno byś się zwoliła miłować... Carowo, hołubko... Daruj...

Milczała, ciągle oszołomiona gradem słów, żuzłem gorącym lecących wprost z serca. Zdawało jej się, że widzi słowa te, czerwone, lepkie, padające wokoło niej jak płatki róż damasceńskich w wirydarzyku matczynym. Czuła, że powinna przerwać ten potok zakłęb, podnieść zimno głowę i odprawić zuchwałego sługę. Jak niegdyś, niegdyś, dzieckiem nieledwie, odprawiła Osmólskiego, tego samego, co zginął później w Moskwie w jej obronie... Tak należało

uczynić i teraz... Czują to, lecz nie znajdowała w sobie siły, by ten gest krótki uczynić. Coś gięło się w niej, łamało, nieśmiało wznosiło głowę. Zagłuszona, zabita kobiecość błagała z głębi o litość nad sobą. Nieświadomie przemyślnym wybiegiem odroczyła na moment decyzję co do stanowiska, jakie należało zająć wobec wybuchu młodego atamana.

— W Samborześ mnie waćpan widział? — zagadnęła, jak gdyby w tym właśnie było sedno sprawy.

— W Samborze — szeptał — w ten wieczór, kiedyś się z carewiczem zwieńczyła...

— W orszaku carewicza byłeś waść?

Zawahał się przez chwilę, stropiony.

— W orszaku Wiśniowieckich — rzekł krótko. Drżał, by nie pytała go dalej. Nie śmiał wyznać, że jego to, oberwańca, Iwaśka z Zarudów, podglądającego przez okno do sali, przegnała wówczas z galerii jak psa.

— Wasza Wysokość — podjął gorąco — pierwszy i ostatni raz ośmielam się o beznadziejnym moim afekcie prawić. Nie dowie się nigdy nikt!.. Carowo moja... Pani moja... Rządź mną, jak chcesz, rozkazuj!.. Zechcesz, na brata rodzzonego skoczę... Z całym światem walczyć będę... Jenó mnie od siebie nie goń...

— Isto, podjąłbyś się waść walki z Szujskimi? — zapytała nie patrząc na niego.

Twarz mu spłoneęła szczęściem i szaleństwem.

— Z Szujskimi, z Filaretem, z królem polskim, z wszystkimi! — zakrzyknął. — Zdzierzę! Obaczysz Wasza Wysokość! Zawojuję cały świat! Nie ulęknę się nikogo... Kozaki mnie miłują. Skrzyknę ich, wiewa będzie potrza... Zawojujem Moskwę, Polskę. Na tronie cię złotym posadzę... Jak ikonę ustroję... Carowo, duszo ty moja!..

Urwał łapiąc dech, bo miecznikowa wracała. Lękliwe, niespokojne oczy wpiła w twarz carowej. Snuła się po izbie bezszelestnie, niby wielka, czarna ćma, dygotała z obawy i niecierpliwości zarazem.

— Wasza Wysokość — wyjąkała wreszcie, niezdolna pohamować się dłużej — czy Wasza Wysokość raczy kazać przywołać pachółka?

Maryna spojrzała na nią pytająco.

— Pachółka, co by list zaniósł?...

— List? — zapytała carowa zdumiona.

— List do pana kasztelana w sprawie... — nie dokończyła, pokorne, błagalne oczy wznosząc na pociemniałą nagle z gniewu twarz carowej.

— Nic nie wiem o żadnym liście — przerwała Maryna z naciskiem. — Pan kasztelan — zwróciła się do Zarudzkiego — proponował mi wyjazd do Polski. Wierę, byłoby im to po myśli... Ale srodze się zawiódł, bo raczej zginę tu, niżli wyjadę...

Spojrzała na miecznikowa i oczy jej złagodniały.

— Jejmość ochmistrzynie może jechać, jeśli wola — zauważyła — nie będę mieć o to rankoru nijakiego... Pospolite jest u powszechności przekładanie bezpieczeństwa i spokoju nad wielkie zamysły i cele udziałem jeno wybranych będące... Tak mniemam, że kogo Pan Bóg raz na świeczniku osadził, świecić musi — powtórzyła słowa wyrzeczone niedawno do kasztelana.

Pani Kazanowska wyszła cicho do sąsiedniej izby i padła bezsilnie na ławę. Spiczaste, wąskie jej plecy drżały, jak gdyby wstrzymywała łkanie. W zapadłej piersi wrzała walka między pogardą dla tego, co uważała za swą słabość, a zalem nieutulonym... Kogo Pan Bóg na świeczniku osadził, świecić musi; słusznie, słusznie — powtarzała bezmyślnie — kogo Pan Bóg na świeczniku osadzi... Pospółstwo niech dba o spokój... Wybrany gloria, chociażby drogo kupiona, przystoi. — Na pociechę jęła przywoływać na myśl ulubione wspomnienia niezapomnianego wjazdu do Moskwy, bez mała trzy lata temu... Oto karetą złota... jedna...

druga... trzecia... w pierwszej carowa, w drugiej ona... Chwieją się kity wplecione w farbowane na purpurowo grzywy koni... Szor aksamitny zielony... Droga wysłana materia niepodła... Choć myśl zbuntowana wracała uparcie do jakiejś prostej powózki, co by zapadłym traktem wiozła ją ku Polsce, ku Nieborogom rodzinnym — powoli działał niezawodny haszysz wspomnień zadowolonej próżności. Otarła oczy, poprawiła zmięty kornet, wyprostowała się ceremonialnie. Pogardziła samą sobą za minioną małoduszność, właściwą pospólstwu... U niej już się nie powtórzy...

— Pan starosta uświatski chcą widzieć Jejmość Carową! — krzyknął nagle ode drzwi pacholek.

Zerwała się szybko z miejsca, by zameldować odwiedzin swojej pani. Ataman Zarudzki stał nieruchomo, pogrążony w milczącym jakimś zachwyceniu. Na odgłos kroków wyprostował się, przeciągnął ręką po czole błędnym ruchem i wyszedł bez słowa.

W sieni minął się z panem Sapieha, który skinął mu głową z wielkopańską niedbałością.

— Jejmość Carowo — zaczął swobodnie starosta, powitawszy — miłościwy małzonek, jako słyszę, zbiegł. Krzyżyk na drogę!... Przyszedłem spytać otwarcie, co w takowych cyrkumstancjach Wasza Wysokość chcesz czynić?

— Ja nie zbiegnę — rzekła wyniośle.

Spojrzał na nią z badawczym uznaniem. Miała wypieki na twarzy, zdecydowane usta i bystre, stanowcze oczy. Choć znał ją z dawna, spodziewał się tym razem ujrzeć ją rozkołatąną, strwożoną ucieczką cara, przejściem Rożyńskiego — bezbronną i szukającą opieki. Widoczny jej animusz i determinacja zaimponowały mu, ujęły jego, męstwo nade wszystko ceniące, serce. Ucieszył się w duszy, że taką będzie miał planów swych współpracowniczkę.

— Admiruję najgoręcej fantazję isticie kawalerską Waszej. Wysokości i siłę ducha ekstrordynaryjną, a w białogłowie zgoła niewidzianą — rzekł szczerze.

Spojrzał na nią znowu i zdziwił się, pierwszy raz bowiem wydała mu się ładna, kobieca. Było w niej coś nowego, odmiennego — zapewne radość z wyzwolenia się od rzekomego małżonka.

— Admiruję całym sercem — powtórzył — jako przyjaciel życzliwy jednak rad bym wiedział, co Wasza Wysokość chcesz czynić?

— Na Moskwę iść — odparła, jakby zdziwiona pytaniem.

Wydał usta spoglądając na nią bokiem. Podobała mu się coraz to więcej.

— Na Moskwę... ale jak?... Wasza Wysokość sama, na czele takiej imprezy? Z kim? Przyszedłem pokonferować otworzyście, choć pod najtajniejszą dyskrecją: Masz Wasza Wysokość istotną chęć upierać się przy walce?

— Przy moich prawach... — skorygowała dumnie.

— Tak jest — skłonił głowę — w tym propozycje współnictwo chętnie mogę ofiarować... Wasza Wysokość masz prawa i tytuł formalny, zaprzysiężony; ja mam eksperyencję i siłę, bez której nie zdziała nikt nic... Razem będziemy walczyć o tron moskiewski, by wspólnie na nim zasiadać...

Patrzyła nań chłodno, przenikliwie, nic nie mówiąc.

— Inaczej rzekłszy — podjął nie tracąc pewności siebie pan Sapieha — mam zaszczyt i śmiałość prosić o rękę Waszej Wysokości, jako wdowy po carze Dymitrze, którego zabił w Moskwie, w maju 1606 roku — podkreślił wyraźnie — gwarantując, że ją na tronie carskim posadzę...

— Miła mi jest chęć waszmości — odparła sucho — przecież do takowego współnictwa przyczyny nie widzę, do małżeństwa tym bardziej...

Nie zrażony bynajmniej, począł ją przekonywać, tłumaczyć. Mówił długo. Mówił jak



statysta, jak wódz, jak biegły polityk, a przede wszystkim jak orzeł drapieżnik, kąsany żądzą sławy i władania. Roztaczał przed nią projekty działań, obliczał siły swoje i nieprzyjaciela, z płonącymi oczami rozgrywał batalie, wchodził w święte mury Moskwy, brał razem z nią w posiadanie niezmierny kraj...

Nie przerywając, zamyślona słuchała nie tyle tego, co mówił, ile własnych rozpieczętych myśli. Oto w przeciągu godziny dwóch ludzi kolejno przyszło jej ofiarowywać to, czego pragnęła i żądała — tron. Którego wybrać? Na którym się oprzeć? Zbyt mądra była i trzeźwa, by nie widzieć jasno, że pewność Zarudzkiego oparta była głównie na osobistym jego męstwie i zapale, gdy Sapieha posiadał ponadto geniusz strategiczny, olbrzymie stosunki, długoletnie doświadczenie wodza i fortunę udzielnemu księstwu równą. W wyborze zatem między nimi dwoma nie należało wahać się ni chwili. Czemuż Sapieha nie przyszedł wcześniej! Choć jasno widziała różnicę, czuła, że nie zdoła zabić tego, co się w jej sercu zrodziło przed chwilą. Nie, nie — za nic! Przenigdy oczy Sapiehy nie spojrzą na nią wzrokiem miłosnym tamtego... Jest mu równie obojętna, jak była pierwszemu mężowi, kochankowi pięknej Kseni Godunówny; jak plugawemu chłopu pijanicy — narzędziem i niczym więcej... — Podniosła głowę rozdymając cienkie nozdrza.

— Raz jeszcze uprzejmy dank składam za dobre chęci wascine — rzekła — wszakże powtarzam, że wolę walczyć o należy mi tron sama...

Spojrzał na nią osłupiały.

— Wasza Wysokość sama?! Przeciw całej Moskwie? przeciw królowi? Gdzie siły?!

— Dam sobie radę — odparła wymijająco.

— W jaki sposób?! kto pójdzie z Waszą Wysokością?!

— Kozacy zostaną przy mnie...

Pan Sapieha umilkł i skoro się pożegnał. Prawda zaświtała mu w głowie.

„Byłbym Jazonem, to pewna — myślał wychodząc — ale Medea zawiodła... Głupia baba! Z tym Kozakiem daleko nie zajedzie... Gładka gęba i pięść same nie wystarczą.”

Odprawił pachołka z końmi, nawymyślawszy mu wprzódy dla ulżenia sobie, i dość kwaśny ruszył naprzeciw, do kwatery pana Stadnickiego, zgłosić swą gotowość działania wspólnie z Królem Jegomością.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### W BOJU

**C**ale nieźle ufortyfikowali ten ostrożek — zauważył hetman objeżdżając Carowe Zajmiszczce.

Wkoło, na szerokim błoniu, wrzała praca. Piechota z pacholikami sypała gródki, na stu ludzi każdy, mające objąć pierścieniem twierdzę. Poza wojskiem leżał migocąc do słońca olbrzymi staw, przecięty szeroką groblą, miejscem onegdajszej zaciętej bitwy. Ciurowie uwijali się na niej, zbierając ostatnie trupy moskiewskie, które pan hetman po chrześcijańsku, choć osobno od swoich pogrzebać rozkazał. Jazda rozkładała obóz na dłuższy postój. Łączono łańcuchami wozy, zastawiano w przejściach kobylice. O wzięciu bowiem ostrożka szturmem nie było co marzyć, nie posiadając dział burzących. Zresztą Wałujew miał w twierdzy przeszło dziesięć tysięcy wojska, pan hetman niecałe osiem. Teraz dokonywał oględzin zewnętrznych twierdzy w towarzystwie panów rotmistrzów: Bobowskiego, Firleja i Strusia, bratanka swego Adama, siostrzeńca Olesia Bałabana i Sebastiana Pielsza.

— Tu las i tu las — narzekał pan Żółkiewski — warowny ostrożek! Trza jeszcze obaczyć, jakie jest podejście z tyłu...

— Tam jest trzęsawisko srogie, pod sam częstokół podchodzące — odezwał się Sebastian. — Widzieli my to, stojąc w Zajmiszczu temu dwa roki z pana Sapieżyńskimi wojskami...

— Waść byłeś w Carowym Zajmiszczu? — podchwycił żywo hetman. — Przednio się zdarza. Powiadajże, jako tam jest?...

— Z przodu, od błonia, fosę mają potężną — objaśniał z wolna, jak zwykle, Sebastian. — Za fosę częstokół, druga fosa mniejsza i znowu częstokół. Brama jedna od naszej strony. Warowna... Od bagna nikt nie podejdzie, nawet piechty, chyba zimą na łyżach...

— Po ostatnich deszczach rozgrzęzło pewno tym bardziej — zauważył rotmistrz Bobowski.

— Pewnikiem. Od lewej, w las, jest mała furteczka dla wycieczek. Pomnę, że czeladź chodziła tamtędy po drzewo. Zresztą siła się mogło zmienić, bo widzę, że ostrożek warowniejszy jest, niżli był wprzód. Onych wieżów też nie było.

— Wałujew je musiał wznieść. Długoście tu stali z panem starostą uświatskim?

— Kilka niedziel, Wasza Dostojność.

— Tedy i drogi musisz znać a przechody leśne. Trzymajże się nas, towarzyszu, nieraz bowiem przydadzą się nam te informacje.

Zawrócili ku obozowi. Hetman z rotmistrzami ruszył wprzód, coś onym poufnie tłumacząc. Trzej pozostali jechali w milczeniu. Wesoly, gadatliwy Oleś Bałaban, rad zaczął rozmowę, spoglądał niecierpliwie to na Sebastiana, to na krewniaka, młodego Adama Żółkiewskiego, którego piękna, nieruchoma twarz wyrażała przygnębienie i obojętność zupełną. Przyczynę tego przygnębienia, ustawicznego smutku, który w przyszłości do samobójstwa nieszczęsnego młodziana miał pchnąć, znali z dawna wszyscy. Była nią miłość do ciotecznej siostry, cudnej urody Izabeli Daniłowiczówny, podskarbianki. Ni dziewczyna, ni ojce słyszeć o grzesznym, w tak bliskim pokrewieństwie, afekcie nie chcieli, i młody rycerz gorzał daremno, trapił się i wiądl.

Przebywając od pięciu miesięcy przy boku hetmana Sebastian miał czas dowiedzieć się tych szczegółów z opowiadań rozmownego Olesia. Nie pozbawiony zmysłu obserwacyjnego, zauważył zresztą sam znacznie wcześniej, że zarówno hetman, jak stary rotmistrz Bobowski, Oleś Bałaban i inni obchodzili się z Adamem Żółkiewskim niby z człowiekiem ciężko chorym, którego lada czym można urazić. Zarazem dostrzegł w tym współczuciu wyraźny odcień politowania i żalu, jak gdyby uważali niemoc duchową hetmanowego bratanka za rzecz nie marską, rycerza niegodną, nie przynoszącą zaszczytu bynajmniej. W poważnym wzroku hetmana, śledzącym badawczo, choć nieznacznie, obojętny krok, przygasłe oczy młodego desperata, widniała wyraźna nagana, której nie wyrażał jeno przez zbytnią swą dobroć.

Podobnie z niechęcią kiwali głowami rotmistrze, szkodząc niepoślednich zalet marnujących się w melancholii nieszczęśliwego afektu.

Sebastian nie dziwił się zgoła tej milczącej ogólnej przyganie. Jemu samemu widok zdrowego, dzielnego rycerza przesuwającego się wśród życia i ludzi martwo, niby śnięta ryba, wydawał się przykry, tym przy krze jezy, że ujrzał w nim konterfekt samego siebie. Czyż, nie tak dawno jeszcze, nie zamykał się podobnie w rozmyślnej sennej tępocie, nie drżał przed lada piosenką, lub słowem, niebacznie przeszłość wskrzeszającym? Czy nie truł świadomie swej duszy w gnijącej, podłej beczynności? Czuł się winniejszy niż Adam, raz, że był starszy i dojrzałszy, po wtóre, że młody Żółkiewski, acz chodzący niby we śnie, nie uciekł przecież do szalbielowego obozu, nie zapał się uczciwości i honoru, milcząca obecnością nie akceptował łupiestw i gwałtów stanowiących chleb codzienny najemnego towarzystwa. Wstyd palił czoło, gdy przypominał sobie czasy tam spędzone. W beznadziejnym opuszczeniu Adama oglądając niby w zwierciadle samego siebie, zapragnął wziąć się z udręką za bary, spojrzeć jej w oczy po męsku, pokonać i obezwładnić. Z radosnym zdziwieniem ujrzał, że samo to postanowienie stanowiło już pokąźną ulgę i ważny krok naprzód. Nie przestał wprawdzie tak samo cierpieć i tęsknić, lecz odyskiwał powoli podstawowy, konieczny element bytu: szacunek dla samego siebie.

Obecnie, patrząc na ciemne oczy młodego rycerza, błędzące po falujących szczytach drzew z tępym, tak dobrze z własnych przeżyć znanym zatumanieniem, poczuł w sercu nagły przypływ litosnego braterstwa bólu. Rad by wziął cierpiącego za rękę, dzieje swoje opowiedział, do walki ze zmorą miłości nakłonił. Lecz podnoszące się z głębi duszy uczucie zamarło na przywykłych do milczenia ustach, niezdolne wyrazić się w słowie.

— Jacyś konni jadą ku nam! — wykrzyknął naraz Bałaban, zaciekawiony.

Adam Żółkiewski oderwał powoli wzrok od dalekości boru, na których jak gdyby chciał zaczepić swoją tęsknotę.

— A jadą... — potwierdził obojętnie.

— Nasi chyba? Bo pancerni... Ale skąd by jechali? Podjazdy niedawno wyszły...

Jakoż sześciu towarzyszy pancernych sunęło ku nim od lasu. Podjechali rysi. Na żołnierskich, wąsatych twarzach malowało się wyraźne zakłopotanie, nie licujące z ogorzałą srogością lic.

— Assanowicz jestem, herbu Stary Koń — rekomendował się pierwszy, wyjeżdżając naprzód — to zaś są panowie: Niewiadomski, Skumina i Wysokiński. Towarzysze sąśmy z chorągwi pana Zborowskiego.

— A... — rzekł krótko Bałaban i zeszywniał.

— Radzi byśmy z panem hetmanem mówili — ciągnął niepewnie Assanowicz — jeno nie wiemy...

— Zali zechce z waszmościami gadać! — roześmiał się Bałaban. — Proszę, proszę, poprowadzim do kwatery.

Ruszyli przodem — pancerni za nimi.

— To takie syny — te zborowszczyki — objaśnił półgłosem Oleś Sebastiana — przy szalbielzu jeszcze się trzymają, o milę stąd stoją... Onegdaj posyłał do nich pan hetman poselstwo, ku nam wzywając. To, mówię waści, kpinami, krzykami przyjęli, aż wstyd powtarzać. Takie gady! Ciekawość, czego chcą ninie... Już im tam pan hetman słodkiego lica nie okaże, nie! Może wcale i gadać nie zechce.

Świsnął w powietrzu witką, którą konia od much oganiał.

— Nie śmiałem się odzywać — ciągnął przybierając poważny wyraz, nie licujący z jego kragłą, uśmiechniętą twarzą — ale od razu nie w smak mi było jegomościne poselstwo... Nie

wiem, zali wiesz waść, że ten-ci Zborowski synalkiem ukochanym był infamisa, banity Samuela, którego nie za moich jeszcze lat, czasu króla Stefanowych rządów, ścięli... Że hetman jegomość stroną sprawiedliwości przeciw zbrodni trzymał i do ujęcia tego łotra dopomógł, straszna przeciw niemu w rodzie Zborowskich inwidia... Zacięte to wrogi hetmanowe... Młody pewnikiem taki sam. Łacno było przewidzieć, że grubiaństwem na propozycje odpowie... Wspominałem o tym jegomości, któren mię sfukał i poselstwo słał; a ot, czyja się okazała racja...

Stanęli przed namiotem hetmańskim, w środku obozu stojącym.

— Wasza Dostojność! — zawołał Bałaban oddając konia pacholikowi — towarzysze spod chorągwi pana Zborowskiego przyjechali!

Wbrew jego oczekiwaniom hetman wyszedł ze zwykłą, spokojną pogodą na twarzy.

— Cóż waszmościów tutaj sprowadza? — zapytał przybyłych.

— Wasza Dostojność! — zaczął z determinacją Assanowicz chyląc się do kolan pana Żółkiewskiego — niewdzięcznie my przyjęli posłów Waszej Dostojności z winy kilku powsinogów a krzykaczów, którzy tego potem oberwali, bo i do szabel między nami przyszło. Prosi pokornie pan rotmistrz Zborowski, byś Wasza Dostojność żalu żywici nie raczył, a ku sobie przymknąć pozwolił. Siła u nas ludzi rycerskich, dobrego serca i fantazji, którzy o potrzebie onegdajszej zasłyszawszy, płaczą prosto, iż w niej udziału nie mieli...

— Nic miłszego jak takie poselstwo — uśmiechnął się hetman radośnie. — Niechże pan Zborowski ściąga ku nam, a rychło, bo nie wiadomo, czy za godzinę nowa się okazja nie zdarzy...

Padli mu do nóg dziękując za wspaniałomyślność, on zaś uściskał każdego z kolei mówiąc:

— Jakże? dla prywatnej urazy ujmowałbym dobrego żołnierza Rzeczypospolitej?!

Odjeżdżali szczęśliwi, obiecując za dwie godziny nadciągnąć z chorągwią i taborami. Gdy hetman znikł w głębi namiotu, Oleś Bałaban zmarszczył się niechętnie.

— Przydać, przydadzą się, nie ma co gadać, bo nas garstka ino... Ale trza ich było choć dobrze zwymyślać! Toć sobie waćpan ani wyobrazić możesz, jak grubo posłów hetmańskich przyjęli... A jegomość od razu do nich niby ojciec!

— Jegomość zawdy tacy —: przy wtórzył Adam Żółkiewski. — Inny by nieraz zesrotnocił, od matki nałajał, a on jeno pisarza starożytnego zacytuje albo jednym słowem tak skonfuduje człowieka, że nie wiesz, gdzie oczy podziać...

— Drugiego takiego nie masz! — wykrzyknął rotmistrz Bobowski dosłyszawszy koniec rozmowy. — Pan hetman!... Nieraz, ruszając z domu, zdarzyło się zapomnieć tego lub tamtego... Szkaplerzam kiedyś zabaczył — wyznał ze wstydem, — Ale jego książeczki nigdym nie ostawił! Trafiłoby się kiedy, by serce osłabło, to z niej nowej ochoty zaczerpnie...

— Książki? — zdziwił się Sebastian.

— Ejże? nie znasz waść? — Podsunął mu pod oczy małą, wytartą książczynę, w pergamin oprawną. — Patrzajże! Pan hetman to pisał, zaś Cezary w Krakowie w swojej oficynie drukował: „Pobudka do cnoty...” Rycerska rzecz. Maksymy tam znajdziesz waść, najbardziej struchlałe serce podnieść i zagrzać mogące.

Poślinił palce przewracając z nabożeństwem ulubione kartki.

— „O Lakonowie — czytał — przeciwko azjatyckim narodom nie wstyd was zacnych dziełów...”

— Zacz Lakonowie? — otworzył oczy Sebastian.

— O dlaboga — zniecierpliwił się staruszek — toćże to figuralnie powiedziane jest: rzekomo o Lakonach, którzy z Leonidasem, wodzem swym, Kserksesa Persa zadzierżywali, ale wiadomo przedsię, co rozumieć.... „O Lakonowie — powtórzył — przeciwko azjatyckim

narodom nie wstyd was zacnych dziełóv dziadóv, pradziadóv waszych?... Z dzieciństwa do tegośmy się ćwiczyli. Wstyd mnie napominać Lakony. Niech choć wszytek słońca wschód ciągnie na upadek nasz: trzymając w ręku broń bezpieczniśmy są. Sromota Lakonom, ile zbrojnym, pytać się, jako mają bezpieczni być... Nie wiem, jeśli zwyciężyć mozem — to wiem, że zwyciężeni i pohańbieni być nie mozem..."

Po chwili czytał dalej:

— „Jeśli czas przyszedł śmierci naszej, oszukiwa się, kto się jej boi. Głupia rzecz jest bać się tego, czego się schronić nie możesz..."

— Słuchaj no waść, słuchaj jeszcze!

— „Sparta, ojczyzna nasza, nie obwiedziona jest mury... Nam trzeba za mur wystarczyć... Tu najpierw potentat, co góry wywraca, natrafi, czego wyrócić nie zdoła: cnoty naszej. Wszelkiemu mężowi sromotna rzecz uciekać — Lakonowi o tym i rozmyślać..."

— Racyzysz pożyczyć mi waszmość tej książki? — spytał nieśmiało Sebastian.

Ton jego głosu rozbroił starego rotmistrza.

— Z miłą chęcią! Jeno nie przed bitwą, bo nierad bym bez niej umierać... Sam pan hetman mi ją dał... Pan hetman!... I jeniusz, i uczony... Całą bibliotekę ze sobą wozi. Sprawiedliwie mówię, bom sam nieraz widział...

— Wiadomo! — roześmiał się Bałaban. — Łacińskie pisma Cezara, Tucydidesowe, Herodotowe wspominki, Francuza Commines, Reinolda Heidensteina i innych; nie zliczyć!

— Panowie rotmistrzowie na naradę! — krzyknął, przebiegając mimo, Wiesiołowski, pokojowiec hetmański.

— St□, Wałek! Czy to podjazdy wróciły?

— Ano! Jeńców przywiedli. Są pono ważne nowiny! — odkrzyknął Bałabanowi młody szlachcic i pobiegł dalej.

Stary Bobowski wsunął książeczkę w zanadrze i ruszył do namiotu. Zewsząd ściągali spieszenie pozostali rotmistrzowie: Kopyciński, Dunikowski, książę Porycki, książę Korecki, Kazanowski, Wasiczyński i inni. W namiocie hetman odprawiał łaskawie kilku jeńców, bojarskich synów, przywiedzionych przed chwilą przez podjazd rotmistrza Niewiarowskiego. Hetman pozwolił im wracać wolno, dokąd chcą. Odziani w jaskrawe, długie sarafany, stali oszołomieni, strwożeni, bo spodziewali się stryczka. Bijąc co moment pokłony, łypali wokół podejrzliwymi oczami. Łaskawość hetmańska zdawała im się kryć niewątpliwą zasadzkę. Gdy ich wyprowadzono, hetman zwrócił ku zebrany markotne nieco oblicze.

— Same ważne nowiny mamy, panowie... Wojska Dymitra Szujskiego idą spiesznym pochodem Wałujewowi na odsiecz. Połączył się z nim Pontus de la Gardie, także Horn i Monsieur de la Ville, któren nadciągnął już z Rzewa. Nocować dzisiaj mają o cztery mile stąd, pod Kłuszynem...

— Siła ich? — zagadnął Porycki.

— Cudzoziemców osiem tysięcy. Przednie to pułki, jak wiemy, Moskwy czterdzieści tysięcy... Chłopów, kobylice i sprzęt wiozących, ćma: dwadzieścia tysięcy; ale to hołota, której rachować nie warto... Będzie wszakże koło pięćdziesięciu tysięcy wojska dobrego... Jutro tu staną... Trza się naradzić, co czynić.

— Psiakrew! To Szujski z Pontusem się złączył? — zaklął z cicha Kopyciński.

— A Francuz!... — Tego jeszcze brakowało!

— Podejdą tu, a Wałuje w od tyłu na nas uderzy...

Zamilkli patrząc w twarz hetmana wyczekująco. Lecz on nie kwapił się z wypowiedzeniem swego zdania, rad owszem wysłuchać wprzód, co by myśleli.

— Ciężko zdzierzeć — szepnął Dunikowski. — I pod Kircholmem takiej przewagi nie

było...

— Tu czekać na nich?... Może by ku nim się pomknąć? — spojrzął pan Struś w hetmanowską twarz pałającymi oczami.

— Jak to? Wałujewa za plecami zostawiając? — ofuknął go Wasiczyriski.

— Reta! Reta! W obcym kraju! Pobiją nas, to wyginąć marnie przyjdzie! — biadał Dunikowski. (W ogniu przedni był żołnierz, lecz w radzie zawsze co najgorsze przewidywał.)

— Częścią pójść, a część ostawić — zaryzykował Firlej.

— Nie ma co dzielić! — mruzczał Wasiczyński. — Tę garstkę? Ani tu, ani tam nic nie sprawisz...

— Chyba za groblę się cofnąć albo bokiem w las się rzucić? — podsunął Dunikowski. Milczący dotąd hetman zmarszczył brwi niechętnie.

— *Modus* by to był ani uciążliwy, ani bezpieczny...

— Panu hetmanowi świat zmierzł i rad by wojsko ze sobą wygubić — burknął z cicha Dunikowski do Kopycińskiego.

— A cóż ty, towarzyszu, myślisz? — zwrócił się nagle hetman ku Bobowskiemu.

— Ja? — zdziwił się stary rotmistrz. — Ja tak jak Wasza Dostojność...

— Jeszcze nic nie rzekł — uśmiechnął się pan Żółkiewski.

— Nie wadzi. Co Wasza Dostojność każesz, będzie dobrze...

Dziecinnie omal szczery i radosny uśmiech przewinął się pod mlecznym wąsem starego żołnierza, gdy zacytował półgłosem:

— „Nie wiem, zali zwyciężyć mozem — to wiem, że zwyciężeni i pohańbieni być nie mozem”...

Wzrok pełen bezbrzeżnego uwielbienia i ufności wlepił w twarz wodza, który uśmiechnął się doń serdecznie.

— Pan Zborowski jedzie! — zajrzał do namiotu Bałaban.

— Chodźmy go witać — rzekł hetman powstając. — Rychło ogłoszę moją decyzję waszmościom, tymczasem wojsko ma być w pogotowiu.

Chorągiew pana Aleksandra Zborowskiego wjeżdżała szumnie i strojnie. Piękna była i dobrze okryta. Pan Zborowski pozdrowił hetmana, dziękując za łaskawość i obiecując służbę nieleniwą.

— Trafi ci się do niej sposobność, i to skorzej, niż waćpan przypuszczasz — rzekł hetman.

Nagłym ruchem odchylił się i spojrzął przenikliwie w dumną, rasową, wichrowatą twarz młodego dowódcy. Znać w niej było jakiś przymus czy walkę wewnętrzną. Bez słowa pan Żółkiewski przycisnął go do piersi i ucałował gorąco jak syna...

Za czym, wezwawszy synowca Adama i rotmistrza Bobowskiego do pisania rozkazów, zamknął się z nimi w namiocie.

**S**zósta dochodziła i żarkie lipcowe słońce wysoko jeszcze stało na niebie, gdy wysłańcy hetmanowi obiegli obóz, bez trąbki ni bębna roznosząc rozkazy. Wojsko miało natychmiast wychodzić pod Kłuszyn (Masz, diable, kaftan! Wymyślił! — zaklął ze złością rotmistrz Dunikowski) porządkiem ściśle oznaczonym: Strusiowa chorągiew pierwsza, Zborowskiego druga, Poryckiego trzecia, Kazanowskiego czwarta, dalej Dunikowskiego, Wasiczyńskiego, Kopycińskiego, Firleja i inne. Piechoty ludzi dwieście, dwa cztero-konne przednie falkonety i stara kolaska hetmańska. Tę ostatnią aby wzięto, wyprosił, wymodlił Bałaban.

— Głupiś, i tak do niej nie siędę — fukał na sioitrzeńca hetman przy pisaniu rozkazów.

— Nie daj Boże nieszczęścia, Jegomość... co szkodzi Jedna kolaska? Pochodu nie zadzierzy — upierał się przy swoim Oleś. Widząc szczerą troskliwość chłopca? hetman ustąpił niechętnie.

W obozie miały pozostać tabory, namioty, siedemset piechoty, nieco Kozaków, trzy chorągwie jazdy, ciury i pacholiki, którym broń rozdano, przykazując szumieć i hałasować potężnie, by Wałujew domyślić się wymarszu wojska nie mógł. Komendę nad obozem w nieobecności hetmana sprawiać będzie pan Bobowski, żołnierz stary, doświadczony.

Czerwonozłocista zorza zalała skrzącą powodzią drzewa nad wojskiem w pochodzie, gdy kapelan, ksiądz Szymon Wybirek, przyjaciel hetmański, jadący w pierwszym szeregu, wznosił oczy do nieba i stułę na szyję założył szepcząc Anioł Pański. Widząc jego gest, rycerze żegnają się pobożnie, powtarzają półgłosem Pozdrowienie Anielskie. Biją się w piersi, chylą w pokorze głowy. Przodem, pobok kapelana, pan hetman jedzie zamyślony, tuż za nim obaj krewniacy i Sebastian Pielsz na swym kirgizie (podobnym w cieniu leśnym do stwora niestwora), jako kałauz, drogi okoliczne znający. Zmierzch w puszczy szybko zapada. Gościniec wydłuża się ciemnym parowem. Bór-urowisko, bór dziki, gada coś niezrozumiale. Miesiąc rogaty wypływa ponad głęboki jar drogi, przegląda się w błotnistych kałużach, rzucając w nie garści złota... Trzeszczą gałęzie, bo rycerstwo lasem objeżdża błotnistą drogę. Spod kopyt pryskają świecąc ni to chochliki, błędne leśne duszki — robaczki świętojańskie, nierade, że im gody miłosne przerwano. Migocą w górze jak klejnoty nocy. Raz po raz wilgotna od rosy gałąź trzepnie z hałasem o hełm towarzysza. Gdy spod nóg porwie się spłoszony zwierz (nie rozpoznasz w mroku, jaki), szustnie wśród liści skokami szaraka albo wyniesie się w górę polotnym wyrzutem nóg sarnich — boczą się i chrapią konie. Z fukiem, tętentem, sapaniem przelatuje w poprzek drogi wystraszone stado dzików. Chrzążą groźnie zajadłe maciory zasłaniając sobą cętkowane, niemrawo warchlaki. Z żelaznym chrzęstem strzelają w kielce odyńce. Giną w ostępie. Znów cisza. Ryś przywarował w rozwidleniu drzewa. Nastawiwszy bacznie uszy, ostro pędzlem sierści zakończony, patrzy w dół. Zdziwienie bije z płaskiej, kociej mordy drapieznika: cóż to za wojsko sunie dołem, jak wilcy cicho?... Na jakie ruszyli łowy?...

Hej! Na wielkie, trudne łowy — aż chyli się od namysłu i wagi głowa pana hetmana.

Północ już mija (wnioskują po miesiącu towarzysze) — gdy niespodziewana przeszkoda staje na drodze pochodu: gościniec, zrazu tylko błotnisty, staje się Ignącą starzyną. Po przejściu pierwszych chorągwi miasto drogi połyskuje matowo do księżycy rozchlapana, lepka, chwytająca maź. Bokiem gąszcz nieobjechany. Ciężkie falkonety grzęzną po osie. Grzęzną ich wozy, dźwigające trzy setki dziesięciofuntowych, pustolanych kul, opatrzonych tulejami. Piechota ścina kilka młodych buków, które kolejno podkłada pod koła. W mroku nocnym błyskają spiżowe, śliskie ciała dział, w łuskę karpiową misternie wyrobione. Przednie to falkonety, długie, bezkomorowe, we Lwowie u Franka, dobrego ludwisarza, odlane. Jeden zwie się „Virgo”, drugi „Pluto”. Pan Więckowski, puszkarz zamiłowany, nachyla się nad nimi troskliwie, sam pomaga dźwigać szprychy, podtrzymuje ozdobne uszy, zwane delfinami, klnąc z cicha, ale siarczyście, bagnisko.

Wszyscy je klną na równi, bo marsz się opóźnia. Krótka letnia noc nasiąka już blaskiem opałowym. Czerń miesza się z bielą, srebrnieje, gdy we mgłę przebłyskuje wreszcie koniec lasu, a wraz otwarta równina.

— Kłuszyn... — powiada ściszym bezwiednie głosem Sebastian. — Nieraz my tu przyjeżdżali za furazem. Płotów na tym polu siła... Dwie małe derewnie przed nami... Nie derewnie to ni chałupy, tylko klecie; już wtedy nikt w nich nie mieszkał...

Chorągwie ustawiają się, milcząc, pod lasem, w miarę jak wysuwają się z gąszczu.

Pana Strusiowa pierwsza; Zborowskiego, Samuelowego syna, druga; księcia, Poryckiego trzecia...

Wiatr poranny szumi w wielkich skrzydłach orlich, podrywa skłony u ramion. Stoją niewidoczni na tle boru, wyteżając wzrok w dolinę. Świat bieleje szybko, wyłaniają się z mroku kształty, dalekości. Jak okiem zasięgnąć, rozciąga się obóz moskiewski. Rzędy zakobyleń giną we mgle. Równina przecięta jest dwoma szeregami zwartych chruścianych płotów, zapewne dla ochrony pól przed dzikiem lub łosiem wzniesionych. Rozwalone chaty dwóch opuszczonych wiosek czernieją na przedzie. W głębi z mlecznej mgły wynurza się ciemny, sporawy horodek. Obóz śpi. Ni ruchu, ni światła, ni ognia. Spadłszy teraz z góry zniecka, można by ucapić śpiących, aniby się spostrzegli. Błyszczą drapieżne oczy rotmistrzów, chciwych runąć niby raróg na drzemiące kuropatwy. Ba! Gdyby wszyscy już wydostali się z lasu. Pana Kopycińskiego chorągiew dopiero wyjeżdża, Firlejowej jeszcze nie widać — a o piechocie i falkonetach ani słychno.

— Mniejsza o falkonety, ale bez piechoty nie poradzim, bo musi wyrąbywać płoty — konstatuje hetman. — Trza czekać.

Stojąc niewidoczni, zlanii w jedno z lasem, czekają niecierpliwie. Ksiądz Wybirek nuci półgłosem:

Witaj Królowo i Matko litości,  
Żywocie duszy, nadziejo słodkości,  
Do ciebie dzieci Jewine wołamy...

A rycerstwo podejmuje szeptem."

Rzewliwe głosy podniósłszy do nieba,  
Teraz, Rzeczniczko, teraz Cię potrzeba...

Półśpiew leci ku niebu wraz z szumem boru i świergotem rozbudzonych ptaków.

Nareszcie!... Westchnienie ulgi z wszystkich piersi wita ukazujące się z lasu ostatnie chorągwie. Za nimi wypada biegiem stąpiana w błocie po pachy piechota. Pan Ludwik Wejer, dowódca, łapiąc dech, melduje hetmanowi, że połowę ludzi zostawił przy falkonetach, które niebawem nadejdą, sam z połową przybieżawszy.

— Nie będziemy na nich czekać — mówi hetman. — Pchnij waść spiesznie kilkunastu, by podpalili te budy. Strzelcy mogliby nam siła z nich szkodzić...

Sam chwytając do ręki buławę, wyjeżdża przed czoło chorągwi:

— Trąbić do potkania! — woła potężnie. W głębi szlachetnej swej duszy rad jest, że nie napadnie na śpiące.

Ksiądz Wybirek, kapelan podnosi do góry wyciągnięty z zanadru krzyż. Błogosławi nim długo wojsku, wszystkiemu razem i każdemu towarzyszkowi z osobna. Błogosławi równinie, która za chwilę sfarbuje się hojnie krwią. żarliwymi słowami prosi Boga, Pana Zastępów zwycięskich, by miłościwy był duszom, które los wojny przed trybunałem Jego dziś postawi... A skończywszy modlitwę, chowa krzyż i ujmuje w garść szablę, którą włada nie gorzej niż drudzy.

Hetman kończy wydawać rozkazy spokojnym, jasnym, choć doniosłym głosem:

— Mości Zborowski na prawo! Mości Struś na lewe skrzydło!... Pilno uważać na płoty! Dziurami kolejno wypadać!... Mospanowie! Cma Moskwy, ale to nic! Nie pierwszozna Polakowi stawać przed wrogiem z większym sercem niżli siłą! Odwrotu nie masz! *Necessitas in loco, spes in virtute, salus in Victoria!*... Naprzód!

Ostatnie słowa głuszą dźwięki surmów, długie, przeciągłe, krzepkie. Odbijają się echem o



las, wracają zdwojone w równinę. Wraz na zmurszałych, grzybom nawistym podobnych dachach chat opuszczonych wykwita biały dym, potem jasny płomień. Ogarnia je szybko, strzelając w górę z uciechy. W obozie moskiewskim, dopiero teraz przebudzonym, gwar. Wrzask... Niosą się przeraźliwe sygnały piszczałek. Na widok pędzących już z góry chorągwi — w nieładzie ustawiają się Dymitra Szujskiego pułki. Na łeb, na szyję lecą strzelcy zawalać kobylicami wyrwy w płotach. Za późno, bo pan Zborowski, dumny, promienny jak zorza, już jest ze swymi w obozie.

Z dala, na wzgórzu pod ufortyfikowanym horodkiem, wodzowie: Dymitr Szujski, wyniosły Pontus de la Gardie i flegmatyczny Horn patrzą uważnie. Obaj cudzoziemcy stropieni są, że hetman zdołał zaskoczyć niespodzianie, niby fryców, starych jak oni żołnierzy — lecz o wynik potyczki (trudnoż nazywać bitwą starcie z taką garstką!) najzupełniej spokojni. Patrzą ciekawie, jakby na teatrum.

— Żółkiewski zawsze był rezolut i ryzykant, ale dziś przeryzykował — uśmiecha się Horn.

— Ba, innego wyjścia nie miał.

— De la Ville żałować będzie, że zasłał i w Pogorełoj ostał, dawno pragnąc z nim się zmierzyć...

— Swojego czasu, pod Wolmarem, w niewolę mnie biorąc dał mi Żółkiewski własną szubę rysią — wspomina śmiejąc się Pontus. — Ja mu dziś za to oddam sobolową; niech na moją niewdzięczność nie narzeka...

— Żółkiewskij!... Cztoż jewo... — postępuje książę Dymitr Szujski, opięty ciasno w atłasowy, szafranowy chałat. Skośne, moskiewskie oczy wytęża z niepokojem w stronę, gdzie wre walka.

— Chyba się Wasza Godność nie niepokoi? Wyprztyka on swój impet, zanim z połową naszych się zmierzy — i koniec. Ogarniem go wtedy i weźmiem jak swego.

— Zabawa czysta, nic więcej! — potwierdza Pontusowe słowa Horn.

Miast odpowiedzi Dymitr stęka niewyraźnie, spluwa, żegna się kilka razy i spluwa ponownie. Obaj cudzoziemscy wodzowie spoglądają na barbarzyńcę z pogardliwą wyższością.

W oddali chorągwie wałą się na nieprzejrzaną czerń uszykowanego już moskiewskiego wojska, jak barwiste motyle na mrowisko. Straszliwym pędem przebijają się skroś armii. Jak za czółnem śmigłym woda — zlewają się poza nimi roztrącone szeregi. Więc wyrwawszy z gęstwy na pole, zwołują się, kupią i sadzą w mrowie z powrotem...

Współ ze Strusioowymi walczy Sebastian Pielsz grzmocąc na prawo i lewo. Zrazu, gdy jeszcze stali popod lasem, onieśmielony był i zawstydzony swym brakiem wojennej wprawy. Toć to, po prawdzie, pierwsza jego wielka bitwa.

„Byłem prał mocno, to grunt — krzepił się w duchu — nie harce to, gdzie człek na widoku wszystkich poczyna... Śmiać się nikt nie będzie...”

Onieśmielenie minęło, zaledwie ruszyli z furkotem skrzydeł, z krzykiem skwirowi orlemu podobnym. Zamiotło nim uniesienie boju, poryw walki, śmiertelnego pędu sławy. Poczuł się naraz wolny i swobodny. Jak uciskający z dawna, ciasny, ciężki kaftan zrzucony nareszcie z pleców — odpłynęły go wszystkie teorie, myśli, udręczenia. Niepomny na nic walczył z furją rzetelną szlachcica. Roześmiał się w nim dziad, pradziad, dla których bój był rozkoszą. Niby mocne wino zaszumiła w głowie przemożna chęć, by porwać się z wrogiem za bary — poczuć w rozwścieszonych łapach chrzęst przeciwnikowych kości — zepchnąć go, zmiażdżyć, pokonać... Twardą stopą nastąpić na drgającą szyję, gasić płomień zawziętych oczu, jak świece, wtopić się w huragan boju, szczytną radość każdego serca prawdziwie męskiego — czuć myśl i ramię płonące jednak... Dziedziczny, nieomylny instynkt, drzemiący dotąd gdzieś w głębi,

wyczuwał naprzód cięcie przeciwnika, odparowywał je i atakował. Nie uczona, lecz kierowana nieświadomą siłą ręka zwijała się niezawodnym, szybkim jak skręt żmii ruchem. Z głuchym stękaniami drwała unosił koncerz oburącz, wałąc nim w hełmy, naramienniki piechoty. Wilczaty jego kirgiz, monstrum szpetne i złe, kąsał na prawo i lewo. Nie kierowany, parł w przód z własnej woli, kwicząc i charcząc w obłędzie furii bojowej.

Spod lasu bystrym wzrokiem ogarnia hetman plac boju. Kiedy, odbita o brzegi jakoby kamienne przedniej nieustępliwej moskiewskiej piechoty, cofa się która chorągiew, rozpryska jak fala — sam sady ku niej, zbiera, zwołuje, zagrzewa, na nowe wieździe natarcie. Strusiowi potykali się już osiem razy! Poryccy, Zborowscy — dziesięć! Nie mają czym walczyć połamawszy dawno kopie. Konie ustają, znużone. Słońce pali żywym żarem. Trzy godziny trwa już bój zapamiętały. Najgorzej, że płotu, mocno bronionego przez Pontusową piechotę, nijak nie można wyrąbać ni owej piechoty, bezpiecznej za osłoną, ruszyć.

Lecz oto wynurzają się wreszcie z lasu falkonetcy. Na ramionach je prawie wyniosła piechota. Pędzą teraz w skok od lasu, z grzmotem kół zataczają łuk w miejsce, które wskaże hetman. Drygają niby z radości spiżowe, gładkie cielska. Na prawo „Virgo”, panny wyobrażenie na lufie noszący, na lewo — niechybny „Pluto”. Puszkarze drżą z niecierpliwości. Pan Więckowski mierzy długo, starannie. Pada pocisk jeden, drugi — padają gęsto, celnie, prażąc bez miłosierdzia skrytą za płotem piechotę. Wystrzeliwszy jeszcze raz muszkiety, zmykają spieszenie piechury. Wnet rąbią zaporę hetmańscy. Łuką wyrwaną rzuca hetman odwód: świeżą, nie tkniętą jeszcze chorągiew Kazanowskiego.

Zrywa się hufiec niby ptak z uwięzi. Ponoszą zniecierpliwione czekaniem, skąsane przez bąki pod lasem konie. Ponosi zapal rycerzy, od czterech godzin patrzących beczynnienie na śmiertelne zmagania się swoich. Wpadają w ciżbę jak w wodę. Pierzcha rozbita Moskwa nie strzymawszy ich natarcia. A oni sady na oślep dalej, by przed obozem cudzoziemskim zderzyć się z jazdą francuską nieobecnego Monsieur de la Ville. W wąskim szyku kometowym nadjeżdżają truchtem Francuzi. Zmrużone oczy mierzą chłodno znad gładkiej lufy pistoletu. Sypie się palba jak groch. Jak groch o ścianę, zaiste, bo Kazanowscy już ich roztrącili. Opadli z boków, wdarli się klinem do wnętrza, rozszczepili kornety na wióry. Zmieszani z wrogiem rozbitym, wiążą się w walce zacieklej. Zderzają się ze zgrzytem ostrza. Walczą Francuzi zaciekle, jak na rycerzy przystało, lecz brak im już tchu i sił. Cienka, jadowita szpada francuskiego *gentilhomme'a* pęka jak drzazga w zetknięciu ze straszliwym koncerzem. Mdleje szczupła, w mankiecie koronkowym, dłoń. Wytworny szept: *Excusez!* — obowiązkowy przy zadaniu śmiertelnego ciosu — ginie bez echa w okrzyku: „Bij! Zabij!”... Padają gęsto mężni panowie francuscy, niezdolni sprostać osiłkom o gnatach stalowych, spod Bochni, Lublina lub Płocka. Roztrąceni, zepchnięci, osuwają się na boki... Niepowstrzymana usaria prze dalej ku oczekującej natarcia angielskiej dragonii Horna. linią z dala złote hafty, barwią się kolety. O trzydzieści kroków Anglicy palą z pistoletów, po czym uczonym manewrem, zwanym karakol, zawracają za tylne szeregi, by nabieć powtórnie broń. Ryk śmiechu w polskich szeregach, sądzących, że tył podają. Nim drugi szereg Angielczyków zdąży dać ognia, nim pierwszy nabije pistolce, już wali się im na karki lawina ludzi i koni. Rozpędza, miesza, gna przez obóz, aż pod sam horodek... Ze wzgłędów wodzowie patrzą oszołomionymi oczami.

— Hospodi, pomiłuj! — jęczy, żegnając się raz po raz, Dymitr Szujski,

Pontus i Horn spoglądają ponuro, oczom nie wierząc. Centrum ich wojska w rozsypce. Bronią się wprawdzie na skrzydłach strzelcy i piechota, lecz celne strzały falkonetów spychają ich nieustannie, chociaż z wolna, w las. Wprost ku wzgórzu pędzą bezładne, trwożą ogarnięte, kupy Moskwy, zacieźników. Firlej, Kopyciński, Struś siedzą im na szyjach. Lada chwila ogarną wzgórze, a z nim razem wodzów.

Nie przestając jęczeć, Dymitr z Golicyinem zwołują uciekających. Horodek jest dobrze zaopatrzony, ma osiemnaście dział, można się w nim bronić. Rozbita piechota chroni się za wały, kobylicami zawierając przejścia. Tymczasem Pontus i Horn samowtór cofają się w las, by okrążywszy pole bitwy dopaść swoich rezerw — trzech tysięcy stojącego na uboczu świeżego żołnierza.

Przeciw tym zaciężnym właśnie, niechając chwilowo horodka, w którym ukrzepia się Dymitr — zwracają się polskie chorągwie. Lecz konie znużone ustają. Ręce utrudzone mdleją. Stają o kilkadziesiąt kroków naprzeciw wroga, patrząc weń groźnie wizjerami pogiętych przyłbic. Nabierają tchu.

Wspaniałe na oko zaciężne pułki piesze, z obieżyświatów całej Europy zebranych złożone, czują się dość niemrawo pod tym wzrokiem. Nie wiedzą, co czynić. Atakować czy czekać? W powietrzu dookoła czują klęskę. W ich oczach starto jazdę de la Ville'a i Horna. Za chwilę ciż sami pierzaści straceńcy runą i na nich. Któż ich wstrzyma? Rozkazów nikt nie wydaje... Trącają jeden drugiego niechętnie.

— Widzi mi się, że te pacholki zdałyby się na parol — mówi bystry obserwator Oleś Bałaban do rotmistrza Strusia, półszepem, bo zachryplł całkiem z wysiłku.

— Kto wie, może by się i zdały?...

— Warto by do nich zagadać?...

— Po jakimu zagadasz waść? Tu żaden ludzkiej mowy nie rozumie.

— Ja potrafię — powiada rotmistrz Kopyciński. — I po szwedzku, i po niemiecku umiem gadać. Jedźmy!

Podjeżdżają z Bałabanem tuż pod pierwszy szereg.

— Kum! Kum! — woła groźnie rotmistrz. — Zdajcie się, juchy, albo spierzemy jak tamtych!

— Kum! Kum! — powtarza zachryplłym głosem Bałaban machając ręką.

Oglupiałe rajtary patrzą w nich nie rozumiejąc.

— Zarazy! Udają, że nie słyszą! Przecie po ichniemu mówię — sierdzi się Kopyciński. — Nie chcecie kum — poczekajcie!

— Szkoda gęby psuć — woła rotmistrz Struś — wracajcie zaraz... Bij! Zabij!

— Bij psiawiarów!

Ostatnim, potężnym wysiłkiem zrywają się do ataku mdlejące chorągwie. Stękają klute ostrogami konie. Jęczy ziemia. Już wzięli rozpęd, już walą. Lecz Szwedzi, jak gdyby teraz dopiero pojawszy, czego żądali rotmistrze, podnoszą ręce do góry. Pierwsze szeregi, powiewając kapeluszami, zmykają chyżo na boki, bo towarzysze, choć podnieśli w górę szczątki kopij na znak zrozumienia, nie mogą wstrzymać impetu od razu.

— Namysłili się przecie, złodzieje — stwierdza z satysfakcją Kopyciński osadzając konia.

Trąbiąc przeraźliwie, wysuwają się parlamentarze zaciężników. Oleś Bałaban wiedzie ich do hetmana, by z nimi warunki kapitulacji omówił. Między oczekującymi decyzji hetmańskiej wojskami zawiązuje się życzliwa rozmowa na migi.

Na tę chwilę właśnie Pontus de la Gardie i Horn wyjeżdżają z lasu. Widząc kapitulację, niedwuznacznie przyjacielski stosunek do wroga, dumny Szwed ryczy jak buhaj, bije po pysku oficerów, płązuje szpadą żołnierzy, sam chce wieść do ataku. Daremnie! żołnierze trwają przy swoim. Usuwają się zrećcznie spod zasięgów jego gniewu; walczyć nie myślą. Grożą mu, że go związanego hetmańskim wydadzą. Flegmatyczny Horn, czerwony ze wstydu, stoi skamieniały. Pontus miota się bezsilnie, szlocha w rozpacz, targa oburącz spiczastą brodę, nie zważając, że patrzą na niego ciekawie stojący w pogotowiu o kilka kroków husarze.

Wraz i parlamentariusze wracają z umową już podpisaną. Machają nią w powietrzu zwycięsko, witani wesołym okrzykiem obu stron. Wylazłszy na ramiona kolegów, jeden z wysłańców odczytuje donośnie warunki: Kto chce, ma prawo odejść swobodnie z bronią w rękę, dawszy jeno parol, że przeciw Rzeczypospolitej walczyć w tej wojnie nie będzie. Kto woli, może niemieszkając przejść w służbę do polskich szeregów...

Po krótkich deliberacjach przechodzą na żołąd króla Zygmunta — Francuzi, Anglicy, Szkotowie i Hiszpanie. Z rycerskim pozdrowieniem, już jako koledzy, podjeżdżają ku polskim chorągwiom. Wiwaty grzmia zobopólnie. Posępny jak noc, blady jak trup, wyniosły Pontus de la Gardie daje parol i zabierając z sobą Szwedów oraz Finlandczyków odchodzi z Hornem na Nowogród.

— A mierzawcy! proklataja, łatinskaja swołocz! — klnie naczelny wódz wojsk moskiewskich, książę Dymitr Szujski, patrząc z częstokołu gródka na kapitulację zaciężnych i odwrót niesławny Pontusa. Na myśl, że dotychczasowi sprzymierzeńcy gotowi teraz uderzyć na niego, traci serce do dalszej obrony. — Nieczystaja siła! — stwierdza i wymyka się z wojskiem z horodka zostawiając w pośpiechu działa. Olbrzymi obóz jest własnością polską...

Na pobojuwisku hetman podnosi ręce do góry w niemym dziękczynieniu. Książę Wybirek intonuje *Te Deum*... Towarzysze poją w potoku upadające ze znużenia konie. Sami przypadłszy ustami do wody, chlapią ją chciwie, żarłocznie, zanurzając w chłodnym nurcie utrudzone głowy. Hej! odpocząć, zrzucić rozprażony słońcem pancerz, legnąć na świeżej murawie!...

Nieskoro jeszcze, nieskoro!... Trza zebrać rannych, których siła, trzystu z górą, leży na placu — a pogrześć tych, co polegli. Rannych układają w zdobycznych moskiewskich kolasach (więcej pono tych kolas a wozów niż towarzyszków w chorągwiach). Układają ostrożnie, troskliwie. Żelazne łapy, straszliwe wrogowi — by dźwignąć rozplataną głowę przyjaciela, unieść zrąbane ramiona, stają się miękkie, czułe, ostrożne, niby niewieście... Z głębi obozu, podobni przodownikom niosącym wieńce na okrężne, rotmistrzowie ciągną zdobyczne chorągwie... Więcej ich niżli pięćdziesiąt. Pan Aleksander Zborowski, Samuelów syn, w nienawiści do hetmana Żółkiewskiego od dziecka chowany, dźwiga największą, adamaszkową ze złotem. Z rozmachem, z szczęsnym junackim uśmiechem ciska ją pod nogi wodza patrząc w twarz jego z miłością.

Prócz chorągwi wzięte są działa, olbrzymie tabory. Wzięta jest buława Dymitra Szujskiego, jego namiot i złota zastawa. Soboli, sreber i sukien na czterdzieści tysięcy rublów albo więcej. Nie ma nawet czasu zliczyć, bo hetman nagli do pośpiechu.

— Skoro! Skoro! — powtarza. — Trza wracać, bo nie wiada, co z naszymi... A nuż Wałujew się spostrzegł?

Godzina ledwo czwarta po południu, gdy wyruszają z powrotem, okrutnie głodni, bo od wczorajszego odwieczera nikt nic na ząb nie położył — lecz szczęśliwi. Dzień jasny, więc nietrudno omijać błoto lasem. Konie łapczywie chwytają w przejściu soczyste liście i żują. Środkiem błotnistego gościńca ciągną cudzoziemcy i nie kończący się wąż zdobycznych taborów. Pan Więckowski, puszkarz, spogląda z czułością na swe falkonety, ręką pięściwie przesuwa po „Pannie”.

— Usarze, wiadomo, mówić będą, że oni bitwę wygrali — monologuje sam do siebie — a taki bez falkonetów nie daliby sobie rady... Toć widziałem, jak ich piechota psowała... Czołem nacierać nie mogli... Ale czy to jazda kiedy uzna? — kończy z goryczą.

Szumi nad głowami biał. Przedwieczornym, słodkim jak oddech dziecka powiewem chłodzi czarne, umęczone twarze. Pięści zapieczono usta. Rycerze jadą w milczącym skupieniu. Szczęsne utrudzenie w kościach po znoju zbożnym, walecznym.

W sercach poczucie dokonania wielkiej rzeczy. Świadomość wydarcia z siebie najwyższej sumy ludzkiego wysiłku — wiele można i więcej niż można. Nawet wieczyście osmecony Adam Żółkiewski, bratanek hetmanów, uśmiecha się prawie pogodnie, zbywszy na chwilę wspomnienia przeklętej zmory-miłości.

Pan hetman jedzie przodem na swym cisawym dzianecie. Zdjął kołpak z siwej głowy. Miękkie tchnienie puszczy muska wyniosłe, mądre czoło. Oczy sokole, głębokie rzuca przed siebie daleko, niespokojny o tamtych, w obozie. Pośpieszyć trudno, bo konie ledwie, ledwie już idą, napojone wprawdzie po bitwie, lecz nie obroczone ni rozkulbaczone od wczoraj. Obraca się nagle za siebie:

— Hej, panowie! Ma tam który mocniejszego konia?

— Ja — wysuwa się Sebastian na swoim kudłatym stworze.

— Ruszże waćpan przodem, dać znać panu Bobowskiemu, że wracamy. Niech nam wieczerzę ładują.

— Według rozkazu!

Ścisnął kirgiza piętami. Zwierz łysnął złym okiem spod kudłatej grzywy i poszorował po błocie jak świeży. Niejeden z towarzyszy, podtrzymujący wodzami padającego na chrapy dzianeta, poglądał za nim z zazdrością.

Sebastian zaś sunął dobrym kłusem przez las, rad, prawie że szczęśliwy. Od szeregu lat nie czuł takiej jak dziś swobody umysłu, rzeźkości duszy, mimo okrutne utrudzenie ciała. Jak gdyby war bitwy zmył, spłukał z serca zastarzałe strupy. Hej, gdzie obóz tuszyński, gdzie obie zimy ostatnie? Gdzie jego udręki, zgryzoty? Jedzie oto jako rycerz, pierwszy zwiastun Zwycięstwa, nie byle jakiego. Dotychczas z rzemiosła wojennego znał same porażki, klęski upokarzające, zawody i hańbę; walki ze swymi: Guzów, Janów! — łupiestwa i kontrybucje. Ukochanie rycerskich serc, Sława, objawiła mu się dzisiaj pierwszy raz. Zakwitł w radości tryumfu. Zrozumiał, że mógł się uśmiechać posepny Adam Żółkiewski.

Las się kończył. Wielki staw płonął w czerwieni zachodu. Rozłożony nad nim obóz skrzył się pośród kolumn dymów bijących prosto w górę, na pogodę. Czerniało pierścieniem wałów Carowe Zajmiszcze. Spokój leżał nad całą doliną. Wałujew ani się spostrzegł...

Pan Bobowski miotany niepokojem o hetmana, stał na wale pierwszego gródka wyteżając wzrok ku lasowi. Poznał nadjeżdżającego Sebastiana i pobladł jak trup.

— Ha? — rzekł tylko.

— Wiktoria! — odparł Pielsz zeskakując z konia.

— Wiktoria... — powtórzył stary rotmistrz. Przysiadł na wale i przeżegnał się.

— Dymitr Szujski zniesion i z niedobitkami w las dunął — mówił Sebastian, pierwszy raz w życiu nie czekając, aż go do opowiadania przymuszają. — Pontus de la Gardie i Horn, parol dawszy, na Nowogród poszli... Francuzi, Angliki i Szkoty do nas przystały... Taborów siła my wzięli... Chorągwi też i dobra różnego...

— Boże! Boże! — powtarzał pan Bobowski trzęsąc się jak w febrze. — Naszych wiele padło?

— Legło stu z górą, a rannych wieziem ze trzystu... Duże straty, ale nie żal i umierać w takiej potrzebie... Falkonety bardzo dogodziły...

— Pan hetman nocuje w Kłuszynie?

— Gdzie zaś! Ino patrzeć, jak tu będą... jeno że konie okrutnie zdrożone... Pan hetman pchnął mnie w przód wiadomość dać i wieczerzę kazać pachołkom ładować...

— Wnet rozporządzę... Boże, mój Boże! Wiktoria!... Pan hetman!... Nie mówiłem waści?... Jeniusz!. Pamiętasz waść: „Niech choć wszytek słońca wschów ciągnie na upadek nasz...”? Tak ono jest... O Boże!...

Nogi drżały pod nim ze wzruszenia, co widząc Sebastian ujął staruszka pod ramię prowadząc go ku obozowi.

## Rozdział trzynasty

### Przysięga

Adam Żółkiewski, bratanek hetmanów, i Sebastian Pielsz siedzieli na wale wewnętrznym, otaczającym Carowe Zajmiszcze — w tym samym miejscu, w którym przed dwoma laty Sebastian i jego ówcześni towarzysze słuchali opowiadania pana Haraburdy. Obaj rycerze pozostawieni byli chwilowo w twierdzy jako zakładnicy. Wałujew bowiem, powiadomiony przez hetmana o wczorajszej bitwie i zniesieniu armii Dymitra Szujskiego, wierzyć w tak gruby, jego zdaniem, podstęp nie chciał. Hetman przeto upoważnił go do wysłania kilku bojarów pod Kłuszyn celem naocznego stwierdzenia wiadomości, synowca swego i Sebastiana jako rękojmię bezpiecznego powrotu bojarów ostawiając.

Siedzieli tu zatem od kilku godzin beczynn timer, obojętnie, na panujący wśród moskiewskiej załogi niepokój i zamieszanie. Strzelcy i piechota gęstym murem obstąpili wały, przyglądając się badawczo i podejrzliwie zdobytym wczoraj taborom, obozowi wojsk zaciężnych i moskiewskim, tak jeszcze niedawno, działom, ustawionym rozmyślnie na miejscach widocznych. Sam wojewoda Wałujew przechodził raz po raz ze zmarszczoną brwią, przeciętą gniewnie wargą. Nie zwracając na to uwagi, obaj hetmańscy snuli odległą przedzę swoich myśli. Wyrwani niespodzianie spośród swoich, rzuceni w obcy tłum, jakoby zawieszeni w powietrzu, czuli bezwiednie rosnące pomiędzy nimi niby powinowactwo duchowe — niezwykłą u obu chęć zwierzeń. Młody Żółkiewski, którego dusiła snadź zadawniona niemożność mówienia z kimś o swojej udreće, zaczął mówić pierwszy, zrazu wahająco, potem śmieiej, czując instynktownie, że ten milczący, nieokrzesany prostak łacniej niż ktokolwiek inny znajdzie dla jego bólu zrozumienie. Półgłosem, ani spytawszy, czy Sebastian wie, kto jest owej zgryzoty przyczyną, opisywał swe uczucie, beznadziejne, od dziecka z nim wzrosłe, bez którego się nie pamiętał. Wyobrazić sobie nie mógł, jakim by był bez tej troski ustawicznej — największej radości, jedyne szczęścia i najcięższego przekleństwa życia zarazem. Widząc w słuchaczu życzliwą uwagę, opowiadał z głuchym uniesieniem królewską jej urodę, zorzy wschodzącej podobną — czar, co sprawia, że powietrze naokoło niej jest jak gdyby rozświetlone i promieniejące samą bliskością słodkiego cudu oblicza...

„A w śladach jej kwiaty rosną" przeleciało, nie wiedzieć skąd, przez głowę słuchającego. Zmarszczył czoło, sam sobie wydając się śmieszn timer.

— Na co zda się rozpamiętywać, co niemożliwe jest i jakoby zamarte? — zauważył twardo.

— Kiedyż właśnie że możliwe, jeno oni nie chcą! — wykrzyknął młody rycerz podrywając się z miejsca. — Nie rodzeni my, jako byli Oświecimowie! Do Rzymu pójść, Ojcu świętemu do nóg paść... — zezwoliłby bez ochyby!... Jużci, że zezwoliłby... nie chciałby mojej męki... Możliwe to jest; jeno ona mnie nie miłuje... ot co — nie miłuje... Zastawia się krewniactwem, w gruncie rada, że takowa przeszkoda istnieje... Na to zaś, że nie miłuje, rady ni ratunku nie masz...

— Nie masz — przywtórzyl jak echo Sebastian i cały dawny ból ocknął się w nim na nowo.

Spojrzał przed siebie, ku bramie. W pamięci zamajaczyły kojarzące się szybko obrazy: wozy z sianem... teorbańści starosty... piosnka kłująca serce niby nożem... jakiś odległy, odległy wieczór miesięczny...

Zastanowił się nagle i zwrócił ku towarzyszowi.

— Powiadają — rzekł — że jest na świecie strzyga, Latawica, takową daremną miłość wszczepiająca. Na miesiącu kajś pono żywie, rzeszotem srebrnym trzęsie... Czasem ku ziemi się spuszcza, co znać jakoby gwiazda leciała... Komu wtenczas w oczy zaświeci, będzie się trapił a trapił, miłując mocniej niż inni, a miłowanym nie będąc.

— Hej, zaświeciła mi ona chyba, gdym w kołysce leżał! Silna to musi być strzyga, skoro rady na nią nie ma...

— Jest pono jakieś zakłęcie — (Sebastian mówiąc to skurczył boleśnie twarz, bo tuż przed oczami zamajaczyła mu oświecona księżycem twarz Hanki, pół ze śmiechem, pół z trwogą wymawiającej niezrozumiałe wyrazy). — Nie bardzo ja w nie wierzę, bo słowa — wiatr. Ale można zmóc w sobie zmorę i powalić, byle się do tego krzepko wziąć... — „Ja zmogłem” — dodał w myśli i zastanowił się naraz, zali tak było istotnie. Ogarnęły go co do tego ważne wątpliwości. Było mu lżej zapewne, ale nie dlatego, by zapomniał o cierpieniu, lecz że potrafił podnieść się i dźwigać je idąc prosto.

— Szczęśliwy jużci człowiek nie będzie — ciągnął głośno — ale zdoła żyć... Życ się jest obowiązkiem...

— Życ? — roześmiał się gorzko młody Żółkiewski. — Każ, któremu granat obie nogi urwał, w tańce iść! Jakoże wyskoczy? I ja rad bym, ale nie mogę... Nie mogę!... Nie raz, nie sto razy powiadałem sobie to, co waćpan mówisz. Nic z tego...

— Mnie sfolgowało, gdym się z nieruchomości otrząsł, a roboty uczciwej jał!...

— Ja też nie siedzę z założonymi rękami — wzruszył ramieniem Żółkiewski.

Sebastian byłby chciał odpowiedzieć, że można wiele czynić zewnątrznie, duszą pozostając martwym i obcym działaniu, nieraz zaś w prostym odruchu mieści się ożywczy, wyłoniony z serca wola, dokonany w duchu czyn — były to jednak rzeczy zbyt złożone, żeby je umiał wyrazić. Zamilkł. W głowie snuły się pojęcia jasne i proste, dopóki nie próbował przyoblec ich w słowa — jakieś głębokie prawa, twarde nakazy istnienia, nie wglądające w to, czy życie jest miłe komu, czy nie. Obowiązek nieustannego pochodu w przód, w przód, by nareszcie za tę cenę osiągnąć pokój z najuporczywszym, najzawziętym wrogiem: sumieniem...

Przerwał rozmyślanie, bo olbrzymi, brodaty bojar stał przed nim. Nadając z trudem obojętny wyraz ponurej, nienawistnej twarzy, oznajmił im, że wysłani do Kłuszyna bojarowie już wrócili. Na skutek ich relacji wojewoda Wałujew prosił hetmana o osobisty rozmowę, który odbyć się miał jeszcze dzisiaj. Obaj zakładnicy, zwolnieni, mogli wracać do obozu.

Nie dali sobie tego dwa razy powtarzać, ruszając żywo ku swoim.

**P**an hetman z wielką powagą i pompą, w asystencji wszystkich rotmistrzów, przyjął Wałujewą, który zjechał otoczony bogatą świtą bojarów. Na jego rozumnej, choć szpetnej twarzy nie było śladu uniżoności. Uprzejmie powitany przez hetmana, zasiadł pobok niego, zimnym wzrokiem odpowiadając na niechętnie spojrzenia rotmistrzów.

— Posyłałeś, Wasza Godność, do Kłuszyna? — zagadnął hetman, gdy zamieniono zwyczajowe komplementa i powitania.

— Da, posyłał ja — skinął głową wojewoda.

Zapadło na chwilę milczenie.

— Myliliście się, Wasza Światłość — zaczął po chwili Wałujew poprawną polszczyzną — że widok tego pola skłoni mnie do wydania twierdzy w wasze ręce... Choć trudny to do uwierzenia wypadek, nie nastraszy on starego żołnierza... Obронimy się. Także książę Dymitr Szujski, chociaż uszedł, rychło zbierze rozproszone siły i powróci ze swymi ruskimi wojskami, bez zdrajców zaciężników, którzy tej przegranej przyczyną... Z dnia na dzień fortuna się zmienia. Co by wszakże nie przyniosła, odwagi naszej w pokorę a lęk nie zamieni.

— Uchowaj Boże — odparł hetman — bym podobnymi suspicjami uwłaczał Waszej Godności, znając jej chwalebne męstwo. Nie wierzę co prawda, by książę Dymitr Szujski zdołał nową armię rychło zebrać. Lecz mniejsza o to... Z radością przystałem na rozmowę, tuszając, iż jako przyjaciele go zakończym. Krew — nie tani to napitek; żal trwonić ją bez przyczyny... Zaś przyczyny do walki między nami nie masz...

— Książę Dymitr ucieczkę tylko symulował i niewątpliwie dziś, jutro, od drugiej strony uderzy — powtórzył Wałujew.

— Obaczym. Nie o tym jednak chciałem mówić. Książę Dymitr Szujski walczył o władztwo brata, o splendor swojego rodu, zaś Wasza Godność o dobro Moskwy-ojczyzny. Wielka jest w tym dyferencja. Zali zastanawiałeś się, Wasza Godność, gdzie ono dobro, przy kim się znajduje?... Wrogami jesteśmy cara Wasyla, ale nie Moskwy. Nie idziemy na zabór ni szkodę, jeno by skończyć żaloszny ten zamęt. Co najlepsi spośród was królewicza naszego Władysława carem życzą mieć, którego my wprowadzić i na tronie carskim utwierdzić chcemy...

Urwał nasłuchując, bo w obozie rozległ się nagle głos trąb.

— Skocz no który, obacz, co jest! — rzucił poza siebie.

Wiesiołkowski wyskoczył i w mig wrócił, zadyszany.

— Jakieś posły jadą tu, Wasza Dostojność!

— Posły? — zadziwił się hetman.

— Tutejsze jakiesik, moskiewskie. Bogato jadą, musi z obediencją... — objaśnił Wiesiołowski roztwierając szeroko zasłony namiotu.

Jakoż z przeraźliwym dźwiękiem chrapliwych trąb moskiewskich ukazał się orszak kilkudziesięciu jeźdźców. Same bojary dumne i ocieckie syny. Lśniły jaskrawo kropierze zwieszające się z zadów końskich aż ku ziemi. Mienił się szkarłatny lub bławy aksamit tułupów, chwiała frasobliwie w przód i w tył białe, rysie szłyki. Przodem ihumeni, odziani w złotolite kapy. trzymający w ręku jaśniejące jak słońce ikony, otaczali białowłosego archimandrytę. Barwisto odziana czeladź prowadziła ich konie za wodze. O kilkanaście kroków przed namiotem zsiadli z koni idąc pieszo ku hetmanowi. Archimandryta, siwy jak gołąb starzec, wznosił krzyż żegnając nim raz po raz. Bojary były pokłony dotykając pyłu ziemi długimi brodami.

— My z monasteru i horoda Możajska — zaczął archimandryta, sędziwy Fiodor Błahiwy.

— My z Borysowa...

— Z Werei...

— Z Ruzy — pochwycili chórem pozostali nie przestając bić pokłonów.



— Przyszli my — ciągnął stary duchowny — prosić o łaskę Waszej Światłości... Zdajemy się... Zdrady nie kryjem, zmiłowania prosim... Wczoraj wieczór sam książę Szujski do monasteru przybieżał. Powiada nam: Idźcie, dzieci, do hetmana, miłosierdzia prosić, bo nie wydzierzycie... Oj, nie wydzierzycie!... Czartowa siła... — urwał zasłaniając usta ręką i obejrzał się niespokojnie wkoło.

Zapominając, gdzie był, wojewoda Wałujew poderwał się z miejsca.

— Książę Dymitr? — zakrzyknął niedowierzająco. Starzec zwrócił na niego łagodnie, prostoduszne oczy.

— Książę Dymitr Szujski — powtórzył. — Wczoraj wieczorem... Bosi był, na chłopskiej szkapie, konia i butów w bagnie zbywszy... Kolasę z monasteru wziął i do Moskwy ujechał... My całą noc nie spali. We dzwony na trwogę bili i radzili... A dzisiaj przyszli my pokłonić się Waszej Światłości, klucze grodu Możajska przynosząc...

— I Borysowa...

— Werei...

— Ruzy... — powtarzali za nim drudzy wyciągając ku hetmanowi, na złocistych tacach, klucze czterech grodów.

— Cóż Wasza Godność na to? — zwrócił się hetman do nachmurzonego Wałujewa.

— Choćby tu z samej białokamiennej Moskwy tchórzostwo podłe klucze przyniosło i łaski prosiło — odparł wojewoda spoglądając z niechęcią na posłów — nie zdam Carowego Zajmiszczu, chyba kondycje należne, dobro ruskie warujące, otrzymawszy...

— Gad hardy — mruknął półgłosem książę Korecki, lecz urwał pod surowym wzrokiem hetmana.

— Jakież to kondycje? — spytał pan Żółkiewski spokojnie.

— Prawdę rzekliście, Wasza Światłość, że ważniejsze niżli sława cara Wasyla Szujskiego — dobro matki Moskwy i świętej cerkwi prawosławnej. Otworzyście rzekę: zdałby ją Carowe Zajmiszczu i na wierność carowi Władysławowi Zygmuntołowiczowi z dobrej woli ohotnie zaprzysiągł, bym znał, że swobody cerkwi świętej, prawa i obyczaje moskiewskie bez szwanku żadnego, jako są od wieków, ostaną...

— Da! Da! My by też na cara Władysława Zygmuntołowicza przysięgli — skwapliwie powtórzyli oczekujący w milczeniu posłowie.

— By znał ja — ciągnął Wałujew — że z przyjaciółstwem szczerym idziecie, panowie Polaki, cara by z waszej ręki uznał i wziął... Mir między Polską a Moskwą niechajby był... Lepszy pokój niż wojna między sąsiadami... Wszakże tylko pod gwarancją zachowania cerkiewnych i bojarskich praw...

— Gwarancji się temu synowi zachciewa — warknął znów któryś z rotmistrzów i znikł, bo hetman rzekł w tejsze chwili z ogromną powagą w głosie:

— Zatem, gdybyś Wasza Godność zawarowane miał owe życzenia, najślusznniejsze, troską o dobro ojczyzny dyktowane, które łącno pojmie każdy z nas, ludzi wolnych, kraj swój miłujących — przeszedłbyś dobrowolnie na stronę miru wiecznego z Polską i na cara Władysława Zygmuntołowicza zaprzysiągł?

— Tak jest! — odparł równie uroczyście wojewoda Wałujew powstając. — Przysięgłby ja... Płacze Moskwa od dziesięciu lat i więcej, targana okrutną wojną. Boży gniew nad nami... Przepada Moskwa bez prawego pana... Nikt pewien życia, nikt mienia. Dziś te wojska, jutro drugie, a nędza coraz to sroższa... Gwarancje mając bezpieczeństwa i praw naszych, zdałby się nie tylko ja, ale cała Moskwa.

— Da! Da! Wojewoda praw! — przywtarzali kiwając głowami wysłańcy Możajska, Borysowa, Werei i Ruzy.

— Tedy słuchajcie, przesławny archimandryto, wojewodo Hrehory Fiodorowiczu Wałujewie i wy, bojarzy dumne i ocieckie syny — rzekł pan hetman wyjmując nagle krzyż z ręki stojącego za nim kapelana i powstając. — Słuchajcie, bracia moskiewscy! Na ten święty, życiodawczy krzyż Pański ja, Stanisław Stanisławowicz Żółkiewski, Zygmunta, króla polskiego, i syna jego królewicza jegomości Władysława Zygmunto-wicza, hetman, przysięgam za wszystkie rycerstwo polskie i litewskie, i za ludzi zaciężnych, którzy teraz za mną hetmanem, są, że z pokojem idziem w Moskwę, nie z wojną; jak przyjaciele, nie wrogi. Że nie będziem w niczym ludziom moskiewskim szkodzić, wiarę chrześcijańską należycie czcić będziem, ołtarzów Bożych nie ruszym. Gdy zaś w Moskwie zasiądzie hospodarom królewicz Władysław Zygmunto-wicz, we wszystkim jako dawni rodowici hosudarowie rządzić będzie, wszelkie urzędy, prawa i zakony bojarów zachowując. Także dóbr i ojcowizn nikomu nie odbierze ni cerkiewnych majątków nie ujmie. Sromoty, gwałtu ni swawoli nie dopuści. Na to wszystko ja, hetman, imieniem królewicza Władysława Zygmunto-wicza i całego rycerstwa polskiego a litewskiego przysięgam, całując ten święty, życiodawczy Pański krzyż...

Stał z płonącymi oczami, ogromny, wzrokiem wybiegłszy daleko ponad głowy wpatrzonych weń, niby w tęczę, bojarów. Daleko — w kraj niezmierny, bierny, cierpliwy, nieszczęsny. Zdało mu się, że przemawia do całej moskiewskiej ziemi, z wyciągniętymi ramionami niosąc jej mir serdeczny, litość szczerą i uszanowanie. Zapragnął, by słowa jego przysięgi rozbrzmiały po krańce, trafiły do najodleglejszego, zapadniętego w puszczech monasteru, do najlichszej, głuchej, niewolnej, o sobie samej nic nie wiedzącej derewni. Wzywał milcząco niebiosa na świadki czystości serca swojego, w którym nie było podstępni ni zdrady. Nic krom szczerego braterstwa.

Ochłonawszy obrócił się nieco, by oddać krzyż księdzu Wybirkowi. Mignęły mu twarze rotmistrzów, zgorszone, niechętne. Spuszczali oczy, nie śmiejąc zdradzać się z żywą naganą, wyczernioną aż nadto wyraźnie z ust pogardliwie skrzywionych, z wzniesionych szyderczo ramion. Nie taką, nie taką, ich zdaniem, winna być mowa zwycięzcy. Wśród gęstwy nachmurzonych lic jedynie oczy starego Bobowskiego patrzyły weń z pogodą ślepego zaufania — Sebastiana Pielsza z uwielbieniem i uznaniem. Miły mu był ten błysk, ledwo zachwycony w przelocie, bo zwrócił się znów ku bojarom.

Wojewoda Hrehory Fiodorowicz Wałujew wziął z kolei krzyż złocisty z rąk archimandryty i powoli, uroczyście przysięgał na wierność królewiczowi Władysławowi Zygmunto-wiczowi, twierdząc Carowe Zajmiszczę i wojska swoje na usługi jego oddając. Teraz podchodzili bojarzy przybyli z poselstwem, przysięgając na toż samo w imieniu swych grodów. Dokonawszy przysięgi siadali z ulgą na ławach. Prostowali przygięte postury, spoglądali z większą niż w pierw godnością i swobodą. Nie zważając na zadępane twarze swoich wojów, hetman, radosny, szczęśliwy, rozkazał przynieść kielichy.

## Rozdział czternasty

## Mir

**B**ojarowie Michaił Wasylewicz Bestużew i Hrehory Iwanowicz Uwarow oraz Sebastian Pielsz szli z wolna, rozmawiając przyjacielsko, ku Sebastianowej kwaterze w Biełgorodskiej dzielnicy położonej. Wrześnie słońce grzało jeszcze niby latem, płonęło ustokrotnie w złocistych na tle błękitnego nieba kopułach cerkiewnych. Jak rozjarzone ogniska, zatłone nad rozrzuconym szeroko grodem, jaśniały sobory — Uspienski, Błagowieszczeński, a przede wszystkim Wasyla Błażennawo, przez Iwana Groźnego niedawno wzniesiony i wyzłocony. Blask, bijący od potężnych jego kopuł, zdawał się rozświecać miasto aż po ciemne Frołowskie Wrota i lepkie od krwi Łobnoje Miasto, skąd, z kamiennego wzniesienia, ogłaszano nowych carów i gdzie tracono zbrodniarzy. Świetlisty pył drgał nad nie kończącymi się drogami świętej Moskwy. Gród był ogromny, dwadzieścia wiorst i więcej obwodu mający, lecz rozrzucony bezładnie. Osobnymi murami obwiedzione: Krymgród, czyli Kreml, i Kitajgród, siedziba kramarzy — mniej warowne: Biełgorod i Carogród — stanowiły jakby tyleż poszczególnych grodów. Pomędzy nimi leżały nędzniejsze dzielnice, drewnianymi parkanami otoczone: Skorodom, Słoboda, Zarzecze i puste, lichym łabuziskiem zarośnięte nieużytki. Między Krymgrodem a resztą stolicy, tuż nad rzeką Moskwą, zieleniły się szerokie łągi. Wzdłuż pylnych latem, a błotnistych jesienią gościńców, łączących w jedno rozsypane części miasta, stały nędzne lepianki poddanych lub dworce bojarów, za wysokim częstokołem skryte, warowną bramą od ulicy ogrodzone.

Na ulicach tych wrzał wyjątkowy ruch z racji panującego w Moskwie zjazdu. Z szelestem zgrzytliwych płóz i brzękiem jechały co najprzedniejsze bojarynie, przywilej posiadające jazdy saniami równie latem jak zimą. Z tyłu zdążyły pieszo dziewczki służebne, w barwiste sarafany przyodziane. Między zasuniętymi firankami migwały twarze dostojnych niewiast, bielidłem i różem grubo pokryte, z wyskubanymi do czysta brwiami. Brwi drugie, nalepione lub wymalowane wysoko w połowie czoła, nadawały im wyraz znieruchomiałego zdziwienia. Wąskie płozy sań, orząc w piachu drogi, podnosiły tumany kurzu. Z mniejszą pompą, lecz dworniej, przejeżdżały żony bogatych kupców lub dworjan, siedzące w kolemagach z surowych desek, bez kozła, ni siedzenia, lecz złotogłowie obitych. Nie okowane koła skrzypiały przeraźliwie. Wysoko nad głowami koni sterczące dugi były wyzłocone i lisimi ogonami obwieszane. Woźnice szli obok pieszo, prowadząc konie za uździenice. Bojarowie, diaki dumne i dworanie przejeżdżali konno, każdy otoczony pieszą służbą, usuwającą z drogi pana okolicznych, strzelców, strapczych i innych pomniejszych ludzi przykazanych.

Zazwyczaj od targowisk Biełgorodu i Kitajgrodu dolatywał aż tutaj wrzask, krzyk kramarzy, zachwalających swój towar. Gwar ten jednak ginął obecnie w nieustannym, tętniącym podźwięku pięciu tysięcy dzwonów, huczących bez przerwy nad Moskwą od dziesięciu dni. Rytmiczny ich grzmot przelewał się przez uszy, rozsadzał czaszkę, głużył myśli i słowa. Czasem nad zlewisko dźwięków wybijały się wesołe, przenikliwe głosy pomniejszych dzwonów Błagowieszczeńskiego soboru lub zahuczał niskim porykiem wielki potwór spiżowy, car-dzwon, Kołokoł, czterdzieści tysięcy pudów ważący. Ten nieprzerwany, uroczysty potop dźwięków głosił przyjęcie dobrowolne przez ziemię moskiewską nowego cara, Władysława Zygmunto-wicza.

Pośrodku Dziewiczego Pola pod miastem, na sztucznym wzniesieniu, stały dwa wspaniałe, jarzące od świateł i złota namioty o szeroko rozchylonych zasłonach. W jednym z nich hetman Żółkiewski przysięgał uroczyście przed dziesięciu dniami, imieniem królewicza obiecując dobre czasy Moskwie wrócić i swobody jej należne uszanować. W drugim patriarcha Hermogen i bojary dumnie przysięgali na wierność Władysławowi Zygmuntowiczowi — po detronizacji Wasyla Szujskiego jednemu panu i hosudarowi. Obecnie też samą przysięgę składała kolejno cała ludność. Na placu panował ustawiczny tłok, przysięgało bowiem codziennie nie mniej czterech lub pięciu tysięcy ludzi.

W mieście trwał ścisk i wesoła wrzawa, a zarazem wzorowy porządek, którego bacznie doglądali naznaczeni przez hetmana setnicy. Za najmniejszą swawolę żołnierską naznaczano srogie kary. Białokamienna święta Moskwa, nie znająca od szeregu lat radości ni folgi, oddychała, swobodna, bezpieczna.

Bojarowie Bestużew i Uwarow szli obok Sebastiana, uprzejmość mu niezmierną przez to okazując, on bowiem pieszo wracał do kwatery. Z tyłu służba prowadziła okryte bogatymi rzędami konie obu dygnitarzy.

— Czarownik to był, nic więcej — kończył opowiadanie o nieboszczyku Dymitrze Bestużew. — Cielęcinę jadał, po obiedzie nie sypiał, do łaźni nie chodził, wodą się święconą nie kropił...

— Et! — skrzywił się Uwarow. — Może i nie czarownik, tyle że nie ruski człek...

— Milczelibyście lepiej, Hrehory Iwanowiczu: Stanisław Stanisławowicz też nie ruski człek, a kto o nim powie, że czarownik? Czestny, szczery człowiek... My nieraz i gadali — obejrzał się ostrożnie i zniżył głos do szeptu — że nie byłoby lepszego jak on hosudara... Święty Mikołaju cudotworny! Sprawiedliwy on, otkrowienny...

— Wiera, drugiego takiego jak pan hetman nie ma...

— Pociszey, Sebastianie Andrejewiczu! Pocziszey!.

— Nie zda mi się wszakże, by przystał na carstwo...

— Na Boga! Ciszej! — zakrzyknął Bestużew prawie z rozpaczą.

— Dlaczego? — zapytał Pielsz oglądając się zdziwiony.

— Święty Mikołaju! Nie przystoją takie pogwarki na dworze... I w domu, za wrotami, bezpieczniej nie gadać... Przyjdą takie grzeszne myśli, w głowie je zduś... Ty powiesz złego nie myśląc, a kto nie bądź usłyszy, donos da...

— Ech! — roześmiał się Sebastian. — Kto by tam donosił i komu? Cóż to? Zdania swego powiedzieć nie wolno?

— Nie wolno! — zakrzyknęli równocześnie, zgorzzeni. — Na Cara? Na Hosudara? I myśleć inaczej niż przykazane nie wolno! — Umilkli rozglądając się niespokojnie wkoło. Sebastian wzruszył nieznacznie ramionami. Michaił Wasylewicz Bestużew wrócił do przerwanej opowieści o Dymitrze.

— Czarownik on był — zapewniał — obmaniec, nieczysty bies. Przemienić się mógł, w co chciał. A hardy! Prawi do niego raz Juriej Antonowicz: Wielki Kniaziu, zełgał ty!... A ten czort do niego z posochem: Jak ty, swołocz, do Hosudara? Głowy zdejmę! Wieszać będę! — Zasumowały się mocno bojary. Pytają: Jakoże do ciebie mówić, Wielki Kniaziu, kiedy zełżesz. — Ja, Hosudar, imperator — prawi rozstryga — łągać nie będę. — A taki łągał! Każdemu łągał! Antychryst!

— Obcych, cudzych ludzi zwiódł — dodał Uwarow z niechęcią — Litwę, Polaków... Darujcie, Sebastianie Andrejewiczu, no, wy, co z hetmanem przyszli, a tamte rozpustniki, so wsiem inne ludzie... Z wami nam żyć, a z tamtymi... Boh spasaj! Niemców rozmaitych, co najgorszych, także zwołał, z Niemczyny italskiej, francuskiej...

— O jakiej Niemczynie Wasza Godność mówisz? — zapytał Sebastian, zdziwiony.

— Da — objaśniał uczenie Uwarow — jest Moskwa, Ruś święta, Bogu ulubiona, jest Litwa i Polska, i Tatarzy-sobaki z Turkami; a wkoło kręgiem Niemczyny: Niemczyna duńska, angielska, italska...

— To nacje osobne, nie Niemczyny są — uśmiechnął się mimo woli Pielsz. Lecz Uwarow zatrząsał gwałtownie rękami.

— Da! Da! Wsio równo! Co mnie do tego! Nie znaju, nie ponimaju... Car, Wieliki Książ (dał Hospod, zdrów był), wie i znaje wsio...

— O Niemczynach i wszystkich nacjach wie pewnikiem, wszakże ruskich spraw a obyczajów będzie się dopiero od Waszych Godności uczył.

— Nu! Wiadomo — głośną się po brodzie bojar. — Jeno u nas gadka jest taka: nie znaju ja, znaje car... Dowolno dla ruskiego człeka. Nam zagraniczne umy niepotrzebne... Hospoda i Hosudara dzierzysz, a nowin do siebie nie dopuszczaj, bo łatwo w grzech ciężki popadniesz...

— Cudnie prawicie, Hrehory Iwanowiczu — zauważył z pewną złośliwością Bestużew — aż dziw, bo wiadomo, żeście do nowin skorzy...

— Ja? Michale Wasylewiczu! Ja? — zakrzyknął Uwarow oburzony.

— Wy, Hrehory Iwanowiczu. Diak Wasyl Josipowicz słyszał, jak wy mówili: Swobody będziem mieć, jako polskie pany mają, w grodzie przy orężu chodzić i świetlice białe bez osoblwego carskiego razrjeszenia budować...

— Łzesz, Michale Wasylewiczu! Na co mnie polskie swobody? Naplewat' na ich swobodę! Ja bojar prawosławny, hosudarowy a Boży rab, oręż dla mnie w grodzie niepotrzebny ni biała świetlica...

— A taki wy, Hrehory Iwanowiczu, mówili — upierał się Bestużew.

— Milcz, durak! Zełgał ty!

— Sam durak!

Stanęli naprzeciw siebie, mierząc się iskrzącymi oczami i długie rękawy kosztownych sarafanów obciążając spiesznie w dół, aż zakryły dłonie. Nim Sebastian zdążył pomiarkować, o co im chodzi, bili się już wzajem po pyskach, z głośnym klaskaniem jedwabiu. Mimo gniewu baczylili uważnie, by przeciwnika nie uderzyć gołą dłonią, co stanowiłoby despekt dla obu stron. Otyli byli obaj, a dzień gorący, przeto zmęczeni się szybko i stanęli sapiąc.

— Zełgał ty, Michale Wasylewiczu! — powtórzył Uwarow groźnie.

— Nu, zełgał ja — przyznał Bestużew pogodnie, rozcierając obite jagody. Zawinęli z powrotem rękawy.

Dom kupca Aleksieja Jefimowicza, gdzie mieszkał Sebastian, był tuż, pożegnawszy zatem towarzysza siedli na konie i ruszyli dalej, rozmawiając przyjaźnie.

Sebastian otworzył skrzypiącą bramę dziedzińca. Podobnie jak wszystkie inne, dom był wzniesiony z nie ociosanych belek, z maleńkimi okienkami, zasuwanymi od wewnątrz, w caliźnie pni wykrojonymi. Na dole mieściły się piekarnie i ciasne komórki czeladzi, wyżej — niewiele co większe świetlice. Kilkanaście masywnych, z gruba ociosanych schodów wiodło do tych paradnych komnat. Drugie schody, węższe, prowadziły od tyłu na białogłowską stronę domu, przytykającą do wznoszącej się osobno bani, czyli łaźni. Ponad dachem, korą brzożową obitym, górowała wieżyczka, dwa sążnie w kwadrat mająca, z wąskimi jak strzelnice okienkami, miejsce zażywania przez białogłowy wczasu w porze upałów, obrony w razie napaści. Była to również wygodna strażnica w wypadkach pożaru lub rozruchów w grodzie.

W pierwszej izbie, dosyć mrocznej (bo małe, błonami cielejącymi przesłonięte okna niewiele przepuszczały światła), gospodarz, Aleksiej Jefimowicz, popijał kwas chlebowy z glinianego kubka. Miał wielką brodę i szeroką, dobroduszną twarz, żadnym zagranicznym umem

nie zmaconą; na sobie rozchełstany dla gorąca tułup i szytą w kogutki rubachę.

Powitał pogodnie Pielsza, zanim go jednak zdążył spytać o nowiny, rozległ się klekot kopyt na dziedzińcu.

— Gość k'wam, Sebastianie Andrejewiczu, przybył — zawołał wyjrząwszy gospodarz.

Wesołe kroki dźwięczały już na schodach. Błyskając białymi zębami w uśmiechu, wszedł Oleś Bałaban. Pochylił się nisko przed wiszącą w kącie ikoną i uprzejmie witał obydwóch.

— Jegomość pan hetman przysłał mnie do waści prosić go na cześć, jaką sprawia dziś dla bojarów na Dziewiczym Polu.

— Mnie? ... Na cześć? — zdziwił się Sebastian zmieszany tym wyróżnieniem...

— Z każdej chorągwi po kilku towarzyszy ma być... Zresztą pan hetman osobliwie waści nawidzi.

— Mnie? — powtórzył Sebastian z jeszcze większym zdumieniem.

— No waści! — śmiał się Bałaban. — Jegomość już taki jest... Nieraz i słowa z kim nie zamieni, a na wylot przejrzy i zna. Szczerze mówię, iż nawidzi waści. Sam mi powiedział co ino: A nie zabaczcie o Pielszu... Jak wasze zdrowie, Aleksiej Jefimowicz?

Drzwi skrzypnęły. Weszła gospodyni niosąc na tacy misternie rzezaną kwas lepszy, jęczmienny, miodem zaprawiony i kielichy. Podawała je nalane obu gościom, całując ich przy tym z lekka w policzek, zgodnie ze zwyczajem. Była to zażywna białogłowa, przyjemnego, choć różem i bielidłem zbrzydzonego lica. Na głowie miała czapkę wysoką, złotogłowiową, bramikiem bobrowym obwiedzioną. Perłowe z gagatkami kolczyki, niezmiernie długie, do połowy piersi sięgające, obciągały jej uszy, dzwoniąc po wierzchu tabinowej sukni, szerokiej i długiej jak komża. Niewiasty rodów mieszczańskich bez porównania większej zażywały swobody niżli żony i córki bojarskie, twarzy obcego mężczyzny nigdy nie oglądające — więc przez uchylone drzwi w głębi zaglądały ciekawie rumiane twarze dwóch córek gospodarza, Katieczki i Kseńki. Mimo ciepła nosiły obie czerwone spiczaste czapki, futrem oszyte, spod których wysuwały się koło uszu dwa długie, rozstrzępione kosmyki włosów, zwane pieskami. Gdy jednak Bałaban strzelił ku nim okiem zbyt zalotnie, Aleksiej Jefimowicz zmarszczył brwi, a gospodyni, pokłoniwszy się nisko, wyszła zawierając starannie drzwi za sobą. Bałaban westchnął nieznacznie.

— No, ogarnij się waść i przyjeżdżaj — rzekł do Sebastiana uderzając go po ramieniu. — A włóż, co masz najlepszego, bo nie byle to będzie parada... Ja jadę wprzód, siła jeszcze mając do roboty.

Dokończył kielicha, pożegnał obu i wyszedł chyląc się znów przed ikoną. Gospodarz spoglądał za nim z pełną niedowierzania uwagą.

— Aleksander Iwanowicz jakiej jest wiary? — zapytał nieśmiało, gdy kroki Olesia ucichły.

— Prawosławny.

— Nie może być! Wszyscy to mówią, że łacinniki ścierpieć u siebie prawosławnych nie mogą.

— A nieprawda; czego przykładem Bałaban, którego prawosławny jest, a przecie pan hetman miłuje go niby rodzony syna. Wiele jest u nas familij z ruskich, które prawosławne ostały, a nikt się tym nie gańbi. Ja ni prawosławny, ni łacinnik, to widzę dobrze, jak rzecz jest...

— Wot... Wot! — mrucał gospodarz. Otarł usta kosmatym wierzchem dłoni i odsunął z hałasem ławę od stołu. Westchnął potężnie, zamyślony.

— Ej, Sebastianie Andrejewiczu — rzekł nagle — może dobry będzie Władysław Zygmuntowicz, ale Stanisław Stanisławowicz byłby lepszy!... Wot co... Niech on się carem objawi...

— Kto? — zapytał Sebastian nie zrozumiawszy.

— Kto? Pan hetman! Pan Żółkiewskij! Choroszyj Hosudar... Wsie by na niego z udowolstwem przysięgali... Co mu dla króla robotać! Puskaj, niech sam carem będzie... Skażicie mu to, panowie Polaki...

**P**an hetman siedział w namiocie swoim sam, pogrążony w myślach. Brak odpowiedzi i jakiegokolwiek instrukcji od króla męczył go nieznośnie. Dziewięć niedziel z górą minęło od kłuszyńskiej potrzeby, a dotąd ni wiadomości, ni dyrektywy żadnej nie otrzymał. Liczni jego posłańcy tonęli w obozie królewskim i nie powracali. Wypadki zaś nie chciały czekać opieszalej decyzji króla Zygmunta. Z chwilą gdy bojarowie sami postrzygli w mnichy cara Wasyla Szujskiego i poselstwo do hetmana wysłali, trzeba było albo tron carski imieniem królewicza Władysława przyjąć i Moskwę obsadzić, albo zezwolić na zdobycie jej przez Dymitra Szalbierza, który w tym czasie, dufny w pomoc Zarudzkiego, znów wypłynął na widownię. Byстрыm umysłem ogarniając ważność dziejowego momentu, hetman wszedł do Moskwy nie czekając na rozkazy, które nadchodzić nie chciały. Własnym przekonaniem wiedziony, budował na swoją rękę olbrzymie dzieło, przed którego wielkością sam korzył się i truchlał, niby przed cudem... „Nie moje to mdłe ramiona dźwignęły — powtarzał sobie nieustannie — jeno moc Boża obróciła tak niezmyślenie umysły tego narodu ku nam...” Widząc w przedziwnym rozpędzie wypadków wyraźne rozkazanie Boże, szedł w przód, wielki inkarnator Jagiellońskiej idei braterstwa narodów, idei zdolnej przeobrazić i odmienić Europę. A idąc w szlachetnej swej duszy znajdował bez trudu postępowanie, jakiego chwila wymagała, słowa potrzebne, jedyne, które nieufną Moskwę przekonać mogły o jego szczerości i prawdzie.

Nie wprowadził wojska do stolicy, aż na prośby bojarów. Nie obsadził załogami oddających mu się z dobrowoli zamków. Sąd ustanowił sprawiedliwy, a surowszy dla swoich niżli dla miejscowych. Uszanował świętości ruskie, niezmierną wrażliwość ciemnego tłumu na punkcie swoich obrządków i zwyczajów. Ujednał sobie i dla swej myśli pozyskał starego patriarchę, niechętnego zrazu, a z nim całe duchowieństwo. Zaprowadził w stolicy nie widziany od kilkudziesięciu lat bezpieczny spokój i ład. Jak pod Carowym Zajmiszczem spojrzeniem, tak teraz ramionami objął serdecznie Moskwę i przygarnął ku sobie. Ulitował się pierwszy jej ran nieustannie krwawiących, jej wieczystej ciemnoty i cierpliwej, pokornej niedoli. Przestały go razić grubość obyczajów tego ludu, dzikość jego, odkąd przyczyny ich zrozumiał. Z radosnym drżeniem przeczuwał koniec niedoli tej i barbarzyństwa, nękających w świetle dobrobytu i swobody. Myśl lotna obejmowała nieobeszłe moskiewskie ziemie, hen, aż po krańce nieznane w nocy całorocznej brodzące. Z uczuciem braterskim wspomniął aż do owych ludów bajecznych, pogańskich, niedźwiedzie lub chochoły ze strużyn i słomy czczących, przemykających się zimą na płaskorogich renach ku Moskwie, by skórki gronostaja, sobola, lisa białego na chleb suszony zamienić. Podnieść ich — uczyłowieczyć, Boskiego Imienia nauczyć! Apostolskie dzieło rozszerzyć! Dziedziny ludzkości zwiększyć!...

Powstał z krzesła, porwany wielkością zamierzeń, lecz równocześnie, niby szarpnięty tym ruchem płaszcz, zimne zwątpienie opadło mu na ramiona gasząc uniesiony zapal. Zatrulo myśli, wstrząsnęło szyderskim śmiechem:

--- „Ejże, hetmanie! Nieskoro! Nieskoro! Nie rozpędzaj swych koni tak szybko! Do Eskimosów ci spieszno? Laponów?... A bliżej? Popatrz no bliżej! Koło własnej chaty... Na ziemi twojej rodzonej...”

--- „Na mojej ziemi?...”

--- „Popatrz, co się dzieje z Rusią? Spójrz, jako twoi rodacy braterstwa i polskiej złotej wolności ją uczą...”

--- „Nie przypominaj!... Milcz!...”

Zakołysał rozpaczliwie głową, jak gdyby pragnąc odegnąć wspomnienie rzeczywistości bolesnej, dręczącej.

Ruś!... Ruś!...

Kraj wielki, mocny, bogaty, o bogactwie i mocy swojej nie wiedzący, kraj bliski, rodzony, swój...

By jeszcze sto lat Jagiellonowie rządili, nie ostałby cień różnicy między Polakiem a Ruskim... Połączyłyby się, zlały w jedno umysły i wiara. Cóż zaś dzisiaj? Och, lepiej nie myśleć, nie myśleć!... Kraj oddany we władanie kilku satrapów, Wiśniowieckich, Ostrogskich, srogie samorządy tam wiodących. Obracają wolne ludzkie w niewolniki... Ściągają Żydów-pijawki. Puszczają im w arendę podatki, czynszowe, mostowe. W dwójnasób, w trójnasób wyciśnie je z biedoty Żyd. Maluczko, coż się ostanie z dotychczasowego braterstwa, pogodnego przenikania się, łączenia w jedno? Nienawiść ostanie, tajna, trująca nienawiść bezsilnych, co kiedyś, kiedyś wybuchnie. Hej, położyć temu koniec, zanim zarzewie podkładane ślepych rękami zadufanych w pysze ludzi rozgorzeje pożarem nad Rzeczpospolitą i zatrzęsie jej gmachem!...

Położyć kres...

--- Jeno jak?

Roześmiał się gorzko, boleśnie, do reszty z poprzednich marzeń otrzeźwiony. Znał swą niemoc. Samotny był zawsze i odosobniony, przyzwyczajony, że wszelkie poczynania jego i myśli, nie poparte, nie zrozumiane przez nikogo, na zagładę są z góry skazane. Przecież oderwać się od tych marzeń nie zdołał. Duszę byłby chętnie oddał, by do dusz rodaków trafić... Zawładnąć nimi. Przemówić do ich sumienia. Przymusić do zastanowienia, do wglądnięcia w samych siebie, harde, niespokojne duchy panów Herburtów, Zbaraskich, Stadnickich — niczego krom swojej dumy i swobodnego zachcenia nie znające... Położyć koniec krzywdzie, uciskowi słabych, poddaństwu, niewoli kmiecej. Przyniewolić pysznych, wyniosłych junaków, by uszanowali w najlichszym swoim poddanym człowieka. Zakończyć krwawe walki między chrześcijańskimi narodami, stworzyć wielkie braterstwo słowiańskie, w Chrobrowej myśli przed prawnymi poczętami. Zapobiec wojnom...

Wojnom...

Orzeł bitew, strategos genialny, jednym błyskawicznym rzutem rozstrzygający natarcia, wojownik chwałą stu zwycięstw okryty, któremu Chodkiewicz zazdrościł — zatęsknił naraz żarliwie, gorąco za Królestwem Bożym pokoju. Zapragnął widzieć zmierzch oręża, zmierzch sławy wojennej, której szkarłat zbyt drogo się przepłaca. Przenikliwymi oczami patrząc na wskroś ludzkich spraw, umiał dojrzeć za sławą polotną, grzmiącą radośnie na poboju, nieuchronny posepny jej cień. Czujne ucho mając, poprzez zwycięski dźwięk surmów umiał dosłyszeć ciche skomlenie wlokącej się w pyle niedoli istnień, trafem w splot wojny porwanych — istnień, co nie mają udziału w sławie ani korzyściach zwycięstwa, a na schylonych nisko głowach dźwigają przecie cały ciężar krzywd wojennych, nieszczęścia i łez...

I znowu poczuł się nagle z myślami tymi sam, sam jeden w całej Rzeczypospolitej. Kto go zrozumie? Kto pójdzie ku celom tym razem z nim? Nikt...

--- Nikt...

Czyż nikt?... W rozżalanej pamięci zabłysły jakieś oczy, zaprzysięgłe w wierności, rozumiejące. Surowo patrzą spod głęboko wysklepionego czoła, ciasno przy wąskim nosie osadzone... Czyje?... Gdzie?... Nie mógł sobie żadną miarą przypomnieć.

Ten szlachcic z Podgórze; jakże mu?... Pielsz — wspomniał wreszcie hetman. — Skarga



go przejrzał..."

Uśmiechnął się mimo woli na myśl, że przecież choć jeden...

Imć pan Rusowski, kredencierz, przerwał rozmyślania, przychodząc pytać o ostatnie dyspozycje do mającej się rychło rozpocząć uczy. Bankiet ów był przedmiotem szczególnych narad od dłuższego czasu. Pan hetman, zazwyczaj doskonale obojętny na gastronomiczne sprawy, interesował się tym razem osobiście dyspozycją potraw. Chciał bowiem, by uczta była zarazem wspaniała, a jednak przepychem i wymyślnością nieznanymi dań Moskwy nie rążąca. Wielce to było nie w smak panu Rusowskiemu, który, wprost przeciwnie, pragnął popisać się i zaimponować kunsztem kulinarnym — lecz hetman nie ustępował. Na stanowcze też jego żądanie, miast pieczeni tarnosolisem zaprawionej, z pinelami lub truflami, kolosów złożonych z francuskiego ciasta, dragantów cukrowych, arkasów, łososiów w burgońskim winie gotowanych i kapłonów w alabrysie — miano dać po prostu jagnięta wędzone, mlekiem podlane, ciasto z jajami i twarogiem, kurę na żółto w barszczu, kolana łabędzie w miodzie, i płuca drobne siekane z jagłami, szafranem i pieprzem, na wety zaś zwykłe głowy cukru, trąby powideł i ulubione bojarom laski cynamonu. Wzdrygał się na taki bankiet pan Rusowski, lecz nic nie zdołał uprosić. Teraz przychodził frasobliwy zapytać, czy pan hetman pozwoli przynajmniej talerze przystojnie rozstawić.

— Nie — odparł żywo pan Żółkiewski — gotowi pomyśleć, że im kontempt chcemy zadać... Bochny przed każdym miast talerza, jako u nich w zwyczaju.

— Nawet przed Waszą Dostojnością? — zapytał pan Rusowski żałośnie.

— Juźci że ekscypcji dla nikogo nie uczynim.

— *Deus misericordiae!* Całkiem na moskiewską modłę się przekabacamy! — westchnął z niechęcią imć Rusowski wysuwając się szybko, bo Wiesiołowski meldował przybycie kniazia Fiodora Szeremeta i dumnego diaka Wasyla Telepniewa.

Weszli chrzęszcząc kosztownymi, długimi szatami, kłaniając się nisko, lecz z godnością. Hetman witał ich uprzejmie.

— Przyszli my za bardzo ważnym dziełem — zaczął Telepniew powoli, siadając na ławie.

— Rad posłucham.

— Od królewicza nie ma jeszcze wiadomości? Kiedy przyjedzie? — przerwał żywo kniaz Szeremet.

— Nie ma — wyznał hetman z żalem.

— Dlaczego? Tyle czasu! — zaniepokoił się obaj.

— Prosta rzecz — tłumaczył hetman. — Król Jegomość bez Sejmu stanowiąc sam nic nie chce ani i może. Ugodę naszą do Warszawy dla przedłużenia Stanom niechybnie przesłano, co musi zając kęs czasu...

— Nu, da — uspokoił się kniaz. — Wot z czym my przyszli k'wam, Stanisławie Stanisławowiczu: królewicza nie widno, klejnoty carskie, koronne, bez stróża. Bez opieki Monomachowa święta czapka i posoch, i święte bramy... Niepokoiemy się o nie... Straszno pomyśleć: jaki bądź zmiennik może je skraść, wydać Dymitru-woru czy innemu łżeciu... Uradzili my z patriarchę, byście je wy, Stanisław Stanisławowicz, k'sobie wzięli i strzegli.

— Przecież klejnoty są w skarbcu — rzekł hetman, zdziwiony.

— Do skarbcia różne ludzie chodzą — odparł diak Telepniew gładząc brodę — pokrewne Szujskich a Golicynów, a inne... Jedni na drugich się oglądają... Niepotrzebny stąd szum i niepokój. Zgodziliśmy się wszyscy, żeby u was były, a nikt nie będzie się trwożył...

— Żołnierska moja kwatery, nie do stróży takich skarbów sposobna.

— Karaul swój własny do skarbcia dajcie, Stanisławie Stanisławowiczu. Hetmańskie

klejmo połóżcie na drzwiach... Albo jeszcze lepiej, weźcie je tu, jeśli wola... Nam to zarówno, byle były pod waszą opieką, a wszyscy będą spokojni — przedkładał książę Szeremet.

Hetman obiecał sprawę tę po uczcie raz jeszcze rozważyć i wraz z nimi zdecydować.

— Jakie szaty Wasza Dostojność każe sobie podać do uczty? — zapytał

Wiesiołowski, gdy książę i diak wyszli po szeregu ukłonów.

— Altembasowy żupan i przedniejszą delię — odparł z roztargnieniem hetman i spojrzął ku wejściu, bo w tejże chwili Oleś Bałaban wpadł jak wicher do namiotu.

— Bojar Andronow list przywiózł od Króla Jegomości! — krzyknął.

— Daj!

Uchwycił nieco drżącą ręką, odprawiając zarazem skinieniem głowy Wiesiołowskiego i siostrzeńca. Wołał być z listem tym sam. Przełamał szybko pieczęcie:

„Uprzejmy, wielce nam miły!

Niepomału zdziwieni nowinami, dochodzącymi nas od Waszej Uprzejmości, wyrozumieć nie możemy poczynań takowych, pełnych następstw szkodliwych dla Rzeczypospolitej. Zali nie manu armata, zbrojną siłą, zajmuję to władztwo, które nam Bóg zechciał oddać? Zali to Moskwie przystoi stawiać nam kondycje? Doszły nas wieści — oby nie szczere — iż Wasza Uprzejmość zbytnio Moskwicinów rozdufalaś, unię z nimi forytując, a swobody, jakie Korona i Litwa posiadają, obiecując. Na takowe precedensa żadną miarą konsensu nie damy. Naród moskiewski zgoła niepodobny jest do naszego i co płuży jednej nacji, nie lza stosować dla drugiej. Moskwa ślepego posłuszeństwa zwykła, w którym utwierdzać ją jeno będziemy, jako iż jedyna to modła przystojna dla narodu tak grubego a kłamliwego.

Na koniec, dajmy wiedzieć Waszej Uprzejmości, iż po dojrzałszych deliberacjach rezolwowali my królewicza w Moskwę nie posyłać. Zbyt młody on, by go na srogie terminu, częstym udziałem władców tego kraju będące, narażać. Żywota miłego naszego dziecięcia nie chcąc na *pericula* pewne wystawiać, wiodąc go na tron, któren i tak prawem dziedzicznym w bardziej żrałych lecjach mu przypadnie, polecamy i rozkazujemy Waszej Uprzejmości przysięgę od Moskwicinów na Nasze Królewskie, nie królewiczowe imię przyjmować — w żadne się obietnice ni ugody nie zabawiając. Wszelkie fawory bowiem od Naszej jeno łaskowości, po okazaniu przez tę nację winnej uległości i obediencji, zależą”.

Upuścił list i trwał chwilę bez ruchu, bez słowa. Znając króla i „radę komorną”, znając zawiść ku sobie panów Potockich, nie oczekiwał spod Smoleńska pochwał — owszem, gniewu, nagany, dyskusji nad poszczególnymi punktami przesłanej do akceptu umowy... Ten list jednak gorszy był niż najczarniejsze jego przewidywania, podcinał nieodwołalnie, burzył od fundamentów wzniesiony przezeń gmach pokoju i zgody.

Zamienić królewicza na króla!... Uśmiechnął się z ironią na samą myśl tego żądania, wiedząc, jak imię Zygmunta znienawidzone jest w Moskwie, jak (nie bez racji) uchodzi za synonim ciasnego fanatyzmu i obcości. Żądać przysięgi na niego! Wolej od razu rzucić Moskwę, niechać wszystkiego i wyjeżdżać...

Przeczytał list po raz wtóry i zaplótł ręce żałością. W suchej jego treści dojrzał coś więcej niżli robotę niechętnych mu królewskich zauszników. Tu przede wszystkim tkwiła zasadnicza różnica, dzieląca jego zamysły od dążeń i pragnień królewskich. On, hetman, chciał stworzyć unię, dobrowolne zaślubiny narodu z narodem: wolni z wolnymi, równi z równymi — w myśl najszczytniejszych idei wolnego polskiego narodu. Zapewne, dzieło podobne wymagało pewnych ofiar ze strony Rzeczypospolitej, lecz jakaż ofiara byłaby zbyt wielka wobec ogromu zadania!

Król, obcy człowiek o ciasnym umyśle, nie chciał tego dzieła, nie rozumiał go.

Szczęśliwy, że może nareszcie dać upust swym dążeniom dynastycznym, w niezachwianym rozumieniu, że narody są własnością władców, chciał zagarnąć tron moskiewski prawem zaboru,

nie unii (od półtora roku stojąc pod jedną twierdzą — przemkło szydliwą błyskawicą przez znękaną głowę), osiąść na nim i, wzmocniony, sięgnąć po stracony szwedzki. Nie leżało bynajmniej w jego programie obdarowywać Moskwę wolnością ni swobodami. Nie o ten kraj mu chodziło, lecz o siebie...

— Wasza Dostojność — wsunął nieśmiało głowę Wiesiołowski — czas się sposobić do uczty, bo już bojary zjeżdżają...

— Do uczty — drgnął hetman, jakby przebudzony. — Ano tak... Do uczty. Wszakże za chwilę ma się odbyć cześć ku chwale wzniesionego miru.

Wieczystego miru!...

Zatrząś się w nagłej rozpacz. Co zrobić? Wyjść do gości z tym oto listem w dłoni? Odczytać go? Dobry by to był antypast!... Odwołać ucztę? Za późno!

Rzucił dokoła wzrokiem z desperacją, darmo szukając tłumaczenia, wykrętu, sposobu — gdy oczy jego padły naraz na niewielki, złożony karteluszek, wraz z listem królewskim przez Bałabana podany, którego w pierwszej chwili pośpiechu nie zauważył. Podniósł go skwapliwie. Niby dłoń przyjacielska podana w udręce, skrzepiło zwarte, krótkie pismo księdza Skargi.

„Radości serca mego zataićem nie mógł... Błogosław cię Pan Bóg i dom twój na wieki! Błogosławieni pokój czyniący... Chrystus z tobą, bracie mój...”

— Chrystus ze mną — powtórzył hetman — większy od króla jegomości Król...

Ciepła otucha wśliznęła się w serce: Zygmunt da się jeszcze przekonać, uprosić... Uparty jest wprawdzie jak kozioł, przecie dowiedziawszy się, jak rzeczy stoją, musi sfolgować, zrozumieć... Musi ustąpić pod naporem Sejmu! Juzcić Sejm będzie za unią...

Z nagłą decyzją wsunął oba listy w zanadrze i krzyknął na Wiesiołowskiego, aby go przyszedł odziewać.

**W** olbrzymiej szopie z tarcic, kobiercami, strefami barwnymi i jedliną ustrojonej ad hoc na Dziewiczym Polu, duszno było i ciemno od wyziewów jada, trunków i oddechów tysiąca ludzi bez mała. Smolne pochodnie pryskały paląc się wzdłuż ścian. Przy długich stołach, na wąskich ławach, które trza było przekroczyć, by zasiąść, siedzieli na przemiany towarzysze i bojary. W półmroku szopy lśniły cenne materie, błyszcząły klejnoty, miesięcznym światłem połyskiwały szyte perłami jarmułki. Wciągnięte w przygarbione ramiona głowy bojarów, ciężkie, otyłe karki, spływające długimi włosami — ocierały się o ramiona polskich towarzyszy, trącały szerokie, dumnie wyniesione barki. Oczy skośne, azjatyckie, korne a podejrzliwe zarazem, patrzyły z bliska w zuchwałę źrenice, świadome, wolne, lęku nie znające, oczy sokołów bujawych. Dłoń żylasta, muskularna, od dziecka szabli i konia zwyczajna, spalona wichrami obczyzn dalekich, wyschła wśród niewczasów obozowych, sięgała do misy równocześnie z białą, sadłem oblaną, kosmatą dłonią bojara, co znał jeno własny dworzec, próg cerkwi, łaźnię i pokłony. Umysły prężne, nieposłuszne, harde, którym nie nowina była puścić się cwałem w poprzek Europy, wywracać wiary i trony, na własną rękę tajni wszechświata dociekać — przykładwały się pilnie do porozumienia z lękliwą, ciemną pokorą, drżącą przed każdym śmielszym, za grzech najcięższy poczytywanym odruchem.

Setka hajduków w barwie kręciła się bezustannie, rozlewając jednym i drugim wino oraz przedni hetmański miód. Niezliczone misy, spiętrzone mięsiwem, stały szeregiem na stołach, stykając się krawędziami. Bojarzy czerpali z nich wprost rękami; Polacy, ochędziej, sięgali wydobytą zza cholewy łyżką lub nożem i jedli podłożwszy pod mięso, na obrus, rozłupany bochen chleba. Kości trzeszczały w potężnych szczękach,

wysysających z satysfakcją szpik jagnięcy. Niektórzy bojarowie zarzucili na cenne dolmany czamletowe ochronne chałaty, brody zaś pozasłaniali chustami. Większość jednak jadła chciwie, bez troski o ubiór: sos z mięsiwa spływał swobodnie po zwartym, nasyconym gąszczu brody na złotogłów szaty, ociekał wzdłuż palców, zastygając wewnątrz oszytego sobolem rękawa.

Głośnie żarcie, pochrząkiwania i czkawka, oznaka lubego dosytu, głużyły gwar skąpych rozmów. Siedzący między Bałabanem a Andronowem Sebastian, znudzony i zmęczony, spojrział machinalnie w górę stołu i drgnął w niemiłym zdziwieniu na widok twarzy hetmana. W pomroku sali, wśród błękitnych posmug dymu, okolona siwizną, przeorana zmartwieniem, jaśniała ponad stołem łączącym dwa obce światy, jak boleściwy, zadumany miesiąc.

— Co jest panu hetmanowi? — trącił Bałabana. — Widzi się srodze zatroskany.

— To prawda — przyznał Oleś spoglądając ku wujowi badawczo. — Listy od Króla Jegomości przysły; widno nic w nich uciesznego nie było... Pewno rekryminacje nowe a przygany...

— Przygany? — powtórzył Sebastian z niedowierzaniem.

— A co waść myślisz? Król Jegomość zawdy na pana hetmanowe poczynania krzywy. Taka sprawiedliwość!... Dziś wszakże może się nam jeno zdało — dodał po chwili, bo równocześnie hetman powstał i zwykłym spokojnym ruchem musnąwszy wąsy, uniósł kołpaka, by wnieść zdrowie miłościwego cara, Władysława Zygmuntowicza: Niech żyje!

— Niech żyje! — zagrzmiało w szopie. — Hospodar zdrow był! Zdrowia żelajem.

Zahuczały trąby. Gdy przebrzmiały, hetman tym samym kielichem pił zdrowie jego Świętobliwości Patriarchy i dumy bojarskiej zebranej. Wrzasnęła znów setnie kapela.

Uciszył ją ręką, zanim skończyła fanfarę, bo sędziwy książę Mściwowski, ostatni z Rurykowiczów, dźwigał się z trudem z ławy, chcąc przemówić. Oczy wszystkich biesiadników zwróciły się na starca, który skłoniwszy się kilkakrotnie w pas hetmanowi, znieruchomiał poza stołem, dostojny, w srebrzystej bieli długiej brody i złotem tkanym dolmanie.

— Bolszoje spasibo wam, Stanisławie Stanisławowiczu — zaczął donośnym i na podziw silnym głosem. — Rad ja, że dożył miru z Polszą, z całej duszy rad... Lżej będzie... Ciężka była nasza bojaraska dola, oj ciężka! Ciężka była dola całej Rusi... Wielki był car-imperator Iwan Wasylewicz, ale straszno srogi... Srogi był Borys Godunow, zmiennik przeklęty, jak wąż mądry, i zaufaniec jego, Szymon Godunow, krwiopijca, na bojarską krew zawzięty... Smutne były czasy najazdu panów Litwy, z panem wojewodą Mniszchem i Gryszką Otrepiewem, rozstrygą... Ani lżejsze walki bywszego cara Wasyla Szujkawo z Łše-Dymitrem-worem, z wojskami pana Sapiehy, kniazia Rożyńskawo i Zarudzkawo atamana... Ciężko było żyć... Obrzydłe się stało w Moskwie imię polskie... Ale przyszli wy, panie hetmanie Stanisławie Stanisławowiczu Żółkiewski! Przyszło z wami dobre dzieło, prawo-zakon, mir Boży i wolność... Prawicie nam, że wy są Polska prawdziwa, istinna, korzenna, a tamto były złe ludzie, awanturniki, obmany, swojej jeno korzyści patrzące. My wam wierzymy, Stanisławie Stanisławowiczu. Powiadają, że Moskwa rzadko komu wierzy, że nieufna jest i zdrażliwa... Tak nas nieszczęsna dola przyuczyła... Ale wam wierzym...

Urwał na chwilę, by zaczerpnąć tchu. Dwaj synowie oieccy podtrzymywali go z szacunkiem pod łokcie, gdy stał srebrzysty i złoty, świętej ikonie podobny. Przedziwna słodycz zalała duszę hetmana. Tkwiący za pazuchą list królewski, wcinający się w serce nieustannie jak ostry pugińał, zelżał nagle, odpłynął z pamięci, stał się czymś błahym, nieistotnym, nie mogącym w żadnym razie przeszkodzić wielkim wypadkom, dziejącym się w ciszy sali.

— Wierzymy! — powtórzył z mocą książę Mściwowski. — Zdały się już na wasze hetmańskie słowo, Władysława Zygmuntowicza carem obierając, święta Moskwa matka,

Nowogród Wielki, Ustjug, Perejasław, Czaranda, Jarosław, Wołogda, Biełoziero — cała ziemia rizańska, Nowogród Nizni, Kołomna, Tuła, Sierpuchów i grody siewierskie; wszystkie grody na szlaku możajskim, wszystkie grody na szlaku archangielskim... Pierwszy to raz stara Moskwa zawierzyła po dobrej woli obcemu, ręce wyciągając po mir... K'wam ona idzie, Stanisławie Stanisławowiczu. Nie ku Polsce panów Lisowskich, Mniszchów ni Rożyńskich, jeno ku tej, o której mówicie, że taka jest jako wy...

Bez słowa hetman objął starca w gorącym, serdecznym uścisku. Nieziemska, polatująca na wskroś wieków radość ogarnęła go jak płomień, uniosła. W oczach zabłyśły łyzy szczęścia... W nagłym porywie zewłókł z siebie pas bezcenny, opasał nim w dowód braterstwa kniazia Mścisławskiego. Wcisnął mu w rękę szablę-pamiętkę, dar króla Stefana. Pchnął co tchu Bałabana do swego namiotu, by z pokojowcami zniósł wszystkie, jakie jeno najdzie, misy, czary, stroje, trzęsienia, sepety, broń — a gdy znieśli, szedł ku bojarom z pełnymi dłońmi, drżący z radości serdecznej. Widząc, że nie wystarczy, by wszystkich obdzielić, posłał powtórnie Olesia, teraz do panów rotmistrzów, prosząc, by mu użyczili, co mają ze swych zdobycznych splendorów, które ze skarbcza Żółkiewskiego z nawiązką odda. Hojną ręką rozdzielał znoszące spieszenie precjoza, wieszając na brodatych szyjach złociste łańcuchy, kładąc na palce pierścienie, wtykając w ręce czary kryształowe, guzy i cenne zapięcia — jednym pragnieniem objęty: by nikt nie odszedł bez zadatku jego miłości i polskiej wieczystej przyjaźni...

**T**ych capów obdarowuje, a sobie to taki skąpy, że nawet piwa codziennie nie pija! Jak Boga kocham! A patrz waść: całą substancję dał im, tyle dobra! — mrucał niechętnie rotmistrz Dunikowski do siedzącego obok księcia Poryckiego.

## Rozdział piętnasty

### Od nowa

**S**ebastian wszedł na schody i zatrzymał się w pół kroku. Przeczucie, że w izbie zamkniętej czeka nań coś niespodziewane, niejasne, nie wiedzieć: czy dobre, czy złe — pchnęło go niby obuchem. Przeczucie to było tak silne, że wstrzymał oddech na moment. Przymknął oczy, przemógł się i otworzył drzwi. Skrzypnęły głośno. Siedzący na ławie towarzysz usarski porwał się na ten skrzyp z radością:

— Sobek! Nareszcie! Gdzie łazisz! Dyć czekam i czekam!

Chwycił go w objęcia, wybuchając gromkim śmiechem, obrócił w potężnych łapach, odsunął ku światłu, nie przestając gadać i śmiać się. Radosną, niefrasobliwą serdecznością zwałił

się na niego jak młody legawiec, przygniótł uczuciem jak kłoda, zamglił, ogłuszył, obezwładnił.  
...Pietrek! ...Pietrek — huczało w głowie Sebastiana (nie wiedzieć: radością czy przerażeniem), podczas gdy usarz powtarzał:

— Sobek! Dajże jeszcze gęby, chłopie! Tyle lat! Aleś postarzał! Ba, postarzełiśwa oba!... Co się tak dziwasz?! O reta! Pod Sandomirzem widzieliśwa się ostatni raz... Cztery lata! Dajże gęby!

— Skądęś się wziął? — szepnął bratomal nieśmiało.

— Umyślniem dla cię przyjechał! Pod Smoleńsk przyciągnęli my z panem hetmanem litewskim. Król Jegomość listy przez pana Gosiewskiego do Moskwy słał, tom uprosił, by mi razem jechać zezwolili. Dziś w południe przyjechalim... Hetmanów pociot wskazał mi, gdzie twoja kwatera... Leciałem co duchu, nawet nie przekąsiwszy po drodze...

— Ugoszczę cię zaraz... Czekaj...

— Nie dlatego przecież mówię — roześmiał się Pietrek. Ścisnął brata raz jeszcze, aż kości chrzęstnęły, i pogładził sumiastego wąsa.

Chłopisko było wielkie, ogorzałe, o zuchwałej, wojackiej twarzy. Jeny oczy zostały te same, co dawniej, wesołe, szczere jak woda... Wsparłszy się dłonią o biodro wodził nimi za bratem. Sebastian krzątał się gorączkowo koło poczęstunku, rad, że może przy tym zajęciu zebrać rozpierzchnięte myśli.

— Co słyhać doma? — wykrztusił z wysiłkiem, nalewając wina.

— Co? Syna mamy! — roześmiał się radośnie Pietrek stukając szklenicą. — Nie wiedziałeś? Prawda! Skąd mogłeś wiedzieć? Sobek my mu dali na imię... Matka i babka Sobcik go albo Sobiesik wołają... Prawdziwy biesik, taki zmyślny, a wesoły! Z gęby do Hanki ze wszystkim podobny... Zrobiła mu babka wałek z kitajki, wełną wypchany, na głowę, boby sobie łepetynę dawno na szcęt rozbił. Wszędy wlezie, a prześcipny, jakby miał trzy roki... Gada już: chodzić zaczął, jak mu dwunasty miesiąc szedł. Pociecha z tym rakiem!...

— Pani matka? — zapytał cicho Sebastian.

— Posiwieli, przygarbieli, ale radzi małemu okrutnie; weselsi teraz niż dawniej... Świata za Sobciem nie widzą... Jeździli my tego lata do Hancynej ojcowizny pod Sambor. Hanka aż się spłakała swoje kąty oglądając... Piękna ziemia! Pszeniczna! Nie jak na Czarnym Potoku... Pan pisarz samborski arendę wypłacił. Dobrze gospodarzy, owszem... Budynki u nas poprawiłem z tych pieniędzy; dziwiły się somsiady, że żonine pieniądze w twoje dziedzictwo kładę, ale my sobie przecież krzywdy nie zrobim... Dachy były całkiem kiepskie, trza było zrychtować... Groblę także dałem nową... Przenieśliby my się do Pinian, bo i dwór tam grzeczniejszy, jeno pani matka skapieliby z zalu sami, a z Czarnego Potoku wyjechać nie chcą, twego powrotu wyglądając... Jak wrócisz, wnet ci ustąpię... Toż i ty musisz się ożenić! Panien jest gwałt w okolicy; gładkie dziewczuchy aż miło. Stryj coraz to inną dla ciebie obiera...

— Co stryj?

— Zdrow stary jak rydz; facecje po dawnemu prawi i nad Sobcikiem się trzęsie... Twojego wesela wygląda...

— Wesela... Kiedy ja tam wrócę!... Nie ostawiajcie pani matki samej, Pietruś...

— Wrócimy razem, wojnę zakończywszy; chyba już niedługo pociągnie? Bacz, Sobek! Zasmakowało ci rycerskie rzemiosło! A widzisz! Wiemy o waszych przewagach! Hej!... Całe towarzystwo płakało, że pod Kłuszynem nie było! Taka wiktoria! Cudnieście się sprawili... Jeno z moskiewskiej polityki waszego hetmana srodze u nas nieradzi...

— Nieradzi? — powtórzył Sebastian otwierając szeroko oczy.

— Jużci że nie. Ni król, ni panowie, ni całe rycerstwo... Brać — to brać, wojować — to wojować, a nie bratać się z tą durną Moskwą... Za łby trzymać i patrzeć jeno, czy zdrady nowej

nie szykuje.

— Nie gadaj! — zachnął się starszy. — Tu wielkie rzeczy się tworzą... Boże, chrześcijańskie dzieło... Unię zrobić, zgodę zrobić, nie za wojną ustawicznie się oglądać. Ja za hetmana i jego zamysły w ogień bym wskoczył, wiesz?

— Et, unia z tym tałatajstwem — mruknął usarz. — Parkanem się od nich zagrozić, żeby nawet nie załaziły... Co nam od nich potrza? Skórek co nieco i tyle... Wolej soboli się wyrzec, a tych capów plugawych nie widzieć.

— Odmienia się; pomyśl, wiela lat minęło, nim Litwa zesła się w jedno z Koroną?... Nie w parę niedziel przerobi się naród... Trza czekać...

— Wźdyć na co to komu potrzebne? — upierał się usarz.

— Potrzebne — odparł Sebastian z niezwykłą powagą w głosie — by pokój czyniąc przyspieszyć Królestwo Boże na ziemi.

— Gadanie! Daj lepiej gęby za Kłuszyn... Wtedyście się nie bratali, jeno bili, i dobrze było. Zresztą, co mnie polityka!... Teraz trza mi wracać, bo nie wiem nawet, gdzie poselstwo zajechało, a jutro z rana przyjdź do mnie, albo ja zajdę do ciebie... Z niedzielę chyba zabawim; nagadamy się do syta... Co ci jeszcze rzec?... Aha — zacerwienił się i urwał — nie wiem, zaliś słyssał, że my z Hanką wiarę zmienili i katolicki ślub brali... Szumny ślub. Sobcik też po katolicku krzczony jest. Sądecki proboszcz go krzcil...

— Tak? Nie wiedziałem...

— Nie my jedni... zmieniła się okolica... Drużyna też przeszedł i Olszanek z powrotem od klasztoru trzyma... Socynus zdziaźniał ze wszystkim, Farnowski wyjechał...

— Wyjechał? Dokąd?...

— Do Firlejowa czy kajś indziej... Jedni gadają, że tam pomeł, inni, że żyw jeszcze... Straszno ciebie oczekiwał! Woziłem mu odsypne, jak raz przed jego wyjazdem, to ze trzy razy mnie gabał: Nie ma brata? Kiedy wraca? — Ja mówię, że nie wiemy, on zasię znowu za moment: Gdzie brat? Kiedy powróci?... Powiadali, że gminę na ciebie chciał złożyć i urząd swój tobie niechać...

— Nie wiedziałem...

— Taszyccy młodzi takōż wiary odstąpili; nie ma już w Lusławicach zboru ani szkoły, ani drukarni w Wenecji...

— Nie ma zboru ani szkoły...

— Jak Farnowskiego nie stało, a Socynus na psy zeszedł, nie było już komu o gminę się troszczyć. Lubieniecki jeden, co twardo się trzyma, nie zdierzy wszystkiemu... Władzy nikt nie chce brać, starszyną być — każdy dość mając swoich kłopotów... Trza mi jechać... Oj, nagadamy się jeszcze! A pokój zawrą, wróciwa razem do domu. Radość to będzie! Zobaczysz tego małego. Powiedam ci, żeś takiego mądrego wciornastka nie widział... A już i drugiego zastanę, daj Boże szczęśliwie. Hanka tęga baba, to się i nie niepokoję... Pani matka wnukę by woleli, a ja syna...

— To z naszych kto ostał? — przerwał mu Sebastian.

— Lubieniecki... Jordanowie... Wiszowaty... Osterode wmieście siedzi i książki tłucze, ale mu nietego idzie... A wiesz — buchnął nagle śmiechem — kto mu wtedy krotły zabrał, coście prawili, że biskup? Ucieszna historia! Ludzie za boki się brali... Zbójniki Kwoczki; myślały, że złoto jest w skrzyniach, i wzięły. Dziewka była z nimi węgierska, Paryshazówna, którą w lektyce nosiły... Ją biskupem kreowano!... Ładny biskup! Ani słowa! Potem tę dziewczkę w Dunajcu zbóje utopiły, zaś skrzynie Osterodemu za okupem oddały i tyle...

Uściskał mocno brata i roześmiał się szeroko, odchodząc.

— Do jutra, Sobek! Do jutra!

— Do jutra — powtórzył Sebastian machinalnie, odprowadzając go do wrót.

Gdy Pietrek odjechał, z konia jeszcze przesyłając ręką pozdrowienia, wrócił do izby. „Pojedź z nami” — dźwięczało w uszach. Wskrzeszone słowami brata stanęły w oczach, jak żywe, wspomnienia: siwa głowa matki, roześmiana twarz Hanki, dom w cieniu lip, tak niegdyś umiłowany; stary stryj; góry rodzone... Zażałował za nimi, lecz wnet nasunęły się inne obrazy, przed którymi zamknął oczy.

— Nie, nie powróci tam za nic...

Może kiedyś dopiero, po latach, po latach, gdy wszystko zatrze się, zblednie...

Lusławice... Koniec zboru...

W dziwnym uciszeniu serca nie czuł w sobie oburzenia ani gniewu, jeno głęboki, krwawiący żal. Także się wszystko zmieniło? Nie wróci, za nic nie wróci! Nie będzie tego oglądał...

Naraz przypomniał sobie opowiadanie Pietrka o Osterodem i drgnął. Ujrzał, jakby to było wczora, chwilę, w której zdecydował się jechać na stężycki zjazd i zbrojnie walczyć o wolność wyznania. Ten to moment złamał, skrzywił jego życie. Załamała się dola. By nie był wyjechał, Hanka byłaby jego... By nie był wyjechał, nie dopuściłby do powszechnego odstępstwa od zboru; byłby podtrzymał Lubienieckiego, przejął po Farnowskim władzę i strzegł gminy jak pies-stróż. Wszystko byłoby inaczej... Oczekiwał jego powrotu, wyglądał go stary przyjaciel! — gdy on pleśniał w beczynności w Dymitra-wora obozie... Pocięgą stałą bywała mu dotąd myśl, że owo postanowienie wyjazdu oparł na niezłomnych, przemyślanych gruntownie podstawach, a ot — śmiech pomyśleć! Błazeńska pomyłka! Dziewka zbójecka, wzięta za biskupa, o życiu jego i losach zadecydowała!... Zatrząsł się cały z wewnętrznego bolesnego śmiechu. Ot, czym są ludzkie pewniki i postanowienia! Nieskończony, ważki łańcuch przeżyć, wypadków, zmian, zdarzeń, zadzierzgnięty był o jedną pocieszną w swojej głupocie, omyłkę! Podniósł głowę i przez otwarte okienko wpatrzył się w zachodzące w paciepi ognistej słońce.

Nie, nie ta omyłka poczęła ciężkie ogniwa łańcucha! Fakta same przez się pozbawione są znaczenia, niezdolne niczego zmienić. Przyczyną był tylko on sam. On jedynym winowajcą. Pomstliwie zwróciło się przeciwko niemu sprzeniewierzenie się własnym zasadom. Skoro wierzył, że oręża używać nie wolno, nie trza się go było brać. Nie masz imperatywu upoważniającego do zmiany przekonań, póki się wierzy w ich świętość. On pierwszy zdradził zbór i swoją prawdę, uprawnił odstępstwa drugich.

Słońce zapadło daleko za błotnistą rzeczką Moskwą, a nagły mrok zalał izbę — i duszę jego zarazem.

**W**asza Dostojność! Pan rotmistrz Zborowski zapytuje, gdzie mu Wasza Dostojność każą ninie spyżę dla koni brać?— meldował Sebastian Pielsz stając na progu hetmańskiej kwatery.

Pan Żółkiewski odwrócił głowę odkładając trzymaną w ręku książkę.

— Spyżę? — powtórzył. — Zborowscy brali ją dotąd w Krasnoje?

— W Słobodzie, Wasza Dostojność, ale już dłużej tygodnia nie starczy...

— Trza się będzie bojarów zapytać, gdzie tu zamożniejsze sioła, sprzedać bez straty mogące... Po prawdzie, nie ja to już, ale pan Gosiewski rozrządzi, od jutra komendę nad wojskami obejmując.

Spotkał znieruchomiały, zdumiony wzrok Sebastiana i dodał objaśniająco:

— Za trzy dni pod Smoleńsk jadę, wojsko tutaj ostawiając.

— Wasza Dostojność wyjeżdża! — powtórzył Sebastian prawie z przerażeniem.



— Trzeba... takie zaszły cyrkumstancje... Dawnom waści nie widział. Zbiedniałeś czegoś. Choroba jaka nawiedziła?

— Zgryzoty duszne cięty, stare bolączki, o których i mówić, Wasza Dostojność, nie warto...

— Dobrze ci widno dopiekły... Ale się broń, w kupę zbierz, by cię jako Adama, któren *instar* nieboszczyka po świecie chodzi, nie zjadły...

Spojrzał na zmieszanego milczka z taką dobrocią, że ośmielony nią Sebastian wykrztusił:

— Wasza Dostojność! Proszę wybaczyć zuchwalstwo... Ten wyjazd, nie będzie on na dobre... Wszystko Waszej Dostojności głową stoi; gdy jej zabraknie, urwie się; swawole poczną się, jako za tamtych... Pan Gosiewski wielki wojownik i dobry człowiek, ale Moskwa mu nie ufa ani on jej...

— Hej! — odparł hetman z żalem. — Nie nowiny mi tu prawisz. Sam się trwożę, by to, co zbliżeniem narodów być miało, rozdziału większego nie było przyczyną... Cóż wszakże na to poradzę?

— Nie odjeżdżaj, Wasza Dostojność!

— Muszę.

Przymknął oczy, jak gdyby strwożony wizją proroczą pożaru Moskwy, rzezi, głodu, ciągnącego się przez wieki nienawistnego odwetu.

— Muszę — powtórzył. — Co tu dłużej skrywać: Król Jegomość roboty naszej nie akceptuje, królewicza dać nie chce; Sam chcąc carować, na swoje imię każe przysięgę odbierać...

— Król! — wykrzyknął Sebastian. — Przenigdy się Moskwa nie zgodzi!

— Tłumacze to... Oczywiście, że się nie zgodzi... Jeszcze przed ową ucztą, pierwszą o tym wiadomość przywiózł mi Andronow. Zmilczałem przed wszystkimi, myśląc: napiszę, przełożę, toć zrozumieją. Pisałem do króla, wszystkie racje przytaczając... Kamień by, zda się, zrozumiał... Nic nie wskórałem... Pan Gosiewski jeszcze surowsze rozkazy przywiózł... Dobrze się tam widno postarali, których lęk bierze, by mi zbytek sławy nie przypadł... Pojadę sam. Może żywym głosem co ubłagam, może nie zawrą się ze wszystkim uszy Króla Jegomości na moje perswazje...

— Boże! Boże! — powtarzał Sebastian. — Wasza Dostojność, toć król nie naród! Można do Sejmu apelować, Stanom przedłożyć, rozumieją... Toć tu nie o fraszki idzie. O wielkie, ogromne rzeczy! Jeszcze na tyle sumienia w nich stanie...

— To samo sobie myślałem: Sejm, Senat... Ninie straciłem nadzieję... Prócz do Króla Jegomości pisałem do kanclerza, do podkomorzego i do kilku jeszcze senatorów, którzy pod Smoleńskiem są, by moją sprawę poparli. Ni jeden tego nie zrobił! Wszyscy przeciwni! Że to Smoleńszczyzny wypadałoby się zrzec... Że to naród k'naszemu niepodobny... To samo będzie i w Sejmie...

Sebastian chciał zaprzeczyć, lecz wspomniawszy słowa Pietrka i zamilkł.

— Nikogo za mną! — powtórzył hetman z rosnącą goryczą. — Jeden jedyny ksiądz Skarga, ale nikt jego głosu nie słucha... A przecież, jakeś rzekł słusznie, o wielkie rzeczy tu idzie. Od Jagiełłowych z Jadwigą zaślubin takie aspekty przed Rzeczpospolitą nie stały! Cóż stąd? Nie chcą o nich wiedzieć. Taka u nas modła w Polsce, że każdy zamysł, na dłuższą metę obliczony, trafia na sprzeciw powszechny. Przestałem się łudzić, by mnie naród poparł... Pomnisz, co prawił na ucztę Mściłowski? Nie kłamałem mu, gdym mówił, że Polska i ja to jedno. Żem reprezentant jest Polski prawdziwej... Bom tak wierzył... Pojadę jej szukać, kołatać. Może Bóg da, żem się nie omylił...

— Runie wszystko, gdy Wasza Dostojność odjedziesz...

— Runie wszystko jednak, gdy listy królewskie, do czegoś obowiązany jest, ogłoszę...

Sebastian przestępował z nogi na nogę.  
— Wasza Dostojność — rzekł z nagłą decyzją — zbytńia to moja dufność chudopacholska, że przemawiać śmiem, ale co rzekę, nie ja jeden myślę. Słyszałem kopa razy, od wielu... Mówiły o tym bojary i Aleksiej Jefimowicz, mój gospodarz... Jedyna to rzecz!...  
— Jakaż?  
— Wasza Dostojność racz się sam carem ogłosić.  
— Co! — spytał hetman, obracając się ku niemu.  
— Wasza Dostojność carem! Moskwa... O Boże! oszalałaby z radości! Ni jednego sprzeciwu... I dobrze by było... Wasza Dostojność!...  
Zachłysnął się z błagalnego uniesienia.  
Pobłażliwy uśmiech spłynął po wargach hetmańskich.  
— Żarty się ciebie trzymają, mój chłopcze. Dobry zart tynfa wart, ale nie pora ku nim...  
— Wasza Dostojność! Nie żartuję! Przysięgam na wszystko najświętsze... Od Moskwy tom słyżał. I nieraz... Wobec uporu Króla Jegomości toćże to jedyne wyjście...  
— Przestań — rzekł hetman prawie surowo. — Ja, pierwszy żołnierz Rzeczypospolitej, carem się proklamujący! Piękny by to był przykład! Nie widzę zresztą, jaka by stąd korzyść urosnąć mogła dla Rzeczypospolitej... Moskwa przystałaby, wiem... A co dalej? Unią by to nie było; przeciwnie... Nie darowaliby mi podobnego wywyższenia się nasi panowie... Polska, Moskwa, wrogami ostałyby po dawnemu. Anibym temu krajowi pożytku nie przyniósł, ani Ojczyźnie najmilszej. Dość o tym! Ani słuhać chcę... Powiedz waść lepiej, jakież to miałeś strapienia?  
— Wstyd gadać! — zachnął się Sebastian. — Czymże one są przy trosce Waszej Dostojności?... Ot, samochcąc, bez niczyjej winy, spsowałem, zwichnąłem swoje życie...  
— Życie zawdy czas zacząć od nowa...  
— Ej, nie odnowi się ono!... Co przeszło, już nie powróci... Ciężko jest!... Ale żyć, ućciwie żyć, trzeba...  
Skłonił się nisko, ze czcią głęboką, i wyszedł.  
„Żyć ućciwie trzeba — powtórzył w myśli hetman. — Tak jest, żyć! Pracę przez Pana nakazaną spełnić... Nie zbraknie jej. Wszędy jest rola czekająca zasiewu dobrego... Siewcy my, a plon Bóg zbierze, kiedy zechce i kim zechce... Nie nam się o to kłopotać...

**Koniec**

## Słowniczek wyrazów gwarowych i obcych

a l k i e r m e s — syrop leczniczy  
a l m a r i a — szafa  
a m e l i a — ładownica  
a r k e b u z e r y — żołnierze uzbrojeni w arkebuzy, pierwsze strzelby prochowe (wcześniejsze niż muszkiety)  
b a g n i e —jagnię  
b a j n k o w a ć — bankować, odkuwać duży słup soli w kopalni  
b a r a n, t r y t i e l a, h o ł o w u z ł o m y ł, t a j t y. Zakłęcie; dosłownie: baran i trzy cielęta złamały głowę, i ty (złam); — symbolicznie: zgiń, przepadnij!  
b a r m y — część klejnotów koronnych, używanych przy koronacji carów; rodzaj naszyjnika, a raczej napierśnika, wkładanego przez głowę na ramiona  
b o m b i z i n a — żona duchownego protestanckiego, ministra  
b r y z y, b r y ż e — kosztowne obszycia, koronki  
b r z e c h u n — pies, kundel zwykły (od brzechać, szczeakać)  
c i g i ę d ź — gęstwina młodego lasu  
c i o t a, c i o t u c h a — wrona  
c z a m l e t — tania tkanina  
c z e c z u g a — rodzaj szabli  
d e b r z — jar, wąwóz  
d o ł m a n — rodzaj płaszcza  
d u g a, duha — część uprzęży na konia, używana na Rusi; obręcz nad karkiem konia  
d u k w i ć — ślęczeń  
d y w d y k — kosztowna tkanina wschodnia  
e k s k u z o w a ć — usprawiedliwiać, tłumaczyć  
f a c e l e t — chustka  
f o r k i e t — widełki do podparcia lufy muszkietu przy strzale  
f r y c y g i e r n a — kochanka szatana  
g a r u s — zupa owocowa  
g ą s t o l i c — żalić się  
g i d — plugastwo  
g i d i a — drażał, tyka  
g r a m a t k a — polewka z piwa i tartego chleba  
g r ą d y — grunta wyżej położone, nie zalewane; gradowe taki. suche łąki  
h ł a d y ż k a — na Rusi, dzieżka  
i n d e r m a c h — tylna część domu, służąca na składy dla sklepu itp.  
i ś c i e c — dłużnik

k a t a u z — przewodnik  
k a ł k a n — tarcza okrągła i wypukła  
k a p a l i n — rodzaj hełmu  
k a p r y — nieoficjalna marynarka polska na Bałtyku, popierana przez Zygmunta Augusta  
k a r a u ł — straż  
k a r a w a k a — krzyż o dwu poprzecznicach, mający chronić od moru; nazwa od hiszpańskiego miasta Caravaca  
k a r w a t k a — rodzaj kamizelki  
k i w a ć — kłuc  
k o c z p e r g a ł — przezwisko: papla  
k o l e m a g a — wóz pakowny, bryka kotwa — kotwica  
k o z u b a l e c — danina, składana w pewnych wypadkach przez Żydów na rzecz proboszcza lub żaków  
k r o p i e r z — kapa, okrycie na konia  
k r u k w a — ożóg (i przezwisko)  
l a w a t e r z — miska do mycia  
l e n s o w n i k — w kopalni kopacz najemny, ugodzony od ilości wydobytej soli czy rudy  
l e p i e c h a — szuwar stawowy  
l e p k a, łepek — rodzaj hełmu  
l i m o n a — cytryna  
ł y ż e - łyżwy, narty  
m a c l o c h — jaskinia, loch  
m a r c h a — szkapa (i przezwisko)  
m ę c h e r z y n a — pęcherz (i przezwisko)  
m i e l c u c h — słodownia, browar  
n e b u l o (łac.) — nicpoń, hultaj  
n i e p l a g a — niechlujna  
„No P o p e r y” — „bez papieża”; hasło odszczepieńców szkockich  
o b a r l i k — zakrętka u drzwi  
o b l a t o w a ć (o skardze) — złożyć urzędową skargę w sądzie  
o t k r o w i e n n y (rus.) — szczyry  
p a c i e p, p a c i e p i a — ćma, topiel (światła)  
p i c o w n y w ó z — wóz z żywnością, furazem  
p i e r z e j a — ścieżka przekopana w śniegu  
p o ć p i e g a — żona napędzona  
p o n i k — potok  
p o s o c h — berło (carskie)  
p r e k a u c j a — rękojmia  
r a k a r z — oprawca  
r a z r j e s z e n i e (rus.) — zezwolenie  
r o z t r n o ż c a — trwoniciel, marnotrawca  
s a m b o r z — brama kryta, z izbą wartowniczą na piętrze  
s i e s t r z a n — tram, podciąg poprzeczny pod belkami  
s k o n w i n k o w a ć — zobowiązać, namówić  
s n e c h a, s n o c h a — synowa  
s o k o r y — topole  
s t e r g ł y — stężały, zesztyniały

s t o r z y ć się — chełpić się  
s u c h o d o l n i k — ziele mające zastosowanie w czarownictwie  
s z r o t a r z e — cech mający wyłączny przywilej transportu i przetaczania wina  
s z u r z y ć — złościć się  
ś l e m i ę — belka  
ś n i a t — pień drzewa  
ś r e ż, s t r y ż — pierwszy szron i lód  
t ą ż y ć — tęsknić  
t e r c j a n a — febra co trzeci dzień powracająca  
t o c z e n i c a — nakrycie głowy kobiece  
t r a p a c o w a ć — trapić się  
t r y s z a k — rodzaj gry w karty  
t r z e m c h a — czeremcha  
w l u l i ć — wnikać  
z e k ł t a ć — przełknąć

## Spis rozdziałów

### TOM PIERWSZY

|                |                          |     |
|----------------|--------------------------|-----|
| Rozdział 1---  | Hic mulier.....          | 1   |
| Rozdział 2---  | Wenecja.....             | 9   |
| Rozdział 3---  | Na synodzie.....         | 15  |
| Rozdział 4---  | Narodziny.....           | 26  |
| Rozdział 5---  | W opresji dusznej.....   | 34  |
| Rozdział 6---  | Odstępca.....            | 36  |
| Rozdział 7---  | Czar oreża.....          | 39  |
| Rozdział 8---  | Szlakiem moru.....       | 46  |
| Rozdział 9---  | Cud.....                 | 58  |
| Rozdział 10--- | Spotkanie.....           | 64  |
| Rozdział 11--- | W obozie.....            | 70  |
| Rozdział 12--- | Towarzysz usarski.....   | 75  |
| Rozdział 13--- | Żniwiarze hetmańscy..... | 84  |
| Rozdział 14--- | Skarb ukryty.....        | 95  |
| Rozdział 15 —  | Gwałt biskupi.....       | 106 |
| Rozdział 16 —  | Na marne.....            | 112 |
| Rozdział 17 —  | Pod Sandomierzem.....    | 117 |

Rozdział 18 — Obrońcy wolności.....127

## TOM DRUGI

|  |                                |     |
|--|--------------------------------|-----|
| Rozdział 1---                              | Obrońcy prawa.....             | 135 |
| Rozdział 2---                              | Sumienie Rzeczypospolitej..... | 141 |
| Rozdział 3---                              | Wiosna.....                    | 149 |
| Rozdział 4---                              | Wygnanie.....                  | 158 |
| Rozdział 5---                              | Trzy korony.....               | 170 |
| Rozdział 6---                              | Bez domu.....                  | 181 |
| Rozdział 7---                              | Latawica.....                  | 191 |
| Rozdział 8---                              | Medea.....                     | 196 |
| Rozdział 9---                              | Kondotierzy.....               | 207 |
| Rozdział 10---                             | Car i kanclerz.....            | 215 |
| Rozdział 11---                             | Ocknięcie.....                 | 218 |
| Rozdział 12---                             | W boju.....                    | 234 |
| Rozdział 13---                             | Przysięga.....                 | 246 |
| Rozdział 14---                             | Mir.....                       | 251 |
| Rozdział 15---                             | Od nowa.....                   | 262 |
| Słowniczek wyrazów gwarowych i obcych..... |                                | 267 |